

KATHARINE MCGEE

Tysiąc prefer



IM WYŻEJ JESTEŚ,
TYM NIŻEJ MOŻESZ UPAŚĆ...

moondrive

KATHARINE MCGEE

Tysiąc prefer

TŁUMACZENIE MARIUSZ GADEK

moondrive

PROLOG

Listopad 2118 roku

Na tysięcznym piętrze stopniowo przycichały dźwięki muzyki i odgłosy śmiechu, impreza z każdą minutą dogorywała i nawet najbardziej wytrwali goście zmierzali chwiejnym krokiem do wind, żeby zjechać w dół, do swoich domów. Rozciągające się od podłogi do sufitu okna wyglądały niczym prostokąty aksamitnej ciemności, choć w oddali powoli wschodziło już słońce, a linia horyzontu mieniła się barwami ochry, bladego różu i miękkiego, połyskującego złota.

Nagle ciszę rozdarł krzyk lecącej w dół dziewczyny – jej ciało spadało coraz szybciej, przecinając chłodne, wczesnoranne powietrze.

Za niespełna trzy minuty dziewczyna miała uderzyć o bezlitosny beton East Avenue. Ale w tej chwili – z włosami łopoczącymi na wietrze niczym chorągiew, w opinającej ciało jedwabnej sukience oraz z jasnoczerwonymi ustami zastygłymi w idealnie okrągłym okrzyku przerażenia – wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

Mówią, że tuż przed śmiercią całe życie przemyka ludziom przed oczami. Ale zbliżając się coraz szybciej do ziemi, spadająca dziewczyna myślała jedynie o kilku ostatnich godzinach swego życia, o obranej przez siebie drodze, która zaraz miała gwałtownie się skończyć. Gdyby tylko z nim nie rozmawiała. Gdyby tylko nie była taka głupia. A przede wszystkim – gdyby tylko nie poszła dziś na górę.

Kiedy ochroniarz monitorujący dok znalazł to, co pozostało z ciała dziewczyny, i roztrzęsiony zgłosił, że doszło do wypadku, wiedział jedynie, że to pierwsza osoba, która spadła z Wieży w ciągu dwudziestu pięciu lat jej istnienia. Nie wiedział jednak, kim była ofiara ani jak wydostała się na zewnątrz.

Nie miał pojęcia, czy spadła, została zepchnięta czy też – przygnieciona ciężarem skrywanych sekretów – sama postanowiła skoczyć.

Dwa miesiące wcześniej

– Świetnie się dziś bawiłem – powiedział Zay Wagner, odprowadzając Avery Fuller do drzwi jej rodzinnego penthouse’u. Wracali właśnie z Nowojorskiego Akwarium na 830 piętrze, gdzie tańczyli ze znajomymi w delikatnym blasku bijącym od wypełnionych rybami zbiorników. Avery wprawdzie nieszczerze lubiła to miejsce, ale jak zwykła mówić jej przyjaciółka Eris, impreza to w końcu impreza, co nie?

– Ja też. – Avery pochyliła swoją jasnoblond głowę w kierunku skanera siatkówki oka i drzwi się otworzyły. – Dobranoc. – Obdarzyła Zaya uśmiechem.

Chłopak złapał ją za rękę.

– Myślałem, że może pozwolisz mi wejść. Skoro twoi rodzice wyjechali i w ogóle...

– Przepraszam – wymamrotała Avery i ziewnęła, żeby ukryć rozdrażnienie. Powinna się tego spodziewać. W końcu Zay przez całą noc wykorzystywał każdą okazję, żeby jej dotknąć. – Jestem skonana.

– Avery. – Zay puścił jej rękę, cofnął się o krok i przecesał palcami włosy. – Reagujesz tak od tygodni. Czy ty mnie w ogóle lubisz?

Avery otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Przez twarz Zaya przemknęło jakieś uczucie – ale co to było? Irytacja? Zmieszanie?

– Rozumiem. Zobaczymy się później – powiedział i ruszył w kierunku windy. Na koniec odwrócił się i zmierzył Avery wzrokiem. – Wyglądałaś dziś naprawdę pięknie – dodał, po czym drzwi windy zamknęły się za nim z cichym szcęknięciem.

Avery westchnęła i weszła do ogromnego holu swojego mieszkania. Zanim się urodziła, kiedy Wieża nadal była w trakcie budowy, jej rodzice bardzo mocno rywalizowali z innymi chętnymi o kupno tego mieszkania. Zajmowało ono całe najwyższe piętro i jako jedyne w całym budynku miało dwupoziomowy hol. Rodzice byli niezwykle dumni z tego holu, za to Avery go nie znosiła: pusta przestrzeń sprawiała, że jej kroki odbijały się głuchym echem, a na każdej płaskiej powierzchni błyszczały lustra. Gdziekolwiek popatrzyła, wszędzie widziała własne odbicie.

Zrzuciła z nóg szpilki i na bosaka ruszyła w stronę swojego pokoju, zostawiając buty na środku korytarza. Jutro ktoś je sprzątnie, pewnie któryś z botów albo Sarah, jeśli tym razem przyjdzie punktualnie.

Biedny Zay. Avery naprawdę go lubiła, zawsze ją rozśmieszał. Uważała, że jego głośny, zakręcony sposób bycia jest całkiem zabawny. Ale gdy się pocałowali, nie poczuła nic.

Jedynym chłopakiem, którego Avery pragnęła pocałować, był ten, którego przenigdy pocałować nie będzie mogła.

Weszła do swojej sypialni i usłyszała cichy szum wybudzonego komputera pokojowego, który przeskanował jej organizm i dostosował do niego temperaturę otoczenia. Na stoliku obok staroświeckiego łóżka z baldachimem pojawiła się szklanka wody z lodem – prawdopodobnie dlatego, że w jej pustym żołądku wciąż buzował szampan – choć Avery nawet o nią nie prosiła. Po tym jak Atlas wyjechał z miasta, wyłączyła funkcję głosową w komputerze. To Atlas zaprogramował w nim brytyjski akcent i nazwał go Jenkinsem. Rozmawianie z Jenkinsem bez Atlasa wprawiało ją w przygnębienie.

Słowa Zaya wciąż rozbrzmiewały echem w jej głowie. „Wyglądałaś dziś naprawdę pięknie”. Próbował tylko powiedzieć jej komplement i nie mógł przecież wiedzieć, jak bardzo Avery nienawidziła tego określenia. Przez całe życie na każdym kroku słyszała, jaka jest piękna – od swoich rodziców, chłopaków, nauczycieli. Teraz to słowo straciło już dla niej znaczenie. Tylko jej przyrodni brat Atlas wiedział, że lepiej nie prawić jej tego typu komplementów.

Fullerowie poświęcili wiele lat i wydali mnóstwo pieniędzy na poczęcie Avery. Nie wiedziała dokładnie, jak bardzo kosztowne było jej stworzenie. Mogła się jedynie domyślać, że jej wartość była nieznacznie niższa od ceny ich mieszkania. Jej rodzice – oboje średniego wzrostu, o przeciętnej urodzie i z rzędnącymi brązowymi włosami – udali się do światowej sławy naukowca ze Szwajcarii, który pomógł im wydobyć to, co najlepsze, z ich wspólnego materiału genetycznego. Z mniej więcej miliona kombinacji przeciętnego DNA obojga Fullerów udało się wyłowić to jedno połączenie, które doprowadziło do powstania Avery.

Czasami Avery zastanawiała się, jak by wyglądała, gdyby rodzice poczęli ją w sposób naturalny lub gdyby przeskanowali ją jedynie pod kątem chorób, jak robiła to większość mieszkańców górnych pięter. Czy odziedziczyłaby po mamie chude ramiona, a po tacie – duże zęby? Nie żeby miało to teraz jakieś znaczenie. Pierson i Elizabeth Fullerowie zapłacili za taką właśnie córkę: z włosami w kolorze miodu, długimi nogami, ciemnoniebieskimi oczami, obdarzoną inteligencją taty i bystrym umysłem mamy. Atlas zawsze żartował z Avery, że jej jedyną niedoskonałością był upór.

Avery bardzo chciała, żeby to była prawda.

Potrząsnęła głową, spinając włosy w luźny kok, i stanowczym krokiem wyszła z pokoju. W kuchni otworzyła szeroko drzwi do spiżarni i sięgnęła do uchwyty ukrytego mechanizmu. Natrafiła na niego przed laty podczas zabawy w chowanego z Atlasem. Nie miała pojęcia, czy rodzice w ogóle o nim wiedzieli, w końcu żadne z nich nigdy tu nawet nie zaglądało.

Avery pociągnęła metalowy panel i do ciasnej spiżarni zsunęła się drabina. Ściskając obiema rękami skraj jedwabnej sukni w kolorze kości słoniowej, pochyliła się i zaczęła wchodzić na górę, instynktownie licząc szczeble po włosku: *uno, due, tre*. Ciekawe, czy Atlas spędził w tym roku trochę

czasu we Włoszech. O ile w ogóle pojechał do Europy.

Balansując na górnym szczeblu, Avery wyciągnęła rękę, żeby otworzyć klapę, po czym wyszła w smaganą wiatrem ciemność.

Poprzez ogłuszający ryk wiatru Avery usłyszała dudnienie rozmaitych maszyn na dachu, ukrytych w wodoszczelnych skrzyniach lub pod panelami słonecznymi. Jej bose stopy marzły na metalowych płytach platformy. Z każdego rogu budowli wznosiły się łukami stalowe podpory i łączyły się na środku, tworząc charakterystyczną iglicę Wieży.

Noc była pogodna, Avery nie czuła w powietrzu żadnej chmury, która mogłaby zwilżyć jej rzęsy lub pokryć kropelkami wilgoci skórę. Gwiazdy lśniły niczym rozprysnięte szkło na niemożliwie ciemnym przestworze nieba. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że tu weszła, dostałaby szlaban do końca życia. Wychodzenie na zewnątrz powyżej 150 piętra było zabronione: wszystkie tarasy powyżej tego poziomu były chronione przed gwałtownymi podmuchami wiatru za pomocą mocnych szyb ze szkła polietylenowego.

Avery zastanawiała się, czy ktokolwiek poza nią postawił tu kiedyś stopę. Wzdłuż jednej krawędzi dachu ciągnęły się barierki zabezpieczające, prawdopodobnie zamontowane na wypadek, gdyby musiała tu wejść ekipa konserwatorów budynku, ale z tego, co wiedziała Avery, nikt tu nigdy nie zaglądał.

Nie wspomniała o swoim odkryciu Atlasowi. Był to jeden z zaledwie dwóch sekretów, którymi się z nim nie podzieliła. Gdyby Atlas się dowiedział, zadbałby o to, żeby już nigdy tu nie wróciła, tymczasem Avery nie potrafiła znieść myśli, że miałaby z tego zrezygnować. Uwielbiała tu przesiadywać – uwielbiała wiatr, który chłostał jej twarz, szarpał włosy, wyciskał łzy z oczu i huczał tak głośno, że zagłuszał jej własne szalone myśli.

Avery podeszła bliżej do krawędzi dachu i spojrzała na panoramę miasta, upajając się zawrotem głowy i uczuciem wirowania w brzuchu. Poniżej miejskie kolejki przecinały powietrze niczym fluorescencyjne węże. Horyzont wydawał się tak niesamowicie odległy. Spojrzenie Avery sięgało teraz od światła New Jersey na zachodzie po ulice Bezmieścia na południu i Brooklyn na wschodzie, a nawet jeszcze dalej, aż po grafitowy odbłask Atlantyku.

Pod jej bosymi stopami znajdowała się największa budowla na ziemi, sama w sobie będąca zamkniętym światem. „Jakie to dziwne”, pomyślała Avery. Poniżej niej żyły miliony ludzi, którzy w tej właśnie chwili jedli, spali, śnili lub się dotykali. Zamrugła, czując się nagle nieznośnie samotna. Wszyscy ci ludzie byli dla niej obcy, nawet ci, których znała. Czemu miałaby się przejmować ich albo też swoim losem, albo w ogóle czymkolwiek?

Oparła łokcie o barierkę i zadrżała. Jeden nieostrożny ruch i będzie po niej. Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak by to było lecieć cztery kilometry w dół. Wyobrażała sobie, że w chwili gdy osiągnęłaby prędkość graniczną, pewnie ogarnąłby ją dziwny spokój i uczucie nieważkości. A zanim

zdążyłyby uderzyć o ziemię, pewnie i tak od dawna już by nie żyła z powodu ataku serca. Przymknawszy oczy, Avery przechyliła się do przodu, zawijając o brzeg dachu palce stóp z pomalowanymi na srebrno paznokciami i właśnie w tej chwili wnętrza jej powiek rozjaśniły się, a jej szkła kontaktowe zarejestrowały nadchodzące pingnięcie.

Zawahała się, a imię, jakie wyświetliło się na szklach, sprawiło, że zalała ją fala ekscytacji wymieszanej z wyrzutami sumienia. Przez całe lato tak skutecznie udawało jej się unikać tej sprawy: najpierw przebywała na wymianie uczniów we Florencji, a ostatnio była zajęta Zayem. W końcu jednak Avery odwróciła się od krawędzi dachu i zeszła szybko po drabinie.

– Hej – powiedziała zdyszczanym głosem, gdy już znalazła się z powrotem w spiżarni. Mówiła szeptem, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. – Dawno się nie odzywałeś. Gdzie jesteś?

– W zupełnie nowym miejscu. Spodobałoby ci się tutaj. – Jego głos brzmiał tak samo jak zawsze, był ciepły i głęboki. – Co u ciebie, Aves?

To właśnie był główny powód, dla którego Avery wyszła na zewnątrz na szalejący wokół Wieży wiatr. Chciała uciec przed własnymi myślami, których najwyraźniej nie udało się odpowiednio zaprojektować podczas procesu inżynierii genetycznej.

Osobą, z którą rozmawiała, był jej brat Atlas – to właśnie z jego powodu postanowiła już nigdy w życiu nie pocałować innego chłopaka.

LEDA

Gdy koopter minął East River i znalazł się nad Manhattanem, Leda Cole pochyliła się i przycisnęła twarz do szyby z fleksiglasu, żeby mieć lepszy widok.

W tej pierwszej chwili, gdy jej oczom ukazywała się panorama miasta, zawsze było coś magicznego, zwłaszcza teraz, kiedy okna na wyższych piętrach wręcz płonęły w popołudniowym słońcu. Pod neochromową powierzchnią migwały kolorowe punkty wind mknących w szybach, które były niczym naczynia krwionośne pompujące krew w dół i w górę miejskiego organizmu. Leda pomyślała, że miasto wygląda tak jak zawsze: całkowicie nowoczesne, a jednak w pewnym sensie ponadczasowe. Wielokrotnie widziała zdjęcia przedstawiające panoramę starego Nowego Jorku, który ludzie tak idealizowali. Jednak według niej w porównaniu z Wieżą wydawał się brzydki i poszarpany.

– Cieszysz się, że wracasz do domu? – spytała ostrożnie mama, spoglądając z drugiej strony przejścia na Ledę. Ta skinęła tylko zdawkowo głową, nie zadając sobie trudu, żeby się odezwać. Odkąd rodzice odebrali ją dziś rano z kliniki odwykowej, prawie z nimi nie rozmawiała. A w zasadzie nie rozmawiała z nimi od tamtej sytuacji w lipcu, przez którą trafiła na odwyk.

– Możemy zamówić dziś Miatzę? Od tygodni chodzi za mną burger dodo – odezwał się jej brat Jamie, wyraźnie próbując poprawić nieco nastrój. Ale Leda go zignorowała. Jamie był od niej tylko jedenaście miesięcy starszy i właśnie miał zacząć ostatnią klasę liceum, ale nie byli sobie zbyt bliscy. Prawdopodobnie dlatego, że w niczym nie byli do siebie podobni.

Jamie był nieskomplikowany, bezpośredni i wydawało się, że nigdy się nie martwił. Oboje z Ledą nawet podobnie nie wyglądali: podczas gdy Leda miała ciemną karnację i była energiczna podobnie jak jej mama, Jamie miał cerę bladą tak jak ojciec i pomimo największych wysiłków siostry zawsze wyglądał koszmarnie. W tym momencie paradował z krzaczastą brodą, którą najwyraźniej zapuszczał przez ostatnie miesiące.

– Zamówimy to, na co tylko Leda ma ochotę – odparł tata. Jasne, tak jakby możliwość wybrania obiadu miała wynagrodzić jej całą resztę.

– Wszystko mi jedno. – Leda zerknęła na nadgarstek. Dwa małe ślady po nakłuciach, pozostałości po bransoletce monitorującej, którą musiała nosić przez całe lato, stanowiły jedyny dowód jej pobytu w Srebrnej Zatoce, ośrodku, który wbrew swojej nazwie znajdował się z dala od oceanu, w środkowej Nevadzie.

Leda nie mogła jednak obwiniać o wszystko rodziców. Gdyby wtedy w lipcu sama znalazła się na ich miejscu, to też wysłałaby siebie na odwyk. Kiedy trafiła do ośrodka, wyglądała upiornie: była wściekła i agresywna, nakręcona xenperedrenem i kto wie czym jeszcze. Potrzebowała jednego pełnego dnia pod kroplówką z „sokiem szczęścia”, jak mawiały dziewczyny ze Srebrnej Zatoki, czyli płynem ze środkami uspokajającymi i dopaminą, zanim w ogóle zgodziła się porozmawiać z lekarzami.

Kiedy jednak organizm zaczął powoli oczyszczać się z narkotyków, wraz z nimi zniknął też gorzki smak urazy do rodziców. W jej miejscu pojawił się wstyd: lepki, nieprzyjemny wstyd. Leda zawsze obiecywała sobie, że zachowa nad sobą kontrolę, że nie stanie się taka jak jeden z tych żalonych ćpunów, jakich pokazywali im na hologramach podczas pogadanek w szkole. A mimo wszystko wylądowała na odwyku z igłą kroplówki wkłutą w żyłę.

– Dobrze się czujesz? – spytała jedna z pielęgniarek, widząc jej minę.

„Nigdy nie pozwól, żeby widzieli, jak płaczesz”, upomniała się w myślach Leda i kilkoma mrugnięciami powstrzymała łzy.

– Oczywiście – zdołała odpowiedzieć pewnym głosem.

Ostatecznie Ledzie udało się odnaleźć na odwyku pewien spokój, ale nie za sprawą jej beznadziejnego psychiatry, tylko dzięki medytacji. Poświęcała jej niemal każdy ranek, siedząc ze skrzyżowanymi nogami i powtarzając mantry, które wygłaszał monotonnym głosem guru Washmi: „Niech moje działania mają sens. Jestem swoim największym sprzymierzeńcem. Dam sobie radę sama”. Co jakiś czas Leda otwierała oczy i przez lawendowy dym przyglądała się pozostałym dziewczynom obecnym w namiocie do jogi. Wszystkie miały udręczony, zaszczuty wyraz twarzy, jakby ktoś je tutaj

zagonił i teraz bały się wyjść. „Nie jestem taka jak one”, powtarzała sobie wtedy Leda, prostowała plecy i ponownie przymykała oczy. W przeciwieństwie do tych dziewczyn ona nie potrzebowała narkotyków.

Teraz znajdowali się zaledwie kilka minut od Wieży. Nagły niepokój sprawił, że Leda poczuła uścisk w żołądku. Czy była na to gotowa? Gotowa, żeby tu wrócić i zmierzyć się z tym wszystkim, co wpakowało ją w kłopoty?

Chociaż nie ze wszystkim. Atlasa wciąż nie było w mieście.

Przymknąwszy oczy, wymamrotała kilka słów, nakazując swoim szkłom otwarcie skrzynki odbiorczej, którą sprawdzała niemal bez przerwy, odkąd opuściła rano odwyk i znów miała dostęp do sieci. Trzy tysiące nagromadzonych przez lato wiadomości pingnęło jednocześnie w jej uszach, zaproszenia i powiadomienia wideo spływały jedno po drugim niczym kaskada dźwięków. Ten gwar zainteresowania wydał jej się osobliwie kojący.

Na samym szczycie znajdowała się nowa wiadomość od Avery: „Kiedy wracasz?”.

W każde wakacje rodzice zmuszali Ledę, by jechała wraz z nimi na coroczne odwiedziny w ich „domu” w jakiejś zapadłej miejscinie w Illinois.

– Moim domem jest Nowy Jork – protestowała za każdym razem, ale rodzice ją ignorowali. Szczerze mówiąc, w ogóle nie rozumiała, po co rodzice jeżdżą tam rok w rok. Gdyby udało jej się to, czego oni dokonali – przeprowadzili się z Danville do Nowego Jorku jako nowożeńcy dokładnie w tym czasie, kiedy powstała Wieża, i powoli pięli się w górę, aż w końcu stać ich było na to, żeby zamieszkać na upragnionych wyższych piętrach – w ogóle nie oglądałaby się za siebie.

A mimo to rodzice Ledy z uporem maniaka wracali każdego roku do swego rodzinnego miasteczka i spędzali lato z dziadkami w zacofanym technologicznie domu, w którym pod dostatkiem było jedynie masła sojowego i mrożonych posiłków. Ledzie nawet podobały się te wyprawy, kiedy jeszcze była mała i traktowała je po prostu jako kolejną przygodę. Jednak gdy dorosła, zaczęła błagać rodziców, by zostawili ją w Nowym Jorku. Miała już dość towarzystwa kuzynów ubranych w tandetne, produkowane masowo ubrania i patrzących na nią dziwnymi, pozbawionymi szkieł kontaktowych źrenicami. Ale bez względu na to, jak bardzo protestowała, nigdy nie mogła wykręcić się od wyjazdu. Aż do tego roku.

„Właśnie wracam!”, odpowiedziała przyjaciółce Leda, wymawiając na głos treść wiadomości i kiwając głową, żeby ją wysłać. Wiedziała, że powinna powiedzieć Avery o Srebrnej Zatoce, bo w trakcie terapii wiele rozmawiali o odpowiedzialności oraz pomocy ze strony przyjaciół. Ale na samą myśl, że miałaby wyjawić to Avery, Leda tak mocno zacisnęła dłonie na siedzeniu, aż zbieleły jej knykcie. Nie mogła przyznać się do takiej słabości przed swoją perfekcyjną najlepszą przyjaciółką, nie potrafiła tego zrobić. Oczywiście Avery zachowa się wobec niej uprzejmie, ale Leda wiedziała, że gdzieś w głębi duszy z pewnością ją osądzi i od tej pory będzie ją traktować nieco inaczej. Tego Leda by nie zniosła.

Avery знаła tylko część prawdy: zdawała sobie sprawę, że Leda bierze od czasu do czasu xenperedren, głównie przed egzaminami, żeby mieć sprawniejszy umysł... oraz że kilka razy spróbowała czegoś mocniejszego, razem z Cordem, Rickiem i resztą paczki. Avery nie miała jednak pojęcia, jak głęboko Leda wciągnęła się w nałóg pod koniec minionego roku, po powrocie z Andów, a już z pewnością nie wiedziała o tym, co działo się tego lata.

W końcu dotarli do Wieży. Kopter zakołysał się przez chwilę jak pijany przed bramą do położonego na 700 piętrze lądowiska: nawet z użyciem stabilizatorów nie mógł do końca oprzeć się podmuchom wiatru wiejącego wokół Wieży z siłą huraganu. Wreszcie zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i wylądował w hangarze. Leda podniosła się z siedzenia i tuż za rodzicami zeszła po schodkach. Mama już prowadziła z kimś rozmowę, narzekając pewnie na jakąś nieudaną transakcję.

– Leda! – Nagle rzuciła się na nią dziewczyna z burzą blond włosów i zamknęła ją w uścisku.

– Avery. – Leda uśmiechnęła się, próbując delikatnie wyplątać się z włosów przyjaciółki. Zrobiła krok w tył, spojrzała na nią i od razu ogarnęła ją niepewność, momentalnie wróciły wszystkie jej dawne kompleksy. Widok Avery po dłuższym czasie nieobecności zawsze stanowił dla niej szok. Leda starała się o tym nie myśleć, ale czasami nie mogła się nadziwić, jak niesprawiedliwy bywa los. Avery miała już doskonałe życie – mieszkała przecież w penthousie na tysięcznym piętrze. Czy do tego musiała też być doskonała? Gdy Leda widziała Avery w towarzystwie Fullerów, nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka powstała z ich DNA.

Przyjaźń z dziewczyną, która wyglądała zbyt idealnie, by ktokolwiek mógł uwierzyć, że została stworzona siłami natury, czasami była wyjątkowo trudna. Leda pewnie została poczęta podczas zakrapianej tequilą nocy w rocznicę ślubu rodziców.

– Chcesz się stąd wyrwać? – spytała błagalnym tonem Avery.

– Jasne – odparła natychmiast Leda. Dla Avery zrobiłaby wszystko, tyle że teraz nawet nie trzeba jej było do tego specjalnie namawiać.

Avery odwróciła się, żeby przywitać się z rodzicami Ledy.

– Panie Cole! Pani Cole! Witajcie w domu. – Leda przyglądała się, jak jej rodzice ze śmiechem ściskają się z Avery, otwierając się niczym kwiaty na słońcu. Nikt nie potrafił się oprzeć urokowi dziewczyny.

– Mogę porwać państwa córkę? – spytała Avery, a oni skinęli głowami. – Dziękuję, odstawię ją przed kolacją! – zawołała, ciągnąc uparcie Ledę za ramię w stronę głównej arterii 700 piętra.

– Poczekaj chwilę – odezwała się Leda. W zestawieniu ze świeżo wyprasowaną czerwoną spódnicą i krótką koszulką Avery jej własny strój, w którym wyszła z odwyku, czyli zwykły szary T-shirt i dzinsy, wyglądał dość nędznie. – Jeśli mamy wyjść, chciałabym się przebrać.

– Myślałam, że wyskoczymy tylko do parku. – Avery zamrugła szybko, a jej źrenice zaczęły się gwałtownie poruszać, gdy próbowała przywołać hovera. – Umówiłam się tam z kilkoma dziewczynami

i wszystkie chcą cię zobaczyć. Może być?

– Oczywiście – odpowiedziała automatycznie Leda, ukrywając cień irytacji, że nie będzie mogła porozmawiać z przyjaciółką sam na sam.

Przeszły przez podwójne drzwi lądowiska kopterów i znalazły się na głównej ulicy, obok ogromnego węzła komunikacyjnego obejmującego kilka przecznic. Strop nad ich głowami jarzył się jasnym błękitem. Ledzie widok ten wydawał się równie piękny jak wszystko inne, co widziała podczas popołudniowych wycieczek w Srebrnej Zatoce. Ale Leda nie była typem osoby, która szukałaby piękna w przyrodzie. Piękno było dla niej słowem zarezerwowanym dla drogiej biżuterii, sukienek oraz twarzy Avery.

– No to opowiadaj – powiedziała Avery w typowy dla siebie bezpośredni sposób, gdy weszły na chodnik z włókien węglowych, biegnący wzdłuż srebrzystych ścieżek dla hoverów. Cylindryczne boty z przekąskami toczyły się po ulicy na ogromnych kołach, sprzedając liofilizowane owoce i kapsułki z kawą.

– O czym? – Leda postanowiła zachować ostrożność. Z lewej strony pędziły hoversy, poruszające się niczym ławica ryb zwinnymi i skoordynowanymi ruchami. Były podświetlone na zielono lub na czerwono w zależności od tego, czy były wolne czy zajęte. Leda instynktownie przysunęła się bliżej Avery.

– O Illinois. Było tak strasznie jak zwykle? – Oczy Avery stały się nagle nieobecne. – Wzywam hovera – rzuciła pod nosem i jeden z pojazdów odłączył się od stada.

– Chcesz jechać hoverem aż do parku? – zagadnęła Leda, unikając odpowiedzi na pytanie przyjaciółki. Starła się, by jej głos brzmiał w miarę normalnie. Zapomniała już o obłędnej liczbie ludzi znajdujących się w Wieży: matki ciągnęły za sobą dzieci, biznesmeni mówili głośno do swoich soczewek, pary spacerowały, trzymając się za ręce. Po kojącej ciszy, jaka panowała w ośrodku odwykowym, cały ten ruch ją przytłaczał.

– Wróciłaś, to specjalna okazja! – wykrzyknęła Avery.

Leda wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się akurat wtedy, gdy zawisł przed nimi hover. Był to dwuosobowy, wyłożony wewnątrz jasnożółtym pluszem pojazd, który unosił się kilka centymetrów nad ziemią dzięki zamontowanym w podłodze magnetycznym prętom napędowym. Avery zajęła miejsce naprzeciwko Ledy, wstukała cel podróży i dała hoverowi sygnał do startu.

– Może w przyszłym roku nie będziesz musiała tam jechać. Wtedy mogłybyśmy podróżować razem – ciągnęła Avery, gdy hover zaczął opadać jednym z pionowych korytarzy Wieży. Oświetlające tunel żółte światła tańczyły na policzkach dziewczyny, tworząc dziwaczne wzory.

– Może. – Leda wzruszyła ramionami. Koniecznie musiała zmienić temat. – A tak w ogóle masz niesamowitą opaleniznę. Skąd ją przywiozłaś, z Florencji?

– Z Monako. Mają tam najpiękniejsze plaże na świecie.

– Na pewno nie lepsze niż te w pobliżu domu twojej babci w Maine. – Spędziły tam tydzień po pierwszej klasie liceum, wylegając się na słońcu i podbijając porto z barku babci Lasserre.

– Racja. W Monako nie było nawet żadnych przystojnych ratowników – przyznała ze śmiechem Avery.

Hover zwolnił, skręcił na 307 piętro i zaczął poruszać się poziomo. Normalnie pojawienie się na takim niskim piętrze byłoby poniżej ich statusu, ale wizyty w Central Parku należały do wyjątków. Gdy zatrzymały się przy północno-wschodnim wejściu, Avery odwróciła się do Ledy, a jej ciemnoniebieskie oczy nabrały nagle powagi.

– Cieszę się, że wróciłaś – oznajmiła. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też – odparła cicho Leda.

Weszła za Avery do parku. Minęły słynną czereśnię, która została tu przesadzona z oryginalnego Central Parku. Kilku turystów opierało się o okalający ją płot, robili sobie zdjęcia i na interaktywnym ekranie dotykowym czytali historię drzewa. Tylko ono pozostało ze starego parku, który spoczywał teraz głęboko pod ich stopami, poniżej fundamentów Wieży.

Dziewczyny skręciły w kierunku wzgórza, na którym zapewne czekały już ich przyjaciółki. Avery i Leda odkryły to miejsce w siódmej klasie i po licznych eksperymentach doszły do wniosku, że jak żadne inne nadaje się ono do wylegiwania się w wolnym od ultrafioletowych promieni świetle lampy słonecznej. Kiedy szły, spektratrawa wzdłuż ścieżki zmieniała barwę z miętowozielonej na delikatny odcień lawendowego. Po lewej stronie przez park przebiegł rysunkowy holograficzny krasnal, za którym podążał tłumek piszczących dzieciaków.

– Avery! – Risha zauważyła je pierwsza. Leżące na kolorowych ręcznikach pozostałe dziewczyny uniosły się lekko i zaczęły im machać. – Leda! A ty kiedy wróciłaś?

Avery klapnęła na ziemię pośrodku grupy, zakładając za ucho kosmyk włosów w kolorze lnu, a Leda usiadła obok.

– Dosłownie przed chwilą. Przyszłam tu prosto z koptera – odparła, wyciągając z torby staroświeckie okulary słoneczne mamy. Mogła wprawdzie ustawić swoje szkła kontaktowe na tryb blokujący światło, ale te okulary stanowiły w pewnym sensie jej znak rozpoznawczy. Podobało jej się, że miała w nich taki nieodgadniony wyraz twarzy.

– A gdzie Eris? – zapytała, choć wcale jakoś szczególnie za nią nie tęskniła. Ale jeśli chodziło o opalanie, na Eris zawsze można było liczyć.

– Pewnie na zakupach. Albo z Cordem – rzuciła Ming Jiaozu, tłumiąc cień rozgoryczenia w głosie.

Leda nie odezwała się, zaskoczona tym, co usłyszała. Nie dostrzegła nic na temat Eris i Corda, gdy sprawdzała rano feedy. Inna rzecz, że nigdy nie potrafiła nadążyć za Eris, która umawiała się – lub

przynajmniej pokazywała – z blisko połową chłopców i dziewczyn z klasy, z niektórymi nawet więcej niż raz. Ale była najstarszą przyjaciółką Avery i pochodziła ze starego zamożnego rodu, w związku z czym praktycznie wszystko uchodziło jej na sucho.

– Jak ci minęło lato, Leda? – spytała Ming. – Byłaś z rodziną w Illinois, prawda?

– Tak.

– To musiało być okropne, całe wakacje w takim wygwizdowie – stwierdziła przesłodzonym tonem

Ming.

– Jakoś udało mi się przeżyć – odparła Leda, nie dając się sprowokować. Ming dobrze wiedziała, jak bardzo Leda nie cierpi rozmawiać o korzeniach swoich rodziców. Przypominało jej to, że nie wywodzi się z tego samego środowiska co reszta jej znajomych i że dopiero w siódmej klasie przeprowadziła się tu wraz z rodziną z przedmieść śród-Wieży.

– A ty jak się bawiłaś w Hiszpanii? – Leda spytała Ming. – Poznałaś jakichś miejscowych?

– Nie bardzo.

– Zabawne. Na feedach wyglądało, jakbyś zawarła tam kilka naprawdę bliskich znajomości. – Wcześniej, gdy zaczęły jej się łądować wszystkie wiadomości z wakacji, Leda zauważyła kilka fotek Ming z jakimś młodym Hiszpanem wskazujących na to, że musiało między nimi do czegoś dojść. Świadczyła o tym nie tylko mowa ich ciał, ale także brak podpisów pod zdjęciami. Teraz dodatkowo potwierdził to rumieniec, jakim nagle oblała się Ming.

Ming nie skomentowała tego nawet jednym słowem, a Leda pozwoliła sobie na drobny uśmiech. Gdy bowiem ktoś próbował jej dogryźć, ona odpowiadała tym samym.

– Avery – odezwała się Jess McClane, pochylając się w jej stronę. – Zerwałaś z Zayem? Wpadłam dziś rano na niego i sprawiał wrażenie zdołowanego.

– Tak – Avery odparła z lekkim ociąganiem. – To znaczy... tak mi się wydaje. Lubię go, ale... – urwała w pół zdania.

– O Boże, Avery. Powinnaś wreszcie to zrobić i mieć sprawę z głowy! – wykrzyknęła Jess. Złote bransoletki na jej nadgarstku zalśniły w blasku panelu słonecznego. – Na co ty konkretnie czekasz? A może raczej na kogo?

– Daruj sobie, Jess – warknęła na nią Leda. – Ty akurat nie masz w tej sprawie nic do gadania. – Przyjaciółki zawsze wygłaszały takie uwagi pod adresem Avery, ponieważ do niczego innego tak naprawdę nie mogły się przyczepić. W przypadku Jess było to zresztą pozbawione jakichkolwiek podstaw. Sama była przecież dziewcziną.

– Prawdę mówiąc, mam – oznajmiła wymownie Jess.

W tym momencie nastąpił zbiorowy wybuch pisków.

– Chwila, ty i Patrick?

– Kiedy?

– Gdzie?

Jess uśmiechnęła się szeroko, wyraźnie nie mogąc się doczekać, aż podzieli się szczegółami. Leda odchyliła się na łokciach, udając, że słucha. Według wszystkich dziewczyn ona też wciąż była dziewicą. Nikomu nie powiedziała prawdy, nawet Avery. I nigdy tego nie robi.

Wydarzyło się to w styczniu podczas dorocznego wypadu na narty do Catyan. Ich rodziny jeździły tam od lat: z początku tylko Fullerowie i Andertonowie, a odkąd Leda i Avery tak bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły, także i Cole'owie. Andy były najlepszym miejscem do jazdy na nartach, jakie jeszcze pozostało na Ziemi. Nawet w Kolorado i w Alpach używano ostatnio prawie wyłącznie armatek śnieżnych. Tylko w Chile, na najwyższych szczytach Andów, leżało dostatecznie dużo naturalnego śniegu, by można było na nim uprawiać prawdziwe, klasyczne narciarstwo.

W drugi dzień wycieczki wszyscy – Avery, Leda, Atlas, Jamie, Cord, a nawet Brice, starszy brat Corda – byli holowani przez ski-drony, po czym zeskakiwali ze swoich krzeselek, lądowali na śnieżnym puchu, szusowali pomiędzy drzewami i znów chwyтали się dronów tuż przed opadającą stromo w dół krawędzią lodowca. Leda nie była tak dobrą narciarką jak pozostali, ale w drodze na górę połknęła pigułkę z adrenaliną i czuła się dobrze — tak dobrze jak wtedy, gdy raz podwędziła mamie naprawdę mocny towar. Zjeżdżała za Atlasem pomiędzy drzewami, starając się za nim nadażyć, i rozkoszowała się podmuchami wiatru, który szarpał jej narciarskim kombinezonem. Słyszała tylko chrzęst swoich nart sunących po śniegu, a poniżej głębokie, głuche odgłosy pustki. Przez głowę przemknęło jej, że pędząc po cienkim jak papier lodzie tuż nad samym skrajem przepaści, kuszą los.

I właśnie wtedy rozległ się krzyk Avery.

To, co nastąpiło potem, Leda pamięta jak przez mgłę. Próbowwała wymacać w swojej rękawicy czerwony guzik, który w sytuacji zagrożenia miał przywołać jej ski-drona. Ale kilka metrów dalej Avery już została poderwana do góry. Jedna jej noga wystawała pod dziwnym kątem.

Gdy wrócili do hotelowego apartamentu, Avery znajdowała się już w odrzutowcu w drodze do domu. Pan Fuller uspokoił wszystkich, że nic jej nie będzie, musi tylko poddać się zabiegowi rekonstrukcji kolana i zostać zbadana przez nowojorskich ekspertów. Leda wiedziała, co to oznacza. Avery miała odwiedzić Everetta Radsona, który przeprowadzi na niej operację mikrolaserem. Boże broń, żeby jej doskonałe ciało miała oszpecić choćby najdrobniejsza blizna.

Wieczorem tego samego dnia wszyscy wskoczyli na tarasie do jacuzzi z gorącą wodą, podawali sobie mrożone butelki likieru Baileys i wznosili toasty za Avery, za Andy i za śnieg, który właśnie zaczął padać. Gdy zaczęło naprawdę mocno sypać, większość przyjaciół z pomrukiem niezadowolenia wyszła z kąpieli i pomaszerowała spać. Ale Leda, która siedziała obok Atlasa, została. On również się nie ruszył.

Pragnęła Atlasa od dawna, odkąd ona i Avery zostały przyjaciółkami, od chwili gdy po raz pierwszy

zobaczyła go w ich mieszkaniu. Wszedł do niego nagle, a Leda, która akurat śpiewała razem z Avery jakąś piosenkę z filmu Disneya, zaczerwieniła się ze wstydu. Nigdy nie sądziła, że ma u niego jakieś szanse. Był od niej dwa lata starszy, a poza tym był bratem Avery. Aż do chwili, w której wszyscy zaczęli wychodzić z jacuzzi, a ona zawahała się, zastanawiając, czy może czasem... Skóra wręcz parzyła ją w miejscu, w którym Atlas otarł się o nią pod wodą kolanem, wywołując mrowienie w całej lewej stronie jej ciała.

– Chcesz trochę? – zaproponował Atlas, podając jej butelkę.

– Dzięki. – Leda siłą woli oderwała wzrok od jego rzęs, na których niczym maleńkie, topniejące gwiazdy zbierały się płatki śniegu. Upiła duży łyk. Likier był delikatny i słodki jak deser, ale pozostawiał po sobie uczucie palenia w gardle. Poczowała, że od gorącej kąpieli i bliskości Atlasa kręci jej się lekko w głowie. Może działała jeszcze ta pigułka z adrenaliną, a może to jej własne podniecenie sprawiło, że zupełnie straciła nad sobą kontrolę.

– Atlas – powiedziała łagodnie. Gdy obrócił się do niej z uniesioną brwią, nachyliła się i pocałowała go.

Po chwili wahania Atlas odwzajemnił pocałunek i wsunął dłonie w przyprószone śniegiem ciężkie loki jej włosów. Czas przestał płynąć. W pewnym momencie zorientowała się, że jest bez stanika. Chwilę później pozbyła się również dołu bikini – inna sprawa, że nie miała zbyt wiele do zdejmowania – a Atlas szepnął do niej:

– Jesteś tego pewna?

Leda skinęła głową, a serce zaczęło jej walić jak młotem. Jasne, że była pewna. Nigdy dotąd nie była niczego tak bardzo pewna.

Nazajutrz rano przybiegła do kuchni niemal w podskokach, włosy wciąż miała wilgotne od pary wodnej znad jacuzzi i miała wrażenie, że dotyk Atlasa pozostawił na jej skórze niezatarty ślad niczym inktat. Ale samego Atlasa nigdzie nie było.

Poleciał pierwszym porannym odrzutowcem do Nowego Jorku. Po to, żeby sprawdzić, jak czuje się Avery, wyjaśnił jego tata. Leda skinęła spokojnie głową, ale w środku czuła, że robi jej się niedobrze. Wiedziała, dlaczego tak naprawdę Atlas wyjechał. Chciał uniknąć spotkania z nią. „W porządku”, pomyślała sobie, gdy złość zaczęła brać górę nad bólem odrzucenia. Ona mu jeszcze pokaże. Też będzie się zachowywać, jakby do niczego między nimi nie doszło.

Tyle że Leda nigdy później nie miała okazji, żeby porozmawiać z Atlasem. Zaginął jeszcze w tym samym tygodniu, tuż przed początkiem szkoły, choć miał rozpocząć letni semestr ostatniej klasy liceum. Zarządzono krótkie i gorączkowe poszukiwania, ograniczone w zasadzie tylko do rodziny Avery. Skończyły się w ciągu kilku godzin, gdy rodzice Atlasa dowiedzieli się, że nic mu nie jest.

Od tamtego czasu minął już ponad rok, a zniknięcie Atlasa dawno przestało wzbudzać emocje. Jego

rodzice obrócili całą sprawę w żart, traktując to jako młodzieńczy wybryk. Leda słyszała ich wielokrotnie, jak podczas różnego rodzaju przyjęć przekonywali, że Atlas zrobił sobie rok wolnego od nauki, żeby popodróżować trochę po świecie, i że od samego początku to był ich pomysł. Takiej wersji się trzymali, ale pewnego razu Avery wyznała Ledzie prawdę. Fullerowie nie mieli pojęcia, gdzie aktualnie przebywa Atlas ani kiedy – i czy w ogóle – wróci do domu. Raz na jakiś czas kontaktował się z Avery, dając znać, że żyje, ale jego lokalizacja zawsze była mocno zaszyfrowana. Zresztą i tak zaraz potem zmieniał miejsce pobytu.

Natomiast Leda nigdy nie powiedziała Avery o tamtej nocy w Andach. Po zniknięciu Atlasa w ogóle nie bardzo wiedziała, jak ma poruszyć tę sprawę, a im dłużej zwlekała, tym trudniej było jej wyjawić sekret. Świadomość, że jedyny chłopak, na którym jej zależało, dosłownie uciekł po tym, jak się z nią przespał, bolała ją niczym głęboka rana. Leda próbowała pielęgnować w sobie gniew, wydawało jej się to rozsądniejsze niż pogrążanie się w cierpieniu. Ale nawet gniew nie potrafił zagłuszyć tępego bólu, jaki przeszywał ją na samą myśl o Atlasie.

I w ten właśnie sposób wylądowała na odwyku.

– Leda, pójdziesz ze mną? – głos Avery wyrwał ją z zamyślenia i Leda zamrugała. – Muszę coś zabrać z biura taty – dodała Avery, posyłając jej znaczące spojrzenie. „Biuro taty” było hasłem stosowanym przez nie od dawna, jeśli jedna z nich chciała wyrwać się z niechcianego towarzystwa.

– Czy twój tata nie ma od tego mesendźer-botów? – zdziwiła się Ming.

Leda ją jednak zignorowała i rzuciła do Avery:

– Oczywiście. – Po czym wstała z ziemi i otrzepała dżinsy z trawy. – Chodźmy.

Pomachały reszcie dziewczyn na pożegnanie i ruszyły ścieżką wiodącą do najbliższej stacji transportowej, skąd przezroczystą pionową kolumną startował w górę ekspres linii C. Przez zdumiewająco przejrzyste ściany kolejki Leda dostrzegła w środku grupkę starszych kobiet rozmawiających z głowami nachylonymi ku sobie, a także dłubiącego w nosie malca.

– Wczoraj w nocy odezwał się do mnie Atlas – szepnęła Avery, gdy szły na peron, z którego odjeżdżało się w kierunku top-Wieży.

Leda zeszywniała. Wiedziała, że Avery w pewnym momencie przestała mówić rodzicom o swoich rozmowach z Atlasem, ponieważ uważała, że to tylko ich denerwuje. Ale kryło się coś dziwnego w tym, że nie opowiadała o nich również nikomu innemu oprócz Ledy.

Zresztą Avery zawsze traktowała Atlasa w zaskakująco opiekuńczy sposób. Gdy jej brat umawiał się z jakąś dziewczyną, zachowywała się wobec niej z niezmienną uprzejmością, ale też odrobinę nieufnie, jak gdyby nie do końca ją akceptowała lub też sądziła, że Atlas dokonał niewłaściwego wyboru. Leda zastanawiała się, czy miało to coś wspólnego z tym, że Atlas został adoptowany. Czy Avery martwiła się, że ze względu na swoje pochodzenie Atlas jest bardziej wrażliwy, a przez to czuła, że powinna go

chronić?

– Naprawdę? – Leda starała się zapanować nad swoim głosem. – Udało ci się go namierzyć?

– Słyszałam w tle mnóstwo głośnych rozmów. Pewnie był w jakimś barze. – Avery wzruszyła ramionami. – Wiesz, jaki jest Atlas.

„Nie, prawdę mówiąc, nie wiem”, pomyślała Leda. Może gdyby potrafiła zrozumieć Atlasa, mogłaby dojść jakoś do ładu ze swoimi mieszanymi uczuciami. Uścisnęła tylko przyjaciółce ramię.

– W każdym razie – podjęła wątek Avery z wymuszoną wesołością – niedługo ma wrócić do domu, gdy tylko będzie gotowy. Prawda? – spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

Leda przyglądała jej się przez chwilę, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo Avery przypomina jej Atlasa. Nie byli ze sobą spokrewnieni, a jednak oboje mieli w oczach tę samą rozżarzoną do białości intensywność. Gdy poświęcali komuś całą swoją uwagę, człowiek miał wrażenie, jakby patrzył prosto w słońce.

Leda z zakłopotaniem przestąpiła z nogi na nogę.

– Oczywiście – przytaknęła. – Atlas niedługo wróci.

Modliła się, żeby to nie była prawda, a zarazem żywiła cichą nadzieję, że Atlas rzeczywiście powróci.

RYLIN

Nazajutrz wieczorem Rylin Myers stała pod drzwiami swojego mieszkania i próbowała przesunąć pierścieniem identyfikacyjnym przez skaner, balansując jednocześnie torbą pełną zakupów w jednej ręce i wypitym do połowy napojem energetycznym w drugiej. „Oczywiście – myślała sobie, kopiąc zawzięcie w drzwi – nie byłoby problemu, gdybyśmy mieli skaner siatkówki oka albo te szpanerskie komputerowe szkła kontaktowe, które noszą wszyscy z wyższych pięter”. Jednak tutaj, na 32 piętrze, gdzie mieszkała Rylin, nikt nie mógł sobie pozwolić na takie bajery.

Gdy przymierzała się już do kolejnego kopniaka, drzwi nagle się otworzyły.

– Wreszcie – mruknęła Rylin, przeciskając się obok swojej czternastoletniej siostry.

– Gdybyś w końcu naprawiła swój pierścień identyfikacyjny, jak ci mówiłam, nie musiałabyś czekać, aż otworzę – powiedziała Chrissa. – Ciekawe tylko, jak byś się tłumaczyła: „Przepraszam, panowie oficerowie, ale używałam pierścienia do otwierania butelek piwa i nagle przestał działać”.

Rylin zignorowała jej komentarz. Upiła duży łyk napoju, cisnęła torbę z zakupami na ladę i rzuciła siostrze pudełko risotto z warzywami.

– Możesz wypakować zakupy? Jestem spóźniona. – Ifty, czyli wewnętrzpiętrowy system transportowy, znów miał awarię i musiała iść piechotą całe dwadzieścia przecznic od przystanku windy

aż do mieszkania.

– Wychodzisz dziś wieczorem? – Chrissa przewróciła oczami. Po ich mamie, Rose, odziedziczyła miękkie koreańskie rysy twarzy, delikatny nos i wysokie łuki brwiowe, tymczasem Rylin przypominała bardziej obdarzonego kwadratową szczęką tatę. Obie jednak miały jasnozielone oczy mamy, które jarzyły się na tle ich jasnej cery niczym kamienie berylu.

– No chyba. Przecież jest sobota – odparła Rylin, celowo ignorując ukryty sens pytania siostry. Nie chciała rozmawiać o tym, co wydarzyło się dokładnie rok temu, kiedy zmarła mama, a cały ich świat się rozpadł. Nigdy nie zapomni, jak tamtego wieczoru, kiedy obie z Chrissą obejmowały się zapłakane, pracownicy opieki społecznej weszli do domu, aby opowiedzieć im o systemie rodzin zastępczych.

Rylin słuchała ich przez chwilę, podczas gdy Chrissa odwróciła głowę, wtuliła się w jej ramię i dalej szlochała. Jej siostra była mądra, naprawdę mądra, a poza tym na tyle dobrze grała w siatkówkę, że miała spore szanse na stypendium sportowe w którymś college’u. Ale Rylin słyszała wystarczająco wiele o rodzinach zastępczych i wiedziała, co to może dla nich oznaczać. Zwłaszcza dla Chrissy.

Była gotowa zrobić wszystko, byle tylko mogły zostać razem z siostrą, bez względu na to, ile miałyby ją to kosztować.

Następnego dnia Rylin udała się do najbliższego sądu rodzinnego i zadeklarowała, że osiągnęła już pełnoletniość, może więc rozpocząć pracę na pełen etat na stacji kolejki. Jaki miała wybór? Ledwie wiązały koniec z końcem: Rylin otrzymała od właściciela mieszkania kolejne upomnienie, zawsze zalegały co najmniej miesiąc z czynszem. A na zapłacenie czekały jeszcze rachunki za pobyt mamy w szpitalu. Rylin próbowała je spłacić przez miniony rok, ale przy obecnej stopie procentowej ich dług wciąż tylko rósł. Czasami Rylin miała wrażenie, że już nigdy się od niego nie uwolni.

Tak wyglądało teraz ich życie i nic nie zapowiadało, żeby w najbliższym czasie coś miało się zmienić.

– Rylin, proszę?

– Już jestem spóźniona – odparła Rylin, wycofując się do swojej odgradzonej części ciasnej sypialni. Myślała o tym, co na siebie włożyć, o tym, że przez najbliższe trzydzieści sześć godzinnie musi iść do tej okropnej pracy, myślała o wszystkim, tylko nie o pełnym wyrzutu spojrzeniu w zielonych oczach jej siostry, które tak bardzo przypominały jej oczy mamy.

Rylin i jej chłopak Hiral zbiegli z tupotem po schodach wyjścia numer 12.

– Tam są wszyscy – wymamrotała Rylin, osłaniając oczy przed słońcem. Znajomi czekali w tradycyjnym miejscu ich spotkań, na rozgrzanej metalowej ławce na skrzyżowaniu 127 Ulicy i Morningside.

Rylin zerknęła na Hirala.

– Na pewno nie masz niczego przy sobie? – zapytała raz jeszcze. Nie była zachwycona tym, że jej

chłopak zaczął handlować prochami, z początku tylko wśród przyjaciół, a później na większą skalę, jednak miała za sobą ciężki tydzień i wciąż była podenerwowana po rozmowie z Chrissą. Naprawdę przydałaby się jej działka, na przykład relaksanta albo halucynogena, czegokolwiek, co tylko uciszyłoby myśli, które nieustannie krążyły jej po głowie.

– Przykro mi – odparł Hiral. – Pozbyłem się w tym tygodniu całego towaru. – Spojrzał na Rylin. – Wszystko w porządku?

Rylin nie odpowiadała. Hiral wziął ją za rękę, a ona nie protestowała. Dłonie miał szorstkie od pracy, a pod paznokciami widać było czarne łuczki brudu. W zeszłym roku Hiral rzucił szkołę, żeby pracować jako lifciarz, czyli naprawiać kursujące wewnątrz Wieży ogromne windy. Całe dni spędzał teraz zawieszony kilkaset metrów nad ziemią niczym człowiek pająk.

– Ry! – zawołała jej najlepsza przyjaciółka Lux, podbiegając bliżej. Włosy z wystrzępioną grzywką zafarbowała w tym tygodniu na popielaty blond. – Jednak przysłaś! Martwiłam się, że już się nie zjawisz.

– Wybacz. Coś mi wypadło – przeprosiła Rylin.

Andrés parsknął.

– Musiałaś zaliczyć małe zbliżenie przed koncertem? – spytał i wykonał rękami ordynarny gest.

Lux przewróciła oczami i przytuliła Rylin.

– Jak się trzymasz? – wyszeptała.

– Dobrze. – Rylin nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Czuła coś w rodzaju wdzięczności wobec Lux za to, że pamiętała, jaki to dzień. Wdzięczność mieszała się jednak z irytacją, że przyjaciółka musiała jej o tym przypomnieć. Nagle Rylin przyłapała się na tym, że bawi się starym naszyjnikiem mamy, i szybko go puściła. Czy nie wyszła właśnie po to, żeby nie musieć o niej myśleć?

Potrząsnęła głową i obrzuciła spojrzeniem resztę ekipy. Andrés opierał się o ławkę i pomimo straszego upału miał na sobie skózaną kurtkę. Obok niego stał Hiral, a jego ciemnobrązowa skóra błyszczała w zachodzącym słońcu. Na przeciwnym końcu ławki siedziała Indigo, ubrana w koszulę, która od biedy mogła uchodzić za wyjątkowo krótką sukienkę, oraz w niebotycznie wysokie kozaki.

– A gdzie V? – spytała Rylin.

– Załatwia nam rozweselacze. Chyba że dzisiaj to ty planowałaś coś przynieść? – spytała z sarkazmem Indigo.

– Dzięki, ale ja zażywam tylko dla towarzystwa – odparła Rylin. Indigo wzniosła oczy do nieba, po czym wróciła do wysyłania wiadomości na tablecie.

Rylin stosowała mnóstwo niedozwolonych narkotyków – jak wszyscy – ale postawiła wyraźną granicę pomiędzy używaniem a handlowaniem. Nikt nie przejmował się zbytnio kilkoma palącymi dzieciakami, ale wobec dealerów władze były znacznie surowsze. Gdyby Rylin wylądowała

w więzieniu, Chrissa trafiłaby prosto do rodziny zastępczej.

Andrés podniósł głowę znad tabletu.

– V spotka się z nami na miejscu – oznajmił. – Chodźmy.

Gorący wiatr miotał porzuconymi na chodniku śmieciami. Rylin przestąpiła nad nimi i wzięła głęboki, uspokajający oddech. Wprawdzie było tu gorąco, ale przynajmniej nie musiała oddychać przetworzonym, ciężkim od tlenu powietrzem Wieży.

Po drugiej stronie ulicy Hiral ukląkł już przy ścianie Wieży, wsunął ostrze noża pod krawędź metalowego panelu, po czym go odsunął.

– Droga wolna – mruknął.

Gdy Rylin wchodziła w powstałe przejście, ich dłonie zetknęły się na moment, a ona i Hiral popatrzyli na siebie, po czym Rylin wkroczyła do Stalowego Lasu.

Dźwięki ulicy natychmiast umilkły, zastąpione przez cichy szmer głosów i śmiechów odurzonych narkotykami imprezowiczów oraz świst zasysanego z dołu Wieży powietrza. Znajdowali się w podziemiach pod pierwszym piętrzem, w dziwnym, ciemnym świecie pełnym rur i stalowych filarów. Rylin i Lux szły ostrożnie pograżonymi w mroku korytarzami, pozdrawiając skinieniem głowy mijane grupki. Jedna z ekip stała zgromadzona wokół przyćmionego różowego blasku dopalniczki. Inna grupa na wpół rozebranych osób leżała na stercie poduszek, wyraźnie przygotowując się do rozpoczęcia oxytosowej orgii. Rylin zobaczyła przed sobą charakterystyczny blask maszynowni i nieco przyśpieszyła kroku.

– Możecie tam wszyscy wejść i od razu mi podziękować – z ciemności rozległ się jakiś głos i Rylin nieomal podskoczyła.

V nie był tak wysoki jak Andrés, ale ważył co najmniej dwadzieścia kilo więcej i składał się z samych mięśni. Szerokie barki i ramiona w całości miał pokryte inktatami, które kłębiły się chaotycznie na jego ciele: tworzyły rozmaite kształty, rozłączały się i na powrót formowały w innych miejscach. Rylin skrzywiła się na samą myśl o tym, że miałyby aż do tego stopnia się wytatuować.

– No dobra, ludzie. – V sięgnął do torby i wyjął z niej stos błyszczących złotych plasterków wielkości paznokcia. – Kto ma ochotę na komunale?

– Jasna cholera! – wykrzyknęła ze śmiechem Lux. – Jak udało ci się je zdobyć?

– Zajebicie! – Hiral przybił piątkę z Andrésem.

– Serio? – Rylin próbowała przebić się przez ogólną radość. Nie przepadała za komunalami. Wywoływały grupowy, wspólny odlot, co wydawało jej się mocno inwazyjne, niczym uprawianie seksu z bandą nieznajomych. Najgorsze w tym było to, że nie mogła kontrolować swojego stanu i musiała całkowicie oddać się w ręce innych ludzi. – Wydawało mi się, że mamy dziś palić – dodała. Przyniosła nawet ze sobą dopalniczkę, małą, kompaktową fifikę, której można było używać niemal do

wszystkiego: darklajtów, krispów i oczywiście ziółek halucynogennych, do których palenia została zaprojektowana.

– Boisz się, Myers? – rzucił zaczepnie V.

– Wcale się nie boję. – Rylin wyprostowała się i zmierzyła V wzrokiem. – Miałam po prostu ochotę na coś innego.

Jej tablet zawibrował na znak, że nadeszła nowa wiadomość. Rylin zerknęła w dół. „Zrobiłam jabłka zapiekane w cieście według przepisu mamy – napisała Chrissa. – W razie gdybyś chciała jednak wrócić do domu!”

V przyglądał się jej wyzywająco.

– A co mi tam – mruknęła pod nosem Rylin. – Do cholery, czemu nie? – Wzięła z ręki V jeden plasterek i przykleiła go po wewnętrznej stronie ramienia, zaraz nad łokciem, gdzie tuż pod skórą biegła żyła.

– Tak właśnie myślałem – powiedział V, gdy pozostali z niecierpliwością zaczęli sięgać po plasterki.

Weszli do środka maszynowni i nagle Rylin przestała słyszeć cokolwiek poza elektroniczną muzyką, która zaatakowała wściekle jej czaszkę, zagłuszając wszelkie myśli. Lux chwyciła ją za rękę i zaczęła histerycznie podskakiwać, wykrzykując coś niezrozumiałego.

– Kto jest gotowy na zabawę?! – zawołał DJ stojący na zbiorniku z chłodziwem. Wzmacniacz niósł jego głos po całym pomieszczeniu. Duszna i pełna ludzi maszynownia wybuchła krzykami w odpowiedzi. – W porządku – kontynuował DJ. – Jeśli macie ze sobą złotka, naklejcie je teraz. Jestem DJ Lowy i zaraz zabiorę was na najbardziej szaloną przejażdżkę w waszym życiu. – W przyćmionym świetle zamigotało nagle całe morze złotych komunali. Rylin rozumiała, że prawie wszyscy mieli na sobie plasterki. Będzie ostro.

– Trzy! – wykrzyknął Lowy, zaczynając odliczanie. Lux zaśmiała się podekscytowana i podskoczyła na palcach, usiłując rozejrzeć się ponad tłumem. Rylin zerknęła na V: jego inktaty kłębiły się jeszcze gwałtowniej niż zwykle, zwłaszcza wokół przyklejonego plasterka, jak gdyby jego ciało przeczuwało, co się zaraz wydarzy.

– Dwa! – Większość tłumu przyłączyła się do odliczania. Hiral stanął za plecami Rylin, objął ją ramionami w talii i oparł brodę o czubek jej głowy. Rylin wsparła się na nim i przymknęła oczy, szykując się na aktywację komunali.

– Jeden! – Wrzask odbił się echem od ścian. Lowy sięgnął po unoszący się przed nim tablet i puścił elektromagnetyczny impuls nastawiony na częstotliwość komunali. W tej samej chwili plasterki uwolniły do krwiobiegu wszystkich, którzy je nosili, fale stymulantów. Nastąpił jedyny w swoim rodzaju zsynchronizowany odlot.

Muzyka ryknęła jeszcze głośniejsze i Rylin wyrzuciła rękę w powietrze, przyłączając się do

ogłuszającego i, wydawałoby się, niemającego końca wrzasku. Czuła już, jak narkotyk przejmuje władzę nad jej organizmem. Świat zlał się w jedno z muzyką, wszystko dookoła – błyski świateł nad głową, oddech Rylin, jej puls i puls wszystkich innych – idealnie zharmonizowało się z głębokim, jednostajnym dudnieniem basów.

– Czy to nie cudowne? – Rylin wyczytała z ust Lux, ale nie była tego do końca pewna. Powoli zaczynała tracić kontrolę nad swoim umysłem. Nie liczyły się już Chrissa ani jej wiadomości, nie liczyli się już dla niej praca ani jej szef palant. Nie liczyło się nic poza tą chwilą. Czuła się niezwycięzona, nietykalna, jakby miała już taka pozostać na zawsze: młoda, roztańczona, naładowana energią i żywa.

Światła. Ktoś podał jej piersiówkę z czymś mocnym. Upiła łyk, nie wiedząc nawet, co to takiego. Poczowała dotyk na biodrach – pomyślała, że to Hiral i przyciągnęła zapraszająco jego dłonie. Ale wtedy zobaczyła, jak Hiral podskakuje z Andrésem kilka metrów dalej, wyrzucając w górę pięści. Obróciła się i ujrzała twarz V wyłaniającą się z ciemności. Trzymał w dłoni kolejny złoty plasterek i wpatrywał się w nią znacząco. Rylin potrząsnęła głową. Nie wiedziała nawet, jak zapłaci mu za poprzedni.

Ale V już odklejał zabezpieczenie z tyłu plasterka.

– Ja stawiam – szepnął, jakby czytał Rylin w myślach. A może faktycznie wypowiedziała na głos swoją wątpliwość? V odgarnął jej włosy z karku. – Zdradzę ci pewien sekret: im bliżej mózgu go przykleisz, tym szybciej dostajesz kopa.

Rylin, oszołomiona, przymknęła oczy, gdy porwała ją druga fala narkotyku. To był ostry jak brzytwa strzał, który sprawił, że wszystkie jej nerwy naraz zapłonęły. Tańczyła, a jednocześnie miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu. Nagle poczuła wibrowanie w przedniej kieszeni spodni. Zignorowała je i skakała dalej, ale wibrowanie się powtórzyło, ściągając ją z powrotem do ciasnego, fizycznego ciała. Po chwili udało jej się wyciągnąć tablet.

– Halo? – rzuciła zdyszczym głosem Rylin. Jej oddech był nieregularny i nie synchronizował się już z muzyką.

– Rylin Myers?

– Co do...? Kto, do cholery, mówi? – Rylin nie mogła nic usłyszeć. Otaczający tłum wciąż kołysał nią w przód i w tył.

Nastąpiła chwila milczenia, jakby jej rozmówca nie mógł uwierzyć, że ktoś w ogóle zadał mu takie pytanie.

– Cord Anderton – odparł wreszcie, a Rylin zamrugała z niedowierzania. Jej mama, zanim się rozchorowała, pracowała u Andertonów jako służąca. Jak przez mgłę Rylin uświadomiła sobie, że faktycznie rozpoznaje ten głos, słyszała go kilka razy, kiedy była z mamą w ich mieszkaniu na górze. Ale czemu, u diabła, Cord Anderton miałby do niej dzwonić?

– To jak, możesz przyjść pomóc przy mojej imprezie?

– Ja nie... O czym ty mówisz?! – Rylin usiłowała przekrzyczeć muzykę, ale to, co wydobyło się z jej gardła, przypominało bardziej chrypienie.

– Wysłałem ci wiadomość. Urządzam dzisiaj imprezę – mówił szybkim, zniecierpliwionym głosem. – Potrzebuję kogoś, kto pomógłby ludziom z firmy cateringowej, posprzątał, zajął się tym wszystkim, co zwykle robiła twoja mama. – Rylin wzdrygnęła się na wzmiankę o mamie, ale on oczywiście nie mógł tego widzieć. – Osoba, która zwykle mi pomagała, w ostatniej chwili wystawiła mnie do wiatru i wtedy przypomniałem sobie o tobie. Bierzesz tę robotę czy nie?

Rylin otarła z czoła kroplę potu. Za kogo miał się Cord Anderton, żeby wzywać ją w sobotni wieczór? Rylin już otworzyła usta, żeby powiedzieć temu bogatemu, zadufanemu dupkowi, żeby wepchnął sobie tę swoją robotę prosto w...

– Zapomniałbym – dodał Cord. – Płacę dwieście nanosów.

Rylin natychmiast zdusiła w sobie cisnące się na usta słowa. Dwieście nanodolarów za jedną noc znoszenia kaprysów bogatych pijanych dzieciaków?

– Jak szybko mam się zjawić?

– Powinnaś być tu pół godziny temu.

– Już lecę – odparła. Wszystko wokół niej wciąż wirowało. – Tylko...

– Świetnie. – Rozłączył się.

Niemal herkulesowym wysiłkiem Rylin odkleiła z ramienia jeden plasterek, a potem z grymasem bólu zdarła drugi z karku. Rozejrzała się w poszukiwaniu reszty znajomych: Hiral tańczył zupełnie niczego nieświadomy, Lux praktycznie cała oblepiała jakiegoś nieznanego i wpychała mu język do gardła, a Indigo siedziała na ramionach Andrésa. Rylin odwróciła się do wyjścia. V wciąż ją obserwował, ale ona nawet się nie pożegnała. Wyszła po prostu w upalną, parną noc, a na ziemię powoli sfrunęły za nią dwa złote plasterki.

ERIS

Eris Dodd-Radson ukryła głowę jeszcze głębiej w puchatej poduszce, wściekła na nieustanne dzwonienie, które rozbrzmiewało w tkwiących w jej uszach iTenach.

– Jeszcze pięć minut – wymamrotała. Ale dzwonienie nie ustawało. – Powiedziałam: drzemka! – burknęła. Nagle zdała sobie sprawę, że to wcale nie jest dźwięk budzika, lecz sygnał Avery, który Eris ustawiła kiedyś na cały regulator, tak żeby wyrwał ją nawet z najgłębszego snu. – Akceptuj połączenie – mruknęła zaspanym głosem.

– Jesteś już w drodze? – głos Avery, która próbowała przebić się przez hałas przyjęcia, zabrzmiał w jej uszach wyjątkowo głośno. Eris zerknęła na jasnoróżowe cyfry zegara, które wyświetlały się w lewym dolnym rogu jej pola widzenia. Impreza u Corda zaczęła się pół godziny temu, a ona wciąż

leżała w łóżku i nie miała nawet pojęcia, co na siebie włożyć.

– No pewnie – odparła, choć była ledwie w połowie drogi do garderoby, przedzierając się przez porzucone na ziemi ubrania i stertę poduszek, a przy okazji próbując ściągnąć z siebie obszerny T-shirt. – Ja tylko... aua! – zawyła, uderzywszy się w palec u nogi.

– O Boże, ty jeszcze nie wyszłaś z domu – rzuciła oskarżycielskim tonem Avery, lecz zaraz się roześmiała. – Co się stało? Znów ucięłaś sobie drzemkę i zasnęłaś?

– Po prostu lubię, jak wszyscy na mnie czekają, bo potem bardziej się cieszą na mój widok – odparła Eris.

– A mówiąc „wszyscy”, masz na myśli Corda.

– Nie, mam na myśli wszystkich, a zwłaszcza ciebie, Avery – odcięła się Eris. – Tylko nie szalej za bardzo beze mnie, dobra?

– Obiecuję. Fliknij do mnie, gdy już wyjdiesz – powiedziała Avery i zakończyła połączenie.

To wszystko wina taty, uznała Eris. Za kilka tygodni przypadały jej osiemnaste urodziny i musiała dziś odwiedzić rodzinnego adwokata, żeby założyć dla siebie fundusz powierniczy. Całe to podpisywanie niezliczonych dokumentów w obecności świadka oraz badanie DNA i testy na obecność narkotyków były potwornie nudne. Nie rozumiała nawet do końca tego wszystkiego, wiedziała tylko, że jeśli podpisze to, co jej każą, pewnego dnia stanie się bogata.

Tata Eris pochodził ze starego, zamożnego rodu – jego rodzina wynalazła technologię odpychania magnetycznego, dzięki której wszystkie hovery mogły unosić się nad ziemią. Do tej ogromnej fortuny Everett dorzucił jeszcze co nieco, zostając najlepszym na świecie chirurgiem plastycznym. Jedyne pomyłki, jakie popełnił w życiu, to dwa nieudane małżeństwa, które zakończyły się kosztownymi rozwodami, zanim w końcu poznał matkę Eris. On miał wtedy czterdzieści lat, ona zaś była dwudziestopięcioletnią modelką. Ojciec nigdy nie opowiadał o poprzednich żonach, a skoro nie miał z nimi dzieci, Eris też o nie nigdy nie pytała. Szczerze mówiąc, niespecjalnie lubiła o tym myśleć.

Gdy weszła do garderoby, narysowała palcem koło na lustrzanej ścianie, która nagle zamieniła się w ekran dotykowy. Wyświetliła się na nim cała zawartość szafy. Każdego roku Cord urządzał bal kostiumowy z okazji rozpoczęcia szkoły i każdego roku trwała zażarta, choć nieoficjalna rywalizacja o najlepszy kostium. Eris westchnęła i zaczęła przeglądać rozmaite stylizacje: złota sukienka w stylu szalonych lat dwudziestych, kaptur ze sztucznego futra, który dostała od mamy, i seksowna różowa sukienka z cekinami z ostatniego Halloween. Ale nic nie wydawało jej się odpowiednie.

„Chrzanić to”, postanowiła. Po co w ogóle próbowała znaleźć jakiegokolwiek przebranie? Czy nie będzie się bardziej wyróżniać, jeśli nie włoży kostiumu?

– Czarny top Alicia – wydała polecenie i po chwili metalowy rękaw u dołu garderoby wypłuł czarny top. Eris naciągnęła go na koronkowy biustonosz i wskoczyła w swoje ulubione zamszowe spodnie,

w których jej tyłek wyglądał wprost fantastycznie. Zapięła na łokciach srebrne bransoletki i jednym szarpnięciem rozpuściła związane w kucyk włosy, które spłynęły na jej ramiona rudozłotą falą.

Przygryzła wargi, usiadła przy toalecie i położyła ręce na dwóch elektropulserach do układania włosów.

– Proste – rozkazała i przymknęła oczy, szykując się do zabiegu.

Urządzenie ożyło, a po Eris przebiegła fala elektryczności: pojedynczy dreszcz wędrujący od dłoni, w górę ramion, aż do czaszki. Dziewczyny w szkole zawsze narzekały na elektropulsery, ale Eris w głębi ducha lubiła to gorące i czyste uczucie graniczące z bólem, które sprawiało, że wszystkie jej nerwy stawały w płomieniach. Gdy podniosła wzrok, włosy opadały prosto wokół jej twarzy. Stuknęła w ekran toaletki, przymknęła oczy i poczuła na skórze delikatną mgiełkę rozpylanego makijażu. Znów spojrzała w lustro i zobaczyła, że kredka do oczu wydobyla dziwne, frapujące bursztynowe plamki w tęczęwkach, róż zaś złagodził nieco kości policzkowe, podkreślając zarazem drobne piegi na nosie. Jednak wciąż czegoś jej brakowało.

Zanim zdążyła się zastanowić, co robi, Eris znalazła się już w pokoju rodziców i w ciemności próbowała odszukać drogę do garderoby mamy. Wyczuła dłońmi sejf na biżuterię i wstukała kod, którego domyśliła się jeszcze w wieku dziesięciu lat. W środku obok różnokolorowych kamieni szlachetnych oraz grubego sznura czarnych pereł leżały kolczyki mamy z witrażowego szkła. Były zrobione nie z fleksiglasu, ale z rzadko spotykanego, staroświeckiego szkła, które naprawdę mogło się rozbić lub pęknąć.

Kolczyki były potwornie drogie, zostały ręcznie zrobione z szyby pochodzącej z okna starego kościoła. Tata kupił je mamie na aukcji jako prezent z okazji dwudziestej rocznicy ślubu. Nie zważając na wyrzuty sumienia, Eris sięgnęła po kolczyki i wkręciła delikatne szklane kropelki w uszy.

Była już prawie przy frontowych drzwiach, gdy tata zawołał z salonu:

– Eris? Gdzie się wybierasz?

– Cześć, tato. – Eris odwróciła się, stojąc przy tym jedną nogą w korytarzu, aby w razie czego móc szybko wyjść.

Tata siedział w swoim ulubionym kącie brązowej skórzanej kanapy i czytał coś na tablecie, pewnie jakieś czasopismo medyczne albo kartotekę któregoś z pacjentów. Gęste włosy miał niemal całkowicie siwe, a jego oczy otaczała siatka zmarszczek, których za nic jednak nie chciał operacyjnie usunąć, jak to zrobiła większość rodziców znajomych Eris. Twierdził, że te zmarszczki wzbudzają ufność u jego pacjentów. Eris, choć nie mówiła tego wprost, uważała, że to super sprawa, że jej tata chce się starzeć w naturalny sposób.

– Idę na imprezę do znajomego – wyjaśniła. Tata spojrzał na jej strój i Eris o sekundę za późno zdała sobie sprawę, że nie zamaskowała kolczyków. Dyskretnie starała się teraz zakryć je włosami, ale Everett

już je zobaczył i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Eris, nie możesz ich założyć – oznajmił z lekkim rozbawieniem. – To najdroższa rzecz w całym tym mieszkaniu.

– To przesada i dobrze o tym wiesz. – Mama Eris wyłoniła się z kuchni w szkarłatnej wieczorowej sukni i z włosami upiętymi na szczycie głowy w kaskadę loków. – Cześć, skarbie – Caroline Dodd zwróciła się do córki. – Masz ochotę na trochę bąbelków przed wyjściem? Miałam właśnie otworzyć butelkę różowego Montès, którego tak lubisz.

– Tego z winnicy, przy której pływaliśmy w basenie?

– Chciałaś powiedzieć: tam, gdzie była tabliczka „Basen zamknięty”. – Tata uniósł kąciki ust w delikatnym uśmiechu. To była wyjątkowo zwariowana rodzinna wycieczka. Rodzice pozwolili Eris napić się wina do obiadu, a poza tym było wtedy tak gorąco, że Eris i mama przez cały czas wachlowały się serwetkami, aż w końcu, chichocząc, zakradli się w trójkę do zagrodzonego hotelowego basenu i wskoczyli do niego w ubraniach.

– Nigdy nie widzieliśmy tego zakazu! – zaprotestowała ze śmiechem Caroline i otworzyła butelkę. Wystrzał korka poniósł się echem po mieszkaniu. Eris wzruszyła ramionami i wzięła kieliszek z wyciągniętej ręki mamy. W końcu to jej ulubiony szampan.

– Do kogo idziesz na imprezę? – spytała Caroline.

– Do Corda. I już jestem spóźniona... – Eris wciąż nie powiedziała mamie o sobie i o Cordzie. Dzieliła się z nią niemal wszystkim, ale nigdy nie opowiadała jej o swoich chłopakach.

– Zdaje się, że niewielkie spóźnienie jest teraz w modzie – wtrącił tata. – Będiesz tylko minutę więcej spóźniona, lecz wcale nie mniej modna, jeśli tylko odłożysz z powrotem te kolczyki.

– Och, daj spokój, Everett. Co złego może im się stać?

Tata potrząsnął tylko głową w geście rezygnacji. Eris wiedziała, że tak będzie.

– No dobrze, Caroline. Jeśli tobie to nie przeszkadza, Eris może w nich iść.

– Znowu zostałeś przegłosowany – rzuciła córka i posłała tacie znaczący uśmiech. Everett zawsze żartował, że ma najmniejszą władzę spośród wszystkich członków rodziny i nie ma szans w konfrontacji z dwoma wyjątkowo pewnymi siebie kobietami.

– Jak zwykle – zaśmiał się.

– Jak mogłabym ci odmówić, skoro wyglądasz w nich tak cudownie? – Caroline położyła dłonie na ramionach Eris i obróciła ją twarzą do wiszącego na ścianie ogromnego, zabytkowego lustra.

Eris wyglądała jak młodsza wersja mamy. Jedyne drobne różnice, poza wiekiem, były nieznaczne modyfikacje, jakie tata zgodził się wprowadzić wiosną tego roku: nic wielkiego, tylko wszczępienie do oczu kilku złotych plamek i dodanie za pomocą lasera paru piegów na twarzy. Tak naprawdę nic więcej nie trzeba było przy niej robić. Córka miała całkiem ładne naturalne rysy, pełne usta

i uroczy, zadarty do góry nos, a także piękne włosy, które tworzyły lśniący gąszcz mieniący się barwami miedzi, miodu, truskawek i wschodzącego słońca. Włosy były największym atutem Eris, choć w zasadzie wszystko było w niej piękne, z czego zresztą doskonale zdawała sobie sprawę.

Odrzuciła głowę do tyłu niecierpliwym ruchem i kolczyki zakołysały się, odbijając całą paletę niezwykłych odcieni jej włosów, jakby były podświetlone od środka.

– Baw się dobrze – zwróciła się do niej mama. Eris uchwyciła jej wzrok w lustrze i uśmiechnęła się.

– Dzięki. Dobrze się nimi zaopiekuję. – Wskazała na kolczyki. Dopiła szampana i odstawiała kieliszek na stół. – Kocham was – powiedziała do rodziców, zmierzając w stronę drzwi. Kolczyki lśniły na tle jej włosów niczym bliźniacze gwiazdy.

Jadąca w dół winda linii C zatrzymała się dokładnie w chwili, gdy na stację weszła Eris. Dziewczyna uznała to za dobry znak. Może działa się tak dlatego, że nosiła imię greckiej bogini, ale Eris zawsze przypisywała prorocze znaczenie nawet najdrobniejszym sprawom. W zeszłym roku na oknie w jej pokoju pojawiła się smuga przypominająca kształtem serce. Nigdy nie zgłosiła tego firmie sprzątającej, więc smuga znajdowała się tam przez kilka tygodni, aż w końcu pewnego dnia zmył ją deszcz. Eris lubiła sobie jednak wyobrażać, że to przyniosło jej szczęście.

Eris weszła wraz z tłumem do środka, stopniowo przesuwając się ku ścianie. Normalnie wezwałaby hovera, ale była już spóźniona, a winda jechała szybciej. Poza tym wagonik linii C z przezroczystymi szklanymi taflami należał do jej ulubionych. Uwielbiała patrzeć, jak mknie przez kolejne piętra, jak światła migają naprzemiennie z oddzielającymi każdy poziom elementami ciężkich metalowych konstrukcji, a tłumy zgromadzone przy połączeniach lokalnych linii rozmazują się w jednolity strumień barw.

Zaledwie kilka sekund później winda się zatrzymała. Eris precyzyjnie przeszła przez czekające na pasażerów hovery i kioskboty z wiadomościami przy stacji kolejki ekspresowej i skręciła w główną aleję. Cord, podobnie jak ona, mieszkał w drogiej północnej części Wieży, skąd rozciągała się panorama niezakłócona budynkami śródmieścia oraz Bezmieścia. Jego piętro było nieco większe – Wieża zwężała się ku górze i kończyła się apartamentem Avery, jedynym, jaki mieścił się na ostatnim piętrze – i choć Eris mieszkała tylko szesnaście pięter niżej, to dostrzegała różnicę. Ulice były tu tak samo szerokie, okalały je wąskie pasy trawy oraz prawdziwe drzewa podlewane przez rozmieszczone dyskretnie zraszacze. Wiszące nad głowami lampy solarne były nieco przyćmione, tak aby imitowały prawdziwe słońce, widoczne tylko z apartamentów z oknami wychodzącymi na zewnątrz Wieży. Ale panująca tu energia wydawała się odrobinę inna, jak gdyby głębsza i bardziej rozwibrowana. Może było to związane z pasażem handlowym, który ciągnął się wzdłuż środka alei, nawet jeśli składał się wyłącznie z jednej kawiarni i przymierzalni Brooks Brothers.

Eris dotarła do ulicy Corda: był to w zasadzie ocieniony ślepy zaułek, zakończony schodami prowadzącymi do drzwi domu Andertonów. Nikt inny tutaj nie mieszkał. Na drzwiach wejściowych widniało ogromne 1A, jakby ktokolwiek potrzebował przypomnienia, do kogo należy ten dom. Podobnie jak reszta znajomych Eris zastanawiała się, dlaczego Cord mieszka tu nadal po tym, jak umarli jego rodzice, a starszy brat Brice się wyprowadził. Po co jednej osobie aż tyle przestrzeni?

Mieszkanie było wypełnione po brzegi ludźmi i pomimo systemu wentylacyjnego robiło się w nim coraz cieplej. Eris zobaczyła Maxtona Felda w zamkniętej szklarni, który próbował przeprogramować system nawadniający, tak aby ze zraszaczy leciało piwo. Zatrzymała się na chwilę w jadalni, gdzie ktoś ustawił stół na unoszących się podkładkach pod szklanki, żeby zagrać na nim w latającego ponga, ale tutaj także nie dostrzegła charakterystycznej ciemnej czupryny Corda. W kuchni nie było nikogo oprócz dziewczyny z ciemnym kucykiem, ubranej w obcisłe dżinsy, której Eris nie kojarzyła. Przez moment zastanawiała się, kto to jest, gdy tymczasem nieznajoma zaczęła zbierać naczynia. A więc Cord miał nową służącą, i to w dodatku taką, która już nawet nie nosiła mundurka. Eris wciąż nie potrafiła zrozumieć, po co Cordowi służąca, skoro zatrudniali je już tylko tacy staroświeccy ludzie jak Fullerowie czy babcia Eris. Wszyscy inni kupowali po prostu boty sprzątające i uruchamiali je, gdy trzeba było coś posprzątać. Ale może właśnie o to chodziło: by płacić człowiekowi i by całe otoczenie nie zostało zautomatyzowane.

„A ty za co się niby przebrałaś? Za kogoś, kto jest tak odjazdowy, że już nie potrzebuje kostiumu? A może za Śpiącą Królową?”, fliknęła jej Avery.

„Raczej za kogoś, kto zawsze potrafi znaleźć się w centrum uwagi”, odpowiedziała jej Eris i z uśmiechem rozejrzała się po pokoju.

Avery stała przy oknach w salonie, była ubrana w prostą, białą, luźną sukienkę, do tego miała parę holoskrzydeł i unoszącą się nad głową aureolę. Na każdej innej osobie wyglądałoby to jak kiepski, zrobiony w ostatniej chwili kostium anioła, lecz Avery była oczywiście zjawiskowa. Obok niej stały Leda w jakimś białym pierzastym stroju oraz Ming, która miała na sobie idiotyczny kostium diabła. Pewnie usłyszała, że Avery przebiera się za anioła, i chciała, żeby wyglądało, jakby tworzyły parę. Żalotne. Eris nie miała ochoty rozmawiać z żadną z dziewczyn, więc fliknęła tylko Avery, że zaraz wróci, i dalej szukała Corda.

Zaczęli kręcić z Cordem w wakacje, kiedy oboje utknęli w mieście. Z początku Eris czuła się trochę przybita: wszyscy wyjeżdżali do Europy albo do Hamptons, albo na plażę w Maine, a ona tymczasem ugrzęzła w mieście, żeby odbyć staż w gabinecie lekarskim taty. Ojciec uparł się przy tym w zamian za operacje plastyczne, które zrobił jej na wiosnę.

– Potrzebujesz jakiegoś doświadczenia zawodowego – oznajmił stanowczo.

Tak jakby Eris zamierzała przepracować choćby jeden dzień w swoim życiu. Pomimo to przystała na

jego układ. Tak bardzo zależało jej na tych operacjach.

Nudziła się dokładnie tak, jak się tego spodziewała, aż pewnego wieczora wpadła w Lightning Lounge na Corda. Od słowa do słowa i wkrótce oboje pili atomowe shoty i spacerowali po osłoniętym balkonie. To właśnie tam, gdy stali oparci o wzmocnioną szybę z fleksiglasu, po raz pierwszy się pocałowali.

Teraz Eris mogła się jedynie zastanawiać, dlaczego doszło do tego tak późno. Przecież znała Corda od dawna, a konkretnie odkąd jej rodzina przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdy ona miała osiem lat. Wcześniej przez kilka lat mieszkali w Szwajcarii, gdzie jej tata zgłębiał najnowsze techniki chirurgii plastycznej. Eris chodziła do pierwszej i drugiej klasy w amerykańskiej szkole w Lozannie, a kiedy wróciła do kraju – posługując się dziwną mieszaniną francuskiego i angielskiego i nie mając pojęcia o tabliczce mnożenia – w Akademii Berkeley zasugerowano delikatnie, żeby jednak powtórzyła drugą klasę.

Eris nigdy nie zapomni tego pierwszego dnia, kiedy weszła do stołówki, nie znając zupełnie nikogo w nowej klasie. To Cord jako pierwszy usiadł obok niej na wolnym miejscu.

– Chcesz zobaczyć supergrę o zombie? – spytał, po czym pokazał jej, jak można ustawić szkła kontaktowe, tak żeby jedzenie w stołówce przypominało ludzkie mózgi. Eris śmiała się tak mocno, że prawie nakichała sobie do spaghetti.

To było dwa lata przed śmiercią rodziców Corda.

Teraz Eris znalazła Corda w pokoju gier, siedział przy ogromnym starym stole z Drew Lawtonem i Joaquinem Suarezem, wszyscy trzymali w dłoniach karty do gry z prawdziwego papieru. Było to jedno z dziwactw Corda, zawsze upierał się, żeby grać starą talią kart. Twierdził, że gdy wszyscy grali za pomocą szkielek, wyglądali, jakby byli totalnie nieobecni: siedzieli razem przy stole, ale nikt na nikogo nie patrzył, każdy błędził wzrokiem gdzieś w przestrzeni.

Eris stała przez chwilę, podziwiając Corda. Był tak obłędnie cudowny. Nie w taki gładki, idealny sposób jak Avery, lecz w bardziej surowy, szorstki: jego twarz stanowiła doskonałe połączenie brazylijskiej zmysłowości jego mamy oraz klasycznej linii szczęki i nosa Andertonów. Eris zrobiła krok naprzód i Cord podniósł wzrok. W jego lodowatoniebieskich oczach pojawił się błysk uznania dla Eris.

– No cześć – przywitał się, odsuwając dla niej krzesło. Eris oparła się łokciami o stół, tak że brzeg jej bluzki zsunął się nieco, odsłaniając zarys jej biustu, i zaczęła przyglądać się Cordowi. W jego spojrzeniu kryło się coś niesamowicie intymnego. Eris miała wrażenie, jakby mógł dotknąć jej samymi tylko oczami.

– Chcesz zagrać? – Cord przesunął w jej stronę stos kart.

– Nie wiem. Chyba wolę potańczyć. – W pokoju panowała niesamowita cisza. Eris chciała znów znaleźć się w pełnym gwaru i zamieszania salonie.

– No zgódź się, tylko jedno rozdanie. W tym momencie gram sam przeciwko tym dwóm. A bawić się samemu to żadna przyjemność – rzucił żartem Cord.

– Dobra. Ale ja gram z Joaquinem – powiedziała Eris chyba tylko po to, żeby odrobinę podroczyć się z Cordem. – A przecież wiesz, że ja zawsze wygrywam.

– Może jednak nie tym razem – zaśmiał się Cord.

Ale już piętnaście minut później stos żetonów przed Eris i Joaquinem urósł prawie trzykrotnie. Eris wyciągnęła ramiona nad głową i odsunęła krzesło od stołu.

– Idę po drinka – powiedziała znacząco. – Ktoś jeszcze ma ochotę?

– Czemu nie? – Cord napotkał jej wzrok. – Pójdę z tobą.

Weszli do szatni, ich ciała znalazły się bardzo blisko siebie.

– Wyglądasz fantastycznie – wyszeptał.

– Dość gadania. – Eris przyciągnęła do siebie jego głowę i mocno go pocałowała.

Cord pochylił się i przywarł do niej ustami. Oplótł ją ramieniem w pasie i zaczął bawić się brzegiem jej bluzki. Eris czuła, jak tętno w jego nadgarstku przyspieszyło, gdy dotknął jej skóry. Ich pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny.

W końcu Eris oderwała się od niego i zrobiła krok w tył, sprawiając, że Cord się zachwiał.

– Co jest? – wydyszał.

– Idę potańczyć – odpowiedziała zwyczajnie, poprawiając biustonosz i przyglądając włosy szybkimi, wprawnymi ruchami. Uwielbiała wzbudzać u Corda pożądanie przyprawiające go wręcz o fizyczny ból. – Do zobaczenia później.

Gdy ruszyła w głąb korytarza, czuła na sobie jego spojrzenie, które błędziło po smukłych liniach jej ciała. Nie obejrzała się za siebie, ale kącik jej pomalowanych na czerwono ust uniósł się lekko w triumfalnym uśmiechu.

WATT

– Przypomnij mi, dlaczego tu znowu jesteśmy? – Watzahn Bakradi, czyli Watt (dla wszystkich poza nauczycielami), połączył się ze swoim najlepszym kumplem Derrickiem Rawlsem.

– Mówiłem ci, to miejsce sprawia, że dziewczyny ogarnia szaleństwo – odparł Derrick. Jego głos przenikał do iTen, do których sączył się również nieco leniwy jazz, podczas gdy inne dźwięki napływające z klubu były blokowane. – Niektórzy z nas chwytają się wszelkich możliwych środków – dodał bez cienia urazy w głosie.

Watt nie zamierzał się z nim spierać. Tylko przez ostatnią godzinę siedem dziewczyn wyszło do

niego prośbę o flik-link, tymczasem do Derricka – ani jedna.

– No dobra – rzucił z rezygnacją Watt. – Idę po coś do picia.

– Weźmiesz mi przy okazji piwo? – spytał Derrick, nie mogąc oderwać wzroku od brunetki, która z przymkniętymi oczami kołysała się obok nich, poruszając rękami w jakimś nieokreślonym rytmie.

– Wezmę, ale na pewno nie kupię – zaśmiał się Watt. Przy barze wyłączył swoją muzykę i odwrócił się, żeby rozejrzeć się po klubie. W dziwnej ciszy słychać było tylko szuranie stóp i chór szeptów.

Byli w Pulsie, cichej dyskoteci w śród-Wieży, gdzie muzyka, zamiast z zewnętrznych głośników, rozbrzmiewała każdemu bezpośrednio w znajdujących się w uszach iTenach. Najdziwniejsze w Pulsie było to, że żaden z gości nie słyszał w danym momencie tego samego, co ktoś inny. Watt przypuszczał, że zgadywanie, czego słuchają inni, dla większości było dość zabawne i wywoływało sporo śmiechu, gdy okazywało się, że ktoś słucha wolnego kawałka, a tymczasem jego znajomy bawi się przy muzyce elektronicznej. Ale według niego wyglądało to tak, że wszyscy po prostu niezdarnie się zataczali, co chwila wpadając na siebie na parkiecie.

Watt oparł się niedbale na łokciach i napotkał wzrok dziewczyny po przeciwnej stronie baru. Wyglądała zachwycająco, była wysoka, smukła, miała szeroko osadzone oczy i należała do znacznie wyższej ligi. Ale Watt dysponował tajną bronią i dokładnie wiedział, jak długo powinien utrzymywać kontakt wzrokowy, zanim spojrzy w innym kierunku. Według obliczeń Nadii dziewczyna powinna podejść do niego za trzy, dwie...

W jego iTenach rozległ się podwójny sygnał wskazujący na prośbę o nawiązanie pingnięcia. Skinął głową, akceptując prośbę, i w jego uszach zabrzmiał głos dziewczyny. Bezprzewodowe połączenie pozwalało rozmawiać im bezpośrednio ze sobą, pomimo muzyki, choć oczywiście Watt już wyłączył w swoich iTenach nieco usypiający jazz.

– Postaw mi drinka – powiedziała, wślizgując się na stojące obok krzesło przy barze. To nie było pytanie, lecz rozkaz. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że jest znacznie atrakcyjniejsza od Watta.

– Co pijesz? – Watt stuknął w blat baru, żeby wyświetlić dotykowe menu.

Wzruszyła tylko ramionami i zaczęła zataczać palcem kręgi po ekranie, przesuając do góry jaskrawe bąbelki oznaczające różne rodzaje drinków. Po wewnętrznej stronie nadgarstka miała nieduży inktat: pąk róży, który to rozkwitał, to się znów zwijał.

– Zgadnij – odparła.

Watt położył rękę na jej dłoniach, aby przestała nimi ciągle poruszać. Dziewczyna spojrzała na niego, unosząc wysoko brwi.

– Jeśli zgadnę, ty stawiasz – zaproponował Watt.

– Niech będzie. Ale nigdy nie uda ci się zgadnąć.

– Wydaje mi się, że... – Watt zaczął przeglądać kategorie, jakby rozważał rozmaite możliwości.

Tylko że on już dobrze wiedział, czego dziewczyna naprawdę chciała i akurat tego nie było w menu. – To coś specjalnego – oznajmił, nacisnął napis INNE i wywołał klawiaturę, na której wpisał: „martini z atramentem z kałamarnicy”.

Dziewczyna ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu.

– Musiałeś oszukiwać – powiedziała oskarżycielsko i przyjrzała się Wattowi z zainteresowaniem.

Pochyliła się, żeby zamówić drinki u barman-bota.

Watt uśmiechnął się szeroko. Czuł, że uwaga innych osób w klubie skupia się na nich, wszyscy musieli się zastanawiać, co takiego powiedział, żeby wzbudzić zainteresowanie tak efektownej dziewczyny. Watt nie mógł się powstrzymać, uwielbiał to uczucie, jakby wygrał jakiś sekretny konkurs.

– Dzięki – powiedział, gdy dziewczyna podsunęła mu ciemne piwo.

– Skąd wiedziałeś, na co miałam ochotę? – zapytała.

– Uznałem, że tak wyjątkowo piękna dziewczyna zasługuje na wyjątkowego drinka – odparł, a po cichu dodał: – Dziękuję ci, Nadio.

„Na twoim miejscu nie traciłabym na nią czasu. Dziewczyny numer dwa i sześć są znacznie bardziej interesujące”, odrzekła Nadia, komputer kwantowy Watta, wyświetlając te słowa na jego szklach. Gdy byli sami, Nadia mówiła bezpośrednio do jego uszu, lecz gdy przebywał w czyimś towarzystwie, przechodziła na komunikaty tekstowe. Prowadzenie dwóch rozmów jednocześnie zbyt dezorientowało Watta.

„No cóż, ale ta jest od nich ładniejsza”, odpisał Watt, uśmiechając się z rozbawieniem. Nadia nie była w stanie odczytywać każdej jego myśli, lecz tylko te, które Watt sam bezpośrednio do niej kierował.

„Przeformułować kryteria wyboru potencjalnych partnerów miłosnych” – taki komunikat wyświetlił się Wattowi na liście rzeczy do zrobienia, zaraz obok kupna prezentu na urodziny jego brata i siostry oraz wakacyjnego spisu lektur.

„Czasami żałuję, że przy programowaniu nie zrobiłem cię trochę mniej złośliwą”. Watt skonstruował Nadię tak, by skłaniała się raczej ku samodzielnemu i asocjacyjnemu rozumowaniu aniżeli ku ściśle logicznemu myśleniu typu „jeśli..., to...”. Innymi słowy, Nadia miała być ciekawym rozmówcą, a nie tylko potężnym kalkulatorem. Ale ostatnio jej sposób wyrażania się trudno było określić inaczej niż mianem sarkazmu.

Nadia była razem z Watem już prawie od pięciu lat, odkąd jako trzynastoletni stypendysta zbudował ją podczas letniego kursu w MIT, czyli Massachusetts Institute of Technology. Watt wiedział oczywiście, że to nielegalne: stworzenie jakiegokolwiek komputera kwantowego ze współczynnikiem Robbensa przekraczającym 3.0 było zabronione na całym świecie od czasu incydentu ze sztuczną inteligencją

w 2093 roku. Ale Watt czuł się bardzo samotny na kampusie w otoczeniu starszych studentów, którzy w ostentacyjny sposób go lekceważyli, a poza tym wydawało mu się to całkowicie nieszkodliwe... Zaczął od dłubania przy kilku zapasowych częściach i wkrótce bit po kubicie zaczął budować kwantowy superkomputer.

Aż pewnego razu późnym wieczorem kierująca programem profesor przyłapała go w laboratorium, jak pracował nad Nadią.

– Musisz zniszczyć to... to coś – oznajmiła z histerią w głosie. Ze strachu cofnęła się o kilka kroków. Oboje zdawali sobie sprawę, że jeśli Watt zostanie złapany razem z kwantem, na resztę życia trafi do więzienia, a ona prawdopodobnie też może zostać aresztowana, i to tylko dlatego, że go nie powstrzymała. – Przysięgam, jeśli tego nie zrobisz, doniosę o tym!

Watt skinął głową i obiecał zrobić to, o co go prosiła, przeklinając w duchu własną głupotę: powinien wiedzieć, że nie należy pracować nad Nadią w niezabezpieczonych odpowiednio miejscach. Gdy tylko został sam, czym prędzej przeniósł Nadię na mniejszy hardware, a następnie zniszczył sprzęt, na którym dotąd ją przechowywał, po czym w milczeniu pokazał szczątki profesorce. Nie miał wcale ochoty iść do więzienia. A poza tym potrzebował od promotorki dobrej rekomendacji, żeby za kilka lat mógł się dostać do MIT.

Gdy letni kurs dobiegł końca, Nadia składała się z kubikowego rdzenia wielkości pięści. Watt ukrył ją w walizce, wciskając do jednego z butów, i przemycił do Wieży.

I tak oto rozpoczęła się hakerska kariera Watta i Nadii.

Zaczęli od drobnych rzeczy, ich ofiarami padali przede wszystkim przyjaciele i znajomi z klasy Watta: czytali ich prywatne fliki albo hakowali feedy, żeby zamieszczać na nich zabawne i kompromitujące komentarze. Ale wraz z upływem czasu, gdy Watt zaczął odkrywać, jak potężny komputer ma w rękach, stawał się coraz bardziej zuchwały. Nadia potrafiła o wiele więcej, niż tylko łamać hasła nastolatków: była w stanie w niecałą milisekundę przeskanować tysiące linii kodu i znaleźć pośród nich jedną słabą sekwencję, a potem złamać zabezpieczenia i wejść do systemu. Przy pomocy Nadii Watt mógł mieć dostęp do różnego rodzaju zastrzeżonych danych, a przy zachowaniu należytej ostrożności mógł na tym również zarabiać. Przez lata Watt trzymał Nadię w swoim pokoju, co jakiś czas przenosząc jej ulepszoną wersję na coraz mniejsze, łatwiejsze do ukrycia elementy hardware'u.

Aż w końcu przed dwoma laty Watt przyjął zlecenie, które z pozoru wydawało się normalną hakerską robotą. Była to prośba o usunięcie kartoteki kryminalnej. Kiedy jednak przyszło do zapłaty, wiadomości od zleceniodawcy nabrały nagle dziwnie groźnego tonu i Watt zaczął podejrzewać, że jego klient wie coś na temat Nadii.

Nagle ogarnął go straszliwy niepokój. Zazwyczaj starał się nie myśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby wpadł, ale teraz zrozumiał, jaki był nieostrożny. Znajdował się w posiadaniu nielegalnego kwanta

i musiał ukryć Nadię w miejscu, w którym nikt nigdy jej nie znajdzie.

Włożył więc Nadię do kieszeni i najbliższą kolejką pojechał do śródmieścia.

Wysiadł na South Station i znalazł się w kompletnie innym świecie, w zaśmieconym labiryncie uliczek, nieoznakowanych drzwi i ulicznych wózków, z których sprzedawano gorące, tłuste tutki ze smażonymi chipsami pszennymi. Stalowa sylwetka Wieży górowała nad miastem, rzucając cień na większą część Bezmieścia, czyli dzielnicy położonej na południe od Houston Street.

Watt odwrócił się w kierunku wody i zamrugał pod wpływem nagłego podmuchu wiatru. Zielone i żółte boje kołysały się w akwakulturowych zagrodach nad dawno zatopionym Battery Park. Miano tutaj uprawiać listownicowce oraz hodować kryl, ale z tego, co wiedział Watt, wiele osób produkowało tu również oceinę, mocno uzależniający narkotyk pozyskiwany z meduz. Z nisko pochyloną głową odnalazł drzwi, których szukał, i wszedł do środka.

– W czym mogę pomóc? – Na powitanie wyszedł mu przysadzisty mężczyzna. Włosy miał przycięte tuż przy czaszce, nosił szarą, plastikową kurtkę i rękawice chirurgiczne.

Doktor Smith, jak sam siebie nazywał, słynął z przeprowadzania nielegalnych zabiegów, takich jak oczyszczanie organizmu z narkotyków, zamiana odcisków palców, a nawet transfer siatkówki oka. Mówiono, że nie ma nic, czego nie potrafiłby zrobić. Ale gdy Watt wyjaśnił mu, o co chodzi, doktor pokręcił przecząco głową.

– To niewykonalne – wymamrotał.

– Jest pan pewien? – spytał Watt i sięgnął do kieszeni, żeby zaprezentować Nadię. Jej hardware parzył go w dłoń.

Smith mimowolnie zrobił krok naprzód i westchnął zdumiony.

– Chcesz mi powiedzieć, że to jest kwant?

– Tak. – Watt poczuł przypływ satysfakcji. Nadia robiła cholernie mocne wrażenie.

– No dobrze – powiedział niechętnie Smith. – Mogę spróbować. – Zdjął jedną rękawicę chirurgiczną i wyciągnął dłoń. Miała sześć palców. – To poprawia moją sprawność – pochwalił się, widząc spojrzenie Watta. – Bardzo przydaje się podczas operacji. Zrobiłem zabieg sam lewą ręką.

Watt uściskał sześciopalczystą dłoń doktora i wręczył mu Nadię, modląc się, by ten szalony pomysł wypalił.

Opierając się o bar w Pulsie, Watt przesunął palcami po niewielkim guzie nad prawym uchem, który stanowił jedyną pozostałość po tamtym dniu. Czasami wciąż nie mógł uwierzyć w to, że operacja się powiodła. Teraz Nadia zawsze była razem z nim, na skraju jego płata skroniowego, tam gdzie osadził ją Smith, wyposażając w zasilanie z piezoelektrycznego pulsu w krwiobiegu samego Watta. Wprawdzie władze nadal próbowały ich namierzyć, ale Watt czuł się dzięki temu nieco bezpieczniejszy. Gdyby

kiedykolwiek miało mu się przydarzyć coś złego, nikt nie wpadnie na to, żeby szukać komputera w jego mózgu.

– Często tu przychodzisz? – spytała go wielbicielka kałamarnicowego martini. Upiła mały łyk drinka, który wirował fioletowo w kieliszku niczym wzbierająca burza.

Na szklach Watta natychmiast wyświetliło się kilka linijek tekstu. Dziewczyna była od niego o rok starsza i studiowała sztukę w miejscowym college’u.

– Lubię tu przychodzić, żeby obserwować innych – odparł Watt. – To mi pomaga przy tworzeniu mojej sztuki.

– Jesteś artystą? Jakiego rodzaju?

Watt westchnął.

– Cóż, dawniej zajmowałem się głównie instalacjami 3D, ale ostatnio uznałem, że są już nieco *passé*. Myślę nad tym, żeby w moich pracach bardziej wykorzystać sferę audio. Dlatego po części jestem tutaj, żeby obserwować reakcje ludzi na muzykę. – Odwrócił się, żeby popatrzeć dziewczynie prosto w oczy. Pod wpływem jego spojrzenia zamrugła. – A ty co o tym myślisz? – zapytał.

– Całkowicie się zgadzam – wyszeptała, choć Watt tak naprawdę nie wygłosił żadnej opinii. – Zupełnie, jakbyś czytał mi w myślach.

Był to skutek uboczny obecności kwanta w jego mózgu, którego Watt nie przewidział: Nadia stała się jego tajną bronią w podrywaniu dziewczyn. Przed zabiegiem średnia zdobyczy sercowych Watta była... no właśnie – średnia. Nie był bynajmniej nieatrakcyjny – miał oliwkowozłotą cerę i ciemne oczy – ale nie grzeszył wzrostem ani pewnością siebie. Obecność Nadii wszystko zmieniła.

Oczywiście tutaj, w śród-Wieży, blisko dwa kilometry wyżej poziom, na którym Watt i Derrick faktycznie mieszkali, każdego było stać na przyzwoite szkła. Jeśli tylko miałeś ochotę, podczas rozmowy mogłeś sprawdzać na nich rozmaite rzeczy, ale każde zapytanie trzeba było wypowiedzieć na głos. Nie licząc kilku uprzednio zaprogramowanych poleceń, takich jak kiwnięcie głową oznaczające zaakceptowanie nowego połączenia albo kilkukrotne mrugnięcie w celu zrobienia zdjęcia, szkła nadal były sterowane głosowo. I podczas gdy zupełnie normalną rzeczą było mamrotanie pod nosem, gdy jechałeś Ifty lub znajdowałeś się w domu, to wydawanie szkłom poleceń w trakcie rozmowy nie było zbyt mile widziane.

Nadia była inna. Ponieważ znajdowała się w głowie Watta, oboje mogli komunikować się za pomocą – jak sam to określił – „transzaskowego trybu telepatycznego”, co oznaczało, że wystarczyło, żeby pomyślał jakieś pytanie, a Nadia mu na nie odpowiadała. A kiedy rozmawiał z dziewczynami, Nadia śledziła ich rozmowę i natychmiast podrzucała mu przydatne informacje.

W przypadku dziewczyny od kałamarnicowego martini Nadia w ciągu niecałych dziesięciu milisekund przeprowadziła całościową analizę. Zhakowała fliki dziewczyny, znalazła każde miejsce,

w którym ta się logowała, sprawdziła, kim są jej znajomi, przeczytała nawet dwanaście tysięcy stron historii jej feedów i skalkulowała, co Watt powinien zrobić, aby podtrzymać rozmowę. Watt był pewny siebie i wyjątkowo spokojny, ponieważ dokładnie wiedział, co ma powiedzieć.

Dziewczyna przyglądała mu się, w zamyśleniu obracając w palcach nóżkę kieliszka. Watt nie odzywał się, wiedząc, że jego towarzyszka nie przepada za zbyt napastliwymi chłopakami i lubi mieć poczucie, że inicjatywa znajduje się po jej stronie.

– Masz ochotę pójść gdzie indziej? – spytała.

Była cudowna. Ale Watt nie odczuwał nawet specjalnej ekscytacji.

– Jasne, chodźmy – odparł automatycznie.

Objął dziewczynę ramieniem w talii i ruszył z nią w kierunku wyjścia, zauważając po drodze zazdrosne spojrzenia pozostałych facetów. Zwykle w takich sytuacjach odzywała się jego skłonna do rywalizacji natura i odczuwał przyjemny dreszczyk zwycięstwa. Ale dzisiaj nieszczególnie go to obchodziło. Wszystko to wydawało mu się zbyt przewidywalne i przychodziło mu za łatwo. Nie pamiętał nawet imienia tej dziewczyny, choć powiedziała je dwa razy.

– Przekleństwo zwycięzcy – szepnęła w jego iTenach Nadia i mógłby przysiąc, że słyszał w jej tonie nutę rozbawienia. – Pojawia się wtedy, gdy zwycięzca dostaje dokładnie to, czego chce, lecz okazuje się, że nie jest to do końca to, czego się spodziewał.

AVERY

– Zay rozmawia z Danielą Leon. – Leda spojrzała spod zmrużonych powiek na stojącą na niższym poziomie dziewczynę ubraną w czarną falbaniastą sukienkę. Daniela odchyliła lekko głowę lekko i położyła delikatnie dłoń na przedramieniu Zaya, śmiejąc się na cały głos z tego, co właśnie powiedział.

Avery podążyła za wzrokiem Ledy, choć nie obchodziło jej zbytnio, z kim rozmawia Zay.

– W porządku – odparła.

– Co to w ogóle za dziwny strój? Za kogo ona się przebrała, za matadora? – uszczypliwym komentarzom Ledy nie było końca.

– Wydaje mi się, że to kostium francuskiej pokojówki. – Avery sięgnęła po drinka z unoszącej się w powietrzu koło jej łokcia podkładki, starając się nie roześmiać.

Ale Leda jej nie słuchała. Była skupiona wyłącznie na sobie i mamrotała coś pod nosem, zapewne planując zemstę na Danieli. Cała Leda: gdy tylko uznała, że Avery została znieważona, reagowała szybko i bezkompromisowo. Taka już była i taki też był charakter ich przyjaźni, a Avery to akceptowała, ponieważ wiedziała, że kryje się za tym miłość i bezwzględna lojalność. „Mam nadzieję, że nigdy cię nie wkurzę”, żartowała zawsze, a Leda tylko śmiała się i wznosiła oczy do nieba, jakby nawet sama

perspektywa takiego rozwoju wydarzeń wydawała jej się zwyczajnie absurdalna.

Przyjaciółki stały na pierwszym piętrze w mieszkaniu Corda, dokładnie u szczytu schodów. Avery obrzuciła wzrokiem bawiący się poniżej tłum. Wchodząc tutaj, czuła się odrobinę speszona, gdy kolejni chłopcy mówili jej, jak wspaniale dzisiaj wygląda. Oparła się o barierkę, a nad jej głowę zaraz automatycznie przesunęła się aureola. Podtrzymujące ją w powietrzu mikrohovery były tak zaprogramowane, żeby śledzić każdy ruch Avery.

Zjawili się tu niemal wszyscy. Kemball Brown przyszedł w misternie zrobionej zbroi wikinga, która fantastycznie prezentowała się na jego ciemnych, umięśnionych ramionach. Laura Sanders ubrała się w mieniący się cekinami, mocno wydekoltowany gorset piracki. A Jamie, starszy brat Ledy, nie dość, że miał na twarzy gęsty zarost, to włożył jeszcze do tego kombinezon lifciarza.

– O co chodzi z brodą Jamiego? – Avery spytała z rozbawieniem Ledę.

– No właśnie – przytaknęła Leda, a jej wzrok ponownie skupił się na przyjaciółce. – Gdy zobaczyłam go wczoraj, zrobiło mi się niedobrze.

– Jak to wczoraj? – spytała zdezorientowana Avery. – To Jamiego nie było z tobą przez całe lato?

Leda zawahała się przez chwilę, ale trwało to tak krótko, że Avery chyba nawet tego nie zauważyła.

– Oczywiście, że był. Chodzi mi o to, że gdy zobaczyłam cały jego strój, razem z tym kombinezonem. Wiesz, że jest autentyczny? Jamie odkupił go od prawdziwego lifciarza.

Leda brzmiała całkiem normalnie. Może Avery tylko się wydawało, że słyszy coś dziwnego w jej głosie.

– Potrzebuję kolejnego drinka – zdecydowała Avery i posłała swoją szklaneczkę z powrotem do baru. – Masz ochotę?

– Nie trzeba – podziękowała Leda. Jej szklanka była wciąż prawie pełna.

Avery uświadomiła sobie, że przyjaciółka przez cały wieczór nie piła zbyt wiele.

– Chyba musisz nadrobić zaległości – zażartowała z niej.

Znów nastąpiła chwila wahania. Dochodzące z dołu dźwięki nagle jakby się wzmogły.

– Chyba nie jestem jeszcze w formie – odparła Leda, lecz jej śmiech zabrzmiał dość głucho.

Avery przyglądała się przez chwilę, jak Leda kołysze się w przód i w tył na czarnych obcasach. Ewidentnie coś przed nią ukrywała.

Ta myśl sprawiła, że Avery poczuła lekki ból w piersi. Była przekonana, że będą mówić sobie z Ledą o wszystkim.

– Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać.

– Wiem – odrzekła szybko Leda, choć nie wydawało się, żeby sama w to wierzyła.

– Gdzie tak naprawdę byłaś w te wakacje? – naciskała Avery.

– Daj sobie z tym spokój, dobrze?

– Obiecuję, że...

Leda zacisnęła mocno usta, a jej kolejne słowa zabrzmiały chłodno i oficjalnie:

– Serio, powiedziałam, żebyś dała sobie z tym spokój.

Avery wzdrygnęła się nieco urażona.

– Nie rozumiem po prostu, dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać.

– No wiesz, czasami świat nie kręci się wokół ciebie.

Avery już miała odpowiedzieć, gdy nagle na parterze powstało jakieś zamieszanie i rozległy się głośne okrzyki powitania. Z ciekawości zerknęła w dół i pośrodku całego tego zamętu ujrzała znajomą postać.

Wszystko nagle zatrzymało się w miejscu, jakby z mieszkania zostało odessane powietrze. Avery nie mogła zebrać myśli. Czowała, że stojąca obok Leda zastygła z zaskoczenia, ale Avery nie była w stanie oderwać oczu od tego, co działo się na dole, żeby spojrzeć na przyjaciółkę.

A więc wrócił.

– Atlas – szepnęła Avery, choć on oczywiście nie mógł jej usłyszeć.

Zbiegła niemal na oślep po schodach, a ludzie odsuwali się, robiąc dla niej miejsce. Skierowały się teraz na nią setki oczu, gapie pewnie robili fotki i od razu wrzucali je na feedy. Nic z tego jednak nie miało dla niej znaczenia. Liczyło się tylko to, że Atlas wrócił do domu.

Chwilę później Avery padła mu w ramiona, ukrywając twarz w jego objęciach i przez ten jeden cenny moment wdychając jego zapach, zanim będzie musiała oderwać się od niego i na nowo podporządkować obowiązującym normom zachowania.

– Wróciłeś – rzuciła bezmyślnie, chłonąc wzrokiem każdy centymetr jego ciała. Atlas miał na sobie wymięte spodnie khaki i granatowy sweter. Wyglądał na nieco silniejszego, niż zapamiętała, a jasnobrązowe włosy były dłuższe i zawijały się wokół uszu jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem. Ale reszta była taka sama: czekoladowe oczy ocieniały gęste (wręcz zbyt gęste jak na męczyznę) rzęsy, nos pokrywały drobne piegi, a lekko wykrzywione dolne zęby przypominały o tym, że wcale nie był idealny. Kiedy dwanaście lat temu rodzice pojawili się z Atlasem w domu, Avery od razu pokochała go za to, że miał prawdziwe, widoczne wady.

– Wróciłem – powtórzył Atlas. Wzdłuż jego szczęki widać było kilkuniedniowy, szorstki zarost. Avery korciło, by wyciągnąć dłoń i dotknąć jego policzka. – Jak leci?

– Gdzie się podziewałeś?! – Avery skrzywiła się na dźwięk swojego głosu i nieco ściszyła ton. Nikt poza Ledą nie wiedział, że Atlas nie powiadomił rodziny, gdzie dotąd przebywał.

– Wszędzie.

– Aha. – Avery tylko tyle przyszło do głowy. Trudno było o jakąkolwiek spójną myśl, gdy Atlas

znajdował się tak blisko. Pragnęła rzucić mu się w objęcia i trzymać go tak mocno, żeby już nigdy jej nie opuścił, chciała raz po raz przesuwając rękami po jego ramionach, aby upewnić się, że to naprawdę on. Tak się starała tego lata, próbując się z kimś związać, a tymczasem znów musiała walczyć z tą samą nieodpartą potrzebą dotknięcia brata.

– Cieszę się, że już wróciłeś do domu – wykrztusiła.

– Mam taką nadzieję. – Twarz Atlasa rozciągnęła się w szerokim, naturalnym uśmiechu, jakby nie było niczego dziwnego w tym, że po dziesięciu miesiącach nieobecności nagle bez żadnej zapowiedzi pojawia się na imprezie.

– Atlas... – Avery zawahała się, nie wiedząc, co powiedzieć.

Tak bardzo się martwiła. Przede wszystkim o jego bezpieczeństwo, ale jeszcze gorszy był ten okropny, uporczywy niepokój, ciągle czający się gdzieś z tyłu jej głowy, że Atlas może już nigdy nie wrócić.

– Tak? – spytał delikatnie.

Avery postąpiła krok naprzód. Jej ciało reagowało instynktownie na bliskość Atlasa, jakby była rośliną, która zbyt długo znajdowała się w ciemnościach, a teraz wreszcie została wystawiona na słońce.

– Fuller! – Nagle pojawił się Ty Rodrick i klepnął Atlasa w plecy. Zaraz za nim nadeszli pozostali członkowie drużyny hokejowej i z głośnymi okrzykami pociągnęli za sobą Atlasa.

Avery zagryzła wargi w niemym proteście i odsunęła się od nich. „Zachowuj się normalnie”, upomniwała się w myślach. W całym tym zamieszaniu zdołała jeszcze uchwycić spojrzenie Atlasa, który do niej mrugnął. „Później”, powiedział, poruszając bezgłośnie ustami.

Avery skinęła w odpowiedzi głową, łamiąc tym samym wszystkie składane sobie obietnice. Nie mogła bowiem przestać go kochać.

LEDA

Rzuciła torebkę na marmurowy blat w łazience Corda i zamrugła, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Włosy miała upięte w kok i przystrojone piórami, a czarny kostium baletnicy opinał jej ciało w odpowiednich miejscach, tworząc nawet złudzenie rowka między piersiami. Brzeg jej tutu zdobiły prawdziwe, nielegalne pawie pióra. Przesunęła po nich delikatnie palcami. Były warte wszystkich łapówek, jakie za nie dała.

Leda już dawno pogodziła się z tym, że nie jest piękna. Miała zbyt ostre rysy, a jej biust był rozpaczliwie mały. Mogła się jednak pochwalić intensywnie brązową skórą, jaką odziedziczyła po mamie, i pełnymi ustami – po tacie. A w jej twarzy było coś interesującego: błyskotliwość i inteligencja,

które przykuwały uwagę.

Wzięła głęboki oddech, usiłując zignorować narastające w niej uczucie niepokoju. Choć wydawało się to prawie niemożliwe, to jednak stało się po tych długich miesiącach.

Atlas powrócił.

Nagle w jej iTenach zabrzmiała muzyka, radosna melodia piosenki, na której punkcie obie z Avery miały zeszłej wiosny obsesję. To znów dzwonek Avery. Leda potrząsnęła głową, odrzucając połączenie. Wiedziała, że Avery jej szuka, ale nie była jeszcze gotowa na konfrontację ze swoją najlepszą przyjaciółką, zwłaszcza po tym, jak wcześniej na nią naskoczyła. Nie miała takiego zamiaru – po prostu była zdenerwowana i nie miała ochoty rozmawiać o odwyku. Dlaczego Avery wciąż wywierała na nią presję, dlaczego nie mogła dać jej odrobiny swobody? Leda po prostu nie chciała o tym mówić.

Zwłaszcza teraz, gdy w całej swej cudownej postaci objawił się pierwotny powód jej ostatniego załamania.

„Weź się w garść”, powiedziała sobie. Sięgnęła do torebki po błyszczący i nałożyła odrobinę na wargi, po czym z uniesioną głową wróciła na imprezę. Nie pozwoli, żeby Atlas ponownie namieszał jej w życiu. Nie mogła do tego dopuścić.

– Leda. – Cord zrównał się z nią krokiem. Miał na sobie czarny strój ze wstęgą zawieszoną w poprzek klatki piersiowej. – Dawno cię nie widziałem.

– Cześć – przywitała się z rezerwą Leda. W towarzystwie Corda zawsze czuła się odrobinę niepewnie. W przeciwieństwie do Avery i Eris nie znała go od dzieciństwa, a od czasu gdy kilka lat temu zaczęła go prosić o pomoc w zdobyciu xenperedrenu, miała wrażenie, że Cord traktował ją z wyższością.

– Jak ci minęły wakacje? – spytał, biorąc z przelatującej tacy dwa atomowe shoty. Jeden podał Ledzie. – Na zdrowie – powiedział i wychylił swój kieliszek.

Leda zacisnęła palce na szkle z przezroczystym płynem. Obiecała mamie, że nie będzie dzisiaj pić. Cord przyglądał się jej z rozbawieniem. Doskonale wiedział, skąd bierze się jej wahanie. Uniósł brew i uśmiechnął się szyderczo.

Wtedy Leda usłyszała z tyłu charakterystyczny śmiech: za nimi przechodził Atlas. „Czemu nie?”, pomyślała sobie nagle. Przecież jeden kieliszek atomowej wódki nie sprawi, że zacznie od razu łykać xenperedren. Podniosła kieliszek do ust i wypła do dna jednym haustem. Poczwała w gardle całkiem przyjemne pieczenie.

– Teraz już pamiętam, dlaczego tak cię lubię – rzuciła, odstawiając kieliszek.

Cord zaśmiał się z zadowoleniem.

– Tęskniłem za tobą w te wakacje. Brakowało mi kompana do palenia.

– No proszę cię. Miałeś mnóstwo innych osób, z którymi mogłeś się upalić.

– Ale nikogo tak interesującego jak ty – oznajmił Cord. – Wszyscy pozostali im więcej ćpają, tym

robią się głupsi.

Leda przestąpiła zakłopotana z nogi na nogę. „Radzę sobie dostatecznie dobrze bez xenperedrenu”, pomyślała, choć słowa te nie brzmiały już tak prawdziwie jak jeszcze kilka dni temu. Wymamrotała coś do Corda w ramach wykrętu, odwróciła się i ruszyła wprost w rozbawiony tłum gości. Od jej spódniczki baletnicy zaczęły odpadać pióra, zostawiając za Ledą ślad na podłodze.

„A tak w ogóle, to gdzie jesteś?”, fliknęła do Avery. Nie chciała jej mówić, że kiedyś od czasu do czasu popalała z Cordem – Avery nic o tym nie wiedziała – ale samo towarzystwo najbliższej przyjaciółki mogłoby podzielać na nią uspokajająco.

– Leda?!

Obróciła się wolno, próbując udawać, że osoba wołającego nieszczególnie ją obchodzi, choć oczywiście było odwrotnie.

Atlas stał w grupie swoich starych kumpli od hokeja. Leda czekała nieruchomo, podczas gdy on rzucił coś do reszty chłopaków i podszedł do niej.

– Hej – powiedział jak gdyby nigdy nic.

Leda aż się zagotowała ze złości. Tylko tyle miał jej do powiedzenia? Przecież ostatni raz, gdy się widzieli, siedział nagi w jacuzzi na drugim krańcu świata.

– Gdzie się podziewałeś?

Atlas zamrugał.

– Zrobiłem sobie rok wolnego, podróżowałem tu i tam.

– Nie wciskaj mi tego kitu. – Leda skrzyżowała ramiona. – Znam prawdę, okej?

– Ja nie...

– Postąpiłeś dość chamsko, wyjeżdżając w ten sposób. Zwłaszcza po tym, jak... no wiesz. – Leda na moment wróciła myślami do tamtej nocy, przypomniawszy sobie sposób, w jaki Atlas ją dotykał, i płatki śniegu topniejące na ich rozgrzanej skórze. Nagle poczuła, że się czerwieni.

– Fuller! – wykrzyknął Henry Strittmayer. – Zaraz będziemy grać w spinnera! Przywlecż tu swój tyłek.

– Za chwilę! – Atlas wbił wzrok w oczy Ledy. – Cieszę się, że się do mnie w ogóle odezwałaś. Po wyjeździe często o tobie myślałem.

– Czyżby? – odrzekła z rezerwą, starając się nie robić sobie niepotrzebnych nadziei.

– Jestem ci winien przeprosiny.

Leda poczuła się tak, jakby została uderzona w policzek.

– Nic mi nie jesteś winien – odparła natychmiast. „Ale ze mnie idiotka”, zganiała siebie za to, że myślała, iż Atlas mógł za nią naprawdę tęsknić, podczas gdy on czuł jedynie, że jest jej coś winien.

Boże, nienawidziła tego słowa. Nie można było wymyślić już chyba nic mniej romantycznego.

Oboje spojrzeli na siebie w kłopotliwym milczeniu.

– Chcesz zagrać w spinnera? – spytał po chwili Atlas.

– Nie. – Jeszcze tego brakowało, by siedziała obok niego, jakby wszystko było w najlepszym porządku, i brała udział w grze, która mogła się zakończyć tym, że musieliby się pocałować. – Poszukam Avery – dodała. – Gdy widziałam ją ostatnio, wydawała się odrobinę wstawiona.

– Pójdę z tobą – zaproponował Atlas, ale Leda już przeszła obok niego.

– Nie trzeba – odparła szybko, kierując się w stronę korytarza. – Sama się tym zajmę.

Przyciągała ją do niego siła równie wielka i nieodparta jak przed rokiem w Catyan, gdy ich ciała były ze sobą tak mocno splecione, jakby stanowiły jedno. Mimo to wcale nie rozumiała go lepiej. Może nigdy go nie zrozumie.

Nagle poczuła, że skręca ją w żołądku, a w jej głowie rozległ się gwałtowny łomot. Miała wrażenie, jakby coś naciskało na nią od środka, jak wówczas gdy zjeżdżała zbyt szybko z dużej wysokości...

Musiała stąd wyjść. I to natychmiast.

Ze sztucznym uśmiechem na twarzy przepchnęła się przez tłum wypełniający mieszkanie Corda i wskoczyła do pierwszego napotkanego hovera.

Kiedy dotarła do domu, była już w stanie granicznym z histerią. Rzuciła się biegiem do swojego pokoju, szarpnięciem otworzyła drzwi, zanurzyła twarz w poduszce o zapachu lawendy i wzięła kilka głębokich, łapczywych wdechów. W kącikach oczu poczuła palące łzy. Boże, ależ z niej idiotka. Nie do wiary, wystarczyło, że tylko ujrzała Atlasa, a od razu traciła nad sobą kontrolę.

W końcu usiadła na krześle przed toaletką. Pełnymi wściekłości, energicznymi ruchami zaczęła ścierać z twarzy makijaż, a także łzy. Ciało miała tak napięte, że cała niemal się trzęsła.

Rozległo się nieśmiałe pukanie.

– Leda? – W drzwiach pojawiła się jej mama, Ilara Cole. – Jak było na imprezie?

– Nie musiałś na mnie czekać. – Leda nie obróciła się, spoglądała tylko na odbicie mamy w lustrze. Ilara nigdy przedtem nie czekała na powrót córki z imprezy.

– Widziałam fotki na feedach. – Mama zignorowała jej komentarz i starała się zachować pogodny ton. – Wszystkie kostiumy wyglądały fantastycznie. A zwłaszcza twój i Avery!

Leda obróciła się na krześle i wstała z zaciśniętymi pięściami.

– To teraz mnie szpiegujesz? Mówiłaś chyba, że w tym roku będziesz mi ufać!

– A ty obiecałaś, że nie będziesz pić, jeśli puszcze cię na imprezę!

Leda cofnęła się, a jej mama złagodziała nieco ton.

– Przepraszam. Ale nie jestem głupia – ciągnęła Ilara. – Aż stąd czuję zapach atomówki. Co mam

o tym myśleć?

– To był tylko jeden kieliszek – odparła krótko Leda. – Od tego jeszcze nie puszcza mi hamulce i nie zacznę łykać xenperedrenu.

Mama chciała położyć jej dłoń na ramieniu, ale Leda natychmiast ją odtrąciła.

– Leda, proszę – rzekła łagodnie Ilara, opuszczając z rezygnacją rękę. – Staram się. Chcę znowu ci ufać. Ale na zaufanie trzeba zasłużyć. A jak na razie nie widzę, żebyś w jakikolwiek sposób próbowała...

– Dobrze – Leda przerwała mamie beznamietnym głosem. – Impreza była super. Dziękuję, że pozwoliłaś mi na nią iść. Obiecuję, że na następnej nie będę już pić.

Wpatrywały się w siebie, lecz żadna z nich nie miała pojęcia, co powiedzieć. W ich twarzach widać było wzajemne uczucie, ale również pewną rezerwę. Nie do końca wiedziały, jak powinny się wobec siebie zachowywać.

W końcu Ilara westchnęła i się obróciła.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłaś. Do zobaczenia rano.

Drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem.

Leda ściągnęła z siebie sukienkę i wsunęła się w swoją piżamę z monogramem. Wysłała krótkiego flika do Avery, przepaszając za swój wcześniejszy wybuch i informując ją, że wyszła wcześniej z imprezy. A potem, czując, że odrobinę kręci jej się w głowie, wpełzła do łóżka.

Zacząła się zastanawiać, czy Avery i Atlas wciąż jeszcze są na imprezie. Czy uznają to za dziwne, że wyszła tak wcześnie? Czy Avery była na nią zła o to, jak się wobec niej zachowała? Ale dlaczego Avery nie potrafiła zaakceptować tego, że niektóre sprawy Leda wolałaby zachować dla siebie? A teraz w dodatku, jakby miała mało powodów do zmartwień, jej głupia matka zaczęła śledzić każdy jej krok na feedach. Leda nie zdawała sobie nawet sprawy, że Ilara wie, jak je przeglądać.

To podsunęło jej myśl, żeby sprawdzić również ostatnie feedy Atlasa, choć przypuszczała, co na nich znajdzie. Jedyne kilka mglistych informacji. Podczas gdy większość znanych jej chłopaków prowadziła niemal całe swoje życie na feedach, profil Atlasa zawierał wyłącznie jego stare zdjęcie przed domkiem na plaży dziadków oraz kilka ulubionych cytatów. Atlas był niemożliwie skryty.

Gdyby tylko Leda mogła zobaczyć coś więcej niż jego publiczny profil, gdyby udało jej się dotrzeć do ukrytych wiadomości, danych i tego wszystkiego, czym nie dzielił się z całym światem. Gdyby tylko zdołała się dowiedzieć, co Atlas naprawdę myśli, może udałoby się jej zostawić to wszystko za sobą i wreszcie o nim zapomnieć.

Albo też go odzyskać, jak podpowiadał jej jakiś cichy wewnętrzny głos, którego nie była w stanie zagłuszyć.

Obróciła się na brzuch, zaciskając z frustracji pięści na prześcieradle. I nagle przyszedł jej do głowy pomysł tak prosty, że musiał być albo absolutnie genialny, albo straszliwie głupi.

Atlas był trudny do rozszyfrowania, ale może znajdzie się jakiś inny sposób, żeby go rozgryźć.

AVERY

Impreza trwała już kilka godzin, gdy Avery znalazła się w przylegającej do kuchni Corda spiżarni z alkoholem. Nie do końca wiedziała, dlaczego tu weszła. Może po odrobinę bourbona, którego butelki z unoszącymi się w środku płatkami złota wypełniały górną półkę, albo żeby dobrać się do zapasu nielegalnych alkoholi retro. Zatrzymała się, kręcąc resztkami lodu w pustym kubku. A nawet w dwóch pustych kubkach, jak sobie uświadomiła, po jednym w każdej dłoni.

Atlas wrócił. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego twarzy, gdy ją ujrzał, a to jedno słowo, które wtedy bezgłośnie wypowiedział – „później” – wciąż wirowało w jej głowie. Od tak dawna pragnęła, żeby wrócił do domu, a gdy w końcu to się stało, nie bardzo wiedziała, co to oznacza. Uznała więc, że najlepszym rozwiązaniem w tej sytuacji będzie upić się na maksa. I była na dobrej drodze ku temu.

Nagle drzwi się uchyliły i ciemność przeciął snop światła.

– Avery?

To był Cord. Dziewczyna westchnęła, chciała choć na chwilę pozostać sama z własnymi myślami.

– Hej, świetna impreza – wymamrotała.

– Zdrowie twojego faceta – powiedział Cord i sięgnął po butelkę bourbona. Upił powoli duży łyk, a jego oczy lśniły w przyćmionym świetle.

– Jakiego faceta? – spytała ostro Avery. Czyżby Cord wiedział? „Jeśli ktoś mógłby się domyślić – pomyślała ponuro – to tylko on”. Znał ją prawie od zawsze. A w dodatku sam był na tyle pokrecony, że byłby w stanie odgadnąć nawet najbardziej szaloną prawdę.

– Tego, przez którego jesteś tak napalona, przybita i pijana. Bo na pewno nie jest to Zay Wagner. Nawet ja to widzę.

– Czasami jesteś strasznym palantem, wiesz? – wypaliła bez zastanowienia Avery.

– Wiem – zaśmiał się Cord. – Ale urządzam tak fantastyczne imprezy, że ludzie mi to wybaczą. Tak jak tobie wybaczą twoją świętoszkowatość i nieprzystępność, dlatego że jesteś najpiękniejszą osobą na świecie.

Avery chciała być na niego wściekła, ale z jakiegoś powodu nie mogła. Może dlatego, że wiedziała, jaki naprawdę, pod tymi wszystkimi warstwami sarkazmu, jest Cord.

– Pamiętasz, jak byliśmy mali? – spytała zniechęta. – Jak rzuciłeś mi wyzwanie, żebym weszła do zsypu na śmieci, a potem utknęłam w środku? Czekałeś ze mną przez cały czas, żebym nie była sama, aż do przybycia botów ochrony.

Światło w spiżarni zamigotało. Musieli teraz stać zupełnie nieruchomo, aby wyłączyć czujniki ruchu. Cord wyglądał prawie jak cień.

– Tak – odparł cicho. – No i?

– Jesteśmy teraz całkowicie innymi ludźmi, prawda? – Avery potrząsnęła głową, pchnęła drzwi i wyszła na korytarz.

Przez jakiś czas kręciła się bez celu, witając się z osobami, których nie widziała przez całe lato, i bez przerwy popijając z obu kubków. Nie mogła przestać myśleć o Atlasie, a także o Ledzie. Gdzie ona się podziewała przez całe wakacje? I dlaczego nie chciała jej nic powiedzieć? Bez względu na to, o co w tym wszystkim chodziło, Avery czuła się okropnie, że tak naciskała na przyjaciółkę i najwyraźniej mocno ją tym zdenerwowała. Wiedziała, że powinna pójść do Cole'ów i sprawdzić, jak się czuje Leda, ale nie potrafiła znieść myśli, że mogłaby wyjść i zostawić tu Atlasa. Po wielu miesiącach rozłąki nie chciała się z nim rozstawać.

„Przepraszam za wcześniej. Zobaczymy się jutro?”, napisała do Ledy, tłumiąc poczucie winy.

W końcu znalazła Atlasa w bibliotece na niższym poziomie, gdzie grał razem z innymi w spinnera. Avery obserwowała go, stojąc blisko drzwi. Atlas opierał się o stół, a jego rzęsy rzucały delikatne cienie na półki. Od wieków nie grała w spinnera – ostatni raz robiła to na innej imprezie u Corda, w tym samym pokoju, gdy miała czternaście lat. Zamknęła oczy i miała wrażenie, jakby to było wczoraj, a nie trzy lata temu.

Była wtedy strasznie zdenerwowana. Po raz pierwszy w życiu piła alkohol i choć nikomu się do tego nie przyznała, pierwszy raz grała też w spinnera. Nigdy przedtem z nikim się nie całowała. Bała się, że pozostali się zorientują.

– Pośpiesz się, Fuller! – warknął Marc Rojas z ostatniej klasy, widząc jej wahanie. – Kręć!

– Kręć! Kręć! – zaczęła skandować reszta graczy. Avery przygryzła wargę i wyciągnęła rękę, żeby zakręcić strzałką na holograficznej tarczy wyświetlającej się pośrodku stołu.

Strzałka zawirowała szybko, zmieniając się w bezkształtną plamę. Wszyscy pochylili się do przodu, obserwując jej ruch. Wreszcie strzałka zaczęła zwalniać i zatrzymała się przed Breccanem Doyle'em. Avery miała nerwy napięte jak postronki.

Nagle jednak resztką rozpędu strzałka przesunęła się na Atlasa.

Konsola gry natychmiast stworzyła „krąg intymności” wokół miejsca, w którym oboje siedzieli, załamując światło, aby ukryć ich przed resztą towarzystwa i budując wokół nich całkowicie dźwiękoszczelną przestrzeń. Poza połyskującą barierą fotonów, która marszczyła się i zakrzywiała niczym powierzchnia wody w stawie, Avery widziała pozostałych graczy, lecz oni nie mogli jej zobaczyć. Wrzeszczeli i wymachiwali rękami przy konsoli, próbując pewnie zmienić zasady gry, żeby Avery musiała jeszcze raz zakręcić strzałką. Bo w końcu co to za zabawa, jeśli w kręgu znajdzie się

rodzeństwo, prawda?

– Wszystko w porządku? – spytał cicho Atlas. Trzymał w ręce opróżnioną do połowy butelkę atomówki i chciał ją podać Avery, ale ona potrząsnęła przecząco głową. I tak już miała mętlik w myślach, a alkohol mógłby tylko jeszcze bardziej rozniecić jej uczucia względem Atlasa.

– Nigdy jeszcze z nikim się nie całowałam. Na pewno wypadnę fatalnie – wypaliła i od razu ogarnęło ją zażenowanie. Dlaczego w ogóle to powiedziała?

Atlas wziął duży łyk atomówki, po czym odstawił ostrożnie butelkę. Avery była mu wdzięczna, że się nie roześmiał.

– Nie przejmuj się – odparł wreszcie. – Na pewno świetnie całujesz.

– Nie wiem nawet, co mam robić! – Avery widziała, jak na zewnątrz Tracy Ellison, która strasznie się zadurzyła w Atlasie, wściekle gestykuje.

– Potrzebujesz tylko odrobinę praktyki. – Atlas uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Wybacz, że zamiast na Breccana trafiło na mnie.

– Żartujesz? Już wolałabym... – Avery urwała. Nie mogła dokończyć tego zdania.

Atlas przyjrzał się jej z ciekawością. Zmarszczył brwi i zrobił trudną do odgadnięcia minę.

– Aves – odezwał się, choć zabrzmiało to raczej jak pytanie. Nachylił się bliżej. Avery wstrzymała oddech.

Nagle otaczający ich krąg zniknął i wrócili do rzeczywistości.

Avery nigdy nie była do końca pewna, czy naprawdę doszło między nimi do pocałunku, czy też wszystko sobie tylko wyobraziła. Gdy w końcu wspomnienie tamtej nocy się rozwiało, Avery popatrzyła na Atlasa, a on podniósł wzrok, jakby wyczuwając na sobie jej spojrzenie. Nawet jeśli również myślał teraz o tamtej nocy, nie dawał tego po sobie poznać. Przyglądał się chwilę Avery, aż wreszcie podjął decyzję.

– Opuść tę rundę – oznajmił, po czym podszedł do miejsca, w którym stała siostra.

– Hej – powiedział, delikatnie wziął drinki z jej dłoni i odstawił je na stolik. Avery niemal zapomniała o tym, że je trzyma. Zatoczyła się lekko do przodu.

– Mam cię zabrać do domu? – Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Jak zawsze wiedział dokładnie, czego chciała, nie musiała nawet mówić tego na głos. Oczywiście z wyjątkiem tej jednej rzeczy, o której nigdy nie mógł się dowiedzieć.

– Tak – odparła szybko Avery.

– No to chodźmy. – Skinął głową.

Wyszli przed mieszkanie Corda i wsiedli do przywołanego przez Atlasa hovera. Avery odchyliła się na oparcie siedzenia i zamknęła oczy, pozwalając ukoić się swojskiemu szumowi napędu magnetycznego. Wsłuchiwała się w miarowy oddech Atlasa. Wciąż powtarzała sobie, że on naprawdę

jest obok niej. Że to nie jeden z jej kolejnych snów.

Gdy wreszcie dotarli do ich penthouse'u na tysięcznym piętrze, Avery, nie ściągając nawet sukienki, padła na wznak na łóżko. Wszystko dokoła lekko wirowało.

– Dobrze się czujesz? – spytał Atlas, przysiadając na rogu ogromnej kołdry w kolorze kremowym.

– Mmmhmm – zamruczała Avery.

Będąc sama z bratem w półmroku swojej sypialni, czuła się tak dobrze jak nigdy przez ostatnie miesiące. Przysunął się do niej odrobinę, a ona zamknęła oczy. Mogła niemal udawać, że Atlas to chłopak, którego właśnie poznała na imprezie i który odprowadził ją do domu. A nie jej przyrodni brat, adoptowany w wieku siedmiu lat, ponieważ Avery była samotna, a rodzice nie mieli dla niej czasu.

– Pamiętasz, jak po raz pierwszy się tu zjawiłeś? – zapytała. Siedziała wtedy na podłodze swojego pokoju zabaw i czesała włosy lalce, kiedy nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich mama, trzymając za rękę nieco zagubionego, lecz rozglądającego się wokół z nadzieją chłopczyka. „To jest Atlas”, oznajmiła mama, a chłopiec nieśmiało się uśmiechnął. Od tego momentu Avery go uwielbiała.

– No jasne, że pamiętam – odrzekł Atlas. – Zażądałaś, żebym natychmiast poszedł z tobą do parku i ciągnął cię na hover-desce, która miała udawać statek piracki.

– Wcale nie! – Avery uniosła się na łokciach i z udawanym gniewem spiorunowała go wzrokiem.

– Nie szkodzi. Nie przeszkadzało mi to – odparł łagodnie.

Opadła z powrotem na poduszki. Jakie to dziwne, że kiedyś w jej życiu nie było Atlasa. Teraz nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić.

– Aves? – dobiegł ją głos brata. – Gdyby było coś, o czym powinienem wiedzieć, powiedziałałabyś mi o tym, prawda?

Avery otworzyła oczy i spojrzała w jego szczerą, poczciwą twarz. Chyba nie sugerował tego, o czym myślała, prawda? Nie, to niemożliwe. Atlas nie wiedział, jak to jest pragnąć czegoś, czego nigdy nie można mieć. Nie miał pojęcia, jak trudno zdusić w sobie raz rozbudzone uczucie.

– Dobrze, że wróciłeś. Tęskniłam za tobą – powiedziała.

– Ja za tobą też.

Zapadło milczenie. Avery walczyła z sennością, chciała nacieszyć się obecnością brata, ale nie miała już sił. Po chwili Atlas podniósł się i ruszył do wyjścia.

– Kocham cię – powiedział, zamykając za sobą cicho drzwi.

„Ja też cię kocham”, szepnęła w duchu z taką żarliwością, jakby to była modlitwa.

„Idę do domu”, Eris fliknęła Cordowi, nie oczekując odpowiedzi. Impreza powoli dogasała, a jego mieszkanie stopniowo pustoszało, ludzie wychodzili chwiejnym krokiem, pojedynczo lub w parach. Gdzie tylko spojrzała, Eris widziała smętne resztki po upojnej nocy: porzucone kubki, zgubione fragmenty kostiumów, zepsute dopalniczki.

Eris nie zamierzała zostawać tak długo. Przeskakiwała od jednej grupy do drugiej, aż w końcu straciła poczucie czasu. Nie była pewna, gdzie jest Cord, i czuła się zbyt zmęczona, żeby go teraz szukać. Marzyła tylko o prysznicu parowym i miękkiej pościeli.

Ruszyła do drzwi, przeglądając po drodze swoje wiadomości i nagle spostrzegła, że ma kilka nieodebranych połączeń z domu. Pochodziły sprzed kilku godzin – tańczyła wtedy na parkiecie, pamiętała, że potrzasała głową, ignorując połączenia – ale nie zarejestrowała wówczas, że to jej rodzice próbowali się z nią skontaktować. Ciekawe, o co mogło chodzić.

Dotarła do swojego mieszkania na 985 piętrze i otworzyła drzwi tak powoli, jak tylko się dało, trzymając w jednej ręce czarne buty, a w drugiej torebkę. Gdy tylko weszła do środka, wyczuła, że coś jest nie w porządku. Światła były włączone na największą możliwą moc, a z salonu dobiegał okropny, zduszony jęk. O Boże. Jej mama zanosila się szlochem.

Eris upuściła buty z głośnym łoskotem na podłogę.

– Eris? – Caroline uniosła głowę znad kanapy, na której leżała zwinięta w kłębek. Wciąż miała na sobie wieczorową suknię i na tle białych poduszek wyglądała jak szkarłatny znak zapytania.

Eris objęła mamę ramionami i przyciągnęła do siebie. Przypomniała sobie, jak rodzice wracali nocami z przyjęć, kiedy była małym dzieckiem. Słyszała stukot szpilek mamy na korytarzu – ten odgłos zawsze działał na nią uspokajająco – i bez względu na to, jak było późno, Caroline zawsze przychodziła pogłodzić Eris po włosach i opowiedzieć jej o tych wszystkich cudownych, magicznych rzeczach ze świata dorosłych, jakie widzieli tej nocy. Ileż to razy Eris zasypiała wsłuchana w głos mamy.

– Już wszystko dobrze – powiedziała łagodnie Eris, choć najwyraźniej wcale tak nie było. Rozejrzała się nerwowo po mieszkaniu. Gdzie jest tata?

– Nie, wcale nie jest dobrze. – Caroline odetchnęła głęboko i odsunęła się, żeby spojrzeć Eris w oczy. Spływające wraz z makijażem łzy pozostawiły czarne ślady na jej policzkach. – Strasznie cię przepraszam.

– Co się stało? – Eris odskoczyła gwałtownie od mamy, żeby usiąść prosto. – Gdzie tata?

– On... odszedł. – Caroline wbiła wzrok w zaciśnięte mocno na podołku dłonie, które mięły nerwowo jej wspaniałą szkarłatną suknię.

– Jak to odszedł?

– Pamiętasz ten test DNA, który dzisiaj robiłaś?

Eris kiwnęła ze zniecierpliwieniem głową. Jak mogłaby nie pamiętać: przeszła niezliczone badania,

pobrano jej wymaz z wnętrza policzka, musiała nasikać na specjalny patyczek i podpisać tyle staroświeckich papierowych dokumentów piórem z prawdziwym atramentem, że od tej obcej dla niej czynności dostała skurczu dłoni.

Bez słowa wyjaśnienia mama Eris stuknęła tylko palcem w stolik do kawy, który jak każda płaska powierzchnia w ich mieszkaniu pełnił również funkcję dotykowego ekranu. Następnie ze swojej listy wiadomości kilkoma szybkimi ruchami otworzyła załącznik. Eris pochyliła się, żeby na niego spojrzeć.

Widniała tam struktura jej DNA, której nitki miały zupełnie nierealistyczny różowy odcień gumy balonowej. Ale oczy Eris powędrowały niżej, gdzie znajdowała się niepojęta gmatwanina medycznych terminów oraz dziwacznych wykresów. Wiedziała, że jej DNA porównano z DNA taty, i już zauważyła tę informację, ale nie bardzo rozumiała, na co tak właściwie patrzy. Co to wszystko miało z nią wspólnego?

Nagle jej wzrok padł na pojedynczą linijkę na samym dole: „zgodność DNA: 0,00%”, i przytrzymała się kanapy, żeby się nie przewrócić. Poczowała jak jakieś lepkie, straszliwe macki ściskają jej gardło.

– Nie wierzę w to. – Wyprostowała się i podniosła głos: – W laboratorium musieli coś pomylić. Trzeba ich powiadomić, żeby powtórzyli test.

– Już go powtórzyli. Nie pomylili się. – Miała wrażenie, że głos mamy dobiega z bardzo daleka, jakby Eris znajdowała się pod wodą albo była przysypana górą piasku.

– Nie – powiedziała machinalnie Eris.

– To prawda, Eris.

Ta nieodwołalna pewność w głosie Caroline sprawiła, że całe ciało Eris ogarnął chłód. Nagle zrozumiała, dlaczego jej DNA nie było zgodne z DNA taty i dlaczego mama nie wydawała się tym wcale zaskoczona. Ponieważ Eris nie była biologiczną córką Everetta Radsona.

Mama zdradziła ojca i ukrywała to przed nim w tajemnicy przez osiemnaście lat.

Eris zacisnęła powieki. To nie mogło dziać się naprawdę. To niemożliwe. Może jeśli będzie tak siedzieć z zamkniętymi oczami, cała ta sytuacja zniknie niczym zły sen.

Mama wyciągnęła do niej rękę, ale Eris zerwała się na równe nogi, przewracając przy tym stolik. Żadna z nich nawet nie spojrzała w jego kierunku. Patrzyły tylko na siebie nawzajem: były bardzo podobne, a mimo to Eris miała poczucie, że nigdy dotąd nie były sobie tak obce.

– Dlaczego? – spytała. Było to jedyne słowo, jakie przychodziło jej teraz do głowy. – Dlaczego okłamywałaś mnie przez tyle lat?

– Och, Eris. Wcale nie chciałam... Nie chodziło o ciebie...

– Mówisz poważnie? To chyba jasne, że tu chodzi o mnie!

– Nie to miałam na myśli – wzdrygnęła się Caroline. – Tylko że... Wiedz, że wszystko to, co

zdarzyło się między mną a Everettem, nie jest twoją winą.

– Wiem, bo to twoja wina!

Obie na chwilę zamilkły. Cisza aż dzwoniła w uszach Eris.

– Dokąd poszedł tata? Kiedy wróci? – zapytała wreszcie.

– Nie wiem – westchnęła mama. – Przepraszam cię, Eris.

– Przestań to powtarzać! – Eris zaczęła krzyczeć. Nic nie mogła na to poradzić, nie chciała

wysłuchiwać kolejnych przeprosin. Nie miały żadnego znaczenia, jeśli osoba, której najbardziej ufała, okłamywała ją przez całe życie.

Caroline stała nieruchomo.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie bardzo trudne i pewnie masz mnóstwo pytań. Chętnie na nie odpowiem...

– Pieprzę cię i twoje zsrane wyjaśnienia – przerwała jej Eris, wymawiając dobitnie każde słowo.

Mama cofnęła się wyraźnie urażona i zszokowana, ale Eris to zignorowała. W jej głowie przewijały się kolejne związane z mamą wspomnienia: jak przychodziła budzić ją rano do szkoły, po czym przytulała się do Eris i razem zasypiały w łóżku, aż w końcu tata musiał je obie obudzić i zaśmiewał się przy tym, jakie to z nich śpiące królowny. Przypomniała sobie, jak na święta piekły razem ciasteczka, żeby zostawić je Świętemu Mikołajowi pod choinką, a potem tata zjadał je w środku nocy, nawet kiedy Eris już wiedziała, że Mikołaj nie istnieje. A każdego roku przed urodzinami mama pod pretekstem zmyślonej wizyty lekarskiej zwalniała ją ze szkoły i wybierały się we dwie na zakupy, żeby Eris mogła sobie wybrać prezenty, a potem szły do Bergdorfa na herbatę. „Twoja mama jest taka fajna”, mówiły zawsze inne dziewczyny, ponieważ ich mamy nigdy nie pozwalały im opuścić lekcji tylko dla przyjemności. Eris śmiała się wtedy i odpowiadała: „Tak, wiem, moja mama jest super”.

Wszystko to teraz wydawało jej się fałszem. Każdy gest i każde słowo były skażone wstrętnym, olbrzymim kłamstwem, na którym opierało się jej życie. Eris zamrużyła, patrząc z konsternacją w znajomą twarz mamy.

– A więc przez cały czas o tym wiedziałaś – powiedziała z goryczą.

– Nie. Nie byłam pewna – odrzekła mama. Jej oczy wezbrały łzami, ale udało jej się powstrzymać od płaczu. – Zawsze myślałam... miałam nadzieję, że Everett jest twoim tatą. Ale nie miałam pewności, aż do dziś.

– To dlaczego, do cholery, pozwoliłaś mi zrobić ten test?

– Myślisz, że gdybym wiedziała o teście, tobym cię tam puściła?! – krzyknęła mama.

Eris nie wiedziała, co powiedzieć. Nie potrafiła zrozumieć, jak jej mama mogła to zrobić jej, tacie, ich całej rodzinie.

– Proszę, Eris. Chcę to naprawić – zaczęła Caroline, ale Eris potrząsnęła głową.

– Nie odzywaj się do mnie – odparła powoli i się odwróciła.

Jakimś sposobem Eris udało się dowieść do jej okrągłego łóżka stojącego pod ścianą ogromnego kolistego pokoju. W jej piersi kłębił się strach. Nie mogła oddychać. Chwyciła nagle za wciąż mokry od łez mamy kołnierz bluzki i brutalnym ruchem ściągnęła ją przez głowę, po czym zaczerpnęła gwałtownie powietrze do płuc. Niemal na pewno słyszała, że bluzka rozdarła się na szwie.

„Czy możemy w czymś pomóc?”, odezwały się jej szkła, wyczuwając, że Eris jest na granicy płaczu.

– Zamknijcie się! – burknęła Eris i szkła posłusznie się wyłączyły.

Everett Radson nie był jej ojcem. To zdanie tłukło się o wnętrze jej czaszki niczym odbijający się rykoszetem pocisk. Biedny tata – ciekawe, co powiedział, gdy ujrzął wyniki testu. Gdzie teraz był? W hotelu? W szpitalu? Eris chciała z nim porozmawiać, ale zarazem czuła, że nie jest jeszcze na to gotowa. Wiedziała, że kiedy znów go zobaczy – kiedy naprawdę stanie z nim twarzą w twarz – ich życie będzie wyglądało inaczej, już na zawsze.

Przymknęła oczy, ale mimo to wszystko wokół wciąż wirowało. A przecież nawet się dzisiaj nie upiła. Pomyślała gorzko, że takie uczucie zapewne pojawia się wtedy, gdy życie wali się w gruzy.

Usiadła i z dziwną obojętnością zaczęła przyglądać się swojemu pokojowi. Wszędzie znajdowały się kosztowne rzeczy: kryształowy wazon z wiecznie świeżymi różami, szafa pełna delikatnych, kolorowych sukienek, robiona na zamówienie toaletka ze lśniącymi przyborami kosmetycznymi. Wszystko to, co decydowało o tym, że była Eris Dodd-Radson.

Zaczęła wolno osuwać się na poduszki, klnąc przy tym głośno, gdy nagle coś ostrego ukłuło ją w ucho. Kolczyki mamy. Zupełnie o nich zapomniała.

Wyjęła z prawego ucha kolczyk i przytrzymała go w wyciągniętej dłoni. Był taki piękny: szklana kula mieniąca się przeróżnymi kolorami niczym oko nadciągającej burzy. Piękny, rzadki, drogi prezent, który tata podarował mamie. Nagle zarówno kolczyk, jak i wszystko inne wydało się Eris niemożliwym do wytrzymania kłamstwem.

Wzięła szeroki zamach i z całej siły rzuciła kolczykiem o ścianę. Szkło rozprysło się na milion kawałeczków, które rozsypały się po podłodze niczym lśniące kropelki łez.

RYLIN

Ostatni goście wytoczyli się z mieszkania Corda do czekającego na nich hovera i Rylin westchnęła z ulgą. Wydawało jej się, że ta noc nigdy się nie skończy: przez cały czas sprzątała bałagan, jaki pozostawiali po sobie imprezowicze, i musiała udawać, że nie zauważa, w jaki sposób niektórzy z nich

na nią patrzą. Padała ze zmęczenia, a w głowie wciąż ją łupało po tym, jak zdarła z siebie plasterki komunalni. Ale na szczęście impreza u Corda wreszcie dobiegła końca.

Wyciągnąwszy w górę ramiona, Rylin podeszła do okien w salonie i spojrzała tęsknym wzrokiem na majaczącą w oddali linię horyzontu. Ekran widokowy w jej mieszkaniu były tak stare, że nie przypominały już nawet okien, lecz raczej krzykliwe rysunki przedstawiające sztuczną panoramę ze zbyt jasnym słońcem i przesadnie zielonymi drzewami. W ścianie stacji kolejki Crayne Boulevard pomiędzy Manhattanem a Jersey, koło stoiska z przekąskami, na którym pracowała Rylin, znajdowało się wprawdzie okno, ale nawet przez nie trudno było zobaczyć cokolwiek poza Wieżą, która niczym gigantyczna stalowa ropucha zasłaniała całe niebo. Rylin odruchowo przycisnęła twarz do szyby. Poczowała błogi chłód na bolącym czole.

Po dłuższej chwili oderwała się od okna i ruszyła schodami w górę, żeby odmeldować się u Corda i w końcu się wynieść. Kiedy szła, światła za jej plecami stopniowo gasły, a z kolei te nad jej głową zapalały się, oświetlając korytarz, którego ściany były obwieszane starymi obrazami. Minęła ogromną łazienkę pełną puszystych ręczników i ekranów dotykowych znajdujących się niemal na każdej płaskiej powierzchni. Cholera, pewnie nawet i chodziła po takim ekranie: była gotowa się założyć, że podłoga potrafiła odczytywać wagę ciała i podgrzewać się na życzenie. Wszystko tutaj było najlepsze, najnowsze, najdroższe. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała pieniądze. Przyśpieszyła nieco kroku.

Gdy dotarła do sali hologramowej, przystanęła z wahaniem. Wbrew jej oczekiwaniom na ścianie nie wyświetlał się film akcji ani jakaś głupawa komedia, ale stare rodzinne wideo.

– O nie! Nawet nie próbuj! – zawołała mama Corda na niezwykle żywym nagraniu 3D.

Czteroletni Cord wyszczerzył zęby w uśmiechu, trzymając w ręce wąż ogrodowy. „Gdzie to było? Gdzieś na wakacjach?”, zaczęła się zastanawiać Rylin.

– Ups! – wykrzyknął mały Cord, bez cienia skruchy kierując strumień wody na swą mamę. Pani Anderton roześmiała się, wyrzucając w górę opalone ramiona, a jej ciemne włosy zaczęły spływać wodą niczym u syreny. Rylin zapomniała, jak piękną kobietą była matka Corda.

Cord pochylił się z przejęciem, siedząc prawie na skraju skórzanego fotela. Z uśmiechem na ustach obserwował, jak tata ściga go – jako małego chłopca – po całym ogrodzie.

Rylin cofnęła się o krok. Chciała tylko...

Podłoga skrzypnęła pod jej stopami i Cord podniósł głowę, a wideo natychmiast zniknęło.

– Prze... przepraszam – wyjąkała Rylin. – Chciałam tylko powiedzieć, że już skończyłam, więc się zbieram.

Cord zlustrował powoli jej strój: obcisłe džinsy, bluzkę z głębokim dekoltem i neonowe bransoletki na nadgarstkach.

– Nie zdążyłam wrócić do domu i się przebrać – dodała Rylin, sama nie wiedząc, czemu się przed

nim tłumaczy. – Nie dałeś mi za wiele czasu.

Cord wpatrywał się w nią i nic nie mówił. Rylin zdała sobie nagle sprawę, że on jej po prostu nie rozpoznaje. Ale w sumie czemu miałyby się temu dziwić? Nie widzieli się od lat, a dokładnie od świąt Bożego Narodzenia, kiedy jego rodzice zaprosili do siebie rodzinę Rylin na ciastka i wręczanie prezentów. Rylin pamiętała, jak obie z Chrissą bawiły się w śniegu w zamkniętej szklarni, jakby znajdowały się w prawdziwej szklanej kuli ze śniegiem, jaką mama wyjmowała zawsze na święta. Cord natomiast cały czas siedział pochłonięty jakąś hologrą.

– Rylin Myers – odezwał się wreszcie Cord, jakby Rylin wpadła na jego imprezę przypadkiem, a nie przysłała tu pracować. – Do diabła, co u ciebie słychać? – Zapraszającym gestem wskazał miejsce obok siebie, a Rylin ku własnemu zaskoczeniu usiadła na drugim fotelu, podciągnęła nogi i je skrzyżowała.

– Poza obmacywaniem przez twoich przyjaciół wszystko gra – wypaliła bez zastanowienia. – Przepraszam – dodała zaraz – to była długa noc. – Ciekawe, co robili teraz Hiral i reszta paczki, jeśli w ogóle zarejestrowali jej zniknięcie.

– Większość z tych ludzi to nie są moi przyjaciele – wyjaśnił oschłym tonem Cord. Zmienił nieco pozycję i Rylin zauważyła, jak jego mięśnie prężą się pod koszulą. Nagle wyczuła, że całe to nonszalanckie zachowanie jest zwodnicze, a w rzeczywistości Cord bardzo uważnie się jej przygląda.

Przez chwilę obydwójce wpatrywali się w ciemny ekran. „Zabawne”, pomyślała Rylin. Gdyby ktoś powiedział jej wcześniej, że tę noc zakończy w towarzystwie Corda Andertona, to wybuchłaby śmiechem.

– Co to takiego? – spytał Cord, a Rylin uświadomiła sobie, że znów bawi się naszyjnikiem. Opuściła rękę na kolana.

– Naszyjnik mojej mamy – wyjaśniła, mając nadzieję, że nic więcej nie będzie musiała dodawać. Podarowała go mamie w prezencie urodzinowym i od tej pory mama go nie zdejmowała. Rylin przypomniawszy sobie ukłucie bólu, które poczuła, gdy szpital odesłał jej naszyjnik zawinięty w folię z radosną pomarańczową nalepką. Dopiero wówczas zrozumiała, że mama naprawdę nie żyje.

– Dlaczego wieża Eiffla? – wypytywał z zainteresowaniem Cord.

„A co cię to, do cholery, obchodzi?”, chciała na niego warknąć Rylin, ale się powstrzymała.

– Miałyśmy taki wspólny żart – odparła. – Mówiliśmy, że jeśli kiedyś będziemy mieć pieniądze, pojedziemy do Paryża i wybierzemy się do eleganckiej Café Paris. – Rylin postanowiła jednak nie opowiadać o tym, jak razem z Chrissą zamieniały kuchnię w szykowną francuską kawiarnię. Jak robiły berety z papieru, kredką do oczu rysowały sobie wąsy na twarzach i z okropnym francuskim akcentem serwowały „przysmak szefa kuchni”, czyli mrożonkę, która akurat w tym tygodniu była na wyprzedaży. To zawsze rozweselało mamę, nawet jeśli miała za sobą cały dzień ciężkiej pracy.

– I co, pojechaliście kiedyś do Paryża? – spytał Cord.

Pytanie było tak absurdalne, że Rylin omal się nie roześmiała.

– Rzadko kiedy w ogóle opuszczam Wieżę.

Pokój nagle rozbrzmiał wrzaskami i szumem pryskającej wody, a ekran rozświetlił się znów holowidem. Cord natychmiast go wyłączył. Jego rodzice zginęli dawno temu w katastrofie lotniczej.

– To miłe, że masz te nagrania – powiedziała Rylin, przerywając ciszę. Dobrze rozumiała, dlaczego Cord tak bardzo ich strzegł. Zachowywałyby się tak samo, gdyby tylko ona i Chrissa miały podobne filmy. – Żałuję, że nie mam więcej nagrań mojej mamy.

– Przepraszam – rzekł cicho Cord.

– W porządku, nie szkodzi. – Rylin wzruszyła ramionami, choć wiedziała, że wcale nie jest w porządku. I już nigdy nie będzie.

Rosnące między nimi napięcie zostało nagle przerwane przez gwałtowne burczenie. Rylin dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że dobiega ono z jej brzucha. Cord popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Jesteś głodna? – spytał, choć odpowiedź była przecież oczywista. – Na pewno zostało coś po imprezie, jeśli masz ochotę.

– Chętnie – odparła nieco bardziej entuzjastycznie, niż zamierzała. Nie jadła nic od obiadu.

– Następnym razem zjedz coś z kateringów podczas imprezy – oznajmił Cord, gdy wyszli z sali do wyświetlania hologramów i zaczęli schodzić w dół po krętych szklanych schodach. – Chyba powinienem był ci to wcześniej powiedzieć.

Rylin tymczasem zastanawiała się, co skłoniło Corda do stwierdzenia, że w ogóle będzie jakiś następny raz.

Gdy znaleźli się w kuchni, lodówka wesołym głosem poinformowała Corda, że jak na razie skonsumował dzisiaj cztery tysiące kalorii, z czego czterdzieści procent stanowił alkohol i według jego „Reżimu wagowego na rok 2118” nie wolno mu już nic więcej zjeść. Następnie z lodówki wysunął się podajnik ze szklanką wody.

– Reżim wagowy. Też powinnam sobie taki narzucić – powiedziała ze śmiertelnie poważną miną Rylin.

– Staram się zdrowo odżywiać. – Cord odwrócił się do lodówki. – Uruchom, proszę, tryb gościnny – wymamrotał, po czym spojrzał na Rylin, mocno się czerwieniąc (nigdy wcześniej takim go nie widziała). – Czy możesz położyć dłoń na lodówce, żeby udowodnić swoją obecność?

Rylin przyłożyła dłoń do drzwi lodówki, które posłusznie się otworzyły. Cord zaczął na chybił trafił wyciągać ze środka pojemniki, batoniki z mlekiem z pestek dyni, wielowarstwowe lasagne i jabłka. Rylin wyjęła pizzę z pudełka i ugryzła jeden kawałek. Był serowy, dobrze upieczony i doskonały, na zimno smakował chyba jeszcze lepiej niż na ciepło. Cord podał jej serwetkę, a ona zorientowała się, że sos spływa jej po brodzie, ale niespecjalnie się tym przejęła.

Cord oparł się o blat, a wtedy Rylin coś dostrzegła i wydała z siebie głośny pisk.

– O mój Boże! Czy to żelki Gummy Buddies? – wskazała ponad ramieniem Corda. – Czy po odgryzieniu głowy naprawdę się ruszają, tak jak w reklamach?

– Nigdy ich nie jadłaś?

– Nie. – Paczka takich żelków kosztowała więcej, niż obie z Chrissą wydawały na jedzenie przez cały tydzień. To były pierwsze jadalne elektroniczne słodczyce z mikroskopijnym identyfikatorem radiowym umieszczonym wewnątrz każdego żelka.

– To na co czekasz? – Cord rzucił jej paczkę. – Spróbuj.

Rylin wyjęła jasnozielonego żelka i wrzuciła go w całości do ust. Żuła go wyczekująco, jednak gdy nic się nie wydarzyło, popatrzyła podejrzliwie na Corda.

– Nie zrobiłaś tego we właściwy sposób. – Cord starał się zachować powagę. – Musisz odgryźć najpierw głowę albo nogi. Nie możesz go zjeść od razu w całości.

Rylin wyjęła kolejnego żelka i ugryzła dolną część. Elektroniczny czip w górnej połowie sprawił, że z żelka wydobył się przenikliwy wrzask.

– Cholera! – krzyknęła Rylin, upuszczając głowę żelka na podłogę. Głowa podrygiwała koło jej stóp, aż Rylin zrobiła krok w tył.

Cord zaśmiał się, podniósł resztkę żelka i wrzucił go do kosza, który zassał go do sortowni śmieci.

– Masz, spróbuj raz jeszcze – powiedział, wyciągając do Rylin torebkę z żelkami. – Po odgryzieniu głowy nie krzyczą, tylko się poruszają.

– Dzięki, wystarczy. – Rylin założyła kosmyk włosów za ucho i zerknęła na Corda. Sposób, w jaki na nią patrzył, sprawił, że odebrało jej głos.

Nagle Cord zbliżył się do niej i pochylił głowę nad jej ustami.

W pierwszej chwili Rylin była zbyt zaskoczona, by w jakikolwiek sposób zareagować. Cord pocałował ją powoli, wręcz ospale, przyciskając ją do kuchennej lady. Jej krawędź wbiła się ostro w biodro Rylin, gwałtownie ją otrzeźwiając. Rylin położyła obie dłonie na klatce piersiowej Corda i mocno go odepchnęła.

Skrzyżowała ramiona na piersi, podczas gdy Cord zatoczył się do tyłu. Miał nieco nierówny oddech, lecz w jego oczach czaiło się rozbawienie, a kąciki ust uniosły się w delikatnym uśmiechu.

W spojrzeniu Corda było coś takiego, że Rylin zatrzęsała się z gniewu. Była na niego wściekła za to, że śmieje się z tej sytuacji, na siebie zaś – że w ogóle do niej dopuściła i że w głębi duszy, choć tylko przez krótką chwilę, naprawdę jej się to podobało.

Bez namysłu uniosła rękę i uderzyła Corda w policzek. Powietrze przeciął ostry odgłos przypominający smagnięcie biczem.

– Przepraszam – odezwał się wreszcie Cord, przerywając pełne napięcia milczenie. – Najwyraźniej źle odczytałem sytuację.

Rylin widziała, jak na policzku chłopaka rozkwita czerwony ślad po jej dłoni. Posunęła się za daleko. Cord nie zapłaci jej za dzisiejszą noc i cała ciężka praca pójdzie na marne.

– Yyy, chyba powinnam już się zbierać.

Rylin była już w drzwiach wyjściowych, gdy usłyszała za sobą kroki.

– Hej, Myers! – zawołał za nią Cord. – Łap!

Rylin odwróciła się i złapała w powietrzu paczkę żelków Gummy Buddies.

– Dzięki – powiedziała nieco zmieszana, ale drzwi właśnie się zatrzasnęły. Rylin oparła się o nie i przymknęła oczy, próbując zebrać myśli. Piekły ją usta, a wokół talii wciąż czuła mocny uścisk Corda.

Westchnęła ze złością, po czym zbiegła po trzech ceglanych schodach i ruszyła w dół wyłożonej włóknami węglowymi ulicy.

Przez całą czterokilometrową drogę do domu Rylin odrywała jedną po drugiej głowy żelkom, pozwalając, by ich ciche wrzaski wypełniały pusty wagonik windy.

WATT

– Watt! – Maleńka różowa postać rzuciła się w jego kierunku, gdy pojawił się na drugi dzień w domu.

– Cześć, Zahra. – Watt zaśmiał się, biorąc w ramiona swoją pięcioletnią siostrę. Jej ciemne kręcone włosy były czymś pozlepiane, a tiara od kostiumu sterczała niepewnie na czubku głowy dziewczynki. Watt zauważył, że spodnie od piżamy, które kiedyś wlokły się za nią po ziemi, teraz ledwo sięgały jej do połowy łydki. Musi kupić siostrze nową piżamę, gdy tylko znowu uda mu się coś zarobić. Zahra zachichotała, po czym zniecierpliwiona wyrwała się z objęć Watta i pobiegła z powrotem do salonu, gdzie jej brat bliźniak Amir budował coś z klocków z plastipianki.

– To ty, Watzahn?! – mama Watta zawołała z kuchni.

– Słucham, mamó! – To nigdy nie wróżyło niczego dobrego, gdy mama używała jego pełnego imienia.

„Mógłbyś się najpierw przebrać”, zasugerowała Nadia, ale Watt stał już w drzwiach do kuchni. Shirin pochylała się nad płytą kuchenki, zalewając wodą danie błyskawiczne z kluskami. Watt pamiętał, że zanim urodziły się bliźniaki, mama przyrządzała od zera wymyślne perskie potrawy, na przykład duszoną jagnięcinę z warzywami, a do tego złocistą pitę i ryż przyprawiony sumakiem. Potem nieoczekiwanie zaszła w ciążę i w ogóle przestała gotować, ponieważ, jak twierdziła, zapach przypraw wywoływał u niej mdłości. Ale nawet po narodzinach bliźniaków perskie potrawy nigdy nie wróciły do ich domu. Nie było już na nie czasu.

Shirin ustawiła kuchenkę na wysoką temperaturę i obróciła się do Watta.

– Cały czas byłeś u Derricka? – zapytała, zerkając na wymięte ubranie syna. Watt się zaczerwienił. Nadia się nie odezwała, ale niemal czuł, że pomyślała: „A nie mówiłam”.

– Tak, zostałem u niego wczoraj na noc – odparł Watt, ale mama patrzyła tylko na niego beznamiętnie. – Dziś jest ostatni dzień wakacji i chcieliśmy dokończyć tę grę... – urwał.

Była to jednak prawda. Nie spędził wczoraj ani chwili u dziewczyny od martini z kałamarnicy. Nadia miała rację: laska nie miała nic ciekawego do powiedzenia, a poza tym czuł się głupio, że wyszedł razem z nią z klubu. Praktycznie zaraz wykręcił się jakąś wymówką i poszedł do domu Derricka. Spędził u niego noc, a rano we dwóch zjedli olbrzymie kanapki przyniesione z piekarni i na małym ekranie w salonie oglądali piłkę nożną. To nie do końca było tak, że Watt unikał swojego domu. Ale Derrick nie miał dwójki młodszego rodzeństwa, które wymagało nieustannej uwagi. Jego rodzice pozwalali mu zazwyczaj robić, na co tylko miał ochotę, o ile oceny były w porządku.

– Byłeś mi dzisiaj potrzebny. – W głosie mamy pobrzmiwała raczej rezygnacja niż gniew. – Bliźniaki miały po południu badania kontrolne. Nie mogłam cię znaleźć, więc musiałam poprosić Taszę, żeby mnie zastąpiła w ośrodku. Teraz do końca tygodnia będę musiała brać podwójne zmiany, żeby to odrobić.

Watt poczuł się jak skończony gnojek.

– Trzeba było dać mi znać – powiedział bez przekonania, bo jak podejrzewał, pewnie wczoraj wieczorem zignorował połączenie od mamy.

– Byłeś zbyt zajęty tą swoją hologrą – rzekła z wyrzutem mama, po czym westchnęła. – Nic się nie stało. Zawołaj brata i siostrę.

Rozłożyła na stole talerze i łyżki, tymczasem znów otwarły się drzwi do domu, wywołując kolejne pełne radości piski Zahry. Chwilę później w kuchni pojawił się tata, trzymając na każdym z bioder po bliźniaku. Zazwyczaj musiał pracować znacznie dłużej niż dziś, więc jego obecność na kolacji należała do naprawdę wyjątkowych okazji.

– Kolacja gotowa, Rashid. – Mama przywitała tatę, z lekkim znużeniem całując go w policzek.

Wszyscy stoczyli się wokół małego stołu. Watt wkładał do ust kluski i warzywa z puszki, nie poświęcając zbyt wiele uwagi ich smakowi, choć trudno stwierdzić, by w ogóle miały jakiś smak. Był zły na mamę, że wywołała w nim poczucie winy. Co w tym złego, że raz na jakiś czas chce się trochę rozerwać w barze w śród-Wieży? Albo spędzić ostatni dzień wakacji w towarzystwie kumpla?

Gdy tylko Zahra zaczęła ziewać, jednocześnie zaciskając nad głową dłonie w drobne piąstki, Watt podniósł się jak na wezwanie.

– Zaraz odjeżdża pociąg do łóżeczka! Proszę wsiadać, drzwi zamykać! – zakomunikował basowym głosem.

– Ciuch, ciuch! – zawołali Zahra z Amirem i przytruchtali do starszego brata. Oczywiście kursująca po Wieży kolejka była zupełnie cicha, ale bliźniaki oglądały mnóstwo holograficznych bajek ze starymi pociągami i uwielbiały wydawać z siebie ten dźwięk. Tata przyglądał się całej trójce z uśmiechem. Mama natomiast zacisnęła usta i nie rzekła ani słowa.

Watt poprowadził dzieciaki krętymi, wyobrażonymi torami kolejowymi do końca korytarza. Ich pokój był maleńki, ale i tak większy od jego sypialni: w zasadzie należał on kiedyś do Watta, ale kiedy bliźniaki się urodziły, musiał się przenieść do małej klitki. Przyćmione światło słabo oświetlało wbudowane w ścianę piętrowe łóżko. Watt stale próbował przekierować mocniejsze zasilanie do pokoju dzieciaków, ale to wciąż nie wystarczało. Miał nieprzyjemne przeczucie, że to jego wina, ponieważ sprzęt, jaki zainstalował u siebie w pokoju, pożerał zbyt dużo prądu.

Watt pomógł rodzeństwu wyczyścić laserowo zęby i ułożył dzieciaki do łóżek. Nie było tu oczywiście komputera pokojowego, ale Nadia sprawdziła podstawowe funkcje życiowe bliźniaków, przeanalizowała ich oddech oraz ruchy gałek ocznych. Gdy potwierdziła, że oboje już śpią, Watt cicho zamknął drzwi i poszedł w głąb korytarza do swojej prowizorycznej sypialni.

Opadł z ulgą na ergonomiczne krzesło obrotowe, które zwędził ze zlikwidowanego biura, i stuknął palcem w ekran o wysokiej rozdzielczości na blacie biurka zajmującego większość pokoju. Łóżko stało wsunięte daleko w kąt, ubrania były upchnięte wysoko pod sufitem na hover-półkach. Nadia oczywiście nie potrzebowała żadnego ekranu, ponieważ w zasadzie wszystko mogła wyświetlić bezpośrednio na szklach Watta. Ale Watt i tak lubił surfować w tradycyjny sposób po iNecie, gdy tylko miał ku temu okazję. Nawet on uważał czasami, że zastępowanie całego pola widzenia cyfrowymi szklami kontaktowymi jest dość dziwaczne.

Przejrzał wszystkie wiadomości, jakie dostał od dziewczyn poznanych wczoraj w Pulsie, po czym, na żadną z nich nie odpisując, zamknął pocztę. Następnie zalogował się na H@cker Haus, swojej ulubionej stronie darknetowej, na której pojawiały się ogłoszenia dotyczące „usług informatycznych”.

Rodzinie Watta nieustannie brakowało pieniędzy. Jego rodzice przeprowadzili się z Isfahanu do Nowego Jorku przed jego urodzeniem, kiedy Wieża była jeszcze nowa, a cały świat zachwycał się jej powstaniem. Jakiś czas później Dubaj, Hongkong i São Paulo wybudowały własne tysiącpiętrowe megawieżowce. Watt wiedział, że rodzice wyemigrowali ze względu na niego, z nadzieją że będzie tu miał szansę na lepszą przyszłość.

Nie wszystko jednak układało się tak, jakby sobie tego życzyli. W Iranie tata studiował budowę maszyn na jednym z czołowych uniwersytetów, a mama była na studiach medycznych. Tutaj Rashid pracował, reperując przemysłowe systemy chłodzenia i kanalizacji. Aby było ich stać na utrzymanie mieszkania, mama musiała się zatrudnić jako opiekunka w domu spokojnej starości. Nigdy się nie skarżyli, ale Watt wiedział, że nie jest im lekko. Całymi dniami harowali albo waląc młotkiem, albo

użerając się ze zrzedliwymi starszankami, a potem musieli jeszcze zająć się rodziną i bez względu na to, jak bardzo się starali, z pieniędzmi zawsze było krucho. Zwłaszcza teraz, gdy bliźniaki zaczęły podrastać.

Dlatego właśnie Watt sam zaczął odkładać pieniądze na studia. A konkretnie na MIT. Tamtejszy program inżynierii mikrosystemowej był najlepszy na świecie, poza tym te studia stwarzały Wattowi najlepszą szansę na to, że pewnego dnia będzie mógł pracować na nielicznych legalnych kwantach, które pozostały jeszcze na ziemi i które należały do NASA oraz ONZ. Postanowił zresztą nie składać podań na żadne inne uczelnie. Rodzice martwili się, że jest uparty i zbyt pewny siebie, ale Watt się tym nie przejmował: wiedział, że się dostanie. Jedyne pytanie brzmiało: jak zapłaci za naukę? Ubiegał się o rozmaite stypendia i zdobył kilka niewielkich grantów, ale nawet nie zbliżył się do sumy, jaką trzeba zapłacić za cztery lata na drogim prywatnym uniwersytecie.

Tak więc Watt zaczął zarabiać pieniądze w inny sposób: penetrował ciemniejszą sferę iNetu, szukając ogłoszeń dotyczących – jak to się eufemistycznie nazywało – „usług informatycznych”. Innymi słowy, zajął się hakowaniem. Wspólnie z Nadią fałszowali dane dotyczące zatrudnienia, zmieniali stopnie uczniom, włamywali się nawet na konta flikowe osób podejrzewanych o zdradę przez małżonków lub partnerów. Tylko raz spróbowali włamać się do bankowego systemu bezpieczeństwa, ale niemal natychmiast się wycofali: Nadia wykryła pędzącego w jej stronę wirusa i czym prędzej się wyłączyła.

Po tej przygodzie Watt starał się trzymać z dala od wszystkiego, co wydawało mu się zbyt nielegalne. Ale kiedy tylko mógł, podejmował się różnych zleceń, po czym większość zarobionych pieniędzy odkładał na koncie oszczędnościowym, a resztę oddawał rodzicom. Wiedzieli, że Watt zna się na nowych technologiach, więc kiedy mówił im, że dorabia sobie przez internet, udzielając rozmaitych porad technicznych, nie mieli powodu, by mu nie wierzyć.

Watt, tłumiąc ziewnięcie, zaczął przeglądać ogłoszenia na H@cker Haus. Jak zwykle większość z nich była zbyt absurdalna albo zbyt niebezpieczna, by mógł się ich podjąć, ale oznaczył kilka, żeby później przyjrzeć się im dokładniej. Zwłaszcza jedno zwróciło jego uwagę: prośba o informację na temat zaginionej osoby. Zazwyczaj była to łatwa robota, jeśli poszukiwany wciąż przebywał w kraju. Nadia już dawno włamała się do krajowego systemu kamer bezpieczeństwa i dzięki technice rozpoznawania twarzy potrafiła w ciągu paru minut namierzyć każdą osobę. Tym razem jednak Watt z zaciekawieniem uniósł brew. To z pewnością nie była zwykła prośba.

Autor postu szukał informacji o osobie, która zaginęła w zeszłym roku, ale już się odnalazła: „Muszę wiedzieć, gdzie był przez cały ten czas i dlaczego wrócił do domu”. Wydawało się to dość łatwe.

Watt błyskawicznie napisał odpowiedź, przedstawiając się jako Nadia – posługiwał się tym imieniem przy wszystkich swoich hakerskich fuchach, no bo w sumie czemu nie? – i zapewnił, że z radością pomoże. Osunął się na oparcie, bębniąc palcami w podłokietnik.

„Brzmi interesująco – odpisał autor postu. – Ale potrzebuję dowodu, że naprawdę jesteś w stanie

zrobić to, co obiecujesz”.

Proszę, proszę. Nowicjusz. Każdy, kto regularnie pojawiał się na tym forum, na tyle dobrze znał Watta, by wiedzieć, że jest profesjonalistą. Ciekawe, kim był ten nowy?

„Nadia, czy możesz...”

„Tak”, odparła Nadia, wiedząc, jakie będzie pytanie, zanim Watt je w ogóle dokończył. Następnie przełamała zabezpieczenia nadawcy, aby odkryć fizyczny adres jej komputera. „Mam. Oto ona”.

Na ekranie wyświetlił się profil feedowy dziewczyny. Była w wieku Watta i mieszkała tutaj, w Wieży, na 962 piętrze.

„Co masz na myśli?”, napisał do niej lekko zaintrygowany.

„Osoba, o którą mi chodzi, to Atlas Fuller. Powiedz mi o nim coś, czego nie wiem, a robota będzie twoja”.

Nadia natychmiast zlokalizowała Atlasa. Był u siebie – w apartamencie na tysięcznym piętrze. To ci dopiero. Ten koleś naprawdę mieszkał na tysięcznym piętrze? Wprawdzie Watt nie zastanawiał się zbyt nad penthouse’em na szczycie Wieży, ale nigdy by nie pomyślał, że mieszka tam nastolatek. „Co za idiota – przyszło do głowy Wattowi. – Po co uciekał, skoro miał takie życie?”

– Czy możemy włamać się do jego domowego komputera? – spytał Nadie, mając nadzieję, że może uda im się zrobić Atlasowi fotkę w jego sypialni.

Ale tym razem Nadia nie miała szczęścia.

– To niewiarygodnie skomplikowany system – oznajmiła Wattowi, co znaczyło, że jego złamanie mogłoby zająć całe tygodnie. Lepiej znaleźć coś od razu. Ta robota była zbyt dobra, żeby ją stracić.

– Spróbujmy więc dobrać się do jego wiadomości.

To powinno być łatwiejsze. Nadia błyskawicznie dotarła do ostatnich wiadomości Atlasa. Kilka zostało wysłanych do chłopaków, którzy nazywali się Ty Rodrick i Maxton Feld, a pozostałe do kogoś o imieniu Avery. Nie było w nich niczego sensacyjnego, ale Watt i tak przesłał je wszystkie do dziewczyny.

Kilka minut później przyszła odpowiedź: „Gratulacje, masz tę robotę. Chcę dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co Atlas robił przez miniony rok”.

„Jak sobie życzysz”, Watt nie mógł sobie darować małej złośliwości.

„W dodatku – ciągnęła dziewczyna, nie wyczuwając sarkazmu w odpowiedzi Watta – proponuję cotygodniową zapłatę w zamian za wszelkie bieżące informacje na jego temat: co robi, gdzie chodzi, wszystko, co się da. To wyłącznie dla jego bezpieczeństwa”, zakończyła niezbyt przekonująco.

„Dla jego bezpieczeństwa, dobre sobie”, pomyślał ze śmiechem Watt. Z daleka potrafił rozpoznać post napisany przez zakochaną, lecz odtrąconą osobę. To musiała być albo była dziewczyna Atlasa, która

usiłowała go odzyskać, albo jego obecna dziewczyna, która obawiała się, że Atlas ją zdradza. Tak czy owak ta robota była cholerną kopalnią złota. Watt nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś szukał hakera na stałe: większość ogłoszeń na H@cker Haus dotyczyła jednorazowych akcji, ponieważ taka była natura tej profesji. A ta dziewczyna chciała mu płacić co tydzień tylko za śledzenie jej ukochanego. To była łatwa forsa i Watt nie zamierzał tego schrzanić.

– Ledo Cole – powiedział na głos Watt, wciskając „wyślij” – interesy z tobą to czysta przyjemność.

LEDA

– Dzień dobry, panno Cole – powiedział Jeffrey, portier w klubie Altitude, gdy nazajutrz Leda podeszła do szybu windy. Altitude oczywiście miał biozabezpieczenia i Leda wiedziała, że gdy tylko weszła do środka, siatkówka jej oka została zeskanowana. Ale obecność Jeffreyego nadawała klubowi osobistego, staroświeckiego charakteru, który decydował o tym, że członkostwo w Altitude tyle kosztowało. Jeffrey był stałym elementem klubu i praktycznie człowiekiem instytucją: zawsze przy windzie, w białych rękawiczkach, zielonej marynarce i z serdecznym uśmiechem na pooranej zmarszczkami twarzy.

Jeffrey odsunął się na bok, a Leda weszła do olbrzymiej mosiężnej windy przeznaczonej wyłącznie dla członków klubu. Drzwi zamknęły się za nią ze znajomym szcęknięciem i winda poniosła ją z 930 piętra, gdzie znajdowało się główne wejście, ponad korty tenisowe i pomieszczenia spa, na główne piętro klubu.

Wyłożone lśniącym, ciemnym mahoniem ściany holu Altitude zdobiły portrety nieżyjących członków. Przez sięgające od podłogi do sufitu okna z północnej i zachodniej strony Wieży wpadało światło słoneczne. Leda nonszalancko powiodła wzrokiem po grupkach osób skupionych wokół pustych kominków oraz siedzących na kanapach, próbując wypatrzeć wśród nich Atlasa. Jeśli ta „Nadia”, jak się sama nazywała, miała rację, to Atlas właśnie powinien skończyć partię squasha.

Leda wciąż nie mogła uwierzyć, że zamieściła ogłoszenie na tej podejrzanej stronie. Potwornie się denerwowała – ale też czuła się odrobinę podekscytowana – robiąc coś tak niebezpiecznego i nielegalnego.

Najpierw próbowała upgrade’ować swój system zabezpieczeń, ale i tak nie mogła być pewna, czy Nadia nie wie o niej więcej, niż powinna, na przykład kim jest i dlaczego interesuje się Atlasem. „A co mi tam – pomyślała. – To i tak nie ma większego znaczenia”. Zresztą ta cała Nadia pewnie nie mieszka w Wieży i nie wiadomo nawet, czy jest dziewczyną. A Leda, gdy tylko dostanie to, na czym jej zależy, nie ma zamiaru już nigdy się z nią – lub też z nim – kontaktować.

Chwilę później dostrzegła wychodzącego z szatni Atlasa. Miał na sobie koszulkę polo w delikatnym

niebieskim kolorze, który znakomicie podkreślał mokre po prysznicu włosy o barwie karmelu. „Dobra robota, Nadio”, pomyślała Leda.

– Atlas – powiedziała, mając nadzieję, że zabrzmiała dostatecznie naturalnie. – Co ty tutaj robisz?

– Właśnie skończyłem grać w squasha z Davidem Yorkiem. – Twarz Atlasa rozjaśniła się w uśmiechu.

– Wygląda na to, że wszystko wraca do normalności – oznajmiła Leda, nieco bardziej sarkastycznie, niż zamierzała. Ciekawe, co też Fullerowie myśleli o pojawieniu się Atlasa, o tym, jak bez zapowiedzi zmaterializował się na imprezie u Corda i wrócił, jak gdyby nigdy nic się nie stało, do ich życia. Ale przecież to właśnie państwo Fullerowie mieli obsesję na punkcie zachowywania pozorów, więc ta iluzja normalności była pewnie ich pomysłem.

– Jeśli o to chodzi – westchnął Atlas – chciałbym ci wszystko wyjaśnić, ale to skomplikowane.

„Jak zawsze w twoim przypadku”, skomentowała w myślach Leda.

– Po prostu cieszę się, że wróciłeś.

– Ja też – odparł cicho Atlas, po czym rozejrzał się po klubie, jakby dopiero teraz zauważył, jaki wokół panował ruch. Dzieci szły na popołudniowe lekcje tenisa, znajomi umawiali się na drinka na ogrodzonym tarasie. – Przepraszam, czekasz tu na kogoś?

– Szłam właśnie do baru z sokami – skłamała Leda. – Przyłączysz się?

– Dalej pijecie z Avery sok ze szpinaku? – zaśmiał się Atlas, kręcąc głową. – Dzięki, chyba sobie odpuścę. A może wolałabyś pójść do grill-baru?

– Chyba mam trochę czasu – odparła obojętnym tonem Leda, choć właśnie na takie zaproszenie liczyła.

Przecieli hol, weszli do baru z grillem i usiedli przy stoliku obok okna. Mimo że Leda uwielbiała panoramę, jaka się stąd roztaczała, zajęła miejsce plecami do fleksiglasu, tak aby widzieć całą restaurację. Lubiała mieć oko na wszystkich wchodzących i wychodzących.

– Nie byłam tu od wieków – przyznała, gdy już usiedli. Przypomniała sobie nagle czasy gimnazjum, zanim jej rodzina została przyjęta do klubu, kiedy to Leda zostawała na noc u Avery, a potem w sobotę przychodzili tu z Fullerami na brunch. Obie z przyjaciółką nakładały sobie kopiaste talerze białek jajecznych oraz ciasta cytrynowego i próbowały ukradkiem upić odrobinę ponczu, podczas gdy Atlas patrzył z dezaprobatą na ich wygłupy i wymieniał wiadomości ze znajomymi.

– Tak, ja też – przytaknął Atlas, po czym wybuchnął śmiechem. – To chyba oczywiste.

Do ich stolika podszedł Drew, który pracował w grill-barze jako kelner, odkąd tylko Leda sięgała pamięcią.

– Panno Cole. I pan Fuller! Wszyscy się cieszymy, że pan wrócił.

– Ja też się cieszę – uśmiechnął się Atlas.

– Podać coś do picia?

– Prawdę mówiąc, napiłbym się piwa – oznajmił Atlas, a Drew mrugnął do niego porozumiewawczo. Atlas ukończył niedawno osiemnaście lat, więc mógł już legalnie kupować alkohol, ale Drew od dawna podawał im po kryjomu drinki.

– Dla mnie mrożona herbata, dziękuję – mruknęła Leda.

– A nie Baileys? – zażartował Atlas, gdy Drew się oddalił.

– Wiesz, że takie trunki pijam tylko podczas wypraw w Andy. – Leda starała się zachować spokój, ale serce łomotało jej jak szalone. Co on wyprawiał? Co też miał na myśli?

– A tak w ogóle to dzięki za tamtą noc – ciągnął Atlas. Leda zamarła na moment. – Chodzi mi o Avery – wyjaśnił. – Miałaś rację, była kompletnie pijana. Gdy skończyłem grać w spinnera, musiałem odstawić ją do domu.

– No tak, jasne – przytaknęła Leda, ukrywając zmieszanie. Zmyśliła, że Avery jest pijana, żeby wykręcić się od gry w spinnera. Dlatego teraz tak bardzo zaskoczyło ją, że Avery faktycznie się upiła, zazwyczaj bowiem nie trzeba jej było odprowadzać pijanej do domu. Oby wszystko było z nią w porządku.

– W każdym razie... – zaczął Atlas, a Leda znów poczuła ekscytację, jakby jego uwaga była skupiona wyłącznie na niej. Było to przerażająco uzależniające uczucie. – Kompletnie wypadłem z obiegu. Opowiedz mi o wszystkim, co mnie ominęło przez ten rok.

Leda dobrze wiedziała, że Atlas próbował odwrócić od siebie uwagę i unikać pytań o to, gdzie był i co robił, gdy zniknął. W porządku, mogła przystać na jego reguły gry.

– Na pewno już wiesz o Eris i Cordzie – zaczęła Leda, zaczerpnąwszy krótki oddech, żeby się uspokoić. Próbowała wyrecytować w myślach jakąś medytacyjną mantrę, ale nic nie przyszło jej do głowy. – A słyszałeś o tym, co zrobiła Anandra?

Leda opowiedziała mu więc o serii kradzieży, których dopuściła się Anandra Khemka, o tym, że rodzice Graysona Baxtera wrócili do siebie, o Avery i Zayu, i o wszystkim, co wydarzyło się przez miniony rok. Na szczęście Atlas nie zauważył, że nie wdawała się zbytnio w szczegóły, jeśli chodzi o to, co działo się w wakacje. Tylko słuchał i kiwał głową, a w pewnym momencie zaproponował nawet, żeby zamówili na spółkę porcję nachos.

– Jasne – zgodziła się Leda, starając się nie przywiązywać do tego zbyt dużej wagi. Było jednak coś intymnego w jedzeniu z tego samego talerza, ich dłonie nieustannie ocierały się o siebie, gdy sięgali po tę samą przekąskę z dipem z awokado. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy też to spotkanie coraz bardziej przypominało randkę?

W końcu pojawił się Drew. Na ekranie w blacie stolika wyświetlił się rachunek: granatowe holograficzne liczby na białym tle.

– Mam policzyć wasze zamówienia osobno...? – zaczął Drew, ale Atlas machnął ręką na znak, żeby wszystko dopisać do rachunku Fullerów.

– Wykluczone. Ja stawiam – oznajmił.

Może chciał tylko zachować się jak dżentelmen... a może Leda miała rację i to spotkanie naprawdę zamieniło się w randkę.

– Masz jakieś plany na ten tydzień? Może byśmy zrobili coś razem? – odważyła się zapytać.

Zdawało się, że czas zatrzymał się w miejscu, tak jak tuż przed egzaminami, gdy Leda łykała pigułkę xenperedrenu. Atlas położył dłoń tuż obok na stoliku, a Leda nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak przed dziesięcioma miesiącami wsunął jej tę samą dłoń we włosy i odchylił głowę do tyłu. Ciekawe, czy myślał o tamtej nocy w taki sam sposób jak ona. Czy zastanawiał się, do czego mogłoby dojść między nimi, gdyby nie wyjechał?

Leda podniosła oczy i napotkała jego wzrok. Serce waliło jej tak głośno, że w zasadzie nic nie słyszała. Atlas zamierzał jej coś powiedzieć. Leda nachyliła się...

– Hej! – Avery usiadła na krześle tuż obok niej i wyciągnęła przed siebie doskonale wyrzeźbione, opalone ramię. – Rany, ta antygravitacyjna joga była dzisiaj mordercza. Co u was słychać?

– Cześć, Avery. – Leda uśmiechnęła się, ukrywając rozczarowanie, że jej przyjaciółka pojawiła się akurat w takim momencie. Jak to się stało, że nie zauważyła jej przybycia? Tak bardzo skupiła się na Atlasie, że zapomniała obserwować wejście do restauracji, jak to zwykle robiła.

– Brakowało mi cię na jodze, Leda – rzuciła Avery, nie był to jednak wyrzut, raczej pytanie. Obrzuciła spojrzeniem Ledę i Atlasa, jego pusty kufel po piwie i resztki nachos na talerzu.

Leda poruszyła się na krześle lekko skrępowana. Tak bardzo ucieszyły ją informacje od Nadii na temat Atlasa, że zapomniała odpowiedzieć Avery na flika o tym, czy się dzisiaj spotkają.

– No wiesz – powiedziała zawstydzona. – Wpadłam tu tylko na sok. Przez cały dzień nic nie robiłam.

– A ja namówiłem ją, żeby poszła ze mną na nachos. Przepraszam, że nic dla ciebie nie zostawiliśmy. – Atlas wskazał na prawie pusty talerz.

– Nie ma sprawy. – Avery wbiła z powrotem wzrok w Ledę. – Wracacie teraz do domu? Weźmiemy na spólkę hovera?

– Czemu nie. To co, idziemy? – Atlas zwrócił się do Ledy.

– Jasne – odparła, tłumacząc sobie, że przecież niedługo będzie miała więcej czasu, żeby pobyć z Atlasem sam na sam. Jeśli Nadii już raz udało się to załatwić, to na pewno może zrobić to ponownie.

Gdy ruszyli do wyjścia, Avery odciągnęła nieco Ledę do tyłu.

– Możemy porozmawiać o wczorajszej nocy?

– Pewnie. Przepraszam, że wyszłam, nic ci nie mówiąc – odparła Leda, udając, że nie wie, o co

chodzi. – Nagle ogarnęło mnie potworne zmęczenie, a nie mogłam cię znaleźć, żeby się pożegnać. Wiesz, jak to czasem jest.

– Chodzi mi o to, co zaszło wcześniej. Nie chciałam cię naciskać w sprawie...

– Już powiedziałam, że nic się nie stało – przerwała jej Leda tonem ostrzejszym, niż zamierzała. Ale serio, czy Avery nie potrafiła zrozumieć aluzji?

– No dobra. Jeśli jednak zechcesz o tym porozmawiać, możesz na mnie liczyć.

– Dzięki. – Leda zerknęła nieufnie na Avery i postanowiła przejść do kontrataku. – A co z tobą? Atlas powiedział, że pod koniec imprezy byłaś naprawdę nieźle pijana. Podobno musiał cię zabrać do domu.

– To pierwsza impreza po powrocie z wakacji i chyba trochę przeholowałam. – W głosie Avery słychać było jakiś dziwny ton, ale Leda nie potrafiła rozpoznać, co może się za nim kryć.

– Rozumiem. To była świetna impreza – przyznała, nie bardzo wiedząc, dlaczego nagle poczuła się zakłopotana.

– Zdecydowanie – dodała Avery, nawet nie patrząc na Ledę. – Było super.

Nie odzywały się już do czasu, aż dogoniły Atlasa przy wyjściu. Leda nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni nie miały z Avery o czym rozmawiać.

„Ale też nigdy wcześniej nie miałam przed nią żadnych sekretów”, pomyślała. Nagle Atlas odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do nich obu i Leda zdała sobie sprawę, że to wcale nie była prawda: jej największy sekret stał właśnie naprzeciwko niej.

Miała tylko nadzieję, że nie był to zarazem jej największy życiowy błąd.

AVERY

– A więc stoję sama na deszczu na brukowanej ulicy i nie mogę złapać sygnału, no bo wiecie, Florencja to technologiczne średniowiecze, a tu nagle nadchodzi grupa dzieciaków ze śród-Wieży! – Avery opowiadała tę historię prawie na autopilocie, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Umiejętności tej nauczyła się od swojej mamy. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z dziwnego uczucia, które ogarnęło ją, gdy ujrzała Ledę i Atlasa we dwójkę. „To przecież nic nie znaczy”, powtarzała sobie, lecz w głębi ducha wiedziała, że to nieprawda. Dla Ledy to z pewnością coś znaczyło.

Gdy Avery zobaczyła ich w restauracji, uśmiechnęła się i pomachała do nich, by po chwili opuścić rękę. Oboje byli tak pochłonięci rozmową, że nawet jej nie zauważyli. Przez chwilę zastanawiała się, o czym tak rozmawiają, a potem zauważyła wyraz twarzy Ledy i nagle poczuła, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch.

Ledę łączyło coś z Atlasem.

Ale dlaczego jej o tym nie powiedziała? „Ponieważ Atlas to twój brat”, odpowiedział jej głos rozsądku, ale Avery czuła się zbyt zszokowana i zraniona, żeby myśleć racjonalnie. „Ja i Leda nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic”, pomyślała z goryczą, zapominając, że sama miała przed przyjaciółką dokładnie taką samą tajemnicę.

Spokoju nie dawała jej również nerwowa, napastliwa reakcja Ledy, gdy przyłapała ją na kłamstwie w sprawie wakacji. „Daj sobie z tym spokój, dobrze?!”, wykrzyknęła Leda i Avery w zasadzie chciała dać temu spokój, ale zachowanie przyjaciółki mocno ją zaniepokoiło. Nagle ogarnęła ją złość. Tak bardzo martwiła się o Ledę, że zamierzała ją odwiedzić w drodze z jogi do domu, a tymczasem ona przez cały ten czas zajadała nachos i flirtowała z Atlasem.

Od kiedy to zaczęły z Ledą tyle przed sobą ukrywać?

– I co się wtedy stało? – Atlas spytał Avery.

Avery obróciła się na siedzeniu, żeby odpowiedzieć. Z egoistycznych, ale i strategicznych pobudek zajęła w hoverze środkowe miejsce.

– Zaproponowali, że pomogą mi znaleźć mój pensjonat! Bo włożyłam twoją starą bluzę hokejową, a oni najwyraźniej grali przeciwko nam w zeszłym roku. Uwierzylibyście w to? Ekipa dwukilometrowców w samym środku Włoch! Co za zbieg okoliczności!

– Niewiarygodne – przyznała bezbarwnym tonem Leda, a Avery ogarnął wstyd za sposób, w jaki opowiedziała tę historię. „Dwukilometrowcy” to określenie, jakiego ludzie z najwyższych piętér używali w odniesieniu do mieszkańców rozległych przedmieść w środkowej części Wieży znajdujących się dokładnie dwa kilometry nad powierzchnią ziemi. Leda sama była kiedyś dwukilometrowcem.

– Nie mogę uwierzyć, że nosiłaś za granicą tę starą bluzę – Atlas nabijał się z siostry.

– Tak, wyglądałam w niej okropnie – machnęła ręką Avery i zamilkła. Zrobiło jej się głupio na wspomnienie tego, jak zakradła się do pokoju brata i zwędziła mu bluzę, która wciąż nim pachniała, choć Atlasa od miesięcy nie było w domu.

Hover skręcił z pionowego korytarza na 962 piętro i ruszył w kierunku Treadwell, ogrodzonego, luksusowego osiedla, na którym mieszkała rodzina Cole'ów.

– Słuchaj, Avery – zaczęła Leda. Pojazd tymczasem zatrzymał się przy bramie, a Leda wychyliła się, pozwalając, żeby skaner zeskanował jej siatkówkę oka i potwierdził, że jest mieszkanką osiedla. – Jutro też wybierasz się na jogę? Chcesz, żebyśmy poszły razem?

– Może. – Avery wzruszyła niezobowiązująco ramionami. – Po dzisiejszym treningu jestem trochę obolała.

Hover skręcił w szeroki, trzypasmowy bulwar, który wydawał się jeszcze bardziej przestronny za sprawą podniesionego sufitu sięgającego pięć piętér w górę. Osiedle Treadwell było wzorowane na

dawnym Upper East Side z kamienicami z czerwono-brunatnego piaskowca. A niektóre tutejsze domy zostały nawet przeniesione ze starej dzielnicy i kamień po kamieniu odtworzone wewnątrz Wieży.

Avery bardzo się tu podobało, wszystkie te budynki z charakterystycznymi fasadami oraz zdobieniami z żelaza wydawały jej się niepowtarzalne. Każdy z nich przybierał w popołudniowym świetle zupełnie inną barwę. Przypominało jej to Sztambuł albo Florencję i wszystkie miejsca, w których domy wciąż miały wyjątkowy charakter i które całkowicie różniły się od większości dzielnic na górze Wieży, gdzie wzdłuż ulic ciągnęły się szeregi nieskazitelnie białych drzwi przypominających grube, lukrowane kawałki tortu weselnego.

W końcu zatrzymali się przed domem Cole'ów. Leda nacisnęła umieszczony nad głową przycisk, żeby wyłączyć magnetron bezpieczeństwa trzymający ją na siedzeniu.

– Do zobaczenia wkrótce. – Spojrzała na Atlasa, a jej uśmiech nieznacznie złagodniał. – Dzięki za podwiezienie.

Hover ruszył w dalszą drogę, do mieszkania Fullerów miał jeszcze do pokonania trzydzieści osiem poziomów w górę.

– Dobrze się bawiłeś z Ledą? – zapytała Avery, czując do siebie złość za to, że jest taka wścibska, ale nie mogła się powstrzymać.

– Prawdę mówiąc, świetnie się bawiliśmy – odrzekł. – Leda zaproponowała, żeby to powtórzyć.

Avery wpatrywała się w okno. Wiedziała, że gdy tylko spojrzy na Atlasa, straci nad sobą panowanie.

– Nie wydaje ci się to dziwne? – spytał Atlas. Avery była potwornie zakłopotana, czuła, że musi coś powiedzieć, bo inaczej wszystko się wyda.

– Nie, skądże znowu! Jak najbardziej, powinieneś się z nią umówić – zdołała wydusić.

– No dobrze. – Atlas przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Dziwne, że choć bez Ledy zrobiło się więcej miejsca, wewnątrz hovera wydało się nagle Avery bardzo małe.

– To świetny pomysł – oznajmiła Avery. A w myślach dodała: „To okropny pomysł, proszę, nie rób tego”.

– A więc zgoda.

Avery uszczypnęła się w ramię, próbując nad sobą zapanować. Jej najlepsza przyjaciółka i chłopak, którego kochała, choć nigdy do tej miłości nie mogła się przyznać. Miała wrażenie, że wszechświat chce jej zrobić okrutny żart.

W hoverze zapadła cisza. Avery pragnęła coś powiedzieć, cokolwiek, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Za każdym razem gdy brat kontaktował się z nią w minionym roku, czuła, że chce mu wręcz za dużo powiedzieć, bez ładu i składu wyrzucała z siebie jednym tchem kolejne opowieści, aż w końcu Atlas musiał się rozłączyć.

Teraz siedział tuż obok niej, a Avery nie miała mu nic do powiedzenia.

– Słuchaj. – Obrócił się do niej, jakby wpadł na jakiś pomysł. – Nadal umawiasz się z Zayem?

Chcielibyście wybrać się gdzieś ze mną i z Ledą?

– Nigdy z nim nie chodziłam – zaprzeczyła natychmiast Avery. Zay nie odzywał się do niej od imprezy w Akwariu, a poza tym wczoraj wieczorem widziała go w towarzystwie Daniela. Nieważne. I tak nie miała ochoty na podwójną randkę z Atlasem i Ledą.

Chociaż, jakby się zastanowić, może nie był to taki zły pomysł.

– Mogłabym jednak zaprosić pozostałych – rzuciła szybko.

– Na przykład kogo?

– Eris. Rishę, Ming i Jess. I jeszcze Rodricka, Maxtona, Andrew, a nawet Corda.

– Nie wiem, czy taka duża grupa to dobry pomysł – zaprotestował Atlas, ale Avery już skinęła głową, tworząc zbiorowego flika z zaproszeniem.

– Leda nie będzie miała nic przeciwko, uwierz mi. No, dalej! – zachęcała go Avery. – Będzie zabawnie! Możemy iść wszyscy razem na kolację albo do kina. Co tylko zechcesz!

– Rzeczywiście brzmi nieźle – przyznał Atlas. – Znasz Ledę chyba lepiej niż ktokolwiek. Jeśli twierdzisz, że nie będzie miała nic przeciwko, to pewnie masz rację.

Avery zignorowała poczucie winy, które odezwało się w niej po słowach Atlasa. Przecież jedynie wyświadcza swojej przyjaciółce przysługę: pomaga jej zrozumieć, że nie pasują do siebie z Atlasem, zanim Leda za bardzo się zaangażuje i zostanie zraniona. Avery żałowała, że nie może po prostu z nią o tym porozmawiać. Ale przez te wszystkie sekrety Ledy na temat wakacji oraz jej uczuć do Atlasa między przyjaciółkami coś się zmieniło. Avery nie była pewna, jak by w ogóle miała rozpocząć taką rozmowę.

– Oczywiście, że mam rację – rzuciła beztrąsko. – Zresztą jak zawsze, prawda?

ERIS

Eris leżała na brzuchu z głową odwróconą w bok i zaciskając mocno powieki, oglądała wyświetlającą się na ich wewnętrznej stronie dziecięcą kreskówkę. Była to najbardziej leniwa forma oglądania czegokolwiek, lecz w tym momencie nieszczęśliwie ją to obchodziło. Nie była nawet pewna, jaka jest pora dnia. Leżała tak od wielu godzin, to jest od chwili, gdy mama zapukała do niej rano, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Eris ją jednak zignorowała.

– Eris? – To znowu mama. Eris zagrzebała się głębiej pod kołdrą niczym zwierzę ukrywające się w norze i podkręciła głos w iTenach. Nie miała teraz ochoty widzieć mamy. O wiele lepiej pozostać

w łóżku, z którego perspektywy wczorajsza noc wydawała się tylko złym snem.

– Eris, proszę. Muszę z tobą porozmawiać. – Walenie w drzwi nie ustawało. Coś w głosie mamy sprawiło, że Eris wynurzyła się spod kołdry i zacisnąwszy zęby, stuknęła w ekran dotykowy przy łóżku, żeby otworzyć drzwi do sypialni.

– Czego chcesz? – warknęła, wciąż leżąc w łóżku. Poczuała się w jakiś przekorny sposób zadowolona, gdy zobaczyła, że mama wygląda fatalnie i ma podkrążone oczy.

– Jak się czujesz? – Mama chciała usiąść na zaokrąglonym brzegu łóżka, ale zaraz się wycofała, gdy córka spiorunowała ją wzrokiem.

– A jak ci się wydaje? – Eris wiedziała, że zachowuje się złośliwie, ale zupełnie się tym nie przejmowała.

Caroline puściła to jednak mimo uszu.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać – oznajmiła, przyglądając się reakcji córki. Ścisnęła dłonie i wzięła delikatny wdech. – Wiem, że to ostatnia rzecz, jaką chciałabyś się teraz zająć, ale nie możemy tutaj zostać.

– Co? – To w zupełności wystarczyło, żeby Eris usiadła prosto na łóżku i przytuliła do piersi jedną z ręcznie wyszywanych poduszek.

– Najlepiej będzie, jeśli opuścimy mieszkanie. Twój ojciec powinien móc tu wrócić bez konieczności mierzenia się... z tym wszystkim. – Słyszając to, Eris poczuła, że ogarnia ją gniew. Trąciło to tchórzostwem, jakby Caroline udawała, że to nie ona jest za wszystko odpowiedzialna. – Twój ojciec potrzebuje teraz trochę od nas odpocząć – dokończyła mama.

– Chyba od ciebie! Przecież sama wczoraj przyznałaś, że to nie jest moja wina!

– Tak, ale...

– Proszę bardzo, ty możesz się stąd zbierać – rzuciła Eris, odwracając się plecami. Całe ciało miała dziwnie odrętwiałe. Zorientowała się, że w ogóle nie obchodzi jej, co zrobi mama. – Poczekam tu na tatę – dodała.

– Nie wiem, czego chciałby teraz twój tata – powiedziała łagodnie Caroline. – To jasne, że cię kocha, ale tylko od niego zależy, jak to wszystko rozwiąże. I na wszelki wypadek lepiej, żebyśmy przygotowały się na najgorsze.

Najgorsze? A czy czasem najgorsze już nie nastąpiło?

– Zostałyśmy tylko we dwie, Eris – powiedziała Caroline z bladym uśmiechem na twarzy.

Eris chciała zaprotestować, ale nie miała już na to siły.

– Dokąd mamy pójść? – spytała.

– Znalazłam dla nas nowe mieszkanie w dole Wieży.

– W dole Wieży? Nie zamieszkamy po prostu w Nuage?

– Nie stać nas na Nuage – odparła cicho mama.

Nagle Eris wszystko zrozumiała. Była modelka i znacznie od niej starszy mąż. Odkrycie, że mama miała kogoś innego.

– Nie zamierzasz brać od taty żadnych pieniędzy, prawda? Chcesz udowodnić, że nie wyszłaś za niego dla majątku.

Mama skinęła głową.

– Tak należy postąpić. Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić. Ale nie martw się – dodała szybko. – Staram się, żebyś jak najmniej ucierpiała przez tę całą sytuację. Mam trochę oszczędności, a twoja nauka jest opłacona za rok z góry, więc nie będziesz musiała zmieniać szkoły. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Eris poczuła lekkie mdłości. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że miałyby chodzić do szkoły gdzieś w dole Wieży.

Mama stała przez chwilę, sprawiając wrażenie, jakby chciała ją przytulić, ale Eris nie wykonała w jej stronę żadnego gestu. W końcu Caroline dała za wygraną i ruszyła do drzwi.

– Na razie spakuj tylko jedną walizkę – poleciała córce. – Resztą zajmiemy się później.

Gdy tylko za mamą zamknęły się drzwi, Eris opadła na poduszki i włączyła z powrotem kreskówki, żałując, że nie może zatracić się w nich do końca.

Godzinę później obie z mamą siedziały już w hoverze, a wokół nich w ciasnym wnętrzu pojazdu piętrzyły się pudła i torby. Eris czuła dreszcze, obserwując, jak numery wyryte na tytanowych ścianach pionowego korytarza stają się coraz niższe. Liczyła na to, że hover zaraz zwolni i skręci w jedno z pięter, ale nic na to nie wskazywało.

– Mamo – spytała ostro Eris – dokładnie jak nisko jedziemy?

– To najlepsze, co udało mi się znaleźć, biorąc pod uwagę, jak niewiele miałam czasu.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – nie odpuszczała córka.

Migające na zewnątrz liczby były już mniejsze od trzystu.

– Przecież wiesz, że ja też byłam kiedyś biedna – westchnęła mama.

Przyćmione światło z lamp na ścianach odbijało się od bransoletki Caroline, jedynej sztuki biżuterii, jaką według Eris mama ze sobą zabrała. Wyglądała na sztuczną – pewnie dlatego, że pochodziła jeszcze z czasów, zanim mama poznała tatę. „W sejfie leży biżuteria warta miliony dolarów”, pomyślała z narastającą frustracją Eris. Ale mama najwyraźniej postanowiła dzisiaj ściśle przestrzegać kodeksu moralnego.

Eris wyjrzała przez okno, co chwila zmieniając ułożenie nóg, i nagle poczuła, że jej markowe dżinsy drapią, jakby już nie pasowały do jej skóry. Wyjęła tablet i jeszcze raz sprawdziła wiadomości: nie

chciała tego robić za pomocą szkieł, na wypadek gdyby mama usłyszała jakąś ustną komendę i zezłościłaby się, że Eris nieustannie sprawdza pocztę.

Wciąż nic. Od rana nikt do niej nie napisał.

Wreszcie Eris poczuła znajome przeciążenie zwalniającego hovera. Pojazd zaczął delikatnie się obracać, gdy jego elektromagnetyczny napęd zmniejszył prędkość. Eris zerknęła na numer piętra, w które skręcili, i pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Miały żyć na 103 piętrze?

Ulice tutaj były tak wąskie, że hover ledwo mieścił się w zakrętach. To nawet nie przypominało ulic, a już z pewnością nie tych rozległych bulwarów z górnych pięter, zaprojektowanych w taki sposób, by przekonać mieszkańców, że znajdują się na zewnątrz i otaczają ich prawdziwe drzewa oraz powietrze, które w rzeczywistości było pompowane przez podłogę, tak aby imitowało podmuchy wiatru. Tymczasem to był raczej korytarz z migającymi nad głową świetlówkami i przygnębiającymi, jednolitymi białymi ścianami. Kilka osób odwróciło głowy i przyglądało się im z zaciekawieniem. Eris odniosła wrażenie, że nie było tu raczej nikogo stać na poruszanie się hoverami.

Zatrzymały się przed obskurnymi drzwiami z numerem 2704. Eris przełknęła głośno ślinę. Znajdowały się tak daleko w dole, a Wieża była tu tak rozległa, że numery mieszkań nie zaczynały się nawet od numeru kondygnacji. Boże, 103 piętro musiało być prawie tak duże jak sama podstawa Wieży. Na 985 piętrze mieściło się w sumie tylko dziesięć apartamentów, a Eris знаła osobiście wszystkich swoich sąsiadów.

Kołysząc torbami zawieszonymi na obu ramionach, Caroline otworzyła drzwi hovera i zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu identyfikatora z czipem. Najwyraźniej tu na dole nie było żadnych bioskanerów.

Eris czekała w pojeździe aż do ostatniej chwili, kiedy to hover zaczął głośno brzęczeć, informując ją, że zaraz pobierze opłatę za opóźnienie. W końcu podniosła się z siedzenia i weszła powoli do mieszkania.

Wyglądało gorzej, niż przypuszczała. Sufit był niski, światło okropne i nie było tu niczego, co choć odrobinę przypominałoby okno. Czując, że kręci jej się w głowie, Eris zbliżyła nadgarstek do nosa i zaciągnęła się mocno swoimi jaśminowymi perfumami, ale i to nie wystarczyło, żeby stłumić przenikający mieszkanie zapach zgnilizny i śmieci. Pośrodku pomieszczenia, które najwyraźniej miało służyć za sypialnię mamy, stało kilka pudeł z rzeczami, wysłanych tu wcześniej przez Caroline. Do głównej sypialni przylegały maleńka łazienka oraz wąska kuchnia, choć ani Eris, ani jej mama nie miały pojęcia o gotowaniu.

Caroline zaczęła przeglądać zawartość pudeł.

– To tylko na jakiś czas, Eris – powiedziała, nie podnosząc głowy. – Zamierzam poszukać pracy, coś wykombinuję.

„Ciekawe, jako kto będziesz pracować?”, pomyślała Eris i pchnęła nogą ostatnie drzwi, które musiały prowadzić do jej pokoju.

Był zakurzony i ciasny, mniej więcej wielkości połowy garderoby Eris w jej dawnym życiu. Gdy wstawi się tu łóżko, nie będzie już prawie miejsca na nic innego.

Coś wpełzło na jej wystający z sandała palec. Eris spojrzała w dół i zobaczyła olbrzymiego karalucha przebierającego nóżkami jak szalony. Odskoczyła z dzikim wrzaskiem i czym prędzej wybiegła z pokoju.

– Eris?! – zawołała z drugiego pokoju mama. – Wszystko w porządku?

– Chyba śnisz! Nic nie jest w porządku!

Mama ruszyła w jej kierunku, ale Eris wpadła w szal i nie można jej było powstrzymać.

– Mam nadzieję, że to było tego warte! – krzyczała. – Zdradzanie taty z jakimś przypadkowym facetem. Naprawdę mam nadzieję, że to było warte zrujnowania naszego życia!

– To nie był jakiś przypadkowy facet – zaczęła mówić Caroline, ale córka natychmiast jej przerwała, zasłaniając uszy dłońmi.

– O Boże, nie chcę tego słuchać!

– Eris...

– Jak mogę jeszcze wierzyć w cokolwiek, co powiesz? – Eris wyszła chwiejnym krokiem na zewnątrz i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie obchodziło jej, gdzie idzie, najważniejsze, że wyrwała się z tej okropnej nory.

I właśnie wtedy jej iTeny zaczęły dzwonić, a szkła zabłyśły za sprawą nadchodzącego pingnięcia. Avery. Eris odrzuciła połączenie. Avery oczywiście nie miała pojęcia, co się dzieje. Eris nikomu o tym nie powiedziała. Bez względu na to, o czym Avery chciała teraz porozmawiać, Eris nie była jeszcze na to gotowa. Problemy wyższych pięter wydawały jej się tak odległe, jakby pochodziły z jakiegoś innego świata.

Osunęła się wzdłuż ściany korytarza, tłumiąc wzbierający w niej krzyk.

– Znam cię.

Eris odwróciła się wściekła, że ktoś śmiał się do niej odezwać. Kilka drzwi dalej stała Latynoska, mniej więcej w jej wieku. Miała na sobie spodnie ze sztucznej skóry, krótki złoty top bez ramiączek i pobrząkujące kolczyki. W jednej ręce trzymała zwykłą czarną dopalniczkę, którą teraz podniosła i zaciągnęła się wolno, po czym ułożyła usta w literę O i wydmuchała jasnozielony kłąb dymu. A więc paliła trawkę.

– Nie sądzę – odparła krótko Eris.

– Jesteś członkiem klubu, w którym pracuję. Altitude.

Eris przyjrzała się dziewczynie: twarz w kształcie serca wieńczyła czarna grzywka, na swobodnie

skrzyżowanych nogach miała jasnoniebieskie kowbojki. Nie kojarzyła jej.

– Prawdę mówiąc, byłaś wobec mnie dość nieuprzejma – dodała dziewczyna, mrużąc ciemne oczy.

Eris nic nie odpowiedziała. Jeśli ta laska chciała przeprosin, to grubo się przeliczyła.

– No więc – dziewczyna zlustrowała wzrokiem strój Eris, jej modne džinsy i perłowe kolczyki w uszach. – Co, do cholery, robisz tu na dole?

– Długo by opowiadać.

– Nie chcesz, to nie mów – dziewczyna wzruszyła ramionami.

Eris spojrzała na jej dopalniczkę. Nie ma szans, żeby w środku znajdował się tak dobry towar, jaki zwykle paliła, ale nagle ogarnęło ją dojmujące i rozpaczliwe pragnienie, żeby się zaciągnąć. Chrzanić to. Jej życie i tak było już zupełnie rozwalone, czemu więc nie zapalić sobie z kelnerką z Altitude, która najwyraźniej jej nie znosiła?

– Właśnie dowiedziałam się, że mój tata nie jest moim prawdziwym ojcem – oświadczyła Eris i podeszła do nieznajomej. Dziewczyna wyciągnęła do niej dopalniczkę, odsłaniając przy okazji niewielki inktat u podstawy nadgarstka. – Co to ma być? – spytała Eris. Nie potrafiła rozpoznać kanciastego kształtu.

– To część większej całości.

– A gdzie są pozostałe części?

Dziewczyna roześmiała się, potrząsając sprężystymi ciemnymi lokami. Pachniała dymem i kiepskimi perfumami, ale biła od niej również jakaś korzenna woń kojarząca się z zapachem bursztynowych świec.

– Chyba nie myślisz, że kiedykolwiek je zobaczysz – odparła.

Eris nie była w stanie dalej się z nią drażnić. Zaciągnęła się długo i mocno, po czym wypuściła z ust idealny krąg dymu. Dziewczyna uniosła z uznaniem brwi.

– W każdym razie – mówiła dalej Eris – mój tata miał całą forszę, więc teraz... zostaliśmy z mamą tylko we dwie.

– Rany. Kto by się spodziewał.

– Właśnie. Na pewno nie ja.

Przez chwilę stały obie w dziwnym milczeniu, przekazując sobie dopalniczkę. Eris spodziewała się, że zaraz ktoś się zjawi i każe im przestać – na 985 piętrze paliła zawsze tuż przy otworach wentylacyjnych, żeby regulatorzy nie przychodzili jej upominać – ale jej towarzyszka zachowywała się zaskakująco beztrosko. Może tu na dole nikogo to nie obchodziło.

W końcu trawka w dopalniczce się skończyła. Dziewczyna upuściła ją na ziemię i rozgniotła butem na czarny proszek, który następnie roztała po chodniku obcasem. Eris zrozumiała, że była to jedna z tanich jednorazowych dopalniczek.

– Do zobaczenia. A tak w ogóle mam na imię Mariel.

– Eris.

– Cóż, Eris – powiedziała Mariel z lekkim uśmiechem, jakby wciąż była rozbawiona spotkaniem jej w takim miejscu – witaj na Baneberry Lane.

– Ta ulica naprawdę tak się nazywa? – Eris nie mogła uwierzyć, że ktoś nadał temu pośepnemu miejscu tak radośnie brzmiącą nazwę. To było chore.

– Sprawdź sobie, co to znaczy – odparła Mariel, znikając w swoim mieszkaniu.

Jak się okazało, *baneberry*, inaczej czerniec, to mocno trująca roślina, w średniowieczu często używana przez samobójców.

– Teraz już rozumiem – mruknęła do siebie Eris, ocierając łzę wściekłości.

Odwróciła się, by ruszyć w kierunku mieszkania numer 2704, ale zatrzymała się, słysząc głosy dobiegające zza drzwi Mariel, a szczególnie niski, dorosły bas. To pewnie ojciec dziewczyny. Z nieznanego powodu ten głos wywołał w niej determinację. Nie mogła tu po prostu dłużej czekać, palić zioło i zastanawiać się, co też myśli jej tata. Musiała z nim porozmawiać.

Odwróciła się i ruszyła w stronę najbliższej stacji ekspresowej windy jadącej w górę Wieży.

Była niedziela, więc oddział chirurgii plastycznej szpitala Vensonn-Seyun na 890 piętrze nie był zbyt zatłoczony.

– Cześć, Eris. Tata jest w swoim gabinecie – przywitała ją recepcjonistka Slaite. Eris ledwo skinęła jej głową, śpiesząc się do ojca.

Minęła centrum badawcze, w którym rozmaite formy DNA były łączone ze sobą na nowo w maleńkich naczyniach zwanych szalkami Petriego. Eris przeszła też obok farmy nerwowej, gdzie w olbrzymich przezroczystych zbiornikach hodowano rdzenie kręgowo, i skierowała się do znajdującego się na końcu korytarza gabinetu.

Na tabliczce nad drzwiami widniał napis: „DR MED. EVERETT RADSON, DYREKTOR ODDZIAŁU ZABIEGÓW I MODYFIKACJI KOSMETYCZNYCH”. Eris zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła do środka.

Tata siedział rozparty za biurkiem. Miał na sobie sweter z golfem zapinany pod szyją na zamek i spodnie lekarskie, w jednej ręce trzymał prawie całkiem opróżnioną butelkę szkockiej. W ostrym szpitalnym świetle widać było pasemka siwizny w jego włosach, a wokół oczu i w kącikach ust pojawiły się nowe zmarszczki. Eris po raz pierwszy w życiu zobaczyła, że jej tata wygląda jak stary człowiek.

– Eris – westchnął, zaciskając mocniej dłoń na szkockiej. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki wymówił jej imię, jakby miał problemy z formułowaniem słów.

Eris otworzyła usta, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć, skoro już się tu znalazła.

– Czekałam, kiedy się ze mną skontaktujesz – odezwała się wreszcie, choć zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Przepraszam – odrzekł ojciec. – Musiałem po prostu pobyć sam przez jakiś czas.

Zapadło milczenie.

Eris rozejrzała się po gabinecie, powiodła wzrokiem od ekranów 3D w kącie do szafki z prawdziwym ludzkim szkieletem, który w szkole podstawowej przychodziła czasami oglądać zafascynowana, aż w końcu Avery powiedziała jej, że to dziwaczne i makabryczne. Ale Eris wcale nie bała się szkieletu. Aż do dzisiaj nie bała się w zasadzie niczego.

Przeniosła znowu spojrzenie na tatę. Wpatrywał się ze zdumieniem w coś, co trzymał w dłoni, jakby nie był pewien, co to takiego. Była to jego złota ślubna obrączka.

Wszystko to, co Eris zamierzała mu powiedzieć, wyparowało nagle z jej umysłu.

– Co stanie się z tobą i mamą? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – tata westchnął, odłożył obrączkę na biurko i spojrzał wreszcie na Eris. – Jesteś do niej tak bardzo podobna – dodał ze smutkiem.

Nigdy wcześniej Eris jakoś to nie przeszkadzało, że przypominała wyglądem mamę. Ale kiedy teraz jej tata na nią patrzył, zapewne dostrzegał w niej jedynie to – stanowiła dla niego żywy dowód zdrady, jakiej dopuściła się Caroline. Nagle wstrząsnęła ją myśl, że nic więcej nie łączyło ją z tatą oprócz tego, że przez osiemnaście lat obydwójce byli okłamywani przez tę samą osobę.

– Tak mi przykro – szepnęła.

– Mnie również – odparł ojciec i sięgnął po szkocką, po czym zawahał się, jakby sobie przypomniawszy o obecności Eris.

– Tato... Everett...

– Przepraszam, Eris, ale potrzebuję teraz trochę czasu – przerwał jej drżącym głosem. – Jestem po prostu... rozdarty.

Eris przygryzła wargę. Przyszła tu z nadzieją, że tata wszystko zdoła naprawić, tak jak zawsze, ale wyglądało na to, że był jeszcze bardziej rozbity niż ona.

– Tęsknię za tobą – powiedziała bezradnie.

– A ja tęsknię za tym, jak było dawniej – rzucił tata w odpowiedzi, a serce Eris zamarło. Miała ochotę potrząsnąć ojcem i zacząć na niego krzyczeć. „Spójrz na mnie – pragnęła mu powiedzieć – ja też cierpię. I nie chcę cię stracić!” Łzy napłynęły do jej chirurgicznie poprawionych, bursztynowych oczu. Ale wrodzona duma nie pozwoliła jej się rozpłakać, zdusiła w gardle to, co chciała wykrzyczeć.

– Wybacz, potrzebuję po prostu trochę czasu – odezwał się znów Everett. – Proszę.

Eris kiwnęła głową, czując się tak, jakby spadała z dużej wysokości. Nie miała pojęcia, co się stanie z jej rodzicami, nie wiedziała, kiedy – lub czy w ogóle – tata będzie gotowy znów się z nią spotkać.

Ruszyła w kierunku załoczonej windy. Nigdy dotąd nie czuła się bardziej samotna niż teraz, nawet pomimo napierającego na nią tłumu ludzi.

RYLIN

„Raz kozie śmierć”, pomyślała Rylin, po raz drugi w ciągu minionych trzech dni stając pod drzwiami mieszkania Corda Andertona. Trudno uwierzyć, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, znów tu przysłała, i w dodatku z własnej woli.

Wczoraj rano, kiedy minął jej w końcu kac po komunalach, a gniew nieco ostygł, Rylin otworzyła tablet i odkryła, że stała się bogatsza o dwieście pięćdziesiąt nanodolarów. Ciekawe, czy dodatkowa pięćdziesiątka to standardowy napiwek Corda Andertona czy raczej próba zadośćuczynienia za jego wczorajsze zachowanie.

Rylin wahała się chwilę, czy najpierw zapłacić czynsz czy ratę w banku, i w końcu zdecydowała się na bank, widząc, do jak niewiarygodnych rozmiarów urósł jej dług. Poza tym właściciela ich mieszkania zawsze mogła jakoś zbyć, gdyby upomniał się o pieniądze. Ponieważ znał ich mamę, traktował je z Chrissą nieco pobłaźliwie.

„Hej, Fenton – Rylin napisała do niego krótką wiadomość. – Chciałam Ci tylko dać znać, że czynsz za ten miesiąc otrzymasz za kilka tygodni”. Rylin nagle uświadomiła sobie z zakłopotaniem, że z czynszem za poprzedni miesiąc również zalegały, ale było za późno: przelała już pieniądze na spłatę długu w banku. „Bardzo Cię przepraszam. To się więcej nie powtórzy”, dodała, mając nadzieję, że Fenton był akurat w dobrym humorze.

A potem, schowawszy dumę do kieszeni, zadzwoniła do Corda.

Odebrał po piątym sygnale. Rylin aż podskoczyła, lecz starała się brzmieć normalnie.

– Cześć, tu Rylin. Myers – dodała po chwili krępującego milczenia.

– Rylin. To... nie spodziewałem się, że zadzwonisz. – Cord sprawiał wrażenie rozbawionego. Ona natomiast, choć bardzo się starała, widziała przed oczami tylko jaskrawoczerwony ślad na jego twarzy po tym, jak go spoliczkowała.

– Jeśli chodzi o wczorajszą noc... – Rylin siedziała na kuchennym stole i wodziła palcem po zmiętej ulotce płatków śniadaniowych z rysunkowymi aligatorami. Instapapier był stary i tak kiepskiej jakości, że aligatory już nawet nie tańczyły, tylko ich oczy łypały straszliwie, a ogony nieznacznie podrygiwały. Rylin wzięła głęboki oddech i zaczęła od nowa: – Chciałam cię przeprosić. Byłam zmęczona i zdecydowanie przesadziłam. Przepraszam.

– Słowa nic nie kosztują – odparł Cord. – Jeśli jest ci naprawdę przykro, może mi to udowodnisz?

– Chyba nie myślisz na serio, że...

– A tobie tylko jedno w głowie, Myers – powiedział Cord, przeciągając jej nazwisko w charakterystyczny dla siebie sposób. – Zamierzałem cię zapytać, czy nie przyszłabyś znów posprzątać. Nie wiem, czy znasz mojego brata Brice’a, ale zatrzymał się u mnie na ten tydzień, a niezły z niego bałaganiarz.

– Mogę się tym zająć. Ta sama stawka? – spytała ostrożnie Rylin. Tyle właśnie chciała zasugerować. Zobaczywszy rano pieniądze na koncie, doszła do wniosku, że należy wycisnąć z Corda tyle forsy, ile tylko się da. To jednak sprawiło, że znowu on zyskał nad nią przewagę.

– Jasne. Przyślę ci mundurek. Choć oczywiście noszenie go nie jest wymagane – zaśmiał się Cord. Rylin wzniosła oczy w górę i już miała mu odpowiedzieć, ale Cord się rozłączył.

Teraz był poniedziałek rano, a Rylin stała przed mieszkaniem Corda, czekając, aż wpuści ją do środka. Poprawiła nieśmiało ruchami bezkształtną czarną sukienkę oraz biały fartuszek, które dostarczył jej wczoraj wieczorem dron. Zgłosiła wcześniej Buzie, swojemu szefowi na stacji kolejki, że jest chora: miała nawet na to oficjalny dowód, ponieważ obie z Chrissą tak przeprogramowały medisticka, by pokazywał fałszywe wyniki zapalenia gardła. Rylin nie miała pewności, jak długo uda jej się utrzymać pracę bez pokazywania się w niej, ale musiała zaryzykować.

Gdy drzwi się otworzyły, Rylin weszła do środka i na moment stanęła oniemiała. W sobotę było tu gorąco, głośno i tłoczno. Teraz we wszystkich pomieszczeniach było pusto i przestronnie. Wzrok Rylin powędrował od szklarni z podłogą wyłożoną kocimi łbami i przypominającymi owady lampami grzewczymi, przez ogromną, nowoczesną kuchnię, aż do dwupoziomowego salonu ze szklanymi krętymi schodami.

– Powiesz mi może, czego tu szukasz?

Rylin podskoczyła, obróciła się i omal nie zderzyła z ciemnowłosym nieznajomym ubranym w granatowy garnitur i arogancki uśmieszek.

– Gdzie jest Cord? – wypaliła bez zastanowienia Rylin i od razu tego pożałowała.

– Kto to wie? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Może ja mógłbym ci pomóc. Jestem jego bratem, mam na imię Brice.

„No jasne”, pomyślała Rylin. Nawet wyglądali podobnie, choć Brice był o dziesięć lat starszy od Corda.

– Nazywam się Rylin Myers. Przepraszam, jeśli przeszkadzam – powiedziała szybko. – Już biorę się do pracy.

– Do pracy?

– Cord prosił mnie, żebym przyszła posprzątać. – Rylin przestąpiła nieco skrępowana z nogi na nogę.

– Ach – rzekł cicho Brice i omiół Rylin wzrokiem od stóp do głów. – Cóż, cieszę się, że Cordowi

poprawił się gust. Prezentujesz się na pewno lepiej niż ta poprzednia.

Rylin się nie odezwała, tylko poszła do schowka z przyborami do sprzątania i zapakowała całe wiaderko rozmaitych środków czyszczących w sprayu oraz myjek do szorowania. Ale gdy wróciła do salonu, Brice nadal tam był. Siedział rozparty na kanapie, krawat miał poluzowany, ręce trzymał założone za głowę.

– Proszę, nie przerywaj sobie – rzucił leniwie. – Możesz mnie omieść dookoła, mnie to nie przeszkadza.

Rylin zacisnęła zęby i ignorując go, ruszyła schodami na górę.

Po południu stanęła przed drzwiami sypialni Corda, szykując się, żeby wejść do środka.

„To wcale nie jest takie dziwne – mówiła sobie. – To przecież tylko chłopak”. Ale choć była mnóstwo razy w pokoju Hirała, to wejście do sypialni obcego faceta wydawało jej się dość krępujące. Jakby naruszała jego prywatność.

Zaczęła od łóżka – zmieniła pościel i przetrzepała poduszki – a potem umyła okna i przy ultrafioletowej lampie wyczyściła dywany. Wreszcie, gdy ścierała kurz z ciężkiej drewnianej komody, zawahała się ogarnięta przemożną ciekawością. Kim tak w ogóle był Cord Anderton?

Pod wpływem impulsu wysunęła górną szufladę i przejrzała jej zawartość, składającą się z samych nader męskich przedmiotów. Niektórych nie była nawet w stanie rozpoznać. Ale minęło już tyle czasu od odejścia taty, że odkąd pamiętała Rylin, zawsze żyła w domu pełnym kobiet. Odsunęła na bok spinki do mankietów, małą buteleczkę wody kolońskiej i skórzany portfel z wytłoczonymi literami WEA – jak się domyślała, były to inicjały ojca Corda. Spore wrażenie zrobił na niej zwitek starych papierowych zielonych banknotów, które były nielegalne, ale wciąż cieszyły się ogromną popularnością na czarnym rynku, ponieważ w przeciwieństwie do nanodolarów nie można ich było namierzyć. Może to tylko rodzinne pamiątki. Ale jeśli Cord rzeczywiście płacił nimi ludziom, to był większym ryzykantem, niż Rylin sądziła.

W dolnej szufladzie odkryła natomiast coś, co sprawiło, że na chwilę zamarła: leżało tam staroświeckie metalowe pudełko wypełnione w całości przyrządzonymi specjalnie na zamówienie klienta narkotykami. Wszyscy nazywali je „specjalami”. Rylin nigdy nie widziała ich tak dużo naraz. Podniosła wieczko pudełka i jej oczom ukazał się prawdziwy skarbiec małych czarnych kopert. Każda z nich była oznaczona żółtym znakiem leku na receptę i zawierała tylko jedną pigułkę.

Specjale były niebotycznie drogie, kosztowały więcej, niż wynosiły kilkutygodniowe zarobki Rylin na stacji kolejki, a to właśnie dlatego, że były całkowicie legalne: przepisywali je lekarze po przeprowadzeniu niezliczonych rezonansów mózgu oraz badań psychologicznych. Były specjalnie dostosowane do potrzeb zamożnych klientów, którym pomagały „złagodzić stres i zaburzenia lękowe”.

Rylin zerknęła na datę pierwszej recepty. Tak jak sądziła: została wystawiona tuż po śmierci rodziców Corda.

Odchyliła się do tyłu na obcasach, rozmyślając o tym, jakie to dziwne, że oboje z Cordem stracili rodziców. Tyle że ona pracowała za godzinową stawkę, aby utrzymać rodzinę, i nie miała nawet czasu, żeby opłakiwać mamę, Cord zaś dostawał robione na zamówienie narkotyki, aby uporać się z własną żalobą.

„To niesprawiedliwe”, pomyślała z goryczą Rylin, ale nagle zawstydzila się nieco z powodu tej myśli. Przecież Cord stracił swoich rodziców, a ona ostatnia powinna osądzać to, w jaki sposób próbuje sobie z tym poradzić.

Z westchnieniem zasunęła szufladę i obrzuciwszy jeszcze raz wzrokiem pokój, zeszła na dół. Pchnęła frontowe drzwi i wychodząc na schody, wpadła na Corda.

– Och, yyy, cześć – wydukała. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nigdy dotąd nie musiała stanąć oko w oko z kimś, kogo wcześniej spoliczkowała.

– Idziesz do domu? – spytał Cord. Miał na sobie strój do ćwiczeń, jakby właśnie wracał z siłowni. Albo jakby dopiero co skończył biegać: buty miał ubłocone i zostawiał ciemne ślady na jasnych stopniach z wapienia.

– Już czwarta. – Rylin skrzyżowała ramiona na piersiach, uświadamiając sobie nagle, jak ciasno ten fartuszek opina jej biust.

– No tak, oczywiście. Nie chciałem...

– A tak przy okazji... dzięki za gumizelki. Moja siostra za nimi przepada. – Rylin nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. Przecież Cord nie płacił jej za to, by tu stała i z nim gawędziła. Zeszła stopień niżej, żeby stanąć na tym samym poziomie co Cord, i próbowała przejść obok niego.

– Chrissa, mam rację? – zagadnął Cord, co tak zszokowało Rylin, że stanęła jak wryta. Nie mogła uwierzyć, że Cord zapamiętał, jak ma na imię jej siostra.

– Tak. Jest ode mnie trzy lata młodsza – odrzekła cicho Rylin.

Cord skinął głową.

– To super, że macie siebie nawzajem.

„Ciekawe, jak blisko Cord i Brice są ze sobą”, pomyślała Rylin.

– Przepraszam – odezwał się po chwili Cord. – Nie chciałem cię zatrzymać. Najwyraźniej się spieszysz.

– Mam się spotkać... prawdę mówiąc, mam się spotkać z Chrissą – zająknęła się Rylin. Już zamierzała powiedzieć „z moim chłopakiem”, lecz instynktownie się powstrzymała, choć sama nie wiedziała dlaczego.

– Przekaż jej, że znajdzie tu więcej żelków, jeśli tylko obieca, że nie będzie się nad nimi znęcać tak jak ty.

Rylin nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Chciała jeszcze powiedzieć „do zobaczenia jutro”, ale Cord szybko zamknął za sobą drzwi.

„Wszystko jedno”, pomyślała Rylin i wsiadła do jadącej w dół windy linii F. Próby zrozumienia Corda Andertona nie miały większego sensu, ponieważ było to zwyczajnie niemożliwe.

Wysiadła na skrzyżowaniu Park i Central, które znajdowało się dokładnie w połowie Wieży i przeszła przez podwójne metalowe drzwi z napisem: „TYLKO DLA CZŁONKÓW PERSONELU TECHNICZNEGO WIND”.

Po kilku minutach z szatni wyłonił się Hiral ubrany w dżinsy i cienką czarną koszulkę, którą zakładał pod roboczy kombinezon. Włosy wciąż miał spocone po całym dniu w ekramoldowym kasku.

– Cześć, mała. Nie wiedziałem, że wpadniesz po mnie dzisiaj.

Rylin przytuliła się do niego. Pachniał przyjemnie znajomo – metalem i potem.

– Chciałam się z tobą zobaczyć – odparła.

– A co to za przebranie? – zaśmiał się Hiral.

– A, racja. – Rylin zerknęła w dół na kostium służącej, o którym prawie zapomniała. – Pracowałam dziś dla Corda Andertona. No wiesz, wzięłam dawną pracę mamy. No i...

– Poważnie? – Hiral przybrał nagle ostry ton, a jego dobry humor zniknął. Hiral nienawidził hajlajerów, czyli mieszkańców górnych pięter Wieży, i to z zaciętością, która czasem zdumiewała nawet Rylin. – Po jaką cholere pracowałaś dla tego dupka?

– Płaci więcej, niż zarabiam na stacji kolejki. Poza tym zgłosiłam szefowi, że jestem chora. To tylko na jakiś czas – odparła nerwowo.

– Aha, rozumiem. No dobra, może być, tylko pod warunkiem, że nie rzucisz normalnej pracy. – Hiral objął Rylin ramieniem w pasie. – Nowa robota, to wymaga uczczenia. Chcesz pójść do Habanas? – To była ich ulubiona kubańska knajpka z pieczoną kukurydzą na ostro i serem smażonym w głębokim tłuszczu.

– Chętnie. – Rylin wyszła za Hirałem na główną ulicę, na której przyćmione światła imitowały nadchodzący wieczór.

Nagle na tablicie Rylin wyświetliła się nowa wiadomość – odpowiedź od Fentona.

„Rylin, starałem się być wyrozumiały wobec Ciebie i Twojej siostry, ale nie mogę robić dla Was wyjątków. Zalegacie z czynszem już dwa miesiące. Jeśli nie zapłacicie do końca tygodnia, zostaniecie eksmitowane”.

Rylin zrobiło się niedobrze. Próbowała natychmiast oddzwonić do Fentona, ale nie odbierał.

– Wszystko w porządku? – Hiral bacznie jej się przyglądał.

Nie odpowiedziała. Miała wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje. To była jej wina – dlaczego zamiast czynszu zapłaciła najpierw ratę w banku? Czuła się taka pewna siebie, była przekonana, że uda jej się wyblagać u Fentona jeszcze jeden miesiąc, w końcu robiła to już wcześniej wielokrotnie. Ale teraz wszystko zaczęło jej się walić na głowę, a ona nie wiedziała, jak to powstrzymać.

„Dostaniesz swoją forszę do piątku”, odpisała trzęsącymi się dłońmi, choć nie miała pojęcia, skąd ją, u licha, weźmie. Może pożyczycy trochę od Hirała, choć jego rodzina też liczyła każdy grosz. A może Cord zgodzi się dać jej zaliczkę.

Cord. W jednej chwili przypomniała sobie, co znalazła dziś po południu w dolnej szufladzie jego komody. To było rozwiązanie jej problemu.

– Będzie dobrze – uspokoiła Hirała, choć w duchu nienawidziła się za to, co zamierzała zrobić.

Ale najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że tak naprawdę nie miała innego wyboru.

AVERY

Gdy razem z Atlassem zatrzymali się przed mieszkaniem Cole’ów, Avery skręciło z nerwów w żołądku. Siłą woli zdołała zamienić randkę Ledy i Atlasa w wielkie grupowe wyjście na gry w rzeczywistości rozszerzonej. Wmawiała sobie, że wszystko jest w porządku, że nie zrobiła wcale niczego złego, lecz w głębi serca wiedziała, że zachowała się egoistycznie.

Spojrzała na drzwi do mieszkania Ledy i nagle przypomniała sobie, jak po raz pierwszy w życiu obie się upiły. A przynajmniej próbowały się upić, w zasadzie tylko lekko szumiało im w głowach po szprycerze, którym poczęstował je Cord. Zdecydowały jednak, że nie wejdą do domu Ledy, dopóki nie wytrzeźwieją, na wypadek gdyby jej rodzice je usłyszeli. Przez pół nocy siedziały więc na schodach pod mieszkaniem Cole’ów, opowiadały sobie rozmaite historyjki i chichotały bez powodu.

– Powiesz Ledzie, że już jesteśmy? – zapytał Atlas.

– Tak, jasne.

„Czekamy na zewnątrz”, Avery fliknęła do przyjaciółki i zdała sobie sprawę, jak rzadkie stały się ostatnio ich kontakty. Normalnie prawie nieustannie się ze sobą komunikowały, wysyłały sobie selfie, narzekały na szkołę, analizowały nawzajem wiadomości, jakie otrzymywały od chłopaków. Ale przez kilka ostatnich dni prawie wcale się ze sobą nie kontaktowały.

– Dzięki, że po mnie wpadliście – powiedziała Leda, gdy rozsunęły się drzwi hovera. Miała na sobie granatowy jedwabny top, białe džinsy, a do tego czerwone espadryle na koturnie. Avery nieco się przesunęła, żeby zrobić jej miejsce, po czym zerknęła na swój czarny strój w stylu art-tech i wygodne turkusowe tenisówki.

– Nie ma sprawy – odparł Atlas.

– Naprawdę zamierzasz w tym grać w ARenie? – zapytała Avery, patrząc na buty Ledy.

– Przecież już widziałas, jak biegam w butach na obcasach. – Leda zaśmiała się opryskliwie.

– Racja. – Avery poczuła, że powinna rozładować napiętą atmosferę, udawać, że to wyjście było w zasadzie wspólnym pomysłem ich wszystkich. – Tak się cieszę, że zdecydowaliśmy się razem wyjść – wypaliła, choć niezbyt przekonująco. – Całe wieki już nie byłam w ARenie!

– Szykuj się więc, Aves, bo skopiemy ci tyłek. – W ciepłych brązowych oczach Atlasa odbijało się światło.

– Avery – wtrąciła Leda – jak udały się zakupy z Eris? Kupiłaś sobie coś fajnego?

Avery ogarnęło poczucie winy. Kiedy Leda fliknęła do niej wczoraj rano, odpisała jej, że jest na zakupach z Eris, wiedząc, że to podziła na nią odstrasżająco. Ale Eris nie odpowiedziała później na żaden z jej flików, a gdy Avery zjawiła się pod jej mieszkaniem, okazało się, że w środku nikogo nie ma.

– Och, kupiłam sobie tylko dżinsy w Dennie – wykrztusiła Avery, wymieniając pierwszą markę, jaka jej przyszła do głowy.

– A nie masz czasem po parze takich dżinsów w każdym możliwym kolorze? – spytała Leda, na co Avery, wyraźnie zbита z tropu, na moment zaniemówiła.

– Jak by to kiedykolwiek powstrzymało ją przed kupnem czegoś nowego – zażartował niczego nieświadomy Atlas.

Zatrzymali się przed AReną, która mieściła się w rogu 623 piętra, a jej potężne ściany raz przybierały barwę maskującej wojskowej zieleni, to znów przedstawiały obraz jakiegoś ciemnego, kamiennego lochu. Risha, Jess i Ming czekały na nich przed wejściem. Wszystkie, podobnie jak Leda, były ubrane w eleganckie dżinsy i zupełnie niepraktyczne buty. Avery powstrzymała się, by nie wznieść z politowaniem oczu do góry. Żałowała, że nie było z nimi Eris, przydałoby się teraz odrobinę jej sarkastycznego poczucia humoru. Chociaż gdy ostatnio grali w ARenie, Eris zjawiła się w czarnym skórzanym obcisłym kombinezonie, bo uznała, że tak będzie zabawniej.

– Chłopcy są już w środku – oznajmiła Risha, gdy stanęli przed drzwiami, które teraz pokazywały smoka nurkującego w przestworzach nad oblodzonym górskim szczytem.

– Pewnie kłóć się, czy grać w kowbojów czy w obcych – powiedział Atlas, przytrzymując drzwi. Avery walczyła z pragnieniem, żeby zostać z nim na ulicy, wziąć go za rękę i uciec razem.

– Słyszałem! – zawołał Rodrick od automatu z biletami. Za nim tłoczyła się w kolejce grupa gimnazjalistów, a wszyscy ściskali w rękach miecze świetlne ze specjalnej edycji. – Kowbojska arena jest dla lamusów, Fuller. Dziś gramy w *Inwazję Obcych*. Kto jest ze mną w drużynie? – Ty wpisał coś do drukarki 3D, z której po chwili wyskoczyły elektronicznie zakodowane bilety dla każdego z nich, cztery

czarne i cztery białe. Każdy bilet wyglądał jak miniaturowa główka kosmity, był przypisany wyłącznie do jednej gry i niemożliwy do podrobienia. Niektórzy mieli taką obsesję na punkcie gier w rzeczywistości rozszerzonej, że kolekcjonowali bilety, mimo że po zakończeniu rozgrywki były już do niczego nieprzydatne.

– Nie gramy dzisiaj chłopcy kontra dziewczyny? – spytała szybko Avery. Dawniej bardzo często tak robili. A poza tym ostatnia rzecz, jakiej by dzisiaj chciała, to żeby Atlas i Leda znaleźli się w jednej drużynie podczas pełnego adrenaliny pojedynku, w dodatku w całkowitej ciemności.

– To by było niesprawiedliwe – zauważył Maxton Feld. – Jest pięć dziewczyn i tylko trzech facetów. Avery w duchu zaczęła wyklinać na Corda, że się nie pojawił.

– Może będziemy losować? – zaproponowała, powiększając na swoim tablecie ikonkę w kształcie kostki do gry.

– Atlas i ja już ustaliliśmy, że gramy razem w jednej drużynie – wtrąciła Leda.

Avery przyglądała się w milczeniu ustalaniu składów obu drużyn. W końcu znalazła się w jednej ekipie z Rodrickiem, Ming i Jess, a przeciwko sobie mieli Maxtona, Risę, Atlasa i Ledę. Avery nie odezwała się również wtedy, gdy obie drużyny ruszyły do osobnych szatni, aby przygotować się do gry. Rodrick paplał coś o strategii, wyjaśniał swój plan, by „wziąć ich z zaskoczenia i otoczyć”, ale ona nawet go nie słuchała. Kiwała tylko głową, ogarnięta niespodziewaną apatią.

Wreszcie całą czwórką stanęli w miejscu zbiórki, odziani w dotykowe kamizelki i z pistoletami radarowymi przypiętymi do pasów. Avery naciągnęła na dłonie cienkie siatkowane rękawiczki, które miały przekazywać głównemu komputerowi ruchy jej rąk. Wirtualny hełm wydał głośny dźwięk, domagając się jej uwagi: miała wybrać swój awatar, czyli postać, pod jaką będą widzieć ją wszyscy pozostali gracze, gdy już znajdzie się na arenie. Wszyscy pozostali machali rękami i wskazywali palcami, wybierając sobie fryzurę, zbroję czy rysy twarzy. Avery zdecydowała się jednak na podstawową wersję awatara, bez żadnych cech charakterystycznych. Ludzie zwracali tak dużą uwagę na jej urodę w prawdziwym życiu, że nie miała ochoty przejmować się dodatkowo swoim wirtualnym wyglądem.

„3... 2...” Na tablicy rozpoczęło się odliczanie. Obok niej Ming kołysała się na obcasach ze zniecierpliwieniem. Rodrick obrócił się do Avery i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jesteś gotowa, Fuller? – puścił do niej oko. Jednak Avery go zignorowała. Pewnego razu całowała się z nim na przyjęciu świątecznym u rodziców Jess i Rodrick ciągle zachowywał się tak, jakby kiedyś miało się to powtórzyć.

„1”. Drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze statku kosmicznego, w którym wzdłuż opustoszałych korytarzy mrgały czerwone lampki alarmowe. Gdyby Avery zdjęła hełm, zobaczyłaby tylko pustą, przemysłową przestrzeń pełną przewodów wentylacyjnych oraz ruchomych ścian z pianki węglowej. Gdzieś w innej części statku skradali się ich przeciwnicy.

Avery nacisnęła przycisk na opasce na nadgarstku, aby nawiązać łączność z resztą drużyny.

– Ming i ja pójdziemy w lewo – szepnęła i pchnęła srebrne drzwi, które wiodły do bocznego korytarza. Ming, która była przebrana za różową księżniczkę elfów – jeśli chodziło o wygląd awatarów nie istniały żadne ograniczenia, choć w statku kosmicznym wyglądała dość śmiesznie – skinęła głową i ruszyła za nią.

Po ich lewej stronie nastąpiła eksplozja. Avery przykucnęła przy grubej rurze, po czym poderwała się i rzuciła biegiem przed siebie, nie zwracając już uwagi na Ming. Zaczęła strzelać z pistoletu w kierunku kłębu dymu w kącie pomieszczenia. Nagle natknęła się na zwisającą w powietrzu drabinę, która przypominała jej o rzeczywistej drabinie prowadzącej z mieszkania na ukryty na dachu taras. „Czemu nie?”, pomyślała, podskoczyła i zaczęła się wspinać. Czuła się doskonale, poruszając się w ciemnej, pozwalającej zachować anonimowość przestrzeni, a gorąca krew krążyła szybko w jej żyłach. Jeśli będzie poruszać się dostatecznie żwawo, to może zapomni o Atlasie i Ledzie, może nawet zdoła zapomnieć o wszystkim oprócz samej gry.

Gdy dotarła na szczyt drabiny, podciągnęła się na wyższy poziom i zaczęła strzelać w kierunku dwóch postaci oświetlonych jarzącymi się strzałkami, które oznaczały, że należeli do przeciwnej drużyny. Ukryli się jednak za stertą pudeł oznakowanych symbolami promieniowania, przy czym jedna z osób potknęła się i upadła. To musiała być Leda w swoich dumnych espadrylach na koturnie.

Avery zakradła się wolno z drugiej strony, tak żeby jej nie zauważyli, i... zamarła.

Tuż przy Ledzie klęczał Atlas. Avery rozpoznała go po tatuażu po wewnętrznej stronie nadgarstka: to był jego znak rozpoznawczy, dopasowane do siebie symbole jin i jang, których nie mógłby sobie wytatuować w prawdziwym życiu, ale zawsze wybierał je dla swojego awatara podczas gier w ARenie. Leda położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu. A Atlas się nie odsunął.

Avery wstrzymała oddech. Nie chciała dłużej się temu przyglądać, ale zarazem nie była w stanie oderwać od nich wzroku. Gest Ledy wydał jej się niezwykle intymny, jakby Atlas do niej należał. To był gest, który zdradzał, że Leda była z nim w bliskich relacjach albo że bardzo go pragnęła. To był gest, na który Avery nigdy, przenigdy nie mogła sobie wobec Atlasa pozwolić.

– Kończę grę – wyszeptała, pociągając za czerwoną pętelkę przy opasce na rękę. Broń Avery natychmiast się dezaktywowała, a ona sama stała się niewidoczna dla pozostałych graczy. Nie była teraz w stanie nic zrobić, mogła tylko wrócić do miejsca zbiórki i na nowo się aktywować. Wyglądało to tak, jakby Avery nigdy tu nie było, jakby sama wykasowała się z rzeczywistości. I dokładnie tak właśnie się czuła.

„To by było na tyle, jeśli chodzi o łatwą forszę”, pomyślał Watt, wchodząc do znajdującej się na 623 piętrze AReny. Minęło zaledwie kilka dni, a Leda Cole zdążyła już pokazać, jakim potrafi być wrzodem na tyłku.

Gdy Watt podejmował się tego zlecenia, nie zdawał sobie sprawy, jakie będzie z nią miał utrapienie. Leda nieustannie domagała się od niego nowych informacji na temat Atlasa: co robi, co pisze w swoich wiadomościach, jakie holoprogramy ogląda i czy uważa je za zabawne. Watt odpowiadał na wszystkie pytania, na które tylko był w stanie odpowiedzieć, ale nie udało mu się włamać do domowej sieci Fullerów, nie wiedział więc, co się dzieje w ich domu, chyba że Atlas napisał o tym komuś z zewnątrz.

Teraz próbował uporać się z ostatnim żądaniem Ledy dotyczącym pomocy w grze w rozszerzonej rzeczywistości. Watt jak idiota zgodził się włamać do systemu AReny i tak zmanipulować grę, aby Leda i Atlas znaleźli się blisko siebie, ale przystał na to, zanim jeszcze zdążyli z Nadią przyjrzeć się temu, jak skonstruowany jest system zabezpieczeń. Okazało się, że przez ARenę przepływa tak duży strumień danych, że nawet Nadia nie potrafiła sforsować chroniącego je firewalla. W końcu Watt zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem na to, żeby spełnić obietnicę tak lekkomyślnie złożoną Ledzie, będzie zinfiltrowanie systemu od środka.

– Nadia, jak my w ogóle wpakowaliśmy się w tak kretyńską akcję?

– O ile pamiętam, to nie ja zgodziłam się przyjąć tę robotę – odparła Nadia.

Watt podszedł do drukarki biletów 3D i na widok tych wszystkich opcji poczuł na przekór sobie narastającą ekscytację. Były tu gry fantasy, przygodówka w azteckiej dżungli, a nawet gra, która nosiła nazwę *Jeźdźcy smoków*. Ciekawe, w jaki sposób, u licha, udało im się stworzyć symulację ujeżdżania smoków? Cóż, skoro i tak musiał kupić bilet, żeby dostać się do środka, to przy okazji mógł też w coś zagrać, prawda? Gdyby tylko Derrick tu był. Chyba by oszalał ze szczęścia.

Watt wybrał jakąś grę z czarodziejami, wydrukował swój bilet, po czym rozejrzał się dookoła i nagle go zatkało. Z areny, w której toczyła się gra, wyszła właśnie najpiękniejsza dziewczyna, jaką widział w swoim życiu.

– Nadia, kto to jest? – spytał. Nadia wyświetliła feedy dziewczyny i Watt omal nie zaśmiał się na głos.

To była Avery Fuller – siostra chłopaka, którego szpiegował, i najlepsza przyjaciółka Ledy Cole.

Watt przyglądał się niczym urzeczony, jak Avery szarpnęła kucyk, pozwalając, by jej blond włosy opadły na plecy, po czym nerwowo nimi potrząsnęła. Wydawało mu się, że w jej błękitnych oczach dostrzegł łzy.

– Co mam jej powiedzieć? – spytał.

– Kup w automacie paczkę grejpfrutowych M&M'sów, usiądź obok niej i zacznij je jeść – podpowiedziała mu Nadia.

– Serio? – To była dziwna rada, nawet jak na Nadie, która sugerowała często najdziwniejsze i najbardziej pokreśne rozwiązania.

– Czy kiedykolwiek wcześniej wprowadziłam cię w błąd?

Co racja, to racja. Watt zrobił tak, jak poradziła mu Nadia: kupił paczkę cukierków i usiadł na ławce obok Avery, celowo ją ignorując. Wyciągnął z kieszeni M&M'sy i zaczął jeden po drugim wrzucać je do ust.

Nagle wyczuł, że Avery obróciła się w jego kierunku i odchrząknęła, a jej wzrok padł na paczkę cukierków. Udawał, że w ogóle tego nie zauważa. Po chwili jednak...

– Przepraszam – wymamrotała Avery, stukając go w ramię. – Tak się zastanawiałam... Mogłabym się poczęstować?

Watt zamrugał, nieco zaskoczony, że się do niego odezwała, choć przecież tego właśnie się spodziewał. To naprawdę była najpiękniejsza i najbardziej oszałamiająca dziewczyna, jaką widział w życiu. Wreszcie zdołał odzyskać głos.

– Słucham? – powiedział, wskazując z zakłopotaniem na uszy, jakby właśnie słuchał czegoś na iTenach, choć to oczywiście nie była prawda. Ale przynajmniej to tłumaczyło, dlaczego przed chwilą popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem niczym jakiś skończony dureń.

Avery powtórzyła swoją prośbę, a Watt wysunął w jej kierunku paczkę ze słodyczami, tłumiąc uśmiech.

„Dzięki, Nadio”.

„Człowieku małej wiary”.

– Czego słuchasz? – zapytała uprzejmie, oddając M&M'sy, choć Watt miał wrażenie, że myślami była gdzie indziej.

– Jake'a Saundersa. Wątpię, żebyś go znała.

– No co ty! Też lubisz country?! – wykrzyknęła Avery.

Watt skinął głową, choć nigdy w życiu nie słyszał żadnej piosenki country.

– Co myślisz o jego nowej płycie? – spytała z przejęciem Avery.

– Podoba mi się – odparł z pewną ostrożnością Watt, odczytując niemal słowo w słowo komentarz, jaki przed kilkoma tygodniami Avery wysłała Atlasowi. – Ale nie jest taki dobry jak jego wcześniejsze płyty. Moją ulubioną piosenką Jake'a zawsze będzie *Crash and Burn*.

– Moją też! – zawołała Avery, po czym ku zaskoczeniu Watta zaczęła śpiewać pod nosem jej refren: – „Między nami koniec, już nie przyjdę więcej, możesz iść i złamać...” – Miała niski, chropawy i uwodzicielski głos, jakiego Watt zupełnie się po niej nie spodziewał.

– „... czyjeś inne serce” – Watt zaśpiewał razem z nią kilka ostatnich słów, a Avery się roześmiała.

– Co cię tu sprowadza? – zapytała po chwili.

Była urzekająca: te oczy, ten śmiech, ten zaskakujący głos.

– Umówiłem się ze znajomymi, żeby zagrać w *Wizards* – odparł Watt.

– Och, to była kiedyś moja ulubiona gra. Kojarzysz ten fragment, kiedy trzeba wyciągnąć miecz z kamienia?

Watt już miał skłamać – Nadia ściągnęła mu ze strony miłośników gry całą mapę AReny wraz z opisem tej konkretnej sceny – ale z nieznanego sobie powodu wcale nie miał na to ochoty.

– Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej tu nie byłem – przyznał.

– Serio? – Avery wydawała się tym szczerze zdziwiona. – W takim razie nie będę ci psuć zabawy. Zapamiętaj tylko, że gdy alchemik zaproponuje ci napój, weź najmniejszy kielich.

– Dzięki niemu wygram?

– Nie, wszystkie kielichy pozwalają przejść na wyższy poziom, ale napój w najmniejszym kielichu smakuje po prostu lepiej niż pozostałe – powiedziała poważnym tonem Avery, a Watt się uśmiechnął. – A tak w ogóle to jestem Avery – dodała.

– Avery – powtórzył, jakby po raz pierwszy słyszał jej imię i nie śledził przez cały ten czas jej feedów. – Jestem Watt.

Avery spojrzała w kierunku drzwi i Watt zdał sobie sprawę, że zaraz może ją utracić.

– A ty w co dziś grasz? – zagadnął, wskazując głową na przymocowane do jej pasa pistolety.

– W *Inwazję Obcych*. – Avery wzruszyła ramionami. – Musiałam po prostu trochę odetchnąć.

Za radą Nadii Watt tylko skinął głową, choć miał wrażenie, że powinien coś powiedzieć. Ale Nadia monitorowała oddech oraz tętno Avery i doszła do wniosku, że dziewczyna chce dodać coś jeszcze.

– To wszystko jest czasami takie... męczące, wiesz? – Avery odwróciła wzrok, bawiąc się swoją rękawicą.

„Nadia?“, spytał Watt z wahaniem. Nie był przyzwyczajony do tego, że nie potrafi zrozumieć dziewcząt, szczególnie tak ślicznych jak Avery. Z jego doświadczenia wynikało, że uroda i skomplikowany charakter rzadko szły ze sobą w parze.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Masz czasem wrażenie, że ludziom wydaje się, że cię znają, ale kompletnie nie mają racji, ponieważ nie wiedzą o tobie najważniejszej rzeczy?

– Prawdę mówiąc, tak. – Nikt nie miał pojęcia o istnieniu Nadii, która była przecież tak mocno i nierozdzielnie związana ze wszystkim, co Watt myślał, wiedział i robił. Ciekawe, jaką wielką tajemnicę skrywała Avery. Cokolwiek to było, nie mogło być tak straszne jak posiadanie wszczepionego w mózg kwanta.

– Przepraszam, nie wiem, dlaczego to powiedziałam – Avery wróciła do swojego poprzedniego bardziej zdystansowanego tonu, w jakim poprosiła o M&M'sy. Watt podniósł głowę i zobaczył, że

Avery związuje na powrót włosy, dzięki czemu poczuł przez moment zapach jej lawendowego szamponu.

Dziewczyna zaczynała się przed nim zamykać, ukrywać tę wrażliwą stronę swojej osobowości, do której na krótką chwilę go dopuściła. Watt zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób ją zatrzymać. Nie mógł pozwolić jej teraz odejść.

– Avery – odezwał się, gdy zabrzęczała opaska na jej nadgarstku, sygnalizując, że spędziła już zbyt dużo czasu poza grą. Jeśli pozostanie tu dłużej, nie będzie mogła wrócić na arenę.

– Zdaje się, że powinnam już wracać. – Uśmiechnęła się, ale w jej twarzy nie było już tego ciepła, jakie Watt widział jeszcze przed minutą.

– Zanim pójdziesz... Czy możemy wymienić się flik-linkami? – Watt podniósł się z ławki, czując się trochę niezręcznie. Od czasu gdy miał Nadię, jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany w towarzystwie dziewczyny.

– No jasne. – Avery spojrzała Wattowi w oczy, czekając, aż ich szkła nawiążą ze sobą kontakt, dzięki czemu będą mogli ze sobą flikować i rozmawiać za pomocą połączeń ping. – Do zobaczenia – dodała i nałożyła na głowę hełm. Drzwi się rozsunęły, pozwalając Wattowi zobaczyć przez chwilę rzeczywisty wygląd areny: był to w zasadzie ciąg szarych ścian pokrytych różnymi dyszami i czujnikami ruchu.

– Powodzenia! – zawołał za nią Watt, ale Avery znajdowała się już w zupełnie innym świecie.

ERIS

– Jesteś! – wykrzyknęła Avery, ruszając szkolnym korytarzem w kierunku Eris. Tłum instynktownie rozstał się przed nią. – Myślałam, że może postanowiłaś dziś zwać z lekcji. Nie widziałam cię od wieków – głos Avery wzniósł się nieco przy ostatnim zdaniu, zamieniając je w rodzaj pytania.

– Nawet ja nie opuściłabym pierwszego dnia – powiedziała beztrąsko Eris, choć był to absolutnie najgorszy pierwszy dzień szkoły, jaki pamiętała. Przyjechała na górę Wieży wcześniej, na szkolny mundur włożyła zwykłą czarną wiatrówkę, aby nie zwracać na siebie uwagi mieszkańców dolnych pięter. Wzięła prysznic przy szkolnej szatni, byle tylko nie musieć gnieść się w tej ciasnej łazience, którą dzieliła z mamą.

Normalnie pierwszego dnia szkoły rodzice kazali jej pozować do żenującego zdjęcia przed frontowymi drzwiami. Był to zwyczaj, który zapoczątkowali, kiedy jeszcze Eris chodziła do przedszkola. „Powodzenia!”, wołali do niej oboje i ściskali ją, aż w końcu córka uciekała przed nimi do windy, śmiejąc się z ich głupiej tradycji, choć w głębi serca ją uwielbiała.

Dziś rano nie było żadnych zdjęć. Eris zastanawiała się, czy tata w ogóle wie, że to pierwszy dzień szkoły. Na myśl o tym poczuła gwałtowny, ostry ból za oczami. Zamknęła je na chwilę, starając się

opanować falę cierpienia i szoku, która zalała jej umysł. Nie mogła dać nic po sobie poznać przed Avery.

– W porządku, Eris, ale słuchaj... czy coś się z tobą dzieje? – spytała Avery, gdy obie ruszyły w kierunku wyjścia. Akurat zadzwonił popołudniowy dzwonek. Uczniowie na korytarzach stali w grupkach niczym stada jednobarwnych ptaków: dziewczyny nosiły plisowane spódnice, chłopcy – wyprasowane spodnie khaki, a do tego wszyscy – koszule zapinane na guziki. Po raz pierwszy w życiu Eris była wdzięczna za te ich durne szkolne mundurki. Nie była pewna, ile kombinacji strojów uda jej się zestawić z ubrań, które zabrała ze sobą na 103 piętro, ale raczej nie za wiele.

– Co masz na myśli? – spytała uspokojona normalnym brzmieniem swego głosu.

– Od imprezy u Corda nie widziałam cię ani razu, nie przyszedłeś wczoraj do AREny, a kiedy zajrzałam do twojego mieszkania, żeby sprawdzić, co u ciebie słychać, nikogo tam nie zastałam. – Avery rzuciła Eris podejrzliwe spojrzenie. – Wszystko u ciebie w porządku?

Eris nie chciała z nią o tym rozmawiać. Ta sprawa była jeszcze zbyt świeża, a poza tym gdy tylko ktoś pozna prawdę, to wszystko stanie się nieodwracalnie realne. Na szczęście Eris zdążyła wymyślić doskonałą wymówkę.

– Rodzice postanowili odnowić mieszkanie. Po raz kolejny. Wiesz, jacy oni są. – Teatralnie wzniosła oczy ku niebu. – Zatrzymaliśmy się na jakiś czas w Nuage. I przepraszam za wczoraj – dodała.

– Cieszę się, że wszystko gra. To znaczy nie martwiłam się jakoś bardzo, domyśliłam się, że pewnie wyjechałeś i robisz coś fantastycznego. Jak w tamte wakacje, gdy zjawiłeś się w szkole tydzień później, bo razem z mamą „wracałyście określną drogą” z Birmy – zaśmiała się Avery. A Eris poczuła ukłucie żalu na to wspomnienie. Obie z mamą tak świetnie się bawiły w tamte wakacje, włóczyły się po Azji w jaskrawych sukienkach i absolutnie niczym się nie przejmowały.

– W każdym razie zazdroszczę ci pobytu w Nuage – mówiła Avery. – Powinnyśmy znów zacząć nocować u ciebie, żebyśmy mogły nosić te puszyste szlafroki, a rano zamawiać naleśniki z ricottą i jagodami!

– Zdecydowanie – przytaknęła Eris z udawaną wesołością.

Wyszły na starannie przystrzyżony trawnik przed szkołą, który porastał łagodne zbocze opadające w kierunku Madison Avenue. Natychmiast otoczył je gwar głosów: Ming, Risha i Leda debatowały nad tym, gdzie spędzić popołudnie, wymieniały się plotkami i opowieściami z pierwszego dnia szkoły. Eris tylko stała, pozwalając, by wszystkie ich słowa po prostu po niej spływały. Kiedy ekipa zdecydowała się w końcu na jogę i smoothie w klubie Altitude, kiwała jedynie głową i uśmiechała się, po czym bezwiednie ruszyła za pozostałymi dziewczynami. Chciała spędzić trochę czasu z Avery oraz jej przyjaciółkami i robić to, co zwykle robiły po szkole. Czuła potrzebę udawania przez chwilę, że wszystko jest w najlepszym porządku, a jej życie nie legło w gruzach. Że nadal jest Eris Dodd-Radson.

Gdy minęły siatkę otaczającą teren szkoły, która zagłuszała szkła kontaktowe, tablety i cały zbędny podczas lekcji sprzęt elektroniczny, Eris natychmiast sprawdziła swoją skrzynkę odbiorczą. Wiedziała, że

żyje złudzeniami, ale wciąż po cichu liczyła na jakąś wiadomość od taty. Rozumiała, że potrzebuje teraz trochę czasu do namysłu, lecz mimo to... Czy naprawdę tak to miało od teraz wyglądać? A jeśli nie odezwą się do siebie już nigdy więcej?

Najnowsza wiadomość w skrzynce sprawiła, że Eris aż się skuliła. Przysłało ją biuro obsługi klubu Altitude – było to uprzejme powiadomienie, że jej członkostwo w klubie wygaśło.

Eris ogarnął nagły gniew. To zapewne sprawka mamy, przecież to ona nalegała najpierw, żeby wstąpili do Altitude, to ona załatwiła im członkostwo, umawiała ich na spotkania towarzyskie i dbała o wszystkie luksusy oraz rozrywki w ich życiu. Eris oczywiście wiedziała, że mama nie chce wydawać już więcej pieniędzy Everetta, o to przecież chodziło w ich wyprawach. Ale co by szkodziło, gdyby Eris zachowała swoje członkostwo w Altitude?

Potem przypomniała sobie, co mama powiedziała na temat tego, żeby to tata mógł nadać charakter ich przyszłym relacjom, i zrozumiała, że może właśnie dlatego Caroline nie chce, aby Eris bywała w Altitude. Chodziło o to, żeby nie spotkała tam przez przypadek Everetta.

„To wszystko dzieje się naprawdę”, pomyślała Eris. Była nieco zdumiona, choć oczywiście spodziewała się tego. Jej luksusowe życie rozpadało się na jej oczach kawałek po kawałku.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Zresztą co miałyby powiedzieć swoim przyjaciółkom? „Wybaczcie, nie mogę iść z wami do Altitude, bo jestem na to za biedna”? Dziewczyny zapakowały się do jadącej na 930 piętro windy, wciągając bezradną Eris do środka. Wciąż tylko potakiwała, nie rozumiejąc nic z tego, co mówiła reszta. Szumiało jej w głowie od wymyślania kolejnych historyjek, którymi mogłaby się wykręcić od wejścia do Altitude, lecz każda wydawała jej się bardziej szalona od poprzedniej. Może musiała iść znowu na staż w gabinecie taty? Albo umówiła się na randkę z Cordem? Albo rodzice dali jej szlaban po sobotniej imprezie i uruchomili lokalizator w jej szklach, aby móc śledzić każdy jej ruch?

Dziewczyny ruszyły w dół wysadzaną dębami, brukowaną alejką, która prowadziła do wejścia do klubu. Eris poczuła, że kręci jej się w głowie, a oddech staje się nierówny. Nie mogła tam wejść: nie zniosłaby litości malującej się na twarzy Jeffreya, kiedy uprzejmie, lecz stanowczo oznajmiłby, że nie może jej wpuścić do środka. Nie wytrzymałaby też porozumiewawczych spojrzeń oraz przyciszonych szeptów, którymi wymieniałyby się jej przyjaciółki, gdyby domyśliły się prawdy. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Ale jej stopy poruszały się automatycznie, z każdym krokiem wiodąc ją ku zgubie. Ze sztucznym, bladym uśmiechem przyklejonym do twarzy Eris przyglądała się, jak Risha z Ledą wchodzi do windy i jadą na poziom, na którym odbywały się zajęcia jogi. Ming została z tyłu, czekając na Avery, która z kolei patrzyła pytająco na Eris...

– Nie czuję się za dobrze – wypaliła Eris. – Chyba wrócę do domu.

– Jesteś pewna? – zmarszczyła brwi Avery.

Tymczasem Ming zaśmiała się ironicznie.

– Nie martw się o nią, Aves. Na pewno umówiła się już na indywidualny trening z Cordem. W jego mieszkaniu.

Eris wzdrygnęła się. Zazwyczaj drobne złośliwości Ming w ogóle jej nie wzruszały, ale biorąc pod uwagę wszystko to, co się ostatnio wydarzyło, trudno było zachować spokój. A w ogóle to dlaczego Ming nazywała Avery „Aves”? Przecież wszyscy wiedzieli, że tak mógł zwracać się do niej tylko Atlas.

– To dość niegrzeczne z twojej strony – odparła Eris, starając się nie sprawiać wrażenia zbyt obrażonej. – Naprawdę, nie czuję się dobrze.

– Wyluzuj, Eris, to był tylko żart. – Ming zmrużyła oczy. – Choć jak się przyjrzeć, to faktycznie wyglądasz dość okropnie.

– O Boże, daj mi wreszcie spokój! – burknęła na nią Eris, darując sobie wszelkie uprzejmości.

Ming zerknęła na Avery, jakby szukała u niej wsparcia, ale przyjaciółka tylko westchnęła.

– Spotkamy się na górze – powiedziała, nie patrząc nawet na Ming i szperając za czymś w jaskrawoczerwonej torbie hobo. Ming odrzuciła do tyłu głowę wściekłym ruchem i pomaszerowała do windy. – Mam! – Avery tymczasem triumfalnym gestem wyciągnęła z torby srebrny medistick.

Eris cofnęła się odruchowo.

– Nie trzeba, naprawdę – opierała się. Ale Avery już zaczęła przesuwac pałeczką wokół jej głowy i tułowia, wyginając przy tym dłoń w nadgarstku, jakby to była zabawka. Po chwili medistick zabrzączał, sygnalizując, że zakończył sprawdzanie wszystkich funkcji życiowych Eris, a dioda na jego końcu zapaliła się charakterystycznym, jasnozielonym światłem. Znak, że Eris była w doskonałym zdrowiu.

– Słuchaj, najwyraźniej jesteś po prostu przemęczona. – Avery mówiła irytująco spokojnym głosem. – Może zamiast iść na jogę, posiedzisz sobie trochę nad basenem? Możesz zafundować sobie masaż twarzy. A potem spotkasz się z nami i wszyscy pójdziemy na smoothie.

– Nie, dzięki – odparła Eris napiętym głosem.

– Nie musiałaś tak warczeć na Ming – upomniała ją łagodnie Avery. – Jej żart był kiepski, ale nie wydaje mi się, żeby chciała ci sprawić przykrość.

Eris potrząsnęła głową, a zarazem poczuła nagle przypływ gniewu wymieszanego z rozgoryczeniem. Avery tego po prostu nie rozumiała. Była taka sama jak zawsze: mieszkając w swoim pałacu na tysięcznym piętrze, unosiła się lekko ponad żalonymi, drobnymi problemami innych ludzi, podczas gdy Eris straciła praktycznie wszystko. Przez cały czas trwania ich przyjaźni Eris nigdy nie żywiła do Avery najmniejszej urazy. Aż do tej pory.

– Wiesz co, naprawdę nie czuję się najlepiej – powtórzyła, podkreślając każde słowo. – Wracam do domu.

W tym momencie zobaczyła Jeffreya, który patrzył na nią znacząco. Miała wrażenie, że zaraz zacznie wrzeszczeć.

– Dobrze. Zadzwońisz do mnie później? – spytała zmartwionym tonem Avery, ale na nią nie naciskała. Eris odwróciła się plecami do wejścia do klubu. Czekala ją teraz długa, przygnębiająca droga w dół na 103 piętro.

Nie dotarła jednak nawet do połowy budynku, kiedy wszystko przed jej oczami się rozmyło. Otarła wściekłym gestem łzy, ale one nie przestawały płynąć, jej ciałem wstrząsał okropny, urywany szloch i jedyne, co była w stanie zrobić, to skrócić w pierwszą boczną uliczkę i spróbować wziąć się w garść.

Kim ona teraz w ogóle była? Bo chyba nie Eris Dodd. To nazwisko pasowało do niej nie lepiej niż duszne, ciasne mieszkanie na 103 piętrze. Skrzyżowała ramiona na piersi, objęła się nimi mocno i wzięła kilka głębokich wdechów, aby odzyskać panowanie nad sobą. Ta alejka była przynajmniej na tyle schowana, że żaden członek Altitude idący główną ulicą nie mógł zobaczyć jej tutaj, jak zalewa się łzami.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że należysz do osób, które lubią sobie popłakać.

Eris podniosła wzrok i ujrzała przed sobą Mariel. Stała z ręką opartą na biodrze, miała na sobie dżinsy i obcisłą koszulkę na ramiączkach.

– A ty, szpiegujesz mnie czy co?

– Wiem, że to może być dla ciebie szok, ale świat nie kręci się tylko wokół twojej osoby. – Mariel wskazała na drzwi za plecami Eris. – Blokujesz wejście dla personelu.

Eris odsunęła się na bok, próbując wymyślić jakąś dowcipną ripostę, ale nic nie przyszło jej do głowy.

– Dzięki – rzuciła Mariel i przeszła obok niej. – Jeśli szukasz lepszego miejsca na oplakanie swojego członkostwa w klubie, to mamy tu ładny schowek na miotły.

– Nie masz pojęcia, przez co dzisiaj przeszłam, dobra? – burknęła Eris. – Nie wiesz, jak to jest, gdy cała twoja rodzina, cały twój świat, po prostu zaczyna się rozpadać.

Mariel stanęła w drzwiach i wbiła wzrok w Eris, która pod ciężarem jej spojrzenia poczuła się zakłopotana. Po chwili Mariel potrząsnęła głową.

– Zdziwiłabyś się – powiedziała, a drzwi zatrasnęły się za nią automatycznie.

Eris spędziła w top-Wieży jeszcze cztery godziny, została tam tak długo, jak tylko się dało. Przez ten czas włóczyła się po swoich ulubionych butikach i udawała, że zastanawia się nad kupnem sukienek i torebek, na które w rzeczywistości nie było już jej stać. Z początku czuła się fantastycznie, gdy sprzedawczynie biegały, wyszukując dla niej rozmaite wzory sukienek, ich obcasy zaś kojąco stukwały

o podłogę, a kiedy Eris oglądała skany każdej z sukienek na trójwymiarowej projekcji swojego ciała, one podawały jej w szklance zimną wodę pomarańczową. Tak, to wszystko było fantastyczne, dopóki sprzedawczynie nie zaczynały wypytywać o złożenie zamówienia, a wtedy Eris musiała wykpić się jakąś wymówką i uciec ze sklepu.

Zajrzała też do Hiacyntu, jej ulubionego sklepu ze zdrową żywnością, aby spróbować darmowych przekąsek, jakie wystawiali tam zawsze w porze obiadu. Zamówiła sobie nawet latte z pianką, tylko po to, żeby móc posiedzieć chwilę w wygodnym fotelu i poprzeglądać czasopisma na dostępnych tam tabletach. Czuła się naprawdę dziwnie, spędzając popołudnie wyłącznie z własnymi myślami. Ale zrobiło się późno i Eris skończyły się miejsca, do których mogłaby jeszcze pójść.

Wysłała kilka flików do Corda, ale nie odpowiadał. Pewnie uciął sobie drzemkę albo był zajęty jakąś hologrą, a może palił z kumplami. Eris nie spała u niego od czasu imprezy i choć od tamtej pory upłynął niespełna tydzień, to po tym wszystkim, co się wydarzyło, miała wrażenie, że minęły już całe wieki.

Podniosła się z westchnieniem, zamierzając wrócić do mieszkania. Ale na samą myśl o panującym tam smrodzie, karaluchach, a przede wszystkim o konieczności rozmowy z mamą, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zanim jeszcze zdążyła podjąć świadomą decyzję, odwróciła się i ruszyła w kierunku mieszkania Corda.

Drzwi same się przed nią otworzyły, gdy stanęła w progu: od miesięcy znajdowała się na liście zatwierdzonych gości.

– Cord?! – zawołała, wchodząc do środka. Nie było go w salonie, choć na kanapach widziała mnóstwo rozrzuconych ubrań, które nie wyglądały jednak, jakby należały do Corda. A to znaczyło, że w mieście był Brice.

Corda znalazła w sypialni. Siedział oparty o poduszki i czytał coś na tablecie. Dziwne, Eris nie widziała go zbyt często, by cokolwiek czytał. Może nawet nigdy.

– Eris – powiedział na jej widok. – Co ty tutaj...

– Chciałam cię odwiedzić. – Eris zamknęła za sobą drzwi.

– Naprawdę, to nie jest najlepsza pora. – Miał jakieś dziwnie nieobecne spojrzenie. Nie był rozproszony jak wtedy, gdy korzystał ze szkieł, ale naprawdę pogrążony w myślach. Eris ogarnął lekki niepokój. Zastanawiała się, czy wciąż miała zaczerwienione oczy po płaczu sprzed kilku godzin. „Chrzanić to”, pomyślała i rozpięła górny guzik koszuli. Następnie idąc wolno w stronę łóżka, zmysłowo rozpinęła jeden po drugim kolejne guziki. Ale tym razem oczy Corda nie rozbłysły z ekscytacją tak jak zwykle.

Gdy Eris rozpięła całkiem koszulę, odsłaniając różowy koronkowy stanik, wspięła się na łóżko obok Corda. Ale on nie wykonał żadnego gestu, jak zauważyła nieco spłoszona. Nie zgasił światła, nie próbował jej dotknąć, nic.

– Eris – odezwał się, ale ona natychmiast nachyliła się, żeby go pocałować, i jednocześnie zaczęła podciągać do góry jego koszulkę.

Cord pozwolił jej się pocałować, lecz po chwili położył dłonie na jej ramionach i delikatnie odsunął ją na bok.

– Mówię poważnie – powiedział, a w jego głosie pojawił się jakiś nowy ton. – Nie teraz.

Eris wiedziała, że to sygnał dla niej – powinna się roześmiać, włożyć z powrotem koszulkę i udawać, że nic się nie stało – ale nie potrafiła tego zrobić. Odrącenie przez Corda wstrząsnęło nią do tego stopnia, że utraciła resztki samokontroli. W kącikach oczu poczuła palące łzy. Trzęsąc się ze złości, usiłowała je powstrzymać. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby Cord zobaczył, jak płacze.

– Mogę zostać tutaj na chwilę? – spytała cichym głosikiem. Nie obchodziło jej nawet to, czy prześpi się z Cordem, pragnęła tylko położyć się na jego materacu z ultrapijanki, wsunąć się pod delikatną pościel, a potem obudzić się rano, gdy promienie słoneczne wpadną przez okna jego sypialni.

– Wszystko w porządku? Chcesz, żebym zadzwonił do Avery? – spytał Cord, a Eris miała wrażenie, jakby uderzył ją w twarz. Zrozumiała podtekst: „Cokolwiek cię teraz gnębi, ja nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego”. Cordowi zależało tylko na zabawnej, wesołej, flirciarskiej Eris. Inna Eris go nie interesowała. Ona zaś zdawała sobie sprawę z tego, że przecież oficjalnie ze sobą nie chodzili, Cord nie był jej chłopakiem ani nic w tym stylu, miała jednak nadzieję, że chociaż trochę mu na niej zależy, przynajmniej jako przyjacielowi.

– Czy ty w ogóle coś do mnie czujesz? – wypaliła i wzdrygnęła się, gdy tylko wypowiedziała te słowa. Zabrzmiały one potwornie nachalnie. – Nieważne. Zapomnij o tym – wymamrotała, ale było już za późno.

Cord usiadł prosto i spojrzał jej w oczy.

– Eris, strasznie cię przepraszam – oznajmił tak szczerym tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała. – Wydawało mi się, że się rozumiemy.

– Doskonale się rozumiemy! – wykrzyknęła Eris, kręcąc jednocześnie głową.

– Myślałem, że robimy to tylko dla zabawy. Nie mogę zaangażować się teraz w coś poważnego. Przepraszam – powtórzył znów ze skrucą. – Chyba najlepiej będzie, jeśli zakończymy to teraz, zanim wpakujemy się w jeszcze większe kłopoty.

Eris już miała odpowiedzieć, że nie ma nic przeciwko, żeby wszystko nadal wyglądało tak jak dotychczas, ale coś ją powstrzymało. Nie mogła znieść myśli o utracie tych resztek dumy, jakie jeszcze jej pozostały. Szybkimi, zdecydowanymi ruchami zapięła koszulkę i odrzuciła włosy do tyłu.

– Jasne. To do zobaczenia – dodała najnormalniejszym głosem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć.

– Na razie – powiedział Cord z pewnym respektem, jakby nie spodziewał się, że Eris przyjmie to tak spokojnie.

W drodze do drzwi wyjściowych Eris zdała sobie sprawę, że niemal na pewno zostanie jutro usunięta

z listy gości mających swobodny wstęp do mieszkania Corda. „No cóż”, pomyślała z zaskakującym brakiem emocji. Rozstanie z Cordem – jeśli w ogóle można to uznać za rozstanie, skoro oficjalnie ze sobą nie chodzili – zmartwiło ją w znacznie mniejszym stopniu, niż sądziła.

Może było tak dlatego, że w obliczu tego wszystkiego, co już straciła, rozstanie z Cordem wydawało się mało istotne.

LEDA

Następnego dnia po południu Leda stała we wschodnioazjatyckim skalnym ogrodzie na skraju szkolnego kampusu. Było tu cicho i chłodno. Prawie nikt tędy nie chodził. Spokój zakłócały jedynie małe ogrodnicze boty układające kamienie w przypominające fale wzorki, a także fontanna szemrząca wesoło w kącie ogrodu.

Leda czekała na Avery. W tym semestrze chodziły razem na chemię. Dopilnowały tego, kiedy wiosną zapisywały się na zajęcia. Zawsze wspólnie uczęszczały na zajęcia z przedmiotów ścisłych i zawsze spotykały się w ogrodzie zen przed pierwszą lekcją w laboratorium, aby wejść razem do klasy i mieć pewność, że będą we dwie partnerkami przy wykonywaniu doświadczeń. To była ich tradycja, począwszy od ósmej klasy.

Leda krążyła nerwowo wokół ogrodu, obserwując zegar na szkolnym tablecie. Czekala tak długo, jak tylko mogła. Jej szkła kontaktowe nie działały na terenie szkoły, więc nie mogła skontaktować się z Avery. Bot ogrodniczy zaczął burzyć ułożone przed chwilą kamienne zawijasy i teraz przekształcał je w małe kwadraty. Naturalne światło słoneczne, które dzięki systemowi luster przenikało z zewnątrz Wieży, sączyło się do ogrodu przez świetlik. Leda przygryzła wargę podenerwowana. Co za idiotyczny ogród! Jak ktokolwiek może tu osiągnąć stan zen, kiedy ten głupi robot nieustannie przekłada kamienie?

Avery nigdzie nie było widać. Leda musiała już iść na lekcję, ale najpierw podeszła do bota i dała mu mocnego kopniaka. Urządzenie poszybowało w powietrzu, zataczając wysoki łuk, po czym wylądowało na ziemi z satysfakcjonującym dla Ledy chrzęstem. Avery na pewno wybuchłaby śmiechem, gdyby tu była. Ta myśl wywołała u Ledy jeszcze większy niepokój. Zostawiła bota z kółkami kręcącymi się bezradnie w powietrzu i pobiegła do pracowni chemicznej.

Do klasy weszła dokładnie wraz z trzecim sygnałem dzwonka oznajmiającym początek lekcji i zobaczyła, że Avery siedzi w drugim rzędzie z nonszalancko założonymi jedna na drugą nogami.

– Hej – syknęła Leda, wsuwając się na puste siedzenie obok przyjaciółki. – Czekałam na ciebie w ogrodzie. Zapomniałaś?

– Racja. Przepraszam. – Avery odwróciła się do przodu klasy, trzymając nad tabletem rysik, gotowa,

aby zacząć robić notatki.

Leda powstrzymała się od odpowiedzi i usiłowała się skupić na tym, co mówił profesor Pitkin. Nauczyciel miał doktorat z badań materiałowych i był autorem krajowego podręcznika do chemii. Rodzice właśnie dlatego płacili za Berkeley, ponieważ tutejsi nauczyciele byli prawdziwymi specjalistami w swoich dziedzinach. Stworzone przez nich wideowykłady były przeznaczone niemal dla każdego, a nie tylko dla wąskiej grupki nauczycieli akademickich. Ale gdy Leda patrzyła na profesora Pitkina, widziała tylko jego łysą głowę i nabiegłą krwią twarz, co sprawiało, że wyglądał jak fioletowy, przejrzały owoc. Wszyscy nazywali go profesorem Śliwką. Leda zaczęła już pisać do Avery złośliwą wiadomość na jego temat, ale z westchnieniem odłożyła rysik.

Między nią a Avery panowała ostatnio dziwna atmosfera. Leda nie była pewna, czy chodziło o imprezę u Corda – czy przyjaciółka wciąż była na nią zła, że nie powiedziała jej prawdy o minionych wakacjach? – czy też o Atlasa. Avery zachowywała się nieco dziwacznie podczas wizyty w ARenie. Zdaje się, że nawet w pewnym momencie przerwała grę.

Leda zastanawiała się, czy Avery nie gniewa się o to, że umówiła się z Atlasem, nie ustalwszy tego z nią. Jasne, to trochę niecodzienne, że najlepsza przyjaciółka zaczyna spotykać się z jej bratem. Ale taka reakcja była chyba lekką przesadą.

„To lekko przesadna reakcja, jeśli najlepsza przyjaciółka zaczyna spotykać się z twoim bratem, ale nie kiedy idzie z nim do łóżka”, przyszło nagle Ledzie do głowy. Ta myśl przyprawiła ją o mdłości. Czy Avery wiedziała, co wydarzyło się w Andach? To tłumaczyłoby jej zachowanie: Avery była wkurzona, że Leda straciła dziewictwo z Atlasem i nawet nie powiedziała o tym swojej najlepszej przyjaciółce, a jego siostrze.

Ale jak Leda miała jej o tym powiedzieć, skoro Avery traktowała zawsze Atlasa z taką dziwną opiekuńczością?

Zerknęła na siedzącą do niej profilem Avery, starając się odgadnąć, o czym ona myśli. Czy powinna ją przeprosić? Nie zamierzała tego robić, chyba że Avery faktycznie wiedziała o tym, co zaszło w Andach. Ale nie miała też ochoty pytać Atlasa, czy jego siostra o nich wie.

Nagle odezwało się stare, znajome pragnienie xenperedrenu, które szeptało do ucha, że pomoże jej rozwiązać wszystkie problemy i odzyskać pewność siebie. „Dam sobie radę sama”, powiedziała w duchu Leda, ale ta mantra nie podziałała na nią tak uspokajająco jak w klinice odwykowej.

Może Nadia będzie mogła ustalić, co ugryzło Avery. Hakerka przez kilka ostatnich dni śledziła każdy ruch Atlasa, przesyłała Ledzie zapisy jego flików i kopie operacji na jego koncie w bitbanku, ale żadna z tych informacji nie okazała się szczególnie pomocna. Jednak to nie była wina Nadii, ale Atlasa. Był zbyt skryty, by cokolwiek z tego mogło się przydać Ledzie.

Avery odwróciła głowę i napotkała wzrok Ledy, a ta czym prędzej spojrzała w innym kierunku,

zirytowana, że została przyłapana na gapieniu się na przyjaciółkę. Przypomniało jej to początek siódmej klasy, kiedy tak okropnie przejmowała się tym, co wszyscy o niej myślą.

W porównaniu ze śród-Wieżą górne piętra wydawały jej się wówczas eleganckie, niesamowicie nowoczesne i przytłaczające luksusem. A koleżanki z klasy robiły wszystko tak szybko i wymieniały się dowcipnymi uwagami, jakby porozumiewały się między sobą jakimś tajnym kodem. Leda pragnęła wiedzieć, o czym mówiły i do kogo odnosiły się ich żarty. Ze szczególną uwagą przyglądała się jednej grupie dziewczyn, z których wręcz emanowały niezwykła pewność siebie i przekonanie o własnej wartości. Na ich czele stała Avery Fuller, wysoka blondynka o tak oszałamiającej urodzie, że trudno było uwierzyć, by w ogóle była realna. Leda rozpaczliwie pragnęła zostać jedną z nich.

Wkrótce dowiedziała się, że niektórzy z jej nowych kolegów wspomagają się w nauce xenperedrenem, lekiem antydepresyjnym, który zażywała również jej mama.

Zdobycie pigułek mamy okazało się dziecinnie łatwe. Rodzice Ledy do tego stopnia jej ufali, że nigdy nie aktywowali biozabezpieczeń na powierzchniach dotykowych w ich nowym mieszkaniu. Pewnego wieczoru, kiedy oglądali hologramy, Leda zakradła się do łazienki i otworzyła apteczkę. Wytrząsnęła na dłoń dwie pigułki xenperedrenu i kilka sekund później wróciła na korytarz. Następnego dnia w szkole zażyła jedną tabletkę.

Świat natychmiast stał się jaśniejszy, bardziej wyrazisty. Jej umysł działał z przyspieszoną prędkością, wynajdywał w jej pamięci fakty, o których już zapomniała, rejestrował z niezwykłą czujnością wszystkie zewnętrzne bodźce i sygnały. Leda nabrała takiej pewności siebie jak nigdy. Kiedy podeszła podczas lunchu do Avery i spytała, czy może usiąść przy jej stoliku, Avery tylko się uśmiechnęła i odparła: „Jasne”. Nakręcona xenperedrenem Leda śmiała się we właściwych momentach z wszystkich żartów i mówiła dokładnie to, co trzeba. Od razu poczuła, że została zaakceptowana.

Przez kolejnych kilka lat zażywała coraz więcej pigułek, aż w końcu zaczęła je kupować od dealera o imieniu Ross, żeby mama nie przyłapała jej na kradzieży. Starła się brać je tylko przed egzaminami i ważnymi imprezami – skoro była już przyjaciółką Avery, nie potrzebowała ich do zdobycia pozycji towarzyskiej. Ale uwielbiała tę Ledę, którą wydobywały z niej pigułki. Dzięki nim była bystrzejsza, ostrzejsza i bardziej przenikliwa, doskonale wychwytywała wszystkie niuanse i potrafiła tak manipulować każdą sytuacją, żeby obrócić ją na własną korzyść. Ta Leda wiedziała, jak dostać wszystko to, czego pragnęła.

Oczywiście z wyjątkiem Atlasa.

Nagle wokół Ledy zrobił się spory ruch, wszyscy zaczęli podnosić się z ławek, zaszurały o podłogę odsuwane krzesła. Każdy szukał sobie partnera do ćwiczeń w laboratorium. Leda odwróciła się do Avery, ale ona stała do niej tyłem i rozmawiała z Sidem Pinkelsteinem.

– Avery? – Leda klepnęła przyjaciółkę w ramię. – Jesteśmy partnerkami, tak?

– Obiecałam już Sidowi – powiedziała przeproszającym tonem Avery. Sid stał zdumiony tym, jakie szczęście go spotkało. – Wiesz, to przedostatnia klasa, trzeba myśleć o studiach i w ogóle. Muszę naprawdę wypaść jak najlepiej – dodała szybko. – Przepraszam.

Rany, Avery tak bardzo starała się jej unikać, że wolała wybrać kolesia, którego zawsze nazywali Sidem Prysztelsteinem?

– Nie ma sprawy – odparła Leda. – Risha? – Złapała Rishę za rękę i kipiąc w środku ze złości, zaciągnęła ją do stołu laboratoryjnego.

– Proszę bardzo – oznajmiła Risha, otwierając na swoim tablecie instrukcje dotyczące pracy w laboratorium. Spoglądała przy tym nerwowo to na Ledę, to na Avery, która pracowała z Sidem dwa stoły dalej. Leda tymczasem zabrała się już do mieszania składników, na chybił trafił wrzuciła jakieś sproszkowane substancje chemiczne do moździerza i zaczęła je rozgniatać tłuczkiem.

– Tak więc według instrukcji wcale nie potrzebujemy magnezu... – odezwała się ostrożnie Risha, wkładając okulary ochronne.

– Już za późno – odparła Leda. „Mam to gdzieś – pomyślała. – Przy odrobinie szczęścia może uda mi się doprowadzić do eksplozji”.

RYLIN

W sobotnie popołudnie Rylin weszła do sypialni Corda i szybko zamknęła za sobą drzwi. Czekwała na tę okazję przez cały dzień. Od kiedy zjawiała się tu rano, Corda nie było w mieszkaniu – jeśli się nad tym zastanović, rzadko tu w ogóle bywał w tym tygodniu, ale Rylin nie miała pojęcia, gdzie podziewał się popołudniami. Może unikał jej po tej niezręcznej sytuacji na schodach. „Co za głupi pomysł”, zganiła się w myślach. Cord Anderton prawdopodobnie nigdy w całym swoim życiu nie podjął żadnej decyzji ze względu na jakąś dziewczynę, a co dopiero sprzątaczkę.

Ale nawet pod nieobecność Corda Rylin nie czuła się na tyle swobodnie, żeby zrealizować swój plan, dopóki w mieszkaniu przebywał Brice. Kręcił się wokół niej godzinami, obserwował ją, jak sprzątała, aż w końcu przed dziesięcioma minutami wyszedł, mówiąc, że idzie „zrobić kardio”, cokolwiek to znaczyło. Rylin zadrżała na wspomnienie tego, w jaki sposób Brice na nią patrzył, jak oblepiał jej ciało wzrokiem i oblizywał usta niczym jaszczurka. Nic dziwnego, że Cord był taki pokręcony, skoro jego jedynym krewnym był obleśny dwudziestoseściolatek, który nie robił w życiu nic, tylko podróżował samolotem z jednej balangi na drugą.

Rylin miała już do czynienia z gorszymi od Brice’a, więc była w stanie znosić go jeszcze trochę. Zresztą to przecież jemu zawdzięczała to, że przez cały tydzień miała pracę. Już zaczynała bać się

nieuniknionego powrotu do budki z przekąskami na stacji kolejki ze zgrzytającymi wagonikami oraz niekończącym się potokiem wściekłych klientów. Ale jako siedemnastolatka, która rzuciła szkołę, miała raczej dość ograniczone możliwości zatrudnienia.

Praca u Corda stanowiła miłą odmianę. W jego mieszkaniu panowały cisza i przyjemny chłód, a Rylin mogła pracować we własnym tempie, choć raz w życiu pozostawiona tylko z własnymi myślami. Poza tym Cord lepiej płacił.

A jeśli jej plan wypali, to dzięki Cordowi nie zostaną z Chrissą wyrzucone z mieszkania.

Z szybko bijącym sercem Rylin uklękła, wysunęła dolną szufladę w komodzie Corda i wzięła trzy specjale, zapakowane pojedynczo w gruby, woskowany papier. „Cord nie potrzebuje ich tak bardzo jak ja”, powiedziała sobie. Zresztą miał ich pod dostatkiem, nie zauważy kilku brakujących. Poza tym jeśli skończy mu się zapas specjali, zawsze może iść do jednego z wielu swoich lekarzy, który wypisze mu nową receptę.

Nagle Rylin przypomniała sobie wyraz twarzy Corda, kiedy oglądał stare rodzinne filmy. Nie dostrzegła wtedy typowego dla niego sceptycyzmu i sarkazmu, kryło się w niej natomiast coś szczerego, wręcz młodzieńczego. A teraz ona wykradała leki, które zostały mu przepisane tuż po pogrzebie rodziców. Co pomyślałaby jej mama, gdyby zobaczyła teraz Rylin?

Drzwi otworzyły się szeroko.

Rylin podskoczyła, chowając specjale za plecami. W progu stanął Cord.

– Cześć – rzucił nieco zdziwiony. Rylin otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Wiedziała, że stojąc tak pośrodku pokoju bez żadnych środków czyszczących, wygląda wyjątkowo podejrzanie, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wpatrywała się tylko idiotycznie w Corda, próbując odczytać emocje malujące się na jego twarzy. Jeśli zostanie przyłapana na kradzieży, nie tylko wyleci z pracy, ale może też trafić do więzienia.

Zrobiła więc jedyną rzecz, która przyszła jej do głowy. Podeszła do Corda i wciąż ściskając za plecami narkotyki, pocałowała go.

Zrobiła to tylko dlatego, że wpadła w panikę. Ogarnął ją tak potworny strach jak wtedy, gdy weszła razem z Hiralem do szybu windy i spojrzała w przepastną otchłań dzielącą ją od ziemi. W końcu, po dłużącej się w nieskończoność chwili, Cord odwzajemnił pocałunek. Ale było w nim sporo rezerwy i nieufności, w niczym nie przypominał pocałunku z minionego weekendu.

Zanim się od siebie odsunęli, Rylin zdążyła schować specjale do kieszeni. Cord przyglądał się jej z zaciekawieniem. Jego barczysta sylwetka sprawiła, że w pokoju zrobiło się nagle ciasno. Czyżby zauważył? Rylin była gotowa wszystkiemu zaprzeczyć albo uciec...

– Trudno cię rozgryźć, wiesz? Jednego dnia dajesz mi w twarz, a innego zaczynasz mnie całować.

– Cóż mogę rzec? – rzuciła żartobliwym tonem Rylin, choć serce wciąż waliło jej jak młotem. –

Jestem skomplikowana.

– Najwyraźniej. – Cord patrzył na nią dłuższą chwilę, po czym sięgnął ręką do kieszeni. – Chciałem coś ci dać.

Rylin gwałtownie wciągnęła powietrze. Była to instafotografia jej mamy, zrobiona, zdaje się, w szklarni Andertonów. Rylin obserwowała niczym urzeczona, jak ruchomy obraz jej mamy pochyla się, by powąchać różowe kwiaty amarylisu, a jej twarz rozjaśnia uśmiech.

– Skąd to... – wyszeptała, usiłując powstrzymać łzy.

– Moja mama zrobiła to zdjęcie. Bez przerwy coś fotografowała – odparł Cord. – Pamiętałem, jak mówiłaś, że nie masz zbyt wielu zdjęć swojej mamy. Znalazłem je i pomyślałem... W każdym razie powinnaś je zatrzymać.

– Jest cudowne.

– Mam u siebie mnóstwo plików ze starymi zdjęciami. Możesz je przejrzeć. Kto wie, może znajdziesz jeszcze na nich swoją mamę. – Głos Corda wydawał się naładowany trudnymi do określenia emocjami.

– Dziękuję – rzekła ze wzruszeniem Rylin i zamilkła.

Obydwoje stali, nie bardzo wiedząc, co mają teraz powiedzieć. Rylin przyłapała się na tym, że wpatruje się w unoszącą się szybko w oddechu klatkę piersiową Corda, staranny ścieg, którym obszyty był kołnierzyk jego koszuli oraz wyłaniającą się spod niej gładką, opaloną skórę.

– Na mnie już chyba pora – wymamrotała i przeszła obok chłopaka.

Cord skinął głową, nic nie mówiąc. Obserwował tylko, jak Rylin zbiega po schodach i idzie w kierunku drzwi, cały czas ściskając zdjęcie w dłoniach.

– Nie uwierzysz, co mi się dziś przydarzyło – oznajmiła Rylin, wchodząc do mieszkania.

– Zostałaś aresztowana? Dostałaś awans? Znalazłaś sobie nowego chłopaka?! – Chrissa stała przy wielofunkcyjnej płycie kuchennej w małej kuchni i majstrowała przy pokrętle, próbując zmienić ustawienia z grilla na gotowanie na parze. W końcu wysunęła szufladę na warzywa, wyjęła z niej kilka olbrzymich brokułów, po czym rzuciła je na płytę i polala sosem z miodu i chili. Buchająca para sprawiła, że włosy wokół jej twarzy skrzyły się w drobne loki.

– Co takiego? Nie. – Rylin była tak podekscytowana, że puściła mimo uszu złośliwy komentarz siostry na temat zmiany chłopaka. Chrissa na początku lubiła Hirala, ale gdy w zeszłym roku zajął się handlem narkotykami, jasno dała wyraz swojej dezaprobachie. – Spójrz na to! – wykrzyknęła Rylin, wyjmując instafotografię. Przez całą drogę do domu nie była w stanie pohamować łez.

Chrissa odwróciła się ze zniecierpliwieniem i omal nie upuściła na ziemię pudełka fety.

– O rany – wydusiła z siebie i podbiegła, żeby przyjrzeć się bliżej.

– Prawda? – Obie wpatrywały się przez chwilę w zdjęcie jak zahipnotyzowane.

– Jest taka... szczęśliwa. Już prawie zapomniałam, jaka była piękna, zanim... – Chrissa pociągnęła nosem. – Skąd to masz?

– Dostałam od Corda.

Swoją drogą, ciekawe, jakim cudem Cord natknął się na tę fotografię. Rylin i Chrissa nie znalazły w domu zbyt wielu zdjęć mamy, lecz głównie własne fotki z dzieciństwa. Mama była zaledwie na kilku i zawsze wyglądała na nich na zmęczoną i wycieńczoną. Tymczasem Rylin zapamiętała ją właśnie taką jak na zdjęciu od Corda: roześmianą i zdrową, z błyszczącymi zielonymi oczami i twarzą jaśniejącą od środka.

Chrissa zaczęła płakać. Ale nie był to cichy szloch, jakim obie płakały w ostatnich dniach choroby mamy, gdy leżała w pokoju obok, a one nie chciały, żeby je usłyszała, ale potężne łkanie, które wstrząsało jej chudymi ramionami.

– Ćśśś – mruknęła Rylin, przytulając do siebie siostrę. Czuła jej cierpienie niczym swoje, ponieważ w istocie tak właśnie było, odkąd tata zostawił je, gdy Chrissa była jeszcze niemowlęciem. Mama zaczęła całymi dniami pracować, więc już wtedy, jako małe dziewczynki, musiały we dwie stawić czoła światu.

– Tak bardzo za nią tęsknię – wyszeptała Chrissa.

– Wiem. Ja też.

Drzwi frontowe otwały się szeroko. Dziewczyny odwróciły się przestraszone, ale to był tylko Hiral.

– Hej, hej, co gotujecie? – spytał, lecz zamilkł na widok ich zapłakanych twarzy. – Przepraszam. Co się stało? Ktoś umarł?

Rylin puściła mimo uszu jego obcesowy komentarz.

– Wszystko w porządku – odparła, czując, że Chrissę ogarnia złość. – Dostałam to dzisiaj od Corda. – Pokazała leżącą na stole instafotografię, na której mama śmiała się i wachała kwiaty zakłeta w wiecznej szczęśliwości.

– Och. Bardzo ładne.

– Musimy je powiesić. – Chrissa wskazała miejsce na ścianie. – Tutaj, na samym środku.

– Tak. – Rylin kiwnęła z entuzjazmem głową. Podeszła do szafki i zaczęła szperać w szufladach, aż w końcu wydobyła opakowanie samoprzylepnych, dwustronnych kółek. – Hiral, sięgniesz tam?

Wzruszywszy ramionami, chłopak przykleił kółka na odwrocie zdjęcia, po czym wspiał się na palce i w miejscu, które wyznaczyła Chrissa, przykleił fotografię do ściany.

– Muszę zaczerpnąć trochę powietrza – powiedziała nagle Chrissa i wyszła na zewnątrz. Rylin przypuszczała, że siostra znów zaczęła płakać.

– A tak w ogóle, mam coś dla ciebie – Rylin zwróciła się do Hirała i wyjęła z kieszeni specjale.

– Ukradłś je Andertonowi? – Wybałuszył oczy. – Nieźle.

– Ma tego tyle, że na pewno nie zauważy – odparła Rylin, czując nagły niepokój. Oby tylko miała

rację. – Jak szybko możesz je dla mnie sprzedać?

– Upchnę je tak szybko, jak tylko się da. – Hiral podniósł jeden ze specjali do światła i przyglądał mu się z wszystkich stron, aż w końcu gwizdnął cicho. – Zanim się ich pozbędziemy, powinniśmy jeden wypróbować.

– Nie! – Rylin niemal krzyknęła. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. – Potrzebuję tej forsy. Zalegam z czynszem.

– Ty zawsze zalegasz z czynszem – rzucił beztrosko Hiral. – Daj spokój, w końcu to specjale Corda Andertona, to musi być mocny towar! Przecież ten gość jest totalnie porąbany, no nie?

– Niby dlaczego? Bo jego rodzice nie żyją?

– Wiesz, że nie to miałem na myśli. – Zacerwienił się nagle Hiral. – Mówię tylko, że możemy zafundować sobie niezłą jazdę. A potem... – Jego ręka przesunęła się poniżej talii Rylin.

– Nie żartuję – warknęła Rylin i odepchnęła go od siebie.

– Dobra, dobra. – Hiral podniósł do góry ręce, próbując obrócić wszystko w żart. – Ty je zwędziłaś, więc ty decydujesz, co z nimi zrobić. Zabiorę je do V przy najbliższej dostawie.

– Dziękuję – odrzekła cicho Rylin.

– Może weźmiemy sobie jeden dla siebie przy następnej okazji. – Hiral schował szybko specjale do kieszeni.

– Nie będzie następnej okazji. – Zmarszczyła brwi Rylin. – Nie zamierzam po raz kolejny okradać Corda.

– Czemu nie? Sama powiedziałaś, że ten palant nawet tego nie zauważy.

– Cord nie jest palantem. Podarował mi to zdjęcie – odparła Rylin, choć sama nie była pewna, dlaczego broni Corda Andertona. Nagle przypomniała sobie ich pocałunek i zarumieniła się lekko. Miała nadzieję, że z jej wyrazu twarzy nie dało się wyczytać, o czym teraz myślała.

– Wszystko jedno. – Hiral machnął lekceważąco ręką.

– Co się z tobą dzieje? – spytała ostro Rylin dokładnie w chwili, gdy Chrissa stanęła w drzwiach z zaczerwienionymi oczami. Siostry popatrzyły na siebie, po czym Rylin spojrzała znów na swojego chłopaka, zastanawiając się, co go napadło. Chyba że... przeniosła wzrok na instafotografię. Czyżby Hiral był zazdrosny?

– Nic. Przepraszam. – Chłopak przesunął dłonią po twarzy i na powrót przybrał swą normalną, obojętną minę. – Przekażę dziś V wszystkie specjale. A skoro o tym mowa, nie chcesz się przebrać? Powinniśmy się już zbierać.

No jasne. Wszyscy mieli dziś iść na imprezę do jednego ze znajomych Indigo. Ale po raz pierwszy od roku Rylin nie miała ochoty wychodzić w sobotę tylko po to, żeby znów się naćpać. Czuła się wykończona i stęskniła się za siostrą.

– Dziś chyba sobie daruję – powiedziała. – Jestem trochę zmęczona. Może pójdziesz sam?

– Jak sobie chcesz, maleńka. – Hiral pocałował ją szybko. – Ale będzie nam ciebie brakowało.

Zobaczymy się jutro?

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Rylin odwróciła się do Chrissy.

– A więc – zaczęła, jakby to było zupełnie normalne, że zamierza spędzić sobotni wieczór w domu – zaraz wskoczę w jakieś dresy i nakryję do stołu. Są jakieś fajne filmy, które chciałabyś obejrzeć?

Siostra spojrzała na nią z niedowierzaniem, a potem zerknęła na instafotografię mamy i Rylin odniosła wrażenie, że obie próbują zachowywać się tak, jakby Hirała w ogóle nie było przed chwilą w mieszkaniu. Po chwili twarz Chrissy rozpromieniła się w uśmiechu.

– *Mais oui* – powiedziała z okropnym francuskim akcentem, którego Rylin brakowało bardziej, niż sądziła. – Café Paris zaprasza ponownie.

ERIS

Eris stanęła przed mieszkaniem przy Baneberry Lane 2704 i otworzyła drzwi wejściowe tak cicho, jak tylko potrafiła. Ostatnia rzecz, której by sobie teraz życzyła, to konfrontacja z mamą. Przez ostatni tydzień Eris prawie się do niej nie odzywała. Ta sprawa wciąż była dla niej zbyt świeża i bolesna, niczym wciąż dotykany siniak.

Gdy drzwi się uchyliły, Eris zakryła dłonią usta, próbując się nie zakrzusić. Mieszkanie znów wypełniał ten ohydny smród ścieków, który czasami przenikał tu od sąsiadów z góry. Otworzyła drzwi na oścież, co zwykle pomagało przewietrzyć trochę pomieszczenie, i zablokowała je jednym ze swoich czarnych lśniących butów na obcasie. Następnie przeszła przez całe mieszkanie, rozpylając w powietrzu swoje jaśminowe perfumy i spryskując nimi otwory wentylacyjne, aż zaczęły łzawić jej oczy. Ale przynajmniej teraz mogła oddychać.

W pewnym momencie usłyszała jakieś dźwięki dobiegające z pokoju mamy. Podeszła nieco bliżej i zrozumiała, że to był stłumiony szloch. Nagle ogarnęły ją wstyd i poczucie winy. Przez cały tydzień mama zachowywała się z takim optymizmem, opowiadała jej o posadach, o które się ubiegała, i na wszelkie, aczkolwiek dość ograniczone sposoby starała się doprowadzić to okropne mieszkanie do porządku. I ani razu przez ten czas nie rozplakała się przy Eris. A teraz, myśląc, że córki nie ma w domu, dawała ujście swojej rozpacz.

Eris odsunęła się szybko. Nie znosiła oglądać mamy w takim stanie. Ale nie czuła się jeszcze gotowa, żeby wejść do środka i ją przytulić. Wciąż nie mogła jej wybaczyć tego wszystkiego, co się wydarzyło. Miała ochotę powiedzieć dokładnie to samo, co rzekł jej tata, a raczej Everett, poprawiła sama siebie:

„Potrzebuję trochę czasu, dobrze?”.

Westchnęła i otworzyła lodówkę. Nie była wcale głodna. Zrobiła to bezmyślnie i bez określonego celu, ponieważ nie wiedziała, czym innym miałyby się zająć. Po raz pierwszy od wieków nie miała żadnych planów na sobotni wieczór. Zostanie sama w cuchnącym mieszkaniu, podczas gdy jej przyjaciółki będą robić fantastyczne rzeczy, na które ona nie mogła już sobie pozwolić.

Przynajmniej udało jej się dziś pojechać na górę Wieży. Popołudnie spędziła na zakupach z Avery i pozostałymi dziewczynami. Oczywiście nic sobie nie kupiła, ale za wszelką cenę chciała uciec choć na chwilę z klaustrofobicznych niższych pięter. Po zakupach wszystkie poszły na koktajle z mrożonymi owocami i Eris, żeby nie odstawać od grupy, wydała część swoich coraz szybciej kurczących się zasobów bitcoinów na koktajl cytrynowy. Gdy wypiła go do końca, prawie musiała powstrzymać się przed wylizaniem jasnorożowego kubka. Nie mogła uwierzyć, że dawniej upijała dwa łyki i bez zastanowienia wyrzucała resztę do kosza.

Potem wszystkie dziewczyny wybierały się na kolację do Amuse-Bouche, a wieczorem do nowego egzotycznego baru Painkiller. Podobno roztaczał się z niego widok na sztuczny ocean, nad którym przez całą noc, co czterdzieści minut, raz po raz zachodziło słońce. W swym dawnym życiu Eris już szykowałyby się do wyjścia. Na krótką chwilę pozwoliła sobie puścić wodze fantazji, wyobrażając sobie, jak by się wówczas ubrała. Włożyłaby biały, zrobiony na szydełku top bez pleców i powłóczystą spódnicę z rozcięciem z boku. A we włosy wpięłaby duży, kosztowny kwiat hibiskusa, zamówiony specjalnie u kwiaciara. Na pewno jednak okazałby się wart swojej ceny, gdyby tylko dziewczyny go zobaczyły i ogarnęłyby je zazdrość, że same nie wpadły na podobny pomysł.

Przyjaciółki bardzo się zdziwiły, gdy Eris oznajmiła, że nie może z nimi dziś pójść.

– Jesteś pewna? – dopytywała się Avery i mało brakowało, a Eris wyjawiałaby prawdę. Wiedziała jednak, że od tej chwili wszystko by się zmieniło, a na razie nie potrafiłaby tego znieść. Żadna z dziewczyn oczywiście nie dokuczałaby jej z tego powodu, ale zaczęłyby się czuć niezręcznie w towarzystwie Eris, a zaproszenia powoli przestałyby do niej napływać. Nikt nie chciałby jej wprawiać w zakłopotanie, zapraszając ją na kosztowne kolacje albo na zajęcia z jogi, na które już jej nie stać. A Eris bardzo potrzebowała tych pozorów normalności. Była to jedyna rzecz, która pozwalała jej zachować równowagę.

Dlatego też powiedziała wszystkim, że rodzice kazali jej wrócić do domu na rodzinną kolację. Rodzinna kolacja, dobre sobie. Dziewczyny chciały być miłe, więc zaproponowały, że odprowadzą ją do „domu” w Nuage. W końcu Eris pomachała im na pożegnanie i wsiadła do windy. Potem przez piętnaście minut kręciła się po korytarzach na górnych piętrach, aż wreszcie odważyła się zjechać na dół. To nieustanne okłamywanie wszystkich dookoła robiło się coraz bardziej wyczerpujące.

Ruszyła do swojej sypialni, ale zatrzymało ją jakieś zamieszanie na zewnątrz. Krzyki dobiegały wyraźnie przez wciąż otwarte szeroko drzwi wejściowe.

– Dobra, dobra, powiem jej! – To chyba był głos Mariel.

Eris wyjrzała na zewnątrz i oczywiście zobaczyła Mariel, która właśnie zatrzasnęła za sobą drzwi do mieszkania i z irytacją wzniosła oczy ku górze.

– Wychodzisz gdzieś? – spytała bez zastanowienia Eris. Mariel miała na sobie obcisłą sukienkę z asymetrycznym dołem, czerwone szpilki, a w ręku trzymała niedużą chromowaną torebkę.

– A ty nie? – odpowiedziała pytaniem Mariel.

– Chyba nie. Niespecjalnie można się tu gdzieś wybrać, prawda?

Mariel uniosła brew.

– No tak, na naszych imprezach nie popija się szampana i nie słucha lamerskiej muzyki.

– Idziesz na imprezę? – spytała Eris, choć nie była pewna, dlaczego to robi, wiedziała jedynie, że nie chce wracać do mieszkania i siedzieć tam sama jak palec.

Mariel wpatrywała się w nią przez chwilę z wyraźnym niedowierzaniem.

– Chcesz iść ze mną?

– Pewnie – wyszeptala Eris podekscytowanym głosem.

Mariel podeszła do niej z zaciśniętymi wargami. A potem jednym stanowczym gestem zerwała wszystkie guziki z jej jedwabnej bluzki, odsłaniając biały podkoszulek na ramiączkach.

– Co do cholery? – Eris cofnęła się o krok, a Mariel zaczęła się śmiać. Jak na kogoś tak opryskliwego miała zaskakująco łagodny śmiech, który unosił się leniwie w powietrzu niczym kółka dymu z dopalniczki. Eris nagle zapragnęła usłyszeć ten śmiech raz jeszcze.

– Wybacz – powiedziała rozbawiona Mariel – ale nie idziemy na bal przebierańców, więc nie możesz się tam pokazać jako sztywna pinda z wyższych sfer. Trzymaj. – Zdjęła z szyi długi naszyjnik i podała go Eris. – To powinno pomóc.

– Dzięki. – Eris przyjrzała się swojemu strojowi. Miała na sobie džinsy, beżowe buty na koturnie oraz biały podkoszulek, którego dekolt był zdecydowanie zbyt głęboki, aby można go nosić jako zwykły top. Naszyjnik przyciągał wzrok do jej biustu i sprawiał, że wyglądała odrobinę zdzirowato. Zresztą to i tak nieistotne, jakie wrażenie sprawi tu na dole. A na samą wzmiankę o imprezie, na przekór wszystkiemu, odrobinę poprawił jej się nastrój.

– To dokąd idziemy? – Eris podbiegła, by dogonić Mariel, która już maszerowała w głąb korytarza.

– Jechałaś kiedyś kolejką jednoszynową?

Tylko raz, podczas wycieczki szkolnej w podstawówce, ale przecież Mariel nie musiała tego wiedzieć. Eris zastanawiała się z niepokojem, gdzie też odbywa się ta impreza. Kolejki były w zasadzie pociągami podmiejskimi, które kursowały jedynie do tak posępnych miejsc, jak New Jersey czy Queens. Wszyscy mieszkańcy top-Wieży korzystali po prostu z kopterów.

– No jasne – odparła pewnie Eris, starając się trzymać fason.

– Witaj w Brooklynie – oznajmiła Mariel, gdy w końcu wysiadły z wagonikakolejki. Ruszyły w dół ulicy, wzdłuż której ciągnęły się sklepy. Kilka wciąż było otwartych pomimo braku jakichkolwiek przechodniów. Halogenowe światła nad ich drzwiami mrugały bez przekonania. Mariel wyjęła tablet i marszcząc czoło, zaczęła pisać jakąś wiadomość. Eris się nie odzywała.

Nigdy dotąd nie była w Brooklynie. Dawniej była to podobno dość popularna dzielnica, zanim postawiono Wieżę, która teraz skrywała część okolicy w wiecznym cieniu. Władze Brooklynu wciąż procesowały się z firmą architektoniczną, która zaprojektowała gigantyczną budowlę, ale nikt już nie liczył na wygraną w tej sprawie. Przez ostatnie dwadzieścia lat ludzie stopniowo stąd uciekali i Eris nie była pewna, czy ktokolwiek tu jeszcze mieszkał.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Mariel, wspinając się po schodach prowadzących do starej, niegdyś dostojnej ceglanej kamienicy. ZAKAZ WSTĘPU: WŁASNOŚĆ FULLER WEALTH MANAGEMENT – głosił napis na jaskrawoczerwonej taśmie na frontowych drzwiach, która właśnie została zwyczajnie zerwana. Z wnętrza dobiegał głośny łoskot muzyki. Eris zaśmiała się ironicznie na myśl o tym, że idzie na imprezę w budynku należącym do ojca jej przyjaciółki. Avery na pewno by to rozbawiło. Szkoda, że nigdy nie będzie mogła jej o tym powiedzieć.

Mariel zapukała w drzwi, które nagle uchyliły się do środka i wyjrzał zza nich przysadzisty chłopak z brodą i inktatami. Na widok Mariel jego ponura twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Gdzie ty się podziewałaś? – spytał, biorąc dziewczynę w objęcia. – Mama bez przerwy o ciebie wypytuje.

– Powiedz jej, że niedługo do was wpadnę – obiecała Mariel i weszła do środka. Eris chciała pójść za nią, ale chłopak wyciągnął rękę i zagroził jej wejście.

– Trzydzieści nanosów – oznajmił twardo.

– Eee... – Może i Eris miała jeszcze trzydzieści nanodolarów w bitbanku, ale niewiele więcej.

– Ona jest ze mną, Jose! – zawołała przez ramię Mariel.

– Przepraszam. – Jose opuścił ramię. – Nie wiedziałem. Miłej zabawy.

Mariel wzięła Eris pod rękę i pociągnęła ją za sobą w kierunku przypominającego salon pomieszczenia, pozbawionego mebli, za to pełnego uśmiechniętych nastolatków w tanich ciuchach. Na obu końcach sali umieszczono dwa bary, we wszystkich czterech kątach stały głośniki, a dodatkowe unosiły się w powietrzu, automatycznie podążając tam, gdzie bawiło się najwięcej ludzi. Jak na Brooklyn nie była to wcale zła impreza.

– Jose to mój kuzyn – wyjaśniła Mariel.

– To jego impreza? – Eris wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego bawili się w zamkniętym za niezapłacone długie budynku.

– Można to tak ująć. W ten sposób Jose dorabia sobie na boku. Urządza imprezy w opuszczonych albo zamkniętych budynkach i pobiera opłaty za wejście. Wyciąga z tego całkiem niezłą kasę.

– W takim razie dzięki, że wprowadziłaś mnie za darmo – powiedziała z zakłopotaniem Eris. Nie cierpiała mieć długów u kogokolwiek, a już zwłaszcza u kogoś takiego jak Mariel.

– Nie dziękuj mi aż tak bardzo – odparła jej towarzyszka. – Powiedziałam Josemu, że jesteśmy razem, więc teraz nie możesz tu z nikim flirtować.

– Słucham? – Eris wpatrywała się w nią zupełnie zdezorientowana.

– Przepraszam, ale Jose nie pozwala mi już wprowadzać znajomych za darmo, ponieważ zaczęłam tego nadużywać. Teraz wpuszcza ze mną tylko te osoby, z którymi akurat się umawiam. Domyśliłam się, że krucho teraz u ciebie z forszą, więc... – Mariel urwała nieco skrepowana.

– Dzięki. – Eris nie miała pojęcia, co ma o tym myśleć. Rozejrzała się wokoło. – Co to za ludzie?

– Znajomi ze szkoły, z dzielnicy. Niektórych możesz nawet kojarzyć, jest tu parę osób pracujących ze mną w Altitude. – Mariel uśmiechnęła się nieco złośliwie.

Eris raz jeszcze rozejrzała się po pokoju i faktycznie, rozpoznała parę osób. Czy ta wysoka brunetka nie była czasem instruktorką fitnessu, z którą flirtowała przez całe wakacje?

– Muszę się napić – oznajmiła Eris i ruszyła do baru, a Mariel wybuchła śmiechem za jej plecami.

W miarę upływu kolejnych godzin Eris zapoznała się niemal z każdym z imprezowiczów. Wszyscy byli bardzo przyjaźnie nastawieni i zdawali się znać Mariel, jakby była kimś w rodzaju łącznika, który spajał całą grupę. Eris jednak oddzielało coś nieokreślonego od reszty towarzystwa, od ich beztroskiego śmiechu i kipiącej z nich energii. Może była to kwestia złości, która wciąż paliła ją w piersiach niczym rozżarzony węgiel, a może po prostu wynikało to z tego, że pochodziła z górnych pięter. Tak czy owak, czuła się w pewnym sensie odizolowana. Dlatego piła, mając nadzieję, że alkohol zmniejszy dystans między nimi. W końcu była już na tyle wstawiona, że też mogła się beztrosko śmiać i swobodnie tańczyć. Czuła się doskonale, wirując po opuszczonym domu i zupełnie nie przejmując się tym, co ktokolwiek może sobie o niej pomyśleć. Taka noc była jej potrzebna.

W pewnym momencie odkryła prowadzące na dach schody. Ten budynek był strasznie niski, miał ledwie cztery piętra. W Wieży nikomu by nawet nie przyszło do głowy, że z takiej wysokości może się roztaczać jakiś widok. Eris oparła się o niski ochronny murek i zaczęła wpatrywać się w ciemne sylwetki sąsiednich budynków. Poniżej lampy rzucały złote kręgi światła na drogę. Można było zajrzeć wprost do salonu w domu naprzeciwko, gdzie jakaś para, trzymając się za ręce, jadła przy małym stole kolację. Eris szybko odwróciła wzrok, czując, że narusza ich prywatność.

Po drugiej stronie rzeki widniała potężna konstrukcja Wieży. Eris wzniosła oczy wysoko, wysoko do góry, zastanawiając się, które z małych, migoczących światełek – który z małych skrawków nieba – to jej dawne mieszkanie na 985 piętrze. „Zapomnij o nich”, powiedziała do siebie, wciąż czując palącą od środka złość. Wszyscy potraktowali ją okropnie: mama, tata, a nawet jej biologiczny ojciec, kimkolwiek był. Nikogo z nich nie potrzebowała. W zasadzie to w ogóle nikogo nie potrzebowała.

Radziła sobie znakomicie bez nich.

Przechyliła głowę do tyłu i spojrzała jeszcze wyżej, ponad szczyt Wieży, gdzie rozciągał się ciemny przestwór nocnego nieba. Przypomniła sobie te wszystkie noce, kiedy zakradała się do Greenwich Park z jakąś dziewczyną albo chłopakiem, żeby popatrzeć na ogromny holoeckran nieba usianego gwiazdami. Ale bez względu na to, jak doskonała była jakość hologramów, nie mogły się one równać z prawdziwym niebem.

– Tutaj jesteś. – Na szczycie schodów pojawiła się Mariel. Przez uchylone drzwi wleciały za nią strzępy muzyki. – Ja się zbieram, idziesz ze mną?

– Nie chcę jeszcze wychodzić. – Eris wciąż wpatrywała się w gwiazdy.

– Naprawdę? Zamierzasz wrócić sama kolejką w środku nocy?

– No dobra. – Eris westchnęła teatralnie i odwróciła się, lekko się zataczając.

– Hej, spokojnie. – Mariel podtrzymała Eris, która odrobinę chwiała się na koturnach. – Upijanie się do nieprzytomności w niczym ci nie pomoże. Wierz mi, przerabiałam to – dodała z zaskakującą szczerością.

– Gadanie. – Eris tak naprawdę wcale jej nie słuchała. Przyglądała się z uwagą czarnym i grubym rzęsom Mariel, jej ustom w kolorze dojrzałych wiśni i delikatnemu łukowi jej szyi. Pragnęła przesunąć po nim palcami, więc wyciągnęła rękę i po prostu to zrobiła. Mariel stała zupełnie bez ruchu.

Eris nachyliła się, żeby ją pocałować.

Usta dziewczyny miały dokładnie taki smak, jakiego się spodziewała: dymu, rumu oraz lepkiej szminki. Eris przytrzymała delikatnie jedną dłoń na szyi Mariel, rozkoszując się nieregularnym rytmem jej pulsu, który wyczuwała pod palcami, a drugą ręką objęła z tyłu jej głowę.

Mariel odsunęła się nagle i cofnęła o krok.

– Eris! Co ty, do cholery... Nieważne. Jesteś pijana – powiedziała. – Musisz iść do domu.

– Zgadza się. Chodźmy do domu. – Eris zaczęła ciągnąć ją w dół po schodach, ale Mariel zapała się nogami.

– Eris...

– No chodź. Chcę zobaczyć wszystkie twoje inktaty – droczyła się z nią, choć tak naprawdę niezbyt przejmowała się tym, czy Mariel da jej kosza. W tym momencie w zasadzie niczym się nie przejmowała. Ale to flirtowanie, rumieniec na policzkach Mariel i skradziony pocałunek sprawiały jej mnóstwo frajdy. Eris uwielbiała tego typu gierki. Świetnie sobie w nich radziła. „Wykorzystuj swoje mocne strony”, powtarzał jej kiedyś tata. Zawsze wydawało jej się, że mówi o jej urodzie. Wszyscy wiedzieli, że to jej największy atut.

Nie. Nie powinna więcej myśleć o tacie.

– No dobra... – powiedziała Mariel i się roześmiała. – Chodźmy. W końcu jesteśmy dzisiaj tak jakby

na randce.

Eris skinęła głową. Była gotowa na wszystko. W tej chwili nie przejmowała się absolutnie niczym.

Eris dudniło w głowie. Sięgnęła po kołdrę, która odkopana leżała w nogach łóżka, i nagle znieruchomiła, rozglądając się w ciemnościach po obcym pokoju. Jaskraworóżowe cyfry zegara w kącie jej szkieł wskazywały dziewięć minut po czwartej nad ranem. Z boku dobiegał cichy, miarowy oddech.

Powoli i ostrożnie się odwróciła. Obok niej leżała Mariel, jej ciemne włosy były rozsypane na płaskiej białej poduszce.

Cholera, cholera, cholera.

Eris siedziała zupełnie nieruchomo i wstrzymując oddech, usiłowała poskładać w całość wydarzenia mijającej nocy. Pamiętała, że podczas imprezy ciągle piła ten tani alkohol... pocałowała Mariel na dachu... a potem wyszły razem w ciepłą letnią noc i wróciły tutaj, do pokoju Mariel...

Dziewczyna poruszyła się przez sen, a serce Eris podskoczyło ze strachu. Musiała stąd wyjść. Poruszając się tak szybko, jak tylko mogła, wyslizgnęła się z łóżka i zaczęła zbierać rozrzucone po podłodze ubrania. Zapięła jedną ręką dzinsy i trzymając w drugiej buty, wyszła na bosaka z pokoju Mariel.

Zdezorientowana zatrzymała się na chwilę w korytarzu – nie przyglądała się za bardzo rozkładowi mieszkania, gdy wparowały tu z Mariel przed kilkoma godzinami. Nagle usłyszała stłumione kroki oraz niski głos i rzuciła się przed siebie. Nie mogła teraz stanąć oko w oko z jej rodzicami. W przypiływie paniki chwyciła klamkę jakichś drzwi i znalazła się w blasku tanich jarzeńówek oświetlających Baneberry Lane.

Kilka chwil później otworzyła drzwi mieszczące się trzy mieszkania dalej i znalazła się bezpieczna w swojej sypialni. Nawet nie przebierała się w piżamę, tylko zwinęła się w kłębek na łóżku i zacisnęła powieki. Boże, jak tęskniła za starym domem. Za swoim dawnym łóżkiem z łagodnie zaokrąglonymi brzegami, aromaterapeutycznymi poduszkami i kołyszącym ją do snu dreamweaverem.

Dzisiejsza noc była błędem. Winę za to ponosiły wypity przez nią alkohol i jej dziwny nastrój. Dzięki Bogu obudziła się na tyle wcześnie, że zaoszczędziła sobie niezręcznej porannej rozmowy z Mariel. Całe szczęście, że nikt z jej przyjaciół nie wiedział, co dzisiaj zrobiła.

A więc przespała się z Mariel – o Boże, ale jak ona ma na nazwisko? Eris się skrzywiła. „Cóż, to i tak nie miało żadnego znaczenia”, pomyślała, zapadając w niespokojny sen. Będzie zachowywać się tak, jakby między nimi nigdy do niczego nie doszło.

AVERY

Stała pośrodku swojej garderoby, a spódnice, sukienki i bluzki z zeszłego sezonu leżały rozrzucone wokół niej na podłodze niczym sterty różnokolorowych liści.

– Do Ledy – wymamrotała, pisząc flika na szklach. – Czyszczenie szaf przed Dniem Projektanta! Wpadniesz?

Już miała odwrócić głowę całkiem w prawo – był to ruch, który zaprogramowała jako komendę wysyłania wiadomości – lecz w ostatnim momencie zmieniła zdanie i odrzuciła głowę do tyłu, zapisując wiadomość jako roboczą. Nie była jeszcze pewna, czy ma ochotę zostać z przyjaciółką sam na sam.

Leda wciąż nie skomentowała rosnącego pomiędzy nimi dystansu. Avery wiedziała, że powinna bardziej się starać, ale ostatnio wszystko między nimi wydawało się takie sztuczne i wymuszone. Nie mogła też przestać myśleć o tym, co się dzieje pomiędzy Ledą a Atlassem. Czy spotkali się od tamtego czasu, kiedy udało jej się przeszkodzić w ich randce? Czy się pocałowali? Avery nie mogła zapytać o to żadnego z nich, więc zadreślała się, wyobrażając sobie ich razem. To było nieustające źródło jej tortur.

Pomyślała jednak, że to w końcu Leda wszystko zaczęła, zachowując się dziwnie po powrocie z wakacji. Okłamała Avery na temat tego, gdzie spędziła lato, i ukrywała przed nią swoje uczucia do Atlasa. Zresztą teraz też niespecjalnie się starała, żeby naprawić tę sytuację.

Avery westchnęła i rozejrzała się po porzucanych na jasnoniebieskim dywanie ubraniach. Czyściła swoją garderobę przed przyszłotygodniowym Dniem Projektanta, kiedy wszyscy światowej sławy dyktatorzy mody mieli zaprezentować w butikach w całej Wieży swoje kolekcje na najbliższy sezon. Avery była dobrze znana w ich środowisku. Wielu z nich zapraszało ją do swych otoczonych niewidzialnym kręgiem przebieralni, gdzie mogła przymierzyć przywiezione przez nich stroje, co było o wiele fajniejsze niż wyświetlanie projektów ubrań na trójwymiarowym skanie jej ciała. Ale czasami bywało to również dość krępujące. Każdego roku co najmniej jeden z projektantów ogłaszał, że Avery jest jego muzą i stanowiła inspirację dla całej kolekcji. W tej sytuacji Avery czuła się zobowiązana do kupienia po jednej sztuce każdego ubrania, aż w końcu Leda musiała ją stanowczym gestem wyprowadzić z butiku. To właśnie było najprzyjemniejsze we wspólnych zakupach z Ledą: była jedyną osobą, oprócz Atlasa, której opinii Avery ufała.

Pewnego razu obie z Ledą zapoczątkowały tradycję czyszczenia swoich szaf na tydzień przed Dniem Projektanta, żeby zrobić miejsce dla nowych ubrań. Zawsze oznaczało to świetną zabawę: przymierały stare ciuchy, nabijały się nawzajem ze swoich modowych wpadek i wspominały wspólne przygody. Avery poczuła nagłe ukłucie żalu. Tęskniła za dawnymi czasami, kiedy między nią a Ledą dobrze się układało. Obiecała sobie jednak, że te czasy wrócą, gdy tylko romans między przyjaciółką a Atlassem wygaśnie, co z pewnością wkrótce nastąpi.

Avery włożyła powłóczystą żółto-białą suknię, którą miała na sobie dwa lata temu na ślubie kuzyna, i stuknęła w smartlustro, zmieniając w nim swoją fryzurę: zamiast długich, falujących włosów, jakie

miała teraz, zobaczyła, jak wyglądałaby z włosami splecionymi w warkocze. Ale nawet zmiana fryzury nie mogła uratować sukienki.

– Zbyt staroświecka – powiedziała na głos i odwiesiła ją do szafy na wieszak, skąd sukienka została zabrana do pojemnika z ubraniami przeznaczonymi do oddania potrzebującym.

Następnie wyciągnęła intensywnie pomarańczową suknię od Oscara de la Renty – z długim trenem i kokardą na biodrze. O ile dobrze pamiętała, miała ją ostatnio latem na gali w Muzeum Sztuki Amerykańskiej Whitney. Siłowała się właśnie z suwakiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz, mamó! – zawołała, bo zdawało jej się, że słyszała głos mamy. – Musisz zapiąć mi...

W drzwiach stanął Atlas.

– Myślałam, że wyszedłeś – wykrztusiła z siebie, podtrzymując sukienkę.

– Ale już wróciłem – odparł Atlas. Avery korciło, żeby spytać, czy spotkał się z Ledą, ale się nie odważyła. – Mogę zasunąć ci zamek, jeśli chcesz – zaproponował.

Avery odwróciła się, a Atlas przesunął ciepłymi dłońmi po jej plecach. Intymność tego gestu przyprawiła ją o drżenie.

– Wyglądasz fantastycznie – oznajmił, gdy odwróciła się do niego, a ciężki dół sukni opadł na dywan. – Ale czegoś tu brakuje.

– Co masz na myśli?

– Chciałem ci to dać. – Atlas wyjął z kieszeni ściągnięty sznurkiem woreczek. Avery sięgnęła po niego z zapartym tchem.

W środku znajdował się lśniący naszyjnik z nieznanymi jej kamieniami. Wyglądały jak czarne diamenty, ale każdy z nich miał w środku wijącą się pomarańczową smugę, przez co przypominały Avery żarzące się węgielki.

– To szkliwo wulkaniczne z Kilimandżaro. Gdy tylko je zobaczyłem, natychmiast pomyślałem o tobie. – Założył Avery naszyjnik, po czym wyciągnął spod niego kaskadę jej blond włosów. Jego ręce poruszały się pewnie, nie miał żadnych problemów z zapięciem i Avery zaczęła się zastanawiać, jak często zdarzało mu się wkładać naszyjniki innym dziewczynom. Na myśl o tym odrobinę zmarkotniała.

Obróciła się i popatrzyła na swoje odbicie. Atlas wciąż stał za jej plecami, górując nad nią swą wysoką, barczystą sylwetką. Ich spojrzenia zetknęły się w lustrze dokładnie w chwili, gdy skończył zapinać naszyjnik i opuścił ręce wzdłuż ciała. Avery pragnęła, żeby chwycił ją za nagie ramiona, szeptał jej do ucha i całował ją po karku, tam gdzie przed momentem znajdowały się jego dłonie.

Szybko się odsunęła od brata, jakby chciała dokładniej przyjrzeć się naszyjnikowi w lustrze.

Był naprawdę piękny. Zazwyczaj Avery prezentowała się pogodnie i promiennie, ale te ciemne kamienie wydobywały z niej jakiś mroczniejszy ton, jakieś cienie, które przemykały po jej twarzy i wzdłuż łuku obojczyka.

– Dziękuję – powiedziała i obróciła się do brata. – Kiedy byłeś na Kilimandżaro?

– W kwietniu, przez parę dni. W drodze z Afryki Południowej do Tanzanii. Pokochałabyś to miejsce, Aves. Tamtejsze widoki są nawet piękniejsze od tych tutaj. – Wskazał ręką na zachód słońca, który za ciągnącymi się wzdłuż dwóch ścian oknami zalewał niebo jaskrawopomarańczową poświatą.

– Ale dlaczego to w ogóle zrobiłeś? Dlaczego wyjechałeś bez uprzedzenia? – wyszeptwała. Obiecywała sobie, że nie będzie go w tej sprawie naciskać, ale nie mogła już dłużej wytrzymać. Zmęczyło ją milczenie i udawanie, że w ich doskonałej rodzinie wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Miałem swoje powody – odparł Atlas, odwracając wzrok. – Naprawdę nie chcę o tym mówić.

– Atlas. – Wzięła go za rękę, jakby się bała, że może jej znów uciec, jeśli go nie przytrzyma. – Obiecuj mi, że już więcej tego nie zrobisz. Nie możesz po prostu tak sobie znikać. Martwiłam się o ciebie.

Atlas popatrzył na nią. Przez chwilę zdawało jej się, że dostrzegła w jego oczach rodzaj niepokoju lub nieufności, ale to wrażenie zaraz się rozwiało.

– Obiecuję – oznajmił. – Przykro mi, że się martwiłaś. Dlatego właśnie ciągle do ciebie dzwoniłem, żebyś przynajmniej wiedziała, że wszystko u mnie w porządku – dodał.

– Wiem – odparła. „Ale nic nie jest w porządku”, pomyślała. Okazało się, że Leda czuje coś do Atlasa, a tymczasem Avery ugrzęzła w jakiejś zupełnie nieprawdopodobnej sytuacji i miała wrażenie, że jest zakochana w bracie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nigdy nie przypuszczała, że to powie, ale niemal tęskniła za tymi czasami, kiedy Atlas znajdował się gdzieś na drugim końcu świata. Wtedy przynajmniej cały należał tylko do niej.

– No nic, pozwolę ci zająć się z powrotem garderobą. Wygląda na to, że masz jeszcze sporo do wyrzucenia – oznajmił Atlas, wyczuwając niezawodnie drobną zmianę w nastroju siostry.

– Zaczekaj! – zawołała, a on przystanął w drzwiach. – Dziękuję. Za naszyjnik – powiedziała, nie bardzo wiedząc, dlaczego w ogóle go zatrzymała, chciała tylko jak najdłużej opóźnić chwilę ich rozstania. – To wiele dla mnie znaczy, że o mnie myślałeś.

– Zawsze o tobie myślę, Aves – odrzekł Atlas i zamknął drzwi.

Avery dotknęła dłonią zimnego szkła kamieni w naszyjniku. Cisza, jaka nagle zapadła w pokoju, wydała jej się wręcz ogłuszająca. Musiała stąd wyjść.

– Połącz z Eris – rozkazała na głos, ale przyjaciółka nie odbierała. Avery wysłała też do niej flika, po czym ściągnęła pomarańczową suknię, którą teraz oczywiście musiała zatrzymać, i włożyła białe dzinsy oraz granatowy top. Zamierzała też zdjąć naszyjnik, ale zawahała się i ostatecznie go zostawiła.

Czemu Eris nie odpowiada? Avery wiedziała, że jej rodzice remontują mieszkanie, ale to nie tłumaczyło, dlaczego jej przyjaciółka była ostatnio stale nieosiągalna.

Może powinna po prostu pojechać do Nuage i zrobić Eris niespodziankę. Po chwili zastanowienia

uznała, że to rzeczywiście znakomity pomysł. Mogą się razem wybrać do baru sashimi albo do łaźni parowej. Wszystko, byle tylko nie siedzieć tu samej i rozmyślać o Atlasie.

Piętnaście minut później wysiadła z windy na 940 piętrze i weszła do ogromnego holu Nuage, najdroższego i najbardziej luksusowego hotelu w Wieży. Turyści i biznesmeni siedzieli na pokrytych pluszem kanapach, które były niesamowicie miękkie nawet pomimo wplecionych w każdą nitkę tkaniny polimerów węglowych zmieniających kolor obicia w zależności od barwy nieba. Przez ogromne okna hotelu Avery widziała, jak słońce właśnie zachodzi za horyzont. Kanapy przybrały odcień nieba: ciemnego kobaltu, przez który przebłyskiwały delikatne smugi czerwieni.

W ósmej klasie, gdy razem z Ledą przechodziły fazę marzeń o byciu modelkami, często wpadały do Nuage, żeby zrobić sobie wideo na tle zachodu słońca. Ubierały się w białe sukienki i przez pół godziny pozowały na zmieniających barwę zgodnie z odcieniem nieba kanapach, a potem przyspieszały tempo klatek w nagraniu, dzięki czemu powstawał trzydziestosekundowy filmik, który wrzucały na feedy. Dziś wydawało jej się to głupie i żenujące, ale wtedy sprawiało im mnóstwo frajdy.

Avery westchnęła i udała się do recepcji, której kontuar stanowiła masywna płyta z toskańskiego granitu utrzymywana w powietrzu przez potężne mikrohovery.

– W czym mogę służyć? – spytał recepcjonista. Nosił wyprasowaną białą koszulę i eleganckie spodnie, a na jego plakietce widniało imię Pierre, co oznaczało, że chłopak zapewne miał na imię Peter i mieszkał na jednym z dolnych pięter.

– Szukam Eris Dodd-Radson – powiedziała Avery. – Zatrzymała się tu z rodziną jakiś tydzień temu.

– Przepraszam, lecz nie możemy udzielać informacji o numerach pokoi naszych gości.

– To zrozumiałe. – Avery obdarzyła go jednym ze swoich najbardziej olśniewających uśmiechów, które miała w zanadrzu właśnie na tego typu okazje, i zauważyła, że recepcjonista się zawahał. – Zastanawiałam się tylko, czy mógłby pan zadzwonić do jej pokoju i przekazać wiadomość? To moja najlepsza przyjaciółka, a od kilku dni nie miałam od niej żadnych wieści. Zaczynam się trochę martwić.

Pierre przygryzł wargę, po czym zaczął machać ręką w powietrzu przed swoimi oczami, przeglądając widoczny tylko dla niego holoe ekran.

– Nie widzę w naszym systemie żadnej Eris Dodd-Radson – oznajmił. – Na pewno zatrzymała się u nas?

– Jest ze swoimi rodzicami, Caroline Dodd i Everettem Radsonem.

– Widzę Everetta Radsona...

– To właśnie on! – przerwała Avery. – Czy może pan zadzwonić do jego pokoju?

Pierre skrzywił się i spojrzął na nią z góry.

– Pan Radson jest zameldowany sam. Musiała się pani pomylić co do swojej przyjaciółki. Może zatrzymała się w innym hotelu?

– W porządku, dziękuję – odparła Avery, próbując ukryć zmieszanie, i odeszła od recepcji.

Opadła na jedną z kanap, na której nieliczne pomarańczowo-czerwone nitki szybko zmieniały się w ciemnogrnatowe, po czym za pomocą znajdującego się przed nią ekranu dotykowego zamówiła lemoniadę. Nie chciała jeszcze wracać do domu. Potrzebowała chwili do namysłu. Napój pojawił się niemal natychmiast i Avery upiła duży łyk, zastanawiając się, dlaczego Eris skłamała na temat remontu mieszkania i dlaczego jej tata zatrzymał się w Nuage sam.

Pan Radson był już dwukrotnie rozwiedziony. Czyżby teraz chciał zostawić też mamę Eris? Ale jeśli tak, to gdzie podziewała się Eris?

– Upijasz się w pojedynkę? – Cord rozparł się wygodnie na kanapie naprzeciwko.

– To tylko lemoniada – odparła znużonym głosem Avery.

– Ale porażka. – Cord uśmiechnął się, ukazując idealnie białe zęby. – Wiesz, Fuller, dawniej byłaś bardziej zabawna.

– A kiedyś z tobą dawało się nawet wytrzymać – odparła Avery, choć oboje zdawali sobie sprawę, że nie mówi tego poważnie. Znała Corda już tak długo, że była mu w stanie wybaczyć niemal wszystko.

– Ty też szukasz Eris? – spytała z nadzieją, że może Cord ma o niej jakieś informacje.

– Nie słyszałaś? Eris i ja... już nie jesteśmy ze sobą.

– Och... nic mi nie powiedziała. – Avery ogarnął jeszcze większy niepokój. Czemu Eris do niej nie zadzwoniła? Zawsze do niej przychodziła, gdy się z kimś rozstawała, i wspólnie się użały, objadały lodami i planowały kolejny podbój Eris. Coś naprawdę musiało być nie w porządku. – Ale dlaczego? – spytała. Nie była zaskoczona tym, że ze sobą zerwali, ponieważ żadne z nich nie włożyło za wiele wysiłku w ten związek, ale była ciekawa, jak to przedstawi Cord. On jednak tylko wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. – Pojawił się ktoś inny? – wypytywała, obserwując uważnie jego twarz. Dobrze znała wszystkie jego sztuczki.

– Nie, po prostu znudziliśmy się sobą – odparł. Musiała przyznać, że potrafił doskonale kłamać. Ciekawe tylko, kim była ta nowa dziewczyna. – Szukam Brice’a – dodał. – Nie widziałaś go?

– Brice jest w mieście? – Avery zbyt szybko za nim nie przepadała. Uważała, że to właśnie pod wpływem starszego brata Cord zachowywał się ostatnio jak skończony dupek.

– Kto to wie – powiedział lekceważącym tonem chłopak, ale ona czuła, że jest zaniepokojony. – Przyjechał w ostatni weekend i jego rzeczy dalej są w mieszkaniu, ale od wczoraj go nie widziałem. Pomyślałem, że zanim zacznę sprawdzać historię operacji na koncie bankowym, odwiedzę najpierw kilka miejsc.

– Mam nadzieję, że go znajdziesz – odparła szczerze Avery, choć znacznie bardziej martwiła się o Eris. – Hej – dodała, zdając sobie sprawę, że zrobiła się głodna – masz ochotę na frytki? Ciągle za mną ostatnio chodzą. – Czasami późno w nocy po skończonej imprezie wpadała tu razem z Atlasem i Cordem na frytki z sosem truflowym. Według niej była to najlepsza w całej Wieży przekąska na poprawę nastroju.

Cord pokręcił przecząco głową. Kilka nici na oparciu kanapy wciąż było rozświetlonych ognistym szkarłatem, tworząc wokół jego głowy osobliwy efekt aureoli.

– Nie mam ochoty. Ale ty sobie zamów. – Jego oczy odrobinę złagodniały. – Wyglądasz na zmęczoną, Avery.

– Rany, wielkie dzięki – odparła sarkastycznie, choć w sumie była mu wdzięczna, że jako jedyna osoba w jej życiu nie powtarzał jej ciągle, jak pięknie wygląda.

– Do usług – roześmiał się i odszedł.

Avery siedziała jeszcze kilka minut, spróbowała znów dodzwonić się do Eris – choć straciła nadzieję, że przyjaciółka odbierze – i dokończyła lemoniadę. Hotelowy bar stopniowo wypełniał się ludźmi, biznesmeni rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, grupka kobiet stuknęła się kieliszkami szampana. Wzrok Avery przyciągnęła pewna para, która wyglądała tak, jakby znajdowała się na pierwszej randce. Odnosili się wobec siebie dość zachowawczo, choć wyraźnie byli sobą bardzo zainteresowani. Dziewczyna nachyliła się do przodu, jakby chciała położyć rękę na ramieniu chłopaka, ale ostatecznie się wycofała. Z jakiegoś powodu to wszystko nagle bardzo zasmuciło Avery i postanowiła, że pójdzie już do domu.

Po powrocie znalazła w kuchni w pojemniku rękawa dostawczego brązową papierową torbę pocztową. Avery popatrzyła na nalepkę z adresem, myśląc, że może to Atlas coś zamówił, ale przesyłka była zaadresowana do niej. Zaintrygowana otworzyła torbę i przywitał ją przyjemny aromat trufli. Cord. No jasne, rachunek w środku był wystawiony na jego nazwisko.

Ugryzła jedną frytkę – była gorąca, chrupiąca i pachniała olejem truflowym – po czym uśmiechnęła się blado. Co za pochrzaniony początek roku szkolnego, że jedynym przyjacielem, na którego mogła teraz liczyć, był Cord Anderton.

ERIS

Idąc szkolnym korytarzem, Eris odruchowo kiwała głową w odpowiedzi na pozdrowienia innych uczniów lub też je ignorowała w zależności od tego, czy podobał jej się wygląd danej osoby czy nie. Miała jak zwykle niewzruszony i lodowaty wyraz twarzy, ale w środku czuła, że zaczyna tracić nad sobą kontrolę.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że w sobotnią noc poszła z Mariel do łóżka. Starła się zachowywać, jakby ta sytuacja w ogóle się nie wydarzyła, ale Mariel zdawała się tego nie rozumieć. Wysłała Eris dwie wiadomości: raz pytając, czy dotarła bezpiecznie do domu, a potem pisząc o jakiejś piosence, której słuchały tamtej nocy. Eris wykasowała obydwa komunikaty, nie odpowiadając na nie. Postanowiła

zapomnieć o całej sprawie i nie oglądać się za siebie, a im szybciej Mariel to zrozumie, tym lepiej.

Weszła do stołówki i niczym automat ustawiła się w kolejce. Przy barze z koktajlami poprosiła robota o malinowe smoothie z masłem migdałowym, po czym wzięła jeszcze proteinowy baton na później. Ostatnio starała się rygorystycznie trzymać planu posiłków, ponieważ w domu jadły z mamą głównie tanie kanapki i zupę ramen. Nie miała pojęcia, co zrobią, gdy skończą im się pieniądze.

– Eris. – Avery zrównała się z nią krokiem i razem ruszyły w kierunku ich stolika. – Musimy porozmawiać.

– Ojej, chcesz ze mną zerwać? – zażartowała Eris, ale serce waliło jej jak młotem. Poważny ton, jaki słyszała w głosie przyjaciółki, podpowiadał jej, że Avery mogła się jakoś dowiedzieć prawdy o jej bolesnym upadku.

– Chodźmy tutaj, nikt nam nie będzie przeszkadzał – zaproponowała Avery i zaprowadziła Eris na ocieniony przez drzewa wewnętrzny dziedziniec szkoły. Wchodząc tu, miało się wrażenie, jakby faktycznie przebywało się na świeżym powietrzu: rosły tu prawdziwe dęby, a pomiędzy nimi nawet rozwieszono hamak, choć nikt nigdy z niego nie korzystał. Dziewczyny usiadły w sztucznie wygenerowanym blasku słonecznym, podwijając nogi niczym syreny swoje ogony, plisowane spódnice zaś ułożyły się wokół nich na kształt dzwonów.

Avery wyjęła z torebki mały różowy głośniczek i ustawiła go na wyciszenie. Wykorzystywał on podobną technologię co krąg intymności, blokując fale dźwiękowe w promieniu dwóch metrów. Wszystko wokół nagle umilkło, jakby dziewczyny zanurzyły się pod wodę.

– Świetnie – powiedziała Avery, otworzyła sałatkę z mango i jarmuzem, po czym położyła ją sobie na kolanach. – Teraz możemy spokojnie porozmawiać. Eris, co się dzieje?

– Ale o co ci chodzi? – spytała niepewnie Eris.

– Szukałam cię wczoraj w Nuage. – Eris zamarła. Powinna wymyślić lepszą ściemę. – W recepcji powiedzieli mi, że nie jesteś u nich zameldowana, za to twój tata tak. Ale sam.

– No tak. Bo chodzi o to, że... hm...

Avery przyglądała jej się wyczekująco. Nagle Eris poczuła, że nie może już dłużej tego ciągnąć, i zalała się łzami.

Avery objęła ją, pozwalając jej się wypłakać.

– Hej, już dobrze – szepnęła. – Na pewno wszystko się ułoży.

Eris odsunęła się od niej i zapłakana potrząsnęła głową.

– Wcale nie – wymamrotała.

– Czy twoi rodzice się rozwodzą? – spytała Avery.

– Jest o wiele gorzej. – Eris wzięła płytki oddech i powiedziała to, co do tej pory bała się wymówić na głos. – Okazało się, że mój tata wcale nie jest moim tatą. – Proszę. Wreszcie wyznała całą prawdę.

Podczas lunchu Eris stopniowo odzyskiwała poczucie normalności i opowiadała Avery wszystko po

kolei. O tym, jak dowiedziała się prawdy za sprawą testu DNA, który musiała zrobić, aby założyć fundusz powierniczy. O tym, że ojciec czuł się tak zrozpaczony i oszukany, że nie mógł nawet na nią spojrzeć. O tym, jak obie z mamą przeniosły się na 103 piętro i zostały praktycznie bez pieniędzy. O tym, jak jej dotychczasowe życie przepadło bezpowrotnie.

Avery słuchała w milczeniu. Na wzmiankę o 103 piętrze na jej twarzy pojawiło się przerażenie, ale szybko je zamaskowała.

– Tak mi przykro – powiedziała, gdy Eris skończyła swoją opowieść.

Eris się nie odezwała. Brakowało jej słów, by opisać to, co czuje.

Avery kręciła żdźbłem trawy pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

– A co z twoim biologicznym ojcem?

– Co z nim? Ani trochę mnie nie obchodzi – rzuciła krótko Eris.

– Przepraszam. – Avery natychmiast się wycofała. – Nie chciałam... Zresztą nieważne.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. W końcu w Eris zwyciężyła ciekawość.

– Uważasz, że powinnam się z nim spotkać? – spytała.

– Och, Eris – westchnęła Avery. – To zależy od ciebie. Ale gdyby chodziło o mnie, chciałabym go poznać. Poza tym może on będzie bardziej zainteresowany spotkaniem z tobą niż twój tata... to znaczy Everett.

– O to raczej nie będzie trudno – odparła Eris i z jakiegoś powodu się roześmiała. To był dziwny, na wpół ironiczny, na wpół gorzki śmiech, ale Avery przyłączyła się do niej. Gdy się uspokoiły, Eris poczuła się odrobinę lepiej, jakby nieco rozluźnił się węzeł ciasno spleciony w jej piersi.

– A więc – odezwała się w końcu Avery – jak ci mogę pomóc?

– Po prostu nikomu o tym nie mów. Nie chcę, żeby ktokolwiek... no wiesz.

„Użalał się nade mną”, dodała w myślach.

– Jasne. Ale słuchaj, zawsze możesz u mnie przenocować, pożyczyć ode mnie ubrania, co tylko chcesz. Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć – powiedziała ze zdumieniem. Eris tylko skinęła głową. – Czekał – zawołała Avery – a co z twoimi urodzinami?

– Chodzi ci o główną przyczynę tego całego bagna, w które wpadłam? Prawdę mówiąc, nie rozmawiałam o tym z mamą. W tym roku chyba je po prostu zignorujemy.

– Wykluczone. – Dzwonek zasygnalizował koniec przerwy obiadowej. Avery podniosła się i wyciągnęła rękę, żeby pomóc wstać przyjaciółce. Obok bransoletki od Hermèsa miała też na nadgarstku bransoletkę tenisową z diamentami, a do tego na paznokciach błyszczał świeży lakier. Lakier na paznokciach Eris był stary i złuszczony, zacisnęła więc dłonie w pięści. – Proszę, zgódź się, żebym urządziła dla ciebie imprezę – zaproponowała Avery. – W Bubble Lounge, w sobotę wieczorem?

– Nie mogę ci na to pozwolić – zaprotestowała słabo Eris. Ale na samo wspomnienie imprezy serce podskoczyło jej w piersi i Avery dostrzegła błysk w jej oczach.

– Daj spokój. Ja się wszystkim zajmę – nalegała. – Poza tym przydałoby mi się coś, czym mogłabym się teraz zająć.

Eris nie była pewna, co przyjaciółka chciała przez to powiedzieć.

– No dobrze – zgodziła się. – Jeśli tak ci na tym zależy... Dziękuję.

– Zrobiłabyś dla mnie to samo.

Weszły z dziedzińca na szkolny korytarz.

– Wybierzemy się później na zakupy przed imprezą? – spytała Avery, zatrzymując się przed drzwiami do klasy. – Oczywiście ja stawiam.

– Już i tak robisz dla mnie zdecydowanie za dużo, nie mogę... – zaczęła sprzeciwiać się Eris, ale Avery jej nie słuchała.

– Od tego są przyjaciółki, Eris – oznajmiła stanowczo i weszła do swojej klasy, w chwili gdy rozbrzmiał dzwonek na lekcję.

Eris szła dalej wolno opustoszałym korytarzem i choć była spóźniona na matematykę, w ogóle się tym nie przejmowała. Już dawno nie było jej tak lekko na sercu.

Gdy po południu Eris wróciła do domu, zastała mamę w salonie siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na zasłanej papierami podłodze. Była ubrana w obcięte spodnie i powyciągany sweter, a miedzianozłote bujne włosy spinała ogromna biała kłamra. Na nosie miała staroświeckie okulary. Wyglądała na wychudzoną, zmęczoną i w gruncie rzeczy niewiele starszą od córki. Eris z trudem się powstrzymała, żeby do niej nie podejść i jej nie przytulić.

– Czemu je włożyłaś? – zapytała Eris, przekraczając stertę papierów w drodze do kuchni. Okulary wyglądały głupio i niemodnie. Przecież mama już dawno miała zoperowane laserowo oczy.

– Nosłam je na studiach. Pomyślałam, że może dzięki nim łatwiej będzie mi się skupić nad tymi wszystkimi podaniami o pracę – odparła Caroline, wzruszając ze smutkiem ramionami.

No tak, racja, Eris zawsze zapominała, że mama przez rok studiowała, zanim rzuciła college i przeprowadziła się do Nowego Jorku.

– Co byś zjadła dziś na kolację? – zagadnęła Caroline tak radosnym głosem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć, jakby nic się nie zmieniło od czasów, gdy wybierali pomiędzy kosztownym sushi a pizzą z czarnymi truflami. – Myślałam, że może...

– Kto jest moim prawdziwym ojcem? – wypaliła Eris. Sama była zaskoczona, że zadała to pytanie, ale ucieszyła się, że to zrobiła. Odkąd Avery poruszyła tę sprawę podczas lunchu, nie mogła o niej zapomnieć i z każdą chwilą nabierała ona dla niej coraz większego znaczenia.

– Och – westchnęła zdumiona Caroline. – Myślałam, że nie chcesz go poznać.

– Może. Sama nie wiem.

Caroline przyglądała się córce, jakby nie mogła zrozumieć, o co jej dokładnie chodzi.

– Skontaktuję się z nim i wszystko mu opowiem. Zrobię, co w mojej mocy – obiecała.

Do Eris dopiero po chwili dotarł prawdziwy sens tych słów.

– Chcesz powiedzieć, że on jeszcze o mnie nie wie?

– To wszystko jest bardzo... skomplikowane.

– Nie, wcale nie jest!

– Eris...

– Okłamywałaś wszystkich! Dlatego właśnie muszę poznać mojego biologicznego ojca! Potrzebuję mieć normalne relacje przynajmniej z jednym z moich rodziców, skoro ty najwyraźniej nie potrafisz mi tego zapewnić!

Caroline wzdrygnęła się.

– Przepraszam – powiedziała cichym, łamiącym się głosem, ale Eris ruszyła już w kierunku swojej sypialni.

Nie była pewna, dlaczego wiadomość o tym, że biologiczny ojciec nie wie nawet o jej istnieniu, tak bardzo ją przygnębiła. Ale poza wszystkim innym – utratą taty, Corda, jej całego dotychczasowego życia – ta świadomość wydała jej się ciężarem ponad siły.

Czuła się jak zbite w kulę śmieci, które dzieciaki na tym piętrze kopały na ulicy dla zabicia czasu. Niechciana, bezużyteczna i porzucona.

WATT

Stopy Watta uderzały o grubą, czarną warstwę poliizowicy, kiedy biegł ścieżką wiodącą przez las. W jego iTenach dudniła elektroniczna muzyka. Nie był w parku Redwood już od wieków. Od wieków też nie biegał, oczywiście jeśli nie liczyć meczów piłki nożnej, w którą grywał od czasu do czasu. Ostatnio wprawdzie bardziej kręcił go boks, ale od zesłotygodniowej wizyty w ARenie biegał prawie każdego dnia. Powtarzał sobie, że robi to, aby wrócić do formy, choć nie przypadkiem biegał tą samą trasą, którą pokonywała zawsze Avery.

Nie zadawał sobie tyle trudu specjalnie ze względu na nią. Po prostu nie miał pomysłu, co innego należałoby zrobić. Nie mógł przestać myśleć o Avery. Wysłał jej kilka flików i choć dziewczyna zawsze odpowiadała, to ich rozmowa nie wykraczała nigdy poza przyjacielską pogawędkę. Nawet Nadia nie wiedziała do końca, czym przyciągnąć uwagę Avery, co sprawiało tylko, że stawał się jeszcze bardziej zaintrygowany. Przez cały tydzień czytał jej feedy. Zadanie to zlecał zwykle Nadii, ale tym razem chciał

to zrobić sam. Avery była niesamowicie błyskotliwa. Uwielbiał słuchać jej myśli i rozpracowywać to, w jaki sposób działał jej umysł.

A na dodatek Avery była wręcz onieśmialająco piękna. Watt zdążył już poznać jej historię i wiedział, że rodzice zaprojektowali jej wygląd, dobierając odpowiednio geny z ich wspólnej puli. Szaleństwem więc byłoby myśleć, że sam może mieć u niej jakiegokolwiek szansę. Na co taki gość ze slums-Wieży jak on mógłby liczyć u najpiękniejszej dziewczyny na ziemi, u dziewczyny, która dosłownie żyła na samym szczycie świata? Miała pewnie dziesiątki chłopaków, którzy zapraszali ją na randki, i to na pewno wyższych i bogatszych niż Watt.

Jednak żaden z nich nie miał do pomocy Nadii.

Gdy drzewa zaczęły rzednąć, Watt przyśpieszył, a wtedy wzdłuż czarnego pasa ścieżki pojawiła się iluzja rozległego jeziora. Woda była tylko złudzeniem, za to otaczające ją sekwoje były jak najbardziej prawdziwe, ich korzenie sięgały daleko w głąb warstw agro, a ich wierzchołki kołysały się wysoko w górze. Watt wziął głęboki oddech, rozkoszując się przyjemnym bólem w łydkach. W powietrzu unosił się zapach czystych, wyschniętych igieł. Nic dziwnego, że Avery lubiła to miejsce. Park Redwood był w zasadzie otwarty dla wszystkich, ale jego położenie – znajdował się na uboczu na 811 piętrze, przy lokalnej linii windy – sprawiało, że przychodzili tu głównie hajlajerzy.

„Wiesz, gdzie jest teraz Atlas?”, na szklach Watta wyświetliła się nowa wiadomość.

„Co za świruska”, skomentował Watt, gdy Nadia namierzyła lokalizację Atlasa i przesłała ją Ledzie. Nieszczególnie się tym jednak przejmował. To w końcu dzięki wariactwu Ledy mógł odłożyć kolejne kilkaset nanodolców na studia, a do tego jeszcze kupić siostrze i bratu nowe ciuchy.

„Nie rozumiem, pod jakim względem zachowanie Ledy różni się od tego, co ty robisz”.

„Ja przynajmniej nie śledzę bez przerwy Avery, tak jak ona robi z Atlasem”, pomyślał ze złością Watt.

„Jeśli chcesz, mogę ją dla ciebie namierzyć”, odparła Nadia.

Watta ogarnął nagle wstyd. Nadia miała rację. Powinien dać sobie z tym spokój i wrócić do domu.

I wtedy ją zobaczył.

Avery biegła ścieżką z naprzeciwka, była ubrana w żółtozieloną koszulkę i spodnie do biegania z wzorem moro, a włosy miała przerzucone niedbale przez jedno ramię. Nawet jej bieg wydawał się elegancki.

Dopiero gdy znalazła się kilka metrów od Watta, rozpoznała go, mrugając kilka razy.

– Hej – wysapała i zwolniła. – Watt, prawda?

Chłopak natychmiast poczuł rozczarowanie, że ich spotkanie w ARenie nie zapadło jej w pamięć tak bardzo jak jemu. Najwyraźniej jego fliki nie wywarły też na niej większego wrażenia. Może faktycznie

Avery rozmawiała jednocześnie z całym mnóstwem facetów. „W takim razie – pomyślał Watt, tłumiąc narastające w nim coraz bardziej zwątpienie – będę musiał nieco bardziej się postarać”.

– Avery. – Odwrócił się i zrównał się z nią krokiem. – Nie wiedziałem, że tutaj biegasz. Trenujesz przed jakimiś zawodami? – Rozsądne pytanie. To była dość długa trasa. Watt przypomniał sobie z jej feedów, że przez ostatnie kilka lat dziewczyna startowała w półmaratonach.

– W tej chwili nie. Po prostu uwielbiam tu biegać. – Zatoczyła ręką łuk obejmujący zielone drzewa, chłodne powietrze o intensywnym, leśnym zapachu oraz światło odbijające się od tafli sztucznej wody. Tutaj, daleko w głębi lasu, w ogóle nie widać było ścian Wieży. – To cudowne uczucie, że możesz biec kilometrami i nikogo nawet nie spotkać, wiesz? – powiedziała, po czym zorientowała się, że zabrzmiało to trochę nieuprzejmie. – Oczywiście z wyjątkiem twojej osoby.

– Jasne, wiem, co masz na myśli – przytaknął Watt. – Trudno uwierzyć, że znajdujemy się wewnątrz Wieży, co nie?

Avery uśmiechnęła się do niego.

– A ty? Przygotowujesz się do jakichś zawodów?

– Tylko do kolejnej gry w *Wizards* – odparł cicho Watt. –No i...

– Pościgamy się?

– Słucham?

Ale Avery już pognała przed siebie ścieżką. Watt wahał się tylko ułamek sekundy, po czym ruszył za nią, dziękując w duchu za wszystkie mecze piłki nożnej z kumplami. Dziewczyna była naprawdę szybka. Ciekawe, czy lekarze znaleźli w DNA jej rodziców dodatkowe geny szybkokurczliwych włókien mięśniowych.

W końcu Avery zatrzymała się przy ścieżce wiodącej do windy, w miejscu gdzie znajdowała się mała fontanna przypominająca pień drzewa.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się szeroko, opryskując twarz wodą. Kilka kropel pociekło po jej szyi i wsiąkło w przód koszulki. – Dawno już z nikim się nie ściagałam.

– Ani ja – przyznał szczerze Watt.

Źrenice dziewczyny się rozszerzyły. Sprawdzała coś na swoich szklach, pewnie czytała nowego flika. „Teraz albo nigdy”, ponagliła chłopaka Nadia.

– Hej, Avery? – zaczął Watt i od razu zaklął w myślach, że zabrzmiało to jak prośba. – Masz jakieś plany na ten weekend?

– O Boże, w ten weekend urządzam wielkie przyjęcie z okazji urodzin mojej przyjaciółki Eris – odpowiedziała Avery, rozciągając zgiętą w kolanie nogę. Przez chwilę Wattowi wydawało się, że właśnie został spławiony, ale nagle... – Chcesz przyjść?

– Tak, pewnie. – Watt starał się ukryć ekscytację. – Z największą przyjemnością.

– Super. Sobota wieczorem, Bubble Lounge. – Avery nachyliła się, aby upić jeszcze jeden łyk z fontanny, po czym odwróciła się i pobiegła w przeciwnym kierunku. – To do zobaczenia.

– Masz to jak w banku – mruknął Watt, przyglądając się, jak dziewczyna znika pomiędzy drzewami.

RYLIN

Stojąc za ladą baru na stacji kolejki, Rylin była zupełnie nieświadoma tego, że kilka kilometrów wyżej trwały gorączkowe przygotowania do imprezy z okazji osiemnastych urodzin Eris Dodd-Radson. Przyjęcie urządziła dziś wieczorem Avery Fuller. Ale nawet gdyby Rylin o tym wiedziała, to nazwiska tych dziewczyn i tak nic by jej nie mówiły. Wiedziała tylko, że jak na sobotni rano jest zdecydowanie zbyt wcześnie, żeby tkwić w pracy.

A jednak była tu, a praca w barze wydawała jej się jeszcze gorsza niż przedtem. Jeśli to w ogóle możliwe.

Przez cały tydzień pracowała u Corda. Nie wzięła już ani jednego specjalu po tym, jak omal nie została przez niego przyłapana na kradzieży, i po tym, jak go pocałowała, o czym wciąż nie potrafiła zapomnieć. Codziennie rano zgłaszała swojemu szefowi, że jest chora, i jechała na górę Wieży: do mieszkania Andertonów. Chrissie i Hiralowi powtarzała, że robi to dla pieniędzy, które pozwolą jej spłacić zaległy czynsz i uchronią je przed eksmisją. Hiralowi nadal nie udało się sprzedać specjali, ale Rylin niespecjalnie to obchodziło. W sumie żałowała, że w ogóle je ukradła.

Jeśli jednak miałyby być ze sobą całkowicie szczerą, sprzątała u Andertonów nie tylko dla pieniędzy, ale także z powodu Corda. W ich wzajemnych relacjach zaszła jakaś tajemnicza, dziwna zmiana i Rylin ciekawiło, co to oznacza. Cord wracał teraz do domu znacznie wcześniej i gawędził z Rylin przez kilka minut, gdy zbierała się do wyjścia, wypytywał ją o rodzinę, o pracę na stacji kolejki, o to, dlaczego rzuciła szkołę. Kupował też więcej żelków i zostawiał je na blacie w kuchni. Pewnego razu Rylin zastała go, jak drzemał na kanapie w salonie z tym samym tęsknym uśmiechem na twarzy co tamtej nocy, gdy oglądał rodzinne holowideo. Kiedy jednak w pobliżu przebywał Brice, Cord wydawał się inny, jakby przed bratem starał się zgrywać twardziela. „Nie mogę się doczekać, kiedy on wreszcie wyjedzie”, myślała Rylin, choć oczywiście to i tak nie będzie już miało znaczenia, ponieważ wraz z wyjazdem Brice’a ona straci zajęcie u Corda.

W końcu wczoraj Buza – szef Rylin ze stacji kolejki – zadzwonił do niej i oznajmił, że nie przyjmie już więcej żadnych usprawiedliwień, bez względu na to, co pokazuje medistick.

– Albo idź do lekarza, albo wracaj do pracy – warknął i się rozłączył. Rylin dała więc znać Cordowi, że kończy u niego pracę, co wprawilo ją w zaskakująco przygnębiający nastrój.

A teraz wróciła do tej śmierdzącej, ponurej rzeczywistości. Uspokajała sama siebie, że tak będzie jednak najlepiej. To dobrze, że skończyła ze sprzątaniami u Corda teraz, gdy wciąż jeszcze miała normalną pracę, bo mogłaby zostać na lodzie, gdy Brice w końcu wyjedzie z miasta.

– Myers! Z życiem! – rzucił Buza, przechodząc obok. Rylin zacisnęła szczęki i nie odezwała się. Na stacji właśnie zatrzymywała się kolejka. Rylin pozwoliła sobie zerknąć szybko przez okno, daleko na przeciwległą ścianę, po czym wyprostowała plecy i stanęła gotowa, aby zmierzyć się z typową dla sobotniego poranka lawiną klientów.

Nienawidziła weekendów, kiedy na stacji przeważali głównie turyści. Dojeżdżający do pracy w dni powszednie przynajmniej zawsze wiedzieli, czego chcą, szybko składali zamówienia, a ponieważ znali Rylin i byli stałymi klientami, czasami nawet zostawiali jej napiwek. Tymczasem turyści zastanawiali się w nieskończoność, co zamówić, zadawali miliony pytań i nigdy nie pamiętali o napiwkach. Jak można się było spodziewać, jako pierwsza zjawiała się dzisiaj rodzinka w jednakowych bluzach z napisem „Kocham Nowy Jork” oraz sylwetką Wieży. Dwoje dzieci kłóciło się o bananową muffinkę z orzechami, podczas gdy mamusia zadręczała Rylin, nieomal ręcznie pokazując jej, ile dokładnie pianki powinno się znaleźć w jej cappuccino.

Następni klienci wcale nie byli lepsi. Niekiedy Rylin zastanawiała się, czy ludziom to jakoś umyka, że jest człowiekiem, a nie robotem. Cord spytał ją raz, dlaczego jej stanowisko w ogóle istnieje, dlaczego na stacji kolejki nie ma botów, tak jak na stacjach wind na górnych piętrach.

– Bo jestem tańsza niż bot – odparła zgodnie z prawdą.

Sprzedziała starszemu mężczyźnie torebkę chipsów jabłkowych, po czym odwróciła się do kolejnego klienta i już miała zapytać, co ma podać, ale na jego widok zaniemówiła.

– Przyznaję, że nigdy tu wcześniej nie byłem – powiedział Cord, opierając się o ladę, jakby jego wizyta w barze była najnormalniejszą rzeczą na świecie. – Co byś mi poleciła?

– Wiesz, że to wszystko to straszny syf – wypaliła Rylin bez zastanowienia. Nie mogła uwierzyć, że Cord wiedział, jak dostać się na stację kolejki, nie mówiąc o tym, że zapamiętał, na której dokładnie stacji pracowała.

– Tak, coś mi się obilo o uszy. – W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. – Ale chciałem zagadać do dziewczyny, która tu pracuje, i jeśli to oznacza, że muszę kupić jakiś chłam, to trudno.

– Myers! – Buza wrzasnął z zaplecza, przerywając na chwilę pożeranie bekonowych chipsów. – Przestań flirtować!

Rylin zagryzła wargę, powstrzymując się przed odpowiedzią.

– Najwyraźniej musimy się streszczać – zwróciła się do Corda pełnym napięcia głosem. – Co mogę ci podać? – zapytała, wciąż nie bardzo wiedząc, po co chłopak się tutaj zjawiał.

– To, czego przygotowanie trwa najdłużej – odparł, patrząc na siedzącego ze skwaszoną miną Buzę.

Rylin zabrała się do przyrządzania orzechowej kawy frappé z bitą śmietaną. Wrzuciła wszystkie składniki do blendera i ustawiła urządzenie na możliwie najgłośniejszy tryb.

– A więc to tutaj rodzi się cała magia – powiedział Cord, przekrzykując hałas blendera.

– Cord, co ty tutaj robisz? – spytała bez ogródek Rylin.

– Uwierzyłybyś, gdybym powiedział, że brakuje mi twoich porządków?

– Co się stało z twoją poprzednią służącą?

– Nie była tak zabawna jak ty.

– Cord...

– Chcesz się stąd wyrwać? – zapytał.

– Myślałam, że Brice już wyjechał z miasta. – Rylin wyłączyła blender i nalała kremowy napój do białego, elastipiankowego kubka z ohydnie uśmiechniętą żółtą buźką.

– Nie miałem na myśli sprzątanina – wyjaśnił Cord. – Wybieram się na wycieczkę i chcę, żebyś pojechała ze mną.

– Sama nie wiem. – Ludzie w kolejce zaczynali się coraz bardziej niecierpliwić. – Piętnaście nanosów – powiedziała Rylin i podała mu orzechową frappé.

– Jeśli się zgodzisz, obiecuję wypić tę okropną miksturę, do kupna której mnie zmusiłaś. – Cord popatrzył w skaner siatkówki oka i kiwnął głową, żeby potwierdzić transakcję.

– Myers! – ryknął Buza. – Weź się wreszcie do roboty!

Tego było już za wiele. W Rylin zawrzała krew. Dziewczyna obróciła się i z ręką na biodrze stanęła w drzwiach prowadzących na zaplecze.

– Wiesz co? Nie czuję się zbyt dobrze. Chyba za wcześnie wróciłam do pracy. Ale zrobiłam to tylko dlatego, że szef mi zagroził, że w przeciwnym razie mnie wyleje – rzuciła gniewnie.

Buza spojrzał na nią, górną wargę miał usmarowaną posypką z bekonu i chili.

– Jeśli teraz wyjdiesz, jesteś zwolniona.

Rylin teatralnym gestem zdarła z bluzki plakietkę z imieniem.

– W takim razie żegnam – oświadczyła i rzuciła ją na ziemię. – Spadajmy stąd – zwróciła się do Corda, wychodząc przez drzwi dla personelu. W duchu śmiała się, wyobrażając sobie, jak Buza poradzi sobie sam z tym wściekłym tłumem klientów. Boże, co za cudowne uczucie. Marzyła o rzuceniu tej roboty praktycznie od pierwszego dnia. Wiedziała, że jutro, kiedy zacznie szukać nowej pracy, będzie tego pewnie żałować, ale póki co czuła się fantastycznie.

– Twoje zdrowie! – wzniosł toast Cord i pociągnął potężny łyk mrożonego, słodkiego napoju. Lekko się zakrztusił, ale ostatecznie udało mu się przełknąć. Rylin wybuchła nieco histerycznym śmiechem.

– To dokąd teraz? – spytała, wsiadając wraz z Cordem do kolejki jadącej do centrum Wieży.

– Myślałem o kolacji – odrzekł. – Jesteś głodna?

Rylin spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi, ale tym razem w jego głosie nie było słycać kpiny.

– Jest dopiero dziesiąta rano – zauważyła.

– Ale nie tam, dokąd się wybieramy. – Cord wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Rylin nie bardzo rozumiała, co miał na myśli, dopóki nie wysiedli na Grand Central, ogromnym centrum komunikacyjnym, które zajmowało ponad sześć pięter po wschodniej stronie Wieży. Cord poprowadził ją w dół słynnych marmurowych schodów przeniesionych tu z oryginalnego dworca Grand Central. Minęli linie kolejki oraz szyby wind i znaleźli się w najodleglejszej części stacji.

– Chwila – powiedziała wolno Rylin, gdy wreszcie dotarło do niej, o co chodziło Cordowi. – Ty chyba nie... Ja nie mogę...

– Za późno, nasz pociąg zaraz odjeżdża. – Cord pociągnął ją wzdłuż peronu Hyperloop, a następnie do środka zaokrąglonego, przypominającego pocisk wagonu, na którym wyświetlał się napis „PARYŻ, GARE DE L’OUEST”. Rylin szła posłusznie, zbyt zszokowana, by w ogóle protestować. We wnętrzu wagonu znajdowały się cztery rzędy podwójnych siedzeń, ogromnych ciemnofioletowych rozkładanych foteli. Wszystkie były wyposażone w osobne ścianki wyciszające.

– Jeden A i jeden B, to nasze miejsca – oznajmił Cord.

Rylin zatrzymała się nagle pośrodku przejścia.

– Cord, nie mogę tego przyjąć. To za wiele. – Nie była pewna, ile kosztował bilet pierwszej klasy w pociągu Hyperloop, ale miała przeczucie, że chyba nie chce wiedzieć.

– Jak uważasz. – Cord opadł na siedzenie przy oknie. – Jeśli nie chcesz jechać, to nie jedź. Ja i tak wybieram się do Paryża. Decyduj się szybko – dodał, gdy z głośników rozległo się odliczanie – bo za dziewięćdziesiąt sekund ten pociąg znajdzie się głęboko pod dnem Atlantyku i popędzi w kierunku Europy z prędkością tysiąca dwustu kilometrów na godzinę.

Rylin odwróciła się do wyjścia, gotowa wyskoczyć na peron i zapomnieć o tym zwariowanym dniu, a może nawet pójść do Buzy i błagać go o przyjęcie z powrotem do pracy. Jednak coś ją powstrzymało. Z oczami wlepionymi w ekran patrzyła, jak zegar odliczający czas do odjazdu zszedł już poniżej sześćdziesięciu sekund. W końcu podjęła decyzję i wróciła do pierwszego rzędu.

– Zamień się ze mną miejscami.

– Wiesz, że przez okno i tak nic nie widać poza ścianami tunelu – powiedział Cord, ale odpiął magnetyczny pas bezpieczeństwa i przesiadł się na fotel przy przejściu.

– Tunel mnie nie obchodzi. Chcę tylko zobaczyć Paryż dokładnie w chwili, w której się tam znajdziemy. – Rylin usiadła, kiedy pociąg zaczął przyspieszać.

Podróż upłynęła szybciej, niż Rylin się spodziewała. Cord zamówił dla nich croissanty i café au lait,

a ona obejrzała stary francuski film w 2D. Nie rozumiała wszystkiego, ale w każdym razie opowiadał o jakimś Francuzie z dużym nosem zakochanym w ciemnowłosej kobiecie.

– Wiesz, że możesz przełączyć na angielską wersję? – szepnął Cord, ale Rylin uciszyła go machnięciem ręki. Uwielbiała melodyjne i delikatne brzmienie francuskiego, które kojarzyło jej się ze smakiem miodu.

Gdy wyłonili się z powrotem na powierzchnię i podróżowali przez francuską prowincję, Rylin przycisnęła twarz do szyby, chłonąc każdy detal krajobrazu. To wszystko wydawało jej się nierealne. „Szkoda, że mama nie mogła tego zobaczyć – myślała. – Ona pewnie też by w to nie uwierzyła”.

– To gdzie teraz? – spytał Cord, gdy w końcu wysiedli z pociągu i przeszli przez kontrolę bioskanerem, który porównał siatkówki ich oczu z profilami w cyfrowych paszportach. Późnopołudniowe słońce rozlewało się złotymi kręgami na wiekowych ulicach.

– Na wieżę Eiffla – odparła natychmiast, sięgając dłonią do naszyjnika.

– A więc od jednej wieży do drugiej. Teraz rozumiem – zażartował Cord, ale gest dziewczyny nie uszedł jego uwagi.

Paryskie ulice nigdy nie zostały przekopane i wyłożone magnetycznymi sztabami potrzebnymi do utrzymywania hoverów w powietrzu, dlatego Rylin i Cord wsiedli do samochodowej taksówki i ruszyli starymi, brukowanymi alejkami w kierunku wieży Eiffla.

Przybyli w samą porę, żeby wspiąć się jeszcze na nią po schodach. Pod koniec Rylin biegła na górniczym dziecku i na platformę widokową wpadła już mocno zdyszana. W dole na uliczkach Paryża zapadał już zmrok, sprawiając, że miasto wyglądało jak zaczarowane.

– Jest tak, jak się tego spodziewałaś? – spytał Cord, stając za jej plecami.

Rylin przypomniała sobie, jak czekała całymi popołudniami w kolejce w szkolnej bibliotece po hełm do wirtualnej rzeczywistości, żeby móc raz jeszcze obejrzeć symulację wizyty na wieży Eiffla. Robiła to już tyle razy, że znała ten widok prawie na pamięć. Zacisnęła dłonie na balustradzie, o którą opierały się przed nią dziesiątki pokoleń, i zaczerpnęła głęboki oddech, aby posmakować chłodnego paryskiego powietrza.

– Jest o wiele lepiej. Tu jest po prostu... pięknie – wyszeptała, obserwując, jak ostatnie promienie słońca pozłacają białą kopułę bazyliki Sacré-Coeur. Ulice w dole rozbrzmiewały nieustannym gwarem ludzi i trąbieniem elektrycznych samochodów, wszystko było tak radośnie zgiełkliwe i chaotyczne, w niczym nie przypominało bezdusznego porządku ulic wewnątrz Wieży.

– To prawda – przyznał Cord, nie spuszczać jednak wzroku z Rylin.

Spacerowali po żelaznej konstrukcji aż do zamknięcia, czyli do szóstej wieczorem, a potem ruszyli wzdłuż Sekwany w stronę dzielnicy Saint-Germain-des-Prés. Minęli dziesiątki małych cukierni, z których unosił się aromat lukru i waty cukrowej. Rylin próbowała się zatrzymać przy którejś, upierając się, że muszą kupić eklerki dla Chrissy.

– Znam lepsze miejsce – powtarzał za każdym razem Cord, prowadząc Rylin krętymi, brukowanymi uliczkami.

Wreszcie stanęli przed niewyróżniającymi się niebieskimi drzwiami. Gdy jednak weszli do środka, Rylin aż jęknęła z zachwytu. Wnętrze było maleńkie, ale pełne wspaniałych, antycznych luster, a jego ściany zdobiła tapeta z motywem złotych liści.

– *Bonsoir, monsieur, mademoiselle* – skinął im głową wytworny kelner w białych rękawiczkach. – Witamy w Café Paris.

Rylin przyjrzała się z zaciekawieniem Cordowi.

– Skąd wiedziałeś?

– Sama mi powiedziałaś, nie pamiętasz?

Poszli za kelnerem do sali restauracyjnej oświetlonej setkami świec unoszących się w mosiężnych świecznikach dzięki niewidocznym mikrohoverom. Przyćmiony blask świec odbijał się od złotych talerzy, kryształowych kieliszków szampana oraz biżuterii na szyjach i nadgarstkach pozostałych gości. W kącie znajdowały się skrzypce z gryfem zwieńczonym wymyślnym ślimakiem, które same grały. Naturalnie Rylin wiedziała, że było to zrobione tylko dla efektu, a muzyka tak naprawdę dobiegała z maleńkich głośników rozmieszczonych w całej sali, ale wrażenie i tak było magiczne.

„Może nawet nieco zbyt magiczne”, pomyślała, gdy do głosu doszedł jej zdrowy rozsądek. Nagle zrobiło jej się strasznie głupio, gdy uświadomiła sobie, że jest już dość późno, a ona znajduje się na drugim końcu świata z chłopakiem, którego nawet dobrze nie zna. W myślach zaczęła sumować kwoty, jakie Cord musiał dziś na nią wydać, i odrobinę zakręciło jej się w głowie. Czego oczekiwał od niej w zamian?

– Cord, dlaczego robisz dla mnie to wszystko?

– Bo chcę. Bo mogę. – Zamówił butelkę szampana i zaczął nalewać jej do kieliszka, ale Rylin nie zamierzała dać się tak łatwo zbyć. Przypomniała sobie spotkanie z Brice'em, który stwierdził, że Cord ma coraz lepszy gust i że Rylin jest „lepsza niż poprzednia”.

– Jeśli sądzisz, że ze względu na to wszystko pójdę z tobą do łóżka, to się grubo mylisz. – Sięgnęła po serwetkę, której smart-włókna dopasowały się do lawendowego koloru jej dżinsów. Zamierzała wstać od stolika.

– Boże, Rylin, mam nadzieję, że nie myślisz tak o mnie – powiedział Cord i Rylin usiadła nieco udobruchana. Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Obiecuję ci, że jeśli kiedykolwiek pójdziesz ze mną do łóżka, to na pewno nie ze względu na to wszystko – rozłożył ręce, jakby chciał objąć nimi restaurację i cały Paryż – ale dlatego, że nie będziesz potrafiła się oprzeć mojej zabójczej aparycji oraz powalającemu dowcipowi.

– Jasne – powiedziała Rylin z kamienną miną. – Twój dowcip powala mnie za każdym razem.

– Jeśli posunę się za daleko, nie krępuj się i przywal mi znów w twarz.

Rylin wybuchła śmiechem.

– Odpowiesz mi szczerze, jeśli cię o coś zapytam? – Głos Corda brzmiał tak beztrosko jak zwykle, ale tym razem wyczuwała w nim jakiś ukryty zamiar.

– Tylko pod warunkiem, że ty odpowiesz na moje pytanie.

– Niech będzie. – Cord pochylił się, opierając się na łokciach. Podwinął rękawy koszuli, jakby chciał dostosować się do powagi sytuacji, odsłaniając pokryte ciemnymi włosami przedramiona. – Czego pragniesz najbardziej?

– Być szczęśliwa – odrzekła Rylin bez namysłu.

– Co to za odpowiedź? To oczywiste, że chcesz być szczęśliwa. Wszyscy chcą być szczęśliwi. – Cord machnął lekceważąco ręką. – Może raczej zapytam: co sprawia, że czujesz się szczęśliwa?

Rylin zakręciła szampanem w kieliszku, próbując zyskać trochę czasu. Nagle uświadomiła sobie, że nie bardzo wie, co ją tak naprawdę uszczęśliwia.

– O czym marzysz? – dodał Cord, widząc jej wahanie.

– To proste. O mamie.

– O tym, żeby wciąż żyła?

– Tak.

Chłopak skinął głową.

– Mam podobne marzenie – rzekł cicho tak poważnym tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała.

– Moja kolej. – Rylin chciała zmienić temat. Nie miała ochoty na tego typu rozmowę. Byli w końcu w Paryżu. – Co robisz, gdy uciekasz z lekcji? – spytała z autentycznym zainteresowaniem.

– Co... Skąd wiesz, że uciekam z lekcji? – rzucił ostro.

– Uważnie cię obserwuję. No już, teraz moja kolej na zadawanie pytań, pamiętasz?

Cord potrząsnął głową, śmiejąc się pod nosem.

– Przykro mi, ale na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Zapytaj mnie o coś innego.

Pomimo swojego zaciekawienia Rylin postanowiła mu odpuścić.

– Co byś zrobił, gdybym nie zgodziła się tu z tobą przyjechać?

– Na pewno byś się zgodziła. Po co więc zajmować się jakimiś hipotetycznymi problemami?

– A jeśli bym się nie zgodziła? – upierała się Rylin.

– Próbowałbym pewnie zwrócić bilety. Albo przyjechałbym tu sam, nigdy nie wiadomo. Ktoś musiałby przecież kupić te eklerki dla Chrissy.

– Nie jesteś jednak takim dupkiem, na jakiego pozujesz – zauważyła Rylin.

– A ty wcale nie jesteś taka twarda, jak udajesz. Poza tym – Cord uśmiechnął się lekko – to właśnie

dzięki mojej rzekomej dupkowatości znalazłaś się tutaj, prawda?

– Znalazłam się tutaj ze względu na Paryż – poprawiła go Rylin, a on się zaśmiał.

– W takim razie za Paryż. – Uniósł kieliszek.

– Za Paryż – powtórzyła cicho Rylin. W migoczącym blasku świateł stuknęła się z nim kieliszkiem szampana, zastanawiając się, czy na pewno wie, co robi. Nie potrafiła jednak wywołać w sobie choćby cienia poczucia winy.

Dwie godziny później najedzeni purée ziemniaczanym z papryką i niewiarygodnie pysznym stekiem – ale nie z mięsa wyhodowanego w laboratorium, tylko prawdziwym stekiem z prawdziwej krowy, która kiedyś żyła i pasła się na łące – Rylin i Cord wracali piechotą na dworzec kolejowy. W pewnym momencie spleli razem swoje dłonie, a Cord zaczął delikatnie gładzić kciukiem grzbiet nadgarstka dziewczyny, wywołując tym fale dreszczy na całym jej ciele. Rylin wiedziała, że powinna puścić jego rękę, ale nie potrafiła.

– Och! Most z kłódkami! – wykrzyknęła na widok Pont des Arts, który został odrestaurowany wiele lat temu z użyciem takich samych supermocnych włókien węglowych, jakie zastosowano w konstrukcji Wieży. Blask księżyca srebrzył przypięte wzdłuż całej długości mostu kłódki, w których liczne pary zakochanych zamknęły swoje serca, a kluczyki wrzuciły do rzeki. W górze rozciągał się przestwór nieba nieprzesłonięty żadnym wysokim budynkiem. Poniżej chłupotała Sekwana.

Rylin zatrzymała się pośrodku mostu i z rozłożonymi ramionami obróciła się powoli dookoła. Miała nadzieję, że nie przesadziła za bardzo z romantyczną atmosferą, przyprowadzając tu Corda. Zdecydowanie nie powinna tego robić. To w końcu most zakochanych.

Cord podszedł i położył dłonie na jej ramionach. Rylin opuściła ręce wzdłuż tułowia i powoli odwróciła się do niego. „Możesz to jeszcze powstrzymać”, powiedziała do siebie w myślach, ale nie zrobiła tego, nie mogła tego zrobić, a może po prostu nie chciała. Miała wrażenie, jakby znajdowała się w jakimś transie, jakby czas nagle stanął w miejscu, a cały świat wstrzymał oddech.

Wargi Corda na jej ustach parzyły niczym ogień. Nie zastanawiając się ani chwili, wspięła się na palce, aby odwzajemnić pocałunek, i przyłgnęła mocno do ramion Corda, jakby stanowił jedyną stabilną rzecz w wirującym dokoła świecie. Wiedziała, że źle postępuje, ale Hiral wydawał jej się teraz tak odległy, jakby był jakąś wymyśloną postacią żyjącą w innej rzeczywistości.

Nie była pewna, jak długo stali tak spleceni w uścisku. W końcu Cord się odsunął. Włosy miał rozczochrane, uśmiechał się szeroko i wciąż trzymał ją za rękę.

– A teraz – powiedział – chodźmy kupić eklerki dla Chrissy, zanim odjedzie nam ostatni pociąg.

Za ich plecami rozległ się plusk. Kolejna para zakochanych wrzuciła kluczyk od kłódki w ciemną otchłań wody.

WATT

W Bubble Lounge panował półmrok.

Watt wszedł wolno do środka i rozejrzył się dookoła, starając się zachowywać tak, by na pierwszy rzut oka nie wydawało się oczywiste, że nigdy wcześniej tu nie był. Klub był ogromny, miał wysokie czarne ściany i polakierowany na czarno bar, który obsługiwali chudzi, bladzi barmani. Ultrafioletowe światło płynące od sufitu rozświetlało plamy neonowych kolorów na serwetkach, na ozdobionych brokatem ramionach i twarzach większości dziewczyn, a nawet na ich pomalowanych neonowym lakierem paznokciach u rąk. Ale najbardziej niezwykły widok stanowiły dziesiątki jarzących się neonowo bąbelków, czy raczej bąbli, mniej więcej średnicy talerza, które unosiły się w całym pomieszczeniu na wysokości oczu. „Stąd nazwa”, pomyślał Watt: Bubble Lounge, czyli „bąbelkowy bar”. Wcześniej sądził, że chodzi o bąbelki w szampanie, ale to tylko pokazywało, jak mało w gruncie rzeczy wiedział o wyższych piętrach.

– Słomkę? – zaproponowała kelnerka z tacą pełną około półmetrowych białych słomek. Watt rozejrzył się i zauważył, że wszyscy goście trzymali takie słomki. Używali ich do picia z bąbelków, które najwyraźniej służyły jako coś w rodzaju wspólnych mis z ponczem.

– Jasne, dzięki – wymamrotał i wziął jedną.

„Nie sprawdziłaś tego miejsca, Nadia?”

„Nie sądziłam, że potrzebujesz wskazówek, jak należy pić alkohol, skoro robiłeś to już tyle razy”.

Watt ją zignorował. Wmieszał się w tłum, wypatrując wśród gości wysokiej sylwetki oraz blond włosów Avery. Wcześniej jednak natknął się na inną znajomą twarz.

– Atlas – rzucił z uśmiechem do brata Avery, który stał pod bąbelkiem w bursztynowym kolorze. – Nie widziałem cię całe wieki.

„Gdybyś tylko wiedział, ile czasu muszę ci ostatnio poświęcać przez tę twoją stukniętą eks, czy kim tam ona dla ciebie jest”, dodał w myślach.

Atlas zmarszczył czoło, nie mogąc sobie przypomnieć, skąd zna tego chłopaka, który wyciągał teraz do niego rękę.

– Watt Bakradi. Poznaliśmy się w zeszłym roku na imprezie na łodzi u Cartera Hafnera – skłamał.

– Watt, no jasne. Wybacz, stary. – Atlas uściśnął mu serdecznie dłoń. – Szczerze mówiąc, pamiętam tamten dzień jak przez mgłę – dodał.

– Znam to uczucie – powiedział ze zrozumieniem Watt. – Jak nazywał się ten bar, w którym wylądowaliśmy na końcu? Ten, w którym Carter wpadł do basenu z rybami?

– Ed’s Chowder Shack! – wykrzyknął ze śmiechem Atlas. – Zupełnie o tym zapomniałem! Co za

dzień. – Uniósł do góry słomkę i pociągnął drobny łyk z bursztynowego bąbelka. – Tutaj masz whisky z napojem imbirowym – zaproponował. – To prawdopodobnie jedyna rzecz, której będziesz chciał tu spróbować. Błagałem Avery, żeby zamówiła coś mocniejszego. W niebieskich jest atomówka z wodą sodową, a w różowych szampan.

– Mój tata zawsze mówi, żeby nie pić alkoholu przez słomkę, ponieważ to kompletnie niemęskie. – To akurat była prawda. Watt zachichotał na myśl, co powiedziałyby teraz Rashid Bakradi, gdyby zobaczył swojego syna, jak w towarzystwie miliardera sączy whisky z unoszącego się w powietrzu bąbelka. – Ale co mi tam. Kiedy wejdiesz między wrony, no nie? – Pociągnął długi łyk.

– Zgadzam się z twoim tatą. Wyglądamy idiotycznie – przyznał ze śmiechem Atlas. – Ale dziewczyny uwielbiają to miejsce, więc raczej nie mamy wyjścia.

Watt skinął głową.

– Słyszałem, że nie było cię przez rok – zagadnął, gdy Atlas upił znów trochę whisky. – Podróżowałeś, tak?

Atlas nagle się usztywnił, a swobodna atmosfera między nimi natychmiast prysnęła.

– Potrzebowałem trochę wolnego – odparł krótko. – Zdałem już wszystkie końcowe egzaminy w jesiennym semestrze, więc nic mnie tu nie trzymało.

– A gdzie byłeś? Widziałeś coś godnego polecenia? – Watt nie dawał za wygraną.

– Byłem w wielu miejscach. W Europie, w Azji. Prawie wszędzie. – Atlas nie zamierzał zdradzać szczegółów.

„Wybacz, Ledo. Próbowałem”, pomyślał Watt, po czym pożegnał się z Atlasem i ruszył w głąb tłumy imprezowiczów. Ten chłopak był jednak nudny i skryty, o czym Watt zdążył się już wcześniej przekonać, włamując się do jego flików.

Pośrodku większej grupy ludzi zobaczył Eris, kolejną przyjaciółkę Avery i Ledy. Była ubrana w czarną skórzaną sukienkę, która ciasno opinała jej krągłości. Rozpoznał ją ze zdjęć, na których pojawiała się wraz z Avery. Jej długie włosy opadały na nagie ramiona, a mocno umalowane oczy lśniły złotem niczym u kota. Była piękna w odważny, prowokujący sposób. W każdy inny wieczór Watt pewnie próbowałby ją poderwać. Ale wtedy ujrzął Avery, która przyćmiła wszystkie pozostałe dziewczyny w klubie.

– Watt. – Jej twarz rozjaśniła się w oślepiająco doskonałym uśmiechu. – Tak się cieszę, że przyszedłeś.

– Potrafisz urządzać imprezy.

– To ulubiony klub Eris – wyjaśniła.

– A ty nie chciałabyś obchodzić tutaj swoich urodzin?

– Zawsze staram się robić rzeczy nieco mniej... – urwała, odwracając wzrok.

– Z nieco mniejszą liczbą unoszących się w powietrzu i świecących w ciemności drinków? Albo z mniejszą liczbą torturowanych zwierząt? – Watt wskazał na buty Moniki Salih, w których obcasach pływały żywe neonowe meduzy. Avery parsknęła i potrząsnęła głową.

– Po prostu... mniej ostentacyjne – dodała. – Lubię urodziny w gronie killkorga przyjaciół, z dobrym jedzeniem, może gdzieś poza miastem. Bez sprawdzania szkieł kontaktowych przez cały dzień.

– Serio? – Watt nie powinien być jednak zaskoczony, mając w pamięci to, co Avery powiedziała mu w parku Redwood. – A gdzie chciałabyś pojechać?

– Gdzieś, gdzie jest zielono.

– Nie masz ogrodu w swoim mieszkaniu? – Skrzywił się, gdy tylko to powiedział. Nie powinien przecież o tym wiedzieć. – Po prostu zakładam, że na pewno musisz mieć – próbował się ratować, ale Avery nawet nie zauważyła jego wpadki.

– No tak, ale na tej wysokości trudno coś wyhodować. Wiele roślin musi zapuścić głębiej korzenie – westchnęła z żalem. – W te wakacje spędzałam urodziny we Florencji – ciągnęła, choć oczywiście Watt wiedział, że jej urodziny przypadały siódmego lipca. – Wynajęliśmy z przyjaciółmi łódki, pływaliliśmy po jeziorze i przez cały dzień absolutnie nic nie robiliśmy. Uwielbiam nic nie robić. A tutaj mam wrażenie, jakbyśmy zawsze starali się robić za wiele.

– Wygląda na to, że miałaś fantastyczne urodziny – powiedział Watt, przyglądając jej się z zaciekawieniem. Im dłużej z nią rozmawiał, tym bardziej skomplikowana mu się wydawała. Choć oboje mieli po siedemnaście lat, to czasami Avery sprawiała wrażenie znacznie starszej, jakby już wszędzie była, wszystko widziała i czuła się tym straszliwie znużona. Nagle jednak przybliżyła machnięciem ręki różowy bąbelek, roześmiała się z zachwytem w głosie i znów wydawała się młodzieńcza i dziewczęca.

– Byłaś kiedykolwiek... – zaczęła, lecz Watt domyślił się, zanim nawet zdążyła podpowiedzieć mu to Nadia, że Avery chce go zapytać, czy był kiedyś we Florencji.

– Opowiedz mi więcej o tym, co tam robiłaś – wtrącił Watt, sprytnie unikając pytania. Avery upiła łyk szampana i zaczęła opowiadać mu o zajęciach, na które chodziła, o zabawnym pensjonacie, w którym mieszkała, o długiej trasie, jaką musiała pokonywać każdego dnia, mijając po drodze tandetną piekarnię z bajglami w nowojorskim stylu, która za każdym razem ją śmieszyła. Watt uwielbiał jej słuchać. Boże, mógłby słuchać, nawet gdyby czytała na głos słownik.

Rozmowa toczyła się swobodnie. Watt ostrożnie jednak dobierał słowa, zasadniczo nie kłamał na swój temat, wspominał tylko o takich prawdziwych sytuacjach i osobach ze swego życia, które nie wzbudzały podejrzeń. Przede wszystkim starał się, żeby rozmowa skupiała się na Avery. A dzięki Nadii zadawał właściwe pytania, przy tym na tyle konkretne, że sprawiał wrażenie wnikliwego rozmówcy, ale też nie zanadto. Za każdym razem gdy Avery się uśmiechała, czuł, że odniósł małe zwycięstwo. Był dzisiaj w doskonałej formie.

W pewnym momencie Avery nagle pobladła na widok czegoś, co zobaczyła w tłumie. Watt obejrzał się za siebie, zastanawiając się, co mogło ją zdenerwować, ale widział tylko zbitą masę ludzi.

– A tak w ogóle poznałeś już Ming? – spytała Avery, kiedy podeszła do nich dziewczyna z sięgającymi do ramion ciemnymi włosami oraz ciemnoczerwonym uśmiechem. – Ming też uwielbia ten program – dodała i Watt przypomniał sobie, że rozmawiali właśnie o jakimś holoprogramie, którego nigdy nie widział, a wspominał o nim tylko dlatego, ponieważ namiętnie oglądała go Avery. – Ming, to jest Watt – przedstawiła ich sobie z uprzejmym uśmiechem. – Wybaczcie, ale muszę iść coś sprawdzić. Zaraz wracam – obiecała, choć oczywiście było jasne, że nie wróci, i wszyscy troje dobrze o tym wiedzieli.

– Cześć, Watt. Więc skąd jest... – zaczęła Ming.

– Przepraszam – przerwał jej Watt i ruszył w stronę wyjścia. Musiał zebrać myśli i zastanowić się, co mogło wytrącić Avery z równowagi.

Nie chodziło o to, że nie była nim zainteresowana. To wiedział na pewno. Gdyby w ogóle nie czuła do niego sympatii, skończyłaby z nim rozmawiać znacznie wcześniej. A tymczasem gawędzili co najmniej przez dwadzieścia minut, co na takich imprezach stanowiło niemal wieczność. Śmiała się z jego żartów, była autentycznie zaintrygowana tym, co mówił, aż coś – albo też ktoś – wyraźnie ją zdenerwowało. Może chodziło o którąś z przyjaciółek albo jakąś kwestię organizacyjną. „Albo też innego faceta”, dodał wewnętrzny, bardziej trzeźwy głos w jego głowie.

Watt oparł się o ścianę i obserwował, jak świecące bąbelki unoszą się wolno w powietrzu niczym wypełnione alkoholem bańki mydlane. Normalnie dałby już sobie spokój, postawił na Avery kreskę i zajął się inną dziewczyną. Problem polegał na tym, że nie miał na to ochoty. Wcale nie chciał rozmawiać z innymi dziewczynami.

„Ona naprawdę ci się podoba”, stwierdziła Nadia, gdy Watt nie odzywał się dłuższą chwilę.

„Tak, może”. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z Avery, która torując sobie drogę przez zatłoczoną salę, wyglądała jak złoty promień światła.

LEDA

Krażyła po Bubble Lounge, tak mocno trzymając idiotyczną białą słomkę, że aż odcisnęła jej się na dłoni. Impreza była kapitalna, zresztą nie spodziewała się niczego innego po Avery. Wiedziała, że w nowej sukience na jedno ramię wygląda rewelacyjnie, ale cały czas czuła się niespokojna. To sprawiało, że miała ochotę się napić, choć obiecywała sobie, że nie tknie dziś alkoholu i jak na razie udawało jej się tej obietnicy dotrzymać.

Na środku sali zauważyła Avery oraz Eris i na ich widok natychmiast ogarnęło ją znajome uczucie

zazdrości. Avery oczywiście prezentowała się perfekcyjnie pod każdym względem. Ale Leda była również zazdrosna o Eris, która w swej nieco przykrótkiej skórzanej sukience wyglądała niczym prawdziwa królowa wieczoru. Zawsze z zazdrością patrzyła na to, w jaki sposób jej przyjaciółka się porusza, na swobodę i pewność jej gestów. Drażnił ją lekko pogardliwy ton, jaki dawało się słyszeć zawsze w głosie Eris, gdy wydawała polecenia. Leda prędzej padłaby trupem, niżby się do tego przyznała, ale w siódmej klasie próbowała przed lustrem naśladować ruchy Eris. Nigdy jednak nie udawało jej się powtórzyć ich właściwie.

Zamierzała teraz podejść do obu dziewczyn, ale po chwili się rozmyśliła. Niezrozumiała dla niej wrogość ze strony Avery zaczynała jej naprawdę działać na nerwy.

I dlaczego nie widziała nigdzie Atlasa? Wciąż nie miała pewności, co tak naprawdę ich łączy. Kiedy ich plan spotkania we dwoje zamienił się w grupowy wypad do AREny, zmartwiła się, że chłopak w ogóle nie jest nią zainteresowany. Ale od tamtej pory bez przerwy wymieniali się flikami: o zwykłych bzdurach, o szkole i ich ulubionym holoseriale *Mike Drop*, a także o tym, czy warto w tym sezonie jeździć na mecze wyjazdowe drużyny hokeja. Leda była przekonana, że w niektórych wiadomościach Atlas z nią flirtował. Jednak minęły już prawie dwa tygodnie od ich niby-randki w Altitude, a on nadal nie wykonał żadnego kroku. Na co czekał?

Leda spojrzała na bursztynowy bąbelek przepływający leniwie w pobliżu. Drobnny łyk chyba nie zaszkodzi, prawda? Pociągnęła przez słomkę spory haust whisky, rozkoszując się przyjemnym ciepłem, jakie rozeszło się po całym jej ciele aż do palców u nóg, które z rozkoszy podwinęła w wysokich, srebrnych szpilkach.

Tłum ludzi przed nią nieco się przesunął i na drugim końcu sali zauważyła Atlasa. Bez chwili namysłu ruszyła w jego kierunku.

– Hej – przywitała się z ekscytacją w głosie. Na jej widok po twarzy chłopaka przemknął uśmiech. – Jak się bawisz?

– Och, no wiesz. – Wskazał ręką na pełną gości salę i różnokolorowe bąbelki. – To wszystko jest bardzo...

– Bardzo w stylu Eris? – podpowiedziała Leda, a Atlas wybuchnął śmiechem.

– Dokładnie.

– Słyszałam o twojej nowej pracy – dodała, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to jak banalna pogawędka.

– No tak, jak na razie jest super. – Atlas zaczął ostatnio pracować w jednej z firm inwestycyjnych swojego ojca i odłożył rozpoczęcie studiów na Uniwersytecie Columbia do przyszłej jesieni. – Prawdę mówiąc, skoro mam czas, zastanawiam się nad złożeniem podań na inne uczelnie.

– Chcesz wyjechać z Nowego Jorku? Znowu? – spytała Leda. Bez względu na to, jak długo go

znała, nigdy nie potrafiła go naprawdę zrozumieć.

– Są na świecie też inne miejsca poza Nowym Jorkiem – powiedział Atlas.

– Racja, a ponieważ objechałeś z plecakiem cały glob i w każdym z tych miejsc spędziłeś góra tydzień, od razu stałeś się ekspertem w tej kwestii – odparła nieco rozdrażniona Leda.

Ku jej zaskoczeniu Atlas się roześmiał.

– To prawda, żaden ze mnie ekspert. Jak mawiają, im więcej widzisz, tym mniej wiesz.

Leda nigdy nie słyszała tego powiedzenia. Miała już dość ciągłego zgadywania, co Atlas mógł mieć na myśli i czego chciał.

– Trudno cię rozgryźć – przyznała otwarcie.

– Ciebie też.

Przyglądała się, jak Atlas pociągnął łyk z bursztynowego bąbelka z whisky. Muzyka przyśpieszyła, dostosowując się do gorączkowego rytmu serca Ledy.

Nie mogła już dłużej tego wytrzymać. Pod wpływem nagłego impulsu, dokładnie tak samo jak w Andach, nachyliła się i pocałowała chłopaka.

Atlas odwzajemnił pocałunek, a Leda przysunęła się i wplotła dłoń w jego włosy. Jej nerwy nagle stanęły w płomieniach, w żyłach poczuła uderzenie czystej oksytocyny. Nareszcie.

Po chwili oderwali się od siebie. Leda podniosła wzrok, żeby zobaczyć minę Atlasa, ale zamiast niego ujrzała Avery. Przyjaciółka stała niecały metr od nich. Była blada na twarzy, a brwi uniosła do góry w wyrazie odrazy i przerażenia.

Leda zamrugła i cofnęła się o krok, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Avery odwróciła się i zniknęła w tłumie.

ERIS

Po raz pierwszy od dawna czuła, że jej życie wygląda tak, jak powinno.

Impreza była niesamowita. Avery przeszła samą siebie pod każdym względem, począwszy od strumienia zdjęć wyświetlanego w bocznej sali, a skończywszy na przygotowanych na specjalne zamówienie słomkach z małym podświetlonym napisem „WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, ERIS!”. W Bubble Lounge panował taki tłok, jakiego Eris jeszcze nigdy tu nie widziała. Przyszedł każdy, kto coś znaczył, i teraz wszyscy rozmawiali, pili i świętowali jej urodziny.

Jedyną osobą, której nieobecność ją zmartwiła, był Cord. Eris nie oczekiwała wcale, że wróci dzisiaj do siebie, ale miała nadzieję, że chłopak zjawi się jednak jako jej przyjaciel. Z Cordem każda impreza stawała się znacznie bardziej rozrywkowa. Przez chwilę zastanawiała się, czy do niego nie fliknąć, ale

biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się rozstali, nie była pewna, czy w ogóle tego chce.

W jej głowie zrodziła się też drobna, głupia myśl, czy nie powinna była zaprosić Mariel. Nie żeby znów chciała wylądować z nią w łóżku. Ale Mariel była wobec niej miła, gdy wszyscy inni zawiedli, i ze wstydem nie mogła przestać myśleć o tym, że chyba ją skrzywdziła.

„Skończ z tym”, powiedziała do siebie, usiłując odsunąć te wspomnienia na bok. To była jej impreza i nic nie mogło tego zepsuć.

– Eris?

Obróciła się i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła idącą w jej kierunku Ledę – samą, bez Avery. Nie chodziło do końca o to, że nie lubiła Ledy. Po prostu nigdy nie miały sobie za wiele do powiedzenia. Eris zawsze odnosiła wrażenie, że Leda mówiła jedno, a myślała drugie, jak gdyby skrycie bawiła się kosztem innych. Nawet jej komplementy zdawały się mieć jakieś drugie dno.

Ale teraz twarz Ledy wydawała się szczerą, wręcz pełną nadziei.

– Wszystkiego najlepszego! Co za niesamowita impreza! – wykrzyknęła.

– Dzięki! To wszystko zasługa Avery – odparła Eris, uśmiechając się zdezorientowana.

– Tak się zastanawiałam... – Leda z wahaniem zaczerpnęła oddech. – To znaczy chciałam cię zapytać, czy Avery wspominała coś o...

– Eris! – Ming przedzierała się przez tłum, a na jej zdecydowanie zbyt mocno pomalowanych na czerwono ustach igrał dziwny uśmiech. – Avery czeka na ciebie w bocznej sali.

Eris już się odwróciła w tamtym kierunku, ale Leda wciąż stała nieruchomo.

– Chcesz może... – zaczęła, ale Leda potrząsnęła tylko głową i rzuciła nieodgadnione spojrzenie.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – Idź, obowiązki solenizantki wzywają!

Eris skinęła głową, a gdy ruszyła u boku Ming, całym jej ciałem zawładnęło radosne podniecenie. Czowała na sobie spojrzenia wszystkich mijanych osób, które śledziły każdy jej ruch. Słyszała, jak ludzie szeptali między sobą, komentując imprezę i podziwiając jej sukienkę. Eris zerknęła na idącą sztywno Ming. Ta dziewczyna zawsze ją drażniła, bez przerwy mizdrzyła się do niej oraz Avery i we wszystkim je naśladowała. Ale rozmowa z Ledą wprawiła Eris w dziwnie wspaniałomyślny nastrój.

– Świetnie dziś wyglądasz – wskazała na luźną złotą sukienkę z cekinami.

– Mhm – mruknęła wymijająco Ming.

– Dobrze się bawisz? – zagadnęła znów Eris nieco zirytowana.

– No pewnie. A ty? – Gdy Eris kiwnęła głową, Ming się uśmiechnęła. – No cóż, to będzie noc pełna niespodzianek – rzuciła tajemniczo.

– Wiem, że Avery zaplanowała coś jeszcze! – wykrzyknęła Eris, gdy skręciły za róg. Nagle zaniemówiła. Pośrodku sali unosiła się w powietrzu ozdobiona różowym brokatem scena, na której

znajdował się wielopoziomowy tort, niemal tak wysoki jak sama Eris. Wokół niego stały Avery, Risha i Jess. Gdy platforma przepłynęła wolno obok Eris i Ming, Avery nachyliła się do nich i wciągnęła je obie na górę.

– Nie mogę w to uwierzyć! – roześmiała się Eris, zachwycona przygotowaną przez przyjaciółkę niespodzianką.

Avery tylko się uśmiechnęła i przytuliła ją mocno.

– Zasłużyłaś na to – rzekła i pchnęła lekko Eris w stronę przodu sceny, gdy wznosząc się ponad głowami gości, wleciały z powrotem do głównej sali.

Muzyka płynąca z głośników nagle ustała. W klubie zapadła cisza, a wszyscy patrzyli wyczekująco na Eris. Ona zaś miała wrażenie, że jej twarz zaraz pęknie, tak szeroko się uśmiechała.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – powiedziała do mikrofonu, a goście zaczęli głośno wiwatować na jej cześć. Czekwała, aż wrzawa przycichnie, upajając się zarazem każdą jej sekundą. – I wielkie podziękowania dla Avery za przygotowanie całej imprezy.

Avery zrobiła krok do przodu i zawołała gromkim głosem:

– Wszystkiego najlepszego, Eris!

– Później zapraszamy na afterparty! – wyskoczyła Ming i spojrzała znacząco na Eris. – Ale raczej nie do ciebie, jak się domyślam?

Pierwsza zareagowała Avery.

– Eris nie urządza dziś afterparty u siebie, ale chyba ja mogę...

– No tak, to ma sens. Tak sądziłam, że Eris nie może zaprosić nas do siebie, skoro jej tata myśli o sprzedaniu mieszkania. Moja mama jest agentką nieruchomości i właśnie ma oszacować jego wartość – ciągnęła Ming. Odwróciła się do Eris z niewinnym spojrzeniem. – Zdaje się, że jednak nie robicie remontu, jak wszystkim mówiłaś?

Eris nagle zrozumiała z przerażeniem, co się dzieje. Chodziło o Corda i uszczypliwy komentarz, jaki rzuciła w zeszłym tygodniu przed jogą, a także o wszystkie jej drobne złośliwości wobec Ming. W pewnym sensie Eris sama była sobie winna.

– No cóż, myśleliśmy o tym, ale później...

– Chciałam urządzić ci afterparty w Nuage – Ming nie pozwalała sobie przerwać – ale w recepcji powiedziano mi, że w ogóle się tam nie zatrzymałaś. – Przez tłum przeszedł szmer. Eris czuła, że się czerwieni. – Gdzie w takim razie teraz mieszkasz?

– No więc przeprowadzamy się i...

– Wszystkiego najlepszego! – Avery wyrzuciła w górę ręce, aby zapalić świece, które natychmiast rozbłysły różowymi płomykami. Znowu zabrzmiała muzyka, ale radosna atmosfera gdzieś wyparowała. Eris widziała, że wszyscy zaczęli ze sobą szeptać i sprawdzać coś na swoich szklach. Ming uruchomiła niepowstrzymaną lawinę plotek.

W kącikach oczu Eris pojawiły się łzy. Rozejrzała się po klubie, po elegancko ubranych gościach oraz unoszących się wokół drogich bąbelkach z alkoholem i nagle poczuła się jak oszustka. Jej dawne życie nie należało już do niej. Była teraz nikim i mieszkała w ciasnej, pełnej karaluchów norze trzy kilometry niżej. Nie mogła nawet wrócić do dawnego mieszkania, ponieważ tata najwyraźniej postanowił je sprzedać. Wiedziała, że zatrzymał się w Nuage, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bolesne musiały być dla niego wszystkie wspomnienia krążące niczym duchy po ich wspólnym mieszkaniu. Ogarnęło ją dojmujące poczucie straty, uświadomiła sobie bowiem, że prawdopodobnie już na zawsze utraciła rodzinny dom.

To był ostatni element jej dawnego życia, a teraz przepadł na dobre. Przestała już być Eris Dodd-Radson.

Muzyka przycichła.

– Pomyśl jakieś życzenie! – powiedziała radośnie Avery, ale Eris tylko potrząsnęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie nawet jednego słowa.

– Eris... – Avery próbowała ją zatrzymać, ale było już za późno. Eris odwróciła się i wybiegła na oślep z Bubble Lounge, nie ukrywając wcale łez, które płynęły jej strumieniami po twarzy.

LEDA

– Tutaj jesteś.

Leda podeszła szybkim krokiem do Avery, która stała sama, sącząc alkohol z jednego z bąbelków. Bijąca od niego błękitna poświata migotała na jej twarzy, podkreślając świecący w ciemnościach makijaż na ustach i powiekach, dzięki czemu Avery sprawiała wręcz niezemskie wrażenie. Taki neonowy makijaż nosiła w zasadzie większość dziewczyn z wyjątkiem Ledy. Na jej ciemniejszej od pozostałych karnacji zawsze wyglądał on idiotycznie.

– Cześć, Leda – powiedziała ze znużeniem w głosie Avery i już odwróciła się, żeby odejść.

– Poważnie? – Leda chwyciła ją za nadgarstek.

Miała już dość zachowywania się, jakby nic się nie wydarzyło. Próbowała porozmawiać z nią wcześniej, tuż po tym jak całowała się z Atlasem, a Avery przyglądała im się z przerażeniem, jednak przyjaciółka zniknęła gdzieś w tłumie. Leda musiała czekać, aż Avery zejdzie z płynącej w powietrzu platformy z tortem urodzinowym, na którą zresztą nie raczyła jej nawet zaprosić. Rany, Leda była tak zdesperowana, że zniżyła się do tego, by pójść poradzić się Eris. Nie wiedziała, co jeszcze może zrobić.

Avery zmrużyła oczy.

– Próbuje dodzwonić się do Eris, jeśli tylko dasz mi chwilę spokoju.

Leda jak oparzona puściła rękę przyjaciółki.

– Dlaczego mnie unikasz?

– Wcale cię nie unikam – odparła dziwnie spokojnym głosem Avery.

– Chodzi o Atlasa, prawda? Uważasz, że nie jestem dla niego dostatecznie dobra – Leda raczej stwierdziła, aniżeli zapytała. – Wyglądałaś na strasznie zdenerwowaną, kiedy zobaczyłaś nas razem.

Avery się wzdrygnęła. Jakby biła się z myślami, co ma powiedzieć.

– To chyba po prostu dla mnie nieco dziwne. Moja najlepsza przyjaciółka z moim bratem.

– Rozumiem, że to dla ciebie dziwne. Ale nie wydaje ci się, że trochę jednak przesadzasz? – Niecodziennosc tej sytuacji wcale nie tłumaczyła tego, że Avery ignorowała Ledę od samego początku roku szkolnego. Chodziło o coś więcej.

– Mogłaś mi przynajmniej powiedzieć, że Atlas ci się podoba.

– Najwyraźniej słusznie zrobiłam, nie mówiąc ci o tym, skoro tak zareagowałaś – warknęła z irytacją Leda.

– Po prostu nie chcę, żebyś przez niego cierpiała.

– Nie widzisz, że już cierpię?

Avery otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie żadnego słowa.

– Przepraszam – zdołała wreszcie wydusić z wyraźnym napięciem w głosie.

– Chcę tylko, żeby wszystko wróciło do normalności. – Leda wpatrywała się w twarz przyjaciółki. Zabrzmiało to okropnie, jakby ją błagała. Postanowiła jednak schować dumę do kieszeni. Tęskniła za Avery i była gotowa przeprosić ją za wszystko, byle tylko naprawić ich relacje.

– Leda – Avery westchnęła – to przecież ty zaczęłaś zachowywać się dziwnie i ukrywać przede mną różne rzeczy.

– O mój Boże – wyszeptała Leda. Teraz wszystko nabierało sensu. Avery na pewno wiedziała. – Atlas ci powiedział, tak? O Andach?

Avery zacisnęła usta i nic nie odparła. Leda tymczasem brnęła dalej, a słowa wylewały się z jej ust jedno za drugim.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. Ale ty poleciałaś już na operację do Nowego Jorku, a to stało się tylko raz. A potem Atlas zniknął i nie chciałam już tego wyciągać. – Tak dobrze było to wreszcie z siebie wyrzucić i oczyścić atmosferę między nimi.

– No tak – rzuciła z rezerwą Avery.

Leda spuściła wzrok.

– Wiem, że to głupie i takie banalne, zrobić to pierwszy raz z bratem najlepszej przyjaciółki. Między innymi dlatego nie chciałam ci o tym mówić. Tak okropnie było mi wstyd, wiesz? Myślałam, że to naprawdę coś może znaczyć. A potem on po prostu zniknął.

Avery pobladała i nie odezwała się nawet jednym słowem. Leda zaczęła odrobinę się plątać.

– Tylko że... Ja naprawdę go lubię – ciągnęła. – Nawet jeśli tobie się wydaje, że to kiepski pomysł. Chcę przynajmniej spróbować.

– Jasne – oznajmiła oschle Avery.

– Przepraszam – powtórzyła Leda. – Wiem, że powinnam była ci o tym powiedzieć. Obiecuję, żadnych więcej sekretów między nami. – „Z wyjątkiem odwyku”, dodała w myślach, ale zaraz odsunęła to na bok. Teraz nie było to istotne.

– Rozumiem, czemu mi nie powiedziałaś. – Avery skinęła wolno głową. – I chociaż czuję się z tym... trochę dziwnie – roześmiała się, ale bez cienia wesołości w głosie – to cieszę się z waszego powodu. A teraz naprawdę muszę zadzwonić do Eris. W porządku? – Odwróciła się w stronę wyjścia.

– W porządku – odrzekła cicho Leda. Miała jednak przeczucie, że jej przeprosiny, wyznanie czy też cokolwiek to było, nie przyniosły skutku. Między nią a Avery wciąż wyraźnie iskrzyło.

„To niesprawiedliwe”, pomyślała Leda z nowym przyływem goryczy. Czego jeszcze Avery od niej oczekiwała? Czy miała po prostu pogodzić się z tym, że przy niej zawsze będzie znajdować się na drugim planie? Czy miała zaakceptować to, że Avery nigdy nie pozwoli jej spotykać się z ukochanym bratem? I dlaczego w ogóle to Avery miała dyktować wszystkie warunki?

Leda stała, dysząc z gniewu. W końcu wyciągnęła z torebki białą słomkę z urodzinową inskrypcją i ruszyła poszukać bursztynowego bąbelka z whisky.

AVERY

Idąc chwiejnym krokiem przez korytarz, potknęła się o odkurzającego bota i zaklęła pod nosem. Oddychała ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna wychodzić z imprezy, którą sama zorganizowała, ale nie mogła tam dłużej wytrzymać.

Widok Atlasa całującego się z Ledą był już wystarczająco okropny. Uciekła od Watta w połowie rozmowy i schowała się w bocznej sali, gdzie zamówiła tacę z atomową wódką – potrzebowała czegoś silniejszego niż drinki z bąbelków – i wychyliła sama kilka kieliszków. Potem cała rozedrgana zwołała dziewczyny, żeby urządzić Eris niespodziankę z tortem. To skończyło się jednak kolejną katastrofą.

Ale prawdziwym ukoronowaniem wieczoru okazało się wyznanie Ledy, która powiedziała jej, że przespała się z Atlasem. Ta wiadomość sprawiła, że Avery straciła nad sobą resztki panowania.

Teraz wbiegła do spizarni i ściągnęła na dół drabinę, burząc swoją misternie ułożoną fryzurę. Pchnęła klapę i wyszła na dach, czując, że jest już niebezpiecznie blisko krawędzi.

Zbliżała się ulewa. Avery to czuła. Wiatr przybierał na sile, wyrывая ostatnie szpilki z jej włosów

i przyciskając sukienkę do jej ciała. W powietrzu unosił się zapach deszczu. Avery oparła się o barierkę. W jej głowie trwała gonitwa myśli i dziewczyna miała wrażenie, że jej czaszka zaraz pęknie.

Sokół, który przycupnął na barierce, spojrział na nią świdrującym wzrokiem. Po chwili rozłożył skrzydła i zerwał się do lotu. Avery nagle poczuła z nim dziwną więź. Z fascynacją przyglądała się, jak ptak wzbija się w niebo, skrzecząc dziko. Żałowała, że nie może poszybować razem z nim prosto w nadciągającą burzę.

– Avery? – rozległ się za nią głos Atlasa.

Z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że zostawiła otwartą klapę. Ale jej strach z miejsca ustąpił przedziwnemu uczuciu ulgi, że Atlas nie poszedł jednak z Ledą do jej domu.

– Co to za miejsce? – spytał, podchodząc do Avery chwiejnym krokiem.

– Dach.

Atlas skinął głową. Brak jakiejkolwiek reakcji na sarkazm Avery stanowił najlepszy dowód na to, jak bardzo był pijany.

– Powinniśmy zejść na dół.

– To zejdź. Mnie się tu podoba.

Atlas rzucił siostrze zdziwione spojrzenie.

– Chwila – rzekł wolno – byłaś tu już wcześniej?

Avery nie odpowiedziała, wpatrywała się tylko w ciemną linię horyzontu w oddali.

– Jak tu trafiłaś, Avery?

– Po prostu trafiłam i już – wzruszyła ramionami. Wciąż była na niego zła, że przespał się z Ledą, choć wiedziała, że jest wobec niego niesprawiedliwa.

– Trzeba wezwać ochronę, żeby to zaplombowała.

Avery odwróciła się do brata w przypiływie paniki.

– Nie możesz tego zrobić! Wtedy nie będę miała dokąd pójść!

– Jak to nie będziesz miała dokąd pójść? – Atlas stanął obok niej przy barierce, a gdy zobaczył, jak wysoko się znajdują, przez jego twarz przemknął cień strachu. – Masz mnóstwo miejsc, do których możesz iść.

– Tak, ale tylko tutaj mogę naprawdę oczyścić umysł. – Wpatrywała się zawzięcie w rozciągający się poniżej mrok i starała się nie rozplakać. Ten dach był wszystkim, co jej pozostało. Straciła już Ledę, straciła też Atlasa, a teraz miała jeszcze utracić jedyne miejsce, w którym mogła się skryć.

– Dobrze się czujesz, Aves?

– Nic mi nie jest – warknęła.

– Avery. – Atlas wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia. – Co się dzieje?

– Leda mi powiedziała – oznajmiła beznamiętnie, ze wzrokiem wciąż odwróconym od brata. Wiedziała, że nie powinna o tym mówić, ale nie mogła się powstrzymać. – O tym, co się stało w zeszłym roku w Andach.

Atlas milczał przez chwilę.

– Przepraszam, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej – odparł, używając prawie dokładnie tych samych słów co Leda. Absurdalność całej tej sytuacji sprawiała, że Avery miała ochotę wybuchnąć śmiechem. – Zdaję sobie sprawę, że to twoja najbliższa przyjaciółka – ciągnął Atlas, przyglądając się siostrze. Mówił bardzo powoli, jakby dobierał słowa z największą ostrożnością. Musiał być bardziej pijany, niż na to wyglądał.

– Nie poszedłeś jednak z nią dzisiaj do domu – zauważyła.

– Nie, nie poszedłem.

– Kochasz ją? – wypaliła Avery. Bała się odpowiedzi, ale po prostu musiała ją usłyszeć.

Znów zapadło milczenie. W ciemnościach Avery nie mogła dojrzeć dokładnie twarzy brata.

– Nie... – zaczął i urwał. Avery zastanawiała się, czy chciał powiedzieć, że nie kocha Ledy, czy też że tego nie wie.

– Jak mogłeś? – wyszeptała.

Atlas odwrócił się do niej. Jego twarz na tle ciemnego nieba wydawała się kompletnie nieodgadniona.

Nagle pochylił się i ją pocałował.

Avery zamarła, ledwo ośmielając się oddychać. Dotyk ust Atlasa był nieśmiały, niepewny i lekki jak piórko. Przymknęła oczy, a pocałunek przyprawił ją o dreszcz rozkoszy. Miała wrażenie, że wszystkie włosy jej się zjeżyły, a całe ciało naładowane jest elektrycznością, jakby było pod napięciem. Chciała objąć Atlasa ramionami, przyciągnąć go do siebie i już nigdy nie puścić. Nie odważyła się jednak poruszyć, przerażona, że mogłaby przerwać tę cudowną chwilę.

W końcu Atlas sam się odsunął.

– Dobranoc, Aves – powiedział, po czym zszedł po drabinie i zniknął w mieszkaniu.

Avery stała zupełnie oszołomiona. Czy to naprawdę się wydarzyło? Zaciśnęła mocno dłonie na barierce, czując, że kręci jej się w głowie.

Z nieba lunął deszcz. Krople były tak zimne, że wręcz kłuły ją w twarz. Ale ona nie mogła się ruszyć. Stała tam niczym żywy piorunochron, burza wokół niej się wzmagала, a Avery stała jak wrośnięta w ziemię, w zdumieniu dotykając palcami warg.

Stojąc w ostatnim wagoniku kolejki Ifty, Rylin trzymała się mocno metalowej poręczy nad głową. Pociąg zatrzymał się na stacji Bedton. Im wyżej, tym Wieża stawała się węższa, więc w przeciwieństwie do piętra Corda, które składało się zaledwie z kilku kwartałów, 32 piętro było ogromne. Rozciągało się na całą szerokość podstawy Wieży, od 42 Ulicy aż do 145, od East Avenue aż do Jersey Highway na zachodzie. Hiral mieszkał na tym samym piętrze co Rylin, ale prawie trzydzieści przecznic dalej, czyli przynajmniej piętnaście minut jazdy kolejką.

Do wagonika wsiadła grupka rozchichotanych dwunastolatek, więc Rylin podkręciła głośniejszą muzykę. Musiała się zastanowić. Miała zupełny mętlik w głowie. Wszystkie wydarzenia, począwszy od wczorajszego ranka, wymieszały się ze sobą, ale z tej bezładnej płątaniny udało jej się wydobyć jeden zasadniczy wątek.

Nie kochała już Hirała.

I to od dłuższego czasu. Może nawet nigdy go nie kochała. Dawniej myślała, że go kocha, ale to było jeszcze w bardzo odległych czasach, gdy równie silne uczucie miłości wywoływał w nich smak hamburgerów, strachem zaś napełniała wyłącznie perspektywa szkolnego sprawdzianu. Największym zmartwieniem był wtedy psujący się regulator powietrza w mieszkaniu Rylin – Hiral wszedł do przewodu wentylacyjnego, żeby go naprawić – albo to, że Hiral zapomniał o urodzinach brata, i Rylin w ostatniej chwili pomogła mu upiec tort. Działo się to jeszcze przed śmiercią mamy Rylin, po której oboje zrobili się znacznie bardziej zahartowani i wyzbyci złudzeń.

Wczoraj w nocy po powrocie z Paryża Rylin natychmiast poszła do łóżka. Po raz pierwszy od dawna chrapanie Chrissy nawet nie przeszkadzało jej w zaśnięciu. Gdy obudziła się rano, siostra wyszła już na trening siatkówki, w tosterze czekał bajgiel z bekonem, a w ekspresie świeżo zaparzony dzbanek kawy. Rylin siedziała przez chwilę przy stole w kuchni, wyskubując, jak miała w zwyczaju, kawałki bekonu z bajgla i rozmyślając nad tym, co się wczoraj wydarzyło. Wreszcie wstała z westchnieniem i się ubrała.

Po tych wszystkich latach zamierzała dziś zerwać z Hiralem. Pomimo to nie czuła wyrzutów sumienia ani też nadmiernego smutku. Jedyne ulgę i pewną nostalgię za tym, jak było kiedyś. Wiedziała, że Hiral nie przyjmie tego zbyt dobrze. Nie lubił zmian i nie miałby nic przeciwko, gdyby zostali ze sobą na zawsze, choćby z czystego lenistwa. Ale w końcu i tak pewnie się z tym pogodzi, prawda?

Kolejka znów zwolniła przed przystankiem i Rylin zakołysała się lekko, bawiąc się naszyjnikami z wieżą Eiffla. Nie do końca rozumiała, co działo się między nią a Cordem, ale cokolwiek to było, chciała się przekonać, dokąd ją to zaprowadzi. Sama była zdziwiona, jak dobrze bawiła się wczoraj w jego towarzystwie. Oczywiście Paryż był zachwycający, ale chodziło o coś więcej: o to, że była tam razem z Cordem.

Wyjęła masywny szary tablet MacBash i próbowała znów dodzwonić się do Hirała, ale on wciąż nie odbierał. „Wstałeś już? Jadę do Ciebie”, napisała, przygryzając ze zdenerwowania wargę. Myślała, że może poczeka z tym do popołudnia, może nawet do jutra. Ale gdy podjęła już jakąś decyzję, nie lubiła odkładać jej wykonania. Jak mawiała jej mama, lepiej zrobić coś teraz niż później.

Wysiadła na przystanku Niale znajdującym się najbliżej mieszkania rodziny Hirała. Większość sklepów ciągnących się wzdłuż ulicy była jeszcze zamknięta: mieściły się tam głównie oświetlone neonami sklepy monopolowe, duże ciucholandy i lombardy, w piwnicach których – o czym wszyscy dobrze wiedzieli – leżały spore zapasy kradzionego holosprzętu. Bezpański kot sikał na drzwi. Zwierzęta domowe można było trzymać w Wieży tylko za specjalnym pozwoleniem, a takie pozwolenia były drogie. Lecz chociaż Nadzór do spraw Zwierząt bardzo się starał je przepędzić, koty zawsze tu wracały. Pewnego razu Chrissa przyniosła do domu jasnorudego kotka z żebrami wystającymi spod potarganego futra. Mama pozwoliła, żeby Chrissa go nakarmiła, ale w nocy Rylin przyłapała mamę, jak wypychała kociaka przez frontowe drzwi na ulicę.

– Nie możemy sobie pozwolić na zwierzaka – wyjaśniła dziesięcioletniej wówczas Rylin, która tylko skinęła głową. Rano obie powiedziały Chrissie, że kotek uciekł.

Idąc z opuszczoną głową, Rylin skręciła w prawo, w ulicę, przy której mieszkał Hiral. Minał ją jakiś robotnik, zapewne pracujący przy konserwacji Wieży na górnych piętrach. Można to było rozpoznać po wykrochmalonym kombinezonie i szklistym, zmęczonym spojrzeniu.

– Rylin! – Drzwi otworzyła Davi, mama Hirała. Jej szeroka twarz rozjaśniła się w uśmiechu. – Wejść do środka.

Rylin przestąpiła z nogi na nogę.

– Zastanawiałam się, czy...

– Hiral! – wrzasnęła Davi, choć wcale nie musiała. Mieszkanie było niewiele większe od tego wynajmowanego przez Rylin, a gnieździło się w nim dwa razy więcej osób. Sandeep, starszy brat Hirała, wyprowadził się dopiero w zeszłym roku, ale Hiral wciąż dzielił pokój z młodszym od siebie Dhruvem, który chodził z Rylin do klasy, zanim rzuciła szkołę.

– Chłopcy chyba jeszcze śpią – zwróciła się do niej Davi. – Zrobić ci tymczasem śniadanie?

– Nie, dziękuję – odparła szybko Rylin.

– To może chociaż herbaty? – spytała Davi tonem nieznoszącym sprzeciwu. Położyła ręce na ramionach Rylin i siłą skierowała ją do kuchni. Na całej lodówce wisały rodzinne instafotografie. Wzrok Rylin przykuło zdjęcie przedstawiające ją i Hirała na balu w ósmej klasie, kiedy oboje chodzili jeszcze na takie sztywniackie imprezy. W jasnozielonej sukience, podkreślającej kolor jej oczu, stała, obejmując Hirała, którego twarz była znacznie bardziej okrągła i chłopięca niż teraz. Rylin zapomniała już o tym balu i o tym zdjęciu. Kiedy ostatnio była w mieszkaniu Karadjanów? Zawsze gdy spędzała czas z Hiralem, umawiali się gdzie indziej.

– Dawno cię nie widziałam – powiedziała cicho Davi, jakby czytała Rylin w myślach. – Co u ciebie

słysząc? Jak się miewa twoja siostra?

– U nas wszystko w porządku. – Hiral mógłby się trochę pośpieszyć. Ona przysłała z nim zerwać, a tymczasem jego mama jest dla niej tak cholernie miła.

– Wiesz, że zawsze możesz do mnie przyjść, gdybyś czegoś potrzebowała. – Davi włożyła kubek gorącej herbaty w dłoń Rylin.

– Ja...

– Ry? – Hiral wszedł do kuchni ubrany tylko w czarne polarowe spodnie dresowe, które kupiła mu w zeszłym roku. – Co słysząc?

– Ile razy ci mówiłam, żebyś przy gościach wkładał chociaż koszulkę?! – wykrzyknęła Davi.

– Przecież Rylin nie jest gościem – zaprotestował chłopak.

– Chciałbyś może wybrać się na spacer? – wtrąciła Rylin, zanim mama Hirała zdążyła odpowiedzieć.

Nie zamierzała załatwiać tego tutaj.

– Jasne. – Hiral wzruszył ramionami. – Tylko włożę coś na siebie.

Kiedy przeszli razem do wąskiego korytarzyka, rozległo się gwałtowne walenie do drzwi wejściowych.

– Policja! – krzyknął ktoś niskim głosem, nie przerywając łomotania.

– Wracajcie! – syknęła mama Hirała, odpychając ich oboje na bok. Rylin zerknęła na chłopaka: był całkiem szary na twarzy.

Davi otworzyła drzwi.

– W czym mogę panom pomóc? – spytała, stając wyprostowana w drzwiach, tak aby zasłonić sobą Rylin i Hirała.

– Szukamy Hirała Karadjana. Jest w domu? – Dwaj policjanci stanęli w progu i wyciągnęli szyje, usiłując zajrzeć do środka.

– Przepraszam, ale o co...

– Mamy nakaz jego aresztowania.

Z głębi gardła Rylin wydobył się zdławiony dźwięk. Hiral rzucił jej wystraszone spojrzenie, ale było już za późno. Policjanci wtargnęli do mieszkania i odcięli drogę ucieczki.

– Hiralu Karadjanie, jesteś aresztowany za posiadanie i handel zabronionymi substancjami. Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie... – policjant mówił szorstkim głosem. Jego partner machnął nakazem rewizji i wpadł do pokoju Hirała, gdzie zaspany Dhruv próbował zaprotestować przeciwko najściu. Gliniarz zignorował go i zaczął przewracać meble, podnosić materace, przeszukiwać szuflady. Rylin wiedziała, że niczego tam nie znajdzie. Nie miała wprawdzie pojęcia, gdzie Hiral trzymał swój zapas narkotyków, ale nie był na tyle głupi, żeby ukrywać

go w domu.

Davi stała z boku, całkiem załamana. Dhruv podszedł do Rylin, a ona dla dodania otuchy ścisnęła jego dłonie. Nie mogła oderwać wzroku od Hirala. Górną wargę unosił w szyderczym uśmiechu, nagie ramiona miał naprężone, a ręce skute z tyłu w nadgarstkach magnetycznymi kajdankami. W jego oczach czaiło się jednak coś wprost przerażającego.

Rylin, drżąc na całym ciele, patrzyła, jak policjanci wyprowadzają Hirala na zewnątrz.

– I co teraz zrobimy? – zwrócił się do niej Dhruv.

– Nie wiem – szepnęła. Teraz niczego już nie była pewna.

LEDA

Stojąc przed drzwiami do mieszkania Fullerów, Leda zastanawiała się, czy powinna nacisnąć dzwonek, czy też po prostu od razu wejść. Gdyby przyszła tu spotkać się z Avery, już byłaby w środku. Przyjaciółka dawno temu dodała skan siatkówki jej oka do listy stałych gości. Ale tym razem Leda chciała spotkać się z Atlasem.

Postanowiła jednak nacisnąć dzwonek i poprawiła przełożoną przez przedramię kurtkę. Atlas narzucił ją wczoraj Ledzie na ramiona, bo trzęsa się z zimna, gdy wracali hoverem z Bubble Lounge. Wydawało się, że to dobry znak do czasu, aż pojazd zatrzymał się przed jej mieszkaniem, a Atlas pożegnał się z nią, nie dając jej szansy na zaproszenie go do środka. Nie próbował jej nawet pocałować.

Może jednak wcale jej nie lubił, głos zwątpienia odezwał się w głowie Ledy. Może lubił jakąś inną dziewczynę. W końcu to sama Leda zainicjowała wczoraj ich pocałunek. Chociaż on dość chętnie go odwzajemnił.

Leda jednak cieszyła się, że Atlas nie upomniał się o zwrot swojej kurtki. To był idealny pretekst, żeby się z nim zobaczyć.

Wciąż nikt nie odpowiadał na dzwonek. Leda z westchnieniem popatrzyła do góry w skaner i drzwi natychmiast się przed nią otworzyły.

– Atlas? – zawołała, wchodząc do olbrzymiego korytarza. Mimowolnie spojrzała na lustrzane ściany, którymi podążało za nią jej odbicie. W zwykłej kopertowej sukience, sandałach gladiatorkach, ze starannie ułożonymi włosami i nienagannym makijażem wyglądała bardzo seksownie.

– Leda? – Z kuchni wyszła Avery w zrobionym na drutach szlafroku z monogramem, pantoflach z alpaki oraz burzą blond włosów wokół nieskazitelnej twarzy. Ledę ogarnęła irytacja: ona włożyła tyle pracy w to, żeby się rano wystroić, a tymczasem Avery i tak wyglądała lepiej od niej, nawet się nie starając.

– Cześć – przywitała się z rezerwą. Nie była pewna, jakie reguły teraz obowiązują między nimi.

– Wcześniej wstałaś – zauważyła Avery, patrząc krytycznie na swój szlafrok i kapcie. – A może to ja po prostu ruszam się jak mucha w smole.

– To była świetna impreza – oznajmiła sztywno Leda.

– Dzięki. – Avery przesunęła puchatym kapciem po podłodze. – A w ogóle miałam ci powiedzieć, że bardzo podobała mi się twoja sukienka. Nowa?

– Uhm.

„O mój Boże – pomyślała Leda – rozmawiamy jak dwie kompletnie obce sobie osoby”. Czy od teraz tak to już będzie wyglądać? Będziemy wygłaszać tylko wymuszone grzecznościowe uwagi? To już lepiej byłoby w ogóle nie rozmawiać.

Obie stały, patrząc na siebie z osobliwym skrepowaniem. Leda uświadomiła sobie, że odkąd zaczęła się szkoła, jeszcze ani razu nie była w tym mieszkaniu. Normalnie przesiadywała tutaj cały czas, traktowała to miejsce jak własny dom i bez pytania wyjadała różne rzeczy z lodówki. A teraz bez zaproszenia nawet nie usiadłaby na kanapie.

– Może usiądziesz? – zaproponowała Avery, jakby czytając jej w myślach. Rozpoznała kurtkę Atlasa.

– Dziękuję – odparła natychmiast Leda. – Szukam tylko Atlasa.

– Mogę mu ją przekazać. – Avery wyciągnęła rękę po kurtkę, ale Leda zrobiła krok w tył i przycisnęła ją mocno do siebie.

– Prawdę mówiąc, chciałam...

– Leda? – W korytarzu pojawił się Atlas. Wyglądał na zdecydowanie bardziej skacowanego niż Avery. Miał przekrwione oczy, pobladłą twarz, kilkudniowy zarost, a w dodatku wciąż był ubrany w wymiętą białą koszulę z wczorajszej imprezy, choć zdążył włożyć czerwone, siatkowane szorty sportowe. Leda poczuła dziwną ulgę. Z pewnością to właśnie było powodem, dla którego niczego z nią wczoraj nie próbował: był tak wstawiony, że musiał pojechać do domu.

– Hej – rzucił, nie zwracając w ogóle uwagi na Avery – co za odjechana impreza, nie?

– Nawet mi nie przypominaj. – Gdy Atlas podszedł bliżej, Leda dostrzegła na kołnierzyku jego koszuli ledwo widoczny w porannym świetle, lecz niepozostawiający żadnych wątpliwości charakterystyczny blask neonowego makijażu.

Nagle wszystko wokół niej zawirowało. Atlas całował się wczoraj na imprezie z kimś jeszcze. Bo jak inaczej wytłumaczyć ślad tego paskudnego makijażu na jego koszuli?

– W każdym razie chciałam ci to tylko oddać. – Rzuciła Atlasowi kurtkę, zadowolona, że udało jej się zachować spokojny ton.

– Dzięki. – Chłopak, wyraźnie zaskoczony, złapał kurtkę w powietrzu. – Hm, no więc...

– Muszę już lecieć – dodała szybko Leda. – Do zobaczenia.

Avery i Atlas zawołali do niej „cześć”, ale Leda była już w drodze do drzwi. Starła się patrzeć prosto przed siebie, unikając poruszających się wraz z nią lustrzanych odbić, które przypominały jej o tym, jaka była żalosna, strojąc się dla chłopaka, któremu nawet na niej nie zależało, a na koszuli miał rozmazany makijaż innej dziewczyny.

– Do Nadii – mruknęła, gdy wsiadła do windy i zaczęła dyktować nową wiadomość. – Wydaje mi się, że Atlas był wczoraj w nocy z jakąś dziewczyną. Chcę wiedzieć, kim ona jest.

„Jak sobie życzysz”, odpisała hakerka. Chwilę później dodała: „Ale jeśli mam zhakować kogoś innego poza Atlasem, będzie Cię to kosztować ekstra”.

– Coś ci powiem. Jeśli dowiesz się, kto to był, zwiększę twoją normalną stawkę czterokrotnie – warknęła w odpowiedzi.

Drzwi windy się otworzyły i Leda wymaszerowała z niej żwawym krokiem, od razu czując się odrobinę lepiej. Nie było takiego problemu, którego nie potrafiłaby rozwiązać.

Z wyjątkiem Atlasa.

Nie zamierzała jednak poddać się bez walki.

AVERY

Przyglądała się, jak jej najlepsza przyjaciółka wychodzi. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, że nie powinna pozwolić, by rozstawały się w ten sposób, ale nie potrafiła jasno myśleć, tak była skupiona na Atlasie. Przez cały rano wypatrywała, czy brat się już obudził, jej ciało przenikało ekscytujące uczucie niecierpliwego oczekiwania. Z trudem powstrzymywała się, by nie wbiec do jego pokoju i nie wskoczyć na jego łóżko, jak zwykła robić w każdy bożonarodzeniowy poranek.

W głowie ciągle odtwarzała ich wczorajszy pocałunek na dachu. A poza tym przepełniały ją rozmaite pytania. Jak mają się teraz zachowywać po tym, co się wczoraj wydarzyło? Co powiedzą Ledzie? Co zrobią z rodzicami?

– Atlas? – odezwała się ostrożnie, nie bardzo wiedząc, jak to ująć, i nagle zorientowała się, że on wcale na nią nie patrzy. Jego wzrok skupiony był na frontowych drzwiach, za którymi przed chwilą zniknęła Leda.

– Tak? – Atlas odwrócił się powoli.

Avery czuła się trochę zdezorientowana. Dlaczego nie uśmiechał się do niej, skoro zostali wreszcie sami?

– Tak się zastanawiałam... czy...

Z kuchni dobiegł sygnał oznaczający dostawę jedzenia. Nim Avery zdążyła się obejrzeć, Atlas ruszył w tamtym kierunku i nawet na nią nie spojrzął. Poszła za nim nieco przygnębiona, a on sięgnął po pudełko, które zostało przed chwilą przysłane z ich ulubionej piekarni.

– Moment. Zamawiałeś coś z Bakehouse?

– Tak. Masz ochotę? – spytał, a Avery potrząsnęła głową.

Nie do wiary. To ona przez cały rano krąży nerwowo po pokoju, a serce omal nie wyskoczy jej z piersi, a on w tym czasie wyleguje się w łóżku i zamawia sobie gofry?

– Przepraszam. O co chciałaś mnie zapytać?

– Och... ja... – Ogarnął ją straszliwy niepokój. Nie potrafiła tego zrobić. – Nieważne – powiedziała, starając się zbagatelizować całą sprawę.

Wszystko było nie tak. Avery miała ochotę krzyczeć. Rozpuściła tabletkę nawadniającą w szklance soku pomarańczowego, żeby tylko mieć się czym zająć.

– Czy ja też mogę poprosić? – zapytał po chwili z zakłopotaniem Atlas. Bez słowa rzuciła mu buteleczkę. – Dzięki – odparł i zaaplikował sobie kilka tabletek. – Boże, ale jestem skacowany.

– To była szalona noc, co nie? – Avery miała nadzieję, że w ten sposób go sprowokuje. Nie mogła uwierzyć, że brat udaje, jakby nigdy między nimi nie doszło do pocałunku.

– Urządzasz świetne imprezy, Aves. – Mikrofalówka zabrzęczała, a Atlas wyjął z niej gofry i polał je syropem. Wciąż starał się nie patrzeć Avery w oczy. – Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się upiłem. Te bąbelki z whisky... – Pokręcił głową i ugryzł duży kęs gofra. – Rany, ale mam kaca – powtórzył.

– Ja też – przyznała, nie wiedząc, jak się zachować. O co tu chodzi? Atlas po prostu siedział przy blacie i jadł śniadanie, jakby to był zwykły rano, jakby wczoraj w nocy w ogóle się nie pocałowali. Jakby ziemia nie zadrżała nagle w posadach, a konstrukcja całego świata Avery nie uległa nieodwracalnej przemianie.

Czy Atlas naprawdę mógł być aż tak pijany, że nie pamiętał, co się stało? Albo jeszcze gorzej, może udawał, że do niczego nie doszło, ponieważ ten pocałunek nic dla niego nie znaczył, a teraz nawet go żałował?

– Avery? Dostałaś przesyłkę. – Sarah, ich służąca, stała w drzwiach, trzymając w ramionach metalową donicę z kwiatami. Avery natychmiast zerknęła na Atlasa, zastanawiając się, czy to on je wysłał. Może tylko zachowywał się tak dla niepoznaki, żeby utrzymać tę niespodziankę w tajemnicy, a kwiatami chciał wyrazić to, co naprawdę czuje.

Avery podeszła do Sarah, trzymając szlafrok szczelnie owinięty wokół ciała, i spomiędzy kwiatów wyciągnęła gruby kremowy kartonik. „Avery” – widniało napisane na froncie staroświeckim, ozdobnym charakterem pisma. „Oczywiście”, pomyślała z lekkim dreszczykiem podniecenia, Atlas zapamiętał, jaki

jest jej ulubiony styl pisma. Skrywając uśmiech, otwarała liścik.

Ale jak się okazało, nie przysłał go Atlas. „Trochę długich korzeni do Twojej szklarni, Watt”, brzmiała jego treść.

Watt? Avery wpatrywała się zdumiona w to imię. Przypomniała sobie ich wczorajszą rozmowę. Kim w ogóle był ten chłopak i dlaczego tak mało o nim wiedziała? Schowała twarz w bukietach, aby ukryć zmieszanie, i zaciągnęła się głęboko zapachem kwiatów. Był upajający, delikatny i zwiewny. Avery uświadomiła sobie, że kwiaty zostały starannie dobrane, były tam łyszczec i piwonie, a pośrodku tkwiła samotna biała róża. Same kwiaty z długimi korzeniami. A szeroka i głęboka donica wypełniona była ziemią. Te kwiaty nie były cięte, lecz wciąż rosły i Avery, jeśli miała ochotę, mogła je przesadzić na jakąś rabatę.

Watt najwyraźniej włożył wiele wysiłku w obmyślenie tego prezentu. Mimo wszystko czuła się wzruszona.

– Mam je zanieść do twojego pokoju? – spytała Sarah.

– A może postawimy je tutaj, na stole w kuchni? – zaproponowała Avery, nie spuszczać wzroku z brata. Miała nadzieję, że kwiaty wywołają u niego jakąś reakcję: zazdrość, a przynajmniej zaniepokojenie. Ale on tylko zajadał gofra, nawet nie patrząc w ich kierunku. – Atlas, co o nich myślisz? – dopytywała zirytowana.

– Wyglądają super.

Nie zainteresował się nawet, kto je przysłał. Czując ukłucie w sercu, Avery oparła się łokciami o stół i przyjrzała swoim nowym kwiatom. Wydawały się takie piękne, ale pomyślała ponuro, że wszystkie są skazane na śmierć, ponieważ ich drobniutkie korzenie zdołają przebić się przez nieprzejezdne dno donicy.

Avery ułamała łyżkę łyszczca i wsunęła ją do kieszeni szlafroka, po czym poszła do swojego pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

ERIS

Z małym koszykiem na zakupy przewieszonym przez ramię stała w kolejce do sklepu na rogu. W ręce ścisnęła plik kuponów na błyszczącym, tanim instapapierze charakterystycznym dla niższych pięter. Mama przelała jej na konto trochę nanodolarów, żeby mogła kupić coś na kolację. Caroline wychodziła dziś spotkać się „z kimś bardzo ważnym”, jak sama powiedziała, dlatego po raz pierwszy od tygodni włożyła wyprasowaną białą bluzkę, a do tego perły. Eris zastanawiała się przez chwilę, czy tą ważną osobą nie jest czasem Everett. Nie żeby jakoś szczególnie ją obchodził. Poza tym doszła do wniosku, że to pewnie raczej jakaś rozmowa w sprawie pracy, i przestała się tym dłużej interesować.

Z drugiej strony oznaczało to, że będzie dziś mieć mieszkanie tylko dla siebie i nie będzie musiała siedzieć naprzeciwko mamy przy małym stoliku, zderzając się z nią co chwila kolanami, i jeść w milczeniu bulionu warzywnego z kluskami.

Eris spędzała ostatnio sporo czasu sama. Od czasu katastrofalnej imprezy urodzinowej, kiedy to wszyscy dowiedzieli się, że jest biedna, czuła się porzucona i osamotniona. Oczywiście jej znajomi powtarzali, że wszystko jest w porządku, następnego dnia przysłali jej pełne wsparcia wiadomości i nadal spędzali z nią czas w szkole, wypytujac stale, czy czegoś nie potrzebuje. Eris jednak niespecjalnie im wierzyła. Przyjaźń z Avery na jakiś czas chroniła ją przed najgorszym, ale idąc szkolnym korytarzem i tak czuła, że o niej szepczą i śledzą wzrokiem każdy jej krok. Słyszała, jak ludzie rozmawiają pełnym współczucia tonem o tym, jak musi jej być ciężko, mimo że wielu z nich – o czym Eris dobrze wiedziała – zapewne z radością obserwowało jej upadek.

Przez ostatni tydzień Eris codziennie wracała ze szkoły prosto do domu i po raz pierwszy od dawna naprawdę odrabiała zadania – nie miała przecież nic lepszego do roboty – a potem wcześniej kładła się spać i długo leżała w łóżku, wpatrując się w ciemność. A kiedy już w końcu zasypiała, w jej snach roilo się od zamkniętych pokoi i desperackich uciezek niekończącymi się, mrocznymi korytarzami. W niczym nie przypominało to snów o lataniu i fantazji w technikolorze, jakie niegdyś ładowała sobie na dreamweavera.

W sumie miała za sobą dość podły tydzień. Żałowała, że nie ma nikogo poza Avery, z kim mogłaby się umówić. Gdyby nadal spotykali się z Cordem, mogłaby przynajmniej zaszyć się w jego mieszkaniu. Za każdym razem gdy wracała do domu, przystawała przy mieszkaniu Mariel, ale tylko wzdychała i szła dalej. Biorąc pod uwagę, w jakich okolicznościach uciekła od niej przed dwoma tygodniami, nie potrafiła tak po prostu zapukać do jej drzwi i zapytać, czy Mariel znalazłaby dla niej czas.

Przestąpiła ze zniecierpliwieniem z nogi na nogę. Na wyższych piętrach wszystko działo się o wiele szybciej, roboty skanowały po prostu zakupy i w ciągu kilku sekund pobierały za nie opłatę za pośrednictwem łącza ze szklami, a potem do domu dostarczały je drony. Ale jak nie raz miała okazję się przekonać, tu na dole nic nie działo się szybko ani nie było w takim samym stopniu zautomatyzowane.

Wreszcie Eris podeszła do kasy i siwowłosa leciwa kasjerka zaczęła skanować jej zakupy przestarzałym ręcznym skanerem. Eris rozejrzała się wokół, jej wzrok przesunął się przez zakurzoną gablotę z serami oraz buczący głośno dozownik z masłem orzechowym na pracującą przy sąsiedniej kasie dziewczynę: miała długie, związane w warkocze włosy w kolorze piasku oraz duże, smutne oczy. Wyglądała najwyżej na trzynaście lat.

– To będzie sześćdziesiąt dwa dolary i dwadzieścia sześć centów – wyrecytowała monotonnym głosem kasjerka. Eris wyjęła z torby tablet, żeby przesunąć nim po skanerze, ale urządzenie wydało z siebie groźne piknięcie. – Wygląda na to, że transakcja została odrzucona – oznajmiła kasjerka

z rosnącą irytacją. – Ma pani inne konto, którego może użyć?

– Och, hm... – Eris spuściła wzrok, a jej palce szybko przesuwały się po ekranie, przywołując stan konta. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Na koncie miała niecałe pięćdziesiąt nanosów. Jak to, u diabła, się stało? – Przepraszam – wymamrotała, czerwieniąc się na twarzy. – Wyjmę tylko kilka rzeczy i wtedy będzie pani mogła podliczyć na nowo. – W kolejce za jej plecami rozległy się pomruki niezadowolenia, a ona marzyła tylko o tym, żeby zapaść się pod ziemię.

Zostawiła megakluski i makaron z sosem, zawahała się natomiast, czy oddać kurczaka czy lody czekoladowo-limonkowe w rożku. W końcu z cichym westchnieniem porażki odłożyła na bok lody.

– Teraz powinno wystarczyć – powiedziała, gdy tymczasem czyjaś ręka zza jej pleców sięgnęła po lody w rożku.

– Wiesz, że kiedy robisz zakupy, możesz sumować ceny. – Mariel przewróciła oczami. – A jeśli nie potrafisz dodawać, jest do tego specjalny program na tablecie.

– Hej – przywitała się cicho Eris, niezdziwiona jej obecnością. – Jak leci? – Transakcja została tym razem zaakceptowana, wzięła więc swoje torby z zakupami i stanęła obok, czekając, aż kasjerka zeskanuje kilka rzeczy Mariel.

– Jakby cię to obchodziło. – Mariel zbliżyła tablet do skanera i rzuciła Eris lody. – Trzymaj.

– W porządku, nie musiałaś tego robić. – Eris nieco skonsternowana pomaszerowała za sąsiadką korytarzem. Nie zdawała sobie sprawy, że Mariel zamierza kupić te lody dla niej.

– Musiałam. Miałaś taką zbolalą minę. – Mariel wzruszyła ramionami. – Uznaj to za spóźniony prezent urodzinowy. Widziałam na feedach, że świętowałaś w ubiegły weekend.

Eris poczuła ukłucie wstydu.

– Słuchaj, ja nie...

– Daj spokój. Nic mi nie jesteś winna.

– Przepraszam!

Kilka głów obróciło się z zaciekawieniem w ich stronę i Eris zniżyła głos.

– Przepraszam – powtórzyła, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Nie przywykła do przeproszania. – To, co zrobiłam, było podłe. To był dla mnie ciężki miesiąc. Nie chciałam... – zamilkła bezradnie. – W każdym razie bardzo mi przykro. I dziękuję za lody.

– Nie ma sprawy. – Stały przed drzwiami do mieszkania Mariel.

Pchnęła je biodrem – były otwarte – i weszła do środka.

– Zaczekaj! – Eris nie znosiła błagać, ale skoro już tu była, to w końcu co jej szkodziło zapytać. – Chcesz, żebyśmy zrobiły coś razem dziś wieczorem?

Mariel zaśmiała się ponuro.

– Wybacz, Eris, ale nie mogę lecieć na każde twoje skinienie, gdy tylko najdzie cię na mnie ochota.

– Ale jako przyjaciółki. – Eris starała się nie brzmieć zanadto prosząco. – Po prostu... nie znam tu nikogo więcej. Czuję się trochę samotna.

– Mam już plany na dziś wieczór. I nie mam na myśli imprezy – odparła Mariel, ale jej głos nieco złagodniał. Czyżby Eris poruszyła w niej jakąś czułą strunę?

– Mogę wpaść?

Mariel przyjrzała się jej uważnie spod uniesionych brwi.

– Nie jesz lodów.

– Słucham?

Mariel wzięła lody z ręki Eris, zerwała z nich wieszko, a potem wsadziła do środka pomalowany na czerwono paznokciec i nabrała odrobinę na palec.

– Mmm. Czekoladowo-limonkowe. Doskonały wybór. I tak – dodała, gdy Eris otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć – możesz przyjść. Ale jeśli już przyjdiesz, to nie ma żadnego wymykania się chyłkiem. I żadnego picia wina.

– A więc jednak będzie impreza – stwierdziła triumfalnie Eris.

Mariel tylko się roześmiała i nic nie odrzekła.

– Przyprowadziłaś mnie do kościoła? – syknęła Eris, stając przed masywnymi rzeźbionymi w drewnie drzwiami katedry Świętego Pawła. – Wiesz chyba, że jest piątek?

– Moja mama pracuje w weekendy, więc zamiast w niedzielę rano zawsze chodzimy do kościoła w piątek wieczorem. – Mariel odwróciła się do Eris. – Jeśli chcesz, możesz wrócić.

Eris się zawahała. Nie były wcale tak daleko od domu. Nigdy nawet nie zauważyła tego kościoła, choć znajdował się zaledwie dziesięć przecznic od ich ulicy.

– Nie – zdecydowała.

– Ale bez wymykania się chyłkiem – przypomniała Mariel i pchnęła ciężkie drzwi. Tuż przy wejściu zanurzyła dłoń w wodzie święconej. Gdy Eris przeszła obojętnie obok marmurowej chrzcielnicy, Mariel westchnęła i wtarła kciukiem kilka kropel w czoło przyjaciółki. Eris stała nieruchomo.

Następnie podążyła za Mariel boczną nawą i weszła za nią do ławki, gdzie siedzieli już para w średnim wieku oraz mniej więcej dwunastoletni chłopiec. Eris domyśliła się, że to rodzice Mariel oraz jej brat. Mariel szepnęła coś, czego Eris nie była w stanie usłyszeć, i wskazała na nią ręką. Wszyscy z uśmiechem skinęli jej głowami, po czym skierowali wzrok przed siebie na chór, który właśnie zaczął śpiewać.

Eris rozejrzała się z zaciekawieniem dookoła. Panował tu chłód i półmrok, większość światła wpadała przez ciągnące się wzdłuż ścian witrażowe okna. Wiedziała, że nie znajdują się w pobliżu

zewnątrznych krańców Wieży, więc światło musiało pochodzić z umieszczonych za oknami lamp słonecznych. Łukowe sklepienie wznosiło się wysoko w górze, kościół zajmował także kolejne piętro, a może nawet i część piętra 105. Pod ścianami ustawione były kamienne posągi ludzi w długich szatach i z aureolami wokół głów.

Nagle Eris zorientowała się, że wszyscy klęczą. Szybko więc zsunęła się na wyściełany miękko klęcznik. Wierni zaczęli coś recytować, ale Eris nie знаła słów. Zerknęła w bok na przyjaciółkę.

– Po prostu się módl – szepnęła Mariel.

Tak więc Eris zamknęła oczy i dała się ponieść nieznanym słowom.

Przez resztę nabożeństwa robiła to samo co pozostali: siadała, klękała, wstawała, znów siadała, nuciła, gdy wszyscy śpiewali, a podczas modlitw milczała. Chór brzmiał urzekająco, a jego głosy mieszały się z dźwiękami pianina, rzucając na nią coś w rodzaju czar. Eris ogarnęła ulga, wręcz spokój. Zaczęła rozmyślać o różnych sprawach. Na przykład o rodzicach: o tym, jacy byli, gdy się poznali i mama była młodą modelką, która postanowiła rzucić karierę dla starszego mężczyzny, a tata był tuż po drugim rozwodzie. Zaczęła też wyobrażać sobie swojego biologicznego ojca: gdzie teraz przebywał, jakie cechy ich łączyły.

Spojrzała na rodzinę Mariel trzymającą się za ręce i pomyślała, że ma nadzieję, iż wszystko ułoży się dla nich dobrze. Jak również dla jej pokręconej, rozbitej rodziny. Może właśnie o to chodziło w modlitwie: o życzenie innym ludziom pomyślności w życiu.

Ksiądz coś powiedział i nagle wszyscy wstali, zaczęli ścisnąć sobie dłonie i szeptać nawzajem pełne życzliwości słowa. Myśl, że miałyby dotyczyć nieznanym osobom, była dla Eris całkowicie obca, a mimo to wydawało jej się to miłe. W końcu znajdowała się w miejscu, w którym nikt jej nie osądzał, nie dbał o jej przeszłość ani nawet nie znał jej nazwiska. Po wymienieniu uścisków dłoni z rodziną swej przyjaciółki oraz całą ławką osób przed nimi Eris odwróciła się wreszcie do Mariel.

– Pokój z tobą – wyszeptała lekko zachrypniętym głosem.

– I z duchem twoim – odrzekła Mariel, chwytając ją za ramię.

Kiedy usiadły, Mariel wcale nie puściła Eris, ale przesunęła rękę w dół i splótła z nią palce. Eris nic nie powiedziała, siedziała tylko, patrząc przed siebie. Ścisnęła jednak delikatnie dłoń Mariel, a ona po chwili odpowiedziała takim samym łagodnym uściskiem.

Przez resztę nabożeństwa obie siedziały w milczeniu, trzymając się za ręce.

Po skończonej mszy Eris wyszła z kościoła w tłumie wiernych, nie oddalając się od rodziny Mariel. W porównaniu z panującą w świątyni ciszą i spokojem świat na zewnątrz wydał jej się nagle hałaśliwy i zatłoczony. Eris odskoczyła lekko do tyłu, gdy obok niej przemknął szybko medyczny hover z wyjąca syreną.

– Dziękuję, że zabraliście mnie ze sobą – oznajmiła. Mariel tylko skinęła głową.

– Eris – mama Mariel przerwała milczenie. – Opowiedz nam coś o sobie. Co sprowadziło twoją rodzinę na Baneberry Lane?

Eris rzuciła Mariel krótkie spojrzenie, zdziwiona, że przyjaciółka nie zdradziła nic na jej temat.

– Moja rodzina przechodzi trudny okres – przyznała. – Prawdę mówiąc, mieszkam tu tylko z mamą. Moi rodzice się rozstali. – Mówienie o tym przychodziło jej z coraz większą łatwością. Może kiedyś zdoła to przejść jej przez gardło i nie będzie jej się przy tym zbierało na płacz.

– Przykro mi z tego powodu – odparła mama Mariel i ku zaskoczeniu Eris przytuliła ją. Eris nigdy nie była przytulana przez rodziców swoich przyjaciół, nawet przez rodziców Avery. – Czy macie ochotę przyjść do nas na kolację? – spytała mama Mariel, gdy stanęli przed ich mieszkaniem.

Eris zawahała się, sama dziwiąc się, jak bardzo tego pragnęła.

– Mamy nie ma w domu, ale ja z chęcią zostanę.

Mama Mariel uśmiechnęła się szeroko i weszła do środka. Mariel tymczasem przyglądała się Eris z dziwnym wyrazem twarzy.

– O co chodzi? Nie chcesz, żebym została u was na kolacji? – spytała Eris.

– Nie, tylko że... – Mariel pokręciła głową. – Za każdym razem gdy wydaje mi się, że cię rozgryłam, robisz coś niespodziewanego.

– W takim razie życzę ci powodzenia – zaśmiała się Eris. – Nawet ja sama nie zdołałam siebie rozgryźć, choć próbuję od osiemnastu lat.

Mariel przewróciła oczami i wpuściła przyjaciółkę do domu.

Eris usiadła z zadowoleniem przy stole jadalnym Valconsuelów – tak nazywała się rodzina Mariel – podczas gdy gospodarze postukiwali garnkami i patelniami w ciepłej, przytulnej kuchni. Kilka chwil później Eris usłyszała skwierczenie podsmażanych pomidorów i kiełbasek. Ślinka nabiegła jej do ust, ostatnio bowiem, poza posiłkami w szkolnej stołówce, żywiła się głównie jedzeniem z puszek i na wynos.

Kolacja była przepyszna, a przy tym upływała w gwarnej i radosnej atmosferze. Eris bardzo podobało się to, w jaki sposób Valconsuelowie przekomarzali się ze sobą, spierali o jakiś mecz koszykówki i przerzucali nazwiskami zawodników, o których ona nigdy nie słyszała. W końcu tata Mariel poszedł do sypialni, żeby gdzieś zadzwonić, a mama zaprowadziła ziewającego Marcosa do jego pokoju.

– Eris i ja pozmywamy naczynia – zaproponowała Mariel, przyglądając się twarzy przyjaciółki.

– Ależ Eris jest gościem! – zawołała z korytarza mama Mariel.

– Z radością pomogę – upierała się Eris. Wstała, żeby posprzątać ze stołu, obserwując z satysfakcją zdumienie na twarzy Mariel. „No błagam – pomyślała rozbawiona – chyba dam sobie radę

z pozmywaniem kilku talerzy”.

Obie dziewczyny w milczeniu sprzątały kuchnię.

– Dlaczego pozwoliłaś, żebym wam dzisiaj towarzyszyła? – zapytała po chwili Eris.

– Powiedziałaś, że czujesz się samotna – wzruszyła ramionami Mariel. – Msza zawsze mi pomaga, gdy jestem w takim nastroju.

Wreszcie, gdy już wszystko było posprzątane, Mariel zgasiła lampy u sufitu i włączyła sztuczną świeczkę.

– Wybacz – powiedziała, stawiając ją na środku stołu. – Staramy się nieco oszczędzać prąd.

– Czy to znak, że powinnam już wyjść? – spytała lekko prowokacyjnie Eris.

Blask świeczki rzucał dziwne cienie na szeroką, o nieco grubych rysach, upartą twarz Mariel, a jej oczy przypominały nieprzeniknione ciemne kręgi. Eris przy nikim innym się tak nie czuła, miała wrażenie, że są sobie niezwykle bliskie, a zarazem całkiem obce. Przesunęła dłoń po stole, by wziąć Mariel za rękę, ale ona gwałtownie się odsunęła i pokręciła głową.

– To był znak, że powinnaś już iść – westchnęła Mariel. – Nie mogę zrobić tego znowu, Eris, wiedząc, jak to się skończy.

Eris czuła, że powinna wyjść, ale Mariel nachylała się do niej jakby wbrew własnej woli i wpatrywała się w nią intensywnie. Chyba sama nie była do końca zdecydowana.

– Tym razem nie skończy się tak jak poprzednio. – Eris usłyszała własny głos.

– Niby czemu mam w to uwierzyć?

– A jeśli będziemy działać bez pośpiechu? – zaproponowała Eris, wstając od stołu. Nie była całkiem pewna, dlaczego to powiedziała, miała jednak pewność, że właśnie tego chce.

Mariel przechyliła głowę, jakby rozważając ten pomysł. Blask świecy odbijał się w tanich czerwonych kamieniach w jej kolczykach, które wyglądały teraz jak płomień ognia na czarnym tle jej włosów.

– No dobra – odparła wreszcie.

Eris skinęła głową.

– W takim razie wiesz, gdzie mnie znaleźć! – zawołała i zamknęła za sobą drzwi.

„Eris Dodd-Radson – powiedziała do siebie w myślach – niekoronowana królowa przygodnych numerków sama proponuje, żeby działać bez pośpiechu. Kto by pomyślał?”

RYLIN

Stała w kuchni z tabletem przyciśniętym do ucha i próbowała po raz kolejny dodzwonić się na

posterunek policji. Od aresztowania minął już tydzień, a Hiral nadal nie został umieszczony na liście więźniów uprawnionych do przyjmowania gości. Dlaczego to tak długo trwało?

– Halo – powiedziała Rylin, gdy tylko odebrał oficer dyżurny. – Dzwonię spytać o Hirala...

– Panno Myers, tak jak mówiłem wczoraj, nie może pani jeszcze odwiedzić swojego chłopaka – warknął policjant, rozpoznawszy jej głos. – Powiadomimy panią, gdy coś się zmieni, dobrze? – powiedział i się rozłączył.

Rylin oparła się łokciami o blat i ukryła głowę w dłoniach. Nawet jeśli już nie kochała Hirala, to nie mogła znieść myśli o tym, że siedzi on w areszcie. Każdego wieczoru odwiedzała jego rodziców, żeby tylko sprawdzić, jak się czują, zapewnić ich, że Hiral jest niewinny i wszystko skończy się dobrze. Dhruv patrzył wtedy na nią z uniesioną brwią, a ona rumieniła się, czując, że przyłapano ją na kłamstwie. Ale co miała powiedzieć Karadjanom – że dla Hirala nie ma już nadziei?

Westchnęła i zaczęła pakować napoje izotoniczne i energetyczne batony do eleganckiej srebrnej lodówki turystycznej Corda. Na przekór temu wszystkiemu Rylin zamierzała pójść dziś na turniej siatkówki Chrissy. Od miesiący nie widziała swojej siostry w akcji. Planowała nawet zabrać przekąski dla całej drużyny, tak jak zawsze robiły matki innych dziewczyn. Nawiasem mówiąc, to był pomysł Corda: nalegał, żeby Rylin pożyczyła od niego przenośną lodówkę, ponieważ rzecz jasna nie miała własnej.

Na myśl o Cordzie po jej twarzy przemknął uśmiech. To dziwne, jak łatwo z pracodawcy przeistoczył się w... no cóż, trudno jeszcze określić, kim teraz dla niej był. To wszystko wydawało jej się dziwne, a zarazem naturalne i w pewnym sensie oczywiste.

Cord upierał się, że będzie jej płacił jeszcze przez cały tydzień, bo jak twierdził, to jego wina, że Rylin została zwolniona z pracy na stacji kolejki. Rylin wzięła pieniądze – prawdę mówiąc, nie bardzo mogła sobie pozwolić, żeby nimi wzgardzić – ale nadal u niego sprzątała, pomimo zapewnień Corda, że wcale nie musi. Robiła sobie tylko przerwy na rozmowy kwalifikacyjne, ale żadna z nich nie wypaliła. W ciągu minionego tygodnia została pięciokrotnie odrzucona.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu tu nie zostaniesz – powtarzał jej Cord. – Powinnaś wrócić do szkoły, zamiast uganiać się za kolejną beznadziejną robotą. Jesteś na to za mądra, Rylin.

Perspektywa skorzystania z pomocy finansowej Corda była bardzo kusząca, ale Rylin i tak nie czuła się zbyt komfortowo z powodu nierównowagi finansowej w ich związku. Może i Cord miał rację co do tego, że powinna skończyć szkołę, ale najpierw musi wykombinować, skąd wziąć na to pieniądze.

Od wypadu do Paryża spędzała jednak razem z Cordem znacznie więcej czasu, zazwyczaj popołudniami, kiedy wracał ze szkoły, a raczej z tego miejsca, w którym tak tajemniczo codziennie znikał. Przesiadali u niego, oglądali holofilmy, śmiali się i całowali, a w zasadzie głównie się całowali. Nie posunęli się jednak dalej, przede wszystkim dlatego, że Rylin dręczyło poczucie winy. Zanim

wydarzy się coś poważniejszego, najpierw musi zerwać z Hiralem. Niczego innego zresztą bardziej nie pragnęła: czuła, że od życia w kłamstwie aż skręca ją w środku.

Rozległo się pukanie do drzwi. Rylin uniosła głowę zaskoczona i poszła otworzyć.

– Lux! – wykrzyknęła i wyściskała przyjaciółkę. Lux była ubrana w jedwabne szare spodnie ściągane sznurkiem i koszulkę na ramiączkach w takim samym jaskrawozielonym kolorze jak jej koński ogon. – W tym tygodniu twoje włosy doskonale pasowałyby do moich oczu – dodała Rylin, wskazując głową na nowy kolor.

Lux posłała jej nieco wymuszony uśmiech. Wciąż jeszcze chodziła do szkoły, ale popołudniami pracowała w salonie piękności na 90 piętrze, gdzie czyściła wałki do farbowania włosów i zmiatała podłogę po stryżeniu. Fryzjerzy nie mieli nic przeciwko, gdy sama korzystała z farby, w związku z czym jej włosy stanowiły ostatnio istny kalejdoskop barw.

– W ogóle nie odpowiadasz na moje wiadomości. Zaczęłam się już martwić – powiedziała Lux.

– Przepraszam. Ostatni tydzień był dość zakrecony. – Rylin ogarnęły wyrzuty sumienia. Nie chciała ignorować przyjaciółki, nie wiedziała tylko, co ma jej odpowiedzieć. Odkąd Hiral został aresztowany, Lux nieustannie do niej pisała, zakładając zapewne, że Rylin potrzebuje teraz pocieszenia. Gdyby tylko wiedziała, że Rylin próbowała zerwać z Hiralem, ale jak na razie nie miała okazji, a do tego zaczęła żywić głębsze uczucia do mieszkającego na wysokim piętrze chłopaka, dla którego pracowała...

– Dlatego właśnie usiłowałam się z tobą skontaktować, Ry – rzekła łagodnie Lux. Podniosła rękę w pełnym irytacji geście i Rylin zauważyła, że trzyma w niej brązową torbę na zakupy. – Przyniosłam rzeczy do zrobienia naleśników nambo-czekoladowych. Pomyślałam, że przyda ci się jakieś smaczne śniadanie dla poprawy humoru. Ale wygląda na to, że jesteś zajęta. – Przeniosła wzrok z lodówki na starannie uczesane włosy Rylin, a potem na jej śliczną niebieską sukienkę.

Rylin uśmiechnęła się na wspomnienie tego, ile razy mama przyrządzała im te naleśniki, gdy były małe. Nie było to nic specjalnego, zwykłe naleśniki z ciasta bananowego z kawałkami czekolady. Chrissa je uwielbiała i zawsze o nie prosiła, ale nie potrafiła jeszcze wymówić słowa „banan”, więc biegała po kuchni, wykrzykując „Nambo! Nambo!”. W końcu Rylin i Lux wyciągały pudełko z ciastem w proszku, a twarz Chrissy rozciągała się w szerokim uśmiechu.

– Naleśniki nambo-czekoladowe... to brzmi wspaniale – przyznała zgodnie z prawdą Rylin. – Ale wychodzę właśnie na turniej Chrissy. Pójdiesz ze mną? A potem wszystkie możemy urządzić sobie kolację zamiast śniadania.

Lux zawahała się, lecz w końcu skinęła głową.

– Jasne – powiedziała, wciąż jednak bacznie przyglądała się Rylin, jakby coś nie dawało jej spokoju.

– Co słysząc u reszty? – zagadnęła Rylin, gdy wyszły z mieszkania. Uświadomiła sobie właśnie, jak rzadko widywała się z przyjaciółmi, odkąd zaczęła pracować u Corda. – Widziałas się ostatnio z Andrésem albo V? – Szczególnie interesował ją właśnie V. Wciąż nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że Hiral został złapany, podczas gdy V, który handlował na znacznie większą skalę, dealował dalej jak

gdyby nigdy nic.

– Wczoraj wieczorem wybraliśmy się do Stalowego Lasu. Ale didżej był beznadziejny, więc się zmyliśmy i poszliśmy zapalić halucynogeny na rogu 70 Ulicy.

Rylin знаła to miejsce. To właśnie tam przed kilkoma laty wszyscy po raz pierwszy palili. Pamiętała, jak w pewnym momencie poczuła się nagle taka głodna, że myślała, że zaraz zwymiotuje. „To minie – zapewniła ją Lux, chichocząc – a wtedy w jednej chwili poczujesz się cudownie”. Miała rację.

– Bez ciebie i Hirała to już jednak nie to samo – dodała Lux.

– Wiem. Martwię się o niego. Chcę tylko z nim porozmawiać, ale mi nie pozwalają. – Rylin westchnęła, gdy wysiadły z kolejki na przystanku niedaleko szkoły. Lodówka toczyła się cicho z tyłu. Lux zlustrowała ją wzrokiem, ale nie odezwała się.

Dotarły do szerokich, podwójnych drzwi hali sportowej gimnazjum Irving. Wchodząc tutaj, Rylin poczuła dziwne ukłucie lęku. Minęło już sporo czasu od ostatniego razu, kiedy była w szkole.

Weszły do hali w chwili, gdy turniej się rozpoczynał. Było tu wciąż dokładnie tak, jak Rylin zapamiętała: zapach stęchlizny wymieszany z lekką wonią potu i porysowana podłoga z poliżywicy. Rylin nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że ta hala, która jak wszystko inne w Wieży liczyła sobie zaledwie dwadzieścia lat, sprawiała wrażenie, jakby pochodziła z poprzedniego stulecia. Może to dlatego, że nikt nigdy jej nie czyścił ani o nią nie dbał.

W hali było pełno ludzi: Rylin wiedziała, że to turniej rejonowy, ale nie zdawała sobie sprawy, że to aż tak duża impreza. Dziewczyny z drużyny Chrissy stały po jednej stronie siatki zbite w ciasną gromadkę z nachylnymi do siebie głowami. Szkolna holograficzna maskotka, czyli olbrzymi szary wilk, krążyła wokół trybun, wywołując piski u co poniektórych młodszych kibiców. Rylin dostrzegła nawet kilka małych hover-kamer unoszących się nad najlepszymi zawodniczkami i przekazujących obraz na gigantyczne ekrany pod sufitem.

Razem z Lux wślizgnęły się do jednego z rzędów i usiadły na ławce. Chrissa przymierzała się właśnie do serwu i ważyła piłkę w dłoni, kołysząc się na stopach. Jej ciemne włosy związane w kucyk poruszały się rytmicznie. Rylin patrzyła z podziwem, jak jej siostra podrzuca piłkę do góry i przebija ją mocnym uderzeniem na drugą stronę siatki.

– Jest naprawdę dobra – wyszeptała Lux.

– No. – Rylin kiwnęła głową.

Uwielbiała przyglądać się Chrissie, jak niemal nieruchomo czai się do skoku, a potem w jednej chwili rzuca się do akcji z bezwzględnością drapieznika. Poruszała się z gracją, niczym tancerka, jakby znajdowała się w komorze z obniżoną grawitacją, a jej stopy ledwo dotykały ziemi. Serce Rylin przepełniała duma. W takich chwilach miała poczucie, że wszystko, co poświęciła dla siostry, było jednak tego warte.

Jej tablet nagle zabrzączał. Dostała wiadomość od Corda: „Kolacja dziś wieczorem?”.

„Nie mogę”, odpowiedziała, zerkając na Lux, która była jednak zaabsorbowana meczem. Powinna spędzić z nią trochę czasu. „Dziś na kolację jemy śniadanie. Wiesz, jak jest”, dodała.

„Śniadanie na kolację ma sens tylko wtedy, jeśli to śniadanie do łóżka”, odpisał Cord. Rylin stłumiła uśmiech i schowała tablet do kieszeni, ale Lux i tak zdążyła dostrzec zmieniony wyraz na jej twarzy.

– Dobre wieści? – spytała Lux.

Rylin bardzo chciała wszystko jej opowiedzieć. Ale nie była pewna, czy przyjaciółka to zrozumie. Przecież nawet sama Rylin nie rozumiała tego do końca.

– Nie bardzo – odparła, mając nadzieję, że Lux odpuści.

Kiedy rozległ się brzęczyk oznaczający zakończenie meczu, Rylin ruszyła z lodówką do ławki, przy której zebrała się drużyna Chrissy, a Lux pomaszerowała za nią. Twarze dziewczyn promieniowały ze szczęścia po odniesionym zwycięstwie i wszystkie przybijały ze sobą piątki.

– Rylin! Nie wiedziałam, że przyjdiesz! Lux! – wykrzyknęła Chrissa i rzuciła się siostrze w objęcia. Na jej przedramieniu przyklejony był mały czerwony plaster, zapewne VitalsMonitor, jak domyśliła się Rylin, który kontrolował puls Chrissy, jej metabolizm oraz skład potu.

– Od kiedy to masz? – spytała ją.

– Kazała to nosić wszystkim młodym zawodnikom. – Chrissa wzruszyła ramionami, a Rylin przypomniała się noc w Stalowym Lesie, kiedy sama po raz ostatni miała na sobie podobny plaster. Odniosła wrażenie, jakby to było wieki temu.

– Przyniosłaś coś do jedzenia? – spytała Chrissa i uśmiechnęła się z zadowoleniem na widok lodówki.

– Wiem, jestem zdecydowanie najfajniejszą starszą siostrą pod słońcem. – Rylin przysunęła lodówkę do siebie, zdjęła z niej pokrywę i wszystkie dziewczyny zaczęły częstować się napojami.

Chrissa chwyciła napój izotoniczny i pociągnęła długi, powolny łyk.

– Wyglądasz jakoś inaczej – zauważyła. – Zrobiłaś coś z włosami?

– Mylisz mnie chyba z Lux – odparła wesoło Rylin i Chrissa się roześmiała.

– Masz rację. Może chodzi po prostu o to, że włożyłaś sukienkę – stwierdziła Chrissa. Ale Rylin wiedziała, co takiego dostrzegła jej siostra, nawet jeśli Chrissa jeszcze sobie tego nie uświadomiła.

Otóż pomimo tego wszystkiego, co się wokół niej działo, Rylin wreszcie czuła się szczęśliwa.

LEDA

– Mamo? Jesteś w domu?! – zawołała Leda, wchodząc do środka. Nieco drżała, mokra od potu, a na

nadgarstkach wciąż miała białe, chroniące przed nudnościami frotki po antygravitacyjnej jodze. Na dzisiejszych zajęciach były tylko ona i Ming. Avery nie chodziła z nimi na jogę już od ponad tygodnia. Twierdziła, że teraz częściej biega, ale Leda wiedziała, że Avery stara się unikać zarówno jej, jak i Ming, której wciąż nie mogła wybaczyć tego, co zrobiła na imprezie urodzinowej Eris.

Leda właściwie nie rozmawiała z Avery od tego dziwnego porannego spotkania, kiedy przyszła zwrócić Atlasowi kurtkę. Nie siadywały już nawet obok siebie w stołówce. Pewnego dnia Avery po prostu weszła i zajęła miejsce na końcu stołu tuż obok Eris, w związku z czym Leda musiała się wślizgnąć pomiędzy Rishę i Jess. Nikt nie skomentował tej zamiany miejsc, ale Leda czuła, że oczy wszystkich skierowane są na nią w oczekiwaniu na jej reakcję.

No i była jeszcze kwestia Atlasa. Nadia utrzymywała, że tamtej nocy z nikim więcej się nie widział. Włamała się nawet do centralnej bazy danych hoverów, odnalazła pojazd, którym Atlas podrzucił Ledę do domu, i sprawdziła, że potem chłopak wrócił prosto do siebie. Leda widziała to na własne oczy w wykradzonej historii trasy hovera. Atlas nie pojechał z powrotem na imprezę ani do domu żadnej innej dziewczyny. A pomimo to... Leda wciąż nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś się wówczas wydarzyło. Gdyby tylko udało jej się ustalić co konkretnie.

Miała już dość tej obsesji na punkcie Fullerów. Ale wszędzie było ich pełno. Cholera, właśnie przed chwilą, gdy szła do baru w Altitude, omal nie wpadła na Avery i jej rodzinę wychodzących z brunchu. Instynktownie rzuciła się w bok i ukryła w kącie, żeby uniknąć zwyczajowej pogawędki. Wiedziała, że zachowuje się jak wariatka, ale póki co nie potrafiła stanąć oko w oko z Avery ani z Atlasem. Przynajmniej do czasu, aż odzyska większą kontrolę nad sytuacją.

– Leda? – Z gabinetu dobiegł głos mamy. – Czegoś ci potrzeba, kochanie?

Leda weszła do kuchni i zaczęła naciskać guziki blendera, usiłując przygotować sobie koktajl z orzechami nerkowca, na który miała ochotę, gdy uciekła z Altitude. Czy czegoś było jej potrzeba? Naprawić relacje z Avery. Przespać się znowu z Atlasem. Ale na pewno nie tego, co robiła teraz, ponieważ jej obecna strategia była najwyraźniej do bani.

– Nie, chyba niczego! – odparła, nie bardzo wiedząc, czemu krzyczy do mamy. Schłodzona szklanka sama napełniła się koktajlem. Leda posypała go po wierzchu cynamonem i upiła łyk. Nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu Avery i Atlasa wychodzących razem z Altitude. Fullerowie sprawiali wrażenie dumnych, wyniosłych i bezwzględnych.

– Jak było na ćwiczeniach? – W kuchennych drzwiach pojawiła się Ilara Cole.

– W porządku – rzuciła ze zniecierpliwieniem Leda.

– Idziemy dzisiaj z ojcem na przyjęcie do Hollenbrandów – przypomniała jej mama. – Nie jestem pewna, co robi dziś Jamie. Ty i Avery macie jakieś plany?

– Chyba zostanę dzisiaj w domu. Prawdę mówiąc, jestem trochę zmęczona – dodała szybko Leda.

Zirytował ją błysk ulgi, jaki zobaczyła w oczach mamy, gdy to usłyszała. Ilara nie była zbyt

zachwycona tym, że córka poszła na imprezę urodzinową Eris w zeszły weekend, ale Leda obiecała jej, że nie będzie pić. Potem powtarzała sobie, że wcale nie złamała danej mamie obietnicy. Przecież nie wiedziała, co znajduje się w tych wszystkich absurdalnych kolorowych bąbelkach.

– A może spędzicie ten wieczór razem z Avery tutaj?? Mogę poprosić Haley, żeby została i zrobiła wam pizzę – zaproponowała mama. Wyciągnęła rękę, żeby założyć córce kosmyk włosów za ucho, ale Leda gwałtownie cofnęła głowę.

– Mówiłam już, że wszystko w porządku!

– Leda – mama zaniepokojona ściszyła głos. – Na pewno dobrze się czujesz? Chcesz, żebym umówiła cię na wizytę z doktorem Vandersteinem?

Od odpowiedzi Ledę wybawił dźwięk otwieranych drzwi. Tata wrócił do domu. Dzięki Bogu, bo ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to wizyta u psychiatry mamy.

– Hej, co słychać? – rzucił tata, wchodząc do kuchni. Wyglądał na skonanego.

– Gdzie byłeś? – spytała Leda. W soboty zazwyczaj był w domu i spał na kanapie w salonie. A jeśli już musiał pracować, to odbierał połączenia w swoim gabinecie.

– Grałem w golfa w Links z Piersonem i nowym klientem – odparł, wyciągając z lodówki butelkę cytrynowego szprycera.

– To znaczy z panem Fullerem? – dopytywała Leda, a w jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy.

– Tak, z panem Fullerem – uciął krótko tata, jakby usłyszał najbardziej niedorzeczne pytanie na świecie. Leda wstrzymała oddech i nie powiedziała nic więcej. Przecież przed dwudziestoma minutami widziała całą rodzinę Fullerów, jak wychodzili z brunchu w Altitude, pan Fuller nie mógł więc przez cały rano grać w golfa. Dlaczego tata kłamał?

– I jak się wam grało? – Ilara obeszła wyspę kuchenną, aby pocałować męża.

– No cóż, pozwoliliśmy klientowi wygrać, a to jest przecież najważniejsze. – Tata zaśmiał się z własnego żartu, ale w tonie jego głosu pobrzmiwała jakaś fałszywa nuta, tak jakby błędził myślami całkiem gdzie indziej. Czyżby coś ukrywał? Mama jednak tylko skinęła głową i uśmiechnęła się, niczego nie zauważając.

– Idę pod prysznic – oznajmiła Leda, sięgając po reszkę koktajlu.

Ruszyła szybkim krokiem przez korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni. Szybko ściągnęła z siebie przeпоcony strój i wrzuciła go do stojącego w kącie kosza na brudną bieliznę, skąd powędrował bezpośrednio do pralni. Objąwszy się ramionami, weszła pod prysznic i odkręciła deszczownicę, włączając najmocniejszy strumień. Z jakiegoś powodu jednak nadal nie mogła przestać się trząść.

Usiadła na podłodze wyłożonej czerwonymi płytkami, które pochodziły z willi na Capri. Leda wybrała je sama, w wakacje przed dwoma laty. Aromatyczna para sprawiła, że jej włosy zwinęły się w sprężynki. Podciągnęła kolana pod brodę i próbowała się zastanowić. Nie mogła zebrać myśli, jej

umysł skakał jak szalony od jednego tematu do drugiego. Pocałunek z Atlassem na imprezie. Czy Atlas spotkał się z kimś jeszcze tamtej nocy? Dlaczego tata kłamał o tym, gdzie dzisiaj był? Czemu Avery miała ostatnio taką minę na jej widok? I dlaczego ona sama udawała, że w ogóle jej to nie obchodzi?

To wszystko nie dawało jej spokoju. Ciężko jej. Miała wrażenie, że woda nakłuwa nagą skórę milionem drobniutkich szpilek.

Potrzebowała działki.

Wciąż miała flik-link do swojego dawnego dealera Rossa. Namiary na niego dostała od Corda. Kilka razy omal nie została przyłapana przez mamę na kradzieży xenperedrenu i dlatego na którejś imprezie postanowiła poprosić Corda o pomoc. Nie miała pojęcia, do kogo innego mogłaby się zwrócić. Wiedziała, że powierzenie swojej tajemnicy Cordowi jest dość ryzykowne, miała jednak wrażenie, że mimo iż lubi szpanować, to jednak kieruje się własnym, silnym poczuciem lojalności.

– Nie ma sprawy – odrzekł Cord, gdy go zapytała o kontakt do jakiegoś dealera, i natychmiast podesłał jej flik-link oznaczony po prostu „Ross”.

Ross dostarczał jej tyle xenperedrenu, ile tylko chciała. Ale zaopatrywał ją także w towar innego rodzaju, za który nawet nie musiała płacić.

– Mam jeszcze mnóstwo relaksantów. Gratis – oznajmił pewnego razu, gdy przed egzaminami kupiła od niego kilka sztuk xenperedrenu. – Może weźmiesz parę? Będziesz ich pewnie potrzebować po napisaniu egzaminu.

A więc Leda wzięła.

Niedługo po tym zaczęła od czasu do czasu przypalać z Cordem i jego znajomymi, a niekiedy też z Brice'em. Kilka razy spróbowała mocniejszych rzeczy, tylko z czystej ciekawości, ale pilnowała się, żeby nie zdarzało się to zbyt często. Fajnie było po prostu raz na jakiś czas wrzucić trochę na luz, tym bardziej że zazwyczaj była niesamowicie spięta.

I wszystko toczyło się w jak najlepszym porządku aż do ubiegłej zimy – czyli do wypadu do Catyan i zniknięcia Atlasa. Dopiero wtedy Leda zaczęła naprawdę tracić nad tym kontrolę.

„Hej. Jak leci?”

Leda poderwała głowę, widząc wiadomość od Atlasa. „Hej – odpowiedziała ostrożnie, starając się opanować ekscytację. – Dobrze. A u Ciebie?”

„Zastanawiałem się, czy nie wybrałabyś się ze mną na imprezę w Klubie Uniwersyteckim”.

Leda przymknęła oczy, nagle zalała ją przyprawiająca o zawrót głowy fala ulgi. „Tak – odpisała. – Z wielką chęcią”.

Chyba po raz pierwszy od tygodni rozluźniła się i zaczęła głęboko oddychać unoszącym się wokół aromatem róż, pozwalając, by skóra na jej dłoniach pomarszczyła się niczym suszona śliwka. Nie przejmowała się tym, ile wody zużyje, przecież i tak zbierano ją i filtrowano do ponownego

wykorzystania. Siedziała więc pod prysznicem, czekając, aż woda wypłucze całe napięcie z jej zmęczonego ciała.

W końcu podniosła się i wtarła szampon we włosy. Czuła niemal absolutny spokój, tak jak w zaciszu namiotu do medytacji w Srebrnej Zatoce.

AVERY

W niedzielny wieczór Avery siedziała w jadalni przy olbrzymim, ręcznie rzeźbionym stole, starając się skupić na swoich szparagach, a nie na doprowadzającym ją do furii chłopaku siedzącym naprzeciwko.

– Atlas, rozmawiałem dzisiaj z Jamesem i powiedział, że doskonale sobie radzisz. Podobno przez cały ten tydzień zostawałeś codziennie do późna? – Pierson Fuller kiwnął głową do syna i zazgrzytał widelcem o talerz, nabijając kawałek pieczonego łososia z orzechami.

– Tak. Staram się uczyć wszystkiego tak szybko, jak to możliwe, chcę udowodnić, że mogę pracować, mimo że... No wiecie, nie ukończyłem liceum.

– Przecież ukończyłeś liceum, tylko nie razem z resztą swojej klasy! – wykrzyknął tata.

– Wszyscy wiedzą, że zrobiłeś sobie rok przerwy od nauki! – dodała natychmiast mama. – W twoim wieku ludzie często tak robią, żeby pozwiedzać świat! Sama tak zrobiłam!

Atlas zignorował ich i spojrzał na Avery.

– Hej, Aves, czy możesz podać mi pieprz? – poprosił.

„Tylko sobie nie myśl, że trochę się poprzymilasza i wszystko wróci do normalności”, przeszło przez głowę Avery, ale zacisnęła usta i pchnęła do brata zestaw z przyprawami. Jakie to typowe: Atlas działał na nerwy rodzicom po to, żeby ją rozweselić. Ale tym razem to nie przejdzie.

Avery wyjrzała przez okno, aby uniknąć spojrzenia brata. Wieczór był mglisty, wilgoć osiadała kropelkami na trzech całkowicie przeszklonych ścianach jadalni, przesłaniając widok, który normalnie rozciągał się aż do East River.

Od powrotu Atlasa Fullerowie znacznie częściej jadali posiłki całą rodziną. Niemal co wieczór siadali teraz wspólnie do kolacji, a wczoraj byli nawet razem na brunchu, i to w sobotę, kiedy tata zwykle gra w golfa, mama natomiast poddaje się zabiegom odnowy w spa. Na początku Avery bardzo się to podobało... aż do pocałunku w miniony weekend. Teraz czuła się po prostu zupełnie zdezorientowana. Atlas był jedyną osobą, której mogła się zwierzyć, a od tygodnia nie wiedziała nawet, jak ma z nim rozmawiać. Nie mieściło jej się w głowie, aby mogli tak po prostu wrócić do tego, jak było dawniej, choć Atlasowi najwyraźniej przychodziło to bez problemu.

Avery żałowała, że w ogóle doszło do tego pocałunku. Chociaż nie do końca. Bowiem teraz miała przynajmniej jego wspomnienie i mogła wracać do niego myślami tak często, jak tylko chciała. Czasami jednak przywołanie w pamięci muśnięcia warg Atlasa, jego ciepłego oddechu na policzku czy dotyku ramion obejmujących ją w talii, sprawiało jej prawdziwe cierpienie. Nie mogła jednak tak całkiem żałować tego, co się wydarzyło. Jeśli miała już nigdy więcej nikogo nie pocałować, będzie przynajmniej mogła do końca swoich dni żyć wspomnieniem tego jednego pocałunku.

– A tak przy okazji, Atlas, zamówiłam dziś dla ciebie nowy smoking. – Elizabeth Fuller ściągnęła swoje idealne, wyrównane laserem brwi. Najwyraźniej bardzo chciała się dowiedzieć, co stało się z poprzednim, postanowiła jednak nie drażnić tego tematu. Normalnie Avery też byłaby tego ciekawa, ale w tym momencie niewiele ją to obchodziło. Pewnie Atlas zapomniał go po jakiejś idiotycznej imprezie na jachcie gdzieś u wybrzeży Chorwacji. Avery wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z mamą.

Czasami nie mogła nadziwić się temu, że połowa jej genów pochodziła właśnie od niej. Były to wyłącznie ukryte, recesywne geny, które mama nosiła w sobie, choć się nie ujawniały, a które doktor Shore pobrał od niej kiedyś i przekazał Avery. Obie z mamą bowiem były do siebie zupełnie niepodobne.

Mama Avery nie należała do piękności. Była korpulentna, miała zbyt krótkie ramiona, a włosy – bez względu na to, ile czasu i pieniędzy im poświęcała – ciągle jej się skręcały. Ale walczyła ze swoim wyglądem z zacieklą determinacją: co rok poddawała się operacjom plastycznym, a na co dzień wyczerpującym treningom pilatesu. Avery wiedziała, że pomimo to mama jest nad wyraz świadoma własnych niedostatków. To właśnie dlatego była gotowa tyle zapłacić za to, żeby Avery nigdy nie musiała się martwić własną urodą.

– Smoking będzie gotowy na jesienną galę w Klubie Uniwersyteckim – ciągnęła Elizabeth. – A tak w ogóle, idziesz z kimś?

– Z Ledą, ale jej rodzice też są członkami klubu, więc nie musicie kupować dla niej biletu – odparł Atlas.

Dla Avery to była nie lada nowina. Sięgnęła po kieliszek merlota – na szczęście rodzice byli na tyle liberalni, że pozwalali pić wino swoim nastoletnim dzieciom – i upiła spory łyk. Rubinowy płyn w nietłukącym się kieliszku z fleksiglasu mienił się refleksami światła. Avery kompletnie zatkało, że po tym, jak się z nią całował, Atlas wciąż mówił o Ledzie.

– Och, to cudownie – powiedziała mama wyraźnie zaskoczona. – Pierson, czy nie powinniśmy w takim razie zaprosić Cole'ów do naszego stolika? Zaprosiłam już Reedów i Delmondów, ale chyba uda się zmieścić przy stole dziesięć osób...

– Nie ma sprawy – wymamrotał tata Avery, próbując zapewne przeczytać wiadomości na szklach. „Świetnie – pomyślała Avery – teraz jeszcze zostali w to wciągnięci rodzice”. Miała wrażenie, jakby

Leda rzeczywiście stała się oficjalną dziewczyną Atlasa.

– A ty wybierasz się z kimś, Avery? – zagadnął ojciec. W jego głosie dał się słyszeć pewien niepokój. Zawsze ją pytał, dlaczego z nikim się nie spotyka, jakby to stanowiło największą zagadkę, z jaką zetknął się w życiu.

Avery zawahała się. Nie zastanawiała się zbyt nad jesienną galą, ale skoro Atlas wybierał się z Ledą, ona też chciała iść, najlepiej z chłopakiem, aby udowodnić, że ten pocałunek na dachu był dla niej tak samo nieistotny. Jednak Zay zmęczył się już czekaniem na nią i teraz oficjalnie umawiał się z Danielą, więc nie mogła go zaprosić. Przez chwilę myślała o Cordzie – zawsze dobrze się z nim bawiła na takich imprezach – ale Atlas wiedział, że Avery i Cord są tylko przyjaciółmi, więc w ten sposób nie wzbudziłyby w nim zazdrości.

Wzrok Avery spoczął nagle na kwiatkach przysłanych przez Watta, które wciąż stały w doniczce na kuchennym blacie. Kilka łyszców już zwiędło, za to biała róża pośrodku była w pełnym rozkwicie, jej miękkie jak aksamit płatki pięknie się rozwinęły. „Czemu nie?”, pomyślała Avery. Watt najwyraźniej znał parę osób z imprezy urodzinowej Eris i choć Avery nie spodziewała się, że chłopak w ogóle na nią przyjdzie, bardzo się ucieszyła, gdy jednak się zjawił. A w pewnym momencie widziała chyba nawet, jak rozmawiał z Atlassem.

– Przyjdę z Watem Bakradim. Z chłopakiem, który mi przysłał te kwiaty. – Mówiąc to, Avery przyjrzała się twarzy Atlasa, wypatrując jakiegokolwiek reakcji, ale on wydawał się równie obojętny jak zawsze.

– Właśnie zastanawiałam się, od kogo one są! – zawołała mama. – Dodam więc kolejny bilet do naszego zamówienia. A skąd znasz tego chłopaka?

– Prawdę mówiąc, wcale go nie znam. Ale Atlas go zna – powiedziała znacząco. Atlas, wyraźnie zmieszany, podniósł wzrok. – Nie rozmawiałeś z nim czasem na urodzinach Eris? – kontynuowała Avery. Niech Atlasowi się wydaje, że przez cały wieczór nie spuszczała oczu z Watta.

– Racja. Watt! Miły z niego gość – stwierdził Atlas i zajął się z powrotem swoim risottem.

– No cóż, nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Zapowiada się cudowny wieczór – uśmiechnęła się mama.

„To na pewno będzie coś”, pomyślała Avery, zastanawiając się jednocześnie, w co tak naprawdę się wpakowała.

WATT

Opierając się leniwie na jednym łokciu, Watt wpisywał odpowiedzi podczas testu z historii Ameryki.

Wszyscy wokół niego zakuwali do tego egzaminu całymi dniami, niemal słyszał chrzęszczące w ich umysłach przekładnie, kiedy usiłowali przypomnieć sobie nieznane im fakty, albo przyglądał się, jak odkładają rysiki, zastanawiając się, na którą odpowiedź postawić. Biedni frajerzy. Aby zdać, musieli polegać na swej zawodnej ludzkiej pamięci. W odróżnieniu od Watta.

Nawet otaczająca szkołę siatka, która sprawiała, że wszystkie tablety i szkła kontaktowe stawały się bezużyteczne, nie mogła zakłócić pracy Nadii. Nadia była zbyt zaawansowana technologicznie. W tym momencie wyświetlała odpowiedzi na wszystkie pytania bezpośrednio na oczach Watta, a nawet sugerowała, które pytania powinien celowo ominąć. Watt wiedział, że lepiej zachować ostrożność i nie zdobywać stu procent punktów na każdym teście.

Odłożył w końcu rysik i wyjrzał przez okno na otaczający szkołę wertykalny ogród: paprocie i sukulenty pięły się po ścianach w istnej eksplozji zieleni.

– Zostały dwie minuty – oznajmiła pani Keeley, potrząsając swym nadmiernie spryskanym lakierem kaskiem włosów. Wywołało to pełen niepokoju szmer wśród pozostałej dwudziestki uczniów w klasie, jednak za sprawą oddzielających wszystkich od siebie niewidzialnych ekranów Watt nikogo nie widział. Wciąż tylko wyglądał przez okno.

Gdyby udało mu się znaleźć jakiś sposób, żeby udowodnić, że Atlas nie spotykał się z żadną dziewczyną. Od wiadomości Ledy z zeszłego tygodnia – o tym, że zwiększył czterokrotnie jego honorarium, jeśli dowie się, z kim Atlas widuje się za jej plecami – pracował niemal na okrągło, śledząc poczynania Atlasa i porównując je z miejscami pobytu wszystkich dziewczyn, które chłopak mógł znać. Jak dotąd – nic. Watt miał przeczucie, że nie było tu niczego do odkrycia, a Leda zachowywała się po prostu jak paranoiczka i wariatka.

Było to dla niego jasne zwłaszcza teraz, kiedy dowiedział się, że Leda leczy się z uzależnienia od xenperedrenu. Na początku nie szperał jakoś głęboko w jej przeszłości, ściągnął jedynie kilka jej feedów zaraz po tym, jak go zatrudniła. Aż w końcu przed kilkoma dniami w napadzie frustracji poprosił Nadie, by prześledziła wszystkie miejsca, które Leda kiedykolwiek odwiedziła. To właśnie Nadia odkryła, że Leda trafiła niedawno do ośrodka odwykowego. Watt więc coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Leda myliła się co do Atlasa i wymyślała na jego temat niestworzone rzeczy.

Nie dawało mu też spokoju, co ostatnio działo się z Avery. Liczył na to, że kwiaty, które jej wysłał, pomogą mu się wkupić w jej łaski albo przynajmniej staną się pretekstem do rozmowy, ale Avery przysłała mu tylko grzecznościowego flika z podziękowaniami. Od tamtego czasu minął już tydzień, a Watt nie miał od niej praktycznie żadnych wieści.

Rozległ się dzwonek na koniec lekcji, wywołując popłoch u reszty uczniów, którzy próbowali gorączkowo dopisać ostatnie odpowiedzi, zanim ich szkolne tablety się wyłączą. Watt uniósł tylko ramiona nad głową i przeciągnął się leniwie. W zależności od oceny wypracowania, które napisała za

niego Nadia – a on tylko nieco je podrasował, żeby brzmiało bardziej autentycznie – powinien otrzymać od 95 do 98 punktów.

Przewiesił plecak przez ramię i wyszedł na korytarz. Dziewczyny stały koło swoich szafek, uruchamiały na drzwiczkach tymczasowe lusterka i poprawiały fryzury. Obok przebiegła drużyna futbolistów w strojach do gry, śpiesząc się do hover-busa, który miał ich zawieźć na boisko treningowe w Park-Zonie trzy piętra niżej. Rozwieszane w korytarzach transparenty zmieniały barwę z żółtej na fioletową, a jednocześnie przesuwwały się na nich napisy „GRATULACJE, JEFFERSON – NAJLEPSZE WYNIKI MATURY TRZECI ROK Z RZĘDU!” oraz „BAL Z OKAZJI ZJAZDU ABSOLWENTÓW: BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY!”. Nad głowami przemknął nagle papierowy samolot unoszony przez mikrohovery.

– Koszmarny egzamin, co? – zagadnęła Cynthia, Azjatka z szeroko rozstawionymi oczami i czarną, równo przyciętą grzywką. Watt i Derrick przyjaźnili się z nią od gimnazjum.

– Tak, zdecydowanie. – Wyszli przez podwójne główne drzwi i stanęli na rozległym, wybetonowanym dziedzińcu przed szkołą. Dokładnie na wprost, po drugiej stronie ulicy znajdowały się przystanek kolejki Ifty oraz lodziarnia, do której niezliczone razy uciekali z lekcji. Derrick stał w tłumie uczniów tuż po drugiej stronie siatki wygłuszającej i jak wszyscy pozostali sprawdzał wiadomości i feedy. Pomachał tylko dwójce przyjaciół i wrócił do przerwanej zajęcia.

– Hej, Cynthia – odezwał się nagle Watt. – Mogę prosić cię o radę w pewnej sprawie?

– Wykluczone. Mówiłam ci już, żebyś nie przychodził do mnie, gdy będziesz miał problemy z dziewczynami. To, że się przyjaźnimy, wcale nie znaczy, że pochwalam to, co robisz, gdy nie ma mnie w pobliżu. – Cynthia uniosła prowokacyjnie brew.

– Skąd wiedziałaś, że... – Watt zamilkł, ponieważ na jego szklach wyświetlił się nowy flik.

– Słyszę to i owo – odparła Cynthia.

Watt nie mógł w to uwierzyć. Wiadomość pochodziła od Avery: „Cześć, mam nadzieję, że miałeś udany weekend. Zastanawiałam się, czy jesteś zajęty w sobotę, bo jeśli nie, może chciałbyś pójść ze mną na jesienną galę w Klubie Uniwersyteckim?”.

Watt nie był w stanie ukryć uśmiechu. A więc kwiaty jednak poskutkowały. „Z przyjemnością”, odpowiedział, wysyłając wiadomość za pośrednictwem Nadii.

„Super! Zaraz wyślę Ci info co i jak. Tylko uwaga, moi rodzice i mój brat też tam będą. To taka trochę rodzinna impreza”, dodała Avery, a Watt nieomal słyszał ostrzeżenie w jej głosie. Ale nie przejmował się tym, czy będzie musiał oczarować jej dziadków, kuzynów, a nawet fryzjera. Miał iść na imprezę z Avery Fuller.

– Co takiego słyszysz? – spytał Derrick, przedzierając się ku dwójce przyjaciół przez tłum uczniów.

– Watt poprosił mnie o radę w sprawie dziewczyny, ale powiedziałam, że nie zamierzam się do tego

mieszać. Szczerze mówiąc, współczuję biedaczce, która padnie jego kolejną ofiarą – wyjaśniła Cynthia z udawaną powagą.

– Przyszedł po radę do ciebie? – zachnął się Derrick. – Chodzi o Avery Fuller? Rany – zwrócił się do Watta – musisz być bardziej zdesperowany, niż sądziłem.

– Prawdę mówiąc – przerwał mu Watt – Avery właśnie zaprosiła mnie na imprezę. Na jesienną galę w Klubie Uniwersyteckim. – Starał się opanować triumfalny ton głosu, ale nie było to łatwe. Dokonał przecież niemożliwego i sprawił, że Avery Fuller zaprosiła go na randkę. Miał ochotę odtańczyć taniec zwycięstwa.

– W Klubie Uniwersyteckim? Co to za jedna? – spytała sceptycznie Cynthia.

– To hajlajerka – oznajmił Derrick, jakby to wszystko tłumaczyło.

Watt przytaknął, ale tak naprawdę wcale ich nie słuchał. Otworzył wiadomość od Avery i polecił Nadii, by pomogła mu skonstruować dowcipną i swobodną odpowiedź. „Brzmi świetnie – zaczął – ale...”

– Wiesz, że w Klubie Uniwersyteckim obowiązują stroje wieczorowe – ciągnęła Cynthia. – Będziesz pewnie potrzebował smokingu.

Watt przeniósł na nią gwałtownie wzrok.

– Potrzebuję smokingu? Jesteś pewna? – Teraz to naprawdę przydałaby mu się ta dodatkowa forsa od Ledy. Nigdy nie kupował sobie smokingu, wiedział jednak, że nie jest to tania rzecz.

Spojrzał z powrotem na swoje szkła, zamierzając dokończyć wiadomość, i z przerażeniem odkrył, że słowa, które przed chwilą wypowiedział, zostały właśnie wysłane do Avery: „Brzmi świetnie, ale potrzebuję smokingu, jesteś pewna?”.

„Do cholery, Nadia, co to ma być? Wiedziałaś, że nie chciałem wysyłać tego do Avery”, rzucił do niej wściekły.

„Znajdowałeś się w trybie tworzenia wiadomości – odparła Nadia. – Może gdybyś zrobił mi upgrade, lepiej wyczuwałabym niewyartykułowane zamiary”. Zdaniem Watta Nadia stawiała się ostatnio zbyt sarkastyczna. Głupie algorytmy rekurencyjne. Powinien zaprogramować ją zgodnie z logiką linearną, na podstawie której działała większość kwantów, zanim jeszcze zostały zakazane.

Watt zastanawiał się teraz, jak wybrnąć z tej gafy, ale Avery już zdążyła mu odpisać: „Tak, smokingi obowiązkowe. Mogę pomóc Ci kupić. Znam dobre miejsce!”.

– W Klubie Uniwersyteckim bez dwóch zdań potrzebujesz smokingu – powiedziała Cynthia.

– Skąd, do diabła, wytrzaśniesz forszę na smoking? – roześmiał się Derrick.

– Może wypożyczyć, ty głąbie. Na tym piętrze jest wypożyczalnia. Wydaje mi się, że po wschodniej stronie – dodała Cynthia, starając się pomóc.

Watt jednak był skupiony na odpowiedzi dla Avery: „Nie ma sprawy. Mój oblałem na ostatnim przyjęciu czerwonym winem”.

„Ale jeśli będziesz potrzebował nowy, chętnie wybiorę się z Tobą w tygodniu na zakupy”.

Watt już miał z tej propozycji zrezygnować, żeby ukryć swoje zażenowanie i absolutny brak doświadczenia, jeśli chodzi o tego typu oficjalne przyjęcia, a w zasadzie to o cały świat, w jakim obracała się Avery. Nadia jednak wtrąciła się, zanim zdążył sformułować odpowiedź.

„Zhakowałam dane ze sklepów, w których Avery zwykle robi zakupy – oznajmiła niemal przepraszającym tonem. – W przeszłości chodziła tam tylko ze swoim bratem. To chyba dobry znak, że chce cię tam zabrać, prawda?”

„Wciąż jestem na ciebie zły”, odparł Watt. Ale Nadia miała rację. Jak mógłby nie skorzystać z okazji spędzenia czasu w towarzystwie Avery, bez względu na to, gdzie by to miało być? „W porządku... Może jednak skorzystam z Twojej propozycji”, fliknął do Avery.

– Niczego nie wypożyczam – oświadczył w odpowiedzi na pytanie Derricka. Nadarzała mu się wreszcie szansa zbliżenia do Avery i chciał ją jak najlepiej wykorzystać. – Odłożyłem trochę pieniędzy. Powinno wystarczyć.

– Oby ta dziewczyna była tego warta. – Cynthia przyjrzała się Wattowi z zaciekawieniem.

– A ty mówiłaś, że nie chcesz się do tego mieszać – zażartował Watt, celowo unikając odpowiedzi na uwagę przyjaciółki. To oczywiste, że Avery była tego warta.

Derrick roześmiał się.

– Czy wciąż jesteśmy umówieni dziś wieczorem u ciebie na matematykę? – spytał, a Cynthia skinęła głową. Podczas egzaminów semestralnych zazwyczaj uczyli się razem na zmianę u jednego z nich, chociaż u Watta umawiali się dość rzadko, ponieważ bliźniaki zachowywały się zbyt głośno i nie pozwalały im się skupić.

– Ja nie mogę – oznajmił Watt. Uwielbiał spotykać się z przyjaciółmi, ale prawdę mówiąc, nie musiał się uczyć. Wolał raczej skupić się na sprawie Atlasa, żeby zgarnąć pieniądze od Ledy, zanim wybierze się z Avery na zakupy.

– Ale moja mama upiekła twoje ulubione ciasteczka! – zawołała za nim Cynthia, lecz Watt tylko pomachał im na pożegnanie.

Po powrocie do domu wziął z szafki w kredensie paczkę serowego popcornu, po czym zasiadł przy swoim biurku, uruchamiając przed sobą ekran dotykowy.

– Nadia – powiedział na głos – musimy włamać się do systemu domowego Fullerów. I to już.

– Chcesz, żebyśmy zrobili to razem? – spytała Nadia. W jej głosie słychać było wręcz ekscytację, o ile to w ogóle możliwe. Watt miał wrażenie, że im dłużej przebywała w jego głowie, tym częściej przypisywał jej ludzkie emocje.

– Tak, do dzieła. – Minęło sporo czasu, odkąd nie musieli już włąmywać się wspólnie. Zazwyczaj Nadia działała szybciej w pojedynkę, bez jego udziału. Ale w przypadku szczególnie skomplikowanych systemów, wyposażonych w specyficzny kod zaprojektowany przez wyjątkowo pomysłowych programistów, lepiej działało im się we dwójkę.

Watt zabrał się do pracy. Starał się odnaleźć własny rytm, jego palce zaczęły śmigać po ekranie dotykowym, manipulując fragmentami niewidocznych informacji, jakby pociągał nici rozległej, niezwykle skomplikowanej sieci. Dobrze im się pracowało z Nadią. Nawet jeśli on poruszał się wolniej i bardziej metodycznie, to nieustannie wyczuwał jej widmową obecność niczym płomyk świecy migoczący na skraju pola widzenia. Stracił poczucie czasu i miejsca, cała jego istota została zredukowana do ciągu cyfr wyświetlających się na ekranie, podczas gdy on czekał na przebłysk intuicji, który pozwoli mu dostrzec jakiś schemat lub słaby punkt.

W końcu, jedenaście godzin później, udało się.

– Tak! – zawołał Watt w przypływie euforii, uświadamiając sobie nagle, że przegapił kolację i nastał już praktycznie ranek. Ale nie miało to znaczenia. Nadia od tygodni próbowała złamać system zabezpieczeń Fullerów i oto wreszcie tego dokonali.

– Masz teraz dostęp do komputera pokojowego Atlasa? – zapytał Nadię.

– Tak. Chcesz mieć na żywo podgląd jego feedów?

– Niekoniecznie – przyznał Watt. Nie miał ochoty oglądać tego, co Atlas robi teraz w swoim pokoju.

– Ale możesz je dla mnie monitorować, dobrze?

– W porządku – odpowiedziała Nadia.

Watt odchylił się do tyłu na krześle, zaplótł dłonie za głowę i z pełnym zadowolenia westchnieniem przymknął oczy.

– Jak myślisz, ile Leda by zapłaciła, żeby zobaczyć to co ty teraz? – zastanawiał się na głos.

– Cóż, w tym momencie Atlas ustawia na noc dreamweavera, więc nie jest to zbyt ekscytujące – odparła Nadia.

– Co znajduje się na jego dreamweaverze? – spytał Watt nieco zaintrygowany.

– Wizualizacje i dźwięki amazońskiego lasu deszczowego.

– To dość dziwne – stwierdził Watt. Chyba że... – Nadal masz dostęp do Departamentu Stanu? – spytał. Nadia wielokrotnie włąmywała się do systemu rządowego w poszukiwaniu zaginionych osób, raportów policyjnych, a raz nawet członków zarządu lotnictwa cywilnego.

– Oczywiście.

– Uruchom program rozpoznawania twarzy na nagraniach ze wszystkich kamer satelitarnych z Ameryki Południowej. – Może Atlas po prostu lubił śnić o lasach deszczowych i Watt marnował tylko czas.

A może uda mu się wreszcie rozgryźć tego faceta.

Watt poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę, czuł się niemal pusty w środku, a całe ciało miał lekko obolałe. Ale to było przyjemne zmęczenie. Już prawie zapomniał, jakie to fantastyczne uczucie zakończyć z powodzeniem skomplikowaną operację hakerską, zupełnie jakby zdobył jakiś wysoki szczyt albo rozwiązał niewiarygodnie trudną łamigłówkę. Powinien robić to częściej.

– Stanowimy zgrany zespół, wiesz, Nadio? – powiedział Watt, rozsmarowując masło orzechowe na kromce chleba. Był zbyt zmęczony, a zarazem zbyt podekscytowany, żeby przejmować się tym, że mówi do siebie na głos w kuchni.

– Wiem – przyznała mu rację Nadia, a Watt miał wrażenie, że nawet się przy tym uśmiechnęła.

RYLIN

– Przyszłam zobaczyć się z Hiralem Karadjanem – powiedziała głośno Rylin. Podeszła do okienka dla odwiedzających w Zakładzie Karnym Greycroft w Queens, w którym Hiral miał pozostać aż do procesu, chyba że jego rodzina jakimś cudem zdobędzie pieniądze na kaucję.

– Chłopak cieszy się sporą popularnością – rzucił oschle strażnik w średnim wieku i polecił Rylin, żeby otworzyła torbę.

– Hiral? Naprawdę? – Rylin podniosła torbę wypakowaną tyłoma podarunkami, na ile tylko pozwalały przepisy.

– No chyba. Jest pani trzecią osobą, która go dziś odwiedza, a dopiero co otrzymał zgodę na widzenia. – Strażnik z zaciśniętymi ustami przeglądał podarunki dla Hirała: szampon, pudełko kruchych ciasteczek upieczonych przez panią Karadjan, a także stary tablet bez połączenia z iNetem, na który Rylin załadowała mnóstwo książek i filmów. – W porządku. Proszę podejść do kontroli bezpieczeństwa – dodał i wskazał na bioskaner, który natychmiast zarejestrował obraz siatkówki oka Rylin, a jej ciało zostało poddane miliskanowaniu w poszukiwaniu broni. Wreszcie urządzenie zaświeciło się na zielono, a przed Rylin otworzyły się drzwi. – Zaraz przyjdzie – oznajmił strażnik i ze znużeniem wrócił do swego tabletu.

Rylin weszła do pustego, całkiem białego pomieszczenia, w którym znajdowały się tylko cztery stoliki i przyśrubowane do podłogi krzesła. Ze ścianami działo się coś dziwnego, wszystkie niemal lśniły i Rylin zaczęła się zastanawiać, jak bardzo są solidne. Prawdopodobnie były zrobione z polaryzowanego szkła, które od wewnątrz wydawało się nieprzejryste, lecz z zewnątrz było przezroczyste, żeby policja mogła obserwować rozmowy więźniów. Rylin usiadła przy środkowym stoliku, który stał najdalej od ścian, i położyła torbę na porysowanym metalowym blacie.

Co chwila niespokojnie zmieniała pozycję, usiłując wymyślić, co ma powiedzieć, gdy pojawi się Hiral. Zerwanie z nim, kiedy znajdował się w tak podłym położeniu, wydawało jej się wyjątkowo

okrutne. Ale nie mogła dłużej tego ciągnąć, nie mogła spędzać czasu z Cordem, gdy wciąż oficjalnie nie rozstała się z poprzednim chłopakiem. Wyobrażała sobie, że tak właśnie musiał czuć się Hiral podczas naprawiania wind: tkwił zawieszony nieruchomo w powietrzu, a jeden fałszywy ruch mógł go drogo kosztować.

Ściana naprzeciwko nagle się rozsunęła, Rylin podniosła wzrok i ujrzała Hirala. Wszedł niepewnym krokiem ze skutymi z przodu rękami, a po jego bokach sunęły na niewidocznych kółkach dwa cylindryczne straż-boty. Hiral był ubrany w jaskrawopomarańczowy kombinezon i regulaminowe białe tenisówki, a głowę miał krótko ogoloną. Bez tych wszystkich chłopięcych loków jego twarz stała się lepiej widoczna. Wydawał się teraz o wiele bardziej twardy i ponury. Jakby był winny. Bo tak było w rzeczywistości.

– Hiral – odezwała się cicho Rylin, gdy chłopak usiadł naprzeciwko. Z nóg krzesła wysunęły się magnetyczne kajdanki i zamknęły się wokół jego łydek. – Jak się trzymasz?

– A jak ci się wydaje? – warknął. Rylin wytrzeszczyła oczy. – Przepraszam – dodał zaraz, stając się na powrót chłopakiem, którego dobrze знаła i w którym kiedyś się zakochała. – Czasami jest po prostu naprawdę ciężko.

– Rozumiem – rzekła współczująco i przypomniała sobie, co powiedział strażnik. – Przynajmniej odwiedziła cię rodzina. – Rylin żałowała, że nie może od razu przejść do sedna, ale nie mogła tak po prostu wpaść i z nim zerwać, a już na pewno nie tutaj.

– Jaka rodzina? – Hiral przyciągnął do siebie torbę i zaczął niedbale przeglądać jej zawartość.

– Strażnik mówił, że miałeś już dzisiaj dwóch gości.

– To nie byli moi krewni. – Hiral, nie patrząc na Rylin, ugryzł jedno ciasteczko.

– Aha. – Rylin poczuła ucisk w żołądku. Ciekawe, czy to był V czy też jakaś inna osoba zamieszana w całą tę sprawę z narkotykami. Nie chciała tego wiedzieć. Może jednak lepiej będzie, jeśli od razu przejdzie do rzeczy. – Słuchaj, Hiral...

– Ry – przerwał jej chłopak. – Musisz coś dla mnie zrobić.

Dawniej od razu by się zgodziła, ale teraz wolą zachować ostrożność.

– Co takiego? – spytała nieufnie.

– Musisz mi pomóc wpłacić kaucję.

Absurdalność tej prośby sprawiła, że Rylin zaczęła się śmiać, ale Hiral popatrzył na nią gniewnie i zamilkła. Boże, on mówił poważnie.

Hiral oparł się łokciami o stół i ukrył głowę w dłoniach.

– Mój schowek znajduje się przy wejściu dla obsługi wind przy linii C na 17 piętrze. – Oczy miał przymknięte, a ramiona zgarbione, jakby w poczuciu przegranej.

– Hiral! – syknęła przerażona Rylin. A jeśli znajdował się tutaj podsłuch? Hiral mówił jednak dalej,

cicho, lecz szybko.

– W porządku. Połóż rękę na moim ramieniu. Nie podsłuchują nas. Nie chcę tylko, żeby widzieli moje usta, bo mogą śledzić ich ruch za pomocą aplikacji LipRead czy czegoś takiego.

Rylin z mocno walącym sercem zrobiła, jak kazał. Każdy, kto by się im przyglądał, pomyślałby, że Hiral jest przygnębiony i ukrył twarz w dłoniach, a ona próbuje go pocieszyć. Pięści trzymał tuż przy brodzie, zasłaniając nimi usta.

– Linia C, na 17 piętrze – powtórzył. – Za panelem z lewej strony. Musisz opróżnić skrytkę. Weź wszystko. Nic nie zostawiaj, a już zwłaszcza specjali od Andertona. V niedługo się z tobą skontaktuje, żeby ustalić termin i miejsce spotkania. Oddaj mu wszystko. To powinno wystarczyć na zapłacenie mojej kaucji. Głównie dzięki tobie i ukradzionym specjalom – dodał.

Rylin odebrało mowę. Czy Hiral naprawdę zgromadził zapas narkotyków wart piętnaście tysięcy nanodolarów? Kiedy zdążył to zrobić?

– Hiral, wiesz, że nie mogę – odparła powoli. – Gdy mnie przyłapią, Chrissa wyląduje w rodzinie zastępczej.

Hiral spojrzał na nią twardym, przenikliwym wzrokiem.

– Więc cała reszta może ryzykować więzieniem, ale ty jesteś na to za dobra?

– Przepraszam. – Rylin starała się zapanować nad głosem. – A co z V? Przecież on może się tym zająć.

– Wiesz, że on nie może wejść do szatni. Poza tym w tej sprawie ufam tylko tobie.

– Hiral, proszę...

– Chcesz, żebym tu został? O to chodzi? – warknął, a jego twarz zrobiła się czerwona.

– Oczywiście, że nie, ale...

– Do cholery, Ry! – Hiral uderzył pięścią w stół. Rylin odskoczyła do tyłu, ale on złapał jej nadgarstki w żelaznym uchwycie. – Zrobisz to dla mnie, dobrze? To właśnie robią dla siebie ludzie, którzy są ze sobą w związku. Pomagają sobie, chronią siebie nawzajem. Pomożesz mi się stąd wydostać, ponieważ jesteś moją dziewczyną. – Ostatnie słowo zabrzmiało w jego ustach niemal jak obelga. – A ponieważ jesteś moją dziewczyną, ja też będę strzegł twoich sekretów.

– Moich sekretów? – wyszeptała Rylin.

– Mam na myśli to, co wyniosłaś od Corda. Kocham cię, Rylin. Nigdy na ciebie nie doniosę, bez względu na to, ile razy będą mnie o to pytali.

Rylin miała wrażenie, jakby właśnie została uderzona w brzuch. Hiral szantażował ją skradzionymi specjalami. Rozejrzała się dookoła, czując, że zaczyna kręcić jej się w głowie. Czy policjanci mogli to słyszeć?

– Już ci mówiłem, że nie jestem na tyle ważny, by nas podsłuchiwali – powiedział Hiral, jakby czytał

jej w myślach. Odsunął się do tyłu i puścił jej rękę. Rylin położyła ją na kolanach. Uścisk Hirała był tak mocny, że aż zdrętwiały jej palce.

– Dobrze. Pomogę ci – wydusiła z trudem. Nie miała wyboru.

– No pewnie, że pomożesz.

Rylin oparła się rękami o stół. Nagle odniosła wrażenie, że w pomieszczeniu brakuje powietrza. Ściany zaczęły się do niej zbliżać, jakby to ona siedziała tu uwięziona.

Nie mogła zerwać z Hiralem. Przynajmniej nie w tej chwili. Musiała zostać z nim, aż to wszystko się skończy i wydostanie go z więzienia.

– A teraz podejdź tu i mnie pocałuj – rozkazał, wskazując głową na swoje skute nogi. Rylin posłusznie wstała i obeszła stół dookoła. Delikatnie musnęła Hirała wargami, ale on chwycił ją gwałtownie i wpił się mocno, wręcz boleśnie w jej usta.

Po chwili Rylin oderwała się od niego. Całą przenikał ją chłód.

– Powinnam wracać do domu – powiedziała, po czym odwróciła się w kierunku strażnika i głównego wejścia.

– Do zobaczenia wkrótce! – zawołał za nią Hiral.

Przez kilka minut Rylin szła przed siebie, zupełnie nie zdając sobie sprawy, dokąd w ogóle zmierza. W głowie nadal pobrzmiwała jej obrzydliwa groźba Hirała. Wreszcie dziewczyna zatrzymała się i wciąż trzęsąc się spazmatycznie, objęła się ramionami.

Stała przy wejściu do windy linii A, która jechała prosto pod mieszkanie Corda. „W sumie czemu nie?”, pomyślała. Cord wróci do domu dopiero późnym popołudniem. Przyjemnie będzie uciec na chwilę do jego bezpiecznego, wolnego od szantaży, luksusowego świata.

Kilka godzin później Rylin, trzymając na kolanach stary album instafotograficzny, siedziała zwinięta w fotelu w bibliotece Corda przed włączonym hologramem kominka. Nagle usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

– Cord, przepraszam – powiedziała, ale gdy podniosła głowę, zobaczyła Brice’a. Nie wiedziała nawet, że znów był w mieście.

– Widzę, że ciężko pracujesz – rzucił drwiąco.

– Cord pozwala mi robić sobie przerwy – odparła, próbując się bronić. Dobrze jednak wiedziała, jak to wyglądało. Podobnie jak Brice.

– Ale nie mnie to krytykować. – Brice uniósł ręce do góry. – Ja też lubię dostawać w pracy dodatkowe świadczenia, co nie?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odrzekła Rylin. Brice zrobił krok do przodu, a Rylin się skuliła, trzymając przed sobą album niczym tarczę. – Posłuchaj, może lepiej, żebyś...

– Co tu się dzieje? – W drzwiach stanął Cord. Serce Rylin przepełniło uczucie ulgi.

– Odbylem właśnie fascynującą rozmowę z naszą służącą na temat etyki pracy. – Brice puścił oko do

Rylin i wymknął się z pokoju.

– Przepraszam – powiedziała niepewnie Rylin, choć nie do końca wiedziała, za co przeprasza.

– Nie przejmuj się Brice'em, on już taki jest. Wydaje się przerażający, ale w gruncie rzeczy ma dobre serce.

„Czyżby?“, przeszło przez głowę Rylin. Wiedziała, że niekiedy dupkowate zachowanie Corda to tylko rodzaj zgrywy – i dobrze też wiedziała, od kogo się go nauczył – ale co do Brice'a to już nie była tego taka pewna.

– Co oglądasz? – Cord skinął na książkę, gdy usiadł obok Rylin.

– Nic takiego. – Rylin przeglądała od niechcienia album fotograficzny, szukając innych zdjęć mamy, ale jak na razie żadnego nie znalazła. – Nie sądziłam, że już tak późno – dodała tonem usprawiedliwienia, ale Cord machnął tylko ręką.

– Ja też uwielbiam ten pokój. – Rozejrzał się po półkach pełnych starych książek, spojrzął na dywan z kwietnymi motywami, sztuczny ogień trzaskający w kominku i emanujący ciepłem w tak przekonujący sposób, że wydawał się prawdziwy.

Rylin przeniosła wzrok z wiszącego na ścianie antycznego zegara na Corda. Miał na sobie zwykły szary T-shirt, a brzegi jego dżinsów były lekko ubłocone.

– Dzisiaj też uciekłeś ze szkoły? – spytała, choć i tak znała odpowiedź.

– To była specjalna okazja – odparł tylko chłopak. – Hej, nie widziałem tych zdjęć od wieków! – zmienił temat. – Czy to przyjęcie z okazji moich czwartych urodzin? To z Aladynem i holograficznym dżinem?

Rylin trzymała w milczeniu album, a Cord zaczął przewracać w nim strony. Tu i ówdzie pokazywał jej swoich obecnych znajomych w wieku kilku lat, jakiś ogromny tort – a na nim znacznie więcej niż cztery świece – albo też holograficzny pokaz magiczny, który najwyraźniej tak wystraszył Brice'a, że biedak aż zsiąkł się w spodnie. Rylin kiwała od czasu do czasu głową, nie zwracając jednak zbytnej uwagi na to, co opowiadał Cord. Myślami wciąż przebywała w pokoju widzeń i widziała Hirala w zupełnie nowym świetle.

W pewnym momencie Cord zamilkł i przyjrzał się Rylin wyczekująco, jakby miała odpowiedzieć na jakieś pytanie.

– Och! – wykrzyknęła zaskoczona. – To jest takie... hm...

Cord położył rękę na grzbiecie jej dłoni.

– Hej, co się dzieje?

Rylin odwróciła dłoń i spleli z Cordem palce. Czowała się z tym okropnie, że nie mogła być z nim

całkiem szczerą. Tkwiła w potrzasku wszystkich opowiadanych przez siebie kłamstw, które nawarstwiały się jedno na drugim, aż kiedyś wszystkie runą niczym domek z kart.

– Mój przyjaciel został aresztowany. Odwiedziłam go dziś w więzieniu – powiedziała, zdradzając tylko tyle, ile mogła. – Prawdę mówiąc, trochę to mną wstrząsnęło.

– Przykro mi – odparł Cord. Rylin bezradnie wzruszyła ramionami. – Za co został aresztowany? – spytał po chwili.

– Za handel narkotykami.

– A rzeczywiście handlował?

To pytanie sprawiło, że Rylin poczuła się przyparta do muru.

– Tak, handlował – odrzekła krótko.

– No cóż...

– Ty tego nie rozumiesz, okej? Nie wiesz, jak to jest mieszkać w slumsach, nie rozumiesz, że czasami musisz robić rzeczy, na które wcale nie masz ochoty, bo nie masz innego wyboru!

– Zawsze jest jakiś wybór – stwierdził cicho Cord.

Rylin wstała gwałtownie, zamknęła album i odstawiła go na półkę. Rozsądek podpowiadał jej, że Cord ma rację. Jednak z jakiegoś powodu wciąż była na niego zła.

– Hej, przepraszam. – Cord podszedł do niej i objął ją od tyłu ramionami. – Miałaś ciężki dzień. Nie chciałem... Przepraszam – powtórzył.

– Nic się nie stało – odparła Rylin, ale nie ruszyła się.

Stali tak przez chwilę w milczeniu. W bezruchu Corda było coś dziwnie uspokajającego. W końcu chłopak zrobił krok do tyłu.

– Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu – odezwał się, próbując rozładować napiętą atmosferę. – Zamówimy coś?

– Zawsze jesz tylko rzeczy na wynos?

– No cóż, zaproponowałbym, że coś dla ciebie ugotuję, ale moje talenty kulinarne ograniczają się do przyrządzania mrożonych klusek i robienia z siebie dumia.

– Zasłużyłeś sobie wtedy na ten policzek – powiedziała Rylin i uśmiechnęła się na wspomnienie ich pierwszego pocałunku. Miała wrażenie, jakby to było całe wieki temu.

Kiedy już zjedli – Rylin uparła się, że sama coś przyrządzi, choćby piezonego kurczaka zawijanego w plastry boczku, na co nigdy nie mogła sobie pozwolić w domu – dziewczyna zwinęła się na kanapie w salonie. Wiedziała, że powinna wracać. Niedługo do domu miała przyjść Chrissa, która w związku ze zbliżającym się turniejem stanowym przez cały tydzień trenowała do późna. Ale Rylin czuła się wycieńczona, miała za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Musiała odpocząć choć przez chwilę.

– Chcesz zostać? – spytał Cord, a jego zwykła pewność siebie gdzieś się ulotniła. Rylin dobrze wiedziała, co miał na myśli. Ale na razie nie była jeszcze na to gotowa.

– Muszę wracać do domu – powiedziała i potężnie ziewnęła. – Mogę tylko... na pięć minetek... – Oparła głowę na poduszce. Cord chciał odejść, ale Rylin nie zamierzała mu na to pozwolić. – Poczekaj – zaprotestowała sennym głosem.

Chłopak położył się obok niej, a Rylin wtuliła się w niego plecami. Z wolna jej oddech stawał się coraz bardziej regularny.

Po pewnym czasie Cord zsunął się z kanapy. Rylin już spała, nie widziała więc, jak chłopak szuka koca w szafie, a potem starannie ją nim okrywa. Nie widziała też, jak patrzy na nią przez chwilę, obserwując jej trzepoczące podczas snu rzęsy. Nie widziała też, jak pochyla się nad nią, odgarnia do tyłu jej włosy, a potem całuje ją delikatnie w czoło, by w końcu pójść do swojego pokoju i zamknąć za sobą drzwi.

Kiedy jednak przebudziła się w środku nocy i poczuła na sobie koc, naciągnęła go jeszcze wyżej i uśmiechnęła się w ciemności.

ERIS

Wraz z resztą klasy Eris leżała na podłodze w pracowni historii sztuki i patrząc w sufit, przyglądała się hologramowi Michała Anioła malującego Kaplicę Sykstyńską. Słyszała, jak Avery obok niej wzdycha przy każdym pociągnięciu pędzlem przez artystę. Nigdy nie rozumiała, dlaczego jej przyjaciółka tak bardzo kocha sztukę – zresztą to przez Avery Eris w ogóle zapisała się na te zajęcia. Nauczyciel zaczął im o czymś opowiadać, chyba coś o papieżach, ale Eris go nie słuchała. Dla wygody podłożyła sobie pod głowę torebkę. Przesunęła wzrok na dziewczęcą postać w kącie sufitu, która trzymała w dłoniach zwój i z niepokojem patrzyła przez ramię na malowanego anioła. Obie z Eris miały taki sam miedzianozłoty kolor włosów.

Ciekawe, co powiedziałyby Mariel, widząc tę niezwykle zajmującą lekcję? Pewnie po prostu by się zaśmiała i przewróciła oczami, a potem dorzuciła komentarz o tym, jak to bogacze nie wiedzą, co robić z pieniędzmi. Eris rozejrzała się wokół. Z sali zniknęły biurka, tablice i okna. Za sprawą skomplikowanego i niewiarygodnie kosztownego systemu hologramów oraz luster każda powierzchnia została tu przemieniona we wnętrze piętnastowiecznego kościoła. Eris zaczęła się nagle zastanawiać, ile rodzin z niższych pięter można by wyżywić za wartość sprzętu znajdującego się tylko w tej jednej sali.

Nie mogła się doczekać, kiedy lekcja dobiegnie końca, żeby wyskoczyć poza obręb siatki zagłuszającej i sprawdzić, czy dostała jakąś wiadomość od Mariel. Większość minionego tygodnia

spędziły razem. Sąsiadka przyszła do mieszkania Eris nazajutrz rano po wizycie w kościele i oznajmiła po prostu:

– W porządku.

Eris zaś skinęła głową, i to wystarczyło.

I tak narodziła się niepisana tradycja, zgodnie z którą spotykały się wieczorami po powrocie Mariel z pracy. Czasami po prostu odrabiały wspólnie lekcje albo oglądały odmóżdżające komedie, albo załatwiały zakupy dla mamy Mariel, która była ekspedientką w galerii handlowej. Niemal za każdym razem pani Valconsuelo zapraszała Eris na kolację. W rezultacie jadła u nich przez ostatnie trzy wieczory z rzędu. Przyjemnie było czuć się znowu częścią rodziny. Im więcej czasu spędzała z Mariel, tym bardziej chciała przebywać w jej towarzystwie.

Głośne piknięcie przedarło się nagle przez ciche nucenie hologramowego Michała Anioła. „Wiadomość od dyrekcji”, pomyślała z zaciekawieniem Eris. A potem usłyszała własne nazwisko:

– Eris Dodd-Radson!

Dawna Eris byłaby z tego powodu zachwycona, podniosłaby się powoli i odrzuciła włosy do tyłu, każąc domyślać się wszystkim w klasie, w jakie to fantastyczne miejsce znowu się wybiera. Ale teraz zerwała się tylko na nogi i chwyciła swoje rzeczy. Zignorowała szept Avery i wyszła szybko z sali, kierując się do gabinetu dyrekcji.

Ostatnią osobą, którą spodziewała się tam zobaczyć, była jej mama.

– Eris! – wykrzyknęła Caroline, podeszła do niej szybkim krokiem i uściskała ją. Eris stała bez ruchu zszokowana tym, że mama zjawiała się, żeby odebrać ją ze szkoły. – Chodźmy. – Mama położyła jej rękę na plecach i stanowczym gestem wyprowadziła ją przez boczne drzwi. Sekretarka rzuciła im sztuczny uśmiech i natychmiast opuściła wzrok na ekran swojego tabletu.

Pod szkołą czekał na nie hover.

– Przecież nie stać nas na hovera – zwróciła uwagę Eris, ale mama wepchnęła ją do środka i zaczęła wpisywać cel podróży.

– Trzymaj. – Caroline wręczyła córce pokrowiec na ubrania. – Przebierz się. Bo się spóźnimy.

– Mówisz serio? – spytała Eris.

– Proszę cię. Jakbyś nigdy wcześniej nie przebierała się w hoverze – odparła mama. Miała rację.

Eris wyskoczyła ze szkolnego mundurka i włożyła na siebie swoją najładniejszą sukienkę na ramiączkach: fioletową od Lanvin, z wielkimi plamami błękitu i bieli. Nie zdążyła jej jednak spakować przed przeprowadzką, dlatego posłała mamie pytające spojrzenie.

– Zabrałam ją dla ciebie z magazynu. – Caroline wzruszyła ramionami, a serce Eris ścisnęło się z wdzięczności.

W końcu hover zatrzymał się na brukowanym dziedzińcu hotelu Lemark na 910 piętrze. Eris wciąż

nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Mamo – burknęła, tracąc cierpliwość – nie możesz mnie tak po prostu wyciągać z lekcji i spodziewać się...

– Mamy się tutaj spotkać z twoim biologicznym ojcem.

Nagle zrobiło się cicho, a świat zaczął wirować dookoła. Eris nie potrafiła zebrać myśli.

– Och – wydusiła z siebie wreszcie. Wysiadła za mamą z hovera. Stojąca na dziedzińcu fontanna rozpryskiwała wodę w kształt gigantycznej litery L.

– Po tym, jak zaczęłaś o niego wypytywać, skontaktowałam się z nim i wszystko mu opowiedziałam. Chce cię poznać.

Eris podniosła głowę i popatrzyła na budynek hotelu zamglonymi nagle od łez oczami.

– Jest tutaj? – wyszeptwała.

– Czeka na nas w środku. – Mama skinęła głową.

Eris stała przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić.

– W porządku – usłyszała własny głos. Wiedziała, że postępuje właściwie. Gdyby teraz się z nim nie spotkała, kiedy był tuż obok, żałowałyby tego do końca życia.

Caroline zrobiła krok w jej stronę. Eris chciała się odsunąć, ale zmieniła zdanie. „Już dostatecznie ją ukarałam”, stwierdziła w myślach i pozwoliła się mamie objąć.

– Kocham cię, Eris – szepnęła Caroline. Eris poczuła coś mokrego na szyi i uświadomiła sobie, że mama płacze.

– Ja też cię kocham, mamo – odparła Eris, a na murze, jaki sama wzniosła między nimi, pojawiło się pierwsze drobne pęknięcie.

Eris w milczeniu weszła do chłodnego, wyciszonego lobby hotelu Lemark, gdzie konsjerż w białych rękawiczkach rozmawiał z otyłą kobietą w stroju do golfa. Położony nieco z boku, przy 17 Ulicy i Riverside, hotel był ulubionym miejscem sekretnych spotkań biznesmenów i – jak słyszała Eris – par utrzymujących potajemne romanse. Rzekomo sam prezydent wymykał się tu na schadzki ze swą obecną żoną, zanim rozwiódł się z byłą pierwszą damą. Eris nie wiedziała, co to oznacza. Dlaczego jej ojciec zaproponował takie właśnie miejsce? W każdym razie sprawiło to, że poczuła się nieco nieswojo, jakby obie z mamą były jakimś wstydliwym sekretem. „To nic takiego – powiedziała sobie – pewnie zależy mu na dyskrecji”.

Weszły do sali restauracyjnej, w której poszczególne łóża z obitymi skórą kanapami znajdowały się tak daleko od siebie, że było niemożliwe, by goście siedzący w jednej z nich widzieli korzystających z innej. Eris zdała sobie też sprawę, że nie słyszy w ogóle żadnych rozmów, tylko muzykę rozbrzmiewającą przez głośniki. Może wszystkie stoliki były wyposażone w wyciszacze.

Hostessa, ciemnooka brunetka w kostiumie z obcisłą spódnicą, spojrzała w ich stronę.

– Nazywamy się Dodd-Radson – powiedziała mama, uparcie przedstawiając się starym nazwiskiem. A może używała go po prostu z przyzwyczajenia, tak jak ciągle przydarzało się to Eris. Ale hostessa najwyraźniej wiedziała, z kim ma do czynienia.

– Proszę za mną – rzuciła i poprowadziła je pomiędzy ustawionymi luźno stolikami, co zapewniało dyskrecję, do łóży w kącie z tyłu sali. – Już na panie czeka.

Eris przeszedł dreszcz niepokoju i odruchowo chwyciła mamę za rękę. W chwili gdy podeszły do stolika, siedzący w mroku mężczyzna podniósł się, a Eris wydała z siebie ostry, pełen bezradności śmiech.

Odwróciła się do hostessy.

– To nie ten stolik. Mamy spotkać się tu z kimś innym. – Eris dobrze знаła mężczyznę, który przed nią stał. Był to Matt Cole, tata Ledy. Co za niezwykły zbieg okoliczności.

Hostessa jednak już odwróciła się na pięcie, natomiast pan Cole odchrząknął.

– Caroline – odezwał się niskim, schrypniętym głosem – jak zwykle miło cię widzieć. – Wyciągnął z zakłopotaniem rękę. – Eris, dziękuję, że przyszłaś. – A ona nagle uświadomiła sobie ze zdumieniem, że nie zaszła żadna pomyłka.

Wyglądało na to, że tata Ledy był również jej ojcem.

Obie z mamą usiadły i przesunęły się wyraźnie speszone wzdłuż kanapy, tak że Eris znalazła się w środku. Zapadło ciężkie i pełne napięcia milczenie. Pan Cole przyglądał się Eris, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, przesuwał wzrok po jej twarzy, prawdopodobnie próbując odnaleźć w jej rysach siebie samego. Mieli podobne usta, a jego skóra była tak samo jasna jak u Eris. Ale Eris tak bardzo przypominała mamę, że trudno było dostrzec w jej wyglądzie jakieś podobieństwo do ojca.

Do stolika przytoczył się bot z tacą z napojami i zaczął rozstawiać je na stoliku.

– Przepraszam, pośpieszyłem się i już zamówiłem – przyznał z zakłopotaniem pan Cole. – Caroline, dla ciebie szprycer, a dla ciebie, Eris, wziąłem lemoniadę. Jeśli dobrze pamiętam, to twój ulubiony napój, prawda? – Eris skinęła tylko w osłupieniu głową. „Tak, to był mój ulubiony napój w ósmej klasie, kiedy po raz pierwszy i jak dotąd jedyny Leda zaprosiła mnie do siebie na noc”.

Siedzieli, w milczeniu sącąc napoje. Każde z nich czekało, aż ktoś inny rozpocznie rozmowę. Eris nie zamierzała odzywać się pierwsza. Wciąż próbowała jakoś to wszystko sobie poukładać. Przez głowę przelatywały jej wspomnienia tysięcy rozmaitych sytuacji: jak mama pytała ją, którzy rodzice będą jeszcze obecni, zanim zgodziła się przyjść na szkolną imprezę; jej pozornie zwyczajne pytania o Ledę, które teraz okazywały się wcale nie takie zwyczajne. Teraz to wszystko nabierało sensu. Ale...

– Kiedy? – wypaliła Eris, potrząsając głową z niedowierzaniem. – To znaczy... kiedy wy dwoje... – „... się spiknęliście?” Nie wiedziała, jak ma sformułować to pytanie, ale mama zrozumiała, o co jej chodzi.

– Poznaliśmy się z Mattem, gdy mieliśmy po dwadzieścia parę lat – wyjaśniła Caroline, patrząc na córkę. – Zanim jeszcze spotkałam twojego ojca. Należeliśmy do tej samej paczki przyjaciół, wszyscy byliśmy nowi w mieście. Wieża była dopiero w budowie, więc mieszkaliśmy w różnych dzielnicach, czekając, aż zostanie ukończona. Wszyscy byliśmy strasznie biedni – zwróciła się do pana Cole’a. – Żyliśmy od wypłaty do wypłaty. Pamiętasz, jak w moim pierwszym mieszkaniu w Jersey City zamiast zasłon powiesiłam w oknach ręczniki plażowe?

– Nie stać cię było nawet na meble – dodał pan Cole z rozbawieniem w głosie. – Jako stolika kawowego używałaś ułożonych jedna na drugiej drewnianych skrzynek.

– Latem, gdy robiło się gorąco, a nas nie było stać na klimatyzację, szliśmy do hali targowej, w której handlowali farmerzy, i włączyliśmy się alejkami, dopóki ochrona nas nie wyrzuciła.

Eris patrzyła to na jedno, to na drugie, zupełnie wytrącona z równowagi tymi opowieściami. Mama uśmiechnęła się łagodnie na wspomnienie tego wszystkiego, po czym już z całkiem poważną miną odwróciła się do córki.

– W każdym razie – ciągnęła – wtedy zaczęłam karierę modelki. Poznałam Everetta, a Matt wrócił na jakiś czas do swojego domu w Illinois. Następnym razem zobaczyliśmy się dopiero kilka lat później, a ja byłam już mężatką...

„A pan Cole był już żonaty”, dodała w myślach Eris. Przypomniała sobie, że mama Ledy była dziewczyną pana Cole’a jeszcze w liceum, i kiedy wrócił do domu, by zająć się chorym ojcem, zaczęli spotykać się na nowo, potem zaś nakłonił ją, żeby przenieśli się do Nowego Jorku do wybudowanej niedawno Wieży. Boże, pani Cole była pewnie w ciąży z Jamiem, gdy Matt po raz kolejny zobaczył się z Caroline. Ale teraz żadne z nich nawet nie wspomniało o tym drobnym szczególe.

– Cóż, odnowiliśmy dawną znajomość i wtedy... – Caroline spojrzała na Eris. – I wtedy pojawiłaś się ty. – Odwróciła wzrok, ściskając tak mocno serwetkę leżącą na kolanach, aż zbieleły jej kłykcie.

– Eris – wtrącił tata Ledy, a właściwie jej tata – nie miałem o tym pojęcia, dopóki twoja mama do mnie nie zadzwoniła. Nigdy bym nawet nie przypuszczał, że możesz być moją córką. Jak zapewne wiesz, Caroline i ja od lat nie jesteśmy... w żaden sposób ze sobą związani. – Odchrząknął w poważny sposób. Eris przyszło do głowy, że on pewnie też jeszcze jest w szoku. – Wyobrażam sobie, że to wszystko jest dla ciebie okropnie trudne.

– Tak, jest do kitu – odparła oschle Eris. Mama ścisnęła jej dłoń.

– Proszę, jeśli tylko mogę ci jakoś pomóc, wystarczy słowo – oświadczył pan Cole.

Eris popatrzyła na mamę. Czy pan Cole wiedział, że mieszkają na 103 piętrze? Co zamierzał powiedzieć swojej rodzinie? Ale gdy już miała otworzyć usta, by go o to zapytać, pan Cole stuknął w środek stołu, przywołując na nim holograficzne menu.

– Może zjemy razem lunch? – zaproponował z wahaniem. – Podobno mają tu znakomite sajgonki z shishito. Oczywiście, jeśli tylko macie czas.

– Z przyjemnością – oznajmiła stanowczo Caroline.

Eris upiła duży łyk lemoniady, na którą wcale nie miała ochoty. Jej umysł wciąż próbował się przystosować do tej nowej, dziwnej rzeczywistości. Pan Cole napotkał jej wzrok i uśmiechnął się nieśmiało. Eris poczuła, że nieco mięknie jej serce. Pomyślała o swojej wizycie w kościele z Mariel i o tym, jak nieznanymi ludźmi nawiązują ze sobą więź wyłącznie za pomocą spojrzenia i dotyku. A to był jej rodzony ojciec – nie jakiś nieznajomy – i także próbował na swój sposób nawiązać z nią więź.

Natomiast człowiek, którego przez osiemnaście lat uważała za swojego ojca, przestał się do niej odzywać.

Tata Ledy był również jej tatą. Była to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała. Ale przyszedł spotkać się z nią i przynajmniej się starał.

Eris spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

– Jasne – odparła tak radośnie, jak tylko potrafiła. – Lunch to świetny pomysł.

LEDA

Usiadła nagle całkiem prosto, dysząc gwałtownie, a jej jedwabna piżama była mokra od potu. Mocno ścisnęła palcami pościel, która owinęła jej się ciasno wokół rąk.

Znów dręczyły ją koszmary.

Światła w pokoju zaczęły powoli się rozświecać, jak tylko komputer pokojowy wykrył, że się obudziła. Tkwiła teraz skulona pośrodku ogromnego łóżka, obejmując się ramionami. Cała się trzęsła. Jej kończyny zdawały się zbyt ciężkie, by mogła nimi poruszać, miała wrażenie, jakby skurczyła się do miniaturowej postaci stojącej za pulpitem sterowniczym olbrzymiego, powolnego ciała.

Potrzebowała działki. I to rozpaczliwie. Boże, nie pragnęła tego tak bardzo od pierwszych dni odwyku. W tantym okresie miewała takie sny co noc: o tym, jak tonie w wodzie czarnej niczym atrament, o próbujących ją chwycić palcach, sztywnych i zimnych jak śmierć. „Jestem swoim największym sojusznikiem”, powtarzała sobie, próbując się skupić, ale nie potrafiła. Czuła, jak wszystko w niej zastyga, a umysł staje się przytłumiony, i potrzebowała jedynie uderzenia xenperedrenu, żeby wrócić do życia.

Gdy w końcu stwierdziła, że znów może się ruszać, odrzuciła kołdrę, związała włosy na czubku głowy i ruszyła do kuchni. Musiała napić się wody. Oczywiście mogła poprosić o to komputer pokojowy, ale uznała, że mały spacer dobrze jej zrobi i pomoże się uspokoić. Miała wrażenie, jakby ktoś próbował rozbić jej czaszkę od środka.

W mieszkaniu panowała upiorna cisza. Leda zaczęła iść szybciej, omijając bosymi stopami kwadraty

księżycowego światła na podłodze, tak jak robili w dzieciństwie z Jamiem, kiedy udawali, że nadeptanie na płamę światła przynosi pecha. W kuchni otworzyła drzwi lodówki i stała tak przez chwilę, pozwalając, żeby zimne powietrze owiewało jej twarz.

Miała przymknięte powieki, lecz za nimi, niemal półświadomie, zaczęła pisać flika do swojego starego dealera Rossa. Ostatkiem woli powstrzymała się jednak przed wysłaniem wiadomości. „Wszystko jest w porządku – powtarzała – wręcz znakomicie”. Miała iść na galę Klubu Uniwersyteckiego z Atlasem. Jakie to miało znaczenie, że zapłaci za to przyjaźnią z Avery? W końcu sama Avery zachowuje się dziwnie. Leda powtarzała sobie, że zasłużyła na Atlasa, zasłużyła na szczęście.

Zacisnęła szczęki, odwróciła się i ruszyła z powrotem do sypialni, lecz w korytarzu nagle o coś się potknęła. Zakłęła pod nosem. Teczka taty leżała dokładnie tam, gdzie postawił ją po powrocie z pracy. Leda znieruchomiała na widok płaskiego pomarańczowego pudełka wystającego z bocznej kieszeni teczki. Najwidoczniej tata był na zakupach w butik Calvadour. Za kilka dni przypadała rocznica ślubu rodziców i zapewne był to prezent dla mamy.

Bez najmniejszych skrępowań uniosła sam róg pokrywki, żeby zobaczyć, co kupił tata. Był to wspaniały, kremowy szal z kaszmiru, ozdobiony na brzegach ręcznym haftem. Leda wydała szkłom szybkie polecenie głosowe i sprawdziła jego cenę na ShopMatch. Gdy zobaczyła, ile kosztował, niemal jęknęła z wrażenia. Tata musiał wciąż ogromnie kochać mamę.

Albo też miał z jakiegoś powodu ogromne wyrzuty sumienia.

Leda odłożyła pudełko na miejsce i poszła dalej korytarzem. Wpełzła z powrotem do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Czowała niepokój. Żałowała, że nie wypada jej wysłać flika do Atlasa, ale był środek nocy i nie chciała wyjść na wariatkę.

„Jakie masz najnowsze wieści w sprawie Atlasa?”, napisała więc do Nadii, wcale nie spodziewając się szybkiej odpowiedzi.

Otrzymała ją jednak już kilka chwil później: „Prawdę mówiąc, mam coś nowego”.

Leda zaczęła czytać wiadomość z rosnącym zdumieniem. Wynikało z niej bowiem, że ostatnie parę miesięcy Atlas spędził w Amazonii, pracując w położonym w kompletnej głęszy ośrodku wypoczynkowym. Na dowód Nadia załączyła nawet kilka zdjęć zrobionych zapewne przez przelatujące nad tym obszarem satelity.

„Włamałaś się do Departamentu Stanu?”, spytała z niedowierzaniem Leda. Tego rodzaju fotografie mogły pochodzić jedynie z rządowej sieci komunikacyjnej.

„Mówiłam, że jestem najlepsza”.

Leda leżała w łóżku z przymkniętymi oczami i półgłosem wydawała swym szkłom polecenia, podczas gdy one wyświetlały dla niej jedno zdjęcie po drugim. Chłopak na fotografii był znacznie mocniej opalony i miał zaczątki brody, ale to bez wątplenia był Atlas.

Leda rzucała się na boki, wciąż nie mogąc zasnąć. Przez głowę nieustannie przemykały jej mroczne, dziwne obrazy z koszmaru. Szkic wiadomości do Rossa nadal był widoczny na wewnętrznej stronie jej powiek. Boże, jakże chciała ją wysłać.

Czy ktokolwiek czuł się kiedyś tak samo jak ona osamotniony, oszalały i prześladowany przez strach, którego źródeł nie umiała dokładnie określić? Może Avery? Nie, Leda w to wątpiła. A może Atlas potrafiłby ją zrozumieć? Może zniknął w zeszłym roku właśnie dlatego, że sam przed czymś uciekał? Na pewno przed czymś strasznym, skoro musiał się ukryć aż w tropikalnym lesie.

Leda zastanawiała się, czy Atlasowi udało się już dojść z samym sobą do ładu. Czy jego też po nocach dręczyły demony?

WATT

Stał pod sklepem o nazwie Konfekcja Męska Norton Harcrow na 951 piętrze i czekał ze zniecierpliwieniem na Avery.

„Wielu naukowców uważa, że zdenerwowanie można zmniejszyć za pomocą rutynowych czynności, na przykład liczenia – zwłaszcza wyobrażając sobie przy tym jakieś niegroźne zwierzę. Chociażby owcę”, wyświetliła Nadia na jego szklach.

„Wcale się nie denerwuję”, odparł zirytowany Watt.

„Tak się składa, że wykazujesz wiele fizjologicznych objawów zdenerwowania: przyspieszone tętno, spocone dłonie”. Rysunkowa owca przesłoniła mu nagle pole widzenia. Watt potrząsnął głową, żeby rozwiązać ten obraz.

„Możesz po prostu siedzieć cicho, dopóki sam cię o coś nie spytam?” Z zażenowaniem wytarł dłonie we wnętrze kieszeni, a tymczasem obok zatrzymał się hover i wysiadła z niego Avery.

– Watt! – Dziewczyna odrzuciła na plecy fałę swych jasnych, słonecznikowych włosów. Była ubrana w prostą białą sukienkę, która doskonale podkreślała kształty jej szczupłego, opalonego ciała. Na dekolcie błyszczał naszyjnik z czarnych kamieni. – Tak się cieszę na nasze wspólne zakupy – powiedziała, prowadząc Watta do sklepu.

– Dzięki, że ze mną idziesz – odparł. – I oczywiście dzięki, że zaprosiłaś mnie na galę.

– Na pewno masz na myśli to samo przyjęcie co ja? – zażartowała Avery. – Trochę mi głupio, że ciągnę cię ze sobą. Sam wiesz, jak czasami bywa na takich imprezach.

„Nie, nie wiem. Ale mam to gdzieś. Ważne, że ty tam będziesz”. Watt na szczęście nie musiał odpowiadać, bo właśnie weszli prosto w solidne drewniane drzwi sklepu, które jak się okazało, wcale nie były ani solidne, ani drewniane. Był to tylko hologram, który rozpląnął się i przybrał nową postać, gdy

tylko przez niego przeszli. Watt obejrzał się przez ramię i zobaczył, że wejście do sklepu przypominało teraz szereg marmurowych, greckich kolumn.

– Bardzo kujońskie w stylu – stwierdził z przekąsem niemal dokładnie w tym samym momencie, gdy Avery westchnęła z zachwytem i rzekła:

– Uwielbiam te drzwi.

Watta ogarnęło zawstydzenie – nigdy dotąd nie naśmiewał się z czegoś, co podobało się jakiejś dziewczynie, Nadia zawsze chroniła go przed takimi wpadkami – lecz ku jego zaskoczeniu Avery zaczęła się śmiać z jego gry słów.

– Prawdę mówiąc, to chyba styl dorycki, ale całkiem niezłe – powiedziała z udawaną powagą. – Razem z Eris chodzimy w tym roku na zajęcia z historii sztuki.

– To pewnie dla was straszna męka, że musicie patrzeć na te wszystkie piękne rzeczy, których nie możecie kupić – rzucił Watt i natychmiast wystraszył się, że tym razem posunął się za daleko. Nie był przyzwyczajony do prowadzenia tego rodzaju żartobliwej pogawędki bez pomocy Nadii.

Jednak Avery znów tylko się roześmiała.

– Wiesz co, nikt nigdy tak tego nie ujął, ale możesz mieć rację.

– A tak w ogóle, to jak się czuje Eris? – spytał Watt, mając na myśli to, co się wydarzyło na imprezie urodzinowej.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna – przyznała Avery. – Wyszła dziś ze szkoły w środku dnia, co chyba raczej nie wróży nic dobrego, prawda?

Watt chciałby zaoferować jakąś pomoc, na przykład sprawdzić, gdzie Eris się udała, jeśli to miałyby uspokoić Avery, ale wiedział, że to niestety niemożliwe.

Gdy szli przez sklep w stronę działu z wizytowymi ubraniami, stojący za ladami sprzedawcy pozdrawiali Avery skinieniem głowy albo rzucając do niej „cześć, Avery”.

– Zdaje się, że wszyscy cię tu znają – stwierdził nieco onieśmielony Watt.

– Często robię tu zakupy. – Wzruszyła ramionami.

– Ale to sklep dla mężczyzn – zwrócił uwagę Watt.

– Wiem – odpowiedziała z uśmiechem.

Watt stapał za nią wzdłuż półek pełnych krawatów w jaskrawych kolorach, pasków do spodni, bokserek i eleganckich aktówek aż do przestronnej części oznaczonej jako STROJE WIZYTOWE. Ściany i podłoga w tym pomieszczeniu lśniły surową, industrialną bielą, od której odcinały się tylko skórzane fotele i małe kanapy. Rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył nigdzie żadnych ubrań.

– Trochę tu jasno, prawda? – zauważył. Ta biel była tak oślepiająca, że musiał włączyć w szklach blokadę światła.

Avery posłała mu zdziwione spojrzenie.

– To po to, żeby można było wykreować odpowiednią scenerię. Nie robili tego, jak ostatnim razem mierzyłeś smoking?

– Avery, najdroższa. – Z zaplecza wyłoniła się blada, wymizerowana ekspedientka z podkrążonymi oczami, rękawy ciemnografitowego swetra opadały jej luźno wokół chudych nadgarstków. Wyglądała znajomo, ale Watt nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna. „Nadia?” – Kogo mi dziś przyprowadziłaś? Nie Atlasa?

– Rebecca, to jest mój przyjaciel Watt. Potrzebuje nowego smokingu.

Na jego widok Rebecca zacisnęła usta i zwęziła oczy. Najwyraźniej ona też go rozpoznała. Wyglądała na kilka lat starszą od Watta i Avery, ale niewiele. Czy czasem...

„Jedenasty grudnia zeszłego roku, Anchor Bar – przypomniała mu Nadia. – Powiedziała ci, że ma na imię Bex i studiuje na pierwszym roku w Amherst. Zobaczyła cię znowu kolejnego wieczoru, ale ją zignorowałeś i zacząłeś rozmawiać z jej przyjaciółką”.

Cóż, to wyjaśniało, dlaczego zachowywała się w tak nieprzyjazny sposób.

– W takim razie zaczynamy – zarządziła ostrym tonem Rebecca. – Watt, czy mógłbyś... Och. – Zamilkła i zmarszczyła z niesmakiem nos, widząc, że Watt zaczyna rozpinać koszulę. – Nie ma potrzeby się rozbierać. Nie jesteśmy w jakimś Bloomingdale’s. – Wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia.

– Nie zamierzacie wziąć ze mnie miary? – spytał Watt, a Rebecca zaśmiała się rehotliwie.

– Norton Harcrow wykonał skan 4D twojego ciała, gdy weszliśmy do środka – powiedziała łagodnym tonem Avery. – Pomiar jest dokładny co do milimetra i smoking będzie na tobie leżał jak ulał. Znasz ich motto, „Bez konieczności przeróbek”?

– Jak to 4D? – wypalił bez namysłu Watt, starając się ukryć zakłopotanie.

– Uaktualniają twoje wymiary za każdym razem, gdy tu wchodzisz, i informują cię, jak twoje ciało się zmieniło od ostatniej wizyty – wyjaśniła Avery. – Znam facetów, którzy przychodzą tutaj tylko po to, żeby śledzić, jakie postępy poczynili dzięki treningowi. – Rebecca zaczęła pisać coś na tablicie i po chwili na środku pomieszczenia pojawiła się wielka niebieska sylwetka, czyli holograficzny skan ciała Watta.

– Jakiego rodzaju elementy chcecie określić? Wielkość guzików, podszewka, klapy...? – spytała z lekkim rozdrażnieniem i spojrzała wyczekująco na Watta.

„Nadia? Gdzie jesteś?”

– Może najpierw zaprojektuj scenę – zasugerowała Avery, bezbłędnie odczytując milczenie chłopaka. – To na galę w Klubie Uniwersyteckim, więc proponuję wiśniowe podłogi, przyćmione światło i ciemne ściany ozdobione tymi okropnymi białymi kotarami, wiesz, o których mówię.

„Kazałeś, żebym nie podsuwała ci informacji, chyba że sam o nie wyraźnie poprosisz”, odparła Nadia.

„W takim razie cofam to polecenie”, burknął Watt.

Rebecca znów zaczęła stukać coś na tablecie i pomieszczenie natychmiast zmieniło się w pustą, wytworną salę balową z drewnianym parkietem i wysokimi, wąskimi oknami, za którymi widniała noc. Kilka kolejnych stuknięć w tablet i salę zapełniły małe grupki gości ubranych w smokingi i długie powłóczyste suknie.

Sylwetka Watta wciąż znajdowała się zawieszona w powietrzu niczym upiorny, bezgłowy manekin. Rebecca skinęła głową i w jednej chwili na skanie jego ciała zmaterializował się smoking o dokładnie takim rozmiarze i kształcie, jakby został uszyty idealnie na Watta.

– Ciemnogranatowy, granatowy czy czarny? – spytała.

– Może czarny? – zaproponował Watt. Rebecca podeszła do niego i zaczęła poruszać rękami w powietrzu, rozszerzając palce, by skupić się na jakimś wybranym elemencie lub też łącząc je ze sobą, aby powrócić do pełnego obrazu. Najpierw wybrała klapy smokingu, przeszukując rozmaite szerokości oraz faktury jedwabiu, przenosząc wzrok z hologramu na Watta i z powrotem.

– Formalny strój powinien być minimalistyczny, aby odwracać uwagę od ciała osoby, która go nosi – mamrotała niemalże pod nosem – ale ty masz tak szeroką klatkę piersiową, że dla zachowania równowagi możesz potrzebować szerokich, otwartych klap z wycięciami.

– Jasne – zgodził się bezradnie. Czy miał to być rodzaj zniewagi?

– Jaki masz typ muszki: motyl czy nietoperz?

Nadia wyświetliła mu na szklach ściągę z kształtów muszek, ale Watt wciąż nie mógł się zdecydować. Avery i Rebecca patrzyły na niego wyczekująco.

– Nie mam muszki – oznajmił. – Zniszczyłem ją razem z poprzednim smokingiem. Potrzebuję więc i jednego, i drugiego.

W oczach Avery pojawił się błysk zrozumienia i wysunęła się do przodu.

– Mnie osobiście podoba się typ motyl – pośpieszyła mu z pomocą. – Wolę bardziej klasyczny styl. Co myślisz o listewkowej kieszeni, szerokim pasie smokingowym i ewentualnie szelkach?

– Brzmi doskonale – odparł Watt z wdzięcznością, tymczasem Rebecca obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i wprowadziła do projektu konieczne poprawki.

Na widok rachunku Watt przełknął ślinę, ale dzięki pieniądzom otrzymanym ostatnio od Ledy – zwłaszcza premii za zdjęcia Atlasa w Amazonii – było go na to stać. Prawdę mówiąc, całą tę randkę zawdzięczał Ledzie, pomyślał z rozbawieniem. Gdyby nie ona, nigdy nie dowiedziałby się o istnieniu Avery.

Gdy wyszli ze sklepu – frontowe drzwi przybrały teraz postać starej bramy z kutego żelaza owiniętej holograficzną winoroślą – Avery odwróciła się do Watta.

– To twój pierwszy smoking, mam rację? – spytała cicho.

Nadia zaproponowała mu szeroki wybór wykrętów, ale Watt miał już dość ukrywania prawdy.

– Tak, pierwszy – odrzekł.

Avery nie wyglądała jednak na zdziwioną.

– Nie musiałeś mnie okłamywać.

– Nie kłamałem. A przynajmniej nie kłamałem w żadnej ważnej sprawie. Nie powiedziałem po prostu wszystkiego – zaczął się tłumaczyć. Mówił Avery prawdę za każdym razem, gdy go o coś pytała, na przykład ile ma rodzeństwa albo co lubi robić. Jednak za każdym razem, gdy zadawała mu jakieś niewygodne pytanie, zręcznie uchylał się od odpowiedzi i pozwalał jej dopowiedzieć sobie, co sama chciała. Czuł się z tego powodu bardzo dumny, ale nagle ta metoda zaczęła w dużym stopniu przypominać kłamstwo. – Właściwie to mieszkam na 240 piętrze – wyznał, po czym odwrócił wzrok, nie chcąc patrzeć na reakcję dziewczyny.

– Watt. – Ton głosu Avery skłonił go, by podniósł wzrok. – To nie ma dla mnie znaczenia. Proszę, nie okłamuj mnie więcej. Już zbyt wiele osób to robi. Pomyślałam... – zacisnęła usta. – Lubię cię między innymi dlatego, że wydawało mi się, że jesteś ze mną szczery.

– Jestem – zapewnił ją Watt. Zaraz jednak pomyślał z poczuciem winy o Nadii i wszystkich informacjach, jakie mu podsunęła, żeby pomóc mu poznać Avery. Ale chwila, czy ona właśnie powiedziała, że go lubi?

– O nie, Watt! – wykrzyknęła Avery. – Musimy anulować twoje zamówienie!

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? – Avery uroczo się zaczerwieniła. – Nie chcesz iść do jakiegoś mniej drogiego sklepu? Albo możesz wypożyczyć smoking! Przepraszam, kiedy zaproponowałam Norton Harcrow, nie miałam pojęcia, że ty...

– Kupuję ten smoking – oświadczył stanowczo Watt i Avery zamilkła. – Chcę go kupić i stać mnie na niego, a przede wszystkim strasznie się cieszę, że będę mógł go włożyć, wychodząc razem z tobą. Poza tym – dodał z pewnością w głosie – mam nadzieję, że to nie będzie ostatnia gala, na którą cię zabiorę.

Avery uśmiechnęła się.

– Kto wie? Może masz rację – powiedziała tajemniczo.

– „Może” na razie mi wystarczy. – Watt zatrzymał się na chodniku, nie chcąc jeszcze się z nią rozstawać. – Czy mogę tymczasem postawić ci kawę w ramach podziękowania za pomoc w kupnie mojego pierwszego smokingu?

– Kawalek dalej jest miejsce, w którym podają fantastyczną herbatę z mlekiem konopnym. I gorącą kawę, jeśli nie przepadasz za mlekiem konopnym – dodała, widząc minę chłopaka.

– Kto by nie lubił mleka konopnego? – rzucił Watt z udawanym zdziwieniem.

Idąc za dziewczyną do kawiarni, zastanawiał się gorączkowo nad tym wszystkim, co powiedziała Avery, i nad tym, co on przed nią zataił.

Avery miała słuszość. Zasługiwała na kogoś lepszego, a nie faceta, który udaje przed nią kogoś innego i zawsze mówi jej dokładnie to, co ona chce usłyszeć. Nie chodziło mu o to, by zaciągnąć ją do łóżka – cóż, przynajmniej nie tylko o to – dlaczego więc zachowywał się w ten sposób? Najbardziej pragnął bowiem po prostu być z Avery. Tak na poważnie.

Dlatego też postanowił zrobić coś, czego nigdy dotąd nie robił: podczas spotkań z Avery nie będzie korzystał z pomocy Nadii.

„Do zobaczenia, Nadio”, pomyślał. A potem wydał komendę, która całkowicie ją wyłączała: „Kwant-off”.

Poczuł nagłą bezdźwięczną pustkę, przypominającą ciszę po letniej burzy. Nie wyłączał Nadii od dnia, kiedy została zainstalowana w jego głowie.

– To tutaj – powiedziała Avery i otworzyła drzwi kawiarni, patrząc przez ramię na Watta. Miała tak zdumiewająco błękitne oczy, że chłopakowi niemal odebrało oddech. – Mam nadzieję, że jesteś gotowy na najlepszą kawę, jaką piłeś w życiu.

– O tak – odparł Watt i wszedł za nią do środka.

RYLIN

Było sobotnie popołudnie. Rylin stała przed wejściem do Przedsiębiorstwa Obsługi Wind na 50 piętrze i starała się opanować nerwy. „Dasz radę – mówiła sobie. – Nie masz innego wyboru”.

Przywoławszy na usta sztuczny uśmiech, weszła przez podwójne metalowe drzwi i mrugnęła do pokrytego zmarszczkami strażnika siedzącego w portierni za szybą z fleksiglasu. Facet tylko chrząknął, ledwo podnosząc wzrok, gdy Rylin przeszła obok niego. Kojarzył ją, nieraz bowiem przychodziła tu razem z Hiralem. Formalnie rzecz biorąc, mogli tu wchodzić tylko pracownicy firmy, ale Rylin często widywała w szatni ich dziewczyny lub żony, które przynosiły im różne rzeczy, jeśli czegoś zapomnieli, albo zabierały do prania brudne ciuchy.

Szatnia cuchnęła stęchlizną, starym potem i smarem. Rylin przeszła zdecydowanym krokiem na jej przeciwległą stronę, mijając siedzących w kącie dwóch lifciarzy, którzy rozebrani do pasa grali w coś na tablecie dla zabicia czasu. Pełnili weekendowy dyżur, w razie gdyby zdarzył się jakiś nagły wypadek. Szybkimi ruchami Rylin wystukała kod na szafce Hirała i drzwi się otworzyły.

Hiral należał do wspinaczy, czyli pracował zawieszony na linie, podczas gdy reszta załogi wykonywała swoje zadania w tunelu powyżej. Jego praca wymagała więc nie lada odwagi, a może po

prostu ślepej brawury. Z tego powodu jednak miał pełnowymiarową szafkę, w doskonałym miejscu, tuż przy drzwiach wyjściowych. Rylin odsunęła na bok ciemnoszary kombinezon zrobiony z cienkich, lecz niemal niemożliwych do rozerwania kompozytów włókna węglowego, a także wytrzymały kask ekramoldowy, który miał podobno chronić głowę przed uszkodzeniami nawet po upadku z wysokości dwustu pięter. Nie był on jednak zbyt przydatny, biorąc pod uwagę, że większość napraw trzeba było wykonywać na wyższych piętrach, gdzie ze względu na wysokość oraz naprężenie kabli po prostu zamykano szyby wind.

Pod butami do wspinaczki i magnetycznymi rękawiczkami Rylin natrafiła na to, czego szukała: małe czip identyfikacyjny, który Hiral przyczepiał do swojego kasku.

– Nie możesz tu wchodzić.

Rylin obróciła się, ukrywając czip w jedynym miejscu, które przyszło jej do głowy: w swoim staniku.

– Przepraszam – powiedziała do stojącego za nią mężczyzny. – Przyszłam po kilka rzeczy dla Hirała Karadjana.

– Dla tego młodego, którego zwinęli za narkotyki? – warknął.

Młodego? Ten facet mógł być góra parę lat starszy od Hirała. Kiwnęła jednak tylko głową i dodała:

– Tak, jestem jego dziewczyną.

– Widywałem ją tu już nieraz – odezwał się drugi lifciarz. – Daj jej spokój, Nuru.

Ale Nuru stał nadal i przyglądał się Rylin, która chwyciła pierwszą z brzegu rzecz – ultradźwiękowy gwizdek Hirała, tak jakby miał mu się na coś przydać w więzieniu – i zatrzasnęła drzwi szafki.

– Przepraszam, już lecę – wymamrotała.

Wychodząc, słyszała, jak obaj mężczyźni rozmawiają ze sobą ścisłymi głosami. Mówili zbyt cicho, by mogła wszystko zrozumieć, ale wyraźnie dobiegły ją słowa „Co za wstyd” oraz „Nie powinien być jej tu przysyłać”, i wydawało jej się, że usłyszała też wzmiankę o V. Nagle zaczęła wątpić, by obaj lifciarze w ogóle nabrali się na jej wymówkę.

W pośpiechu dotarła do stacji linii C i zjechała na 17 piętro, krzywiąc się z powodu smrodu smaru. Minęło sporo czasu, odkąd była poniżej 32 piętra. Już prawie zapomniiała, jakie to przygnębiające miejsce. Na dwudziestu dolnych piętrach mieściła się większość obiektów chłodzących Wieży, a pomiędzy nimi znajdował się mroczny labirynt przeludnionych mieszkań. Ściany były tu grubsze, a sufity niższe i dodatkowo wzmocnione potrójną warstwą stali, która podtrzymywała niewyobrażalny ciężar wznoszącej się powyżej konstrukcji.

Winda była już niemal całkiem pusta. Rylin czekała jednak, aż wszyscy wysiądą i skierują się do maszynowni lub swoich ponurych mieszkań. Gdy upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, wyjęła czip

Hirala ze schowka pomiędzy pierściami i za jego pomocą otworzyła małe, niemal niewidoczne drzwi w korytarzu oznaczonym tabliczką „WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU”.

W środku panował kompletny mrok, ciemność napierała na nią niczym jakaś tajemnicza siła. Rylin znalazła po omacku włącznik światła, ale się zawahała. Nie mogła zwracać na siebie uwagi. Ktoś może dostrzec zapalone światło w tunelu dla obsługi wind na 17 piętrze i zorientuje się, że nikogo nie powinno tam być.

Klnąc pod nosem, Rylin wyjęła tablet i uruchomiła w nim funkcję latarki. Wąski snop światła zamigotał w ciemnościach. Przesuwała nim przed sobą, stąpając ostrożnie pomiędzy leżącymi na podłodze pudłami, aż w końcu znalazła po lewej stronie panel mechanizmu windy. Chwyciła tablet w zęby, aby sobie przyświecić, i podważyła klapę panelu.

Jej oczom ukazały się dziesiątki plastikowych woreczków wypełnionych różnokolorowymi proszkami, buteleczki z pigułkami, których nawet nie potrafiła rozpoznać, a z tyłu leżały ciemne koperty ze specjalami Corda. Rylin stała przez chwilę osłupiała. Zaczęła dygotać, przez co światło z tabletu podrygiwało niespokojnie. Miała wrażenie, jakby była jakimś szalonym odkrywcą stojącym nad skrzynią pełną skarbów. Choć już tyle razy zażywała narkotyki z Hiralem, to widok tego całego towaru podziałał na nią otępliwiająco. Hiral stał się dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Kiedy udało mu się zgromadzić takie zapasy?

Zdjęła z ramienia plecak i zaczęła całymi garściami wrzucać do niego narkotyki, tak szybko, jak tylko mogła. Zamarła jednak, widząc na każdym opakowaniu specjali zapisane małymi drukowanymi literami: DR VERONICA FISS, COLUMBIA HILL PHARMACOGENOMICS; PACJENT: CORD HAYES ANDERTON JR.; DAWKOWANIE: W RAZIE POTRZEBY (MAKS. JEDNA TABLETKA DZIENNIE).

Rylin szybko zdała z każdego opakowania naklejki z nazwiskiem Corda, wsunęła je wszystkie do kieszeni i zwinęła w małą lepką kulkę. Potem zasunęła plecak, zamknęła panel – ostrożnie, chwytając klapę przez brzeg sukienki, żeby nie zostawić odcisków palców – po czym wycofała się na korytarz. W drodze windą na górę wyjęła tablet i odpisała na wiadomość, którą dostała przed kilkoma dniami: „Załatwione”.

„Doskonale. Spotkajmy się tutaj”. Do wiadomości dołączona była mapka z zaznaczonym miejscem spotkania.

Rylin związała włosy w koński ogon, starając się wyglądać jak zwykła licealistka, która wyszła w sobotnie popołudnie z plecakiem pełnym zadań domowych. Zgodnie z przesłanymi instrukcjami wysiadła na 233 piętrze. Gdy wychodziła z windy, wpadła na nią jakaś starszuszka i Rylin odruchowo ściągnęła mocniej paski plecaka. Światła w Wieży zaczęły z wolna przygasać, było już coraz później, musiała pewnie dochodzić szósta. Minęła kilka pralni samoobsługowych i barów z makaronem na

wynos, a potem skręciła w High Street.

Strzałka na mapie prowadziła ją do Szkoły Podstawowej Fisher. Serio?

Zwolniła kroku, nieco wystraszona ciemnymi, pustymi oknami łąpiącymi na nią ze szkolnego budynku.

– Cieszę się, że dotarłaś – dobiegł ją z placu zabaw głos V.

Rylin obejrzała się w obie strony, zanim wspięła się na staroświeckie metalowe ogrodzenie. Gdy zeskoczyła na drugą stronę, dłonie miała całkiem zbiele, tak mocno zaciskała je na prętach, podciągając się do góry.

– Jestem – powiedziała, rozglądając się po drabinkach, na które podczas przerw wdrapywały się razem z dziećmi holograficzne małpy. Nad jej głową wznosił się prawdziwy baldachim z liści, a między gałęziami widać było małe domki – takie jak buduje się na drzewach dla dzieci – o różnych śmiesznych kształtach, na przykład skorupy żółwia albo ogromnej chmury. Było tu o wiele ładniej niż w podstawówce, do której sama chodziła zaledwie siedemdziesiąt pięter niżej.

Buty Rylin zagłębiły się w gumowej nawierzchni, która pokrywała grunt na placu zabaw. Z mroku wyłonił się V z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego nie mogliśmy się spotkać po prostu w Stalowym Lesie? – spytała Rylin, ale on potrząsnął głową.

– Za dużo ludzi. A teraz zobaczmy, co dla mnie przyniosłaś.

Rylin zsunęła plecak z ramion, ale trzymała go blisko siebie. Nie podobało jej się to wszystko. Głęboko w niej zakorzeniony instynkt przetrwania próbował ostrzec ją przed zagrożeniem.

– Najpierw pieniądze.

– Zobaczymy może, co tam masz. – V zaśmiał się i wyrwał jej plecak.

Rylin zacisnęła z wściekłością szczęki, gdy chłopak wysypał jego zawartość na ziemię i zaczął ją przeglądać.

– Usunęłaś ze specjali nazwisko. – Zauważył z uniesioną brwią.

– Wiesz, że to i tak nie ma znaczenia. – Rylin starała się zachować obojętny wyraz twarzy. – Nikogo nie obchodzi, komu zostały przepisane.

– Próbujesz kogoś chronić?

Rylin na moment zatkano. Już otworzyła usta, by zaprzeczyć, że cokolwiek czuje do Corda...

– Nieistotne. Masz rację, to nie ma żadnego znaczenia. Ale nie wiesz czasem, gdzie Hiral je zdobył? – zapytał V, zerkając na nią z ukosa. – Nigdy mi się nie przyznał.

Rylin ze zdumieniem pokręciła głową. Hiral powiedział V, że to on ukradł specjale? Pewnie zrobił to, żeby ją chronić.

V zgarnął wszystkie narkotyki do swojej torby i westchnął teatralnie.

– Przykro mi, ale to za mało.

– Za mało?

V potrząsnął głową.

– Nie mogę ci dać za to piętnastu tysięcy. Wszystko jest warte góra dziesięć.

– Ty mały, kłamliwy... – Rylin rzuciła się do przodu, ale V wyciągnął przed siebie rękę i złapał ją za ramiona, ściskając je tak mocno, że dziewczyna miała wrażenie, jakby zderzyła się ze ścianą. Chłopak odepchnął ją lekko, a ona zatoczyła się do tyłu, dysząc gwałtownie.

– Daj spokój, Rylin – mruknął V i potrząsnął głową. Inkstaty wokół jego szyi wręcz pociemniały mu od gniewu. – Bądź grzeczna.

Rylin uparcie milczała.

– A jeśli chodzi o te dodatkowe pięć tysięcy... – V zmierzył ją wzrokiem w sposób, który przyprawił ją o dreszcz odrazy. – Ty i ja zawsze możemy ubić jakiś własny mały interesik.

– Idź do diabła, V.

– Podejrzywałem, że tak powiesz. Jednak z jakiegoś powodu mam do ciebie słabość, dlatego dam ci ostatnią szansę. Przekaż Hiralowi, że musi załatwić więcej specjali – oświadczył stanowczym tonem. – Przynajmniej jeszcze pięć. Ale skoro on siedzi, chyba sama będziesz musiała się tym zająć.

– Nie! – zawołała Rylin. Zaciśnęła ręce w pięści, poczuła, że ją mdli. – Nie zrobię tego.

– Mnie tam wszystko jedno. – V wzruszył ramionami. – Ale to moja ostatnia oferta, Myers. Wchodzisz w to czy nie? A teraz lepiej stąd spadaj. – Wymamrotał coś jeszcze pod nosem i w tym momencie włączył się alarm.

Rylin stała kompletnie zaskoczona. Natomiast V wziął nogi za pas i wymknął się przez bramkę po drugiej stronie placu zabaw, której Rylin wcześniej nie zauważyła. Chwilę później rzuciła się za nim, wybiegła przez bramkę i popędziła przed siebie opustoszałą Maple Street. V nigdzie nie było widać. Rylin gnała tak szybko, że w pewnym momencie potknęła się o własne nogi, przewróciła się i zaryła z impetem w szorstki chodnik. Pozbierała się jednak szybko i znów ruszyła przed siebie – adrenalina stłumiła ból w dłoniach i kolanach – nie zatrzymując się nawet na chwilę, dopóki nie skręciła w główną aleję.

W końcu pochyliła się i przyjrzała swoim kolanom. Były mocno obtarte, a wnętrza dłoni miała całe we krwi. Wzięła głęboki, urywany oddech i ruszyła w długą drogę do domu.

AVERY

– Ja otworzę! – zawołała Avery, gdy w sobotni wieczór rozległ się dzwonek, chociaż jej rodzice

raczej nie zwykli sami otwierać drzwi. Chciała po prostu dać Wattowi chwilę, zanim ich pozna i wszyscy pojedą jednym hoverem do Klubu Uniwersyteckiego. Atlas już wyszedł odebrać Ledę, o czym Avery starała się w ogóle nie myśleć.

– Watt! – wykrzyknęła, otwierając szeroko drzwi i zamarła na jego widok. Elegancki atlasowy materiał idealnie przylegał do sylwetki chłopaka, dzięki czemu wyglądał na wyższego, niż był w rzeczywistości. Smoking podkreślał mocne, proste linie jego nosa i szczęki oraz brązowy odcień jego błyszczącej skóry. – Świetnie na tobie leży – powiedziała, a serce niespodziewanie zaczęło bić jej szybciej. – Smoking.

– Wybieranie go z tobą było wielką frajdą.

„To prawda”, dodała w myślach Avery.

– A tak w ogóle mam coś dla ciebie. – Watt odchrząknął i wyciągnął małe aksamitne pudełko.

– Och, nie musiałeś... – Avery urwała, gdy uniosła wieczko. W środku znajdował się miniaturowy inkandescent, jeden z genetycznie zmodyfikowanych kwiatów, który przyciągał światło w taki sam sposób, w jaki magnes przyciągał metal. Już zaczął mienić się padającym z wnętrza mieszkania światłem, przybierając niesamowity blask, choć sam nie wydzieliał żadnego światła. Inkandesenty, które znacznie potaniały, odkąd zostały wyhodowane przed paroma dekadami, były dziwnymi kwiatami: żyły jedynie kilka godzin, po czym więdły. Ale w tę noc, w którą zakwitwały, potrafiły naprawdę olśnić urodą.

– Wiem, że nie znosisz ciętych kwiatów – mówił Watt – ale nie mogłem się powstrzymać. Chciałem ci go podarować od tamtej nocy w Bubble Lounge.

– Jest piękny. Dziękuję – szepnęła Avery. Pączek kwiatu był maleńki, mniejszy od jej paznokcia i promieniował łagodnym złotym światłem. Avery wpięła go sobie we włosy, tuż za uchem. Doskonale pasował do jej sukni – była długa, przylegała do ciała, a pokrywało ją mnóstwo drobnych lustrzanych tafelek. Avery ogromnie zresztą bawiło, że gdy ludzie na nią patrzyli, za każdym razem byli zmuszeni oglądać w tych lusterkach odbicie samych siebie.

– Czy to ten słynny Watt?! – zawołała mama Avery z głębi korytarza. – Wejdz do środka! Tak wiele o tobie słyszeliśmy!

„Wspomniałam o nim raz”, Avery zaczerwieniła się zawstydzona, wprowadzając Watta do salonu.

– Watt, cudownie cię w końcu poznać. – Elizabeth Fuller wyciągnęła do niego dłoń z ogromnymi diamentowymi pierścionkami błyszczącymi na każdym palcu.

Watt uściśnął ją bez najmniejszego zdziwienia.

– Bardzo mi miło. Pięknie dziś pani wygląda, pani Fuller. – Ku zaskoczeniu Avery Watt puścił do niej oko. Zrobił to szybko, ale na tyle kokieteryjnie, by podbić serce jej mamy. Skąd wiedział, żeby zastosować ten mały trik?

– A teraz powiedz mi – odezwała się pani Fuller z serdecznością w głosie – jak się poznaliście? Bo Avery nie chce tego zdradzić.

– Wpadliśmy na siebie w AReenie podczas gry w rozszerzonej rzeczywistości. Oczywiście gdy zobaczyłem Avery, nie byłem już w stanie skupić się na grze – odparł Watt. – Zacząłem więc za nią chodzić i wysyłać jej kwiaty, aż w końcu zgodziła się ze mną umówić.

– To się zgadza, Avery zawsze była uparta. – Pierson Fuller wmaszerował dziarsko do salonu. – Ty pewnie jesteś Watt – powiedział i mocno uściśnął chłopakowi rękę. – Siadaj, proszę. Nalać ci czegoś? Wina? Szkockiej?

– Tato, jesteśmy już spóźnieni. – Avery zerknęła na Watta, ale on najwyraźniej zdawał się wyśmienicie bawić.

– Och, myślę, że mamy chyba czas na jednego drinka, prawda? – rzucił z hultajskim uśmiechem Watt.

– Otóż to. – Tata Avery stanął za barem i zaczął przeglądać kryształowe karafki z monogramami. – Poza tym nigdy nie wiadomo, przy wejściu do klubu mogą mieć skanery wieku. To może być jedyny drink, jaki dziś wieczorem wypijecie.

– Na pewno nie w Klubie Uniwersyteckim. – Elizabeth podeszła do męża, a jej suknia zaszeleściła cicho. – Dla mnie wino, Pierson.

– Wszędzie teraz wprowadzają rozmaite rygory. – Pierson rozlał alkohol do schłodzonych kieliszków i rozdał je wszystkim, po czym usiadł na kanapie. – A więc, Watt, opowiedz nam o sobie. Do której szkoły chodzisz?

– Do liceum Jeffersona na 240 piętrze – odparł śmiało i bez cienia wstydu Watt. Avery poczuła dziwny przypływ dumy. Ku jej uldze rodzice skinęli tylko głowami, jakby to była zupełnie normalna rzecz, że umawia się z chłopakiem mieszkającym trzy kilometry niżej.

– To szkoła publiczna, prawda? – spytał Pierson.

– Tak, to prawda – odrzekł Watt, a Avery posłała ojcu zdziwione spojrzenie. Skąd o tym wiedział? Pan Fuller skinął głową.

– Posiadam kilka nieruchomości w tamtej okolicy. Między innymi na rogu Siedemnastej i Freedmore, ten budynek z bankiem...

Avery stłumiła jęk irytacji i napotkała spojrzenie Watta, który tylko uśmiechnął się do niej i upił łyk alkoholu. Wpięty w jej włosy inkandescent lśnił niczym rozjarzona żarówka.

Gdy stanęli w wejściu do sali balowej Klubu Uniwersyteckiego, Avery wzięła Watta pod rękę. Wyłożone ciemnym drewnem wewnątrz ogromnej sali udekorowano ozdobami w odcieniach błękitu i srebra, nawet kolumny zdawały się w całości pokryte niebieskimi i białymi kwiatami. W narożnikach mieściły się półokrągłe bary, a pod przeciwległą ścianą znajdował się parkiet do tańczenia. Panował półmrok, ale Avery i tak widziała intensywne kolory wszystkich sukni, które w zestawieniu z poważną

czernią smokingów wydawały się jeszcze głębsze.

– Jesteś okropny – syknęła na Watta i powiodła go wśród tłumy gości.

– To nie moja wina, że twoi rodzice mnie lubią – odparł z niewinną miną, a Avery nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wyciągnął do niej rękę. – Zatańczymy?

– Tak – zgodziła się z radością, zastanawiając się, skąd Watt wiedział, o czym właśnie myślała. Było jeszcze nieco zbyt wcześnie, żeby ruszać na parkiet, ale na takich imprezach Avery zawsze wolała tańczyć, niż prowadzić towarzyskie rozmowy. Ludzie zwykle gromadzili się wokół niej i zasypywali ją pytaniami albo rzucali jej ciekawskie spojrzenia z drugiego końca sali. Nawet teraz widziała, jak przyglądają się jej sukni i szepczą między sobą o nowym chłopaku, z którym się pojawiła. Parkiet był jedynym miejscem, gdzie mogła zaznać odrobiny spokoju.

Przedzierając się przez tłum, zauważyła, że zjawili się niemal wszyscy. Przy barze stały Risha i Ming, byli też Jess ze swoim chłopakiem Patrickiem oraz McClendonowie, przyjaciele rodziców, którzy właśnie jej pomachali. Wiedziała, dlaczego nie ma Eris, ale gdzie się podziewał Cord? Obaj z Brice'em byli członkami klubu na osobnych prawach: choć formalnie byli zbyt młodzi, to ze względu na szacunek, jakim darzeni byli ich rodzice, władze klubu specjalnie dla nich nagięły obowiązujące zasady. Avery nie widziała jednak żadnego z braci. Prawdę mówiąc, liczyła na to, że Cord się pojawi, choćby po to, by mogła się przekonać, dla kogo porzucił Eris.

Weszli na parkiet, Watt wziął ją za rękę i obrócił nią dookoła. Poruszał się na stopach lekko i swobodnie.

– Świetnie tańczysz – powiedziała Avery, przekrzykując muzykę, i od razu zrobiło jej się wstyd z powodu zaskoczenia w głosie.

– Kiedy byłem młodszy, miałem takie buty, które same tańczyły i zmuszały cię do tańczenia razem z nimi.

Avery prychnęła odrobinę niegrzecznie, próbując sobie to wyobrazić.

– Brzmi groźnie. Ja na pewno bym się przewróciła.

– Ja przewróciłem się setki razy. Ale w końcu nauczyłem się tak właśnie tańczyć. – Watt znów nią zakręcił, po czym przerzucił ją sobie nisko przez ramię.

Postawił partnerkę z powrotem na nogach i wtedy występująca z zespołem wokalistka zaczęła nucić półgłosem jedną z ulubionych starych ballad miłosnych Avery. Pociągnęła Watta dalej na parkiet, lecz on odruchowo zrobił krok w tył.

– Proszę. Uwielbiam tę piosenkę. Zwłaszcza na żywo – powiedziała, starając się nie roześmiać na widok wystraszonej miny chłopaka. Tak rzadko można było teraz posłuchać muzyki na żywo, a już zwłaszcza tej piosenki.

Watt posłusznie podszedł do Avery i z pewnym wahaniem objął ją ramieniem w talii. Drugą ręką ujął jej dłoń i zaczął się łagodnie kołysać.

– Ty naprawdę lubisz stare rzeczy, prawda? – spytał, patrząc jej prosto w oczy.

– Co masz na myśli? – Avery spojrzała na niego.

– To, jak przed chwilą mówiłaś o tej piosence. Albo to, co powiedziałaś wtedy w parku Redwood, albo jak opowiadałaś o Florencji. Jesteś taka... nostalgiczna. Dlaczego tak bardzo lubisz stare rzeczy?

Avery była zaskoczona tym spostrzeżeniem.

– A tobie wydają się bezużyteczne, co?

– Wcale nie. Jestem tylko przyzwyczajony do myślenia o przyszłości.

– A jak wygląda według ciebie przyszłość? – spytała z zaciekawieniem Avery.

– Jest szybsza! Znacznie wygodniejsza i lepiej skomunikowana. I mam nadzieję, że bezpieczniejsza.

Avery zamrugła.

– Przepraszam – powiedział Watt nieco zawstydzony. – W wolnym czasie sporo zajmuję się techniką. Próbuję dostać się do MIT na kurs inżynierii mikrosystemowej.

Avery nie miała nawet pojęcia, czym w ogóle jest inżynieria mikrosystemowa.

– Czy to znaczy, że potrafisz naprawić mi tablet, kiedy się zawiesi?

Watt zrobił minę, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem, ale Avery uznała, że wcale jej to nie przeszkadza, i w razie czego chętnie się do niego przyłączy.

– Tak, bez problemu dam sobie z tym radę – odparł Watt. W jego oczach migotały refleksy światła.

Avery podprowadziła ich bliżej orkiestry. Pozostałe pary zostawiały wokół nich wolną przestrzeń, jakby otaczając Avery niewidzialną bańką.

– Masz rację – przyznała. – Uwielbiam romantyzm, który kiedyś wszystko przenikał, gdy na świecie istniało więcej przeszkód. Posłuchaj tej piosenki. – Westchnęła. – Opowiada o miłości, choć zakochani nigdy nie będą mogli się zobaczyć, ponieważ dzielą ich tysiące kilometrów. W naszych czasach nikt nie mógłby napisać takiego utworu, ponieważ nasze życie jest łatwe i zautomatyzowane. Co chyba zresztą zawdzięczamy właśnie takim ludziom jak ty – dodała żartobliwie.

– Hej! – zaprotestował Watt. – Nie lubisz dostawać zawsze tego, czego chcesz?

Avery nagle posmutniała i opuściła wzrok.

– Nie dostaję wszystkiego, czego chcę – wymamrotała.

Piosenka dobiegła końca i ludzie zaczęli się rozchodzić, odsłaniając Ledę i Atlasa.

Siedzieli we dwoje na krzesłach w pobliżu parkietu z blisko nachylonymi do siebie głowami. Avery nie była w stanie oderwać od nich wzroku, przyglądała się, jak Leda szepcze coś na ucho Atlasowi. W nowym smokingu wyglądał nieziemsko i Avery przypomniała sobie, jak wybrał się do przymiarki pierwszego smokingu w życiu, a ona uparła się, że pójdzie razem z nim. Leda w nowej kobaltowej sukni

bez ramiączek też prezentowała się pięknie. Avery przyznała niechętnie, że oboje sprawiali wrażenie szczęśliwych. Wyglądali razem właściwie.

Watt przyglądał się jej uważnie. Avery nie potrafiła tego znieść, czuła, że wszystkie emocje ma wypisane na twarzy. Zarzuciła Wattowi rękę na szyję, przyciągnęła go do siebie i oparła głowę na jego ramieniu. Słyszała, że chłopak wstrzymał oddech. Pod smokiem, do którego kupna go namówiła, czuła bicie jego serca.

Nigdy, przenigdy nie będzie mogła być z Atlasem w taki sposób jak Leda: razem, trzymając się za ręce w miejscu publicznym. To było beznadziejne, nierealne marzenie. Wiedziała, że musi z niego zrezygnować. Ale to i tak bolało.

– Chyba nie powiedziałem ci dość wyraźnie, jak pięknie dziś wyglądasz – wyszeptał Watt. Avery poczuła na uchu jego ciepły oddech. Zadrżała i odchyliła głowę do tyłu, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Ty też wyglądasz nie najgorzej.

– Dzięki pomocy odpowiedniej osoby jakoś doprowadziłem się do porządku – powiedział łagodnie.

– Naprawdę cieszę się, że mogłem tu dzisiaj z tobą przyjść.

Szczerze w jego głosie sprawiła, że Avery znieruchomiała.

– Ja też – odparła. Cieszyła się, że zaprosiła Watta. Był o wiele lepszy od wszystkich chłopaków, z którymi umawiała się na ustawiane randki i których przyprowadzała na tego typu imprezy.

Szczerze mówiąc, w jego towarzystwie rzeczywiście dobrze się bawiła.

Puściła jego rękę i zaplotła mu dłonie na karku. Stali tak blisko, że mogłyby policzyć wszystkie rzęsy osłaniające jego ciemnobrązowe oczy. Przeniosła wzrok na jego wargi i nagle naszła ją ochotę, żeby go pocałować.

Jak dotąd nie sądziła, że będzie to możliwe, ale może kiedyś w końcu zakocha się w kimś innym niż Atlas.

Przymknęła oczy i zaczęła kołysać się w rytm muzyki przytulona do Watta. Na razie to musi jej wystarczyć.

LEDA

Gdy przybyli razem z Atlasem na galę, Leda znajdowała się w szampańskim nastroju i łaskawie rozdawała uśmiechy na prawo i lewo. Ten wieczór przebiegał nawet lepiej, niż się spodziewała.

Zasadniczo była to ich pierwsza randka. Ale miała ona o wiele większe znaczenie: nieomalże deklaracji. Wszyscy obecni, począwszy od ich przyjaciół, a kończąc na fotografie robiącym gościom zdjęcia, traktowali ich teraz jak oficjalną parę. Ich rodzice siedzieli przy jednym stoliku, uśmiechali się do

nich obojga i posyłali im znaczące spojrzenia. Leda nigdy nie czuła się tak piękna jak w chwili, gdy weszła radośnie do sali balowej u boku Atlasa. Oczy wszystkich zdawały się zwrócone na nią. „Avery musi pewnie czuć się tak każdego dnia”, pomyślała z zachwytem.

Wszystko układało się idealnie – o tym właśnie marzyła, odkąd przeprowadziła się tutaj przed czterema laty.

A co najlepsze, nigdzie nie widać było tajemniczej dziewczyny z imprezy urodzinowej Eris – jeśli w ogóle kiedykolwiek istniała, w co Leda zaczynała poważnie wątpić. Nadia wciąż nie natrafiła choćby na cień dowodu, że Atlas był tamtej nocy – lub którejkolwiek innej – z kimś oprócz Ledy. Może ten makijaż znalazł się na jego koszuli w jakiś inny sposób. Może tak naprawdę z nikim więcej się nie całował.

Poza tym patrząc na to, jak rozwijał się dzisiejszy wieczór, Leda zaczęła mieć nadzieję, że tym razem Atlas wreszcie wróci z nią do domu.

W zasadzie o niczym innym nie była w stanie myśleć, gdy jechali na galę hoverem. Odnotowała, że Atlas prowadzi z nią rozmowę, i jakoś udawało jej się odpowiadać na jego pytania, ale jej myśli wciąż krążyły tylko wokół jego ciała. Gdy siedząc obok na poduszce, Atlas zmieniał nieco pozycję, Leda miała wrażenie, że fale wywołane jego ruchem przenikają ją na wskroś. Taka bliskość jego ciała sprawiała jej wręcz dojmujący ból.

A teraz, kiedy znajdowali się na parkiecie, wykorzystywała każdy pretekst, żeby dotknąć Atlasa. Przyciągnęła go do siebie, a dłonią zataczała małe kręgi na jego plecach. I nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ściągnie z niego marynarkę.

– Co się dzieje między tobą i Avery?

– Proszę? – Leda uznała, że musiała się przesłyszeć. Pewnie za bardzo pogрузzyła się we własnych rozmyślaniach.

– Spytałem, co się dzieje między tobą i Avery? – powtórzył Atlas. Zszedł na skraj parkietu i usiadł na krześle, a Leda bez słowa opadła na krzesło obok.

– Nic, wszystko gra – odparła automatycznie. Irytowało ją, że nawet jeśli Avery nie było w pobliżu, i tak wszystko kręciło się wokół niej. – A dlaczego miałoby się coś dziać?

– Przepraszam, jeśli to dla ciebie delikatny temat. Zauważyłem po prostu, że ostatnio nie spędzacie ze sobą zbyt wiele czasu, i chciałem się upewnić, czy... – Westchnął. – Normalnie zapytałbym Avery, ale nie jesteśmy teraz w najlepszych relacjach.

Słyszając to, Leda odrobinę się wyprostowała. Czy Avery pokłóciła się o nią z Atlassem? Może powiedziała mu na przykład, że Leda nie jest dla niego dostatecznie dobra, a on stanął w jej obronie? Ledzie nie chciało się jednak wierzyć, żeby jej najlepsza przyjaciółka... ale czy Avery była jeszcze w ogóle jej przyjaciółką?

– Dzięki, że zapytałeś. Ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Przepraszam. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem. – Było mu szczerze przykro, że o tym wspomniał. – Chcesz zatańczyć?

Leda skinęła z wdzięcznością głową, a Atlas zaprowadził ją z powrotem na parkiet.

– Dziwnie jest wrócić tutaj po tak długim czasie? – spytała po chwili.

– Trochę – przyznał Atlas. – Wieża jest strasznie dziwna, jeśli patrzy się na nią z każdego innego miejsca na ziemi, wiesz?

– Cóż, na pewno, jeśli patrzy się na nią z Amazonii – wypaliła bez namysłu Leda.

Atlas nagle stanął jak wryty.

– Skąd wiesz o Amazonii? – zapytał bardzo powoli.

„Cholera”.

– Sam chyba coś o tym mówiłeś – odparła, żałując, że nie może cofnąć swoich słów.

– Jestem pewien, że nie – zaprzeczył.

– W takim razie może Avery coś wspominała albo twoi rodzice, nie wiem. Gdzieś to słyszałam – wymyśliła na poczekaniu.

Ale Atlasa nie dało się tak łatwo zwieść.

– Leda, co się z tobą dzieje? – Chłopak zmrużył brązowe oczy.

– Nic, przysięgam. Przepraszam.

Atlas skinął głową, jakby dał się udobruchać, i tańczyli dalej. Ale Leda widziała, że ma mocno zaciśniętą szczękę, i wyczuwała napięcie w jego ciele. Miała wrażenie, jakby między nimi pojawiła się jakaś niewidzialna siła i zaczęła ich od siebie odpychać.

Po kolejnej piosence Atlas odsunął się od Ledy.

– Chcesz się napić?

– Tak – zgodziła się nieco zbyt entuzjastycznie. Ruszyła za Atlasem, ale on potrząsnął głową.

– Przy barze jest straszny tłok. Poczekaj, przyniosę ci. Szampan, zgadza się?

– Dzięki – odparła z rezygnacją Leda, choć wcale nie przepadała za szampanem. Za to uwielbiała go Avery.

Leda przechadzała się po ogromnych bocznych pomieszczeniach sąsiadujących z główną salą balową i szukała znajomych. Ale zanim ich odnalazła, jej wzrok przyciągnął sterczący samotnie w kącie tata. Stał przygarbiony i sprawiał wrażenie, jakby nie chciał, by ktokolwiek go widział, a przy tym mamrotał coś pod nosem, najwyraźniej rozmawiając z kimś za pośrednictwem szkielec.

Ledzie od razu przypomniał się poprzedni weekend, gdy tata skłamał o partii golfa. Bez chwili namysłu zalogowała się na szklach do LipRead i skupiła wzrok na ustach znajdującego się kilkadziesiąt

metrów dalej ojca. LipRead było aplikacją przeznaczoną dla osób z problemami słuchu, ale Leda odkryła, że z zastosowaniem nowych szkieł z ekstra mocnym zoomem świetnie nadaje się też do szpiegowania.

– Nie mogę jeszcze powiedzieć mojej rodzinie. – Automatyczny, monotonny głos odczytał słowa jej taty. „O czym nie może nam powiedzieć?”, zdziwiła się Leda. – Dobrze – dodał chwilę później. – Porozmawiam z nią w przyszły weekend.

Leda, zdumiona tym, co właśnie podsłuchiwała, przyglądała się, jak tata kończy rozmowę i odchodzi. W tym samym momencie u jej boku pojawiła się mama.

– Leda! Wyglądasz fantastycznie! – wykrzyknęła Ilara, jakby nie widziała córki podczas przygotowań do gali. – A gdzie Atlas?

– Poszedł po coś do picia – odparła krótko.

– Leda...

– Będę grzeczna, obiecuję – przyrzekła, wciąż myśląc o dziwnym zachowaniu taty. Zerknęła na szkarłatną suknię mamy oraz kosztowną biżuterię i uświadomiła sobie, że nie rozpoznaje bransoletki na jej nadgarstku. – Nowa? – spytała, natychmiast zapominając o sprawie z tatą.

– Dostałam ją od twojego ojca na naszą rocznicę. – Ilara uniosła do góry rękę z misterną, złotą bransoletką wysadzaną małymi diamentami, aby Leda mogła ją obejrzeć.

– Dał ci bransoletkę, a do tego kaszmirowy szal? Rany. – Leda nie przypominała sobie, by tata kiedykolwiek był aż taki hojny.

– Nie dostałam żadnego szala – odparła zdziwiona Ilara. – O czym ty mówisz, kochanie?

– Tu są moje dwie dziewczyny! – Ojciec Ledy przepchnął się przez tłum i wziął mamę pod rękę. Stanowili rzucającą się w oczy parę: ona tak jasna, a on tak ciemny, w dodatku czerwona poszetka w jego smokingu pasowała do koloru jej sukni. Leda zastanawiała się jednak, czego dotyczyła jego dziwna rozmowa sprzed paru chwil i co się stało z szalem z jego teczki. Czyżby się rozmyślił i zwrócił go do sklepu? To wydawało się sensowne, ale Leda nie mogła pozbyć się wrażenia, że kryło się za tym coś innego.

– Muszę poszukać Atlasa. – Cofnęła się o krok, czując przyływ niepokoju, wręcz paniki. Musiała się napić. I to zaraz.

– Leda...

– Do zobaczenia w domu! – zawołała przez ramię.

Gdy dotarła do baru, zaczęła bezceremonialnie przepychać się na początek kolejki w poszukiwaniu Atlasa.

– Przepraszam, przepraszam – mamrotała pod nosem, nieszczególnie jednak przejmując się tym, kogo właśnie odepchnęła. Pragnienie, które nią kierowało, przypominało nieznośne swędzenie

rozprzestrzeniające się po całym ciele. Z jakiegoś zakątka umysłu dobiegł ją sygnał ostrzegawczy, ale postanowiła zająć się tym później, kiedy nie będzie odczuwać tego bolesnego ucisku w klatce piersiowej.

Na przodzie kolejki stał chłopak, który przyszedł dzisiaj z Avery. Chyba Watt, jeśli dobrze zapamiętała. Leda nie została mu wprawdzie przedstawiona podczas imprezy urodzinowej Eris, choć widziała go na niej, jak chodził krok w krok za Avery niczym zabłąkany szczeniak. A teraz przyszedł z nią na galę Klubu Uniwersyteckiego? To niewiarygodne, że tak po prostu pojawił się w ich życiu, znikąd, bez żadnego wyjaśnienia.

– Watt, prawda? – zagadnęła, podchodząc do niego. – Jesteś tu z Avery.

– Zdajesz sobie sprawę, że właśnie wepchnęłaś się przed całą kolejkę ludzi?

– Nie szkodzi, oni wszyscy to moi przyjaciele. – Leda machnęła lekceważąco ręką. Cóż, nie była to do końca prawda.

– Kim ja jestem, żeby się spierać z tą żelazną logiką – odparł Watt, a jego usta zadrgały w ledwo skrywanym uśmiechu. Czyżby się z niej naśmiewał? – Widzę, że jesteś bardzo spragniona, może postawię ci drinka.

– To otwarty bar – Leda warknęła z irytacją, gdy barman w białych rękawiczkach zwrócił się do Watta. Już zamierzała mu powiedzieć, co ma jej podać...

– Dla pani whisky z wodą sodową, a dla mnie piwo i poproszę jeszcze o szampana – zakomunikował Watt.

Gdy barman podał im drinki, Watt i Leda odsunęli się i przeszli obok tłumu ludzi do wysokiego stolika.

– Skąd wiedziałeś, co chcę zamówić? – spytała nieco skonsternowana. Dziewczyny raczej rzadko piły whisky z wodą sodową, ale była to jedyna rzecz, która ją uspokajała, gdy czuła się naprawdę zdenerwowana.

– Szczęśliwy traf – odparł swobodnie Watt. – Ale uważaj. Wystarczy tylko jeden drink.

Leda rzuciła mu zdumione spojrzenie. Co, u licha, chciał przez to powiedzieć? „Wystarczy tylko jeden”, tak właśnie mówili w ośrodku odwykowym. Ale Watt sączył tylko piwo z niewinną miną.

– Przepraszam – Leda odezwała się najmiłszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Nawet nie zdążyłam się przedstawić. Jestem Leda Cole. – Wyciągnęła rękę, a Watt ją uściśnił, wciąż z tym nieznośnym uśmieszkiem na twarzy.

– Wiem – odrzekł.

– Cóż, to nie wydaje mi się uczciwe – ciągnęła dalej Leda, bardziej zirytowana, niż chciała dać po sobie poznać. – Bo ja o tobie nie wiem nic! Opowiedz mi coś o sobie.

– Nie jestem zbyt interesującą osobą – odparł cicho.

– Gdzie chodzisz do szkoły?

– Do liceum Jeffersona.

Leda zmarszczyła czoło, żałując, że nie może sprawdzić na szklach, co to za szkoła, tak żeby chłopak się nie zorientował.

– Nie kojarzę. Czy to...

– Znajduje się na 240 piętrze – wtrącił Watt, po czym oparł się o stół i bacznie jej się przyglądał. Nie był wysoki, ale w jego postawie było coś magnetycznego. Nagle zaczęła żałować, że oboje nie siedzą.

– Rozumiem. – Leda nie wiedziała, jak na to zareagować. Nigdy nie rozmawiała z nikim, kto mieszkał tak nisko, nawet w czasach kiedy sama żyła poniżej drugiego kilometra. – A możesz mi jeszcze raz opowiedzieć, jak poznałeś Avery?

– Nigdy ci o tym nie opowiadałem. – Watt puścił do niej oko. – Wydajesz się strasznie mną zainteresowana. To dlatego, że Avery jest twoją najlepszą przyjaciółką, tak? – spytał znacząco, a Leda zarumieniła się rozżłoszczona. Czy Avery wszystko mu o nich wygadała?

– Zgadza się – odparła Leda.

Nagle jak na zawołanie pojawiła się Avery. Włosy upięła sobie na czubku głowy, tylko kilka kosmyków opadało jej wokół twarzy, a za uchem miała wpięty inkandesent, tak jak wszystkie dziewczyny robiły to jeszcze w gimnazjum. Było to okropnie niemodne, ale oczywiście Avery wyglądała z tym kwiatem wspaniale. Boże, w przyszłym tygodniu pewnie znowu wszyscy wrócą do noszenia inkandesentów. Avery zrobiła krok do przodu i światło zaśniło na jej sięgającej pod szyję sukni, którą w całości pokrywały małe lustrzane tafelki. „No jasne, musiałas ją dziś włożyć – pomyślała Leda z zaskakującą dla niej samej zawiścią. – To suknia, która dosłownie zwielokrotnia twoje odbicie aż w nieskończoność”.

– Cześć. – Avery podeszła do Watta, lecz na widok Ledy zaraz się usztywniła. – O, cześć, Leda. Jak ci mija wieczór?

„Och, właśnie schrzaniłam sprawę z chłopakiem, który mi się podoba, mój ojciec dziwnie się zachowuje, a mnie naprawdę brakuje mojej najlepszej przyjaciółki. Poza tym wszystko jest...”

– Fantastycznie – odparła ze sztucznym uśmiechem Leda.

Avery kiwnęła głową.

– Widziałam wcześniej twoją mamę. Mówiła, że zastanawiacie się nad wyjazdem w święta do Grecji. Nic o tym nie wiedziałam – dodała z zakłopotaniem.

„Oczywiście, że nie wiedziałas. Przecież już wcale ze sobą nie rozmawiamy”.

– Tak. – Leda nagle posmutniała. – Pamiętasz, jak pojechaliśmy do Grecji na symulację obrad ONZ? – wyskoczyła niespodziewanie, nie bardzo zresztą wiedząc, dlaczego teraz o tym wspomniała.

– A po upieczonej przez nas baklawie wszyscy się pochorowali? – dorzuciła Avery.

– Zawsze to jakiś sposób na zwycięstwo w debacie. Odesłać wszystkich do domu – powiedziała

poważnie Leda i obie się roześmiały. Przez krótką chwilę świat znów wydawał się normalny.

Ich śmiech jednak szybko ustał, a one spojrzały na siebie ponad stolikiem i uświadomiły sobie, że wcale nie jest między nimi dobrze.

Pierwsza postanowiła ulotnić się Avery.

– Możemy iść potańczyć? – zwróciła się do Watta i zostawiła na stoliku prawie nietknięty kieliszek szampana.

– Jak sobie życzysz. – Watt wziął ją za rękę. – Miło było cię poznać, Leda.

– Cześć, Leda! – zawołała przez ramię Avery, ciągnąc Watta przez tłum gości.

– Tak, na razie – wymamrotała Leda, ale ich już nie było.

Została chwilę przy stoliku, najpierw dopiła swoją whisky, a potem szampana Avery. Ten cały Watt wydawał jej się dziwny. Nie ufała mu. Chciała zapytać o niego Avery... ale musiała porozmawiać z nią o tylu innych sprawach, a prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy jeszcze potrafi się z nią dogadać.

Zauważyła chyba Atlasa w pobliżu parkietu, w miejscu gdzie się rozstali. Powinna pójść go poszukać.

Ale tymczasem zawróciła w kierunku baru, wyciągając swoje drobne ramiona przed siebie, jakby były ostrzami noża. Najpierw musiała pójść po kolejnego drinka.

ERIS

Eris, zwinięta się w kłębek, leżała na łóżku i spod półprzymkniętych powiek leniwie obserwowała, jak Mariel wściekle stuka w tablet, odrabiając zadanie. Na ścianach w kolorze stonowanej zieleni wisiały instafotografie Mariel i jej znajomych, a także różne plakaty: ze słońcem zachodzącym nad postrzępionym łańcuchem górskim, z zaćmieniem księżyca. Z głośników płynęła muzyka country. Eris nigdy w życiu nie spotkała nikogo, kto miałby taką obsesję na punkcie country, oczywiście z wyjątkiem Avery, ale już dawno uznała to za jedno z jej niezrozumiałych dziwactw. Zabawne, że jej najlepszą przyjaciółką oraz dziewczynę, z którą się umawiała, łączył tak niecodzienny gust muzyczny.

– Skończyłaś już? – spytała Eris, choć tak naprawdę wcale nie czuła się znudzona. Szczerze mówiąc, bardzo lubiła (i to bardziej, niż sądziła) siedzieć w ciszy z Mariel, podczas gdy ta odrabiała zadania. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek tak zwyczajnie i bez żadnych oczekiwań leżała u kogoś na łóżku, dla samego towarzystwa.

– Prawie – odparła Mariel, marszcząc w skupieniu brwi.

„Gdzie jesteś?”, fliknęła do Eris Caroline.

– U Mariel – odpowiedziała na głos Eris, pisząc wiadomość. Jej mama poznała Mariel i wiedziała, że

Eris spędza z nią ostatnio dużo czasu. – Moja mama – wyjaśniła Eris.

Mariel skinęła głową.

– Zdaje się, że ostatnio układa się między wami trochę lepiej – zauważyła.

To była prawda. Po lunchu z tatą Ledy – po tym jak Eris dowiedziała się, że to również jej tata – obie z mamą zawarły coś w rodzaju rozejmu. Znow zaczęły spędzać ze sobą czas tak jak dawniej: spacerowały po swoich ulubionych miejscach na wyższych piętrach, a nawet prawie codziennie jadły razem kolację. Przyjemnie było przestać złościć się na nią.

– Masz jakieś wieści od swojego prawdziwego ojca? – zapytała Mariel. – Kiedy się z nim znów zobaczysz?

– Nie wiem – odrzekła Eris. Nie umówili się na kolejne spotkanie, nie rozmawiali też o tym, jakiego wsparcia, o ile w ogóle, udzieli im pan Cole. Wspomniała o tym wcześniej mamie, ale ona odparła, żeby się tym nie martwić i że wszystko zostało już załatwione. „Ale co to znaczy?”, zastanawiała się Eris. Czy teraz przeniosą się z mamą na górę Wieży i zaczną żyć z Cole’ami niczym jedna wielka rodzina?

– No nic, jestem pewna, że się do ciebie odezwie – powiedziała Mariel z przekonaniem. Tymczasem Eris zaczęły ogarniać wątpliwości. – To dla niego tak samo nowa i dziwna sytuacja jak dla ciebie.

– Dzięki – odparła Eris, ciesząc się, że postanowiła opowiedzieć Mariel całą historię z ojcem.

Jeszcze tego samego popołudnia, kiedy spotkała się z panem Cole’em, przyszła do Mariel i wszystko jej zdradziła. Po części dlatego, że musiała się komuś zwierzyć, a nie mogła porozmawiać z nikim z górnych pięter, ponieważ wszyscy tam znali Ledę. Do Mariel udała się jednak głównie dlatego, że po prostu chciała, żeby ona o tym wiedziała, a poza tym była ciekawa jej opinii. Eris nie знаła nikogo, kto miałby takie podejście do życia jak Mariel i kto by myślał w taki sposób jak ona.

– Nie rozmawiajmy więcej o mnie – poprosiła Eris, próbując zmienić temat. – Chciałabym się dowiedzieć czegoś o tobie.

– Ale ja tak strasznie lubię o tobie rozmawiać – rzuciła z przekąsem Mariel. Eris usiadła na łóżku i posłała jej gniewne spojrzenie. Przyjaciółka wybuchła śmiechem. – Przepraszam – powiedziała, choć wcale nie było jej przykro. – To o czym chcesz porozmawiać?

– Wiem, że jestem nieskończenie fascynującą osobą – rzuciła szyderczo Eris. – Ale serio, poznałyśmy się... jak dawno? Miesiąc temu? A wciąż jest tyle rzeczy, których o tobie nie wiem.

– To już naprawdę miesiąc?

Eris rzuciła poduszką, ale Mariel się uchyliła.

– Dobra, dobra, co chcesz wiedzieć?

– Twój ulubiony kolor? – spytała natychmiast Eris.

– Ale to dla ciebie typowe – stwierdziła Mariel. Ale zanim Eris zdążyła rzucić kolejną poduszką, szybko odpowiedziała: – Zielony! A konkretnie jasnozielony!

– Ulubione zajęcia w szkole?

– To łatwe. Kółko dyskusyjne.

– Serio? – zdziwiła się Eris. Członkowie kółka dyskusyjnego, których znała, byli okropni. Chodzili w tych swoich wstrętnych kamizelkach i zachowywali się, jakby pozjadali wszystkie rozumy. Mariel wydawała się zbyt fajna, żeby być jedną z takich osób.

– Skoro tak cię to zaskoczyło, to najwyraźniej za mało się z tobą spierałam – rzuciła kpiąco Mariel.

– Proszę bardzo, nie krępuj się – uśmiechnęła się Eris. – Co chcesz robić w przyszłości?

– Występować w holotelewizji!

– Ja też!

Mariel znów się roześmiała. Obróciła się na krześle, żeby znaleźć się na wprost Eris, po czym wyciągnęła nogi przed siebie i skrzyżowała je. Jedną skarpetkę miała różową w białe kropki, drugą – w pomarańczowe dynie.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy myślały o takim samym rodzaju kariery – powiedziała, błędząc wzrokiem w przestrzeni. – Chcę zostać dziennikarką polityczną.

– To znaczy prezenterką prowadzącą wiadomości?

– Nie, raczej kimś, kto prowadzi debaty prezydenckie i dyskutuje o ważnych kwestiach, i pisze artykuły na newsfeedy. – Mariel opuściła wzrok i naciągnęła rękawy swetra. – Chcę ułatwiać ludziom zrozumienie tego, co się dzieje na świecie. Pomagać im w kształtowaniu własnych opinii.

– Dlaczego w takim razie nie spróbujesz ubiegać się o jakiś urząd i wtedy zamiast pomagać ludziom myśleć, pomożesz im, robiąc coś konkretnego? – zasugerowała Eris. Przesunęła się na brzeg łóżka, tak że mogła swobodnie dotknąć ramienia Mariel.

– Może spróbuję – odparła Mariel, ale nie zabrzmiało to, jakby naprawdę w to wierzyła. – Masz jeszcze jedno pytanie – dodała.

Eris przechyliła głowę, zastanawiając się, o co zapytać. Nagle zdała sobie sprawę, że nie wie nic o poprzednich związkach Mariel, nie miała na przykład pojęcia, czy Mariel w przeszłości umawiała się też z chłopakami.

– Byłaś kiedyś zakochana? – spytała wreszcie.

– Nie – odrzekła szybko Mariel. Zbyt szybko. Zastanawiając się nad tym, kogo Mariel mogła kochać, Eris z zaskoczeniem odkryła, że poczuła lekkie ukłucie zazdrości. – A ty? – odwróciła pytanie Mariel.

– Ja też nie.

Z głośników rozległa się szybka, skoczna piosenka country, w której dziewczyna śpiewała o tym, że zamierza odegrać się na kimś, kto ją zdradził. Mariel bez słowa wróciła do odrabiania zadań, a Eris wyjęła tablet i zaczęła bezmyślnie przeglądać feedy. Serce waliło jej mocno, choć sama nie wiedziała

dlaczego.

W tym momencie, kilka kilometrów nad ich głowami, odbywała się właśnie jesienna gala Klubu Uniwersyteckiego. Avery zaprosiła ją jako swojego gościa, ale Eris odmówiła. Nie była pewna, czy ma ochotę znosić te wszystkie upokarzające spojrzenia albo stanąć twarzą w twarz z tatą, a przynajmniej z człowiekiem, którego przez tyle lat za ojca uważała. „Albo też z którymkolwiek z moich ojców”, poprawiła się w myślach, ponieważ pan Cole oczywiście też miał być tam obecny.

Jednak wraz z upływem czasu, gdy przeglądała kolejne zdjęcia swoich wystrojonych i świetnie bawiących się znajomych, Eris zaczęła żałować, że odmówiła Avery. Ciekawe, co by teraz miała na sobie, gdyby znajdowała się tam razem z nimi? Może tę pąsową suknię z muszelkowym obrąbkiem albo coś srebrnego – bo chyba taki był motyw kolorystyczny tegorocznej imprezy? Otworzyła na swoich kontaktach tekst zaproszenia. „Klub Uniwersytecki zaprasza Cię na wieczór pod gwiazdami”, napisano ozdobnym charakterem pisma, a po bokach znajdowały się animowane spadające gwiazdy. Eris nagle przypomniała sobie, że dziś w nocy obok Ziemi ma przelecieć kometa.

– Skończyłam – oświadczyła Mariel i kliknęła, by zapisać swoje zadanie. – Co chcesz dzisiaj robić?

– Bierz kurtkę. – Eris uśmiechnęła się szeroko. – Co powiesz na małą przygodę?

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała Mariel, gdy skręciwszy z 35 Ulicy, szły wzdłuż Jersey Highway. Naładowane energią słoneczną lampy rzucały na chodnik zachodzące na siebie złote kręgi światła. Przed sobą Eris widziała ogromną sylwetkę starego okrętu wojennego Intrepid zacumowanego do dna rzeki Hudson. W trzeciej klasie wybrali się tam na szkolną wycieczkę. Wciąż pamiętała, jak Cord namawiał je z Avery, żeby skoczyły do rzeki i sprawdziły, czy w wodzie wyrosną im syrenie skrzela. Cord – nie myślała o nim już chyba od kilku tygodni.

– Obiecuję, odpowiem na wszystkie twoje pytania. – Eris podeszła do bramy z tabliczką „PRZYSTAŃ NR 30: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU”. Wpisała kod, który wykupiła w sieci, i drzwi się otworzyły.

Weszły na drewniany pomost, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi z blachy falistej. Woda pluskała delikatnie pod ich stopami. Eris nie mogła przestać się uśmiechać. Uwielbiała to uczucie: ten rozkoszny dreszczyk towarzyszący początkowi szalonej wyprawy i świadomość, że bez względu na to, co się wydarzy, sama noc bez wątplenia będzie cudowna.

Eris wpisała ten sam kod przy jednych z drzwi, które uniosły się do góry, tworząc nad nimi rodzaj daszku. Ich oczom ukazała się niewielka przestrzeń, niemal w całości zajęta przez czteroosobową łódź hoverową. Kształtem przypominała kapelusz grzyba, spod zgrabnego białego kadłuba wystawały śruby napędowe. Zdobila ją jedynie łuszcząca się amerykańska flaga wykonana za pomocą kalkomanii.

– Włóż to. – Eris rzuciła Mariel srebrny nadmuchiwany pas.

– Do kogo należy ta łódź? – Mariel weszła na mały, zamknięty pomost i zapięła pas wokół talii. Eris

wcisnęła guzik i hover-łódź zaczęła opuszczać się na wodę.

– Tylko ją pożyczamy – odparła beztrąsko Eris. Była całkiem pewna, że wynajem łodzi po godzinach jest raczej nielegalny. Światła wokół sprawiły, że woda nabrała ciemnozielonej barwy.

Eris zdjęła buty, wzięła Mariel za rękę i pociągnęła ją do środka na jedno z winylowych siedzeń, które okalały wnętrze łodzi.

– Wiesz, jak tym sterować? – spytała Mariel. Zdawało się, że entuzjazm walczył w niej ze sceptycyzmem.

– Jest na autopilota. Przynajmniej tak mi powiedziano. – Eris uśmiechnęła się i wcisnęła guzik z napisem „start”, po czym łódź popłynęła w mrok.

Pomknęły po powierzchni wody, mrocznej i nieprzeniknionej niczym czarne zwierciadło. Wiatr mიაł włosami Eris, zamieniając je w bezładną płataninę, a twarz chłostały drobne kropelki, co sprawiało jej wręcz niezwykłą przyjemność. Po drugiej stronie rzeki ciepło migotały rozproszone światła New Jersey.

Mariel przyglądała się wodzie znikającej za nimi w dali. W wyłaniającym się z ciemności profilu dziewczyny, długim nosie i wysokim czole, było coś nieomal królewskiego. Nagle obróciła się, mrugnęła do Eris i to wrażenie prysnęło.

– Gdzie nas zabierasz, o, mężny kapitanie? – Mariel podniosła głos, usiłując przekrzyczeć wiatr i ryk silnika.

– Tam, gdzie to coś nie będzie nam zasłaniało widoku. – Eris wskazała na wznoszącą się niewiarygodnie wysoko w nocne niebo Wieżę.

Minęły spowitą w togę Statuę Wolności i skierowały się na południe, płynąc wokół portu, skąd dobiegały głośnie śmiechy i dźwięki muzyki. Wreszcie, kiedy znalazły się na tyle daleko, że Wieża nie zasłaniała im już większej części nieba, Eris wyłączyła silnik. Przechyliła się przez burtę i zanurzyła palce w wodzie, po czym szybko je wyciągnęła. Woda była przejmująco zimna.

– Podoba mi się tutaj. Super niespodzianka – Mariel przerwała tę nagłą ciszę.

– To jeszcze nie jest niespodzianka – odparła Eris – a przynajmniej nie cała.

Radosne okrzyki z South Street stawały się coraz głośniejsze. Eris słyszała muzykę i widziała różowe blaski dopalniczek tańczące na wodzie.

– Czy tam odbywa się jakaś impreza? – spytała Mariel.

Eris się roześmiała.

– Oni wszyscy zjawili się tu z tego samego powodu co my – odpowiedziała i objęła Mariel ramieniem. – Spójrz. – Wskazała w niebo i obydwie podniosły głowy.

Ciemny aksamit nieba przecinała właśnie kometa, a jej ogon ciągnął się za nią niczym pióropusz.

– Ale to piękne – wyszeptała Mariel.

Eris chłonęła ten widok, starając się nie myśleć o Klubie Uniwersyteckim i o tym, że w tym samym momencie Avery i Leda stały w swych drogich sukniach przy oknie i popijając szampana, obserwowały przelatującą kometa. „Skończ z tym”, powiedziała do siebie. To było o wiele przyjemniejsze.

– Wiesz, że ta kometa nosi nazwę podobną do mojego imienia – powiedziała, przypomniawszy sobie to, co wcześniej przeczytała. – Eros. Prawdopodobnie po raz kolejny minie Ziemię nie wcześniej niż za tysiąc lat.

– Eros, bóg miłości – uśmiechnęła się Mariel. – Eris to z kolei bogini...

– Chaosu – dodała ze smutkiem Eris. Ciągłe nabijała się z tego powodu z mamy. Caroline twierdziła, że nie miała o tym pojęcia, a imię Eris wybrała tylko dlatego, że jej się spodobało.

– Czasami miłość i chaos to jedno i to samo – rzekła cicho Mariel.

Eris odwróciła się i ją pocałowała, przysłaniając kometa swoją twarzą.

Mariel odpowiedziała równie żarliwym pocałunkiem i objęła Eris. W tym pocałunku była jakaś zupełnie nieznaną Eris czułość.

W końcu Mariel odsunęła się od niej.

– Eris, boję się.

– Co? Dlaczego? – Kometa zdążyła już zniknąć z nieba. Z daleka dobiegały wiwaty balangowiczów na jej cześć. Eros, kometa miłości.

– Po prostu... – Mariel zamilkła. Cała drżała ze zdenerwowania. – Nie chcę zostać zraniona.

Eris odniosła wrażenie, że w pierwszym odruchu Mariel chciała powiedzieć coś innego. Pochyliła się i delikatnie oparła głowę o jej ramię.

– Nie zrobię niczego, co mogłoby cię zranić. Obiecuję – oznajmiła łagodnie.

Ale bardziej cyniczna część jej osobowości zaśmiała się z niej w duchu. Jak może składać obietnice, których nigdy nie będzie w stanie dotrzymać? „Cóż, tym razem będę musiała się postarać, żeby stało się inaczej”, postanowiła.

Poczuła, że Mariel odrobinę się rozluźniła. Łódź kołysała się delikatnie na falach.

– Obiecuję – powtórzyła Eris, a jej głos rozwiął się w ciemności niczym dym.

AVERY

– Dzięki za podwiezienie do domu – powiedziała Avery, gdy hover zatrzymał się pod drzwiami jej mieszkania. Rodzice wyszli z przyjęcia kilka godzin przed nią, ona zaś nie miała pojęcia, gdzie podziewają się teraz jej przyjaciele, a także Leda i Atlas. Była zbyt pochłonięta tańcem, śmiechem, ogólnym podnieceniem związanym z przelotem komety, no i Watterem.

Świetnie się z nim bawiła, znacznie lepiej, niż w ogóle przypuszczała. Był wobec niej szczerzy, ale nie nazbyt poważny, pewny siebie, ale nie nadęty. Gdy odprowadził ją do drzwi, uświadomiła sobie, że teraz będzie musiał pokonać blisko osiemset pięter w dół Wieży. Próbowała wyobrazić sobie jego dom, ale nie potrafiła. „Dlaczego nie zadałam więcej pytań o jego życie?”, pomyślała nieco zawstydzona. Watt pewnie musiał uważać ją za okropną egoistkę.

– Nie ma sprawy. – Watt wyciągnął ostrożnie kwiat inkandesentu z za jej ucha. Zrobił się brązowy i całkiem usechł, przy tym wydzielał teraz mdlącą, słodką woń. A ledwie kilka godzin temu przypominał błyszczącą gwiazdę.

– Zdaje się, że noc naprawdę dobiegła już końca, prawda? – stwierdziła smutnym głosem Avery. Watt zamierzał już wyrzucić kwiat, ale powstrzymała go gestem ręki. – Nie, jeszcze go nie wyrzucaj. Chcę go zatrzymać. Choć trochę dłużej.

Watt posłusznie zostawił kwiat i popatrzył na nią z czułością. Avery wzięła od niego martwy inkandesent i schowała go w dłoni. Miała wrażenie, że słyszy bicie serca chłopaka.

Z niezwykłą delikatnością Watt nachylił się i pocałował ją w czoło. Znieruchomiał, dając Avery możliwość, aby sama się odsunęła. Ale ona tego nie zrobiła, Watt zaś na nią nie napierał. Po prostu stała nieruchomo i czekała.

Gdy jednak Watt musnął jej usta, wiedziała, że pocałunek był nieunikniony. Bez chwili zastanowienia odwzajemniła jego pocałunek, pragnąc przekonać się, jak smakują wargi Watta. Całowali się subtelnie i powoli, Avery czuła ciepłe dłonie chłopaka na swoich biodrach.

Gdy w końcu oderwali się od siebie, żadne z nich nie wymówiło ani słowa. Avery ogarnęło dziwne, przejmujące szczęście. Nareszcie udało jej się pocałować kogoś, kto nie jest Atlasem. Ale tym razem na serio, nie jakiegoś przypadkowego kolesia na wakacyjnej imprezie, którego później unikała, lecz kogoś, kogo szczerze lubiła. Miała wrażenie, jakby popełniła niemal świętokradztwo, ale nie okazało się to wcale aż takie trudne.

Może właśnie tego potrzebowała, żeby raz na zawsze zapomnieć o Atlasie. Może potrzebowała kogoś takiego jak Watt.

– Dobranoc, Avery – powiedział chłopak i odwrócił się w stronę hovera.

Myśli kłębiące się chaotycznie w umyśle Avery wykrystalizowały się w końcu w jedno słowo:

– Zaczekaj.

Watt zatrzymał się w zamkniętych do połowy drzwiach pojazdu.

Serce Avery biło jak szalone, oddychała nierówno. Zastanawiała się, czy Atlas jest w domu i czy zobaczy ich razem. „Przestań myśleć o Atlasie”, upomniała siebie. Nie chciała, żeby Watt odjeżdżał, ale nie była też pewna, czy jest już na to gotowa. Ale jeśli teraz nie jest, to może już nigdy nie będzie.

– Tak się zastanawiałam... – Przygryzła wargę. Watt stał cierpliwie i przyglądał się Avery. Ona zaś

rozumiała, że już podjęła decyzję. – Chcesz wejść do środka?

WATT

W pierwszej chwili Watt nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Jasne. To znaczy: z przyjemnością – odpowiedział. Nie chciał jednak wyjść na zbyt napalonego.

Pozwolił hoverowi odjechać, a Avery wzięła go za rękę i poprowadziła do środka przez imponujący lustrzany przedpokój, który następnie otwierał się na ogromny dwupoziomowy salon. Spodziewał się, że pójdą usiąść na kanapie, ale Avery skręciła w prawo i ruszyła korytarzem wyłożonym dywanem. Czy naprawdę szli tam, dokąd przypuszczał, że idą? Nie był przyzwyczajony do radzenia sobie w takich sytuacjach bez pomocy Nadii.

– To mój pokój – szepnęła Avery i pchnęła drzwi.

Watt znalazł się w bogato zdobionej sypialni z olbrzymim łóżkiem z baldachimem. Całość tonęła w jasnoniebieskich i kremowych barwach, na ścianach wisiały równomiernie rozmieszczone stare ryciny i lustra w ciężkich ramach. Watt jednak nie mógł się skupić na niczym poza Avery. Wahał się, był zupełnie skołowany. Nie wiedział, czy to on powinien wykonać pierwszy krok, czy też byłoby to zbyt zuchwałe.

Wtedy Avery pochyliła się nad nim i pocałowała go, a on już dłużej się nie wahał.

Spleceni w szalonym uścisku opadli na łóżko. Pocałunki Watta nie były tak delikatne jak wcześniej. Avery zaczęła niecierpliwie rozpinąć guziki jego koszuli, jednym szarpnięciem ściągnęła mu z ramion szelki, po czym oparła dłonie na jego nagiej klatce piersiowej i popchnęła go na poduszki, jej pocałunki stawały się coraz bardziej gorączkowe i natarczywe. Wattowi przeszło przez myśl – choć jego umysł funkcjonował w minimalnym stopniu – że powinien wydać teraz z siebie pierwotny okrzyk triumfu.

Nie mógł w to uwierzyć. Znajdował się w pokoju Avery Fuller, na łóżku Avery Fuller i całował się z samą Avery Fuller. Najpiękniejszą, najcudowniejszą i najbardziej intrygującą dziewczyną na świecie. I z wszystkich facetów, jakich Avery mogłaby mieć, ona wybrała akurat jego.

Przesunął ręce na jej plecy, żeby rozsunąć zamek jej sukni. Z gardła Avery wydobył się głęboki jęk. Watt niewłaściwie jednak odczytał jego znaczenie i pociągnął zamek aż do końca, a wtedy Avery odskoczyła jak oparzona.

Watt zamrugał zdezorientowany.

– Przepraszam. Możemy zwolnić – powiedział niewyraźnie.

– Nie. Chodzi o to... Ja tylko... – Wzięła głęboki, świszczący oddech. – Nie mogę tego zrobić. – Wydawała się bliska płaczu.

Watt usiadł i przeczesał dłonią włosy.

– Obiecuję. Nie zrobię nic, czego byś nie chciała. – Odszukał swoją koszulę i z poczuciem winy włożył ją z powrotem.

– To nie to... – Avery urwała i przygryzła wargę. – Chyba powinieneś już iść – oznajmiła. Ostateczny ton, jaki zabrzmiał w jej głosie, przeraził Watta bardziej niż same jej słowa.

– Dobrze. Ale... dlaczego? – Nie mógł powstrzymać się, by nie zapytać.

Avery nie odezwała się, nawet na niego nie spojrzała. Watt przypomniał sobie nagle, jak podczas urodzin Eris rozmawiali ze sobą, wręcz flirtowali, a potem w jednej chwili Avery całkiem pobladła i zostawiła go samego z Ming. A ten dziwny, pełen żalu komentarz z dzisiejszego wieczoru, że nie zawsze dostaje to, czego chce? Nawet bez pomocy Nadii potrafił poskładać wszystko w całość.

– Jest ktoś inny? – Zdawał sobie sprawę, że to podłe pytanie, ale musiał to wiedzieć. Avery tylko popatrzyła na niego z wyraźnym bólem. – Nieważne, nie ma o czym mówić – powiedział, żałując od razu goryczy, jaka pojawiła się w jego głosie.

Bez słowa odwrócił się i wyszedł z pokoju Avery z poczuciem, że może już nigdy więcej jej nie zobaczy.

LEDA

Oboje z Atlasem wsiedli do hovera. Było później, niż sądziła, a do tego ona wypięła zdecydowanie więcej, niż zamierzała. Z powodu tego, co się ostatnio działo w jej życiu, czuła kompletny mętlik w głowie. Ale teraz nie miało to znaczenia: ona i Atlas byli wreszcie sami. Przysunęła się bliżej chłopaka, zbyt pijana, żeby czymkolwiek się przejmować, i spojrzała na niego spod rzęs.

Miała już dość czekania. Tak bardzo go pragnęła, że nie była w stanie myśleć rozsądnie. Gdy hover zatrzymał się pod jej domem, rzuciła się na Atlasa i zaczęła go całować.

– Leda. – Atlas odskoczył od niej. Roztarł dłońmi nadgarstki i położył ręce na kolanach.

– Wejdz ze mną do środka – nalegała Leda.

Atlas potrząsnął jednak głową.

– Musimy porozmawiać.

Te dwa słowa sprawiły, że jej nerwy – i tak już napięte jak postronki – zdjął zimny strach.

– No to mów – rzuciła szorstko.

– Świetnie się z tobą bawiłem podczas gali – zaczął z zakłopotaniem. – Wyglądałaś dziś pięknie. Ale... – ciągnął, a Leda poczuła, że tym jednym „ale” zaraz złamie jej serce. – Nie powinniśmy się więcej umawiać.

– Nie chcesz tym razem chociaż mnie przelecieć, zanim znów uciekniesz?

Atlas się wzdrygnął.

– Przepraszam. To, co się stało w Catyan... Powinienem to przerwać, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Skoro twoim zdaniem to był taki straszny błąd, to dlaczego zaprosiłeś mnie na dzisiejszą imprezę?

– Bo jesteś niesamowitą dziewczyną. Każdy facet, z którym byś się umówiła, byłby wielkim szczęściarzem. – Atlas popatrzył jej prosto w oczy. – Ale zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie. Zasługujesz na prawdę. A prawda jest taka, że żywię uczucia do kogoś innego. Nie zachowałbym się więc uczciwie wobec ciebie, gdybym ci o tym nie powiedział.

– W takim razie w porządku.

Atlas ruszył, żeby pomóc jej wysiąść, ale Leda sama wyskoczyła z hovera i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

– Wybacz. Mam nadzieję, że możemy pozostać przyjaciółmi – powiedział.

Leda weszła powoli po schodach, by mu pokazać, że nieszczególnie się tym przejęła. Upór i zraniona duma nie pozwalały jej opuścić głowy. „Ciekawe, jak by zareagował – zastanawiała się – gdyby wiedział, że ostatnim razem, gdy mnie tak urządził, rzuciłam się w alkoholowo-narkotykowy ciąg i w rezultacie wylądowałam na dwumiesięcznym odwyku?”

Powinna się była tego spodziewać. Powinna wiedzieć, że Atlas znów zacznie się bawić jej uczuciami, najpierw zaprosi ją na wielką imprezę, a potem oznajmi chłodno, że chce być wobec niej „uczciwy”. „Już ja ci pokażę uczciwość”, pomyślała, wchodząc do mieszkania i choćby o milimetr nie odwracając głowy w stronę chłopaka.

Ale gdy tylko znalazła się w swoim pokoju, padła na podłogę i ukryła twarz w dłoniach. Nienawidziła Atlasa za to, jak ją potraktował. Chciała go zranić, jego i tę głupią dziewczynę, do której rzekomo „żywił uczucia”.

Nagle Leda uświadomiła sobie, że wciąż nie użyła najpotężniejszej broni, jaką miała w swoim arsenale. Mruczając pod nosem, zaczęła pisać wiadomość do Nadii: „Myliłaś się. Atlas właśnie mi powiedział, że jest zakochany w kimś innym. Dowiedz się, kim ona jest, albo cię zwalniam”.

Chwilę później przed jej oczami wyświetliła się wiadomość, której zupełnie się nie spodziewała: „Za późno. Odchodzę”.

Leda zagotowała się ze złości. „Nikt nie odchodzi ode mnie. Nie możesz odejść, nie teraz”.

„Czy właśnie przed chwilą sama mnie nie zwolniłaś? Czasem trudno nadażyć za twoimi huśtawkami nastroju”.

„Ty mała...”

„Wybacz, ale mam już was wszystkich dość”, przerwała jej Nadia, po czym połączenie zostało

zerwane i hakerka definitywnie zerwała z nią łączność.

Leda nie wiedziała, co Nadia miała na myśli, mówiąc „was wszystkich”, ale zupełnie jej to nie obchodziło. Była kompletnie zdezorientowana. Cały świat walił jej się na głowę. Najpierw straciła najlepszą przyjaciółkę, potem Atlasa, a teraz na dodatek Nadię... Boże, jak bardzo chciała z kimś po prostu porozmawiać... A do tego jeszcze dręczyło ją to dziwne zachowanie taty... Czuła się osaczona, przerażona. Chciała się z tego wszystkiego wyrwać. „Myśl”, powiedziała do siebie, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Zamknęła oczy i wzięła długi, drżący oddech.

Nie mogła dłużej tego wytrzymać.

Otworzyła flika do Rossa, który wciąż czekał w folderze z roboczymi wiadomościami, i bez namysłu go wysłała: „To ja. Masz coś dla mnie?”.

EVERY

Z westchnieniem podciągnęła stopy na miękką szarą kanapę w salonie. Bez przekonania poruszała ręką, szukając czegoś ciekawego pośród tysięcy kanałów na holoeckranie. Wciąż myślała jednak o Watcie i o wyrazie jego twarzy, kiedy wyrzucała go z pokoju.

Czuła się okropnie z powodu tego, jak zakończyła się ta noc. Naprawdę nie miała zamiaru oszukać Watta. W chwili gdy pojawił się na progu jej mieszkania, taki przystojny w nowym smokingu, poczuła lekki dreszczyk ekscytacji. A wraz z upływem nocy ten dreszczyk stawał się coraz mocniejszy.

Może chodziło o sposób, w jaki z nią rozmawiał – naprawdę rozmawiał – i przywiązywał wagę do rzeczy, które były dla niej istotne. Może sprawił to jego przyjemny, czysty zapach, który poczuła, gdy w trakcie tańca oparła głowę o jego ramię. A może była to kwestia tego, że coś w jej życiu musiało się zmienić, i to radykalnie, jeśli liczyła na to, że uwolni się od Atlasa, a to byłaby najbardziej radykalna zmiana, jaka tylko przychodziła jej na myśl. Bez względu jednak na powód, stojąc pod drzwiami mieszkania, Avery postanowiła pójść za radą Jess: zrobić to i mieć to wreszcie za sobą. Zamierzała uprawiać seks z Watem.

Ale gdy ta chwila nadeszła, Avery zastygła jak sparaliżowana. Lubiła Watta, szczerze go lubiła, a jednak nie potrafiła tego zrobić. Wiedziała, że to pokręcone, ale zawsze wyobrażała sobie, że ten pierwszy raz będzie z Atlassem. Nieważne, jak bardzo próbowała przekonać samą siebie, nie mogła znieść myśli o tym, że miałyby być z kimś innym.

Zastanawiała się nad tym, co powiedział Watt: że ona ciągle patrzy wstecz, podczas gdy on zawsze spogląda w przyszłość. Może po części właśnie dlatego tak bardzo interesowała się przeszłością, bo było to łatwiejsze niż myślenie o własnej przyszłości. Ponieważ przyszłość z Atlassem była nierealna,

a przyszłość bez niego – niemożliwa do zniesienia.

Avery znów sprawdziła swoje wiadomości. Wciąż żadnego odzewu od Watta. Wysłała mu krótkiego flika, pisząc, że przeprasza za to, w jaki sposób się rozstali, i ma nadzieję, że dotarł bezpiecznie do domu. Ale Watt jej nie odpowiedział.

Gdyby tylko mogła pogadać o tym z Ledą. Ale nie wiedziała, czy Leda i Atlas wciąż są na gali czy może u niej w domu... Znów zaczęła przesuwać kanały na holoeckranie, starając się ze wszystkich sił nie myśleć o tym, co robią teraz Atlas i Leda. Lepiej skupić się na mniejszym problemie, czyli na tym, jak po mistrzowsku schrzaniła sprawę z Watem.

Nagle usłyszała charakterystyczne piknięcie otwieranych drzwi frontowych i zdumiona usiadła prosto, zakładając za uszy kosmyki włosów. Rodzice wrócili do domu kilka godzin temu i spali w swojej sypialni na końcu korytarza. To więc musiał być Atlas.

– Avery? – Atlas stanął w drzwiach. – Nie wiedziałem, że już jesteś w domu.

– Wróciłeś – stwierdziła idiotycznie.

– No. – Atlas usiadł obok niej na kanapie.

– Myślałam, że jesteś z Ledą. – Avery nie mogła się powstrzymać przed złośliwym komentarzem.

– Byłem, ale odwiozłem ją do domu. – Zamilkł na chwilę. – Powiedziałem jej, że nie powinniśmy się więcej umawiać.

– Och. – Avery przepełniło poczucie triumfu, ale jednocześnie ogarnął ją wstyd, że cieszy się z nieszczęścia przyjaciółki. Gdyby nie chodziło o Atlasa, Leda pewnie właśnie teraz by do niej dzwoniła, żeby dać upust swojej złości i obmyślić jakiś typowy dla siebie plan zemsty.

Oboje z Atlasem siedzieli wpatrzni w holoeckran, na którym wyświetlała się reklama nowych jogurtów o smaku smoczego owocu. Animowane smoki fruwały w kółko po ekranie, trzepocząc długimi rzęsami.

Nagle Atlas odwrócił się do siostry.

– Co jest grane między tobą i tym całym Watem?

– O co ci chodzi?

– Co w nim w ogóle widzisz?

– Przecież sam powiedziałeś ostatnio, że to miły chłopak! – burknęła Avery. Atlas się nie odezwał. – To wprawdzie nie twój interes – ciągnęła dalej cierpko – ale się rozstaliśmy. Wygląda na to, że to noc rozstań. Teraz jesteś zadowolony?

Atlas utkwiał w niej nieruchome spojrzenie swoich ciemnobrązowych oczu.

– Aves, zależy mi tylko na tym, żebyś była szczęśliwa.

Poczuła, że złość z niej trochę opada.

– Rzecz w tym – powiedziała z wahaniem – że miałeś rację. Watt to naprawdę miły chłopak. To nie jego wina, że nie jest...

Nie mogła dokończyć tego zdania.

– Kim nie jest? – dopytywał.

Avery czuła się zmęczona, tak potwornie zmęczona udawaniem, że widok Atlasa z innymi dziewczynami wcale jej nie przeszkadza, ciągłym ukrywaniem cierpienia za gładkim uśmiechem. Ta sytuacja już tak jej ciążyła, że miała wrażenie, iż zaraz pęknie na pół.

Jednak wciąż się wahała. Jeśli to zrobi, jeśli powie bratu to, czego naprawdę pragnęła, wówczas może utracić go na zawsze.

– Nie jest tobą – wyszeptała w końcu.

Te słowa zawisły w powietrzu, kończąc tym samym świat, w jakim do tej pory żyła. W ciszy, która zapadła, rodziło się coś nowego. Avery wstrzymała oddech.

Nagle poczuła na sobie ramiona Atlasa i w tej samej chwili ich usta się zetknęły.

Avery odpowiedziała na jego pocałunek z niecierpliwością i zachłannością, a szczęście wręcz rozsadzało jej serce. Ich pocałunki były gorączkowe i namiętne, miała wrażenie, że nigdy nie będzie ich miała dosyć.

W pewnym momencie Atlas wziął ją w ramiona i ruszył z nią korytarzem w kierunku swojego pokoju. Z głową przytuloną do jego piersi Avery słyszała przyspieszone bicie serca, które dostroiło się swym rytmem do jej serca. Euforia mieszała się w nich z dręczącym lękiem z powodu tego, czego zaraz oboje mieli się dopuścić. Avery zadrzała.

Rozległ się łoskot. Atlas przewrócił lampkę przy swoim łóżku. Obydwoje zamarli, bojąc się nawet oddychać. Ich rodzice byli przecież w domu, wprawdzie ich sypialnia znajdowała się na drugim końcu korytarza, ale jednak...

Nic się jednak nie wydarzyło i Avery odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam – powiedział Atlas, ale ona tylko się roześmiała i pociągnęła go za sobą na łóżko.

– Nieważne. Teraz nie liczy się nic oprócz ciebie. – Chciała go pocałować, ale ją uprzedził. Jego usta wręcz parzyły jej skórę i zagłuszały w niej resztki myśli.

Gdy Avery się przebudziła, Atlas spał zwinięty obok z ręką przerzuconą przez jej ramię, na uchu czuła jego delikatny oddech – żywy dowód na to, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, że niczego sobie nie uroiła. Leżała przez chwilę nieruchomo, ciesząc się samą jego bliskością. W końcu przewróciła się na bok i pocałowała go.

Atlas się poruszył.

– Cześć. – Uśmiechnął się zaspany.

– O czym myślisz? – spytała, ponieważ nie była pewna, jak ma powiedzieć coś, co nie dawało jej spokoju.

– W tej chwili myślę o tym, jak miło tu leżeć i trzymać cię w objęciach – szepnęła, po czym przyciągnął ją bliżej siebie.

Avery przytuliła się do niego z zadowoleniem, ale w jej głowie wciąż krążyły tysiące pytań.

– Atlas – spróbowała raz jeszcze – kiedy całowaliśmy się po urodzinach Eris... później nawet tego nie pamiętałeś... – Popatrzyła na niego wyczekująco, a on zmarszczył czoło.

– Ja nie pamiętałem? – zdziwił się. – Aves, to ty zachowywałaś się, jakby nic się nie wydarzyło!

– Nie – zaprzeczyła odruchowo. To nie mogła być prawda.

– Przecież tam na dachu nawet nie odwzajemniłaś mojego pocałunku! – mówił dalej. – Poczułem się okropnie. Jak myślisz, dlaczego tak szybko stamtąd uciekłem?

– Ale na drugi dzień rano stałeś w kuchni i jak gdyby nigdy nic jadłeś sobie gofry!

– Tylko dlatego, że wydawało mi się, że właśnie tego ode mnie oczekujesz.

Avery potrząsnęła głową. Ale gdy wróciła myślami do tamtej nocy, przypomniała sobie, jak delikatny był ich pocałunek, a ona nie odważyła się nawet drgnąć z obawy, że może wystraszyć Atlasa. I może mimowolnie to właśnie zrobiła.

– Myślałam, że nie pamiętasz. Albo masz to gdzieś – szepnęła.

– Oczywiście, że pamiętam. Jak mógłbym nie pamiętać pocałunku z dziewczyną, którą kocham?

Avery westchnęła głęboko.

– Ja też cię kocham – odparła szczęśliwa, że wreszcie może to powiedzieć na głos.

Niebawem miał wstać świt. Powinna wrócić do swojego pokoju, zanim obudzą się rodzice. Zerknęła na Atlasa, który leżał wsparty na łokciu pod wymiętym białym prześcieradłem. Przyglądał się uważnie jej twarzy i jak zwykle próbował odczytać malujące się na niej uczucia.

– Musisz iść? – domyślił się.

Avery skinęła głową i podniosła się niechętnie. Dręczyła ją jednak jeszcze jedna sprawa.

– A co z Ledą? – zapytała. Upór, jak zawsze powtarzał Atlas, stanowił jej jedyną wadę.

Chłopak odwrócił wzrok.

– Czuję się podle z powodu tego, jak ją potraktowałem.

„Ja też powinnam czuć się podle”, przyszło do głowy Avery. Leda była jej najlepszą przyjaciółką, ale teraz nie umiała myśleć o niej inaczej jak o przeszkodzie na drodze do bycia z Atlasem.

– Naprawdę nie chciałem jej oszukać – dodał ze skruchą, a ona przypomniała sobie, jak sama obeszła się wczoraj z Watemem.

– Dlaczego przespałeś się z nią w Andach?

– Bo nie mogłem mieć ciebie, Aves. – Pokręcił głową. – Sądziłem, że będąc z Ledą, przestanę nieustannie myśleć o tobie. Dlatego też wyjechałem, chciałem uciec od tego, co do ciebie czułem. Miałem nadzieję, że jeśli ucieknę dostatecznie daleko, w końcu przestanę cię kochać.

– Cieszę się, że ci się to nie udało.

– To po prostu nie mogło się udać – uśmiechnął się Atlas.

WATT

Wracając w sobotnie popołudnie z siłowni, Watt upił duży łyk przeciwbólowego proteinowego shake'a i skrzywił się z powodu obolałych ramion. Miał za sobą, na własne życzenie, bardzo ciężką sesję treningową z bokserskim botem. Liczył na to, że jeśli dostatecznie mocno mu przyłoży, zapomni o cierpieniu, jakie sprawiła mu Avery. Jak dotąd jednak jego plan nie zadziałał.

Watt nie zareagował na flika, którego późno w nocy wysłała mu Avery. Brzmiał on tak, jakby napisała go na odczepne. Nadia, gdy uruchomił ją na nowo, sugerowała, żeby na niego odpowiedział. Ale Watt był człowiekiem i nie kierował się racjonalnymi przesłankami, dlatego wbrew radom Nadii postanowił nie odzywać się do Avery i trwać w pełnym dumy, upartym milczeniu.

Wszedł na taras widokowy na 236 piętrze, pełnym fontann z wodą z recyklingu, fantazyjnie zdobionych budek z lodami i rozwrzeszczanych dzieci. Było tu znacznie tłoczniej niż zazwyczaj. Przez olbrzymie okna zauważył, że na niebie gromadzą się wielkie masy chmur burzowych.

„Nie miałem pojęcia, że dziś jest dzień deszczu”, zwrócił się do Nadii i przysunął bliżej do okna. Uwielbiał deszcz, od kiedy był dzieckiem: barwne sterowce wzbijały się wysoko w niebo i wypuszczały hydrosulfaty, a wilgoć zbierała się wokół eksplodujących chemikaliów w idealnie symetrycznych spiralach i po chwili rozlegał się przyjemny szum upragnionego deszczu. Ludzie wprawdzie nie potrafili kontrolować pogody w skali globalnej, ale już prawie pięćdziesiąt lat temu opracowali skuteczne metody wywoływania deszczu i zapobiegania opadom w wymiarze lokalnym. Watt zastanawiał się, jak to wyglądało dawniej, gdy ludzie byli zdani na łaskę natury: czy też uważali, że deszcz jest piękny, czy raczej go nienawidzili, ponieważ nie byli w stanie nad nim panować. „Avery by to wiedziała”, pomyślał, po czym sam na siebie się za to zezłościł.

– Cała przyjemność po mojej stronie – usłyszał w iTenach głos Nadii.

– Chwila, czy chcesz powiedzieć, że ten deszcz to twoja sprawka?

– Potrzebowałeś czegoś na poprawę humoru – wyjaśniła.

– Czasami wydaje mi się, że tylko marnuję twoje umiejętności. – Watt pokręcił głową z uśmiechem.

Nadia potrafiła włamać się do systemu Miejskiego Biura Pogodowego tylko dlatego, że pewien

siedemnastolatek dostał kosza od dziewczyny, która mu się podobała. Watt był jej ogromnie wdzięczny.

– Myślisz, że Avery jest zakochana w kimś innym? – spytał Nadię, gdy pierwsze, ciężkie krople deszczu zaczęły bębnić o znajdujący się w górze świetlik. Świetliki były dopasowane wielkością do obwodu Wieży, bowiem im wyższe piętro, tym budynek był węższy.

– Ja to wiem.

– Wiesz? – Watt był zdezorientowany.

– Chcesz, żebym ci powiedziała?

Watt się zawahał. W pewnym stopniu odczuł ulgę, że Avery nie odrzuciła go ze względu na to, że popełnił jakiś błąd lub zrobił coś niewłaściwie. Ale zarazem był na nią zły, że w ogóle zaprosiła go na imprezę, choć najwyraźniej zależało jej na kimś innym. Oczywiście Watt chciał wiedzieć, kim ten ktoś jest.

Ale gdyby zapytał o to Nadię, w niczym by się nie różnił od Ledy. A zresztą to i tak nic by nie zmieniło.

– Dzięki – oznajmił Nadii – ale nie chcę tego wiedzieć.

Trzymał się mocno tego postanowienia przez całą drogę powrotną do domu. Trzymał się go, gdy wszedł przez drzwi, a Zahra i Amir skoczyli na niego radośnie, błagając, żeby się z nimi pobawił. Trzymał się tego postanowienia przez całą kolację, a także wtedy, gdy pomagał rodzicom sprzątać i gdy kładł bliźniaki do snu.

Ale wciąż nie mógł przestać o tym myśleć. Skoro Nadia już wiedziała, o kogo chodzi, to znaczyło, że ta informacja znajdowała się dosłownie w jego umyśle, i miał wrażenie, jakby to było jakieś swędzące miejsce, które po prostu musiał podrapać. W końcu się poddał. Schował się w swoim pokoju i zamknął drzwi na klucz.

– Zmieniłem zdanie – powiedział na głos do Nadii. – Chcę wiedzieć. – Nie obchodziło go to, że ta wiedza w niczym już mu nie pomoże, a zapewne jeszcze bardziej tylko go zdenerwuje. Musiał wiedzieć, kogo zamiast niego wybrała Avery.

– Za chwilę odtworzę ci nagranie audio z komputera pokojowego Atlasa – oznajmiła Nadia. – Zostało zarejestrowane ubiegłej nocy, już po tym, jak wyszedłeś z mieszkania Fullerów.

– Dobrze. – Watt nie rozumiał, co to może znaczyć. Może Avery wyjawiała bratu, w kim jest zakochana?

Zmarszczył czoło, słysząc szept Atlasa, a chwilę później nieco wyższy głos. No dobra, a więc Atlas był z dziewczyną. Leda na pewno chciałaby dostać to nagranie. Mógłby zażądać od niej mnóstwa forsy. Już miał prosić Nadię, żeby przewinęła do tej części, gdy będą mówić o Avery, gdy...

Watt zacisnął mocno palce na brzegach krzesła. O Boże. Znał głos tej dziewczyny. A gdy wreszcie pojął prawdę, jego gniew ustąpił miejsca fali obrzydzenia.

Stanęła w drzwiach do pokoju Corda, przygotowując się do tego, co zamierzała zaraz zrobić. Już raz ci się udało, przypomniała sobie. Ale wtedy to było zupełnie co innego: Cord był dla niej tylko zwykłym dupkiem, który próbował się do niej przystawiać po imprezie, a nie chłopakiem, który zabrał ją na wycieczkę do Paryża, który ją rozśmieszał i dzięki któremu czuła się szczęśliwa pomimo wszystkiego, co się działo w jej życiu. Chłopakiem, w którym się zakochała wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Pomyślała o V, a także o groźbie Hirała i ogarnęły ją złe przeczucia. Musiała to zrobić teraz. Cord dopiero co wyszedł do szkoły – słyszała, jak zamykają się za nim drzwi – a ona chciała wynieść stąd narkotyki i pozbyć się ich jeszcze przed jego powrotem do domu. Poruszając się szybko i zdecydowanymi ruchami, weszła do pokoju, wzięła pięć specjalii z kryjówki w komodzie i schowała je do tylnej kieszeni dżinsów. Wyszła na zewnątrz i znajdowała się już w połowie korytarza, gdy...

Wpadła prosto na Corda.

– Cześć – powiedział i położył ręce na jej ramionach. – Gdzie tak się spieszysz?

– Sądziłam, że już wyszedłeś – odparła Rylin i natychmiast się wzdrygnęła. Zabrzmiało to co najmniej dziwnie. Wciąż myślała o tym, jak poprzednim razem, żeby uniknąć przyłapania na gorącym uczynku, podeszła do Corda i go pocałowała. Ale teraz patrzył na nią tak ufnie, że nawet nie musiała odwracać jego uwagi.

– Zaraz wychodzę – oznajmił Cord, a ona nagle spostrzegła, że chłopak zamiast szkolnego munduru ma na sobie dżinsy i zwykłą białą koszulę.

– Znowu uciekasz z lekcji – zauważyła.

Cord przyglądał jej się bacznie i przez krótką, straszliwą chwilę Rylin miała wrażenie, że jakimś sposobem dowiedział się o skradzionych specjalach. Ale on tylko skinął głową, jakby powziął w końcu decyzję.

– Chcesz iść ze mną? – zaproponował.

Rylin się zawahała. Wydawało jej się, że specjale zaraz wypalą jej dziurę w kieszeni spodni.

– Sama nie wiem – zaczęła, ale umilkła, widząc ledwo dostrzegalny grymas rozczarowania, który przemknął po twarzy Corda. – No dobrze – zgodziła się. Choć wspólne wyjście z Cordem, gdy miała kieszeń pełną wykradzonych mu specjalii, było naprawdę kiepskim pomysłem. Najwyraźniej jednak ta wyprawa wiele dla niego znaczyła.

– Zaufaj mi, nie pożałujesz – rzucił tajemniczo i szeroko się uśmiechnął.

Wysiedli z prywatnego koptera na trawnik przed wyglądającym na opuszczony domem w West

Hampton.

– Co to za miejsce? – spytała przyciszonym głosem Rylin, gdy Cord otwierał zamek w drzwiach frontowych. Łopaty koptera zaczęły znów wolno wirować, tworząc na trawie kręgi, aż w końcu maszyna poderwała się do lotu. Rylin odetchnęła głęboko, napawając się wszystkimi zapachami zewnętrznego świata: ziemi, powietrza i oceanu. Czasami dobrze było się wyrwać z Wieży.

– Ten dom należał kiedyś do mojego taty – wyjaśnił Cord. – Dowiedziałem się o nim dopiero po jego śmierci. Tata zapisał mi go w testamencie.

Powiedział to spokojnym głosem, ale Rylin serce aż podskoczyło w piersi.

– Tylko tobie? A Brice’owi nie? – wyrwało się jej.

– Dokładnie. Nie mam pojęcia dlaczego. Może uznał, że bardziej docenię to miejsce. Albo też, że będzie mi bardziej potrzebne. – Zamilkł, otworzył drzwi i posłał Rylin badawcze spojrzenie. – Jesteś pierwszą osobą, którą tu przywiozłem.

– Dziękuję, że postanowiłeś mi je pokazać – odparła cicho.

Wprowadził ją do korytarza, w którym zaraz zapaliły się automatyczne światła, ukazując mały, lecz przytulny salon oraz wiodące na piętro schody. Przez chwilę Rylin zastanawiała się, czy przyjechali tutaj na jakąś romantyczną wycieczkę, ale Cord już przeszedł przez kuchnię i otwierał kolejne drzwi.

– Oto i on – oznajmił najbardziej nabożnym tonem, jaki Rylin kiedykolwiek u niego słyszała. Nad ich głowami rozbłysły lampy, oświetlając ogromny garaż wypełniony co najmniej tuzinem samochodów.

Rylin weszła zdezorientowana do środka. W samej Wieży nie można było poruszać się samochodami, jedynie hoverami, które należały do Służby Budynku i były sterowane za pomocą centralnego algorytmu. Prawie nikt z mieszkańców Wieży nie posiadał prawdziwego samochodu, z wyjątkiem kilku rodzin z górnych pięter, które trzymały swoje wozy w hydraulicznych garażach. Nawet na przedmieściach ludzie rzadko mieli prywatne auta, łatwiej było zrzucić się w kilka osób i kupić samochód w ramach współwłasności albo po prostu opłacić abonament za korzystanie ze wspólnych przejazdów.

Jeden samochód w Hamptons Rylin potrafiłaby jeszcze zrozumieć. Ale po co Cordowi ich aż tyle?

Chłopak uśmiechnął się, widząc jej niepewną minę.

– Przyjrzyj się im bliżej – zachęcił ją.

Rylin przesunęła dłonią po stojącym najbliżej eleganckim czerwonym wozie. Drobiniki kurzu uniosły się w powietrze. Nagle zorientowała się, że samochód ma kierownicę i hamulec, a nawet... pedał gazu?

– Chwila – odezwała się, gdy wreszcie dotarło do niej, że to wcale nie są samochody na autopilota. –

Czy to...?

– Tak – odparł z dumą. – Są stare, naprawdę stare. Modele kierowane przez człowieka, sprzed epoki samochodów na autopilota. Tata zostawił je wszystkie dla mnie. – Spojrzał czule na kabriolet, który okrążała właśnie Rylin. – Ten ma prawie osiemdziesiąt lat.

– Ale skąd one się tu wzięły?

Czy trzymanie takich samochodów nie było czasem niezgodne z prawem?

– Tata kolekcjonował je przez lata. Trudno je znaleźć, ponieważ prowadzenie takich wozów jest nielegalne, no i niesamowicie ciężko doprowadzić je do stanu używalności – wyjaśnił Cord. – Poza tym są napędzane paliwami kopalnymi, nie elektrycznością, a benzyna jest bardzo droga.

– Po co więc to wszystko? – spytała ze szczerym zdziwieniem Rylin.

Cord popatrzył na nią z podekscytowaniem.

– Jechałaś już kiedyś samochodem na autopilota?

– Tak, gdy byłam mała, pojechaliliśmy odwiedzić dziadków w New Jersey. – Rylin pamiętała, jak mama zamówiła samochód przez tablet, a wóz pojawił się chwilę później. Musieli pomieścić się w środku z inną rodziną, ponieważ stać ich było tylko na opcję „wspólny przejazd”. Wpisali na ekranie cel podróży i wyruszyli kierowani przez centralny komputer sterujący systemem autostradowym.

– No więc te samochody nie mają nic wspólnego z tamtymi wozami z wmontowanym ograniczeniem prędkości. Chodź, pokażę ci.

Rylin jednak nawet nie drgnęła.

– Chcesz mi powiedzieć, że wiesz, jak tym kierować? – spytała z powątpiewaniem. Nie była pewna, czy ma ochotę wsiąść do wielkiej, niebezpiecznej maszyny, za której kierownicą usiądzie Cord.

– Owszem, wiem, jak tym kierować. Poza tym samochód ma pasy bezpieczeństwa.

Ale pasy bezpieczeństwa nie uratowały milionów osób, które zginęły w wypadkach samochodowych, zanim zabroniono korzystania z aut kierowanych przez człowieka. Przynajmniej tyle Rylin pamiętała ze szkoły.

– Jak nauczyłeś się prowadzić? – Próbowwała grać na zwłokę.

– Miałem pomoc. I ćwiczyłem. No dalej, gdzie twój duch przygody? – Cord z galanterią otworzył przed nią drzwi od strony pasażera. Rylin westchnęła i niechętnie wsiadła do samochodu. Opakowania specjali wbiły się w jej pośladek, przypominając o tym, co wcześniej zrobiła. Czym prędzej stłumiła kolejną falę wyrzutów sumienia.

Cord chwycił za dźwignię przy drzwiach garażowych i podniósł je, wpuszczając do środka zimne popołudniowe światło. Rylin osłoniła dłonią oczy. Przyglądała się, jak Cord sprawdzał opony, po czym podniósł maskę i zlustrował znajdującą się w środku srebrną płataninę rurek. Wykonywał szybkie i zręczne ruchy, brwi ściągnął w skupieniu. W końcu wsunął się na fotel kierowcy i przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozległ się cichy warkot silnika.

Ruszyli zasłaną liśćmi drogą, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się rzędy opuszczonych po sezonie domów, i skierowali się w stronę wjazdu na autostradę międzystanową. Rylin z zachwytem obserwowała, z jaką swobodą dłonie Corda manipulują kierownicą.

– Chcesz, żebym później nauczył cię prowadzić? – zaproponował, puszczając do niej oko. Rylin tylko milcząco potrząsnęła głową.

Autostrada rozciągała się przed nimi w obu kierunkach: w lewo do Amagansett i promu do Montauk, a w prawo – z powrotem do miasta. W oddali Rylin widziała ciemny, rozmazany kształt Wieży. Gdyby nie wiedziała, co się pod nim kryje, pomyślałaby, że to burzowa chmura.

– No to jazda – powiedział Cord i wcisnął pedał gazu.

Auto wyskoczyło do przodu niczym żywa istota, a strzałka szybkościomierza przekroczyła najpierw osiemdziesiąt, potem sto dwadzieścia, w końcu sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Wydawało się, że cały świat skurczył się do jednego, wypełnionego ciszą punktu. Rylin straciła poczucie czasu i przestrzeni. Nie istniało dla niej nic poza samochodem, rozciągającą się przed nimi szosą oraz gorącą krwią krążącą coraz szybciej w jej żyłach. Krajobraz za oknem rozmazał się w jednolitą plamę nieba i mrocznego lasu, przerywaną jedynie jarzącą się na drodze żółtą linią.

Autostrada przed nimi zakreślała. Cord delikatnie poruszył kierownicą, pozwalając, by samochód łagodnie wszedł w zakręt. Ciało Rylin zadrżało od skumulowanej pod nią energii wozu. Teraz wreszcie rozumiała, dlaczego Cord tak bardzo to kochał.

Podmuchy wiatru miały włosami Rylin wokół jej ramion. Czuła, że Cord się jej przygląda, i już miała zwrócić mu uwagę, żeby patrzył na drogę, ale coś jej podszeptało, że wcale nie musi tego robić. Chłopak opuścił prawą rękę na podłokietnik i prowadził teraz tylko lewą. Rylin wzięła go za wolną dłoń. Żadne z nich się nie odezwało.

Wreszcie Cord skręcił w wąską wiejską dróżkę. Rylin wciąż dygotała z powodu euforii, jaką wywołała w niej jazda po autostradzie. Zobaczyła tabliczkę z napisem „ZAKAZ PARKOWANIA” i już chciała zażartować, że choć tylko raz w życiu jechała samochodem, to doskonale wie, co oznacza parkowanie, ale wtedy jej oczom ukazała się biała wstęga plaży i wszystko inne przestało się nagle dla niej liczyć.

– Och! – wykrzyknęła. Zrzuciła buty i pobiegła w kierunku wody. Wiatr utworzył na piasku drobne fałdki, które schodziły w dół do wścieklej, szarej toni morskiej. – Jak tu pięknie – powiedziała z przejęciem, gdy Cord stanął za jej plecami. Obie z Lux były tylko raz na plaży, w Coney Island. Było tam okropnie i strasznie tłoczno. A tutaj widziała jedynie niebo, piasek i Corda. Nie było nawet widać domków, które stały zapewne tuż za wydmami. Zupełnie jakby znajdowali się w jakimkolwiek dowolnym miejscu na ziemi.

Nagle rozległ się grzmot i z nieba lunął gwałtowny deszcz.

Cord mruknął coś pod nosem do swoich szkielek. Niemal w tej samej chwili z bagażnika samochodu

wyłoniła się hover-osłona i popłynęła przez deszcz w ich kierunku.

– Chcesz wracać? – spytał Cord, podnosząc głos ponad narastający szum ulewy, gdy już schowali się pod hover-osłoną. Była wielkości bardzo dużego koca i miała wesoły wzorek w białoczerwone paski, taki jak starodawne parasole, które Rylin widziała na zdjęciach. Ale w odróżnieniu od parasoli, które trzeba było trzymać nad głową samemu, hover-osłona unosiła się w powietrzu dzięki mikrosilniczkom umieszczonym w każdym rogu.

Może była to kwestia burzy albo szalonej samochodowej przejażdżki, albo tego, że znajdowali się tak daleko od wszystkiego, co przypominało ich normalne życie, ale Rylin uznała, że ma już dość czekania. Wszelkie przeszkody, które stawały pomiędzy nią a Cordem – nawet ukradzione specjale w tylnej kieszeni spodni – przestały mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Wszystko to zbladło, rozmyło się, zostało zagłuszone przez grzmoty oraz bicie jej serca.

W odpowiedzi na pytanie pocałowała Corda i pociągnęła go za sobą na piasek. Deszcz coraz mocniej bębnił w wiszącą nad ich głowami osłonę, ale znajdujący się pod nią skrawek plaży wciąż był ciepły.

Cord doskonale zrozumiał jej zamiary. Nic nie powiedział, tylko zaczął ją bardzo powoli całować, jak gdyby mieli do dyspozycji całą wieczność.

ERIS

Stała przed wejściem do francuskiej restauracji Cascade, dyskretnie położonej na 930 piętrze. Po raz ostatni spróbowała skontaktować się z mamą, tak na wszelki wypadek, ale Caroline nie odbierała, a wcześniej nie było jej w domu. Eris z irytacją pokręciła głową i weszła do środka. W takim razie zje obiad z panem Cole'em sama.

Od ich wspólnego lunchu w zeszłym tygodniu Eris nieustannie zasypywała mamę pytaniami. Co oznacza dla nich to, że pan Cole jest jej ojcem? Kiedy znów się z nim spotkają?

– Nie wiem, Eris. Minęło ledwie parę dni – odparła z westchnieniem Caroline. – Wysłałam mu wiadomość i zobaczymy, co odpowie.

A więc to pan Cole zaaranżował dzisiejsze spotkanie. Eris czekała na nie cały tydzień, rozmawiała o nim szczegółowo z Mariel, która słuchała uważnie i przytakiwała, ale nie była pewna, co mogłaby jej poradzić.

Najdziwniejsze jednak były spotkania w szkole z Ledą, zwłaszcza że Eris nie mogła jej nic wyjawić. Pan Cole sam chciał opowiedzieć o wszystkim córce, ale w odpowiednim czasie. To oczywiste, w końcu to była jego tajemnica. Eris nie była jednak w stanie się powstrzymać i cały czas w szkole zerknęła w kierunku Ledy, nie mogąc się przy tym nadziwić, że były przyrodnimi siostrami. Wciąż szukała

jakichś wspólnych rysów w ich całkowicie odmiennych twarzach. „Może odrobinę w okolicach ust”, doszła pewnego dnia do wniosku, obserwując Ledę w stołówce. Obie miały podobny, głęboki łuk Kupidyna i pełną, zmysłową dolną wargę. Eris zawsze myślała złośliwie, że Leda nie zasługuje na takie usta, że zbyt wielka z niej sztywniara, by umiała zrobić z nich właściwy użytek. Nigdy jednak nie zauważyła, jak bardzo przypominają one jej własne wargi.

– Co jest? Mam coś na zębach? – burknęła na nią Leda, widząc, że Eris ją obserwuje. Eris wzniosła oczy do góry, po czym odwróciła wzrok, jak gdyby odpowiedź na to pytanie nie była nawet warta zachodu.

Teraz, wchodząc do Cascade, odrzuciła do tyłu włosy z dawną pewnością siebie i skinęła głową hostessie.

– Czeka na mnie pan Cole – oznajmiła cicho i poszła za dziewczyną do małego okrągłego stolika przy oknie, przy którym siedział jej ojciec.

– Eris – pan Cole przywitał ją serdecznie, gdy już usiadła. – Wyglądasz cudownie.

– Dziękuję. – Miała na sobie pożyczoną od Avery luźną granatową sukienkę z małymi zaszewkami, która opinała ją w talii, a wokół kolan była rozkloszowana. Włożyła również perłowy naszyjnik mamy i znów czuła się niemal normalnie.

– Przepraszam, że mama nie mogła przyjść – zaczęła, chcąc wyjaśnić, że wszędzie jej szukała, ale pan Cole tylko potrząsnął głową.

– Już z nią rozmawiałem. – Na moment zacisnął szczękę, ale zaraz ponownie się uśmiechnął. – A więc, Eris – odezwał się łagodnie – słyszałem, że w zeszłym miesiącu przegapiłem twoje urodziny.

Czy od imprezy urodzinowej w Bubble Lounge i ostatecznego zerwania z pozorami jej dawnego życia minął naprawdę dopiero miesiąc? Miała wrażenie, że o wiele więcej.

– Nic nie szkodzi – odparła. Tymczasem pan Cole zaczął coś wyciągać: charakterystyczne pomarańczowe pudełko z butiku Calvador. Eris wstrzymała oddech i odwiązała grubą papierową wstążkę. Biodegradowalne mikrosensory sprawiły, że papier sam złożył się w origami w kształcie motyla, który odleciał w poszukiwaniu najbliższego kosza.

Eris westchnęła. W pudełku znajdował się piękny szal z kaszmiru ozdobiony na brzegu wyszukany, ręcznie wyszywanym wzorem ze szkarłatnych kwiatów. Widziała ten szal w witrynie sklepu, dlatego wiedziała, że był bardzo kosztowny. Dokładnie takie rzeczy Eris dawniej sobie kupowała, kiedy pieniądze nie stanowiły dla niej problemu.

– To zbyt wiele. Nie mogę go przyjąć – wymamrotała, choć oczywiście wcale nie zamierzała się z nim rozstawać. Zanurzyła twarz w miękkim kaszmirze i wzięła głęboki oddech.

– Uznajmy to za zadośćuczynienie za brak siedemnastu prezentów urodzinowych od twojego ojca – powiedział szorstko pan Cole.

Ojciec. Czyżby po raz pierwszy użył tego słowa w odniesieniu do niej? Powodowana impulsem Eris wstała, przechyliła się przez stół i pocałowała Cole'a delikatnie w policzek, tak jak zawsze całowała człowieka, którego przez całe życie uważała za swojego ojca.

Pan Cole wyglądał na nieco zaskoczonego tą demonstracją uczuć, ale przyjął pocałunek z zadowoleniem. „Czy Leda nigdy tak się wobec niego nie zachowuje? – pomyślała Eris. – No cóż, najwyraźniej będzie musiał przywyknąć do mojej spontaniczności”.

– Dziękuję – powiedziała i zawiązała szal na szyi w zawadiacki supeł, pozwalając, by część z charakterystycznym haftem opadła jej na plecy. To był idealny dodatek do jej granatowej sukienki.

Podszedł do nich kelner i oboje złożyli zamówienie. Światła nad ich głowami przygasły, za to na ścianach rozjarzyły się kandelabry. Eris wyjrzała przez staroświeckie, wielodzielne okna, które wychodziły na Haxley Park, mały, położony na uboczu park miejski z ogrodami i fontannami. Nagle uświadomiła sobie, że przez okna ktoś ich może tu razem zobaczyć. Jej ojciec najwyraźniej doszedł do takiego samego wniosku, ponieważ przestawił krzesło bliżej środka restauracji.

– No więc, Eris, opowiedz mi o waszym mieszkaniu.

– O naszym mieszkaniu?

– Tak, o tym, w którym teraz mieszkacie z mamą. Chyba nie jest zbyt... przestronne dla was dwóch, prawda?

– Duże to ono nie jest – przyznała Eris.

– Na którym piętrze się znajduje?

– Na sto trzecim.

– O Boże – pan Cole pobladł. – Nie sądziłem, że jest aż tak źle. – Eris niezbyt spodobał się ton zniesmaczenia w jego głosie, ale puściła to mimo uszu. – Biedna Caroline – dodał niemal sam do siebie.

Pojawiły się przystawki. Ojciec nadal zasypywał Eris pytaniami: o mamę, o życie na dole Wieży, o szkołę, o to, czy miała jakieś wieści od Everetta Radsona. A ona odpowiadała na jego pytania, zastanawiając się, do czego to wszystko zmierza. Może ta szalona myśl, która zaświtała jej w głowie, wcale nie była taka szalona. Może jej ojciec rzeczywiście zaproponuje, że wszyscy powinni zacząć spędzać ze sobą czas jak rodzina. Eris rozważała tę możliwość i uznała, że nie jest jej całkiem przeciwna, chociaż na początku na pewno będzie trochę dziwnie, gdy ludzie oficjalnie się dowiedzą, że jest spokrewniona z Ledą. Ale nawet jeśli jej ojcu o to właśnie chodziło, to jak na razie nie oznajmił tego wprost.

Kiedy skończyli jeść, przyszedł kelner i zabrał talerze.

– Dziękuję – powiedziała Eris, gdy ojciec skinął głową, żeby uściwić rachunek. Nagle poczuła chłód, więc zarzuciła sobie szal na ramiona. – Dopilnuję, żeby mama przyszła ze mną następnym razem. – Musiała jednak przyznać, że wieczór spędzony sam na sam z ojcem okazał się zaskakująco miłym

doświadczeniem.

– Eris – odparł łagodnie pan Cole – nie jestem pewien, czy powinien być następny raz.

– Słucham?

Pan Cole wbił wzrok w obrus, a jego nagle spochmurniała mina nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości.

– Bardzo przyjemnie spędziłem z tobą ostatnio czas, Eris, szczerze. I jestem dumny, że wyrosłaś na taką piękną młodą damę. Jesteś taka sama jak twoja mama, gdy była w twoim wieku, wiesz? – Zaciśnięła usta. – Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że ta wiadomość nie była dla mnie szokiem. Nie jestem pewien, czy to rozsądne, żebyśmy dalej się spotykali i pokazywali się razem w miejscach publicznych.

Eris miała wrażenie, że powietrze nagle zgęstniało i nie da się nim oddychać.

– Ale dlaczego? – zdołała z siebie wydusić.

– Nasze pokrewieństwo to dość delikatna sprawa – odparł pan Cole. – To spory problem dla mnie, dla twojej matki, a także dla ciebie.

– Oraz dla twojej rodziny – dodała Eris chłodno. – Dla twojej żony, dla Jamiego. No i dla Ledy.

Pan Cole zamrugnął.

– Cóż, no tak – przyznał. – Z oczywistych powodów nie chcę, żeby się o tym dowiedzieli. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Eris doskonale rozumiała. Ona i jej mama stanowiły dla niego mały, wstydlivy sekret, który miał nigdy nie wyjść na jaw.

– Jeśli zaś chodzi o kwestie finansowe – pan Cole przybrał rzeczowy ton – omówiłem to już z twoją matką, choć nie przedstawiła mi zbyt dokładnie, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazłyście.

„Wcale nie jest rozpaczliwa – chciała zaprzeczyć Eris, w której odezwała się duma. – Biorąc pod uwagę to, co nas spotkało, radzimy sobie całkiem nieźle”.

– Przelałem sporą sumę pieniędzy zarówno na twoje konto, jak i na konto twojej mamy, a co miesiąc będę dodatkowo przekazywał wam obu stałą kwotę. Pierwsza wpłata została już dokonana, jeśli chcesz sprawdzić.

Eris lekko zszokowana wydała krótką komendę, żeby otworzyć na szklach stan swojego konta, po czym prawie jęknęła, widząc liczbę zer, która się wyświetliła.

– Czy tyle wystarczy? – spytał pan Cole, choć pytanie było absurdalne. „Wystarczy” to za mało powiedziane. Dzięki tym pieniądzom mogłaby wyprowadzić się z dolnych pięter, kupić sobie nowe mieszkanie, wymienić całą garderobę i jeszcze trochę by jej zostało. Eris jednak dobrze wiedziała, o co naprawdę pytał ją pan Cole: czy rozumie, że nigdy nikomu nie może powiedzieć, kto jest jej biologicznym ojcem. Nawet Ledzie, a może zwłaszcza Ledzie.

Pan Cole chciał kupić jej milczenie.

Eris nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się w twarz ojca, w której przez cały tydzień próbowała znaleźć własne rysy, tyle że tym razem usiłowała odgadnąć, jakie emocje się w niej kryły. Dostrzegła w niej rezygnację, a także lekki strach oraz coś, co wydawało się nieklamana sympatią.

Jej rodzony ojciec postanowił jednak zerwać z nią wszelkie relacje. Wstrząsnęło to Eris bardziej, niż by przypuszczała. Poczła się samotna, odrzucona i wściekła. Ale wśród tych wszystkich sprzecznych uczuć najmocniej do głosu dochodziło poczucie ulgi, że nie będzie już musiała więcej żyć w biedzie.

Gdy Eris w końcu podjęła decyzję, wstała raptownie od stolika.

– To bardzo szczodre z twojej strony – oznajmiła. – Dziękuję za szal... i za wszystko inne.

Pan Cole skinął porozumiewawczo głową.

– Żegnaj, Eris – rzekł cicho.

Eris odwróciła się i wyszła z restauracji bez słowa, nawet nie pożegnawszy się z jedynym ojcem, jaki jej pozostał.

„Porzucona przez dwóch ojców – pomyślała cierpko. – Będzie ze mnie w przyszłości świetna pacjentka dla psychoterapeutów”.

LEDA

Stojąc przed wejściem do Haxley Park przy Pierwszej Alei, Leda rozglądała się niespokojnie po cichej, trzypasmowej ulicy. Była spięta i cała dygotała. To Ross zaproponował, żeby spotkali się w Haxley, gdzie dawniej zawsze się umawiali.

Leda wzięła głęboki oddech i ruszyła do parku, a automatyczne czujniki sprawiły, że staroświecka żelazna brama otworzyła się przed nią. W jednej chwili Ledę zalała fala wspomnień. Przypomniła jej się dzień, gdy pierwszy raz wzięła xenperedren: czuła się wtedy tak niesamowicie skoncentrowana, że odrobiła wszystkie zadania domowe, jakie zostały jej do końca roku szkolnego. I to popołudnie, kiedy paliła relaksanty i leżała na trawie wpatrzona w animowane chmury na suficie, szukając w nich znajomych kształtów. Albo ten dzień, w którym razem z Cordem zażyli specjale i przez kilka godzin uganiali się za jakimś komarem, aż w końcu zataczając się i śmiejąc, wrócili do jego mieszkania.

A teraz znów się tutaj znalazła.

Wszyscy wiedzieli, że Haxley to najlepszy na górnych piętrach park na odlot. W sufitach zamontowano tu mnóstwo wentylatorów, ponieważ park znajdował się w rogu Wieży i w przeciwnym razie nie byłoby tu ruchu powietrza. Nie mieściły się tu żadne place zabaw, a więc nie było też małych dzieci ani ich opiekunek. Prawdę mówiąc, przez większość czasu park w dużej mierze świecił pustkami, a do tego leżał w ustronnej, wschodniej części piętra, gdzie stały głównie budynki biurowe. Jedyna

część, po której kręciło się więcej ludzi, biegła wzdłuż ściany Wieży, gdzie znajdowały się dwie restauracje – knajpka z owocami morza oraz francuskie bistro – z oknami wychodzącymi na park.

Jak należało się spodziewać, nawet w piątkowy wieczór główna parkowa alejka była opustoszała.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś? – powiedziała cicho Leda i wysłała flika do Rossa.

Wewnętrzne światła Wieży przygasały stopniowo, w miarę jak na zewnątrz zapadał zmrok. Robiło się też coraz chłodniej i przedramiona Ledy pokryła gęsia skórka. Scentralizowany system wentylacyjny sprawiał, że przy ścianach budynku było trochę zimniej, zwłaszcza w miejscach publicznych, w których zwykle oszczędzano elektryczność. Leda objęła się ramionami, żałując, że nie zdążyła się przebrać po szkole. Ale przyszła tu zaraz po lekcjach, nawet nie zaglądając do domu – tak bardzo była spragniona działki.

Przed nią znajdowała się fontanna otoczona kobiercem z czterolistnej koniczyny. Leda nie widziała nikogo w okolicy. Postanowiła więc, że zaczeka w tym miejscu na Rossa. Jej baleriny zachręściły na wysypanej żwirem alejce.

Nagle spostrzegła znajomą twarz i zatrzymała się w pół kroku.

W pobliskiej francuskiej restauracji, której masywne szklane okna wychodziły na ogród różany, siedział jej tata. „Dziwne”, pomyślała Leda. Czy mama nie wspominała, że tata pracuje dziś do późna? Może wyszedł wcześniej... ale w takim razie z kim się tutaj spotkał? Leda stanęła na palcach i wyciągnęła szyję, żeby lepiej się przyjrzeć.

Tacie Ledy towarzyszyła jakaś kobieta i to z pewnością nie była jej mama. A w zasadzie nie kobieta, zważywszy na jej drobną sylwetkę i jasną skórę. Raczej dziewczyna, uzmysłowiła sobie Leda. Do cholery, nie mogła być wiele starsza od niej samej.

I wtedy dziewczyna odrzuciła do tyłu włosy – cudowną, miedzianozłotą kaskadę włosów – i choć Leda nie widziała jej twarzy, to doskonale wiedziała, do kogo one należą. Tych włosów nie mogła pomylić z żadnymi innymi.

Co, do diabła, jej tata robił tutaj z Eris?

– LipRead – powiedziała i skupiła się tak bardzo, jak tylko mogła, na ustach Eris. Musiała wiedzieć, o czym rozmawiali. Przed oczami wyświetlił się jednak komunikat: „Odczyt niemożliwy, wymagana krótsza odległość”.

Za nic nie chciała uwierzyć w to, co widziała. Na pewno było jakieś racjonalne wytłumaczenie, przecież tata nie mógł mieć romansu z Eris. Musiał być jakiś inny powód, dla którego spotkali się w piątkowy wieczór tylko we dwoje na kolacji.

Leda obserwowała teraz oniemiała, jak Eris sięga ręką przez stół i bierze coś od jej taty. Następnie uśmiechnęła się, wstała i pochyliła się, żeby pocałować jej tatę, zasłaniając swymi włosami ich twarze.

Leda przyglądała się temu, jakby to wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie. Nie była

w stanie ruszyć nogami. Patrzyła, jak Eris z uśmiechem otula się szalem. Tym samym niebotycznie drogim szalem ze szkarłatnymi kwiatami, który widziała kiedyś w teczce taty.

Leda ruszyła ślepo przed siebie, miała ochotę krzyczeć. Albo zwymiotować. Teraz wszystko nabierało sensu: dziwne ostatnio zachowanie taty, ciągłe sekrety.

Jej tata miał romans z Eris Dodd-Radson. A raczej z Eris Dodd, czy też jak tam się teraz nazywała.

– Leda?

– Najwyższa pora! – warknęła, biegnąc w stronę Rossa. – Co tak długo?

– Ktoś tu się trochę niecierpliwi. – Ross był młody, miał gęste kasztanowe włosy oraz tak piękną i niewinną twarz, że musiał chyba przejść kiedyś operację plastyczną. Do tego miał duże brązowe oczy, gęste rzęsy oraz lekko rozszerzone źrenice, jak ktoś, kto nosi szkła kontaktowe albo też nieustająco chodzi na haju. Zamrugał bardzo wolno, jakby stanowiło to dla niego niewyobrażalny wysiłek. – No więc – odezwał się – mam złe wieści. Skończył mi się xenperedren.

– Co? – Tylko w tym celu Leda się z nim umówiła. Chciała dostać opakowanie tabletek xenperedrenu i łykać je jedna za drugą, aż w końcu otaczająca ją rzeczywistość rozpadnie się na kawałki. – Mówisz poważnie?

Chłopak się wzdrygnął.

– Przepraszam, ale...

– Co w takim razie masz, do cholery?

Ross otworzył torbę i zaczął wyciągać z niej po kolei opakowania narkotyków.

– Mam BFX, trochę trawki i relaksantów, które szczerze mówiąc, bardzo by ci się przydały...

– Biorę wszystko – przerwała mu Leda. Wyrwała mu torbę i zaczęła przeglądać jej zawartość.

– Zdajesz sobie sprawę, że to zapas wystarczający na kilka...

– Mówiłam już, że mam to gdzieś! Potrzebuję ich, dobra?! – wrzasnęła przeraźliwie. Ross nic nie powiedział. – Biorę wszystko oprócz tego – dodała, po czym wyjęła z torby charakterystyczne czarne opakowania i rzuciła je chłopakowi. Z doświadczenia wiedziała, jak fatalne w skutkach może się okazać zażycie niewłaściwych specjal, a to, że zdarto z nich nalepki z nazwiskiem pacjenta, stanowiło wystarczający powód, by bez względu na to, do kogo należały, Leda nie miała ochoty znaleźć się w umyśle ich właściciela.

Ross skinął głową i schował z powrotem specjal, nie spuszczać wzroku z Ledy.

– Czemu nie weźmiesz choć jednego? – spytał po chwili. – Za darmo. Jeśli nie będzie przyjemnie, to w końcu i tak nie twoje zmartwienie, prawda?

– Ty się nigdy nie zmienisz, co? – Leda wzniosła oczy do góry, przypomniawszy sobie czasy, kiedy Ross zaopatrywał ją jedynie w relaksanty. „Najwyraźniej awansowałam do wyższej ligi”, pomyślała

ponuro. Zatrzymała jednak jedno opakowanie ze specjalnym. To zbyt drogi towar, żeby się nie pokusić.

Kiwnęła głową, żeby zapłacić Rossowi, po czym wykonała nieznaczny ruch dłonią, który mógł oznaczać zarówno podziękowanie, jak i znak, żeby chłopak zostawił ją w spokoju. Ross wzruszył ramionami, zaakceptował płatność i odszedł z rękami w kieszeniach.

Leda przycisnęła swoją czerwoną skórzaną torbę mocno do piersi, a papierowe opakowania z narkotykami przyjemnie zaszeleściły. Zamierzała naszprycować się tak bardzo, że nawet widok Eris całującej się z ojcem zostanie całkowicie wymazany z jej umysłu.

AVERY

– Tak się cieszę, że rodziców nie ma w domu – wyszeptwała Avery. Fullerowie wyjechali na wesele na Hawaje i mieli wrócić dopiero w niedzielę.

– Ja też. – Atlas leżał za jej plecami na kanapie i obejmował ją ramionami. Avery wciąż miała na sobie szkolny mundurek, za to on był bez koszuli, co odrobinę ją rozpraszało. – Ale przede wszystkim cieszę się po prostu, że jestem z tobą, Aves – dodał i pocałował ją w podstawę karku.

Avery zadrżała. Uwielbiała, gdy dotykał jej w ten sposób. Zresztą uwielbiała nawet, kiedy ocierał tylko stopą o jej nogę pod stołem, jak robili przez cały tydzień podczas kolacji z rodzicami.

Wiedziała jednak, co Atlas miał na myśli. Wcześniej nie przypuszczała w ogóle, że można odczuwać aż takie szczęście. Miała wrażenie, jakby przez całe życie tkwiła w zamknięciu, aż nagle odkryła wejście do większego, lepszego i radośniejszego świata.

Przed jej oczami rozwinęła się wiadomość. „Masz jakieś plany na dziś?“, napisała Eris. Avery wymruczała pod nosem odpowiedź: „Sorry, siedzę w domu i oglądam film z Atlassem”.

– Eris – dodała tonem wyjaśnienia.

– Możesz ją zaprosić, jeśli chcesz – zaproponował Atlas, ale ona pokręciła głową.

– I zmusić cię do włożenia koszuli? To nie wchodzi w grę.

Poczuła, że Atlas uśmiecha się, kryjąc twarz w jej włosach.

– A jak w ogóle radzi sobie Eris z całą tą rodzinną historią? – spytał. Oczywiście był świadkiem upokorzenia, jakie spotkało Eris podczas urodzinowej imprezy.

– Chyba dość dobrze – odparła, co zresztą było prawdą. Eris wydawała się ostatnio znacznie bardziej pogodna i wesoła. – Nawet zaczęła się z kimś spotykać w dole Wieży. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam tę dziewczynę.

– Cord pewnie nie jest zbyt szczęśliwy z tego powodu – zauważył Atlas, ale Avery potrząsnęła głową.

– To on zerwał z Eris.

– Naprawdę? To chyba pierwszy taki przypadek w dziejach. – Eris była znana z tego, że gdy tylko sytuacja się komplikowała, zawsze pierwsza kończyła związek. W zeszłym roku rzuciła przynajmniej dwóch kumpli Atlasa.

Avery przewróciła się na drugi bok, a jej twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Atlasa.

– Eris zapytała mnie w tym tygodniu, dlaczego ostatnio jestem taka szczęśliwa.

– Tak? I co jej powiedziałaś?

– Że mam nowego instruktora jogi – odparła z udawaną powagą.

– Instruktor jogi? Taki mam kryptonim? – Atlas nachylił się, żeby ją pocałować, a ona przywarła do niego całym ciałem i zrewanżowała mu się pocałunkiem.

Leżeli uszczęśliwieni, oddychając spokojnie i miarowo, a żadne z nich nie miało ochoty nawet się poruszyć.

– Atlas – Avery w pewnym momencie przerwała milczenie – kiedy zorientowałeś się, że mnie kochasz?

– Zawsze cię kochałem – odrzekł poważnie.

– Ale kiedy tak naprawdę zdałeś sobie z tego sprawę?

Atlas pokręcił głową.

– Wiedziałem to od zawsze. A czemu pytasz, masz na myśli jakiś konkretny moment?

Avery przygryzła wargę. Teraz było jej głupio, że w ogóle o tym wspominała, ale Atlas patrzył na nią wyczekująco.

– To zdarzyło się któregoś dnia po szkole. Pewnie nawet nie pamiętasz – odparła. – Przechodziliśmy razem przez ulicę na przystanek windy, ale ty jechałeś w dół na trening hokeja, a ja wracałam na górę do domu. Czekałam tam i widziałam cię przez pusty szyb windy, jak odjeżdżasz. Ty chyba nawet nie odwróciłeś się w moją stronę... – Avery urwała, przypomniawszy sobie, jak Atlas stał wówczas podświetlony od tyłu, a złoty blask lamp załamywał się na konturach jego sylwetki. – Z jakiegoś powodu myśl, że jedziemy w przeciwnych kierunkach, strasznie mnie zasmuciła. Wiem, że to głupie – mówiła, szybko wyrzucając z siebie słowa – ale patrząc wtedy na ciebie, pomyślałam, że już nigdy nie chcę się z tobą rozstawać.

– Zupełnie nie tego się spodziewałem – przyznał Atlas.

– A czego?

– Wydawało mi się, że chcesz mi opowiedzieć o jakimś dramatycznym, ważnym wydarzeniu. Ale to, co usłyszałem, podoba mi się o wiele bardziej.

Avery kiwnęła głową i splótła dłonie z jego dłońmi. Tuż u podstawy każdego palca mogła wyczuć nowe odciski, których Atlas dorobił się, pracując ciężko przez miniony rok. Miała ochotę pocałować je wszystkie, jeden po drugim.

– Chcesz już iść spać? – spytał Atlas.

– Nie dokończyliśmy jeszcze filmu – zaprotestowała Avery, choć oczywiście wcale go nie oglądali. Atlas jednak dobrze wiedział, o co jej chodziło. Avery nie chciała jeszcze iść spać, ponieważ to oznaczałoby koniec kolejnego dnia, a tym samym znajdowałiby się o jeden dzień bliżej powrotu do rzeczywistości. Odkąd bowiem wyjechali rodzice, świetnie bawili się we dwoje i nie musieli martwić się tym, że ktoś ich przyłapie. Rozejrzała się po mieszkaniu, w którym zapanował rozkoszny bałagan: wszędzie stały porzucone talerze z jedzeniem, stracone z kanapy poduszki walały się po podłodze, a w kącie pokoju leżała zwinięta w kłębek koszula Atlasa.

Avery wiedziała, że po powrocie rodziców będzie jej tego brakować. Starła się na razie nie myśleć o ich sytuacji, ale nieprzyjemna prawda powoli wypełzała z zakamarków jej umysłu. Bez względu na wszystko oboje z Atlasem nie mogli liczyć na nic więcej, jak tylko właśnie tego rodzaju potajemne schadzki. Nigdy nie będą mogli wspólnie żyć.

– Które z miejsc odwiedzonych w ciągu ubiegłego roku podobało ci się najbardziej? – zapytała Avery, próbując oderwać się od tych ponurych myśli.

Atlas zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem, Aves, byłem w tylu różnych miejscach. Prawdęmówiąc, niemal wszędzie. Kuba, Arktyka, Budapeszt. Pracowałem w ośrodku wypoczynkowym w Amazonii i na ranchu w Nowej Zelandii. Przez pewien czas byłem nawet barmanem w Afryce – dodał, wskazując na naszyjnik, który jej podarował.

– Mam wrażenie, że byłeś strasznie samotny – szepnęła.

– To prawda. Tym bardziej, że starałem się o tobie zapomnieć. – W głosie Atlasa zabrzmiał ton krzywdy, który niezbyt się jej spodobał. Ciekawe, z iloma dziewczynami poszedł do łóżka, usiłując o niej zapomnieć? Avery jednak szybko wyrzuciła tę myśl z głowy. Przecież to i tak nie miało już znaczenia.

– Ale było jedno miejsce, które naprawdę mnie zachwyciło. Wyspa w Indonezji, o której prawie cały świat zapomniał. Plaże miały tam obłędnie biały piasek, a woda była tak przejrzysta, że można było przez nią zobaczyć nawet morskie dno. Jest tam małe miasteczko pełne domków krytych kolorowymi dachówkami, a tubylcy żywią się tylko rybami i ryżem, a do tego popijają rum. Ale wszyscy są szczęśliwi. Przez pewien czas pracowałem tam na kutrze rybackim.

– Brzmi cudownie. – Avery uśmiechnęła się, próbując wyobrazić sobie Atlasa z podwiniętymi rękawami koszuli i w dużym kapeluszu z obwisłym rondem, jak gdzieś na totalnym pustkowiu próbuje wciągnąć do łodzi wielką rybę. Tak bardzo się to różniło od tego, czym zajmował się teraz, pracując dla

taty.

– To kompletna pustynia technologiczna – mówił dalej Atlas. – Prawie nikt z zewnątrz tam nie przyjeżdża. Żeby się tam dostać, musiałem wynająć łódź, a podróż zajęła mi cały dzień.

Avery nagle przyszedł do głowy zupełnie szalony, lecz wspaniały pomysł.

– A jeśli byśmy tam pojechali? – Atlas spojrzał na nią. Postanowiła więc kuć żelazo, póki gorące. – Sam przed chwilą powiedziałeś, że to kompletna pustynia technologiczna. Nikt nas tam nigdy nie znajdzie. Możemy ułożyć sobie życie na nowo.

– Avery – odezwał się z rezerwą w głosie Atlas.

Jednak ona już widziała oczami wyobraźni mały domek, w którym będą mogli we dwoje zamieszkać, z werandą i hamakiem, gdzie będzie można się położyć w upalne letnie noce, a także ze schodkami prowadzącymi na plażę, po której będą spacerować, gdy słońce zacznie zachodzić nad oceanem. Gdyby tylko nie...

– Mama i tata – powiedziała na głos i ten idealny obraz nieco zbladł.

– Właśnie – przytaknął Atlas. – Na pewno strasznie byś za nimi tęskniła.

Skinęła głową, wciąż gorączkowo zastanawiając się nad swoim planem, i nagle w wypowiedzi Atlasa uderzyło ją coś dziwnego.

– Oboje byśmy tęsknili.

Atlas milczał przez chwilę zakłopotany.

– Tylko że to nie są moi rodzice.

– Oczywiście, że są!

– Avery – powiedział spokojnie Atlas – to życie nie było mi pisane, tak jak tobie. Sprowadzili mnie tutaj, gdy miałem siedem lat. Pamiętam więc, jak wyglądało moje wcześniejsze życie, pamiętam, jak to jest być głodnym i przerażonym, nie móc nikomu zaufać.

– Och – jęknęła Avery. Serce przepęśniał jej ból. Atlas nigdy nie dzielił się z nią tymi wspomnieniami. Za każdym razem gdy pytała go o dawne życie, zamykał się w sobie. W końcu dała sobie z tym spokój.

Atlas ścisnął mocno ręce Avery i spojrzał jej prosto w oczy.

– To nigdy nie było moje życie, więc nie mam nic do stracenia. Ale to twoje życie. Dobrze się więc zastanów, zanim powiesz, że chcesz to wszystko porzucić.

Avery zamrugnęła, próbując powstrzymać łzy. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Zrobiłaby wszystko i wszystko porzuciła, byle tylko być z Atlasem.

– Może kiedyś będziemy ich mogli odwiedzić – zasugerowała. Atlas podniósł wzrok, zrozumiałwszy prawdziwy sens jej słów.

– Ty mówisz poważnie – powiedział wolno, jak gdyby nie potrafił do końca w to uwierzyć. – Naprawdę chcesz wyjechać.

– Tak – szepnęła. A potem powtórzyła głośniej: – Tak, tak, tak! – Zaczęła raz po raz całować Atlasa, czując, że to właściwa decyzja, że to początek ich nowego życia.

Objął ją i przyciągnął do siebie, a ona wtuliła głowę w jego ramię i zwyczajnie cieszyła się ich bliskością. Tak cudownie było móc go w końcu dotykać. Obiecała sobie, że nigdy nie będzie tego traktować jako czegoś, co jest jej dane raz na zawsze.

– Jak szybko możemy wyjechać? – spytała, gdy w końcu się od siebie odsunęli.

– A jak szybko chcesz wyjechać? – Atlas uniósł brew.

– W tym tygodniu?

Roześmiał się, ale wcale nie wydawał się zaskoczony.

– W porządku. Myślę, że jakoś uda się to zorganizować.

– A jutro wieczorem zrobimy balangę – rzuciła spontanicznie Avery. Od razu wiedziała, że to fantastyczny pomysł. Zaproszą wszystkich znajomych i będą się zachowywać tak jak w zwykły sobotni wieczór, a w rzeczywistości będzie to ich pożegnalna impreza. Pewnego dnia, gdy razem z Atlasem będą żyć gdzieś na drugim końcu świata, wrócą myślami do tego dnia i wybuchną śmiechem na wspomnienie głupiej licealnej biby, podczas której wszyscy nieco za bardzo się wstawili, a oni dwoje – zakochani do szaleństwa – rzucali sobie tylko ukradkowe spojrzenia i w głębi ducha żegnali się ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi.

– Na serio? – spytał Atlas.

– No pewnie! Nie urządzaliśmy tutaj imprezy od czasu, kiedy zniknąłeś. Będzie fajnie zorganizować ją razem. To będzie nasze sekretne pożegnanie. – Umilkła na chwilę, uświadomiwszy sobie, że już nigdy więcej nie zobaczy Eris ani Ledy. Ale nie może tak myśleć. Powinna skupić się na sobie i na Atlasie oraz na tym, że wreszcie mogą zrobić to, co zawsze wydawało się niemożliwe. Naprawdę będą mogli zbudować we dwoje wspólną przyszłość.

– No dobra. Przekonałaś mnie – uśmiechnął się.

Avery wyjęła tablet, napisała krótkie zaproszenie i wrzuciła je na feedy.

– Doskonale – powiedział Atlas, gdy wiadomość wyświetliła mu się na szklach. – Jesteś doskonała. – Nachylił się, żeby ją pocałować, ale się odsunęła.

– Nikt nie jest doskonały, a już zwłaszcza ja – zaprotestowała nieco zirytowana. Przecież wiedział, że nie powinien mówić jej takich rzeczy. Był jedyną osobą, od której tego oczekiwała.

– Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że jesteś doskonała dla mnie – poprawił się.

Nieco tym udobruchana Avery przysunęła się, żeby go pocałować. Czowała się tak szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

– Pojechałabym z tobą wszędzie, wiesz? – rzekła, a Atlas się uśmiechnął.

– W takim razie pojedźmy wszędzie. Razem – odparł łagodnie.

I wtedy dzień naprawdę dobiegł końca, a holoeckran dalej wyświetlał film przed pustym salonem.

LEDA

Ruszyła przed siebie chwiejnym krokiem i zaraz za fontanną upadła na kolana. Starła się nie patrzeć w stronę restauracji. Choć to przecież nie jej powinno być wstyd. Eris i jej ojciec. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie lepiej wrócić do domu, ale była zbyt zdesperowana, a ręce za bardzo jej się trzęsły, nie chciała więc ryzykować spotkania z mamą. Z jej biedną, niemającą o niczym pojęcia, zdradzaną mamą.

Zaczęła szperać w torbie, którą dał jej Ross. Na rosnącą wokół koniczynę wysypały się narkotyki: jej małe, prywatne źródło chemicznego szczęścia. Wzrok Ledy natychmiast przyciągnęło czarne opakowanie ze specjałem. Może to wcale nie jest zły pomysł, żeby wejść do czyjejś głowy, wprowadzić na pewno mocno porąbanej, ale czy ona sama też nie była nieźle pokręcona?

Rozerwała opakowanie u góry, wrzuciła do ust jasnożółtą pigułkę i połknęła ją bez popicia wodą.

Nastąpił krótki, nieprzyjemny moment, kiedy jej umysł próbował opierać się działaniu narkotyku. Oczywiście to się nie zdarzało, gdy zażywało się specjale przygotowane dla danej osoby, ale gdy brało się tabletki kogoś innego, mózg potrzebował chwili, żeby się przystosować i dopuścić do siebie obcą świadomość. Leda wstrzymała oddech, starając się uspokoić umysł, aż w końcu narkotyk delikatnie okrył jej świadomość niczym koc.

Wszystko nagle stało się łagodniejsze, bardziej płynne. Czas rozciągnął się, jakby był z gumy. Leda zamruwała. Specjal musiał należeć do kogoś ewidentnie cierpiącego na zaburzenia lękowe, ponieważ działał praktycznie jak relaksant. Leda niemal czuła tę drugą osobę, jej widmową obecność, podczas gdy narkotyk zaczął rozprzestrzeniać się po mózgu w poszukiwaniu wspomnień, których nie mógł tam znaleźć, próbując zaspokoić emocjonalne potrzeby osoby, dla której był przeznaczony.

Leda wyciągnęła przed siebie nogi i oparła się na łokciach, reszta narkotyków wciąż leżała rozrzucona wokół niej na koniczynie niczym różnokolorowe cukierki. Cienie zaczęły się wydłużać, sięgały już fontanny i jej stóp. Nie czuła zimna. „Eris i mój tata”, pomyślała znów z ponurym, zduszonym śmiechem. Przymknęła powieki. Przez jej głowę zaczęły przemykać strzępki wspomnień, na wpół uformowane myśli. „Znam cię – miała ochotę powiedzieć. – Ale skąd?” Dziwne uczucie, jakby *déjà vu* albo zasłyszana kiedyś piosenka. Przed oczami tańczyły jej kolory i kształty.

Znała te wizje.

Rozpoznała je nagle i instynktownie, z wywołaną przez narkotyki głęboką, zwierzęcą pewnością, taką samą pewnością jak ta, że do oddychania potrzebuje powietrza. Robiła to już wcześniej, doświadczyła już kiedyś tej konkretnej mieszanki chemikaliów i neurostymulantów. Ten specjal należał do Corda.

„Co za zbieg okoliczności”, pomyślała, zaciskając dłonie na rosnącej wokół czterolistnej koniczynie. Złamała sobie paznokiec. Odrobinę zabolęło. Dlaczego Ross handlował specjalami Corda? Przecież Cord nie sprzedawał ich dla pieniędzy. Ktoś mu je pewnie ukradł.

Musi mu o tym powiedzieć!

Leda błyskawicznie znalazła się na 969 piętrze.

– Cord! – zaczęła walić w drzwi. Nie bardzo wiedziała, jak się tu dostała: czy przyjechała windą czy może hoverem. „Dzięki Bogu”, pomyślała, ponieważ jej ręce zaczęły się oddzielać od reszty ciała i robiła się coraz bardziej zaniepokojona. Wetknęła je więc pod pachy. – Cord! – zawołała jeszcze głośniej.

Drzwi otworzyły się szeroko, lecz zamiast Corda stanął w nich Brice.

– Leda? Co słychać? – powiedział powoli starszy z braci Andertonów. Był ubrany w ciemne, przecierane dżinsy i koszulę z kołnierzykiem, której guziki w większości były jeszcze niezapięte. Wyglądał tak odjazdowo. Leda zapragnęła nagle stać się bardziej taka jak on.

Zamrugała. Nie pamiętała, po co tutaj przyszła. Może Brice będzie to wiedział.

– Dobrze się czujesz? – spytał chłopak, mrużąc oczy zaniepokojony. Leda wciąż stała z dłońmi schowanymi pod pachami. Teraz opuściła je z zażenowaniem. Najważniejsze było to, że Brice ją lubił. Nawet jeśli ręce oderwą się od jej ciała i uniosą w powietrze. – Może wejdiesz do środka? – zaproponował Brice. Ujął ją za łokieć i delikatnie wprowadził do mieszkania. Wydawało jej się, że ściany napierają na nią niczym fale oceanu.

Brice podprowadził ją do kanapy w salonie i włożył jej do ręki szklanekę zimnej wody. Leda natychmiast ją opróżniła. Chłopak nic nie powiedział, tylko nalał kolejną szklanekę. Tym razem Leda piła już znacznie wolniej.

– Jesteś kompletnie naćpana – oznajmił Brice, a Ledę bardzo to ucieszyło, ponieważ w jego głosie dało się wyczuć ton aprobaty, a przynajmniej rozbawienia. – Co wzięłaś?

Leda wyjęła ze swojej czerwonej torebki puste opakowanie po specjalu i wręczyła je bez słowa Brice'owi.

– To Corda – przypomniała sobie, co miała powiedzieć.

Brice zmrużył oczy.

– Chcesz powiedzieć, że to specjal Corda? Sam ci go dał?

Leda nie odpowiedziała.

– Ledo Mario Cole! – zawołał Brice i złapał ją za ramiona.

Nagle coś – może użycie jej drugiego imienia, nie sądziła bowiem, że Brice w ogóle je zna – sprawiło, że Leda przynajmniej częściowo odzyskała świadomość i potrząsnęła głową.

– Nie – wychrypiła, po czym odchrząknęła. – Dostałam go od mojego dealera. Dlatego właśnie chciałam... Zmartwiłam się z powodu Corda. Zostały mu ukradzione, tak? – Wsunęła dłonie pod uda, żeby opanować ich drżenie.

W oczach Brice'a pojawił się błysk zrozumienia.

– Rylin – mruknął pod nosem.

– Kto? – spytała Leda. Brice spojrział na nią zwięzionymi oczyma, po czym najwyraźniej uznał, że dziewczyna albo jest zbyt naćpana, żeby to zapamiętać, albo i tak nie ma to żadnego znaczenia.

– Nasza nowa służąca. Mam wrażenie, że ona i Cord nieco za bardzo się do siebie... zbliżyli – wyjaśnił.

– Zwolnij ją – odparła natychmiast Leda. – Znając Corda, na pewno już zdążył ją przelecieć.

– Uwielbiam to, jaka potrafisz być bezwzględna – zaśmiał się Brice. – A jeśli będziesz potrzebować specjali, wystarczy, że poprosisz mnie albo Corda. Nie musisz załatwiać tego przez dealera. Tym razem miałaś furę szczęścia, mówię serio.

– Ja nawet nie chciałam specjali, ale mój dealer nie miał nic innego... Chciałam xenperedren.

– Poczekaj chwilę – powiedział Brice. – Nie ruszaj się stąd.

„Jakbym gdziekolwiek się wybierała”, pomyślała wciąż mocno oszołomiona Leda.

Chwilę później Brice zjawił się z powrotem.

– Spójrz, co mam. – Na wyciągniętą dłoń Ledy rzucił pełne opakowanie pigułek.

Były małe, białe, kwadratowe, a na wierzchu miały znak X.

– Och, dzięki Bogu – jęknęła z ulgą Leda i natychmiast połknęła naraz dwie tabletki.

Myśli Ledy, ospałe i pogmatwane, nagle stały się niezwykle wyostrome. Całe jej ciało wypełniło się nową energią. Popatrzyła na Brice'a, który przyglądał się jej z wyraźnym rozbawieniem.

– Dziękuję – odezwała się Leda, a jej głos brzmiał zdecydowanie wyraźniej niż przed chwilą. – Brice Anderton, chodząca podręczna apteczka. Masz rację, od razu powinnam do ciebie przyjść.

– Oto Leda Cole, którą wszyscy znamy i kochamy – rzucił prześmiewczo, gdy Leda rozejrzała się po mieszkaniu zupełnie trzeźwym spojrzeniem. Nie była tutaj od lat, z wyjątkiem oczywiście imprez, ale wtedy panowały tu straszny hałas i tłok. Mieszkanie było większe, niż zapamiętała. Wszystko wydawało się teraz wyraźniejsze, przedmioty nabrały ostrzejszych konturów, jakby obrysowano je grubym czarnym markerem. Serce Ledy biło tak mocno, że bała się, iż zaraz wyskoczy jej z piersi.

– Prawdę mówiąc, muszę wyjść – oznajmił Brice po chwili, wciąż nie spuszczać z Ledy wzroku. – Choć wolałbym zostać. Jesteś zdecydowanie o wiele zabawniejsza niż Cord.

Leda niechętnie wyciągnęła rękę z opakowaniem xenperedrenu, żeby oddać je Brice'owi, lecz on

tylko potrząsnął głową.

– Proszę, to dla ciebie. Przynajmniej tak ci się zrewanżuję za to, co mi powiedziałaś.

Leda skinęła z wdzięcznością głową.

– Mogę posiedzieć tu jeszcze chwilę, zanim pójde do domu? – spytała.

Brice wzruszył ramionami i ruszył do frontowych drzwi.

Przez działający na przyspieszonych obrotach umysł Ledy przelatywały tysiące scen. Eris całująca jej ojca. Atlas. Avery. Watt, chłopak Avery, który się z niej śmieje. Spojrzenie Atlasa, kiedy wyznał jej, że jest inna dziewczyna. „Zasługujesz na prawdę”, powiedział. Prawda cię wyzwoli – czy nie tak brzmi to powiedzenie? Musiała powiedzieć Cordowi, żeby zwolnił tę służącą. Musiała dowiedzieć się, kim była ta dziewczyna, dla której rzucił ją Atlas. „Jak sobie życzysz”, odparła Nadia i obiecała się tego dowiedzieć, ale potem nic nie poszło tak, jakby Leda sobie tego życzyła, prawda?

To wszystko wirowało w jej głowie, tworząc kalejdoskop rozmazanych kolorów, ale o ile wcześniej Leda czuła się tym przytłoczona, o tyle teraz była skoncentrowana i zmobilizowana do działania. Boże, jak ona uwielbiała stymulanty. A xenperedren należał do najlepszych. Wzięła głęboki oddech, pozwalając narkotykowi rozejść się przyjemnie po żyłach aż po same koniuszki palców.

Nadia. Musiała zapytać ją o romans Eris i swojego ojca. Jak długo to trwało? „Boże – pomyślała z obrzydzeniem – pewnie zaczęło się zaraz po tym, jak Eris dowiedziała się, że jest biedna. Mała naciągaczka”.

Napisawszy pół wiadomości, Leda nagle sobie przypomniała, że nie może już o to zapytać Nadii. Hakerka zrezygnowała przecież z dalszej pracy dla niej.

Jeśli się nad tym zastanowić, to w Nadii też było coś dziwnego.

Nagle Leda doznała olśnienia. Rozwiązanie było tak eleganckie w swej prostocie, że zdziwiła się, że wcześniej na to wpadła.

Już wiedziała, gdzie musi pójść i co ma zrobić. Ze szklistym wzrokiem i nieco zbyt szybkim oddechem zarzuciła szybko torbę na ramię i pomaszerowała na przystanek windy ekspresowej.

WATT

Siedzieli we dwóch z Derrickiem na żółtej kanapie w salonie w domu Watta i opróżniali butelkę whisky.

– Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz się upijałeś, siedząc sam w piątkowy wieczór w domu – powiedział Derrick, choć nie wydawał się szczególnie zmartwiony tą sytuacją.

– Nie siedzę sam. Ty tu jesteś – zauważył Watt.

Ale gdyby nie Derrick, to oczywiście byłby sam, Nadia bowiem została wyłączona. Od zeszłego tygodnia, gdy przekazała mu tę okropną informację, Watt wyłączał ją znacznie częściej. Nie był do końca pewien, dlaczego to robi. Może po prostu potrzebował trochę ciszy we własnej głowie. Poza tym za każdym razem gdy urządzał sobie ostrą popijawę, taką jak dzisiaj, Nadia robiła się trochę irytująca, wręcz świętoszkowata. Bez przerwy przypominała mu o zawartości alkoholu we krwi i podsyłała mu informacje na temat konsekwencji zatrucia alkoholowego.

– Co racja, to racja. – Derrick rozejrzał się po pokoju, po zdjęciach na ścianach i porzuconych przez bliźniaki zabawkach: piankowych klockach, pałeczce do kolorowania i diademie Zahry. – Chodzi o Avery? – zapytał.

Watt upił łyk whisky.

– Co się stało?

– Porozmawiajmy o czymś innym. – Watt nie miał ochoty wdawać się w rozważania o tym, że jedyna dziewczyna, którą naprawdę lubił, sypiała ze swoim przyrodnym bratem. Wiedział oczywiście, że w sensie formalnym nie byli ze sobą spokrewnieni, ponieważ Atlas został adoptowany, gdy Avery była małym dzieckiem. Ale mimo wszystko...

– Chcesz wyskoczyć do Pulsu? – zaproponował Derrick, ale Watt pokręcił przecząco głową. Choć kumpel bez wątplenia miał rację. Aby zapomnieć o Avery, powinien rzucić się teraz w objęcia jakiejś nieznanej dziewczyny, której twarzy na drugi dzień nawet nie będzie pamiętał. W tym momencie jednak wolał towarzystwo whisky. Z butelką przynajmniej nie musiał rozmawiać.

Derrick otworzył usta, by znów coś zaproponować, ale przeszkodziło mu wściekle dudnienie do frontowych drzwi.

– Watt?

„Co, u diabła?“, pomyślał kompletnie zaskoczony. Tego głosu nigdy, przenigdy nie spodziewał się usłyszeć w dole Wieży, a co dopiero pod swoim mieszkaniem.

– Watt, lepiej wpuść mnie do środka!

– Nie mówiłeś, że zaprosiłeś jakąś laskę – zaśmiał się Derrick z niejakim podziwem.

– Bo nie zapraszałem – odparł krótko Watt. Poderwał się szybko, z nadzieją że rodzice niczego nie usłyszeli, i pobiegł otworzyć.

Na zewnątrz w wymiętym szkolnym mundurku i balerinach stała Leda Cole i tupąła niecierpliwie stopą o wytarty próg mieszkania państwa Bakradich.

– Musimy porozmawiać – rzuciła ostro.

Watt stał zupełnie oniemiały. Nie mógł pojąć, skąd Leda się tu wzięła. Derrick jednak wydawał się bardziej opanowany, a może po prostu mniej wypił.

– Cześć, jestem Derrick, kolega Watta. – Wysunął się do przodu i wyciągnął rękę. – Miło mi cię

poznać...? – Derrick urwał, czekając, aż dziewczyna się przedstawi.

– Musimy porozmawiać – powtórzyła Leda, patrząc na Watta. – Na osobności. Chodzi o Nadię.

To podziałało na Watta jak chluśnięcie zimną wodą w twarz.

– Derrick – zwrócił się do przyjaciela. – Przepraszam. Czy mógłbyś...

Ale Derrick sam już ruszył do wyjścia, przeszedł obok Ledy i znalazł się na korytarzu, na którym przyciemnione lampy rzucały łagodne wieczorne światło. Obrócił się i poruszając tylko ustami, spytał kumpla: „Kim jest Nadia?”. Ale Watt go zignorował i otworzył szerzej drzwi, żeby wpuścić Ledę do środka.

– Może wejdiesz? – zaproponował i zaprowadził ją do salonu, zerkając nerwowo przez ramię na pograżony w ciemnościach dom. Rodzice dostaliby świra, gdyby się dowiedzieli, że sprowadził tu dziewczynę.

– Widzę, że w czymś wam przeszkodziłam – powiedziała Leda, krzywiąc nos na widok butelki whisky i plastikowych kubków na tandetnym stoliku. Ale w jej zachowaniu, oprócz zwyczajowej wyniosłości, dało się wyczuć coś jeszcze: drżał jej głos i wykonywała szybkie, nerwowe ruchy, jakich Watt nigdy dotąd u niej nie widział. Wydawała się tak bardzo spięta, że przy najlżejszym nawet dotyku mogła się rozpaść na milion kawałków.

– Napijesz się ze mną? – spytał Watt. Myśl, że mógłby pić whisky z Ledą Cole w swoim mieszkaniu na 240 piętrze, wydała mu się naprawdę zabawna. Ku jego zaskoczeniu dziewczyna przytaknęła i usiadła. Nalał im obojgu whisky i usiadł na kanapie tak daleko od Ledy, jak tylko się dało. Dziewczyna popatrzyła na niego wyczekująco, ale on tylko kiwnął głową, jakby dając jej znak, by zaczęła. Był zbyt wstawiony, by ufać własnemu językowi. Chciał, żeby odezwała się pierwsza, aby mógł ustalić, jak dużo o nim wie.

– Wiem, że to ty jesteś Nadią.

Watt otworzył usta, żeby zaprotestować, choć nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć. Leda jednak nie dopuściła go do głosu.

– Przejrzałam cię, nie próbuj więc zaprzeczać.

Nadia. Potrzebował pomocy Nadii. „Kwant-on”, wydał w myślach polecenie i usłyszał dodające otuchy ciche piknięcie uruchamiającego się komputera.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał ostrożnie Watt, niczego nie potwierdzając ani też niczemu nie zaprzeczając.

– Proszę cię. Wiedziałam, że coś z tobą jest nie tak już za pierwszym razem, gdy cię zobaczyłam na imprezie urodzinowej Eris.

– Przecież nawet wtedy nie rozmawialiśmy! – zaprotestował Watt, ale Leda tylko wzruszyła ramionami.

– Zachowywałeś się dziwnie, przypatrywałeś się wszystkim podejrzliwie, plątałeś się wokół, jakbyś

znalazł się tam pierwszy raz. Bo tak właśnie było. – Leda spojrzała na niego zmrużonymi oczami. – Choć nosisz szkła, to ani razu nie widziałam, żebyś wydawał im jakieś komendy. Szczerze mówiąc, to dość dziwaczne. Jakbyś w ogóle z nich nie korzystał.

Watt nie mógł uwierzyć, że Leda to zauważyła. Oczywiście, że nie wypowiadał na głos swoich poleceń, bowiem przekazywał je Nadii bezpośrednio za pomocą myśli.

– Ale wciąż nie rozumiem, skąd wiesz, że Nadia to ja – powiedział.

Usta Ledy wygięły się w uśmiechu, a Watt zorientował się, że tym samym niechętny potwierdził jej podejrzenia.

– Jak na tak zwanego eksperta od usług informatycznych nie jesteś zbyt ostrożny. W swoich wiadomościach używałeś zwrotu „jak sobie życzysz” – Leda zrobiła w powietrzu gest przypominający cudzysłów – a potem powtórzyłeś to na gali. Potrzebowałam tylko trochę czasu, żeby to ze sobą połączyć.

Wattowi nie mieściło się w głowie, że mógł być taki głupi. „Gdybyś nie wyłączał mnie za każdym razem, gdy przebywałeś z Avery, mogłabym cię ostrzec”, odezwała się Nadia.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? – spytał Watt, ignorując reprimendę Nadii.

– Nie było to trudne do ustalenia. Sam mi powiedziałaś, że chodzisz do liceum Jeffersona. Zadzwoniłam do twojej szkoły, udając mamę, która straciła bezpośrednie połączenie sieciowe. – Pokręciła z irytacją głową. – Nie zawsze trzeba uciekać się do hakowania. Czasami wystarczy po prostu z kimś porozmawiać.

Watt musiał jej przyznać, że miała niezły instynkt.

– Wygląda na to, że wcale nie musiałaś mnie zatrudniać – starał się grać na zwłokę.

„Zakończ to jak najszybciej. Ta rozmowa do niczego dobrego nie prowadzi”, powtarzała mu Nadia, ale Watt nie chciał słuchać.

– Teraz bardzo tego żałuję, zwłaszcza gdy okazało się, jaki jesteś beznadziejny...

– Jestem najlepszy na rynku! – zaprotestował Watt. – Wykradłem dla ciebie wszystkie te fliki, namierzyłem Atlasa w Amazonii...

– Nie mówiąc o tym, że jesteś wyjątkowo odrażającym typem – Leda ciągnęła niezrażona. – To nie do wiary, udawałeś, że mi pomagasz, tylko po to, żeby wziąć ode mnie pieniądze i spróbować przelecieć moją przyjaciółkę. – Uniosła oczy do góry. – Jakie to strasznie głupie i banalne! Wiesz, ilu facetów usiłowało zaciągnąć Avery do łóżka? Żadnemu z nich się to nie udało. Avery to skończona cnotka.

– Twierdzisz, że jestem odrażający, a sama mówisz w ten sposób o swojej najlepszej przyjaciółce?

– Mam swoje powody – burknęła Leda i wychyliła duszkiem whisky. Podstawiła Wattowi pusty kubek, a on bez słowa go napełnił.

– Wyjaśnijmy coś sobie: kiedy mnie zatrudniałaś, nie wiedziałem nawet o istnieniu Avery. – Nie był pewien, dlaczego w ogóle się bronił, ale nie mógł przestać mówić napędzany whisky i jakimś

niespokojnym pragnieniem. Jak dotąd nie miał możliwości porozmawiania z nikim o Avery, a przynajmniej z kimś, kto ją znał. – Ale to prawda, spodobała mi się i próbowałem poznać ją bliżej. No i co? Nie zrobiłem nic złego.

– Próbowalesz „poznać ją bliżej”? – prychnęła Leda. – Chyba raczej próbowałeś dobrać się do jej majtek.

– Przynajmniej nie mam obsesji na punkcie faceta, który jest zakochany w kimś innym!

Leda zmrużyła oczy, a na jej policzkach wykwitły dwie czerwone plamy.

– Jesteś żałosny – warknęła. – I nieudolny. To była jedyna rzecz, o której ustalenie cię prosiłam, a ty nawet tego nie potrafiłeś. Ale z ciebie, pożałuj Boże, haker.

Tylko że Watt to ustalił. Wzdrygnął się gwałtownie, bowiem na myśl o Avery i Atlasie jako parze robiło mu się niedobrze. Wychylił resztkę whisky, żeby zamaskować swoje zmieszanie. Pokój zaczął wokół niego niepokojąco wirować.

Leda przyglądała mu się dziwnie badawczym wzrokiem.

– Avery z tobą zerwała, mam rację? – spytała łagodnie, przysuwając się nieco bliżej. Watt poczuł się zdezorientowany, lecz bliskość dziewczyny sprawiła mu nieoczekiwaną przyjemność. Czuł mocny, odurzający zapach różanych perfum.

– Tak.

– Przykro mi. Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, Atlas też ze mną zerwał. Ale pewnie już o tym wiesz dzięki tym swoim hakerskim umiejętnościom.

– Tak, bo pewnie nadal was śledzę, gdy nikt mi za to nie płaci – zauważył sarkastycznie Watt.

Leda roześmiała się, jakby była to najzabawniejsza rzecz, którą słyszała w życiu. Chwilę szperała w torebce.

– Masz ochotę? – spytała, wyciągając z niej całą kolekcję pigułek o rozmaitych kolorach i kształtach.

Nadia wysłała Wattowi sygnał ostrzegawczy.

– Nie, dzięki – odparł znużonym głosem. – Wolę alkohol.

Na moment twarz Ledy przybrała dziwny wyraz.

– Jasne – powiedziała. Schowała pigułki do torebki, oparła się o stół i nalała im obojgu whisky. Gdy Watt wziął od niej kubek, spostrzegł, że kilka perłowych guzików jej bluzki jest rozpiętych. Doskonale widział teraz jej delikatny biały biustonosz.

– Za nas – wzniosła toast Leda. – Za dwójkę odrzuconych przez rodzeństwo Fullerów. Ale jakoś to przeżyjemy, co nie? Na zdrowie.

Uniosła wyczekująco swój kubek. Watt stuknął się z nią i jednym haustem wypił whisky. Butelka była już prawie w całości opróżniona.

– Dzięki. – Leda rozprostowała ramiona nad głową, opadła do tyłu na kanapę i wyciągnęła się,

jakby była tutaj stałym gościem. – Przyjemnie jest mieć w takich chwilach kogoś do towarzystwa – dodała półgłosem.

Watt czuł, że Nadia próbuje mu coś przekazać. Nadia była odporna na działanie alkoholu, ale Watt – nie. Neurony w jego mózgu działały znacznie wolniej niż normalnie i nie były w stanie przekazać w pełni informacji przesyłanych przez synapsy.

– Wiem, co masz na myśli – odparł Watt i uświadomił sobie, że jego słowa stają się bełkotliwe.

– Watt... – Leda położyła mu rękę na udzie i popatrzyła na niego pytająco. Była o wiele ładniejsza, niż do tej pory mu się wydawało. Miała błyszczące oczy, pełne usta oraz gładką, delikatną skórę.

To był zły pomysł. Leda usiadła Wattowi na kolanach – fałdy plisowanej spódnicy rozłożyły się wokół jej nóg niczym pióra pawiego ogona – i nachyliła się, żeby go pocałować. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien jednak zaprotestować, ale Leda wsunęła dłonie pod jego koszulę i zaczęła wędrować nimi coraz niżej, aż w końcu Watt zapomniał o jakimkolwiek sprzeciwie.

RYLIN

Był sobotni wieczór, Rylin szła do mieszkania Corda z taką lekkością w sercu, jakiej już dawno nie czuła. Wcześniej spotkała się z V, żeby przekazać mu dodatkowe pięć opakowań specjali. Była przerażona, że V zażąda od niej kolejnych, i nie bardzo wiedziała, co miałyby w takiej sytuacji zrobić, ale on tylko skinął głową, posłał jej dziwny uśmiech i od razu przelał na jej konto piętnaście tysięcy nanodolarów. Rylin wpłaciła je policji w ramach kaucji za Hirała, ale nie dostała jeszcze żadnej informacji o tym, kiedy go wypuszczą. Biorąc pod uwagę przebieg ich ostatniego spotkania, nie czekała na to z jakąś szczególną radością. Nie miała pojęcia, jak zareaguje Hirał, gdy powie mu, że między nimi wszystko skończone.

„Lepiej nie martwić się na zapas”, powiedziała do siebie. Zdobyła pieniądze na kaucję, tak jak się domagał, a odtąd nie mógł już oczekiwać od niej niczego więcej. Poza tym teraz pragnęła myśleć tylko o Cordzie. Za każdym razem gdy przypominała sobie ich wspólne popołudnie na Long Island – fale uderzające o brzeg, ich boscie stopy zagrzebane w piasku, deszcz bębniący o hover-osłonę nad ich głowami – zaczynało kręcić jej się w głowie.

Podeszła do frontowych drzwi. Miała dziś na sobie nową sukienkę bez rękawów z lśniącymi czarnymi suwakami z boku i dekoltem w łódkę. Cord nie powiedział jej, co będą dzisiaj robić, ale z tonu jego wiadomości wywnioskowała, że szykował coś wyjątkowego.

Rylin otworzyła szeroko oczy przed skanerem siatkówki. Drzwi jednak nie otworzyły się automatycznie, choć Cord przed kilkoma tygodniami dodał jej nazwisko do listy zatwierdzonych gości.

Rylin zmarszczyła czoło. Cord będzie musiał wezwać ekipę techniczną, żeby to naprawiła. Nacisnęła dzwonek.

– Cord? – zawołała i zapukała do drzwi, tak jak robili ludzie z niższych pięter. Wreszcie się otworzyły.

Przeszła przez korytarz i minęła kuchnię. W mieszkaniu panowała osobliwa cisza, która nie miała nic wspólnego ze spokojem, ale przypominała raczej pełne napięcia wyczekiwanie, jak przed rozpoczęciem filmu w holokuinie. Przyśpieszyła kroku.

– Jesteś wreszcie – z salonu dobiegł głos Brice’a.

Siedział na wysokim fotelu z prostym oparciem, nogi miał mocno oparte na podłodze, ramiona trzymał na podłokietnikach. Przypominał Rylin króla zasiadającego na tronie.

– Cześć, Brice – przywitała się, chcąc jak najszybciej zejść mu z oczu. Jego sztywna, nienaturalna poza przepehniała ją strachem.

– Usiądź. – Brice wskazał jej głową fotel naprzeciwko.

– Brice, ja...

– Musimy porozmawiać o twoim małym uzależnieniu od specjali – oznajmił tonem gładkim jak jedwab i wyciągnął rękę, żeby zablokować jej drogę.

Rylin stała nieruchomo.

– Co masz na myśli? – zapytała spokojnie. Ale po plecach przeszedł ją zimny dreszcz, a przedramiona pokryły się gęsią skórką.

– Oboje wiemy, że okradłaś Corda, więc przestań udawać.

Rylin milczała, obawiając się, że jakakolwiek próba protestu może pogрузić ją jeszcze bardziej. Poczowała gwałtowny ucisk w sercu.

Brice omiótł ją zuchwałym, znaczącym spojrzeniem.

– Gdy tylko cię poznałem, wiedziałem, że coś jest z tobą nie w porządku. Próbowałem ostrzec Corda, ale nie chciał mnie słuchać. No i proszę. Miałem rację.

– Proszę, pozwól, że wyjaśnię – odezwała się i nachyliła do przodu.

– Nie, to ja ci coś wyjaśnię. Oto, co się teraz stanie: pójdziesz do pokoju Corda i zerwiesz z nim w taki sposób, żeby już nigdy więcej nie chciał cię widzieć.

– Nie – odparła odruchowo Rylin. Nie mogła tego zrobić. Nie chciała.

– Jeśli nie zerwiesz z moim bratem, powiem mu, że wykorzystasteś go, żeby ukraść mu narkotyki, a potem powiadomię policję. Pójdziesz do więzienia. Rozumiemy się?

– Nie wykorzystasteś go – wyszeptala Rylin. Brice popatrzył na nią z politowaniem. – Nie masz żadnego dowodu – dodała, chwytając się resztek nadziei.

– A więc to będzie moje słowo przeciwko twojemu. Jak myślisz, komu uwierzy policja?

Brice miał rację. Rylin dobrze wiedziała, że nie wygląda to dla niej zbyt dobrze.

– Proszę – szepnęła błagalnie.

– Masz pięć minut – oświadczył Brice.

Rylin ze zdziwieniem poczuła, że po jej twarzy płyną łzy. Płakała. Ona – dziewczyna, która nigdy nie płacze. Roztrzęsiona wzięła głęboki oddech, podniosła się i otarłszy łzy, ruszyła do pokoju Corda.

– Hej – powiedziała cicho, gdy zapukała do jego drzwi. – Jesteś zajęty?

– Rylin! Myślałem, że przyjdiesz później. – Cord otworzył drzwi i na widok jego radosnej, przystojnej twarzy determinacja Rylin mocno osłabła. – Moi znajomi urządzają dzisiaj imprezę – powiedział Cord, wychodząc na korytarz. Rylin szła za nim bezwiednie. – Może pójdziemy tam we dwoje. No wiesz, poznasz moich przyjaciół.

Cord opowiadał dalej o swojej przyjaciółce Avery i jej niesamowitym mieszkaniu, ale Rylin go nie słuchała. Podniosła wzrok i na szczycie schodów ujrzała ciemną sylwetkę Brice'a, który tylko nieznacznie skinął jej głową.

– Cord – Rylin z bólem serca przerwała chłopakowi – musimy porozmawiać.

– Jasne – odrzekł po chwili milczenia, starając się nie tracić dobrego humoru. – Usiądźmy.

Rylin potrząsnęła głową. Chciała to mieć jak najszybciej za sobą. Cała ta sytuacja była i tak wystarczająco bolesna.

– Nie możemy się już więcej widywać.

– Słucham? – spytał Cord zdumiony. – Rylin, skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

– Po prostu... – „Zrób to tak, żeby już nigdy nie chciał cię widzieć”. – Mam chłopaka – powiedziała powoli.

– Nie rozumiem. – Cord opadł na fotel, jakby nagle zabrakło mu sił.

– Hiral, mój przyjaciel, który został aresztowany za handel narkotykami... Spotykałam się z nim przez cały ten czas. Tylko... udawałam, że jestem z tobą, bo zależało mi na tej pracy. A potem zabrałeś mnie do Paryża i... – załamał jej się głos, ale i tak nie musiała już nic więcej dodawać.

A najgorsze, że to wszystko było prawdą, przynajmniej na początku. Rylin nigdy tak bardzo sobą nie gardziła jak w tym momencie.

– To wszystko była tylko ściema? – Cord patrzył na nią, jakby ujrzął ją po raz pierwszy w życiu. Nie mógł uwierzyć w swoje słowa.

– Tak.

– Wynoś się z mojego domu – wycedził zimnym jak lód głosem.

– Przepraszam – szepnęła Rylin, patrząc na Corda zamglonym wzrokiem. Znała jego rysy niemal na pamięć. Tamtego dnia na plaży, w cudownym, przyćmionym świetle popołudniowej burzy wodziła po nich opuszkami palców. Ale teraz w twarzy Corda zaszła jakaś zmiana.

Wyglądał tak jak podczas tamtej imprezy przed paroma tygodniami: jakby na nikim ani na niczym mu nie zależało. Wyglądał tak jak wtedy, gdy taił przed nią swe prawdziwe uczucia, gdy Rylin nie wiedziała jeszcze, co skrywa się pod maską, którą nosił na co dzień.

– Powiem to tylko jeszcze raz – warknął wściekle. – Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj.

Rylin cofnęła się przerażona pustką, jaką zobaczyła w oczach Corda. Patrzył przez nią na wskroś, jakby w ogóle jej tu nie było. Jakby to popołudnie, które spędzili we dwoje na plaży, w ogóle się nie wydarzyło.

– Żegnaj. – Rylin odwróciła się w stronę drzwi. W jej piersi wzbierała rozpacz, szarpiąc ją od środka drobnymi, ostrymi szponami.

Znajdowała się w korytarzu i zaraz miała po raz ostatni wyjść z tego mieszkania, gdy usłyszała kroki zbiegającego po schodach Brice'a.

– Przykro mi, Cord – powiedział. Rozległ się brzęk lodu w szklaneczce i Rylin uświadomiła sobie z wściekłością, że obaj pili. – Ale serio, to dziewczyna z 32 piętra. Czego innego mogłeś się po niej spodziewać?

ERIS

– Eris? – Mariel pukała do frontowych drzwi.

– Idę! – zawołała Eris, balansując na jednej z czerwonych szpilek i jednocześnie wkładając drugą, po czym pobiegła, żeby wpuścić Mariel. Nie zdawała sobie sprawy, jaką wygodę daje lista gości ze stałym dostępem do mieszkania, dopóki nie musiała zacząć sama otwierać ludziom drzwi.

– Przepraszam, potrzebuję jeszcze kilku minut, żeby zakręcić sobie włosy – powiedziała Eris, wracając do swojego pokoju. Jej mama gdzieś wyszła, pewnie szukała dla nich nowego mieszkania. O niczym innym nie mówiła, odkąd otrzymała przelew od pana Cole'a.

Mariel ze spokojem przeciskała się przez zagracony pokój.

– Powinnam się domyślić, że tu obowiązuje strefa czasowa Eris – rzuciła z lekkim przekąsem. – Zawsze masz takie trudności z decyzją, co na siebie włożyć? – Wskazała głową na wąskie łóżko, prawie niewidoczne pod wielką stertą ciuchów.

– Lubię mieć różne możliwości – odparła Eris, ogarnięta niewytłumaczalnym poczuciem winy. Większość tych ubrań pochodziła z porannej wyprawy po sklepach, na którą mogły udać się z mamą dzięki szczodrości pana Cole'a.

Lokówka piknęła, a Eris sięgnęła po nią, żeby poskromić długie, opadające wokół twarzy włosy, i przygryzła dolną wargę. Mariel, widząc jej skupioną minę, westchnęła ciężko.

– Daj, ja to zrobię – zaproponowała i podeszła do Eris. Gdy się odwróciła, Eris zauważyła, że jej prosta czarna sukienka jest szokująco nisko wycięta na plecach. Normalnie by jej to nie przeszkadzało, sama przecież bardzo lubiła odważnie pokazywać swoje ciało. Ale wycięcie sięgało tak głęboko, że odsłaniało fragment jednego z inktatów: jakiegoś napisu po hiszpańsku. Eris skrzywiła się na ten widok. Odsłonięty w połowie inktat wyglądał potwornie tandetnie.

– Co tam jest napisane? – nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać.

– Masz na myśli mój inktat? – Mariel wygięła szyję, żeby spojrzeć przez ramię. – Czyżbyś nie wiedziała, jak można to sprawdzić? – roześmiała się i zaczęła zakręcać włosy Eris. Nawijała je ciasno na lokówkę, a potem opuszczała ich szerokie, zmierzwione fale. – Widzisz? Wychodzi mi to lepiej niż tobie.

– Dzięki. – Eris napotkała w lustrze wzrok Mariel i jej uśmiech. Momentalnie odpowiedziała tym samym.

– Opowiedz mi coś więcej o tej imprezie – poprosiła Mariel. – Nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoich przyjaciół.

Avery urządzała dziś imprezę, pierwszą prawdziwą imprezę od powrotu Atlasa z zagranicznych podróży. Zapowiadała się niezła zabawa.

– Chcesz pożyczyć którąś z moich sukienek? – Eris zdziwiła się, słysząc własny głos.

Mariel zastygła w bezruchu. Nawinięte na lokówkę włosy zaskwierczały cicho i Mariel natychmiast ją odsunęła.

– A co jest nie tak z moją sukienką? – zapytała.

Eris już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale się nie odezwała. Jak powiedzieć swojej dziewczynie, że po prostu źle wygląda? Że na tle jej eleganckich koleżanek z klasy, w szytych na miarę strojach i idealnym makijażu, Mariel będzie się prezentować wręcz żałośnie?

Na myśl o tym, co jej znajomi będą mówić o Mariel – a także o niej samej pokazującej się w towarzystwie takiej dziewczyny – Eris nagle mocno się zaczerwieniła.

– Nic. Zapomnij, co mówiłam – poprawiła się. Po pełnej napięcia chwili milczenia po prostu zaczęła odpowiadać na wcześniejsze pytanie Mariel: – Na pewno pokochasz Avery. To moja najlepsza przyjaciółka od wczesnego dzieciństwa. Organizuje party razem ze swoim bratem Atlasem. Będą też na pewno Jess, Risha i wszystkie dziewczyny z drużyny hokeja na trawie... – plotła trzy po trzy i dobrze o tym wiedziała. Mariel z urażoną miną nakręcała na lokówkę włosy. W jej gestach Eris wyczuwała nerwowość.

– A co z Ledą?

– Też pewnie przyjdzie.

– Wie już o swoim ojcu?

Eris zawahała się przez moment.

– On nie zamierza jej o tym powiedzieć.

– Że co?! – Mariel odłożyła lokówkę i stanęła przed Eris, żeby popatrzeć jej w oczy. – Eris, czemu nie wspomniałaś mi o tym wcześniej? Myślałam, że wasza kolacja się udała! Jak to nie zamierza jej o tym powiedzieć?

Eris wzięła głęboki oddech i zrelacjonowała całe spotkanie w restauracji, opowiedziała o szalu i o pytaniach pana Cole'a, jak sobie radzą we dwie z mamą. Opowiedziała też o tym, że jego zdaniem publiczne przyznanie się do łączącego ich pokrewieństwa nie jest najlepszym pomysłem i za bardzo skomplikowałoby to sytuację w jego pracy i w życiu rodzinnym.

– Przełał nam mnóstwo pieniędzy – oznajmiła w końcu Eris. – Będziemy mogły przeprowadzić się z powrotem na górę, musimy tylko znaleźć nowe mieszkanie.

– Chwila, czy ja dobrze usłyszałam? – Mariel cofnęła się o krok i przyjrzała się Eris z lekką odrazą. – Ten facet płaci ci za to, żebyś ukrywała, że jesteś jego córką?

– Dość brutalnie to ujęłaś.

– Przepraszam, a jak inaczej byś to określiła? Eris, ten człowiek kupuje twoje milczenie za nowe mieszkanie pełne błyskotek. Nie widzisz tego? To zwykła łapówka!

– A ja chętnie ją przyjmę. – Eris wyprostowała ramiona. – Już podjęłam decyzję. Do cholery, część tych pieniędzy już wydałam – wskazała ręką na stertę nowych, drogich ubrań piętrzącą się na łóżku. Niektóre z nich wciąż znajdowały się na wieszakach.

– Nie przeszkadza ci, że twój ojciec próbuje cię przekupić? I to dlatego, że twoje istnienie jest dla niego niewygodne? – Mariel podniosła głos.

– Dlaczego tak bardzo cię to denerwuje? – fuknęła na nią Eris. – Nie mogę go zmusić do tego, żeby się ze mną spotykał, jeśli sam tego nie chce. A pieniądze mogę przynajmniej jakoś sensownie wykorzystać.

– Niby jak? Kupisz sobie za nie więcej bezwartościowych dupereli? – Mariel chwyciła z toaletki garść naszyjników i pozwoliła, żeby przeleciały jej pomiędzy palcami. – Czy to naprawdę cię uszczęśliwia, Eris?

– Właśnie tak!

Mariel popatrzyła na nią z przerażeniem. Eris westchnęła i ściszyła głos.

– Nie to miałam na myśli. Tylko że... Nie rozumiesz tego? Dzięki pieniądzom mogę robić różne ważne rzeczy. Mogę na przykład pomóc tobie i twojej rodzinie! – Eris najwyraźniej niewłaściwie zrozumiała minę Mariel, ponieważ ciągnęła dalej: – Mogłabyś się przeprowadzić na wyższe piętro. Nie musiałabyś już dłużej pracować w Altitude, ale skupić się na nauce, spędzać więcej czasu z mamą.

– Boże, Eris. Do ciebie nic nie dociera, prawda? Nie chcę od ciebie pieprzonej jałmużny.

– To nie...

– Myślałam, że się zmieniłaś – Mariel mówiła dalej, a rozczarowanie, jakie malowało się na jej twarzy, było dla Eris niczym cios w serce. – Myślałam, że jesteś inna. Ale myliłam się. Jesteś taką samą rozpuszczoną suką jak wtedy, gdy wchodziłaś do Altitude i patrzyłaś na mnie, jakbym była dla ciebie nikim.

– Ja się nie zmieniłam? – Eris czuła narastającą złość. – To ty jesteś tak samo uparta i arogancka jak pierwszego dnia, gdy się spotkałyśmy!

– Wiesz co, Eris? Pieniądze nie rozwiążą za ciebie wszystkich twoich problemów.

– Ale przynajmniej wyciągną mnie z tej zapadłej dziury! – krzyknęła Eris.

Od razu wiedziała, że posunęła się za daleko.

– Ta zapadła dziura to miejsce, w którym się wychowałam – powiedziała zimno Mariel, akcentując każde słowo.

– Przepraszam – odezwała się Eris, ale Mariel zrobiła kolejny krok w tył, a dystans między nimi zaczął się coraz bardziej powiększać.

– Daj spokój, Eris. Boże broń, żebyś poszła z tobą na imprezę i przyniosła ci wstyd sukienką, która najwyraźniej budzi w tobie wstręt. – Mariel odwróciła się i wyszła z pokoju. Chwilę później Eris usłyszała, jak zamykają się za nią frontowe drzwi.

Myślała o tym, żeby za nią pobiec, ale jej stopy jakby nagle wrosły w ziemię. Czuła, jak wewnątrz niej coś się łamie i rozpada. Może była to jej głupia, uparta duma. A może jej serce.

Podeszła do lustra i głęboko odetchnęła, próbując wziąć się w garść. W nowej cynobrowej sukience bez dwóch zdań wyglądała fantastycznie. Na szczęście miała do niej wprost idealny dodatek.

Zawiązała ciasno wokół szyi szal, który podarował jej pan Cole, i na imprezę do Avery wyruszyła sama.

WATT

– Zgaś światło – wymamrotał Watt i przewrócił się na bok.

Wszystko go bolało. Miał wyschnięte gardło, jego język przypominał stary kapeć, a w głowie łomotało mu gorzej niż w dzień, w którym zainstalowano w niej Nadie. Nie wiedział, dlaczego to przekłete światło nie chciało się wyłączyć, mocno więc zacisnął powieki. Miał ochotę zakląć, ale uznał, że to kosztowałoby go zbyt wiele wysiłku.

– Watzahn – Nadia odezwała się w jego iTenach.

– Au! Nie tak głośno! – skrzywił się i zakrył uszy dłońmi. Przekręcił się na drugi bok i zdał sobie sprawę, że wciąż ma na sobie ubranie z poprzedniego wieczoru. Co się stało?

– Napij się – poleciła Nadia. Na małym stolczku koło łóżka stał dzbanek z wodą i buteleczka środków przeciwbólowych. Watt zdołał usiąść i obiema rękami chwycił dzbanek.

– Rany – jęknął, potrząsając głową, gdy wypił już prawie połowę. – Która godzina?

– Ósma wieczorem w sobotę.

– Cholera jasna! – Watt próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i opadł z powrotem na łóżko. – Moi rodzice...

– Myślę, że jesteś chory. Włamałam się do centralnego komputera tutejszej przychodni i wpisałam do twojej kartoteki, że masz gripę. Przesłałam tu nawet specjalnego bota, żeby zabrał whisky i uprzątnął wszelkie ślady, zanim twoi rodzice się obudzili – oświadczyła z dumą Nadia. – Tata zaniósł cię dziś rano do łóżka. Mama opiekowała się tobą przed pójściem do pracy. Wysłałam med-bota, który kazał jej zostawić dla ciebie to wszystko na stole – dodała.

– Dzięki – mruknął Watt. Tryb działania Nadii w sytuacjach kryzysowych naprawdę robił wrażenie.

– Ostrzegałam cię przed potencjalnymi skutkami ubocznymi nielegalnych substancji.

– Co? – Watt znów napił się wody i zmęczony potarł oczy. – Boże, jeszcze nigdy nie miałem takiego kaca.

– To nie jest kac. Zostałeś odurzony narkotykami – wyjaśniła Nadia. – Przez Ledę. Ile zdołałeś zapamiętać?

Leda. Zapomniał o jej wizycie. Starał się uporządkować jakoś wydarzenia wczorajszej nocy, ale wszystko przypominało niewyraźną plamę. Pamiętał, że siedział z Derrickiem, a potem pojawiła się Leda... wypytywała o Atlasa... ich pocałunek, który smakował jak whisky.

Nie pamiętał już nic z tego, co nastąpiło później.

– Co się stało? – wyszeptał zachrypnięty.

– Odtworzę ci nagranie – odparła Nadia.

Choć Watt był zbyt pijany i odurzony, by Nadia zdołała do niego dotrzeć – a także by samemu zapamiętać, co się wydarzyło – kwant był w stanie wszystko zarejestrować. Wydawało się to zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

Nadia wyświetliła nagranie na jego szklach, jakby to było immersyjne wideo. Watt obserwował wydarzenia wczorajszego wieczoru ze swojej pijanej perspektywy. Widział, jak Leda wtargnęła do mieszkania, rozmawiała z nim o Avery, zaproponowała mu narkotyki. Widział też, jak jej odmówił – to jeszcze pamiętał – a ona wzruszyła ramionami i zaczęła im obojgu polewać whisky.

– Teraz. – Nadia zatrzymała nagranie, zrobiła zbliżenie na rękę Ledy i puściła ten fragment w zwolnionym tempie. – Widzisz? Dosypała ci czegoś do kubka.

– Dlaczego, do cholery, miałyby to zrobić?! – zawołał Watt.

Nadia odtwarzała nagranie dalej. Watt obserwował z konsternacją, jak Leda usiadła na nim okrakiem

i zaczęła go całować. „Co za dureń ze mnie”, pomyślał. Pocałunek trwał tak długo, że nie był już w stanie dłużej na to patrzeć.

– Możesz przewinąć do przodu? – poprosił Nadie.

W końcu na nagraniu było widać, że zaczynają mu opadać powieki – zapewne to efekt działania narkotyku – Leda zaś zeszła mu z kolan i przyglądała mu się chytrym wzrokiem.

– Watt – przemówiła cichym, łagodnym, słodkim jak ulepek głosem. – Jak się czujesz?

– Świetnie – wymamrotał.

– Byłeś bardzo niegrzeczny, wiesz o tym? – Watt zamrugał przez chwilę i zobaczył, że Leda sięgnęła dłonią do jego głowy. Domyślał się, że bawiła się jego włosami. Na szczęście Nadia zarejestrowała tylko warstwę audiowizualną, bez wrażeń dotykowych.

– Nie – zaprotestował Watt. Zatrzepotał powiekami i już nie zdołał ich ponownie otworzyć.

– Okłamałeś mnie wcześniej, udawałeś, że za nic w świecie nie jesteś w stanie ustalić, z kim Atlas spotyka się za moimi plecami.

– Nie...

– Ale ty to już wiesz, prawda? – Jej głos był miękki niczym puch. Takim tonem rozmawia się z chorym dzieckiem.

– Wiem.

„Cholera”, Watt poczuł, że żołądek skręca mu się ze strachu.

– Kto to jest? – Z głosu Ledy nagle zniknęła słodycz, a w jej miejsce pojawiło się zniecierpliwienie.

– Avery...

– Skup się, Watt! Spytałam cię, z kim widuje się Atlas. Zapomnij o Avery!

– Nie, Avery i Atlas są ze sobą...

Zapadła długa cisza. Watt nagle poczuł ulgę, że przez cały ten czas miał zamknięte oczy. Nawet nie chciał sobie wyobrazić wyrazu twarzy Ledy, gdy usłyszała tę wiadomość.

– Jesteś pewien? – spytała w końcu cicho. Watt poznał po głosie, że była całkowicie wstrząśnięta. – Atlas i Avery Fuller? Wiesz, że oni są rodzeństwem? – dodała, ale zabrzmiało to tak, jakby bardziej usiłowała przypomnieć o tym samej sobie.

– Nadia się tego dowiedziała. Słyszałem ich oboje w łóżku...

Rozległ się szcęk pakowanych buteleczek z narkotykami, a potem gdzieś z daleka, chyba od drzwi, dobiegł go głos Ledy:

– Dziękuję, Watt. Byłeś bardzo pomocny. Słodkich snów.

Watt usłyszał trzask zamykanych drzwi i w tym momencie nagranie się skończyło.

„Co ja narobiłem?”, pomyślał przerażony.

– Nie obwiniaj się – pocieszała go Nadia. – Wykonałam dziś rano skan twojego ciała, z którego

wynika, że Leda podała ci niezwykle wysoką dawkę vertolominy wymieszanej ze środkami uspokajającymi. To narkotyk osłabiający samokontrolę, który przy tym spowalnia proces myślowy do tego stopnia, że ludzie nie są w stanie kłamać.

– Wspomniałem o tobie! – dodał Watt z narastającym przerażeniem.

– Tak, ale Nadia to imię, którego używałeś w kontaktach z Ledą. Pomyślała pewnie, że to pijackie przejęzyczenie.

– Zapominasz, że Leda to kompletna szajbuska. – A teraz jeszcze wiedziała o Avery i Atlasie.

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak bardzo czuje się odpowiedzialny za Avery. Zasadniczo niczego jej nie zawdzięczał, a poza tym wyrzuciła go z mieszkania tylko po to, żeby pójść do łóżka ze swoim własnym bratem. Jednak Watt czuł się podle w związku z tym, jaką rolę w tym wszystkim odegrał. Przypomniawszy sobie, jak strasznie smutna wydała mu się tamtego dnia, gdy spotkał ją w ARenie i gdy powiedziała, że tak naprawdę nie można poznać do głębi drugiego człowieka, ponieważ każdy coś ukrywa.

Watt tymczasem wykradł Avery największy sekret i wyjawiał go jej szalonej byłej przyjaciółce, która nie miała absolutnie żadnych hamulców.

– Czy Leda zdążyła już rozgłosić, że Avery i Atlas są razem? – Watt usiadł nagle w przypiływie paniki.

– Nie – zapewniła go Nadia. – Śledziłam dzisiaj każdy jej ruch i wygląda na to, że Leda nic jeszcze nie zdążyła zrobić. Z tego co wiem, nawet nie widziała się z Avery.

– Gdzie one są?

– Avery urządza imprezę – odparła Nadia i wyświetliła feedy dziewczyny na szklach Watta. – A Leda właśnie tam idzie.

– Muszę się tam jak najszybciej dostać! – Watt rzucił się do drzwi, wciąż w nieświeżych, wymiętych ubraniach z wczorajszego wieczoru. Nie wiedział czemu, ale ogarnęło go bardzo złe przeczucie, że wydarzy się coś strasznego. Cała ta sytuacja była tak chora i zagmatwana, że katastrofa wydawała się nieunikniona.

RYLIN

Siedziała na łóżku z nieobecny wzrokiem i pustką w głowie. W pokoju było ciemno. Wiedziała, że Chrissa się o nią martwi, że powinna pójść i jakoś ją uspokoić, ale nie była w stanie się ruszyć. Tkwiła nieruchomo w miejscu, patrząc tępo przed siebie, a w jej umyśle wirowały same ciemne, ponure myśli. Żałowała, że nie może cofnąć się w czasie i wszystkiego naprawić.

Nagle rozległo się głośne walenie do drzwi wejściowych.

– Ry! – Chrissa zawołała drżącym głosem. – To Hiral.

Rylin podniosła się i przeczesała dłonią zmierzwione włosy. Wciąż miała na sobie sukienkę z suwakami z boku, którą włożyła wcześniej w całej swojej naiwności.

– Już idę. Spokojnie – zwróciła się do Chrissy i poszła otworzyć drzwi.

Hiral stał na progu, jakby nic pomiędzy nimi się nie zmieniło. Miał na sobie te same spodnie od dresu, w których został aresztowany – przy zwolnieniu z aresztu musieli oddać mu wszystkie ubrania, co znaczyło, że przyszedł prosto do niej. To nie zapowiadało niczego dobrego.

– Hiral – powiedziała ostrożnie Rylin, nie wykonując żadnego gestu w jego kierunku. – Cieszę się, że cię wypuścili.

– I to dzięki tobie, małeńka. – Obrzucił ją wzrokiem i dziwnie się uśmiechnął. – Gotowa do świętowania?

– Może lepiej wejdiesz do środka? – zaproponowała Rylin i otworzyła szeroko drzwi.

– Co, nie dostanę całusa na powitanie?

– Usiądź, Hiral. Musimy porozmawiać – powiedziała, myśląc z goryczą, że w rozmowie z Cordem użyła dokładnie takich samych słów, tylko że tym razem mówiła całkiem szczerze.

Chłopak usiadł na jednym z plastikowych krzeseł i zaczął bębnić palcami w stół. Wyglądał na bardziej umięśnionego niż wcześniej, jak gdyby kontury jego ciała zostały wyraźniej zarysowane ołówkiem, choć Rylin nie miała pojęcia, w jaki sposób zdążył aż tak nabrać masy w więzieniu.

– Dalej jesteś zła, że poprosiłem cię o pomoc w zdobyciu pieniędzy na kaucję? – domyślił się, obserwując Rylin.

„Między innymi”.

– Zgadza się, nie lubię V.

– Ale to dzięki niemu mogłem wyjść na wolność. Powinnaś być mu wdzięczna!

– Zmusił mnie do kolejnej kradzieży!

Hiral ściągnął mocno brwi.

– Ty po prostu nie lubisz brudzić sobie rąk. Boże, Ry, gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że w ogóle nie cieszysz się na mój widok.

Rylin nie mogła sobie wymarzyć lepszej sposobności.

– Chcę się z tobą rozstać.

Słowa te zawisły pomiędzy nimi w powietrzu. Rylin naprężyła się, czekając na jakiś nagły wybuch złości...

Jednak Hiral tylko zaśmiał się ponuro.

– Nie powiem, żeby mnie to zaskoczyło, biorąc pod uwagę, jak zachowywałaś się podczas

odwiedzin w więzieniu. Jakbyś przysła tam pod przymusem. – Oczy chłopaka się zwęziły. – Z początku myślałem, że jesteś po prostu wystraszona, ale potem nawet nie chciałaś mnie dotknąć. Gdy pocałowałem cię na pożegnanie, odskoczyłaś ode mnie jak oparzona.

– Przecież mi groziłeś!

– Jak widać, poskutkowało! Oboje wiemy, że inaczej nie sprzedałabyś tych narkotyków.

Gdy Rylin nie odpowiedziała, Hiral nachylił się ku niej, a twarz wykrzywił mu ohydny grymas.

– Chodzi o Andertona, mam rację? – rzucił oskarżycielskim tonem. – Spotykasz się z tym dupkiem z wyższych pięt.

– Hiral, między nami już od dawna jest wszystko skończone. Dobrze o tym wiesz – oznajmiła tak łagodnie, jak tylko potrafiła.

– Jasna cholera – zaklął z wściekłością Hiral. – Przespałaś się z nim.

Rylin nie odpowiedziała. Nie potrafiła skłamać. Tymczasem prawda musiała być wypisana na jej twarzy, ponieważ Hiral wydał z siebie nagle wściekły, gardłowy ryk i przewrócił stół na ziemię.

– Co ty wyprawiasz? – wykrztusiła Rylin wystraszona łoskotem. Od stołu odłamała się jedna noga, szklanki z brzękiem potoczyły się po podłodze. Hiral był cały czerwony na twarzy i ciężko, głęboko dyszał.

– Ufałem ci, Rylin!

– Chyba jednak nie, bo inaczej nie próbowałbyś mnie szantażować! – wrzasnęła.

W niespodziewanej ciszy, jaka zapadła, twarz Hirala przybrała dziwnie spokojny wyraz.

– Może teraz, gdy wiem, jak mnie zdradziłaś, opowiem glinom co nieco o tobie i twojej małej przestępczej działalności – powiedział.

– Nie, nie zrobisz tego – oznajmiła Rylin odważnie, choć w głębi duszy była przerażona. – Bo choć czasami tak się zachowujesz, wcale nie jesteś mściwy. Wciąż jesteś tym samym chłopakiem, w którym się zakochałam, nawet jeśli nasze drogi się rozeszły. – Ściszyła głos i dodała z pewnym smutkiem: – Wiem, że powiedziałeś V, że to ty ukradłeś te specjale. Dziękuję. Za to, że mnie chroniłeś.

Hiral przyglądał jej się przez chwilę.

– Brzydę się tobą – rzucił wreszcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Rylin? – Z sypialni wyłoniła się Chrissa. Była całkiem blada.

– Słyszałaś wszystko?

– Tak. Co jest grane?

Rylin wirowało w głowie. Nie mogła zebrać myśli. Chciała chronić Chrissę, trzymać ją od tego wszystkiego z daleka, ale zawodziła niemal na każdym kroku.

– No dobra – powiedziała. – Tylko... obiecaj, że najpierw mnie spokojnie wysłuchasz.

Wzięła głęboki oddech i opowiedziała siostrze o wszystkim. Począwszy od pierwszej nocy, kiedy pracowała u Corda, przez kradzież specjali, aresztowanie Hirała, jego groźby i to, co wydarzyło się później. Pomięła jedynie najbardziej osobiste fragmenty, jak na przykład popołudnie z Cordem na plaży.

Chrissa w ogóle się nie odzywała, tylko słuchała z wybałuszonymi oczami. Obie z Rylin postawiły z powrotem przewrócony stół – trochę chwiał się na trzech nogach, ale stał – i pozbierały z podłogi szklanki. A gdy wreszcie Rylin skończyła swą opowieść, usiadła, położyła głowę na rękach siostry i zamknęła oczy.

– Kochasz go – stwierdziła Chrissa.

Rylin skinęła, nie podnosząc wzroku.

– A więc idź mu to powiedz!

– Nie mogę! Jego brat groził, że doniesie na mnie na policję!

– Jeśli Cord kocha ciebie tak, jak ty jego, to coś wymyśli! Powstrzyma brata przed pójściem na policję. Albo powie glinom, że sam dał ci te specjale. Jakoś się to ułoży!

Rylin znieruchomiała nagle, słysząc coś dziwnego w głosie Chrissy. Była to nadzieja: głupia, naiwna, romantyczna nadzieja, wiara w to, że miłość może pokonać wszelkie przeszkody. Rylin czuła się głupio, poddając się temu uczuciu, ale Chrissa miała rację.

Powinna przynajmniej spróbować.

– Jedź na górę! – zachęcała ją pełnym przejęcia głosem Chrissa. – I powiedz mu całą prawdę, tak jak to zrobiłaś przed chwilą!

Rylin pokręciła głową.

– Cord imprezuje teraz na tysięcznym piętrze u jakiejś dziewczyny, Avery czy jakoś tak.

Jeszcze tego brakowało, żeby wbiła się na imprezę do zupełnie obcej osoby i urządziła tam wielką scenę.

– Serio, Ry? Kiedy to coś ci przeszkodziło w pójściu na imprezę?

Rylin potrząsnęła głową ze śmiechem.

– To chyba pierwszy raz, gdy sama mnie do tego namawiasz.

– No to zrób to!

Rylin przytaknęła słowom siostry, nagle wstąpiła w nią chęć działania. Powinna pojechać na górę, wyznać Cordowi całą prawdę i naprawić to, co zepsuła. Może Cord zdoła jednak jej przebaczyć.

Zatrzymała się w drzwiach i z dziwnym uśmiechem na twarzy rozejrzała po mieszkaniu Avery i Atlasa, w którym właśnie odbywała się impreza. Boże, jak dobrze było wrócić. Po raz pierwszy od miesiący Leda czuła się w pełni rozbudzona. Każda komórka jej ciała była gotowa do działania, cały jej organizm buzował gniewem oraz xenperedrenem.

„Ale te ostatnie dwadzieścia cztery godziny były szalone”, powiedziała do siebie w duchu, rozmyślając o tym wszystkim, co wydarzyło się przez minioną dobę, o wszystkich sekretach, które odkryła i które jej niezwykle ożywiony umysł pracowicie oceniał i analizował. Romans Eris i jej taty. Na myśl o tym Leda znów zadrżała ze wstrętem. Odkrycie, że specjale Corda zostały skradzione, i poinformowanie o tym Brice’a. Konfrontacja z Watem i wydobycie z niego prawdy na temat Avery i Atlasa. To, co od niego usłyszała, było tak okropne, niepojęte i szokujące, że na chwilę ją zamurowało. Zrozumiała jednak, że choć wydawało się to kompletnie popieprzone, miało to jednak – wprawdzie chory – sens. Wyjaśniało to wiele spraw dotyczących rodzeństwa Fullerów, począwszy od jej pierwszego razu z Atlasem w Catyan. Do diabła, a nawet od chwili gdy obie z Avery zostały przyjaciółkami.

„Nic dziwnego, że wpadłam przez nich oboje w narkotyki”, przyszła jej do głowy nieco zwariowana myśl. Przez cały czas odgrywała rolę piątego koła u wozu w pokręconej, kazirodczej historii miłosnej i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Ale dzisiaj to wszystko miało się zmienić.

Odkąd dowiedziała się o Avery i Atlasie, prawie nie zmrużyła oka. Cały dzień spędziła w domu, łykając rozmaite pigułki ze swojej torebki, a jej umysł przeskakiwał z jednej króliczej nory do drugiej, obmyślając coraz to bardziej wyrafinowane plany zemsty. Tylko w tym celu przyszła na dzisiejszą imprezę. Pragnęła publicznie i boleśnie upokorzyć Avery oraz Atlasa.

Zaczęła przedzierać się przez tłum gości w kierunku okien w salonie, gdzie z pewnością przebywała teraz Avery. Z przelatującej tacy wzięła kieliszek atomówki i wychyliła ją jednym haustem. Alkohol rozszedł się szybko falą ciepła po jej i tak ogarniętym gorączką organizmie.

Szkła Ledy nagle rozjaśniły się nową prośbą o flik-link, która pochodziła nie od kogo innego tylko od „Nadii”. Watt. Musiał ją ponownie dodać do swoich kontaktów po tym, jak poprzednio definitywnie zerwał między nimi łączność. Leda z ponurym, przewrotnym rozbawieniem zaakceptowała prośbę.

– Witaj – odezwała się natychmiast, gdy Watt do niej pingnął. – Jak się czujesz?

– Co chcesz zrobić Avery?

Leda westchnęła teatralnie.

– Przestań zgrywać rycerza na białym koniu, Watt. Już i tak przegrałeś.

– Leda, proszę...

– Lepiej zacznij martwić się o siebie, bo sam też masz sporo za uszami – rzuciła groźnie i się

rozłączyła.

Sekret Watta był najbardziej zaskakujący ze wszystkich. Kiedy już go odurzyła i wyciągnęła z niego prawdę o Avery i Atlasie, nie mogła oprzeć się pokusie, by nie pomyszkować po jego mieszkaniu. Drzwi do sypialni były otwarte, więc Leda postanowiła zakraść się do środka i trochę rozejrzeć. Nie wiedziała, czego konkretnie szuka. Chciała się tylko dowiedzieć, dlaczego Watt był takim dobrym hakerem: jakim cudem siedemnastolatek ze slums-Wieży włamał się do systemu bezpieczeństwa domu Fullerów i Departamentu Stanu?

W jednej z szuflad biurka natrafiła na płaskie pudełko z krzemowymi procesorami optycznymi. Sprawdziła w sieci, do czego służą, i to, co odkryła, wprowadziło ją w zdumienie. Wykorzystywano je bowiem wyłącznie przy budowie komputerów kwantowych.

A więc Watt Bakradi miał nielegalnego kwanta.

Nadia się tego dowiedziała. „Zabawne – pomyślała Leda – tym imieniem musiał pewnie nazywać swoją małą nielegalną zabawkę”.

Zaczęła rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu samego komputera – może uda jej się go zabrać dla siebie – ale po półgodzinie się poddała. Zresztą nieistotne, czy będzie go mieć na własność czy nie. Mogła bowiem szantażować Watta w nieskończoność: gdyby doniosła na niego policji, resztę życia spędziłby w więzieniu.

Przyjemnie byłoby trzymać Watta na smyczy. A mając jeszcze do swojej dyspozycji jego kwanta, Leda już nigdy nie pozwoliłaby się nikomu oszukać.

Wszyscy wokół byli kłamcami – Atlas i Avery, Eris i jej rodzice – wszyscy coś przed nią ukrywali. Świadomość tego napełniała ją bólem, ale zarazem była w pewnym sensie uspokajająca: jakby na pewnym poziomie wiedziała o tym już od dawna, a teraz czerpała satysfakcję z tego, że jej podejrzenia się potwierdziły.

Leda czuła, że nie może ufać nikomu oprócz siebie samej, zresztą tak naprawdę zawsze tak było.

ERIS

Gdy pojawiła się na przyjęciu, w mieszkaniu panował znacznie większy tłok, niż się spodziewała. Przyszli wszyscy uczniowie przedostatniej i maturalnej klasy z Berkeley, a także co odważniejsi pierwszoklasiści oraz osoby, których Eris nie kojarzyła nawet z liceum.

Szła powoli przez tłum imprezowiczów, zatrzymując się co chwila, by z kimś się przywitać lub podziękować za komplement. Dzisiejszy wieczór miał być wielkim świętem, przypomniała sobie. W końcu, po tygodniach męczarni, miała odzyskać swoje dawne życie.

Jednak z jakiegoś dziwnego powodu wszystko wokół wydawało jej się fałszywe: modne stroje jej przyjaciółek wyglądały tandetnie, a ich słowa były puste. Eris nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała Mariel. W porównaniu z czasem, który spędziła w jej towarzystwie, cała ta impreza wydawała jej się kompletnym szaleństwem. Dlaczego w ogóle tak bardzo zależało jej na tym wszystkim?

Ciekawe, co Mariel teraz robiła? Szkoda, że nie przyszła tu razem z nią. Eris tak bardzo chciała ją przeprosić. Czemu więc tego nie robi? Nagle doszła do wniosku, że przecież gorzej już między nimi być nie może.

Schowała więc dumę do kieszeni i napisała do Mariel: „Przepraszam. Nie miałam na myśli tego, co powiedziałam. To było głupie, krzywdzące i bardzo tego żałuję. Czy mogę ci to jakoś wynagrodzić?”. Kiwnęła głową i wysłała wiadomość.

Podniosła wzrok i zauważyła, że z drugiego końca pokoju wpatruje się w nią Leda.

Odruchowo uśmiechnęła się do niej – choć wyszedł z tego raczej grymas – i pomachała ręką. Ale Leda nie odpowiedziała na pozdrowienie. Przyglądała się jej tylko z tak jawną nienawiścią w oczach, że Eris mimowolnie cofnęła się o krok. Nie była w stanie się ruszyć, gdy tymczasem Leda powoli przesuwiała wzrok po jej ciele, aż wreszcie utkwiała spojrzenie w zarzuconym na ramionach szalu. Twarz dziewczyny była płaska i nieprzejednana niczym ostrze noża.

„Leda wie”, pomyślała Eris w przyływie paniki. Musiała wiedzieć, skoro tak na nią patrzyła.

Eris spuściła głowę, chcąc uwolnić się od jej świdrującego spojrzenia. Dlaczego Leda jej tak nienawidzi? Przecież nie jest niczemu winna. Eris nie prosiła o to, by być jej krewną. Podniosła wzrok, gotowa spojrzeć Ledzie prosto w oczy, a nawet podejść do niej i stawić jej czoło. Ale Leda zniknęła w tłumie.

– Hej. – Eris nagle poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu, a gdy się odwróciła, ujrzała Avery. – Wszystko w porządku?

– Chyba tak. – Eris była roztrzęsiona. Ta sytuacja z Ledą zupełnie wytrąciła ją z równowagi. W głowie zaczęło jej łomotać. Czy Ledzie udało się przyprawić ją o ból głowy tylko samym swoim przerażającym spojrzeniem?

– Co się dzieje?

– Nic. – Eris nie chciała o tym rozmawiać. – A tak w ogóle, wyglądasz fantastycznie. – Zauważyła, że Avery była ostatnio bardzo szczęśliwa, cała wręcz promieniała.

– Ty też! – wykrzyknęła Avery. – A gdzie twoja dziewczyna? – zaczęła rozglądać się dookoła, ale Eris pokręciła głową.

– Nie przyszła. Pokłóciłyśmy się. I to potwornie.

– Och, Eris. – Avery ścisnęła jej dłoń w geście współczucia. – Tak mi przykro. Ale chyba się

pogodzicie, prawda?

– Mam nadzieję. – Ale Eris nie była tego wcale pewna.

Nagle zadrżała, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Przez chwilę zastygła sparaliżowana ze strachu, że to Leda, i zaczęła żałować, że w ogóle przyszła na imprezę.

Tym razem jednak wpatrywał się w nią Cord. Stał sam przy oknie, popijając drinka, i Eris od razu zorientowała się, że coś się musiało stać.

– Pójdę do... – zwróciła się do Avery.

Przyjaciółka podążyła za jej wzrokiem i westchnęła.

– Tylko bądź ostrożna – ostrzegła ją. Ale Eris już szła do jedyne go chłopaka, który odważył się z nią pierwszy zerwać.

– Co się dzieje? – spytała w ramach powitania.

– Ciebie też dobrze widzieć, zresztą jak zawsze – rzucił sarkastycznie Cord jak za starych, dobrych czasów, ale Eris podejrzewała, że kryje się za tym coś poważniejszego. Chłopak miał zaczerwienione oczy. Czyżby był naćpany?

– Ja też mam beznadziejny dzień, jeśli to cię jakoś pocieszy – oznajmiła Eris. Przeszli oboje w kąt pokoju i stanęli za jedną z gigantycznych rzeźb, jakie kolekcjonowała mama Avery. Wokół panował taki hałas, że wszystkie rozmowy mieszały się ze sobą i niekiedy trudno było odróżnić poszczególne słowa. Ale nie mieli co liczyć na większą prywatność, chyba że zamknęliby się w sypialni. Albo w garderobie.

– Czyżby? – Cord zaśmiał się ponuro. – Zapewniam cię, że mój dzień był bardziej zjebany. No chyba że twój nowy chłopak tylko z powodu twoich pieniędzy udawał, że zakochał się w tobie. Wybacz – dodał Cord, przypomniawszy sobie, że Eris nie miała już żadnych pieniędzy.

– Tym razem to nowa dziewczyna – oznajmiła spokojnie Eris. – Ale nie, niczego nie udawała. Choć ja też koncertowo dziś wszystko spieprzyłam. – Cord podał jej drinka, którego sam sączył, ale pokręciła przecząco głową. – Nie jestem w nastroju – wyjaśniła.

Cord wzruszył ramionami i dopił resztkę ze swojej szklanki.

– Ktoś naprawdę udawał, że się w tobie zakochał? – dopytywała Eris z lekkim niedowierzaniem.

– Tak. I to moja służąca, jeśli dasz wiarę. Zgadza się, jestem skończonym idiotą. – Zerknął z ukosa na Eris. – Choć odkąd wiem, jak krucho jest u ciebie z forszą, zaczynam podejrzewać, że próbowałaś ze mną tego samego numeru.

– Wybaczę ci ten komentarz, ale tylko dlatego, że jesteś okropnie pijany.

Cord wzruszył ramionami.

– Trzymaj – powiedział i wziął dla Eris kieliszek z przelatującej obok tacy.

Eris potrząsnęła głową.

– Gwoli ścisłości, nigdy nie udawałam, że jestem w tobie zakochana. Ja się z tobą tylko bzykałam.

– I byłaś w tym cholernie dobra. – Cord przesunął ręką po jej pośladku.

Eris pacnęła go nonszalancko.

– Najsmutniejsze jest to – dodała – że ja naprawdę lubię tę dziewczynę.

– Kochasz ją? – spytał Cord.

– Nie wiem.

– Jeśli nie jesteś tego pewna, to znaczy, że nie – stwierdził Cord.

– Odezwał się ekspert – zaśmiała się Eris. Chyba że... – Chwila, a ty kochasz tę swoją służącą?

– Ja nie wierzę w miłość – oznajmił Cord.

– To straszne – odparła odruchowo, choć sama też nie była do tego w pełni przekonana. – Każdy człowiek wierzy w miłość.

– Ja wierzę tylko w szczęście – powiedział Cord, ale wyraz jego oczu zdradzał, że znajdował się gdzieś daleko stąd, z dala od Eris, od imprezy i od całej Wieży. – Ale nie jestem pewien, czy miłość to najlepszy sposób, żeby je osiągnąć.

Eris nie wiedziała, co odrzec, ale nie miała też wrażenia, żeby Cord chciał usłyszeć jej odpowiedź. Czuli się przy nim zupełnie inaczej niż w towarzystwie Mariel. W pewnym sensie swobodniej. Jak gdyby stanowił przeciwieństwo Mariel. Nie oczekiwał od Eris więcej niż od siebie samego, czyli naprawdę niewiele.

Eris przysunęła się bliżej niego i wypięła nieco bardziej piersi w push-upie, próbując wejść w dobrze jej znaną atmosferę flirtu. Miała wrażenie, jakby nic się nie zmieniło, jakby znów trwało lato, a ona i Cord dalej toczyli swe miłosne gierki – a jednak wszystko wydawało się kompletnie inne. To było jedynie echo tamtego okresu, nieco mniej wyraziste i podniecające. Oboje z Cordem za bardzo zmienili się od tamtego czasu.

– Stęskniłem się za tobą, Eris. – Zaśmiał się głucho Cord. – Jesteśmy sobie warci, prawda?

Dawniej Eris byłaby zachwycona, słysząc, że Cord tak o nich mówi, ale teraz te słowa przeszyły ją bólem. Spojrzała na Corda i westchnęła cicho:

– Tak. Może masz rację.

AVERY

– To najbardziej szalona impreza, jaką kiedykolwiek urządziliśmy – wyszeptała Avery do Atlasa. Stali przyciśnięci do siebie w maleńkiej bieliźniarce. Avery czekała na tę chwilę od początku wieczoru. To była wyjątkowo bolesna tortura: wymieniali z Atlasem spojrzenia przez całą szerokość pokoju, a przechodząc obok siebie, ocierali się delikatnie rękami, ale nie mogli sobie pozwolić na nic więcej. Aż

do teraz, gdy wreszcie udało im się wymknąć niepostrzeżenie.

– Odejdziemy z przytupem – odparł Atlas i pocałował ją.

Konieczność ukrywania się przed wszystkimi wywoływała u Avery dreszcz podniecenia: podczas gdy ona przytulała się do ukochanego chłopaka, z którym za kilka dni planowała uciec na drugi koniec świata, ich znajomi ze szkoły bawili się zaledwie kilka metrów dalej, zupełnie niczego nieświadomi. Kompletny obłąd.

Oparła się o Atlasa, miała ochotę zedrzeć z niego koszulę i pociągnąć go w dół na puszyste ręczniki, ale przypadkowo uderzyła jego głową o półkę. Atlas skrzywił się z bólu i zaklął.

– Przepraszam! – powiedziała Avery i odsunęła się od niego.

– Nie, to ja przepraszam – zaśmiał się z żalem Atlas. – Zabrałbym cię do mojego pokoju, ale już jest zajęty.

– Mój też! – Normalnie Avery byłaby wściekła, że jakaś para bzyka się w jej sypialni. Ale gdy stała tutaj z potarganymi włosami, w niebieskiej sukience pokrytej białymi kłaczkami z maty łazienkowej, w ogóle się tym nie przejmowała. – To chyba najlepszy dowód, że impreza jest udana – dodała.

– Jak mówiłem, odejdziemy stąd z hukiem. – Atlas nachylił się, żeby raz jeszcze ją pocałować. – Do zobaczenia – mruknął i wymknął się z powrotem na korytarz. Avery policzyła do dwudziestu i poszła w przeciwnym kierunku, nie potrafiąc jednak ukryć błęgiego uśmiechu na twarzy.

To rzeczywiście była fantastyczna impreza. Avery próbowała delektować się każdą chwilą, żeby potem powracać do niej we wspomnieniach, kiedy już oboje z Atlasem się zestarzeją. Dziś po południu nakazała botom przesunąć meble w salonie pod ściany, tak aby zrobić na środku miejsce do tańca. Teraz było tu pełno ludzi, a wszyscy śmiali się, pili i dobrze się bawili. Błyszczące butelki z alkoholem stały w rzędzie na blacie kuchennym i nieustannie były wymieniane na nowe, zgodnie ze złożonym przez nią wcześniej zamówieniem. Z głośników płynęła muzyka, dopasowując się głośnością do gwaru rozmów. I przynajmniej jak dotąd, nikt nie zrobił nic głupiego.

Ale Avery miała zapamiętać tę imprezę na zawsze, nawet gdyby okazała się totalnym niewypałem. Kiedy wreszcie odkryli z Atlasem, że oboje się kochają, rozkoszowała się każdą sekundą spędzoną w jego towarzystwie.

Ruszyła w kierunku parkietu, gdzie zobaczyła Rishę ze Scottem Bandierem – to coś nowego – oraz Jess, jak zwykle u boku Patricka. Gdyby chociaż przez minutę mogła zatańczyć z Atlasem. Zaraz jednak uświadomiła sobie z cisnącym się na usta uśmiechem, że będą mieli przecież na to całe życie.

Nagle czyjaś ręka zacisnęła się na jej ramieniu niczym imadło.

– Wszędzie cię szukałam.

Avery głośno odetchnęła. Leda wyglądała koszmarnie. Włosy związane w ciasny kok podkreślały jej wystające kości policzkowe. Miała napiętą i zmęczoną twarz, usta zacisnęła w wąską linię. W sukience

w geometryczne wzorki wydawała się wręcz krucha, jak gdyby jej organizm funkcjonował wyłącznie dzięki samej sile woli – oraz narkotykom.

Avery dobrze znała to oblicze przyjaciółki: właśnie tak wyglądała niekiedy przed egzaminami, gdy zażyła zbyt wiele xenperedrenu. Chodziła wtedy nabuzowana przez cały dzień, zdawała egzamin, a potem wracała do domu i zasypiała. A gdy tylko Avery próbowała z nią o tym pogadać, przyjaciółka zamykała się w sobie.

Leda puściła w końcu jej ramię. Cała się trzęsała, była wyraźnie czymś poruszona.

– Nie do wiary. Jesteś okropną przyjaciółką, wiesz? Nie mówiąc o tym, że jesteś po prostu odrażająca – wyrzuciła z siebie.

– Leda, co wzięłaś? – spytała Avery, delikatnie odciągając przyjaciółkę na bok.

– Odczep się! – Leda podniosła głos, najwyraźniej nie przejmując się, że może wywołać scenę. Kilka osób zerknęło w ich kierunku z uniesionymi brwiami. – Ja wiem – oznajmiła Leda. – Nie próbuj więc ze mną pogrywać, dobra?

Avery nagle zdjął strach. Bała się odezwać. Próbowwała wyczytać coś z oczu Ledy, która rozglądała się gorączkowo dookoła. Instynkt podpowiadał Avery, że szukała Atlasa.

– Gdzie on jest? – wysyczała Leda.

– Ale kto? – zapytała Avery możliwie jak najbardziej niewinnym tonem.

– Twój brat! A może raczej kochanek?

Avery zrobiło się niedobrze, jakby nagle cały świat gwałtownie się zakołysał. Leda wymówiła te słowa niemal szeptem, a wokół panował taki hałas, że raczej na pewno nikt jej nie usłyszał – jak na razie. Ale Avery nie mogła ryzykować.

– Możemy porozmawiać o tym na osobności? – poprosiła, starając się zachować spokój. Spojrzała Ledzie prosto w oczy. – Proszę. Przez wzgląd na wszystkie lata naszej przyjaźni. Proszę, nie rób tego, przynajmniej nie tutaj.

W oczach Ledy pojawił się dawny błysk i nagle osłabła, jakby napędzała ją siła czystej nienawiści i w pewnym momencie wyczerpała jej się energia.

– W porządku – zgodziła się. – Ale masz tylko kilka minut.

Avery skinęła głową. Na nic więcej nie mogła teraz liczyć.

– Chodź za mną – powiedziała. Z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem pozdrawiała po drodze mijane osoby, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Jakby szła właśnie z najbliższą przyjaciółką poprawić makijaż i poplotkować, a nie szantażować się nawzajem ujawnieniem najmroczniejszych, najgłębiej skrywanych tajemnic.

Wszędzie jednak byli ludzie. W jej pokoju, w sypialni Atlasa, w bibliotece, w szklarni. Impreza rozniosła się po całym mieszkaniu. W każdym pokoju ktoś leżał: albo półprzytomny, albo z kimś się

całując, albo trochę tego i tego. Avery czuła narastające zdenerwowanie Ledy, która przypominała tykającą bombę z opóźnionym zapłonem.

Aż wreszcie Avery wpadła na pomysł, który miał wszystko zmienić, już na zawsze.

– Tędy – rozkazała, po czym pchnęła drzwi do spiżarni i pociągnęła za ukryty uchwyt. – Tutaj nikogo nie ma. Będziemy mogli porozmawiać w całkowitym spokoju.

Chwyciła drabinę i ściągnęła ją w dół, odsłaniając nad ich głowami maleńki kwadracik ciemnogrnatowego nieba. O zdenerwowaniu Ledy najlepiej świadczyło to, że nawet nie zareagowała ze zdziwieniem na ukryte wejście na dach nad mieszkaniem Fullerów. Pochyliła tylko lekko głowę i głosem zimnym jak lód oznajmiła:

– Ty pierwsza.

Ślizgając się na szczeblach drabiny w skórzanych włoskich szpilkach, Avery zaczęła się wspinać w mrok.

LEDA

Weszła na dach i zachwiała się pod naporem wiatru. Instykt powinien natychmiast podpowiedzieć jej, że należy zejść z powrotem po drabinie, ale była za bardzo otumaniona potężną mieszanką xenperedrenu i kilku innych pigułek, których nazw nawet nie pamiętała. W tym momencie xenperedren utrzymywał ją w ryzach, choć miała szkliste spojrzenie i była spięta. Ale wzrok już zaczynał płatać jej rozmaite figle: kształty się wydłużały, cienie stawały się jaśniejsze. Wszystko to było przyjemne i radosne niczym hologram wesołego miasteczka.

– Śpisz z własnym bratem, masz tajne wejście na dach. – Leda odwróciła się twarzą do Avery. – Ile jeszcze tajemnic skrywa doskonała Avery Fuller?

– Nie musisz być okrutna. – Avery stała nieporuszona. Światło księżyca lśniło na jej srebrnobłękitnej sukience, sprawiając, że dziewczyna przypominała posąg starożytnej greckiej bogini.

– Będę okrutna, gdy tylko uznam to za stosowne – odparła zjadliwie Leda. Tu na dachu, tak blisko gwiazd, znów poczuła się młoda, silna i pełna nienawiści. – A więc ty i Atlas. Jak według ciebie zareagują twoi rodzice, gdy się dowiedzą?

– A ty jak się o tym dowiedziałaś? – spytała cicho Avery.

– Mam swoje sposoby. – Leda w żadnym wypadku nie zamierzała powiedzieć jej o Watcie. Choć była w tym naprawdę niezwykła ironia losu, że najmroczniejszy sekret Avery wyjawiał chłopak, który był w niej beznadziejnie zakochany.

Leda przypomniała sobie, że przyszła dziś na imprezę, żeby się zemścić. Co w takim razie robiła na tym dachu, gawędząc sobie z Avery? Potrząsnęła głową, próbując się skoncentrować. Nie czuła się

najlepiej. Może wzięła za dużo pigułek?

– Leda – odezwała się z wahaniem Avery. – Ja go kocham od zawsze. Od kiedy byliśmy dziećmi. Ale aż do tej pory nigdy nie przypuszczałam, że moglibyśmy w ogóle... – urwała. – Nigdy nie chciałam cię zranić. Przepraszam za wszystko.

– Czy to dlatego byłeś dla mnie taka podła od początku roku? Bo lubię Atlasa?

– Przepraszam... – zaczęła Avery, ale Leda zagłuszyła ją drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Na urodzinach Eris zmusiłaś mnie, żebym cię przeprosiła! Kazałaś mi błagać o przebaczenie!

Sądziłam, że według ciebie nie jestem dla Atlasa dostatecznie dobra!

– Leda, oczywiście, że jesteś dla niego dosta...

– A ty przez cały ten czas chciałaś go mieć tylko dla siebie!

– Tak mi przykro. – Avery pobladła. – Naprawdę ciężko mi było widzieć was dwoje razem.

– A myślisz, że mnie nie było ciężko stracić jedyne go chłopaka, na którym mi zależało, a do tego jednocześnie najlepszą przyjaciółkę, i to w chwili gdy moja rodzina się rozpada? – Leda niemal krzyczała. Wściekłym ruchem otarła łzę, która pojawiła się w kąciku jej oka. „Durne pigułki – pomyślała – przez nie tracę panowanie nad emocjami”. Obiecywała sobie przecież, że nigdy nie dopuści do tego, by ktokolwiek widział ją, jak płacze.

Avery zauważyła ten gest i zrobiła krok do przodu, lecz Leda powstrzymała ją gwałtownym ruchem ręki.

– Leda, co się dzieje z twoją rodziną? – spytała Avery.

Leda nie odpowiedziała. Pieprzyć Avery i jej fałszywe współczucie. Nie chciała o tym rozmawiać. Mogła zająć się tylko jedną kryzysową sytuacją naraz, nawet jeśli była na haju.

– Może zejdziemy na dół – zaproponowała łagodnym głosem Avery. – Sprowadzę pomoc. Bez względu na to, co wzięłaś...

– Odczep się wreszcie ode mnie! – wrzasnęła Leda. Cała dygotała.

Avery zamilkła.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała ostrożnie.

– Nie wiem!

Czemu znów znajduje się na dachu? To była wina Avery – to ona ją tu zwabiła „przez wzgląd na ich przyjaźń”. „Jaką przyjaźń?”, powinna ją była zapytać. Musiała trzymać się swego planu, ale nie mogła sobie przypomnieć, na czym on polegał... Wiedziała tylko, że pragnęła, by Avery cierpiała tak mocno jak ona. I Atlas też, choć z jakiegoś powodu jej gniew skupiał się głównie na Avery. Ale to wydawało się oczywiste. Jej zdrada była o wiele poważniejsza.

– Nie wiem – powtórzyła, wpatrując się w byłą przyjaciółkę, gdy tymczasem chmura na niebie

przysłoniła księżyc.

RYLIN

Przekroczyła próg apartamentu na tysięcznym piętrze i znalazła się w zupełnie innym świecie.

Nawet praca w mieszkaniu Corda i wycieczka do Paryża nie przygotowały Rylin na tę skalę przepychu. Wszystko – od rozległego, dwupoziomowego korytarza przy wejściu aż po ogromny salon z oknami od podłogi do sufitu – zostało zaprojektowane w najdrobniejszych szczegółach, aby uwypuklić wysmakowany gust oraz bogactwo rodziny Fullerów.

A w tym absurdalnie wystawnym apartamencie tłoczyły się teraz setki głośnych, roztańczonych i rozochoconych alkoholem nastolatków. Rylin torowała sobie drogę, usiłując wypatrzeć między nimi Corda.

Wszyscy jej się przyglądali. Większość, gdy zauważyła jej fabrycznie uszytą sukienkę i tanie buty, zbywała ją lekceważącym spojrzeniem, ale niektórzy zerkali na nią z nieco większym zainteresowaniem. Rylin patrzyła prosto przed siebie przerażona, że ktoś mógłby ją zagadnąć. Musiała odnaleźć Corda. Nie podobały jej się ten napierający zewsząd tłum, ta łomocząca muzyka, to, jak źrenice wszystkich się rozszerzały, gdy sprawdzali coś na swoich szklach kontaktowych.

Uprzytomniła sobie jednak, że tak właśnie wyglądał świat Corda. Nie miała takiego poczucia, gdy z nim przebywała – odnosiła wrażenie, jakby we dwoje stworzyli własny świat – ale to byli jego przyjaciele. Cord chciał ją dziś tutaj przyprowadzić, zanim ona zdążyła wszystko zniszczyć.

Tablet Rylin zabrzączał. Dostała wiadomość od Lux: „Jestem w Stalowym Lesie. Hiral też, jest bardzo zdenerwowany. Gdzie się podziewasz? Wszystko w porządku?”.

„Wszystko okej. Wyjaśnię później”, odpisała szybko. Kilka osób wokół niej dostrzegło ze zdumieniem, że pisze palcami na tanim tablecie. A gdy zauważyli do tego, że nie ma na oczach szkieł, zaczęli posyłać w jej stronę jeszcze bardziej zdziwione spojrzenia.

Ignorując ich wszystkich, Rylin zrobiła okrążenie wokół mieszkania, zastanawiając się, co powie Cordowi, gdy go wreszcie znajdzie. Wzięła drinka z przelatującej obok tacy, w nadziei że alkohol uspokoi odrobinę jej nerwy. Nie powinna jednak tego robić, to miało się okazać poważnym błędem. Gdzie on jest, do cholery? Obeszła całe mieszkanie już drugi raz, ale nigdzie nie widziała śladu Corda. Może już wyszedł?

I wtedy go ujrziała.

Stał w kącie biblioteki, tuż przy salonie i rozmawiał z dziewczyną o miedzianozłoty włosach. Na ich widok Rylin wstrzymała oddech. Widząc bliskość ich ciał, jej dłoń na jego ramieniu, ich dotykające

się delikatnie biodra, od razu domyśliła się, że Cord kiedyś z nią spał.

Rylin stała przez chwilę, patrząc, jak dziewczyna śmieje się z czegoś, co on powiedział. „Jest olśniewająca”, pomyślała z zawiścią Rylin. Te miękkie krągłości, wielkie oczy, burza włosów. Cord śmiał się razem z nią, błędził zachwyconym wzrokiem po jej ciele, w końcu przesunął dłoń poniżej jej talii. Widok ich razem był dla Rylin niczym cios w brzuch.

Czując na sobie jej spojrzenie, Cord podniósł głowę.

– Rylin? – spytał idiotycznie, jakby nie wierzył własnym oczom. Bo też dlaczego miałyby im wierzyć? Jaki powód miałyby Rylin Myers, żeby znaleźć się na tysięcznym piętrze?

Tkwili tak przez chwilę, wpatrzeni w siebie nawzajem, niczym aktorzy w jakimś kiepskim filmie, którego obraz nagle zastygł.

– Och. – Stojąca obok Corda dziewczyna popatrzyła na Rylin, a jej dziwne bursztynowe oczy rozbłysły, jakby nagle doznała olśnienia. – To ona? Ta twoja służąca?

Te słowa – oraz świadomość, że Cord rozmawiał o niej z obcą osobą – sprawiły, że w Rylin coś pękło. Odwróciła się i rzuciła na oślep do ucieczki.

– Rylin, stój! – Zdawało jej się, że usłyszała wołanie Corda, ale nie była tego do końca pewna. Poza tym i tak było już za późno: Rylin biegła co sił do drzwi wyjściowych.

ERIS

– To ona? – spytała znów. – Twoja służąca?

Eris musiała przyznać, że ta dziewczyna z jasną owalną twarzą i lśniącymi migdałowymi oczami była dość ładna.

– Tak. – Cord spoglądał zasepiony za Rylin.

– Czemu tak nagle uciekła? – Eris takie zachowanie wydało się dziwne. Gdyby ona zobaczyła chłopaka, którego lubi, gawędzącego z jakąś inną dziewczyną, wtrąciłaby się do ich rozmowy i generalnie zrobiłaby scenę, aż ostatecznie osiągnęłyby to, czego chciała.

Cord zerknął na nią z ukosa.

– Działasz dość odstraszająco na inne dziewczyny. Chyba o tym wiesz, co?

– Ja? – roześmiała się Eris. Różnie już o niej mówiono, na przykład że jest seksowna, samolubna, niestała, ale jeszcze nikt nie powiedział, że działa odstraszająco na inne dziewczyny.

Zamierzała już odciąć się jakimś żartobliwym komentarzem, ale gdy przyjrzała się twarzy Corda, zrozumiała, że jego nastrój uległ radykalnej zmianie. Po swobodnej, pełnej przekomarzań atmosferze nie było już ani śladu. Cord mocno się nad czymś zastanawiał, na jego twarzy malował się wyraz

niezdecydowania.

– O mój Boże – mruknęła Eris. – Ty ją kochasz.

Cord nie skomentował tego i to samo w sobie stanowiło najlepszą odpowiedź.

– Kochasz ją, chociaż cię wykorzystała – ciągnęła zdumiona. – Po tych nadętych deklaracjach o tym, że nie wierzysz w miłość, okazuje się, że jesteś takim samym frajerem jak wszyscy inni.

– Miłość to nie to samo co zaufanie – odparł Cord. Ale w tym momencie szkła Eris rozjaśniły się za sprawą przychodzącej wiadomości.

„Napisałaś to szczerze, czy po prostu jesteś pijana?”

Eris odsunęła się na bok, dając Cordowi znak ręką, że musi do kogoś zadzwonić. Mariel odebrała po czwartym sygnale.

– Wszystko, co napisałam, było szczerze. A poza tym dziś nie piję! I przepraszam cię – wyrzuciła z siebie Eris na jednym oddechu. – Tak bardzo, bardzo cię przepraszam. Nie powinnam była mówić tego wszystkiego.

Mariel milczała. Eris czuła, że należałoby jeszcze coś dodać.

– Zachowałam się podle i bezdusznie. Po prostu mnie poniosło. Ale gdy tak ostro zareagowałaś na to, że zamierzam przyjąć te pieniądze, instynktownie zaczęłam się bronić.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Eris – odezwała się po chwili Mariel. Sprawiała wrażenie zmęczonej. – Ja też przepraszam. Wiem, że cię sprowokowałam. Tylko że... martwię się o ciebie.

– Ja też się o ciebie martwię – odparła łagodnie Eris.

– Na serio nie pijesz? – spytała z niedowierzaniem Mariel.

– Na serio. Po naszej kłótni nie byłam po prostu w nastroju – westchnęła. – Przez cały wieczór zastanawiałam się, jak to naprawić. Nie chcę cię stracić – dodała nieco ciszej.

Mariel odetchnęła głęboko.

– Może wpadniesz do mnie i pogadamy o tym?

– Jasne! – wykrzyknęła Eris. – Już jadę!

Nagle z jej piersi rozeszła się po ciele fala ciepła i Eris wybuchła śmiechem: radosnym, pełnym szczęścia, spontanicznym śmiechem. Mariel jej wybaczyła. A skoro tak, to wszystko inne też się na pewno ułoży.

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się na widok pełnego bólu spojrzenia Corda. Dlaczego jego historia również nie miałaby się zakończyć szczęśliwie? Jeśli ona zdoła się jakoś dogadać z Mariel, to czemu Cord nie miałby się pogodzić z tą swoją służącą?

– Jeśli ją kochasz, idź, porozmawiaj z nią – powiedziała, ale Cord, głupi i uparty jak większość facetów, pokręcił tylko głową. Eris czuła się rozdarta. Nie mogła go tak zostawić, zwłaszcza kiedy sama

odzyskała to, czego utraty obawiała się najbardziej. Teraz rozpierała ją szalona, dzika radość.

„Mogę to dla niego naprawić!”, ta myśl rozbrzmiała tak klarownie i donośnie w głowie Eris niczym dzwony w kościele Mariel.

„Muszę zrobić jedną drobną rzecz dla mojego przyjaciela. To ważne. Przepraszam! Będę za pół godziny”, napisała do Mariel, po czym spojrzała na Corda.

– Odzyskam ją dla ciebie – oznajmiła.

– Słucham? – Cord wyglądał na zdezorientowanego. – Co ty chcesz...

– Przeprowadzę ją tu z powrotem, a potem pędzę do Mariel! – zawołała Eris przez ramię. Rzuciła się biegiem za dziewczyną z dołu Wieży, śmiejąc się w duchu z tego, jak dziwny jest ten wszechświat.

RYLIN

Biegła na oślep przez rozbawiony tłum, nie przejmując się już dłużej tym, czy ktoś się z niej śmieje. Pragnęła tylko się stąd wydostać, tyle że pobłądziła w tym nedorzecznie ogromnym mieszkaniu i ostatecznie wylądowała w kuchni. Tuż za rogiem stali kolejni ludzie, słyszała ich głosy. Zatoczyła więc kółko, szukając drogi do wyjścia, i nagle w korytarzu mignęła jej burza miedzianozłotych włosów. „Cholera jasna – pomyślała przerażona – czy ta dziewczyna mnie śledzi?”

Chwyciła za klamkę drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do spiżarni, i ukryła się w środku.

Na widok tego, co ujrzała, zrobiła wielkie oczy i z wrażenia zapomniała zamknąć za sobą drzwi. Pośrodku niewielkiej spiżarni znajdowała się drabina, która prowadziła do ciemnogrnatowego kwadratu będącego najprawdopodobniej fragmentem nocnego nieba usianego gwiazdami.

Ta drabina prowadziła na sam dach.

Z góry dobiegły ją czyjeś głosy – dziewczęce głosy – ale były zbyt odległe, a wiatr huczał za głośno, żeby Rylin mogła rozróżnić poszczególne słowa. Zawahała się, ale w jednej chwili ciekawość wzięła górę. Czemu nie wspiąć się po tej drabinie i nie zobaczyć, co znajduje się na jej szczycie? W mieszkaniu poniżej pozostawiała Corda, tę rudą dziewczynę i przykry ból rozczarowania. A jeszcze niżej w dole Wieży – Chrisse, Hiralą, Lux i wszystkich pozostałych, których skrzywdziła w życiu. Cała ta cholerna Wieża pełna była popełnionych przez nią błędów. Ale kto wie, co czekało na nią tam na dachu?

Chwyciła brzegi drabiny, zacisnęła na nich mocno palce z pomalowanymi na czarno paznokciami i zaczęła się wspinać.

Kilka sekund później wychyliła głowę przez właz. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Była właśnie na dachu Wieży. Wszyscy jej znajomi przebywający akurat w Stalowym Lesie znajdowali się dokładnie cztery kilometry poniżej. Ta świadomość przyprawiła Rylin o zawrót głowy.

Weszła na centralną platformę zdolną pomieścić zapewne około trzydziestu stłoczonych osób. Po jednej stronie biegła barierka. Z drugiej strony dach opadał stromo w dół i niknął w ciemnościach. Nad głową Rylin widziała iglicę wystrzelającą wysoko w niebo. Zadrżała z zimna i roztarła swe nagie ramiona. Nie wzięła pod uwagę tego, jak tu może wiać.

Dziewczyny stojące po przeciwnej stronie platformy kłóciły się ze sobą. Rylin słyszała to w ich głosach. Były dwie: ciemnowłosa dziewczyna, która wściekle gestykulowała, unosząc do góry chude nadgarstki, oraz blondynka, która była chyba najpiękniejszą osobą, jaką Rylin widziała w życiu. Żadna z nich jej nie widziała.

– Nie wiem! – burknęła mniejsza z dziewczyn i odsunęła się o krok od blondynki. Jej głos przepełniał tak ogromny ładunek pretensji, a zarazem groźby, że Rylin nieco się przestraszyła. Za nic nie chciałaby mieć tej dziewczyny za wroga.

Lepiej chyba wrócić na dół. Nie powinna być świadkiem tej sceny. Ale zanim zdążyła to zrobić, usłyszała na szczeblach drabiny czyjeś kroki.

LEDA

Wydawało jej się, że usłyszała jakiś hałas i momentalnie spojrzała na włącz. Ze zdumieniem stwierdziła, że stoi tam nieznana dziewczyna.

– Coś ty za jedna? – warknęła do niej.

– Rylin Myers – wydukała tamta i Leda pomyślała, że skądś zna to nazwisko. – Przepraszam, nie chciałam...

– Lepiej stąd idź – rozkazała jej Avery.

Na drabinie rozległ się stukot kolejnych kroków i chwilę później z włączu wyłoniła się miedzianozłota głowa Eris. Świetnie. Jeszcze tylko jej tu brakowało.

– Tutaj jesteś! – zawołała Eris, wychodząc na dach. Patrzyła na tę całą Rylin. – Słuchaj, chciałam tylko z tobą porozmawiać. Cord szuka...

– O co ci, do cholery jasnej, chodzi? – syknęła ze złością Leda. Jej rozszarzony do białości gniew w jednej chwili przeniósł się z Avery na Eris.

– Uspokój się, Leda. – Eris uniosła brew. – Jestem pewna, że ona nie chciała wam przeszkadzać.

– Nie mówię do niej, tylko do ciebie! – Blask księżyca lśnił na kremowym kaszmirowym szalu, który Eris dostała od taty Ledy, i w tym momencie Leda straciła resztki panowania nad sobą. – Jak w ogóle masz czelność patrzeć mi w oczy?

– Eris! – krzyknęła Avery. – Zejdź na dół, dobra?

Eris zerknęła na dziewczynę, za którą wspięła się na dach, a potem na Ledę. Z jakiegoś powodu nie ruszała się z miejsca.

– Domyślam się, że już wiesz – oznajmiła spokojnie, patrząc na Ledę. – Tata ci jednak powiedział?

– Nie chcę z tobą rozmawiać! – Leda cofnęła się gwałtownie, zbliżając się do krawędzi dachu.

Avery stanęła obok Eris i obie wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

– Leda – odezwała się Avery z wyraźnym strachem w głosie – proszę, podejdź tutaj i porozmawiajmy o tym.

Ale Leda stała tylko ze wzrokiem utkwionym w szalu Eris. Jak ona mogła tak publicznie się obnosić z prezentem od żonatego mężczyzny? Nie było jej wstyd?

– Co jest z tobą nie tak?! – wrzasnęła. – Dlaczego nie możesz zostawić mojej rodziny w spokoju?

W przypiływie rozpaczyny Leda zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu. Czowała się osaczona przez te dwie dziewczyny, rzekomo jej przyjaciółki. Tyle że jedna z nich miała romans z jej ojcem, a druga ukradła jej jedyne dziecko, którego kochała. „Może sama jestem sobie winna – pomyślała – że mam takie gówniane przyjaciółki”. Sięgnęła do bocznej kieszeni sukienki w poszukiwaniu kolejnej pigułki xenperedrenu. Musi tylko odzyskać jasność umysłu, a potem zastanowi się, jak to wszystko rozwiązać. Ale kieszeń okazała się pusta.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana! – Eris też mówiła teraz podniesionym głosem. – Przepraszam, w porządku? Wiem, że to dziwne! Ale nikomu o tym nie powiem. I już nigdy więcej nie zobaczę się – zająknęła się – z twoim ojcem. Obiecuję.

– Zabieraj swój dumny szal i zejdź mi z oczu! – Leda chciała płakać lub wrzeszczeć, lub rozerwać Eris na pół, byle tylko nie musieć słuchać dłużej jej gadania. Miała już dość problemów jak na jedną noc.

Eris tymczasem podeszła do niej i stanęła tak blisko, że Leda mogła zerwać jej szal z szyi. Pod wpływem stymulantów serce waliło jej mocno jak młotem. Obydwie stały niebezpiecznie blisko krawędzi dachu. Avery krzyczała na nie, żeby się odsunęły.

– Dla mnie to też było dziwne i zaskakujące – wymamrotała Eris, patrząc Ledzie prosto w oczy. – Proszę cię. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. Tego było już za wiele.

– Mówiłam, żebyś mnie nie dotykała! – wrzasnęła Leda, odpychając Eris. Miała niejasne wrażenie, że słyszy kolejne kroki na szczeblach drabiny.

Eris jak w zwolnionym tempie zatoczyła się do tyłu, a jej niebotycznie wysokie szpilki zgięły się pod nią.

Przez ułamek sekundy wydawało się, że odzyska równowagę, i Leda wyciągnęła rękę, żeby ją przytrzymać, ale było już za późno. Eris poleciała w dół. Jej piękne, wielkie oczy rozszerzyły się z przerażenia. Leda przyglądała się, jak Eris spada, jak fałdy jej szkarłatnej sukienki trzepoczą wokół niej, a szal powiewa na wietrze niczym biała flaga. „Wygląda niesamowicie pięknie”, pomyślała z dziwną

obojętnością Leda, kiedy coraz mniejsza postać opadała w mrok znajdującego się poniżej miasta.

Stała tak wpatrzona w ciemność jeszcze długo po tym, jak Eris zupełnie zniknęła jej z oczu.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, gdy w końcu do Ledy dotarła groza tego, co się wydarzyło. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

W oddali słońce wyłaniało się zza horyzontu, zagarniając swoimi czerwonymi, wszędobylskimi promieniami coraz większe połacie nocnego mroku.

Gdy Leda spojrzała w niebo, zobaczyła jedynie przyprawiającą o mdłości czerwoną plamę świeżo rozbryzganej krwi.

WATT

Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczył.

Dotarł na imprezę i zaczął przedzierać się przez tłum gości, wypytując, czy ktoś widział Avery albo Ledę. W końcu dwie wystraszone pierwszoklasistki wskazały mu na kuchnię. Zobaczył otwarte drzwi do spiżarni oraz drabinę sięgającą wprost w ciemne niebo i skreśliło go w żołądku z niepokoju.

– Idź tam. Szybko – poleciała mu nagłym głosem Nadia.

Ze szczytu drabiny ujrzał krzyczące na siebie Eris i Ledę. Eris wyciągnęła rękę do Ledy, a ta wzdrygnęła się i ją odepchnęła. I wtedy Eris upadła, po prostu ześlizgnęła się z Wieży w rozciągającą się poniżej otchłań. Watt wyobraził sobie, jak dziewczyna leci w dół z wyciągniętymi bezradnie do góry ramionami. Jeśli miała szczęście, umarła z przerażenia, zanim jeszcze zderzyła się z ziemią.

Na myśl o tym, jak musiało teraz wyglądać jej ciało – albo też to, co z niego zostało – ogarnęła go fala mdłości.

Leda wciąż stała przy krawędzi dachu i pustym wzrokiem spoglądała w dół, z jej ust wydobywał się przenikliwy, niekończący się krzyk. Na dachu znajdowały się też dwie inne osoby: Avery oraz nieznana Wattowi dziewczyna z jasnozielonymi oczami i ciemnymi włosami. Obie wpatrywały się w kompletnym szoku w miejsce, z którego przed chwilą spadła Eris.

Watt nie mógł dłużej tego wytrzymać. Rzucił się do przodu i mocnym szarpnięciem odciągnął Ledę od krawędzi dachu, tak że jej głowa odskoczyła gwałtownie do tyłu i ten nieludzki krzyk w końcu ucichł.

Stali przez chwilę – Watt, Avery i ta obca dziewczyna – i wpatrywali się w siebie nawzajem. Wszyscy widzieli, co się wydarzyło. Avery była blada jak ściana i trzęsły jej się ramiona. Watt zdał sobie sprawę, że Avery niemo szlocha, łzy na jej policzkach połyskiwały srebrem w blasku księżyca. No tak, ona z nikim nie przyjaźniła się tak długo jak z Eris. Watt miał ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić, ale

nie ruszył się z miejsca.

Leda drżała zgarbiona. Jej oczy poruszały się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami, twarz miała wykrzywioną w grymasie bólu. Boże, czyżby wciąż była naćpana po wczorajszym? Watt nie mógł uwierzyć, że zaledwie wczoraj pił sobie z Derrickiem whisky w salonie. Od tego momentu wszystko przypominało mu rozmazaną plamę: wizyta Ledy, bolesna pobudka i jazda na górę, podczas której wręcz odchodził od zmysłów z niepokoju o Avery.

Jak się okazało, przybył za późno. Ale za późno, żeby uratować Eris.

Nieznajoma dziewczyna przerwała milczenie.

– Musimy wezwać policję – oznajmiła odrobinę tylko drżącym głosem. Watt polecił Nadii sprawdzić, kto to jest, a ta porównała rysy dziewczyny z zasobami głównego systemu Wieży do identyfikacji twarzy. „Rylin Myers, 32 piętro”. Skąd ona się tu wzięła?

Avery zamrugła oszołomiona.

– Ja się tym zajmę – powiedziała, choć nie przestawała płakać. Watt nie potrafił znieść tego widoku. Nie mógł teraz zrobić dla niej zbyt wiele, ale mógł przynajmniej pozwolić jej się porządnie wypłakać.

– Zostaw to mnie – oświadczył. Avery z wdzięcznością skinęła głową.

Słowa te podziały na Ledę niczym zakłęcie, wrywając ją z koszmaru, w jakim zdawała się uwięziona. Wyprostowała się, uniosła głowę, oczy płonęły jej gniewem.

– O nie, nie zrobisz tego – powiedziała z przerażającym spokojem. – Nie chcesz tego robić.

– Leda, Eris nie żyje – odparła Avery. – Musimy wezwać pomoc!

– Skoro nie żyje, to żadna pomoc już nie jest jej potrzebna – stwierdziła beznamiętnie Leda.

– To przez ciebie zginęła! – krzyknęła Avery.

– Czyżby? – Leda wzięła głęboki oddech. Im większa panika ogarniała pozostałą trójkę, tym większy spokój ona zdawała się odzyskiwać. – O ile sobie przypominam, to ty nas tu wszystkich sprowadziłaś.

– Ale to ty ją zepchnęłaś!

– Naprawdę? – W porównaniu z krzykiem Avery głos Ledy był cichy i łagodny. – Nie wydaje mi się. Moim zdaniem Eris za dużo wypła podczas imprezy u ciebie. – Utkwiła nieruchomy wzrok w Avery, jakby była starożytną gorgoną i chciała zamienić ją w kamień. – A potem się poślizgnęła.

– Widziałam, jak ją popchnęłaś – wtrąciła się Rylin. – Powiem policji o tym, co zrobiłaś.

Leda rozglądała się wokół, rzucając wszystkim po kolei niespokojne spojrzenia niczym osaczone zwierzę szukające drogi ucieczki. Wyraźnie rozważała rozmaite możliwości.

– Rylin, zgadza się? – zwróciła się do dziewczyny z dołu Wieży. – Jesteś ostatnią osobą, która powinna iść na policję, i sama dobrze wiesz dlaczego.

Rylin zawahała się, a Leda wyprostowała plecy, jakby dopiero nabierała rozpędu.

– Nikt z was nie pójdzie na policję, dopóki nie ustalimy wspólnej wersji wydarzeń. Eris była pijana, poślizgnęła się i spadła z dachu. Jeśli ktokolwiek zezna inaczej, nie mogę zagwarantować, że wasze tajemnice będą u mnie bezpieczne. – Zaśmiała się jak szalona, a w jej oczach pojawił się zimny błysk.

Watt wzdrygnął się, gdy dotarło do niego, co Leda miała na myśli. Groziła, że powie policji o jego hakerskiej działalności. „Pieprzyć to – pomyślał. – Oboje z Nadią byliśmy ostrożni i nie zostawiliśmy po sobie żadnych śladów”.

– Myślisz, że możesz mnie szantażować tym, w jaki sposób dorabiam sobie na boku? – warknął na Ledę, nie przejmując się tym, że Avery i ta druga dziewczyna słuchały. – Nigdy nie będziesz w stanie mi tego udowodnić. Nic na mnie nie masz.

– Och, Watt – ściszyła konspiracyjnie głos. – Jak mówiłam, mam na ciebie coś o wiele poważniejszego. Lepiej nie przeginaj.

Watt wpatrywał się w nią zdezorientowany.

– Przepraszam za pigułkę – dodała Leda niemal wesołym tonem. – Ale nie miałam innego wyjścia. Gdybyś był nieco bardziej rozrywkowy, nie musiałabym się do tego posuwać.

Avery zerkała to na Watta, to na Ledę, usiłując coś z tego zrozumieć. Chłopak był cały blady.

– Wzywam policję i wszystko im powiem! – wykrzyknął.

– Jak sobie życzysz – odparła Leda z ponurym uśmiechem. – Z przyjemnością im zdradzę, kim naprawdę jest Nadia.

Na dachu zapadła cisza. Leda patrzyła na Watta. „Czyżby wiedziała? – pomyślał z przerażeniem. – Ale jakim cudem?”

– O tak – powiedziała Leda, jakby podążając za jego myślami. – Nie mogę się doczekać, kiedy poznam Nadię. W każdym kwancie – dodała cicho, tak żeby tylko on to usłyszał.

Wattowi zrobiło się niedobrze. Nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

– A jeśli chodzi o ciebie – Leda zwróciła się do Rylin – powiem policji, co zrobiłaś Cordowi. Dostaniesz za to co najmniej dziesięć lat. Może nawet dożywocie.

Rylin pobladła. Watt zastanawiał się, co też Leda może na nią mieć. „Nadia, spróbuj się tego dowiedzieć”, polecił. Może jednak będzie w stanie coś zrobić. Może chociaż jedno z nich zdoła uwolnić się od gróźb Ledy.

– Nie zamierzam cię kryć, Leda, zwłaszcza po tym, jak... – zaczęła Avery, ale Leda natychmiast jej przerwała.

– Ty się nawet nie odzywaj, Avery. Twój mały, wstrętny sekret jest najobrzydliwszy ze wszystkich.

Avery zamilkła. Wattowi zrobiło się jej żal. Doskonale wiedział, co Leda miała na Avery, ponieważ sam jej to podał niczym na srebrnej tacy.

– To jak? – ciągnęła Leda, a w jej głosie po raz pierwszy pojawiły się nerwowość i niepokój. –

Wszyscy się zgadzamy? Eris była pijana, poślizgnęła się i spadła. Okej?

Leda przyglądała się wszystkim po kolei. Rylin skinęła powoli głową, następnie niczym bezwolna marionetka dołączyła do niej Avery. Watt wpatrywał się przez chwilę w Ledę, starając się gorączkowo wymyślić jakieś wyjście z tej sytuacji.

Ale nie dostrzegał żadnego rozsądnego rozwiązania. Będzie musiał skłamać w sprawie śmierci niewinnej dziewczyny.

W końcu, jak spodziewała się Leda, Watt również przytaknął zrezygnowany.

AVERY

Kościół świętego Marcina na 947 piętrze jeszcze chyba nigdy nie był tak zatłoczony jak rankiem podczas pogrzebu Eris.

Pogrzeb Eris. Trudno było w to uwierzyć nawet Avery, która przecież na własne oczy widziała śmierć przyjaciółki.

Wnętrze kościoła było słabo oświetlone i całe spowite w czerni, wypełniali je ponuro ubrani żałobnicy. Jedyne jasne miejsce stanowił krąg białych kwiatów wokół stojącej z przodu błyszczącej drewnianej trumny oraz ustawiony obok niej ekran, który wyświetlał przedstawiające Eris zdjęcia. W większości były to sztuczne, upozowane portrety, które musiała jej zrobić mama, a nie spontaniczne selfie, jakie Eris wrzucała zazwyczaj na swoje feedy.

„Eris nie byłaby tym zachwycona”, pomyślała Avery z cichym łkaniem, które przypominało niemal zdławiony śmiech. Te zdjęcia były nadęte i zdecydowanie zbyt tradycyjne. Zupełnie nie przypominały Eris, która zawsze była radosna i spragniona życia.

Avery miała tak wiele wspomnień związanych z Eris. Na przykład jak urządzały sobie przebieranki, gdy były małe, albo kłóciły się o suknię księżniczki – sukienka zmieniała kolor po machnięciu czarodziejską różdżką. Albo jak w siódmej klasie zrobiły sobie taką samą okropną fryzurę – obie obcięły się na pazia. Albo pierwszy raz, gdy piły piwo, i potem Eris przemyciła Avery do swojego pokoju, a jej przez całą noc było niedobrze. Albo jak chichotały na lekcjach łaciny, ponieważ wszystkie łacińskie słowa wydawały im się sprośne. Albo jak wyskoczyły na weekend do Londynu, bo Eris uznała, że jest już „znudzona Nowym Jorkiem”.

Jednak ostatnio Eris przeżywała ciężkie chwile i Avery zaczęła żałować, że nie okazała jej większego wsparcia. Eris naprawdę jej potrzebowała, ale ona była tak pochłonięta całym tym nieszczęsnym dramatem z Atlasem, Ledą i Watem, że nie stać jej było na nic więcej niż urządzenie dla przyjaciółki przyjęcia urodzinowego. A nawet i ono zakończyło się katastrofą.

Przynajmniej przez ostatnie kilka tygodni Eris zaznała trochę szczęścia z tą dziewczyną z niższych pięter, z którą się spotykała. Ciekawe, czy przyjaciółka Eris w ogóle przyszła na pogrzeb. Avery bardzo chciałaby ją poznać. A nie знаła nawet jej imienia.

Rozejrzała się po wnętrzu kościoła. Miała wrażenie, jakby zjawili się tu wszyscy, którzy znali Eris: znajomi z klasy i nauczyciele, rodzice jej przyjaciół i przyjaciele jej rodziców. Z tyłu dostrzegła również Watta, który miał równie posępne spojrzenie jak ona. Od tamtej nocy jeszcze ze sobą nie rozmawiali. W rzędzie za Avery siedziały pozostałe przyjaciółki Eris: Jess, Risha, a nawet Ming. I oczywiście Leda, której świdrujący wzrok Avery przez cały czas czuła na swoich plecach. Najbliższa rodzina Eris zajęła pierwszą ławkę. Siedziała w niej mama Eris ubrana w uszytą z krepy czarną suknię, która nie do końca pasowała na pogrzeb, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć o tym Caroline, oraz ciotka Layne, która przyleciała z Kalifornii, a także – ku zaskoczeniu Avery – Everett Radson i jego wiekowa już matka. Babcia Radson wpatrywała się przed siebie nieobecny wzrokiem. Zdobilo ją więcej diamentów, niż Avery widziała kiedykolwiek na jednej osobie, jak gdyby ich blaskiem chciała przesłonić podeszły wiek. Obok niej pan Radson ocierał łzy chusteczką z monogramem.

Na jego widok Avery ogarniał gniew. Wydawało jej się nie w porządku, że porzucił córkę za jej życia, a teraz po jej śmierci zgrywał pogrążonego w rozpacz ojca. Ale nie potrafiła być zła na człowieka, który wydawał się kompletnie przytłoczony smutkiem.

Avery i jej rodzina siedzieli w drugim rzędzie, tuż za Dodd-Radsonami, co stanowiło zaskakujące wyróżnienie, biorąc pod uwagę, że Eris zginęła na imprezie zorganizowanej w mieszkaniu Fullerów. Rodzice Eris nie winili Avery za to, co się stało, ona jednak nie mogła powiedzieć tego samego o swoich rodzicach, którzy ledwo byli w stanie na nią patrzeć. Twarze wciąż mieli pobladłe w wyniku przeżytego szoku. Tuż obok Avery siedział Atlas, który w ciemnym garniturze wyglądał jak zwykle bardzo przystojnie. Próbował uchwycić wzrok Avery, lecz ona bez przerwy wpatrywała się w ekran, na którym wyświetlały się nienaturalnie upozowane portrety jej martwej przyjaciółki.

„Nic bowiem nie przynieśliśmy na ten świat, nic też nie możemy z niego wynieść...”

Nic, nic, nic – to słowo odbijało się głuchym echem w głowie Avery. Dokładnie tyle zrobiła dla Eris: nic. Nikomu nie powiedziała prawdy o śmierci swej przyjaciółki. Nawet Atlasowi.

Zresztą prawda nic by nie zmieniła, jak próbowała sobie tłumaczyć Avery. Nie przywróciłaby Eris życia. Ale Avery wiedziała, że to tchórzliwe oraz wyrachowane podejście, i gardziła sama sobą, że w ogóle tak myślała.

Po upadku Eris z dachu Wieży – to było zaledwie trzy dni temu, choć wydawało się, że minęła cała wieczność – Avery natychmiast przerwała imprezę i wezwała policję. Policjanci błyskawicznie zjawili się na miejscu. Zaprowadziła ich na dach i drżącym głosem wyjaśniła, że odkryła prowadzący na górę wąż i weszła tu z kilkorgiem przyjaciół, żeby pokazać im widoki. Cała czwórka – Avery, Leda, Rylin i Watt

– została przesłuchana przez policję. Wszyscy trzymali się ustalonej wersji wydarzeń: Eris była pijana i się poślizgnęła.

Avery była nieco zaskoczona, jak łatwo uwierzono w ich kłamstwo. Nikt nie szukał żadnych dowodów ani nie wniósł oskarżeń. Wiedziała, że powinna przynajmniej ponieść odpowiedzialność za otwarcie wjazdu na dach, ale jedyną konsekwencją było wezwanie ekipy technicznej, która zabezpieczyła wejście tak, by nie dało się już go otworzyć. No i musiała dodatkowo znosić te wszystkie wścibskie spojrzenia, które teraz wydawały się jeszcze gorsze niż poprzednio. „To szokujące, że Avery Fuller wykazała się taką nieostrożnością – szeptano naokoło. – Jak mogła pozwolić wejść na dach wstawionej przyjaciółce? Co za tragiczny wypadek”.

Ogromne kościelne organy zaczęły grać i wszyscy wstali, aby odśpiewać hymn żałobny. Avery sięgnęła po staroświecki śpiewnik – nie wyświetlano tu słów pieśni bezpośrednio na szklach wiernych tak jak w jej kościele – i starała się ochryłym głosem nadążyć za resztą żałobników. Śpiewnik trzymała prawą ręką, a lewa zwisała swobodnie tuż obok Atlasa, który małym palcem musnął delikatnie jej dłoń w geście niemego wsparcia.

Avery jednak go zignorowała. Czuła, że Leda przygląda jej się z tyłu, czekając tylko na jakiś błąd.

Avery nie wiedziała, co ma zrobić z Atlasem. Kochała go tak mocno, aż przepęłniał ją ból, miłość do niego przenikała każdą cząstkę jej istnienia. Ale teraz wszystko się skomplikowało, u narodzin ich miłości tkwiły śmierć i cierpienie.

Nie mogli uciec, tym bardziej że Leda znała prawdę o nich. Wcześniej nic nie stałoby im na przeszkodzie – ich rodzice wymyśliliby jakąś kolejną historyjkę i wciskaliby ją znajomym, tak jak w zeszłym roku, gdy zniknął Atlas. Ale w obecnej sytuacji Leda natychmiast wyjawiałaby wszystkim ich tajemnicę. Avery nie chciała narażać na to rodziców. Musieli zostać z Atlasem w Nowym Jorku, przynajmniej dopóki nie wykombinują, jak uporać się z Ledą.

„Sekret za sekret”, pomyślała zjadliwie Avery. Zgadza się, ona też wiedziała o Ledzie coś, czym mogła odpowiedzieć na jej groźby. Ale jak długo mogło trwać to wzajemne trzymanie się w szachu?

Wszystko teraz wydawało się inne. Jak gdyby to, co wydarzyło się przed śmiercią Eris, rozegrało się w innym świecie i w innym życiu. Tamtej, dawnej Avery już nie było. Tamta rozpadła się i z jej gruzów wyłoniła się nowa, znacznie twardsza i mocniejsza.

Gdy tak stała, nie mogąc nawet oplakiwać przyjaciółki, przeszło jej przez myśl, że dopóki w pobliżu będzie przebywać Leda, dopóty ona nie będzie mogła czuć się bezpieczna.

MARIEL

Stała z tyłu kościoła, ukryta częściowo w cieniu i sama wyglądała niemal jak cień. Była ubrana w tę samą sukienkę, która tak bardzo nie spodobała się Eris – nie miała innych czarnych ubrań – ale narzuciła na nią sweter, a do tego włożyła czarne buty na płaskim obcasie i kolczyki ze sztucznych pereł. Nie wyglądało to wcale najgorzej. Zrezygnowała nawet z czerwonej szminki, której zwykle używała, nałożyła tylko nieco pudru wokół zaczerwienionych i obolałych od płaczu oczu. Chciała wyglądać ładnie podczas ostatniego pożegnania z Eris. Pożegnania z jedyną dziewczyną, którą naprawdę kochała, choć nigdy jej tego wprost nie powiedziała.

Tak mocno ścisnęła w kieszeni różaniec, aż zbielała jej ręka. Rozejrzała się wokół.

Kościół był pełen ludzi w czarnych strojach, którzy przyciskali do boku eleganckie torebki z lakierowanej skóry i wycierali nosy w chusteczki z wyhaftowanymi monogramami. Czy oni wszyscy faktycznie byli przyjaciółmi Eris? Nie mogli znać jej tak blisko jak ona. A już z pewnością tak bardzo po niej nie rozpaczali, nie z takim potwornym bólem, który w niej wzbierał od środka i groził tym, że rozerwie ją na pół. Przez ostatnie trzy dni Mariel budziła się co rano z myślą, że musi o czymś powiedzieć Eris, a potem przypominała sobie, że to niemożliwe. A wtedy ból uderzał w nią z nową siłą.

Towarzyszyło mu okropne, gryzące poczucie winy w związku z tymi okrutnymi rzeczami, które powiedziała Eris w noc jej śmierci. W rzeczywistości Mariel wcale tak nie myślała. Była wtedy po prostu zdenerwowana i przerażona, że Eris wyprowadzi się z powrotem na górę Wieży, a ona utraci ją na zawsze. Gdy Eris poszła na tę imprezę sama, Mariel wręcz szalała z niepokoju.

Wiedziała, że kocha Eris bardziej, niż ona kocha ją. A może Eris w ogóle jej nie kochała. Ta myśl napełniała ją potwornym lękiem.

Mariel kochała Eris prawie od samego początku. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale od pierwszego momentu coś ją do niej nieubłaganie ciągnęło. Eris była radosna i beztroska, a także promienna i zniewalająca, obdarzona energią, która sprawiała, że Mariel nagle odżywała. Z początku próbowała się temu opierać, ale czuła, że tak naprawdę nie ma szans. Po prostu nie mogła nie pokochać Eris.

Kiedy Eris zadzwoniła do niej z imprezy, Mariel ogarnęła wielka ulga. Miały się pogodzić. Eris obiecała, że zaraz u niej będzie. Mariel czekała na nią całą noc i część poranka, ale Eris się nie pojawiła.

Ostatecznie Wieża i tak odebrała ją Mariel już na zawsze.

Wzrok Mariel spoczął na stojącej z przodu kościoła trumnie. Nie mogła uwierzyć, że w środku naprawdę znajduje się Eris. Ta trumna była po prostu za mała, żeby ją pomieścić wraz z jej głębokim, mocnym śmiechem, gwałtownymi gestami i rozbuchanymi emocjami. Cały ten kościół, a nawet cała ta Wieża nie byłyby w stanie jej pomieścić. Osobowość Eris wyrastała ponad to wszystko.

Podczas gdy ksiądz kontynuował modlitwę, Mariel zaczęła rozmyślać nad okolicznościami śmierci Eris. Podobno wspięła się ze swoimi głupimi przyjaciółmi na dach Wieży, który powinien być całkowicie zamknięty. Podobno za dużo wypila, poślizgnęła się i spadła – co za okropny, nieszczęśliwy

wypadek.

Ale Mariel wiedziała, że to nie jest prawda. Eris sama powiedziała jej tamtej nocy, że nie wypła ani kropelki. A potem wysłała jej dziwną wiadomość, że najpierw musi coś zrobić dla przyjaciela. Co takiego Eris musiała zrobić? I co za przyjaciel wysłałby ją na dach Wieży? Coś tu się nie zgadzało i to nie dawało Mariel spokoju.

Tym Hajlajerom wydawało się, że problemy zwykłych ludzi ich nie dotyczą, że żyjąc kilka kilometrów nad ziemią, są bezpieczni, chronieni przez swoje pieniądze i koneksje. Ale mylili się. Mariel zamierzała poznać prawdę o śmierci Eris. Jeśli ktoś miał coś na sumieniu, jeśli ktoś miał coś do ukrycia, przyjdzie mu za to słono zapłacić.

Do końca nabożeństwa Mariel trzymała się z tyłu kościoła, gdzie nikt nie zwracał na nią uwagi. Ale każdy, kto by na nią spojrział, zauważyłby w świetle świec, że po jej policzkach spływają łzy.

PODZIĘKOWANIA

Napisanie książki zawsze było moim marzeniem, a jednak niekiedy wydawało mi się to zadaniem ponad moje siły. Dlatego jestem wdzięczna, że podczas pracy mogłam liczyć na niewiarygodne wsparcie i pomoc wielu osób.

Przede wszystkim ogromne podziękowania należą się całemu zespołowi Alloy Entertainment. Niestrudzona i nieustraszona redaktorka Joelle Hobeika niech zechce przyjąć wyrazy wdzięczności za to, że była moją „wspólniczką w zbrodni” od samego początku. Ta książka zawdzięcza jej zachętom i sugestiom o wiele więcej, niż mogłam sobie wymarzyć. Joshowi Bankowi, który pierwszy wysłuchał mojego pomysłu na napisanie *Tysiąca pięter*, dziękuję za to, że zapalił się do tego projektu równie mocno jak ja, oraz za długie godziny spędzone ze mną na podkreśnianiu tempa opowieści. Sarze Shandler pragnę podziękować za energię, słowa otuchy oraz redaktorską wnikliwość. Lesowi Morgensteinowi, Ginie Girolamo, Maggie Cahill i wszystkim pozostałym z oddziału Alloy w Los Angeles dziękuję za nieustające i pełne entuzjazmu wsparcie. Na moją wdzięczność zasłużyli również Theo Guliadis – za mistrzostwo, z jakim porusza się w mediach społecznościowych; Elaine Damasco – za jej niesamowitą wizję graficzną; Liz Dresner – za talent graficzny; Romy Golan – za pilnowanie harmonogramu; Stephanie Abrams i Matt Bloomgarden – za to, że uporali się z większą liczbą arkuszy kalkulacyjnych, niż ta książka liczy stron; Heather David – za to, że dzięki niej cały proces wydawniczy przebiegł gładko i bez zakłóceń, pomimo naszych wyteżonych wysiłków, by pokrzyżować jej plany.

Jestem niezmiernie wdzięczna całemu zespołowi HarperCollins, bez którego ta książka nigdy by nie powstała. Z Emilią Rhodes przebyłyśmy długą drogę od czasów, gdy wspólnie redagowałyśmy powieści o wampirach. Nie wyobrażam sobie, bym z kimkolwiek innym miała pracować przy tym projekcie. Dziękuję, Emilio, że uwierzyłaś we mnie i w tę książkę. Jen Klonsky dziękuję po trzykroć za bezgraniczny entuzjazm oraz nieustające wsparcie. Z własnego doświadczenia wiem, jak wymagającym zajęciem jest praca asystenta redaktora, dlatego też jestem pełna wdzięczności dla Alice Jerman za wszelką jej pomoc (zwłaszcza za wprowadzane w ostatniej chwili zmiany, które z niezwykłą cierpliwością własnoręcznie za mnie nanosiła). Sarah Kaufman, Alison Klapthor, Jennie Stempel i reszcie działu graficznego w Harper dziękuję za to, że ta książka wygląda tak pięknie, zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Ogromne podziękowania należą się również Elizabeth Ward i reszcie działu marketingu, a także Ginie Rizzo i całemu biur prasowemu za niezmordowane i szalenie pomysłowe akcje promocyjne *Tysiąca pięter*.

Całemu zespołowi Rights People – Alexandrze Devlin, Allison Hellegers, Caroline Hill-Trevor, Rachel Richardson, Alex Webb, Harim Yim oraz Charlesowi Nettletonowi – dziękuję za to, że powieść *Tysiąc pięter* trafiła do tak wielu krajów. Nie mogłabym sobie wymarzyć bardziej wspaniałomyślnej, hojniejszej i cudowniejszej ekipy agentów literackich. Jestem szczęściarą, że mogę z Wami współpracować, i dobrze o tym wiem!

Moim przyjaciółom i mojej rodzinie pragnę podziękować za cały ich wkład w tę książkę. Dziękuję, że wytrzymywaliście ze mną, gdy ją pisałam. Mamo, Tato – nigdy bym nie zaszła tak daleko bez Waszej wiary we mnie i Waszego niezachwianego wsparcia. John Ed i Lizzy – zawsze stanowiliście dla mnie inspirację, jesteście moimi wiernymi kibicami i pierwszymi fanami. Dziękuję moim dziadkom, zwłaszcza Snake’owi, za to, że wiele lat temu nauczyli mnie czytać – ogromnie za Wami tęsknimy.

Dziękuję również rodzinie Fieldów, która przyjęła mnie do swojego domu podczas kilku długich, pracowitych weekendów, a szczególne wyrazy wdzięczności należą się Kiki, która wiozła mnie przez osiem godzin z wesela do domu, a ja przez cały ten czas pisałam na siedzeniu pasażera. Na koniec chciałabym podziękować Alexowi: za cierpliwość, przekąski z guacamole, znacznie dłuższe rozmowy o nastoletnich bohaterach, niż się początkowo umawialiśmy, i wreszcie za lekturę kolejnych wersji tej książki.

Tytuł oryginału: *The Thousandth Floor*

Copyright © 2016 by Alloy Entertainment and Katharine McGee.

Published by arrangement with Rights People, London



Produced by Alloy Entertainment, LCC

Copyright © for the translation by Mariusz Gądek

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja i korekta: Zespół – Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: dziewczyna – © Yuriy Zhuravov / Shutterstock.com,

Nowy Jork – © Alinute Silzeviciute / Shutterstock.com,

taras – © zhu difeng / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-683-6

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com